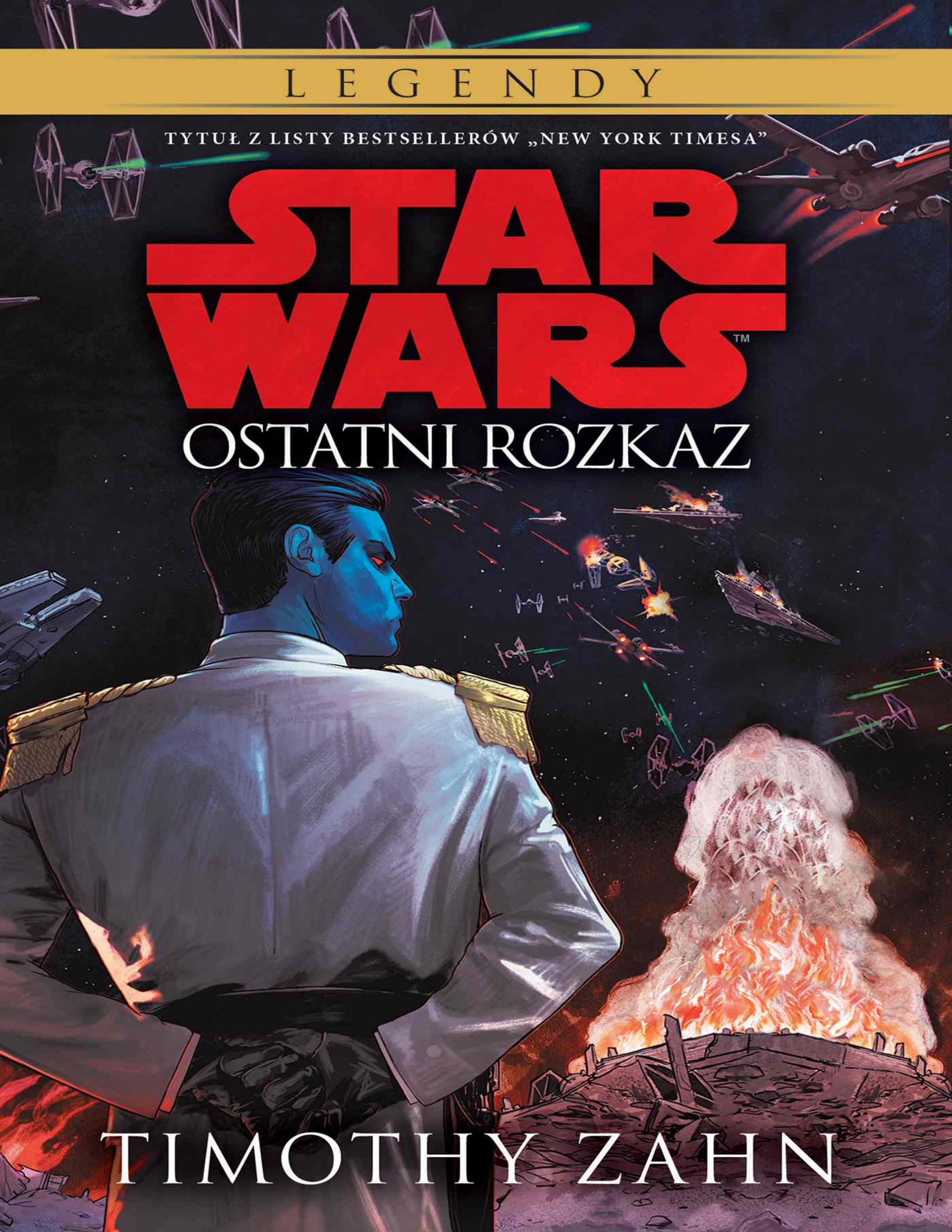
LEGENDY

TYTUŁ Z LISTY BESTSELLERÓW „NEW YORK TIMESA”

STAR WARS™

OSTATNI ROZKAZ



TIMOTHY ZAHN

Timothy Zahn

STAR WARS. OSTATNI ROZKAZ

przełożyła Anna Hikiert



Tytuł oryginału: *Star Wars: The Last Command*
Trademark and text copyright © 1993 by Lucasfilm Ltd.
All Rights Reserved.
Used Under Authorization.
Cover art. copyright © 1994 by Tom Jung.

No part of this book may be reproduced or transmitted in any form or by any means, electronic or mechanical, including photocopying, recording, or by any information storage and retrieval system, without permission in writing from the publisher.

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXIX

Wydanie I
Warszawa, MMXIX

Spis treści

Dedykacja

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Wszystkim, dzięki którym te książki mogły powstać, a szczególnie:
Annie Zahn,
Betsy Mitchell,
Lucy Autrey Wilson,
jak również, oczywiście, człowiekowi, od którego wizji to wszystko się zaczęło:
George'owi Lucasowi

Rozdział 1

Mknący przez aksamitną czerń głębokiej przestrzeni kosmicznej imperialny niszczyciel „Chimaera” wycelował dziób w kształcie klina w lśniącą przytłumionym blaskiem gwiazdę docelowego układu, oddaloną o jakieś trzy tysięczne roku świetlnego. Załoga statku przygotowywała się do czekającej ich walki.

– Wszystkie systemy w gotowości bojowej, admirale – zgłosił oficer łączności siedzący w lewoburtowej wnęce pokładu. – Zaczynają spływać potwierdzenia od zespołów szturmowych.

– Doskonale, poruczniku. – Thrawn skinął głową. – Proszę mnie poinformować, gdy zameldują się wszystkie. Kapitanie?

– Sir? – odpowiedział Pellaeon, szukając w twarzy przełożonego śladu napięcia, które bez wątpienia musiał odczuwać wielki admirał. Napięcia, z którym on sam zmagał się bezskutecznie w tej chwili. To nie był po prostu kolejny taktyczny atak na siły Rebelii – nie żaden zwykły najazd na konwój z zaopatrzeniem ani nawet skomplikowane, ale bezpośrednie uderzenie wymierzone w jakąś pozbawioną większego znaczenia bazę planetarną. O nie, po niemal miesiącu gorączkowych przygotowań rozpoczynali właśnie zakrojoną na szeroką skalę kampanię stanowiącą ukoronowanie dotychczasowych działań Thrawna, mającą im zapewnić ostateczne, miażdżące zwycięstwo nad siłami wroga.

Jeśli jednak wielki admirał był podenerwowany, to w żaden sposób nie dawał tego po sobie poznać.

– Rozpocząć odliczanie – polecił głosem równie beznamiętnym, jak gdyby zamawiał przystawki w restauracji.

– Tak jest, sir! – potwierdził przyjęcie rozkazu kapitan, odwracając się do grupy pomniejszonych o trzy czwarte postaci, stojących przed nim nad rufową platformą holograficzną. – Panowie, zaczynamy na mój znak. „Bellicose”, trzy minuty…

– Przyjąłem. – Kapitan Aban kiwnął głową. Chociaż zachowywał wszelkie pozory służbistego zachowania wzorowego oficera floty,

nie do końca zdołał ukryć chęć jak najszybszego rozprawienia się z rebeliancką hołotą. – Pomyślnych łowów.

Hologram zamigotał i zniknął, podczas gdy „Bellicose" aktywował osłony, przerywając tym samym łączność dalekiego zasięgu. Pellaeon skupił uwagę na kolejnej postaci.

– „Relentless", cztery i pół minuty.

– Potwierdzam – powiedział kapitan Dorja, uderzając lewą dłonią w prawą pięść w starożytnym mirshafańskim geście zwycięstwa, po czym jego hologram również zniknął.

Pellaeon zerknął na ekran datapada.

– „Judicator", sześć minut.

– Jesteśmy gotowi, „Chimaera" – zameldował cichym głosem kapitan Brandei. Cichym… i brzmiącym dziwnie podejrzanie.

Pellaeon przyjrzał mu się, marszcząc czoło. Pomniejszony do jednej czwartej hologram był lekko rozmyty, jednak wyrazu twarzy Brandei nie można było pomylić z niczym innym: to było oblicze mężczyzny żądnego krwi.

– To wojna, kapitanie Brandei – odezwał się Thrawn, materializując się bezszelestnie u boku Pellaeona – a nie okazja do wyrównania własnych rachunków.

– Znam swoje obowiązki, admirale – odpowiedział z naciskiem Brandei.

Granatowoczarne brwi Thrawna powędrowały leciutko w górę.

– Czyżby, kapitanie? Jest pan tego pewien?

Z holograficznej twarzy powoli, jakby niechętnie, odpłynęła część zapalczywości.

– Tak jest, sir – wymamrotał. – Moim obowiązkiem jest służyć Imperium, panu, a także flocie i załodze pod moimi rozkazami.

– Doskonale – skwitował Thrawn. – Innymi słowy: żywym ludziom, nie martwym.

Brandei wciąż emanował gniewem, jednak mimo to skinął potulnie głową.

– Tak jest, sir!

– Proszę o tym nie zapominać, kapitanie – ostrzegł z zawoalowaną groźbą w głosie Thrawn. – W trakcie wojny szala zwycięstwa w każdej chwili może się przechylić na drugą stronę, ale

rebelianci zapłacą słono za niszczenie „Peremptory” podczas potyczki z udziałem Floty Katańskiej. Jednak ten odwet ma być częścią naszej całościowej strategii, a nie prywatnym aktem zemsty. – Zmrużył lekko lśniące, czerwone oczy. – A już z pewnością nie aktem zemsty kapitana floty pod moimi rozkazami. Czy wyrażam się jasno?

Kapitanowi zauważalnie drgnął mięsień w policzku. Pellaeon nigdy nie uważał go za przesadnie rozgarniętego, jednak Brandei był dość bystry, by rozpoznać pogróżkę – nawet pod płaszczykiem aluzji.

– Oczywiście, panie admirale.

– Świetnie. – Thrawn mierzył go jeszcze przez chwilę wzrokiem, po czym kiwnął głową. – Jak sądzę, otrzymał pan już sygnał do startu?

– Tak jest, sir. „Judicator”, bez odbioru.

Wielki admirał przeniósł wzrok na Pellaeona.

– Proszę kontynuować, kapitanie – rzucił i odwrócił się na pięcie.

– Tak jest, sir. – Pellaeon spojrzał znów na ekran datapada. – „Nemesis”…

Dalsza część odprawy przebiegła bez zakłóceń. Gdy zniknął ostatni hologram, wszyscy dowódcy potwierdzili przyjęcie rozkazów i zajęli się ich wypełnianiem.

– Wszystko idzie zgodnie z planem – oświadczył Thrawn, kiedy Pellaeon wrócił na swoje stanowisko dowodzenia. – „Stormhawk” zgłosił, że frachtowce wiodące wystartowały o czasie, a liny holownicze działają bez zarzutu. Przechwyciliśmy też nadany właśnie szerokopasmowo sygnał z układu Ando z prośbą o pomoc…

Najwyraźniej „Bellicose” i jego zespół wykonali swoje zadanie o czasie.

– Czy ktoś odpowiedział, sir? – spytał Pellaeon.

– Rebeliancka baza na Ord Pardron potwierdziła przyjęcie sygnału – odparł Thrawn. – Z chęcią dowiem się, kogo im wyślą na pomoc.

Pellaeon pokiwał głową. Jak dotąd rebelianci mieli do czynienia już z wystarczającą liczbą ataków wielkiego admirała, by poznać jego taktykę i móc podejrzewać, że Ando będzie jedynie przykrywką

– oraz zareagować adekwatnie do tych podejrzeń. Z drugiej jednak strony sił szturmowych w postaci imperialnego gwiezdnego niszczyciela i ośmiu drednotów z Floty Katańskiej raczej nie można było lekceważyć…

Nie miało to w tej chwili jednak żadnego znaczenia. Z pewnością wyślą kilka statków do Ando, aby stawiły czoła „Bellicose", a także parę na Filve przeciwko „Judicatorowi", następne do Crondre – przeciwko „Nemesis"… i tak dalej, i tak dalej. Gdy jednak „Grot Śmierci" dotrze do bazy na planecie Ord Pardron, ta pozostanie w zasadzie bez ochrony i jej mieszkańcy będą rozpaczliwie błagali Rebelię o każdą pomoc, jaką będzie mogła im przysłać.

I pomoc tę, oczywiście, otrzymają. Dzięki czemu zaserwują Imperium jego prawdziwy cel na tacy – odsłonięty i pozbawiony ochrony.

Pellaeon wyjrzał przez przedni iluminator na lśniącą w oddali gwiazdę układu Ukio i poczuł dziwne dławienie w gardle, gdy po raz kolejny spróbował sobie uświadomić, na jak wielką skalę zakrojony był cały ten plan. Kiedy mieli do czynienia ze światami wyposażonymi w potężne pola osłon planetarnych, zdolne wytrzymać nawet najbardziej zmasowane bombardowanie turbolaserowe oraz atak torped protonowych, zazwyczaj istniał tylko jeden sposób na podporządkowanie ich sobie – mianowicie wysłanie na planetę świetnie wyszkolonych zespołów szturmowych, które dokonywały ukradkiem desantu, aby zniszczyć rzeczone systemy obronne. W takich sytuacjach przejęcie celów wiązało się jednak z ogromnymi zniszczeniami – zarówno wskutek działań sił naziemnych, jak i ostrzału orbitalnego, który następował później. Alternatywę stanowiło rzucenie do walki tysięcy żołnierzy i wszczęcie kampanii w terenie, która mogła przeciągać się miesiącami lub nawet latami – i rozwiązanie to wcale nie było wiele lepsze od pierwszego. Zajęcie planety przy ograniczeniu strat do minimum, w dodatku bez uszkadzania generatorów osłon… cóż, coś takiego graniczyło właściwie z cudem.

A jednak dzisiejszy dzień miał pokazać, że nie jest nierealne. Obalą dziś tę teorię… a wraz z nią upadnie też Ukio.

– Przechwyciliśmy sygnał z prośbą o pomoc z Filve, admirale – zgłosił oficer łączności. – Baza na Ord Pardron ponownie odpowiedziała.

– Doskonale. – Thrawn zerknął na chronometr. – Sądzę, że jeszcze siedem minut i będziemy mogli wkroczyć do akcji. – Zacisnął na chwilę usta. – Potwierdźmy lepiej, czy nasz czcigodny mistrz Jedi również będzie gotów wykonać swoją część zadania.

Pellaeon miał przemożną ochotę się skrzywić, ale w porę się powstrzymał. Joruus C'baoth, szalony klon dawno nieżyjącego mistrza Jedi Jorusa C'baotha, który miesiąc temu obwołał się prawdziwym dziedzicem Imperium… Kapitan nie przepadał za rozmawianiem z nim tak samo jak Thrawn, jednak w tej sytuacji nie miał chyba innego wyjścia, jak tylko zgłosić się na ochotnika. Wiedział, że w przeciwnym wypadku delikatna sugestia zmieni się w rozkaz.

– Pójdę do niego, sir – powiedział, wstając od konsoli.

– Dziękuję, kapitanie – powiedział Thrawn. Zupełnie jakby Pellaeon miał jakiś wybór…

Usłyszał nieme wezwanie natychmiast, gdy opuścił bezpieczną bańkę chroniącą przed Mocą, tworzoną na mostku przez isalamiry umieszczone na podtrzymujących życie stelażach. Najwyraźniej mistrz C'baoth również nie mógł się doczekać rozpoczęcia operacji…

Przygotowując się w duchu na to spotkanie i walcząc z mentalnym naciskiem C'baotha, który przynaglał go do pośpiechu, Pellaeon ruszył do prywatnego centrum dowodzenia Thrawna.

Pomieszczenie było jasno oświetlone – w odróżnieniu od dyskretnego półmroku, który preferował wielki admirał.

– Kapitanie Pellaeon! – zawołał C'baoth, gdy tylko oficer przekroczył próg, przyzywając go gestem sprzed podwójnego kręgu monitorów ustawionych w centrum pomieszczenia. – Zapraszam. Czekałem na pana.

– Niestety, musiałem poświęcić nieco czasu na dopilnowanie pozostałych szczegółów naszej operacji – poinformował go sztywno Pellaeon, z całej siły próbując ukryć niechęć do szalonego starca,

boleśnie świadom tego, że jego wysiłki są z góry skazane na niepowodzenie.

– Oczywiście. – Uśmiech C'baotha demonstrował jego rozbawienie dyskomfortem kapitana dobitniej, niż wyraziłyby to jakiekolwiek słowa. – Mniejsza o to. Domyślam się, że wielki admirał Thrawn jest wreszcie gotów?

– Prawie – bąknął Pellaeon. – Nim ruszymy do akcji, chcemy odciągnąć jak najwięcej sił z Ord Pardron.

– Nadal zakładacie, że Nowa Republika będzie tańczyć, jak jej zagra wielki admirał? – C'baoth parsknął kpiąco.

– Bo tak będzie – zapewnił go z przekonaniem Pellaeon. – Wielki admirał dokładnie przestudiował ich zachowanie i przewidział każdy krok.

– Przestudiował ich sztukę. – C'baoth znów lekceważąco prychnął. – Takie rozwiązanie sprawdziłoby się jedynie, gdyby Nowa Republika nie wysłała przeciwko nam nikogo z wyjątkiem artystów.

Sygnał dochodzący od strony monitorów oszczędził Pellaeonowi konieczności udzielania odpowiedzi.

– Już wkrótce zaczynamy – powiedział i zabrał się do odliczania w myśli siedemdziesięciu sześciu sekund, które zabierze im dotarcie do układu Ukio z ich obecnej pozycji. Z całej siły starał się nie dopuścić, by słowa C'baotha zasiały w jego umyśle ziarno zwątpienia. Nie rozumiał, w jaki sposób Thrawn był w stanie tak dokładnie poznać największe sekrety poszczególnych gatunków, zgłębiając ich sztukę. Był jednak wystarczająco wiele razy świadkiem tego, jak ta wiedza przynosiła wymierne – i imponujące! – rezultaty, by w tej kwestii wierzyć w zdolności wielkiego admirała.

C'baoth był jednak najwyraźniej innego zdania. Tak czy inaczej, nie był teraz raczej zainteresowany dyskusją na ten temat. Przez ostatni miesiąc, odkąd ogłosił się jedynym i prawdziwym dziedzicem Imperatora, prowadził z Thrawnem swoją prywatną wojenkę, próbując podkopać jego wiarygodność, wychodząc z założenia, że prawdziwej wiedzy może dostarczyć jedynie Moc, a co za tym idzie, on sam jest jedyną osobą zdolną tę wiedzę posiąść.

Pellaeon nie był jednak przekonany co do takiego stanu rzeczy. Imperator również władał Mocą, a nie zdołał jakoś przewidzieć, że zginie nad Endorem. Niezależnie jednak od wszystkiego ziarno niepewności, które starzec z takim trudem próbował zasiać w umysłach podwładnych Thrawna, zaczynało kiełkować – szczególnie wśród mniej doświadczonych oficerów.

Zdaniem Pellaeona to był tylko kolejny powód, dla którego ten atak musiał się powieść. Jego wynik zależał w równym stopniu od biegłości Thrawna w interpretacji sztuki – tym razem ukiańskiego etosu kulturowego – jak i od fundamentalnych zasad taktyki. Wielki admirał był przekonany, że Ukian cechuje wrodzony lęk przed tym, co niemożliwe.

– Nikt nie jest nieomylny – odezwał się nagle C'baoth, jakby czytał Pellaeonowi w myślach.

Kapitan przygryzł mimowolnie, niemal do krwi, wnętrze policzka, czując, jak po plecach pełznie mu zimny dreszcz. Jakim cudem ten staruch bez najmniejszego trudu potrafił go przejrzeć?

– Jak widzę, obce jest panu pojęcie poszanowania prywatności? – warknął z rozdrażnieniem.

– Imperium to ja, kapitanie Pellaeon – odparł C'baoth, świdrując go spojrzeniem oczu pałających jakimś mrocznym ogniem. Spojrzeniem fanatyka, szaleńca… – Służy pan mu, a więc i mnie, również pańskimi myślami.

– Służę wielkiemu admirałowi Thrawnowi – wycedził Pellaeon.

C'baoth uśmiechnął się pobłażliwie.

– Może pan sobie wierzyć, w co chce. Przejdźmy jednak do rzeczy. Do spraw istotnych dla Imperium. Gdy ta bitwa dobiegnie końca, kapitanie Pellaeon, chciałbym, by na Wayland wysłano pewną wiadomość…

– O pańskim rychłym powrocie, jak sądzę – stwierdził kwaśno Pellaeon. C'baoth od niemal miesiąca ględził bezustannie o tym, że niebawem zamierza osiąść znów w swojej dawnej kwaterze na planecie Wayland, gdzie obejmie dowodzenie nad ośrodkiem klonowania w dawnym skarbcu Imperatora, wewnątrz góry Tantiss. Póki co był jednak zbyt zajęty podkopywaniem pozycji Thrawna, by

poczynić w tym kierunku jakieś bardziej zdecydowane kroki niż tylko paplanie w kółko o tym samym, aż do znudzenia.

– Proszę się nie martwić, kapitanie Pellaeon – rzucił C'baoth z lekkim rozbawieniem. – Wrócę tam… gdy przyjdzie na to odpowiednia pora. I właśnie dlatego skontaktuje się pan po tej bitwie z Waylandem i rozkaże waszym ludziom, by stworzyli dla mnie klona. Bardzo szczególnego klona…

„Wielki admirał będzie musiał autoryzować ten rozkaz" – przyszło niemal natychmiast do głowy Pellaeonowi, jednak z jego ust padło tylko pytanie:

– Co to ma dokładnie być? – Kapitan zamrugał nieprzytomnie, słysząc własne słowa i zastanawiając się nad tym, czy rzeczywiście to powiedział. Zgadza się – spytał o szczegóły…

Widząc jego zakłopotanie, C'baoth uśmiechnął się znów dobrotliwie.

– Chciałbym po prostu zapewnić sobie… sługę – powiedział cicho. – Kogoś, kto będzie na mnie czekał, gdy wrócę. Stworzonego z jednej z cennych zdobyczy Imperatora, próbki o numerze B-2332-54, o ile dobrze pamiętam. Oczywiście da pan dowódcy garnizonu jasno do zrozumienia, że wszystko należy zachować w najwyższej tajemnicy.

„Och, jeszcze czego!" – parsknął w myśli Pellaeon, jednak ponownie z jego ust padło tylko krótkie: – Tak.

Brzmienie tego słowa wprawiło go w równej mierze w konsternację, co w osłupienie. Przecież wcale tak nie myślał! Wręcz przeciwnie: gdy tylko walka dobiegnie końca, poinformuje o wszystkim Thrawna. Osobiście…

– Zachowa pan również tę rozmowę dla siebie – dodał tymczasem C'baoth jakby od niechcenia. – A gdy już zrobi pan to, o co prosiłem, zapomni pan o wszystkim.

– Oczywiście. – Pellaeon machinalnie kiwnął głową. O tak, przekaże te rewelacje Thrawnowi. On już będzie wiedział, co robić.

Gdy odliczanie dobiegło końca, na głównym wyświetlaczu na ścianie ukazał się obraz planety Ukio.

– Powinniśmy włączyć ekran taktyczny, mistrzu C'baoth – zauważył ostrożnie Pellaeon.

Jedi machnął tylko ręką.

– Skoro tak pan twierdzi.

Pellaeon sięgnął do podwójnego rzędu monitorów i wcisnął odpowiedni przycisk. Po chwili na środku pomieszczenia pojawiła się holograficzna plansza taktyczna. „Chimaera” wzbijała się na niej na wysoką orbitę, sunąc nad równikiem po słonecznej stronie planety. Dziesięć drednotów z Floty Katańskiej, stanowiących część jej grupy bojowej, rozpraszało się właśnie, zajmując wokół niej pozycje ochronne, a „Stormhawk” nadlatywał z drugiej, ciemnej strony planety jako wsparcie. Reszta statków, głównie frachtowce i inne jednostki towarowe, przemykała przez niewielkie szczeliny, które kontrola naziemna otwierała dla nich na krótko w osłonach energetycznych chroniących Ukio – mglistej, błękitnawej powłoce otaczającej świat jakieś pięćdziesiąt kilometrów nad jego powierzchnią. Dwa z punktów świetlnych rozbłysły czerwienią: frachtowce prowadzące „Stormhawka”, wyglądające równie niewinnie jak pozostałe statki pospiesznie szukające schronienia. Frachtowce… i czterej holowani przez nie niewidzialni towarzysze.

– Niewidzialni tylko dla tych, którzy nie mają oczu, by ich dostrzec – mruknął C’baoth.

– A więc teraz jesteś już w stanie dostrzec same statki? – warknął ze zniecierpliwieniem Pellaeon. – Och, widzę, że twoje zdolności Jedi znów wzrosły!

Liczył na to, że w ten sposób rozdrażni choć odrobinę C’baotha – nie za bardzo, tylko trochę – ale jego nadzieje okazały się płonne.

– Widzę wszystkich ludzi osłanianych tymi waszymi cennymi polami maskującymi – powiedział spokojnie mistrz Jedi. – Widzę ich myśli i kieruję ich wolą. Jakież znaczenie ma przy tym coś tak błahego jak metal?

Pellaeon skrzywił się kwaśno.

– Odnoszę wrażenie, że niewiele jest rzeczy, które coś dla ciebie znaczą – burknął.

Kątem oka dostrzegł, że C’baoth znowu się uśmiecha.

– To, co nie ma znaczenia dla mistrza Jedi, jest również bez znaczenia dla wszechświata – oznajmił z denerwującym spokojem.

Frachtowce i holowane przez nie zamaskowane krążowniki były już w pobliżu osłon.

– Gdy tylko znajdą się wewnątrz pól, nastąpi rozprzęgnięcie lin holowniczych – przypomniał mu dosadnie Pellaeon. – Czy jesteś gotów?

Mistrz Jedi wyprostował się w swoim fotelu i zmrużył oczy.

– Czekam na rozkazy wielkiego admirała – oznajmił zgryźliwie.

Pellaeon przyglądał się jeszcze przez chwilę jego spokojnemu obliczu, czując znów na plecach zimny dreszcz. Pamiętał aż za dobrze tamten pierwszy raz, gdy C'baoth spróbował sztuczki z bezpośrednią kontrolą na duży dystans. Nie mógł zapomnieć obrazu bólu, jaki rysował się wówczas na twarzy mistrza Jedi – wyrazu najwyższego skupienia i trudu, z jakim starał się on utrzymać kontakt z umysłami załóg imperialnych statków.

Nie dalej niż dwa miesiące temu Thrawn stwierdził z niezachwianą pewnością, że C'baoth nigdy nie będzie w stanie zagrozić Imperium, bo brakuje mu zdolności do koncentrowania się i skupiania swoich mocy Jedi na dłuższą metę. Jakimś cudem jednak w tym czasie C'baoth najwyraźniej posiadł umiejętność właściwej samokontroli… co automatycznie czyniło go zagrożeniem dla Imperium. Poważnym zagrożeniem.

Rozmyślania Pellaeona przerwało piszczenie interkomu.

– Kapitanie Pellaeon?

Sięgnął ponad kręgiem monitorów i dotknął przycisku, zmuszając się do odsunięcia od siebie obaw dotyczących starca. Ich flota potrzebowała tego szalonego Jedi… przynajmniej na razie. Na szczęście wszystko wskazywało na to, że C'baoth również jej potrzebuje.

– Jesteśmy gotowi, admirale – oświadczył.

– Czekajcie na moje rozkazy – polecił Thrawn. – Frachtowce za chwilę dokonają rozprzęgnięcia…

– Już to zrobiły – wszedł mu w słowo C'baoth. – Krążowniki kierują się teraz na wyznaczone pozycje.

– Chcę mieć pewność, że znalazły się wewnątrz pola planetarnego – powiedział admirał.

Po twarzy C’baotha pierwszy raz od rozpoczęcia całej operacji przemknął cień świadczący o skupieniu i wysiłku. Nic dziwnego. W sytuacji, w której osłony uniemożliwiały „Chimaerze” namierzenie krążowników oraz oślepiały czujniki niszczyciela, jedynym sposobem na zlokalizowanie okrętów było dokładne sprawdzenie, gdzie znajdują się w tej chwili umysły, z którymi nawiązywał kontakt C’baoth – co z pewnością nie było łatwym zadaniem.

– Wszystkie cztery statki są wewnątrz pola – oznajmił wreszcie starzec.

– Sprawdź to dokładnie, mistrzu Jedi – powtórzył Thrawn nieznoszącym sprzeciwu tonem. – Jeśli się mylisz…

– Nie mylę się, wielki admirale Thrawn – odparł szorstko C’baoth. – Zrobię, co do mnie należy. Ty zajmij się swoją rolą w tej bitwie.

Przez chwilę Thrawn nic nie mówił i Pellaeon skrzywił się, wyobrażając sobie minę wielkiego admirała.

– Doskonale, mistrzu Jedi – odezwał się wreszcie Thrawn, zaskakująco spokojnie. – W takim razie przygotuj się do wykonania swojej części zadania.

Rozległo się podwójne kliknięcie otwieranego kanału łączności.

– Tu imperialny gwiezdny niszczyciel „Chimaera” do starszyzny Ukio – powiedział Thrawn. – W imieniu Imperium oświadczam, że układ Ukio od tej chwili trafia ponownie pod jurysdykcję imperialną i przechodzi pod ochronę naszych sił. Wzywam was do wyłączenia pól, odwołania wszystkich oddziałów wojskowych do ich baz i przygotowania się do przekazania nam formalnie władzy.

Gdy odpowiedź nie nadeszła, dodał:

– Wiem, że odbieracie tę wiadomość. Jeśli nie odpowiecie, będę zmuszony założyć, że stawiacie opór i odrzucacie naszą propozycję. W takim wypadku nie będę miał innego wyboru, jak tylko użyć siły.

Znowu cisza.

– Wysyłają nową wiadomość. – Pellaeon dosłyszał zgłoszenie oficera łącznościowego. – Tym razem wydają się trochę bardziej… spanikowani.

– Jestem pewien, że przy trzeciej ich niepokój wzrośnie jeszcze bardziej – stwierdził spokojnie Thrawn. – Proszę przygotować się do

pierwszej sekwencji ostrzału. Mistrzu C’baoth?

– Krążowniki są gotowe, wielki admirale Thrawn – zapewnił go Jedi. – Podobnie jak ja.

– Mam taką nadzieję – skwitował Thrawn z zawoalowaną groźbą w głosie. – Jeśli nie zgramy wszystkiego idealnie w czasie, wcześniejsze przygotowania będzie można spisać na straty. Trzecia bateria turbolaserów? Rozpocząć pierwszą fazę ostrzału, na mój znak. Trzy… dwa… jeden… Ognia!

Na hologramie taktycznym z baterii turbolaserów „Chimaery” wyprysnęły bliźniacze promienie zielonego ognia, mknąc ku widniejącej w dole planecie. Strzał uderzył w błękitną mgiełkę osłon planetarnych, rozpryskując się nieco, gdy osłony rozproszyły jego energię, odbijając ją z powrotem w przestrzeń kosmiczną…

Dokładnie w tej samej chwili, tak jak chciał Thrawn, dwa zamaskowane krążowniki – przyczajone na repulsorach za osłonami w punktach, w które trafiły turbolasery – posłały strzały przez atmosferę Ukio ku jej dwóm głównym powietrznym bazom obronnym.

A przynajmniej tak wyglądało to w oczach Pellaeona, który wiedział, na czym polegał cały fortel. Ukianie, niemający pojęcia o zamaskowanych krążownikach, zobaczyli tylko, jak dwa śmiercionośne promienie o dużej mocy przechodzą gładko przez osłony, które nie powinny były przepuścić żadnego ostrzału z broni energetycznej.

– Trzecia transmisja przerwana w połowie, sir! – zameldował oficer łącznościowy. W jego głosie pobrzmiewało echo złośliwej satysfakcji. – Chyba ich zaskoczyliśmy.

– Utwierdźmy ich zatem w przekonaniu, że to nie był jedynie łut szczęścia – zarządził Thrawn. – Proszę przygotować się do sekwencji ostrzału numer dwa. Mistrzu C’baoth?

– Krążowniki w pogotowiu.

– Druga bateria turbolaserów, rozpocząć drugą fazę ostrzału, na mój znak. Trzy… dwa… jeden… Ognia!

Działa ponownie bluznęły zielonym ogniem, a zamaskowane krążowniki w idealnym momencie zadbały o wrażenie jego ciągłości.

– Dobra robota – pochwalił Thrawn. – Mistrzu C'baoth, proszę przemieścić krążowniki na pozycje odpowiadające sekwencjom trzeciej i czwartej.

– Jak pan sobie życzy, wielki admirale.

Pellaeon przełknął nerwowo ślinę i odruchowo zacisnął zęby. Sekwencja czwarta była obliczona na zniszczenie dwóch z trzydziestu ukiańskich generatorów zachodzących na siebie pól. Wybór takiego planu oznaczał, że Thrawn porzucił pierwotny zamysł zajęcia Ukio, nie naruszając przy tym systemów obrony planetarnej…

– Imperialny gwiezdny niszczyciel „Chimaera"? Tu Tol dosLla z ukiańskiej starszyzny – dobiegł z głośników interkomu lekko drżący głos. – Chcielibyśmy prosić was o przerwanie ostrzału Ukio i zawieszenie ataku na czas omówienia warunków naszej kapitulacji.

– Moje warunki są proste – zapewnił go Thrawn. – Zaczniecie od wyłączenia osłon planetarnych i pozwolenia, by moje oddziały wylądowały. Wówczas przekażecie im kontrolę nad generatorami, a także całym uzbrojeniem ziemia-kosmos. Wszystkie uzbrojone maszyny większe od śmigaczy dowodzenia zostaną wycofane do wyznaczonych baz wojskowych i oddane do dyspozycji Imperium. Chociaż właściwie od tej pory będziecie podlegali naszej władzy, pozostawimy w waszej gestii system polityczny i społeczny planety. Oczywiście pod warunkiem, że nie będziecie stawiać oporu…

– A gdy już proponowane przez was zmiany zostaną wprowadzone w życie?

– Wówczas staniecie się częścią Imperium, ze wszystkimi przysługującymi wam z tego tytułu prawami i obowiązkami.

– Nie nałożycie na nas podatków wojennych? – spytał podejrzliwie dosLla. – Żadnego przymusowego poboru młodych?

Pellaeon widział oczami duszy złowieszczy uśmiech Thrawna. O nie, Imperium już nigdy nie będzie musiało zawracać sobie głowy czymś tak trywialnym jak przymusowa rekrutacja. Nie, gdy miało do dyspozycji cylindry klonujące Spaarti ze skarbca Imperatora.

– Odpowiedź na pańskie drugie pytanie brzmi „nie" – odparł Thrawn. – Jeśli chodzi zaś o pierwsze, to wszystko zależy od was. Jak zapewne doskonale wiecie, większość światów kontrolowanych

przez Imperium jest obecnie obłożona podwyższonym podatkiem wojennym. Istnieją jednak wyjątki od tej reguły i bardzo prawdopodobne, że wasz wkład w tę wojnę ograniczy się do zintensyfikowanej produkcji żywności oraz wykorzystywania waszych zakładów przetwórczych.

Odpowiedź nie nadeszła od razu. Wymowne milczenie świadczyło o tym, że dosLla nie był głupcem. Do Pellaeona dotarło, że Ukianie najprawdopodobniej doskonale zdają sobie sprawę z tego, jakie plany ma wobec ich planety Thrawn. Najpierw Imperium ograniczy się do bezpośredniego nadzoru nad systemami obronnymi ziemia-kosmos, aby potem przejąć kontrolę nad dystrybucją żywności, zakładami przetwórczymi, a także rozległymi terenami farm i pastwisk, wskutek czego w bardzo krótkim czasie cała planeta zmieni się w ni mniej, ni więcej tylko fabrykę zaopatrującą wielką machinę wojenną Imperium.

Jednak zapewne równie dobrze wiedzieli, że jedyną alternatywą było stać i przyglądać się w bezsilnym milczeniu, jak ich świat zostaje zrównany z ziemią.

– Wyłączymy pola w akcie dobrej woli – powiedział wreszcie dosLla. Hardo, jednak w jego głosie pobrzmiewało też echo rezygnacji. – Zanim jednak przekażemy w ręce Imperium nasze generatory i broń ziemia-kosmos, chciałbym uzyskać pewne gwarancje dotyczące bezpieczeństwa Ukian i naszego świata.

– Oczywiście – przystał Thrawn, nie zdradzając ani śladu złośliwej satysfakcji, przed okazaniem której z pewnością nie powstrzymałaby się w takim momencie większość imperialnych dowódców. Pellaeon wiedział jednak, że ten drobny gest uprzejmości był równie zimny i wykalkulowany jak cała reszta ataku. Pozwolenie Ukianom na kapitulację z zachowaniem godności spowolni nieuchronne narastanie oporu wobec imperialnych rządów, aż będzie na niego za późno. – Nasz reprezentant zjawi się u was wkrótce, aby omówić szczegóły z waszym rządem – podjął admirał. – Zakładam, że nie ma pan nic przeciwko temu, by tymczasem nasze siły zajęły wstępnie pozycje obronne?

Z głośników dobiegło ledwie słyszalne westchnienie.

– Nie, nie mamy nic przeciwko – potwierdził z oporami dosLla. – Wyłączamy nasze osłony.

Na wyświetlaczu taktycznym niebieska mgiełka otaczająca planetę zniknęła.

– Mistrzu C'baoth? Proszę przesunąć krążowniki na pozycje biegunowe – polecił Thrawn. – Nie chcemy chyba, żeby wpadły na nie te statki desantowe? Generale Covell, może pan rozpocząć transport pańskich sił na powierzchnię planety. Proszę zająć standardowe pozycje obronne wokół wszystkich celów.

– Tak jest, panie admirale – zameldował Covell, wyraźnie siląc się na obojętność.

Pellaeon poczuł, jak na usta wypełza mu mimowolny uśmiech. Minęły zaledwie dwa tygodnie, odkąd najwyżsi stopniem dowódcy floty i armii Imperium zostali wtajemniczeni w projekt produkcji klonów „Góra Tantiss" i Covell był jednym z tych, którzy jeszcze nie do końca oswoili się z tą myślą.

Możliwe jednak również, że sceptyczne nastawienie generała miało coś wspólnego z tym, że trzy z jego kompanii, które miał właśnie sprowadzić na planetę, były złożone wyłącznie z klonów.

Na wyświetlaczu taktycznym pierwsze fale statków desantowych i eskortujących je myśliwców opuściły hangary „Chimaery" i „Stormhawka", rozpraszając się i kierując na wyznaczone pozycje. Jednostki desantowe były obsadzone klonami, które już niebawem miały przystąpić do wypełniania imperialnych rozkazów. Ich „bracia" na pokładach zamaskowanych krążowników potwierdzili już, że świetnie sobie radzą, wypełniając swoją część zadania.

Pellaeon zmarszczył czoło, gdy nagle do głowy przyszła mu pewna myśl. Czy to możliwe, że C'baoth był w stanie tak świetnie kontrolować liczące tysiąc osób załogi każdego z tych okrętów, bo składały się one jedynie z wariantów dwudziestu – lub coś koło tego – różnych umysłów? A może – co było jeszcze bardziej niepokojące – mistrz Jedi mógł tego dokonać dlatego właśnie, że sam był klonem?

A jeśli któraś z tych możliwości była realna, czy nie oznaczało to przypadkiem, że projekt „Góra Tantiss" to narzędzie, które sami włożyli starcowi do rąk, a które idealnie wręcz ułatwi mu sięgnięcie

po upragnioną władzę? Cóż, niewykluczone. Kolejna sprawa, którą kapitan powinien podać admirałowi pod rozwagę.

Obejrzał się na C'baotha, przypominając sobie poniewczasie, że w obecności mistrza Jedi nie może liczyć na luksus prywatności, jednak Jedi nie patrzył na niego – celowo czy też nie, trudno było stwierdzić. Zamiast tego wpatrywał się w przestrzeń, wbijając wzrok w jakiś niewidoczny punkt, z twarzą ściągniętą grymasem napięcia. Po jego ustach zaczął się nagle błąkać cień uśmiechu…

– Mistrzu C'baoth?

– Oni tam są – wyszeptał C'baoth gardłowym, chrapliwym głosem. – Są tam – powtórzył za chwilę, tym razem głośniej.

Pellaeon przyjrzał się krytycznie hologramowi taktycznemu.

– Kto jest gdzie? – spytał, zbity z tropu.

– Są na Filve – powiedział tylko C'baoth i nagle spojrzał prosto na Pellaeona. W jego oczach lśniło czyste szaleństwo. – Moi Jedi są na Filve!

– Mistrzu C'baoth, proszę o potwierdzenie, że krążowniki zajęły pozycje biegunowe – wszedł mu ostro w słowo Thrawn. – Następnie chciałbym usłyszeć raport z przebiegu markowanych ataków…

– Moi Jedi są na Filve – powtórzył z uporem maniaka C'baoth. – Co mnie obchodzą twoje ataki?

– C'baoth…

Mistrz Jedi wyłączył interkom machnięciem dłoni.

– Teraz, Leio Organa Solo – wymamrotał cicho – jesteś moja.

„Sokół Millennium" skręcił ostro na prawo, gdy tuż nad nim przemknął myśliwiec TIE, ostrzeliwując go furiacko z działek i bezskutecznie próbując powtórzyć manewr frachtowca. Zacisnąwszy mocno zęby w próbie złagodzenia skutków gwałtownego manewru, Leia Organa Solo przyglądała się, jak jeden z eskortujących ich X-wingów zmienia imperialny myśliwiec w chmurę płonących szczątków. Niebo za osłoną kokpitu „Sokoła" zawirowało, gdy statek zawinął płynnie, wracając na pierwotny kurs…

– Och, uwaga! – jęknął siedzący za Leią C-3PO, gdy z boku zaczęła się do nich szybko zbliżać kolejna wroga maszyna.

Ostrzeżenie było jednak zbędne. Ze zwodniczą ociężałością „Sokół” obracał się już korkociągiem w przeciwnym kierunku, aby wziąć wrogi myśliwiec na cel dolnej baterii poczwórnych działek laserowych. Z głębi statku dobiegł słyszalny nawet przez zamknięte drzwi ryk bojowy Wookieego i po chwili TIE dołączył w niebycie do swojego kolegi.

– Dobry strzał, Chewie! – pochwalił przez interkom Han Solo, wyrównując znów pułap lotu. – Wedge?

– Jestem z wami! – nadeszła natychmiast odpowiedź Wedge’a Antillesa. – Póki co jest czysto, ale nadlatuje już kolejna fala TIE-ów.

– Taaa. – Han zerknął na Leię. – Pora na decyzję, kochanie. Wciąż chcesz spróbować szczęścia i wylądować?

C-3PO wydał z siebie elektroniczny odpowiednik zaskoczonego westchnienia.

– Ależ chyba nie sugeruje pan, kapitanie Solo…

– Nikt cię nie pytał o zdanie, Złota Sztabo – nie dał mu dokończyć Han. – Leia?

Księżniczka wyjrzała przez osłonę kabiny na imperialny gwiezdny niszczyciel i osiem drednotów otaczających widniejącą przed nimi oblężoną planetę – tłoczących się wokół niej niczym wygłodniałe mynocki dookoła nieosłoniętego generatora zasilania. To miała być ostatnia misja dyplomatyczna Lei, nim na jakiś czas zrezygnuje ze swoich obowiązków w oczekiwaniu na narodziny bliźniąt. Szybki wypad, mający na celu ułagodzenie zaniepokojonego rządu Filve i jednocześnie zademonstrowanie, że Nowa Republika jest zdecydowana zapewnić ochronę układom w tym sektorze.

Cóż, póki co niezbyt im to wychodziło…

– Nie ma szans, żebyśmy zdołali przedrzeć się przez ten kordon – wyznała niechętnie. – A nawet gdyby nam się to udało, wątpię, by Filvianie byli skłonni zaryzykować, wyłączając dla nas osłony. Lepiej się stąd zabierajmy.

– Nie mam nic przeciwko – mruknął pod nosem Han. – Wedge? Spadamy stąd. Trzymaj się nas.

– Przyjąłem – potwierdził Antilles. – Dajcie nam tylko kilka minut na obliczenie skoku.

– Darujcie sobie – odparł Solo, obracając się w swoim fotelu do komputera nawigacyjnego. – Prześlemy wam współrzędne.

– Przyjąłem. Eskadra Łotrów? Szyk osłaniający.

– Wiesz co? Zaczynam mieć tego dosyć – rzucił Han pod adresem żony, odwracając się znów do przedniego pulpitu sterowania. – Czy nie twierdziłaś przypadkiem, że ci twoi Noghri mieli ci już dać spokój?

– To nie ma nic wspólnego z Noghrimi. – Leia pokręciła głową, czując niesprecyzowany niepokój. Czy tylko jej się wydawało, czy też imperialne statki otaczające Filve rzeczywiście zaczynały zmieniać formację? – Najwyraźniej wielki admirał Thrawn bawi się po prostu swoimi nowymi drednotami z Ciemnej Flotylli.

– Jasne – przytaknął cicho Han.

Leia skrzywiła się, wyczuwając emanujące od niego rozgoryczenie. Chociaż wszyscy starali się go przekonać, że jest inaczej, jej mąż nadal traktował jak osobistą porażkę fakt, że Thrawnowi udało się dotrzeć do porzuconych w przestrzeni kosmicznej okrętów tworzących Flotę Katańską – zwaną inaczej Ciemną Flotyllą – przed Nową Republiką.

– Nie sądziłem, że zdoła je tak szybko doprowadzić do stanu używalności – dodał, odwracając „Sokoła” rufą do Filve i kierując go ku otwartej przestrzeni kosmicznej.

Leia przełknęła ślinę. Dziwne napięcie nie opuszczało jej niczym niejasne wrażenie odległego zagrożenia, pełzające po obrzeżach umysłu.

– Może ma wystarczająco dużo cylindrów Spaarti, żeby oprócz żołnierzy klonować również techników i obsługę…

– Nie ma co, to rzeczywiście pocieszająca myśl – parsknął Han. Mimo nasilającego się niepokoju Leia wyczuła nagłą zmianę w jego nastroju, gdy raptem wcisnął guzik na pulpicie łączności. – Wedge, zerknij, proszę, na Filve i powiedz mi, czy rzeczywiście widzę to, co widzę, czy tylko mi się wydaje?

Z głośnika dobiegło pełne zaskoczenia sapnięcie, gdy Antilles zaczerpnął gwałtownie tchu.

– Masz na myśli imperialną flotę? Wydaje się, że zmieniają szyk i przerywają oblężenie, żeby ruszyć za nami w pościg…

– Taaa. Nie inaczej.

– Cóż, w takim razie jeśli to przywidzenia, to mamy je obaj – skwitował Wedge. – To chyba dobry moment, żeby stąd zniknąć.

– Tak – potwierdził z namysłem Solo. – Chyba tak.

Leia ściągnęła brwi i spojrzała na męża z uwagą. Coś w jego głosie…

– Han?

– Filvianie wezwaliby pomoc przed aktywowaniem osłon, zgadza się? – spytał ją, marszcząc w zamyśleniu czoło.

– Owszem – przyznała ostrożnie.

– A najbliższa baza Nowej Republiki znajduje się na Ord Pardron, tak?

– Nie inaczej.

– W porządku. Eskadra Łotrów? Zmiana kursu: kierujemy się na prawo. Lećcie za mną.

Wklepał coś w komputer pokładowy i „Sokół” zawinął ostro na sterburtę.

– Uważaj, „Sokół”! – ostrzegł go Wedge. – W ten sposób zbliżymy się z powrotem do tamtych myśliwców.

– Nie dotrzemy aż tam – zapewnił go Han. – Oto nasz wektor. – Z tymi słowy naprowadził statek na nowy kurs, zerkając na obraz z tylnych kamer. – Świetnie. Nadal za nami lecą – stwierdził z satysfakcją.

Komputer nawigacyjny oznajmił piśnięciem, że współrzędne skoku są gotowe.

– Wedge, są już wasze koordynaty – powiedziała Leia, sięgając do przycisku transmisji danych.

– Chwileczkę! – powstrzymał ją głos Antillesa. – Mamy towarzystwo. Nadlatują z prawej…

Księżniczka spojrzała we wskazanym kierunku, a gdy spostrzegła, co miał na myśli, poczuła w gardle nieprzyjemne dławienie. Nadlatujące myśliwce zbliżały się szybko i były już dość blisko, by przechwycić każdą transmisję z „Sokoła”. Wysyłanie Eskadrze Łotrów w takiej chwili współrzędnych skoku byłoby jak zapraszanie

Imperium, by czekało już na nich we wskazanym miejscu z komitetem powitalnym.

– Cóż, może mógłbym jakoś pomóc, Wasza Wysokość – zaproponował rezolutnie C-3PO. – Jak pani doskonale wie, władam biegle ponad sześcioma milionami form komunikacji. Mógłbym na przykład przesłać komandorowi Antillesowi współrzędne w języku handlowym boordist lub vaathkree…

– A potem wysłałbyś im tłumaczenie, co? – parsknął kpiąco Han.

– Oczywiście… – zaczął droid, ale niemal natychmiast urwał. – Ojej – bąknął po chwili wyraźnie zakłopotany.

– Taaa, jasne. Nie przejmuj się – mruknął Solo. – Wedge, byłeś na Xyquine dwa lata temu, zgadza się?

– Ja… tak. Ach, jasne. Myślisz o manewrze Crackena?

– Nie inaczej. Na dwa. Raz… dwa!

Kątem oka Leia dostrzegła za iluminatorem, jak X-wingi zajmują wokół „Sokoła” pozycje, ustawiając się w nowej, skomplikowanej formacji eskortowej.

– Co nam to da? – spytała.

– Szansę na ucieczkę – poinformował ją Han, zerkając znów na tylny wyświetlacz. – Wywołaj koordynaty, dodaj do drugiej cyfry każdej ze współrzędnych dwa, a następnie prześlij całość eskadrze.

– Rozumiem. – Jego żona pokiwała głową i zabrała się do pracy. Zmiana drugich cyfr w ciągu danych nie zmieni ich wektora wyjścia na tyle, by imperialni zorientowali się w fortelu, ale będzie bardziej niż wystarczająca, by zmylić pościg i posłać go w miejsce odległe od ich celu o kilka ładnych lat świetlnych. – Sprytne. A ten manewr, którego właśnie dokonali, był tylko przykrywką?

– Dokładnie tak. W ten sposób każdy postronny obserwator pomyśli, że chodziło tylko o to. Tę małą sztuczkę wymyślił Pash Cracken podczas tamtej porażki na Xyquine. – Han zerknął kolejny raz na tylny wyświetlacz. – Chyba zyskaliśmy już dość przewagi, by ich wymanewrować – mruknął. – Spróbujmy więc szczęścia…

– Nie skaczemy?! – Leia zmarszczyła czoło. Przed oczami stanęły jej natychmiast bolesne wspomnienia: szalona ucieczka z Hoth, z całą flotą Dartha Vadera na karku, i nagle zepsuty hipernapęd…

Han zerknął na nią z ukosa.

– Spokojna głowa, złotko. Dziś hipernapęd na pewno nie nawali.

– Miejmy nadzieję – mruknęła pod nosem.

– Dopóki nas ścigają, nie zagrażają Filve – podjął tymczasem jej mąż. – A im bardziej odciągniemy ich od planety, tym więcej czasu będą miały siły wsparcia z Ord Pardron na dotarcie tutaj.

Już miała coś na to odpowiedzieć, kiedy uciszył ją skutecznie jaskrawozielony promień energii, który przemknął tuż za iluminatorem, stanowczo zbyt blisko kadłuba „Sokoła".

– Chyba daliśmy im już dość czasu – stwierdziła tylko. Czuła niepokój, emanujący od bliźniąt, które nosiła pod sercem. – Czy moglibyśmy już się stąd wynosić?

Kolejny strzał rozprysnął się o górną część osłon frachtowca.

– Hm, chyba masz rację, to najwyższa pora – zgodził się z nią Han. – Wedge? Gotów na opuszczenie przyjęcia?

– Na wasz znak, „Sokół"! – brzmiała odpowiedź. – Ruszajcie. Będziemy tuż za wami.

– W porządku. – Han sięgnął do dźwigni hipernapędu i pociągnął ją do siebie. Gwiazdy za panelami widokowymi rozciągnęły się w lśniące linie… i chwilę później byli już bezpieczni.

Leia wzięła głęboki oddech i powoli wypuściła powietrze z płuc. Jej nienarodzone dzieci wciąż wydawały się podenerwowane, więc poświęciła chwilę, by je uspokoić. Jak często ostatnimi czasy, znów pomyślała, jakie to dziwne: dotykać umysłów, które operowały wyłącznie odczuciami i emocjami zamiast obrazów i słów. Było to tak odmienne od kontaktu z umysłami Hana, Luke'a czy jej przyjaciół…

Tak diametralnie różne od dotyku tego odległego umysłu sterującego imperialnymi atakami, kontrolującego jego siły zbrojne.

Drzwi za jej plecami odsunęły się i do kokpitu wszedł Chewbacca.

– Ładnie sobie z nimi poradziłeś, Chewie – pochwalił go Han, gdy jego porośnięty sierścią przyjaciel klapnął na fotel po lewej, tuż obok C-3PO. – Miałeś jeszcze jakieś problemy z tym poziomym ramieniem kontrolnym?

Chewbacca zaryczał przecząco, a następnie przyjrzał się uważnie Lei i wywarczał ciche pytanie.

– Nic mi nie jest – zapewniła go, gwałtownym mruganiem starając się pozbyć łez, które ni z tego, ni z owego napłynęły jej do oczu. – Naprawdę.

Gdy zerknęła na Hana, spostrzegła, że on również przygląda się jej badawczo.

– Martwiłaś się? – spytał ją cicho. – To były tylko zwykłe siły Imperium. Nic, z czym nie mielibyśmy już wcześniej do czynienia…

Pokręciła głową.

– To nie wszystko, Han. Było tam… coś jeszcze. Całkiem jakby… – Pokręciła znów głową. – Sama nie wiem.

– Może coś podobnego do zasłabnięcia, które przytrafiło się pani nad Endorem? – podsunął usłużnie C-3PO. – Na pewno pani pamięta. Wtedy, gdy pani zemdlała, podczas gdy Chewbacca i ja naprawialiśmy…

Chewie zawarczał ostrzegawczo i złocisty droid pospiesznie zamilkł – jednak zbyt późno.

– O nie, słucham – oświadczył nieznoszącym sprzeciwu tonem Han, łypiąc na żonę z mieszkanką podejrzliwości i troski. – Co tam się wydarzyło?

– To nie było nic takiego. Naprawdę, Han – zapewniła go, sięgając po jego dłoń. – Gdy pierwszy raz okrążaliśmy Endor, w pewnym momencie znaleźliśmy się na orbicie w miejscu, w którym wybuchła Gwiazda Śmierci. Przez kilka sekund czułam coś podobnego do… obecności Imperatora, tak jakby był w pobliżu. To wszystko.

– „To wszystko”! – powtórzył z przekąsem Han, piorunując Chewbaccę wzrokiem. – Imperator upomina się o ciebie zza grobu, a ty uznajesz, że nie warto mnie o tym informować?

– Och, nie bądź głupi – zganiła go Leia. – Nie było o co robić hałasu. Szybko doszłam do siebie i na tym się skończyło. Naprawdę. W każdym razie w pobliżu Filve czułam… coś zupełnie innego.

– Cieszy mnie to niewymownie – burknął Han, najwyraźniej jeszcze nie gotów, by odpuścić. – Czy po powrocie dałaś się chociaż przebadać personelowi medycznemu?

– Cóż, właściwie to nie było na to czasu, zanim…

– No cudownie. W takim razie zrobisz to, gdy tylko wrócimy.

Pokiwała w milczeniu głową, wzdychając cicho. Znała ten ton aż za dobrze, a poza tym wiedziała, że nie powinna się o to z nim wykłócać.

– W porządku. Jeśli tylko znajdę czas.

– Ależ oczywiście, że znajdziesz. – Han był nieustępliwy. – Inaczej każę Luke'owi zamknąć cię w centrum medycznym, gdy tylko wróci. Mówię poważnie, złotko.

Uścisnęła jego dłoń, czując jednocześnie dziwny ucisk w gardle. Luke, samotny na terytorium wroga… Wiedziała jednak, że nic mu nie jest. Nie mogło mu się nic stać.

– W porządku – westchnęła znowu. – Zrobię badania. Obiecuję.

– Świetnie – powiedział, przypatrując się jej uważnie. – No to… co takiego poczułaś w pobliżu Filve?

– Nie wiem. – Wahała się przez chwilę, nim dodała: – Może coś podobnego do tego, co Luke czuł na „Katanie"? Wtedy, gdy Imperium przysłało na jej pokład klony…

– Taaa – mruknął bez przekonania Han. – Może i tak. Tyle tylko, że te drednoty były dość daleko…

– Ale prawdopodobnie obsadzono je znacznie większą liczbą klonów – zauważyła.

– Może i tak – bąknął powtórnie Solo. – Cóż… chyba lepiej zabierzemy się z Chewiem do naprawy tego stabilizatora strumienia jonów, nim całkiem padnie. Czy poradzisz sobie tu sama?

– Jasne – zapewniła go, z ulgą witając zmianę tematu. – Zajmijcie się tym, co trzeba.

W tej chwili wolała nie myśleć o innym wytłumaczeniu tego, co poczuła w okolicy Filve. Od dawna chodziły słuchy, że Imperator posiadł zdolność władania Mocą w stopniu pozwalającym mu kontrolować bezpośrednio swoje siły zbrojne. Jeśli mistrz Jedi, z którym Luke miał do czynienia na Jomarku, posiadał te same zdolności…

Sięgnęła do swojego brzucha i pogładziła go czule, skupiając się na skrytych w jego wnętrzu dwóch maleńkich umysłach. O nie, zdecydowanie nie miała w tej chwili ochoty na roztrząsanie tego problemu.

– Zakładam – powiedział Thrawn z typowym dla siebie zimnym opanowaniem – że masz coś na swoje wytłumaczenie?

Niespiesznie, z rozmysłem Joruus C'baoth odwrócił głowę od podwójnego rzędu ekranów ustawionych w centrum dowodzenia, by spojrzeć na wielkiego admirała, a później z nieskrywaną odrazą obrzucić wzrokiem isalamira na podtrzymującym życie stelażu spoczywającym na ramionach Thrawna.

– A ty, czy nie chciałbyś mi również czegoś wyjaśnić, wielki admirale Thrawn? – spytał buńczucznie.

– Przerwałeś pozorowany atak na Filve – przypomniał mu Thrawn, ignorując jego zaczepne pytanie – a następnie wysłałeś całą flotę w pogoń za nieuchwytnym celem, zupełnie bez sensu.

– A ty, wielki admirale Thrawn, nie wypełniłeś swojej obietnicy i nadal nie dostarczyłeś mi moich Jedi! – odciął się C'baoth. Pellaeon zauważył z lekkim niepokojem, że Jedi w miarę mówienia podnosi głos, w którym zaczynają dźwięczeć histeryczne nuty. – Ty, twoi tresowani Noghri, całe to twoje Imperium… jesteście bandą dyletantów.

Thrawn zmrużył lśniące, czerwone oczy i utkwił spojrzenie w starcu.

– Czyżby? A czy to z naszej winy nie byłeś w stanie zatrzymać przy sobie Luke'a Skywalkera, gdy dostarczyliśmy ci go na Jomark?

– Nie dostarczyliście mi go, wielki admirale Thrawn – wycedził C'baoth. – Wezwałem go do siebie przez Moc…

– To imperialny wywiad rozpuścił pogłoski o tym, że Jorus C'baoth powrócił i był widziany na Jomarku – wszedł mu bezceremonialnie w słowo Thrawn. – To imperialny transportowiec dowiózł cię na tę planetę. Nasze służby zapewniły ci odpowiednie lokum, a nasi inżynierowie zbudowali zamaskowaną wyspę, aby pełniła funkcję twojego prywatnego lądowiska. Imperium zrobiło, co do niego należało, by Skywalker wpadł w twoje ręce. To ty nie zdołałeś wykorzystać tej okazji.

– O nie! – warknął C'baoth. – Skywalker odleciał z Jomarka, bo Mara Jade uciekła wam i zwróciła go przeciwko mnie! Jeszcze mi za to zapłaci. Słyszysz, co mówię? Zapłaci za to, i to słono!

Thrawn milczał przez długą chwilę.

– Przerwałeś atak na Filve i rzuciłeś całą flotę w pościg za „Sokołem Millennium” – powiedział wreszcie, ponownie w pełni panując nad własnym głosem. – Czy udało ci się schwytać Leię Organę Solo?

– Nie – warknął C’baoth. – Jednak wcale nie dlatego, że nie chciała do mnie przyjść. O nie, ona do mnie przyjdzie z własnej, nieprzymuszonej woli. Chce tego. Podobnie jak Skywalker.

Thrawn zerknął na Pellaeona.

– Chce przyjść… do ciebie? – spytał.

C’baoth uśmiechnął się do niego.

– Ależ oczywiście! – zapewnił go, nagle dziwnie rozmarzony. W jego głosie nie było już śladu wcześniejszego gniewu. – Chce, bym uczył jej dzieci… – dodał, wodząc zamglonym wzrokiem po centrum dowodzenia. – Abym szkolił je na Jedi. Bym ukształtował je na moje podobieństwo. Bo jestem mistrzem. Jednym jedynym. – Spojrzał znów na Thrawna. – Musisz ją do mnie przyprowadzić, wielki admirale – dodał na wpół surowo, na wpół błagalnie. – Musimy ją uwolnić od ograniczeń, pośród których uwięzili ją ci, którzy lękają się jej mocy. Jeśli tego nie zrobimy, zniszczą ją.

– Oczywiście, że to zrobimy – zapewnił go dobrotliwie Thrawn. – Jednak musisz nam zaufać i pozostawić to zadanie wyłącznie nam. Potrzebujemy tylko nieco więcej czasu…

C’baoth zmarszczył czoło i wsunął dłoń pod długą brodę, aby pogładzić medalion spoczywający na jego piersi. Widząc to, Pellaeon zadrżał mimowolnie. Choć był tego świadkiem już wiele razy, jak dotąd nie zdołał przywyknąć do tych nagłych zmian nastroju szalonego Jedi. Wiedział, że podobne zachowanie jest typowe dla obiektów stanowiących owoce wczesnych eksperymentów z klonowaniem: ustawiczna niestabilność umysłowa i emocjonalna, odwrotnie proporcjonalna do długości cyklu hodowli danego egzemplarza. Przetrwało bardzo mało opracowań naukowych na ten temat z okresu wojen klonów, jednak w jednym ze źródeł Pellaeon natknął się na informację, która sugerowała, że żaden klon, który osiągnął dojrzałość w czasie krótszym niż rok, nie był dostatecznie stabilny, aby przetrwać poza ściśle kontrolowanym środowiskiem.

Zważywszy jednak na skalę zniszczeń pozostawionych przez sklonowanych żołnierzy w całej galaktyce w okresie wojen klonów, Pellaeon zawsze zakładał, że kloniarze w końcu rozwiązali ten problem – a przynajmniej częściowo. Tak czy inaczej, zupełnie inną kwestią było, czy zdołali ustalić przyczynę szaleństwa, w które popadały nieuchronnie owoce ich eksperymentów…

Jeśli nie, niewykluczone, że Thrawn stanie się pierwszą osobą, która ją odkryje.

– Doskonale, wielki admirale Thrawn – stwierdził nagle C'baoth. – Dam ci w takim razie jeszcze jedną, ostatnią szansę. Ostrzegam cię jednak, że kolejnej nie będzie. Jeśli ją zmarnujesz, wezmę sprawy w swoje ręce. – Spod krzaczastych brwi łypnęły groźnie oczy. – Pamiętaj także, że jeśli nie zdołasz wypełnić tak prostego zadania, mogę cię uznać za niezdolnego do kierowania siłami zbrojnymi mojego Imperium.

W oczach Thrawna zalśnił ogień, jednak admirał skłonił tylko lekko głowę.

– Przyjmuję twoje warunki, mistrzu C'baoth.

– Świetnie. – C'baoth powoli opadł na oparcie swojego fotela i przymknął oczy. – Możesz już odejść, wielki admirale Thrawn. Chciałbym pomedytować, a także zaplanować przyszłość moich Jedi.

Thrawn przez chwilę stał w milczeniu, wbijając w starego Jedi spojrzenie pałających czerwienią oczu. Wreszcie przeniósł wzrok na Pellaeona.

– Zapraszam na mostek, kapitanie – powiedział. – Chciałbym, aby zajął się pan ustaleniami dla systemu obrony układu Ukio.

– Tak jest, sir! – potwierdził służbiście Pellaeon, z ulgą witając szansę na uwolnienie się od towarzystwa szalonego mistrza Jedi.

Gdy zerknął na C'baotha, zawahał się jednak, a twarz ściągnął mu przelotny grymas niepewności. Czy przypadkiem nie chciał porozmawiać o czymś z Thrawnem? Był dziwnie pewien, że miał mu o czymś wspomnieć. Miało to chyba jakiś związek z C'baothem, klonami i projektem „Góra Tantiss"…

Za nic nie pamiętał jednak, co to mogło być, uznał więc, że nic ważnego – na pewno sobie przypomni we właściwym czasie.

Minął pierścień ekranów i wyszedł z pomieszczenia w ślad za swoim przełożonym.

Rozdział 2

Metropolia nazywała się Calius saj Leeloo – Miasto Lśniącego Kryształu z Berchest – i była uważana za jeden z największych cudów galaktyki od zarania Starej Republiki. Stanowiła ni mniej, ni więcej, tylko jeden wielki kryształ, utworzony w ciągu eonów przez słoną mgiełkę rozpryskiwaną przez ciemnocynobrowe wody morza Leefari – podmywającego ścianę niewysokiego klifu, na którym wznosiło się miasto. Jego istnienie zapoczątkowała misterna i żmudna praca miejscowych berchestiańskich rzemieślników, którzy w pocie czoła wykuli w krysztale podwaliny miasta, pieczołowicie rozbudowywane przez ich następców.

W okresie największej świetności Starej Republiki Calius stanowiło jedną z większych atrakcji turystycznych, a jego mieszkańcy żyli dostatnio dzięki niebagatelnym sumom zostawianym tu przez rzesze turystów chętnie odwiedzających słynące z niezwykłego piękna miasto i jego okolice. Jednak zamieszki, które zachwiały w posadach galaktyką w okresie wojen klonów, a także rządy Imperium, które po nich nastały, boleśnie odcisnęły swoje piętno na przemyśle turystycznym, wskutek czego Calius zostało zmuszone do szukania innych źródeł dochodów.

Na szczęście turyści pozostawili po sobie sieć dogodnych szlaków handlowych między Berchestem a większością głównych układów galaktyki, co samo z siebie nasunęło rozwiązanie problemu: przekształcenie miasta Calius w centrum handlowe. I chociaż temu miejscu daleko było do Svivrena czy Ketarisa, to można było mówić o pewnym sukcesie.

Był tylko jeden mały szkopuł – to centrum handlowe leżało w przestrzeni kontrolowanej przez Imperium.

Tłoczną uliczką przemaszerował oddział szturmowców. Ich białe zbroje lśniły rdzawo w blasku rzucanym przez kanciaste, kryształowe budowle. Zachowując od nich bezpieczny dystans, Luke Skywalker naciągnął kaptur głębiej na czoło. Nie emanowali

wzmożoną czujnością, jednak w tym miejscu, w głębi terytorium wroga, nie było sensu niepotrzebnie ryzykować. Szturmowcy nie zwrócili na niego uwagi, więc z westchnieniem ulgi skupił się ponownie na otoczeniu. Miasto tchnęło cichym pięknem, stojącym w żywym kontraście z aktywnością na jego ulicach – oprócz patrolujących ulice szturmowców tu i ówdzie dało się dostrzec załogantów imperialnej floty zajętych swoimi sprawami w czasie wolnym od obowiązków, a także przemytników rozglądających się za fuchami. Wszystko odbywało się w atmosferze dziwnego napięcia i nieufności.

Gdzieś wśród tej sielankowej scenerii czaiło się zagrożenie znacznie większe od imperialnych szturmowców – klony.

A przynajmniej tak twierdził wywiad Nowej Republiki. Mozolna analiza tysięcy przechwyconych imperialnych wiadomości pozwoliła ostrożnie wyłonić Calius i układ Berchest jako jeden z punktów przerzutowych nowej fali ludzkich duplikatów, którymi wielki admirał Thrawn zaczął obsadzać jednostki tworzące jego flotę.

Falę tę należało powstrzymać – i to szybko. To z kolei oznaczało konieczność ustalenia lokalizacji cylindrów klonujących i ich zniszczenia, a żmudny proces trzeba było rozpocząć od określenia punktu przerzutu. Dlatego właśnie Luke był tutaj, w Calius, aby upewnić się, że strumień klonów rzeczywiście przepływał przez miasto.

Gdy zza rogu dwie przecznice dalej wyłoniła się grupa mężczyzn w turbanach i szatach svivreńskich handlarzy, Luke – podobnie jak czynił to wiele razy w ciągu dwóch ostatnich dni – sięgnął ku nim przez Moc. Wystarczył przelotny kontakt, by zyskał pewność: nie wyczuwał od kupców śladu dziwnej aury, jaką roztaczały wokół siebie klony, które zaatakowały ich na pokładzie „Katany”.

Gdy jednak wycofywał wici Mocy, jego uwagę przykuło coś innego. Coś, co niemal umknęłoby mu w tym wrzącym tyglu ludzkich i obcych myśli oraz emocji, otaczających go i wirujących wokół niczym odłamki kolorowego szkła porwane przez trąbę powietrzną. Chłodny, kalkulujący umysł. Umysł, co do którego Luke był pewny, że miał z nim do czynienia już wcześniej… jednak nie

był w stanie poprawnie go zidentyfikować w dzielącym ich chaosie uczuć i strzępków refleksji.

Z kolei właściciel tego umysłu był w pełni świadom obecności Luke'a w pobliżu – i go obserwował.

Luke mimowolnie się skrzywił. Samotny, na terytorium wroga, z dala od statku, który zostawił dwa kilometry stąd, na caliusańskim lądowisku, uzbrojony jedynie w miecz świetlny, który zdradzi go w chwili, gdy tylko go dobędzie… Cóż, nie bardzo mógł liczyć na przewagę, gdyby doszło do walki.

Jednak wciąż miał za sojusznika Moc… i wiedział też, że jest śledzony. Koniec końców jego sytuacja nie była aż tak beznadziejna.

Kilka metrów dalej, po jego lewej stronie znajdowało się wejście do długiego, sklepionego łukowato tunelu kładki dla pieszych. Skręciwszy w niego, Luke przyspieszył kroku, starając się jednocześnie przywołać z pamięci plan miasta, który przestudiował wcześniej, aby zorientować się, dokąd prowadzi mostek. Po chwili namysłu uznał, że wiedzie on przez zlodowaciałą rzekę ku położonym wyżej, bardziej elitarnym nadmorskim rejonom, zamieszkanym przez zamożniejszych obywateli. Wyczuł, że nieznajomy ruszył w ślad za nim na mostek. Gdy wreszcie zdołał wyeliminować mentalny zgiełk, który uniemożliwiał mu wcześniej pełne skupienie się na śledzącej go osobie, udało mu się ją rozpoznać.

Uff. Nie było tak źle, jak się obawiał, jednak nie mógł też sobie pozwolić na utratę czujności. Z westchnieniem zatrzymał się i czekał. Zakręt tunelu skutecznie przesłaniał widok na oba jego krańce, uznał więc, że to miejsce równie dobre na konfrontację jak każde inne.

Śledzący go osobnik zbliżał się do punktu, którego minięcie oznaczało wystawienie się na widok ofiary. Dotarłszy do niego, zatrzymał się, wciąż niewidoczny dla oczu śledzonego.

Luke wysnuł wici Mocy… i usłyszał cichy szczęk dobywanego blastera.

– Wszystko w porządku – zawołał cicho. – Jesteśmy tu sami. Możesz wyjść.

Po chwili wahania i kilku sekundach wypełnionych nieufnym zaskoczeniem zza zakrętu wynurzył się Talon Karrde.

– Widzę, że wszechświat wciąż jeszcze potrafi mnie czymś zaskoczyć – stwierdził, kiwając Luke'owi na powitanie głową i chowając blaster do kabury. – Sądząc po twoim zachowaniu, uznałem, że najprawdopodobniej mam do czynienia ze szpiegiem Nowej Republiki. Muszę jednak przyznać, że jesteś ostatnią osobą, której wysłania tu bym się spodziewał.

Luke przyglądał mu się uważnie, próbując go wysondować przez Moc. Ostatnim razem, gdy się widzieli, tuż po bitwie o Flotę Katańską, mężczyzna dał im jasno do zrozumienia, że w tej wojnie on i jego grupa przemytnicza pragną zachować neutralność.

– A co zamierzałeś zrobić, gdy już się zorientujesz, z kim masz do czynienia?

– Nie planowałem cię wydać, jeśli o to pytasz – zapewnił go Karrde, zaglądając w głąb tunelu. – Jeżeli nie masz nic przeciwko, wolałbym się stąd przenieść w jakieś inne miejsce. Berchestianie nie mają w zwyczaju dyskutować na mostach, a w tunelu głos niesie się na zaskakująco dużą odległość.

Luke'owi przemknęło przez myśl, że na końcu tunelu mogła na nich czekać zasadzka… Wiedział jednak, że gdyby rzeczywiście tak było, zorientuje się, nim do niej dotrą.

– W porządku – powiedział więc, odstępując na bok i dając Karrde'owi gestem znak, by szedł przodem.

Przemytnik uśmiechnął się do niego krzywo.

– Nie ufasz mi, prawda? – spytał, mijając go i kierując się w głąb przejścia.

– Chyba zaraziłem się od Hana – bąknął przepraszająco Skywalker i ruszył za nim. – Od niego… albo od ciebie. A może od Mary?

Jego uwagę przykuła nagła zmiana w nastawieniu Karrde'a: krótki impuls niepokoju, który zniknął równie prędko, jak się pojawił.

– A skoro już mowa o Marze… jak ona się miewa?

– Już niemal całkiem doszła do siebie – zapewnił przemytnika Luke. – Lekarze twierdzą, że leczenie tego typu uszkodzeń układu nerwowego nie jest trudne, jednak wymaga czasu.

Karrde pokiwał głową, wbijając wzrok w tunel przed nimi.

– Doceniam, że się o nią zatroszczyliście – powiedział z ociąganiem, niemal niechętnie. – Nie mamy odpowiedniego sprzętu i personelu w naszej placówce medycznej, by należycie się nią zająć…

Luke machnął lekceważąco dłonią.

– Cóż, przynajmniej tyle mogliśmy zrobić, by odwdzięczyć ci się za pomoc w walce o Flotę Katańską.

– Może i tak.

Dotarli już do końca kładki i wyszli na ulicę – zdecydowanie mniej tłoczną niż ta, którą opuścili, nim weszli do tunelu. Przed nimi w niebo wzbijały się trzy misternie rzeźbione strzeliste wieże, stanowiące siedzibę rządu, widoczne zza pobliskich budynków i wzniesione nad brzegiem morza. Luke ponownie rozpuścił wici Mocy, by pobieżnie wybadać mijających ich przechodniów. Nie wyczuł nic niepokojącego.

– Wybierasz się w jakieś konkretne miejsce? – zagadnął Karrde'a pozornie od niechcenia.

Przemytnik pokręcił głową.

– Tak tylko się szwendam – odpowiedział równie niezobowiązująco. – A ty?

– To samo – odparł Luke podobnym tonem.

– I liczysz na to, że zobaczysz jakąś znajomą twarz? A może nawet dwie… lub trzy, cztery, pięć?

A więc Karrde wiedział – a przynajmniej domyślał się – co go tu sprowadzało… Cóż, Luke musiał przyznać, że nie jest specjalnie zaskoczony.

– Jeśli tu są, znajdę ich – powiedział z przekonaniem. – A może przypadkiem… masz jakieś informacje, które by mi się przydały?

– Niewykluczone – przyznał oględnie Talon. – A czy stać cię na nie?

– Znając twoje ceny, pewnie nie – westchnął półżartem Skywalker. – Ale mógłbym otworzyć ci linię kredytową, gdy wrócę…

– Jeśli wrócisz – poprawił go Karrde. – Zważywszy zaś na to, jak duża grupa imperialnych żołnierzy dzieli cię w tej chwili od

bezpiecznego terytorium, nie nazwałbym cię obecnie najbezpieczniejszą inwestycją.

Jedi spojrzał na niego, podnosząc brew.

– W przeciwieństwie do przemytnika z czołówki imperialnych listów gończych? – odciął się.

Karrde uśmiechnął się pod nosem.

– Tak się składa, że Calius jest jednym z nielicznych miejsc w imperialnej przestrzeni, w których jestem całkowicie bezpieczny. Gubernator Berchesta i ja znamy się od ładnych paru lat. Co więcej, zaopatruję go w pewne ważne towary, których nie zdoła mu dostarczyć nikt inny.

– Sprzęt wojskowy?

– Nie biorę udziału w waszej wojnie, Skywalker – przypomniał mu chłodno Talon. – Jestem neutralny i nie zamierzam tego zmieniać. Wydawało mi się, że dałem to jasno do zrozumienia tobie i twojej siostrze, gdy się ostatnio widzieliśmy…

– Och, ależ oczywiście – bąknął Luke. – Sądziłem po prostu, że może zmieniłeś zdanie pod wpływem tego, co się wydarzyło w ciągu ostatniego miesiąca…

W twarzy Karrde'a nie drgnął najmniejszy mięsień, jednak Luke wyczuł, że nastawienie przemytnika uległo pewnej zmianie – niemal wbrew jego woli.

– Nie jestem zachwycony tym, że wielki admirał Thrawn ma dostęp do urządzeń klonujących – wyznał. – Taka sytuacja może mieć na dłuższą metę potencjalnie negatywny wpływ na równowagę sił w galaktyce. Thrawn może zyskać przewagę, a tego żaden z nas by chyba nie chciał. Mam jednak wrażenie, że reagujecie na tę sytuację odrobinę… zbyt nerwowo.

– Nie wiem, jak możesz nas posądzać o przewrażliwienie – obruszył się Luke. – Imperium ma większość z dwustu drednotów z Floty Katańskiej, a teraz może je też obsadzić nieograniczoną liczbą klonów!

– Nie użyłbym słowa „nieograniczoną" – skontrował spokojnie Karrde. – Procesu hodowania klonów nie da się zbytnio przyspieszyć, jeśli chcesz uzyskać osobniki wystarczająco stabilne

umysłowo, by móc im powierzyć kierowanie flotą. O ile się nie mylę, okres ten wynosi co najmniej rok dla każdego z egzemplarzy.

W pobliżu przez ulicę przeszła grupka pięciu Vaathkreech. Póki co Imperium ograniczało się do klonowania ludzi, jednak Luke sprawdził ich odruchowo, na wszelki wypadek. Nic.

– Rok na klona, mówisz?

– To absolutne minimum – zapewnił go Karrde. – Z dokumentacji sprzed wojen klonów, do której miałem dostęp, wynikało, że optymalny okres wynosi od trzech do pięciu lat. To oczywiście znacznie krócej, niż wynosi standardowe tempo dojrzewania istoty ludzkiej, jednak moim zdaniem nie ma powodu do paniki.

Luke podniósł wzrok na misternie rzeźbione wieże. Rozświetlone słońcem cynobrowe gmachy odcinały się od bieli skłębionych chmur wznoszących się nad majaczącym w oddali morzem.

– A co, gdybym powiedział ci, że klony, które zaatakowały nas na „Katanie”, zostały wyhodowane w mniej niż rok?

Karrde wzruszył ramionami.

– To zależy od tego, o ile krócej trwała ich produkcja…

– Pełny cykl wynosi od piętnastu do dwudziestu dni.

Talon zatrzymał się w pół kroku.

– Co takiego? – wykrztusił, odwracając się w stronę Luke’a i wbijając w niego zdumione spojrzenie.

– Od piętnastu do dwudziestu dni – powtórzył Skywalker, przystając obok niego.

Karrde przez długą chwilę przyglądał mu się w milczeniu. W końcu odwrócił się powoli i podjął przerwany marsz.

– To niemożliwe – oświadczył z przekonaniem. – Musiała zajść jakaś pomyłka.

– Mogę ci dostarczyć kopię wyników badań.

Karrde pokiwał w zamyśleniu głową, wpatrzony niewidzącym wzrokiem w przestrzeń.

– Cóż, to by wyjaśniało przynajmniej Ukio…

– Ukio? – Luke zmarszczył czoło.

Przemytnik zerknął na niego spod oka.

– Zgadza się. Domyślam się, że wypadłeś na chwilę z obiegu i nie jesteś na bieżąco, co? Dwa dni temu Imperium przypuściło masowy

atak na cele w sektorach Abrion i Dufilvian. Mocno oberwała baza wojskowa na Ord Pardron. Zajęty został też układ Ukio.

Skywalker poczuł w żołądku lodowaty ciężar. Ukio było jednym z pięciu czołowych producentów żywności w całej Nowej Republice… Skutki dla samego tylko sektora Abrion…

– Jak poważne są zniszczenia na Ukio?

– Wszystko wskazuje na to, że obyło się bez zniszczeń – odparł Karrde. – Według informacji z mojego źródła Imperium przejęło kontrolę nad osłonami i uzbrojeniem ziemia-kosmos w stanie nienaruszonym.

Luke'a ogarnęło jeszcze większe przygnębienie.

– Ale… jak? Czy coś takiego jest w ogóle możliwe?

– Cóż, zdolność dokonywania rzeczy niemożliwych była jednym z kryteriów, którymi kierował się Imperator, mianując swoich wielkich admirałów – stwierdził cierpko Talon. – Nie znam zbyt wielu szczegółów, jednak chętnie dowiem się, jak tego dokonano.

A więc Thrawn miał teraz nie tylko krążowniki z Floty Katańskiej, ale także klony, którymi mógł je obsadzić. Zapewnił sobie również źródło zaopatrzenia, by je wyżywić…

– To nie jest jedynie wstęp do kolejnej serii ataków – powiedział powoli, z namysłem Luke. – Imperium przygotowuje się do ofensywy zakrojonej na szeroką skalę.

– Na to wygląda – zgodził się z nim przemytnik. – Rzekłbym, że w najbliższym czasie raczej nie będziesz się nudził.

Luke przyjrzał mu się uważnie. Karrde wciąż sprawiał wrażenie opanowanego, a jego głos nie zdradzał niepokoju, jednak przez Moc dało się wyczuć, że stracił nieco z niedawnej pewności siebie.

– I nic nie jest w stanie przekonać cię do zmiany zdania? – spytał Luke odrobinę zaczepnie.

– Nie zamierzam przyłączyć się do Nowej Republiki, Skywalker – zapewnił go przemytnik, kręcąc głową. – Z wielu różnych powodów. Między innymi dlatego, że kompletnie nie ufam pewnym osobom w waszym rządzie.

– Wydaje mi się, że Fey'lya skompromitował się na tyle, że…

– Nie miałem na myśli jedynie jego – wszedł mu w słowo Talon. – Zapewne wiesz równie dobrze jak ja, że Kalamarianie nie

przepadają za przemytnikami. Teraz, gdy admirał Ackbar wrócił na łono Rady i został przywrócony do funkcji dowódcy sił zbrojnych, wszyscy w mojej branży znów muszą oglądać się przez ramię na każdym kroku.

– Och, daj spokój – parsknął Luke. – Nie myślisz chyba, że Ackbar ma teraz czas patrzeć na ręce przemytnikom?

Karrde uśmiechnął się do niego krzywo.

– Może i nie. Ale nie postawiłbym na to całej forsy.

Cóż, a więc ponownie utknęli w martwym punkcie.

– W porządku – westchnął Luke. – W takim razie przejdźmy na grunt czysto biznesowy. Chcielibyśmy poznać plany i posunięcia Imperium, które prawdopodobnie i tak śledzisz. Czy moglibyśmy kupić od ciebie te informacje?

Karrde rozważał przez chwilę jego słowa w myśli.

– Niewykluczone – stwierdził wreszcie ostrożnie. – Jednak tylko jeśli będę miał ostatnie słowo w kwestii informacji, jakie wam udostępnię. Nie chciałbym, by moja grupa skończyła jako nieoficjalny odłam wywiadu Nowej Republiki…

– Rozumiem – powiedział Skywalker. Nie mógł zaprzeczyć, że liczył na coś więcej, jednak lepsze to niż nic. – Gdy tylko wrócę, otworzę dla ciebie linię kredytową…

– Może moglibyśmy zacząć od bezpośredniej wymiany informacji? – zaproponował Karrde, wodząc wzrokiem po otaczających ich krystalicznych budowlach. – Powiedz mi, dlaczego wasi ludzie zaczęli uważniej przyglądać się Calius.

– A gdybym zaoferował ci coś lepszego? – odpowiedział pytaniem Luke. Impuls, który odbierał na dystans, był słaby, jednak trudny do pomylenia z czymkolwiek innym. – Gdybym potwierdził, że klony rzeczywiście tu są?

– Gdzie? – spytał ostro Karrde.

– Gdzieś… tam. – Jedi wskazał przed siebie, lekko w prawo. – Jakieś pół kilometra stąd. Trudno określić dokładnie…

– Wewnątrz jednej z wież – orzekł Karrde. – Bezpiecznie chronione, z dala od wścibskich oczu. Ciekaw jestem, czy dałoby się jakoś tam dostać, żeby na nie zerknąć…

– Chwileczkę… one się przemieszczają – stwierdził Luke, marszcząc czoło podczas próby utrzymania kontaktu. – Kierują się… niemal wprost na nas.

– Może zabierają je na lądowisko? – podsunął Karrde. Rozejrzał się dookoła i wskazał na prawo. – Prawdopodobnie skorzystają z ulicy Mavrille, dwie przecznice w tamtą stronę.

Przyspieszyli kroku, starając się jednak nie sprawiać przy tym wrażenia zbytnio zaaferowanych, by nie wzbudzić podejrzliwości, i pokonali dystans w ciągu trzech minut.

– Będą pewnie korzystali z pojazdu towarowego lub lekkiego transportera – stwierdził Karrde, gdy znaleźli miejsce, z którego mogli obserwować okolicę, nie ryzykując przy tym tamowania ruchu pieszego na obrzeżach trasy. – Nie użyją niczego typowo wojskowego, żeby się niepotrzebnie nie wyróżniać.

Luke pokiwał głową. Jak zapamiętał z planów miasta, Mavrille była jedną z niewielu w Calius wystarczająco szerokich ulic, by mogły z nich korzystać pojazdy, wskutek czego panował tu ciągły wzmożony ruch.

– Szkoda, że nie mam przy sobie makrolornetki… – westchnął.

– Wierz mi, i tak już wystarczająco rzucasz się w oczy – mruknął Karrde, wyciągając szyję, żeby zobaczyć coś ponad tłumem. – Widzisz coś?

– Wiem tyle, że na pewno kierują się w tę stronę – poinformował go Skywalker. Sięgnął Mocą na zewnątrz, starając się wyłowić z morza innych otaczających go umysłów ten charakterystyczny sygnał wysyłany przez klony. – Powiedziałbym, że jest ich jakieś dwadzieścia… do trzydziestu.

– A więc pojazd towarowy – ocenił Talon. – Właśnie się zbliża, tuż za tą śmigociężarówką.

– Widzę. – Luke wziął głęboki oddech, zbierając się w sobie i przywołując wszystkie zdolności Jedi, jakie zdołał do tej pory przyswoić. – Tak, to one – mruknął po chwili, czując na plecach zimny dreszcz.

– W porządku – mruknął Talon, maksymalnie skupiony. – Obserwuj go uważnie. Może zostawili otwarty panel wentylacyjny lub dwa…

Pojazd sunął w ich stronę na repulsorach, aby zatrzymać się gwałtownie przecznicę od nich, jakby operator maszyny nagle przypomniał sobie, że powinien skręcić. Śmigociężarówka ostrożnie skierowała się za róg, skutecznie tamując ruch w okolicy.

– Zaczekaj tu – rzucił przemytnik i zanurkował w strumień pieszych, kierując się w stronę pojazdu.

Luke omiatał tłum czujnym spojrzeniem, wyczulony na wszelkie sygnały mogące świadczyć o tym, że on albo Talon zostali rozpoznani. Jeśli to wszystko stanowiło jakąś skomplikowaną pułapkę na szpiegów spoza planety, to był idealny moment, aby ją uruchomić.

Ciężarówka wreszcie zakończyła swój mozolny manewr i ruszyła przed siebie. Minęła Luke'a i parła dalej naprzód, a kilka sekund później zniknęła za jednym z czerwonopomarańczowych budynków. Gdy Skywalker stracił ją z oczu, wycofał się w głąb bocznej alejki, aby zaczekać tam na Karrde'a, który pojawił się minutę później.

– Mieli otwarte dwa szyby wentylacyjne, jednak nie dało się przez nie za wiele zobaczyć – wydyszał. – A jak u ciebie?

Jedi pokręcił głową.

– Mnie też nie udało się nic zauważyć – wyznał. – Ale to były one, jestem tego pewien.

Karrde przez chwilę przyglądał mu się w milczeniu, aż w końcu kiwnął krótko głową.

– Jasne. Co teraz?

– Sprawdzę, czy zdołam dotrzeć do mojego statku i wystartować przed nimi – poinformował go Luke. – Gdyby udało mi się ustalić wektor ich skoku, może dałbym radę zorientować się, dokąd lecą… – Podniósł znacząco brwi. – Aczkolwiek dwa współpracujące ze sobą statki miałyby oczywiście większe szanse, by ich wyśledzić…

Karrde uśmiechnął się pod nosem.

– Wybacz, ale nie skorzystam z propozycji – powiedział. – Współpracę z agentem Nowej Republiki raczej trudno byłoby zaklasyfikować jako zachowywanie neutralności. – Zerknął nad ramieniem Skywalkera na ulicę za jego plecami. – Tak czy inaczej, wolałbym spróbować namierzyć miejsce, z którego ich przysyłają. Zobaczę, czy zdołam dotrzeć do ich fabryki.

– Brzmi rozsądnie – zgodził się Luke. – W takim razie lepiej wrócę na lądowisko i przygotuję statek…

– Będziemy w kontakcie – rzucił na odchodnym Karrde. – Upewnij się tylko, że ta linia kredytowa będzie naprawdę godziwa.

Stojący w oknie najwyższego piętra Wieży Numer Jeden Rządu Centralnego gubernator Staffa odjął od oczu makrolornetkę i chrząknął z satysfakcją.

– To był on, Fingal, jestem tego pewien – powiedział do niskiego człowieczka kręcącego się w pobliżu. – Luke Skywalker we własnej osobie.

– Jak pan sądzi? Czy widział nasz… transport specjalny? – spytał Fingal, nerwowo majstrując przy własnej makrolornetce.

– Ależ oczywiście! – warknął Staffa. – Jak ci się zdaje? Wybrał się na spacer w pobliże Mavrille, żeby rozprostować nogi?

– Pomyślałem po prostu, że…

– Nie myśl, Fingal – przerwał mu bezceremonialnie Staffa. – Bo niezbyt ci to wychodzi. – Podreptał do swojego biurka, wrzucił makrolornetkę do szuflady i wywołał na ekran datapada rozporządzenie wielkiego admirała Thrawna. Gdyby ktoś spytał go o zdanie, to treść dokumentu była dość… osobliwa. Dziwaczniejsza nawet niż te tajemnicze przerzuty żołnierzy, których ostatnimi czasy dokonywało najwyższe dowództwo przez miasto Calius. Tak czy inaczej, w tej sytuacji mógł tylko założyć, że Thrawn wie, co robi.

A nawet jeśli nie, to na pewno nie był to problem Staffy.

– Chciałbym, żebyś wysłał wiadomość na gwiezdny niszczyciel „Chimaera” – poprosił Fingala, ostrożnie opuszczając się na wyścielane krzesło i popychając datapad po blacie biurka w stronę niskiego mężczyzny. – Zaszyfrowaną zgodnie z tymi wytycznymi. Poinformuj wielkiego admirała Thrawna, że Skywalker był w naszym mieście i że osobiście zaobserwowałem jego obecność w pobliżu transportu specjalnego. Następnie, zgodnie z instrukcjami wielkiego admirała pozwolono mu opuścić planetę Berchest bez przeszkód.

– Tak jest, panie gubernatorze – potwierdził przyjęcie rozkazu Fingal, notując wszystko skrzętnie we własnym datapadzie. Nawet jeśli widział coś dziwnego w tym, że pozwalano rebelianckiemu szpiegowi swobodnie poruszać się po imperialnym terytorium, w żaden sposób tego nie okazywał. – A co z tym drugim mężczyzną, gubernatorze? – zagadnął. – Tym, który towarzyszył Skywalkerowi?

Staffa zasznurował wargi. Cena za głowę Talona Karrde'a sięgała obecnie niemal pięćdziesięciu tysięcy kredytów – co stanowiło pokaźną kwotę nawet dla człowieka pobierającego pensję gubernatora planety i czerpiącego z pełnienia tej funkcji dodatkowe korzyści finansowe. Od zawsze zdawał sobie sprawę z tego, że nadejdzie dzień, w którym będzie zmuszony zerwać łączące go z przemytnikiem potajemne stosunki handlowe. Niewykluczone, że to był właśnie ten dzień…

„Nie" – zadecydował jednak po namyśle. Nie teraz, gdy galaktyką wciąż targała wojna. Może nieco później, kiedy zwycięstwo będzie w zasięgu ręki i będzie mógł liczyć na pewniejsze prywatne źródła dostaw? Tak czy inaczej, jeszcze nie był na to gotów.

– To nikt ważny – zapewnił Fingala. – Po prostu agent specjalny, którego wysłałem, żeby wykurzyć rebelianckiego szpiega z ukrycia. Nie przejmuj się nim. Zaszyfruj i wyślij tę wiadomość.

– Tak jest, sir. – Fingal kiwnął głową i ruszył w stronę drzwi.

Gdy skrzydło się odsunęło i niski człowieczek wychodził, Staffa odniósł przelotne wrażenie, że dostrzegł w jego oku jakiś dziwny błysk. Szybko złożył to jednak na karb światła padającego z wnętrza biura. Oprócz niekwestionowanej lojalności wobec własnego gubernatora jedną z najcenniejszych zalet Fingala był zupełny brak wyobraźni.

Biorąc głęboki oddech i odsuwając od siebie myśli o Fingalu, rebelianckich szpiegach, a nawet wielkich admirałach, Staffa opadł na oparcie fotela i zaczął się zastanawiać, jak zrobić najlepszy pożytek z towaru, który Karrde i jego ludzie rozładowywali właśnie na lądowisku…

Rozdział 3

Powoli, jakby wspinała się po długich, pogrążonych w mroku schodach, Mara Jade wybudzała się z głębokiego snu. Gdy otworzyła oczy, rozejrzała się nieprzytomnie po zalanym łagodnym blaskiem pokoju i zaczęła się zastanawiać, gdzie też, do diaska, może się znajdować.

Bez dwóch zdań było to jakieś centrum medyczne – tyle była w stanie wywnioskować na podstawie otaczających ją monitorów funkcji życiowych, przenośnych parawanów oraz innych rozkładanych łóżek stojących w pobliżu. Na pewno nie znajdowała się jednak w żadnym z ambulatoriów Karrde'a – a przynajmniej nie w takim, które by znała.

Z drugiej strony jednak… wygląd pomieszczenia wydawał jej się dziwnie znajomy. Nie musiała się długo zastanawiać, by rozpoznać w nim imperialną salę rekonwalescencyjną.

Wszystko wskazywało na to, że w tej chwili była tu sama, jednak zdawała sobie sprawę z tego, że nie potrwa to raczej długo. Po cichu zsunęła się z łóżka i przycupnęła na czworakach na podłodze, pobieżnie sprawdzając jednocześnie swój stan. Ani śladu bólu, zawrotów głowy czy widocznych obrażeń. Narzuciwszy na siebie szlafrok i wsunąwszy stopy w szpitalne pantofle stojące w nogach łóżka, podkradła się bezszelestnie do wyjścia, przygotowując się psychicznie do uciszenia lub unieszkodliwienia każdego, kogo spotka na zewnątrz. Machnęła dłonią w stronę czujnika otwierającego drzwi, a gdy te się rozsunęły, wyskoczyła chyłkiem do przedpokoju… i zatrzymała się w pół skoku zupełnie zdezorientowana.

– O, cześć, Maro! – przywitał ją z roztargnieniem Ghent, podnosząc wzrok znad terminala komputera, nad którym się właśnie pochylał, aby natychmiast skupić się na nim ponownie. – Jak się czujesz?

– Nie najgorzej – odmruknęła, gapiąc się na dzieciaka i gorączkowo przetrząsając w pamięci mgliste wspomnienia. Ghent był jednym z pracowników Karrde'a i prawdopodobnie najlepszym hakerem w galaktyce. A skoro siedział tu, przy terminalu, jakby nigdy nic, to najwyraźniej nie byli tu więźniami… chyba że ich prześladowcy byli na tyle głupi, by nie wpaść na to, że nie powinno się dopuszczać hakera choćby w pobliże komputera.

Zaraz, zaraz… Ale czy to przypadkiem nie ona wysłała Ghenta osobiście do siedziby rządu Nowej Republiki na Coruscant? Zgadza się, zrobiła to. Z polecenia Karrde'a, tuż przed tym, jak zebrała część jego ludzi i poprowadziła ich do walki o Flotę Katańską… gdzie postanowiła zaatakować imperialny gwiezdny niszczyciel swoim Z-95, wskutek czego była zmuszona się katapultować – i zrobiła to tak zgrabnie, że przeleciała wprost przez promień wystrzelony z działa jonowego. W ten sposób usmażyła z pewnością wszystkie systemy podtrzymywania życia i skończyła skazana na wieczne dryfowanie w przestrzeni kosmicznej.

Rozejrzała się uważnie dookoła. Cóż, wyglądało na to, że wieczność nie potrwała tak długo, jak można było przypuszczać.

– Gdzie jesteśmy? – spytała, chociaż właściwie domyślała się, jak będzie brzmiała odpowiedź. I nie myliła się.

– W dawnym pałacu imperialnym na Coruscant – odparł Ghent, marszcząc lekko czoło. – W skrzydle medycznym. Musieli ci odbudować nieco włókien nerwowych. Nie pamiętasz?

– Średnio – przyznała. Gdy jednak kolejne elementy tej układanki zaczęły powoli wskakiwać na swoje miejsca, z całości zaczął wyłaniać się coraz pełniejszy obraz sytuacji. Pamiętała już, jak dryfowała wśród kosmicznej pustki w fotelu katapultowym ze zniszczonym systemem podtrzymywania życia, pamiętała ociężałość i znużenie, które ukołysały ją do pozbawionego marzeń snu. Najprawdopodobniej zemdlała z braku tlenu, nim ją znaleźli i sprowadzili na pokład statku…

„Nie" – poprawiła się w myśli. Nie „oni". Tylko on. W galaktyce była tylko jedna osoba, która mogła odnaleźć w przestrzeni kosmicznej, wśród szczątków i pozostałości po bitwie, uszkodzony fotel katapultujący: Luke Skywalker, ostatni rycerz Jedi.

Człowiek, którego zamierzała zabić.

MASZ ZABIĆ LUKE'A SKYWALKERA!

Cofnęła się o krok, żeby wesprzeć się o framugę. Nagłe brzmienie głosu Imperatora w jej umyśle sprawiło, że ugięły się pod nią kolana. To właśnie tu przebywała, gdy zginął on nad Endorem – na tej planecie, dokładnie w tym budynku. Widziała jego oczami przez Moc, jak Luke Skywalker bestialsko go morduje i sprawia, że jej życie wali się w gruzy…

– Widzę, że się pani obudziła – rozległ się nowy głos.

Mara otworzyła oczy. Od strony drzwi szła ku niej żwawym krokiem kobieta w średnim wieku, ubrana w fartuch służb medycznych, a za nią dreptał droid medyczny typu MD.

– Jak się pani czuje?

– W porządku – odpowiedziała Mara, czując, jak wzbiera w niej nagła potrzeba rzucenia się na nieznajomą. Ci ludzie… wrogowie Imperium, nie mają prawa przebywać tutaj, w pałacu Imperatora!

Wzięła głęboki oddech, starając się stłumić ten atak agresji.

Lekarka zatrzymała się w pół kroku z wyrazem zawodowej troski na twarzy, a Ghent, zapominając na chwilę o ukochanym sprzęcie komputerowym, przyjrzał się jej z konsternacją.

– Przepraszam – bąknęła Mara. – Chyba wciąż jestem trochę zdezorientowana.

– To zrozumiałe. – Kobieta w kitlu pokiwała głową. – W końcu leżała tu pani przez cały miesiąc…

Mara wytrzeszczyła na nią oczy.

– Miesiąc?!

– Cóż, większą część miesiąca, jeśli chodzi o ścisłość – wyjaśniła lekarka. – Spędziła pani też nieco czasu w zbiorniku z bactą. Proszę się jednak nie martwić. Problemy z pamięcią krótkotrwałą to norma po zabiegach rekonstrukcji neurologicznej, jednak niemal zawsze ustępują po zakończeniu leczenia.

– Rozumiem – odpowiedziała mechanicznie Mara. Miesiąc… Straciła tu cały miesiąc! A w tym czasie…

– Przygotowaliśmy dla pani apartament gościnny na górze. Może się pani tam przenieść, gdy tylko będzie pani miała na to ochotę –

dodała lekarka. – Jeśli pani zechce, mogę sprawdzić, czy wszystko gotowe…

Dziewczyna skupiła na niej wzrok.

– Tak, będę wdzięczna – bąknęła.

Kobieta sięgnęła po komunikator i nawiązała połączenie. Podczas gdy prowadziła rozmowę, Mara podeszła do Ghenta.

– Co się wydarzyło w ciągu ostatniego miesiąca? Czy wojna nadal trwa? – spytała.

– Imperium wciąż nęka Nową Republikę jakimiś atakami. – Ghent machnął ręką w stronę sufitu, wskazując przestrzeń kosmiczną ponad licznymi piętrami gmachu. – Chyba dają im porządnie popalić. W każdym razie Ackbar, Madine i cała reszta biegają jak w amoku. Próbują dać im odpór czy pokrzyżować plany… coś w tym stylu.

I to tyle. Mara wiedziała, że nie zdoła wyciągnąć z chłopaka nic więcej na temat ostatnich wydarzeń. Poza fascynacją przemytniczym życiem jedynym, co naprawdę interesowało Ghenta, były komputery i łamanie kodów.

Zmarszczyła czoło, gdy przypomniała sobie, dlaczego w ogóle Karrde przysłał tu młodego hakera.

– Chwileczkę – rzuciła. – Czy Ackbara przywrócono do dawnej funkcji? Chcesz powiedzieć, że udało ci się oczyścić go z zarzutów?

– Pewnie! – potwierdził Ghent. – Tamta podejrzana transakcja, o którą Fey'lya narobił tyle hałasu, okazała się kompletnym partactwem. Ludzie, którzy stali za tym włamem do banku, dokonali jednocześnie transferu pieniędzy. Najprawdopodobniej był to imperialny wywiad. W całym oprogramowaniu było mnóstwo dowodów na to, że to robota kogoś od nich. Wyjaśnienie tej sprawy zajęło mi dwa dni od chwili, gdy tu przybyłem.

– Na pewno ich to ucieszyło – stwierdziła Jade. – Ale… Skoro tak, to co tu jeszcze robisz?

– Ja… – Ghent sprawiał przez moment wrażenie lekko zagubionego. – Przede wszystkim to nikt po mnie nie przyleciał… – wyznał, jednak za chwilę wyraźnie się rozpromienił. – A poza tym jest jeszcze ten genialny kod, którego ktoś używa, by przekazywać

stąd dane do Imperium. Generał Bel Iblis twierdzi, że imperialni nazywają go Źródłem Delta i że wysyła informacje stąd, z pałacu.

– Niech no zgadnę: poprosili cię o rozgryzienie tej zagadki. – Mara skrzywiła się lekko. – I nie zaproponowali zapłaty?

– Cóż… – Ghent wzruszył ramionami. – Chyba nie. To znaczy, nie przypominam sobie, żeby ktoś o tym wspominał.

Lekarka przypięła komunikator z powrotem do pasa.

– Za chwilę zjawi się pani przewodnik – poinformowała Marę.

– Dziękuję – bąknęła dziewczyna, opierając się chęci zapewnienia medyczki, że prawdopodobnie zna pałac imperialny lepiej niż ktokolwiek z jego obecnych rezydentów. Zdawała sobie sprawę z tego, że jeśli chce zdobyć statek, aby zabrać Ghenta i jak najszybciej uciec z tego miejsca – i od tej wojny – powinna skupić się na dwóch rzeczach: współpracy i uprzejmości.

Chwilę później drzwi za plecami lekarki rozsunęły się i do środka z gracją weszła kobieta o śnieżnobiałych włosach.

– Witaj, Maro – powiedziała, uśmiechając się do niej uprzejmie. – Nazywam się Winter i jestem osobistą asystentką księżniczki Lei Organy Solo. Cieszę się, że doszłaś już do siebie.

– Miło mi, że się mną zaopiekowaliście – odpowiedziała Mara, siląc się na grzeczność i jednocześnie krzywiąc się w duchu. Cudownie. Kolejna osoba z otoczenia Skywalkera. Właśnie tego jej w tej chwili brakowało… – Jak się domyślam, to ty jesteś moją przewodniczką?

– Przewodniczką, asystentką i kimkolwiek, kogo będziesz potrzebowała w ciągu najbliższych kilku dni – wyjaśniła Winter. – Księżniczka poprosiła, żebym zajęła się tobą, dopóki nie wróci wraz z kapitanem Solo z Filve.

– Nie potrzebuję asystentki i umiem sama się o siebie zatroszczyć – zapewniła ją Jade. – Tym, czego naprawdę potrzebuję, jest statek.

– Już się tym zajęliśmy – poinformowała ją białowłosa. – Mam nadzieję, że wkrótce coś dla ciebie znajdziemy. A tymczasem… może zechciałabyś obejrzeć swój apartament?

Mara powstrzymała cisnący jej się na usta gorzki grymas. Uzurpatorzy z Nowej Republiki, łaskawie ofiarujący jej gościnę w jej dawnym domu…

– To bardzo uprzejme z twojej strony – stwierdziła, starając się nie brzmieć zbyt ironicznie. – Ghent? Idziesz z nami?

– Nie, nie – bąknął nieprzytomnie młody haker, skupiony bez reszty na ekranie komputera. – Chciałbym nad tym jeszcze trochę posiedzieć.

– Pójdziemy same – powiedziała Winter. – Tędy, proszę. – Gdy wyszły z przedpokoju, kobieta poprowadziła ją na tyły pałacu. – Ulokowaliśmy Ghenta w sąsiednich kwaterach – wyjaśniła po drodze – chociaż wątpię, czy w ciągu ostatniego miesiąca zajrzał tam więcej niż dwa razy. Urządził sobie prowizoryczną pracownię w przedsionku sali rekonwalescencyjnej, żeby mieć cię na oku.

Mara uśmiechnęła się mimowolnie. Ghent, który przez dziewięćdziesiąt procent czasu nie wiedział, co się wokół niego dzieje, nie był najlepszym materiałem na ochroniarza ani pielęgniarza. Tak czy inaczej, liczyły się intencje.

– Doceniam, że się o mnie zatroszczyliście.

– Cóż, przynajmniej tak mogliśmy się odwdzięczyć za pomoc podczas bitwy o Flotę Katańską.

– To był pomysł Karrde'a – ucięła Mara. – Jemu dziękujcie, nie mnie.

– Już to zrobiliśmy – zapewniła ją Winter. – Jednak ty… ryzykowałaś dla nas życie. Nie zapomnimy ci tego.

Mara spojrzała na białowłosą z ukosa. Czytała zgromadzone przez Imperatora akta wszystkich przywódców Rebelii, łącznie z Leią Organą, jednak imię Winter nic jej nie mówiło.

– Jak długo jesteś asystentką Organy Solo? – spytała.

– Wychowywałam się u jej boku na alderaańskim dworze królewskim – wyznała kobieta z nostalgicznym uśmiechem. – W dzieciństwie przyjaźniłyśmy się, a gdy Leia stawiała pierwsze kroki na arenie polityki galaktycznej, jej ojciec mianował mnie jej asystentką. Od tamtej pory jej towarzyszę.

– Nie przypominam sobie, żebym słyszała o tobie w szczytowym okresie trwania Rebelii – zagadnęła ostrożnie Mara.

– Większość czasu spędzałam, skacząc z planety na planetę – wyjaśniła Winter. – Pracowałam głównie dla działu zaopatrzenia i dostaw. Gdy tylko moim kolegom udało się wprowadzić mnie pod

jakimś pretekstem do magazynu czy składu, byłam w stanie sporządzić dla nich dokładną mapę rozmieszczenia przechowywanych tam towarów, które ich interesowały. Dzięki temu organizowane później wypady zaopatrzeniowe były szybsze i bezpieczniejsze.

Mara pokiwała głową, gdy skojarzyła fakty.

– A więc to ty byłaś Namierzaczem, ich tajnym informatorem o doskonałej pamięci…

Winter zmarszczyła lekko czoło.

– Zgadza się, to był jeden z pseudonimów, którymi się w tamtym czasie posługiwałam – przyznała. – Wiele ich nosiłam w ciągu tych lat…

– Rozumiem. – Jade pamiętała wzmianki w raportach wywiadu z okresu przed bitwą o Yavin, odnoszące się do tajemniczego rebelianta o przydomku Namierzacz. W pewnym momencie żywo dyskutowano na temat jego potencjalnej tożsamości. Zastanawiała się, czy zespół oddelegowany do zbadania tej sprawy zbliżył się choćby odrobinę do prawdy…

Dotarły już do węzła turbowind na tyłach pałacu – była to jedna z modyfikacji wprowadzonych przez samego Imperatora, kiedy się wprowadził do stylizowanego na klasyczny budynku i poddał go przebudowie. Podróżowanie windami pozwalało oszczędzić mnóstwo czasu, który w przeciwnym wypadku trzeba by poświęcić na wspinanie się przestronnymi schodami w bardziej uczęszczanej części pałacu… a także dawało dostęp do innych tajnych udogodnień.

– No to… jaki macie problem ze zorganizowaniem dla mnie statku? – zagaiła Mara, gdy Winter wcisnęła guzik przywołujący kabinę.

– Problemem jest samo Imperium – westchnęła jej przewodniczka. – Przypuścili na nas zmasowany atak i byliśmy zmuszeni rzucić przeciwko nim dosłownie wszystko, czym dysponowaliśmy, z lekkimi frachtowcami włącznie.

Mara ściągnęła brwi. Zmasowane ataki przeciwko wrogowi dysponującemu większą siłą? To nie było w stylu Thrawna…

– Hm, jest aż tak źle?

– Cóż, sytuacja nie napawa optymizmem – wyznała Winter. – Nie jestem pewna, czy o tym wiesz, ale… ubiegli nas w wyścigu do Floty Katańskiej. Nim zjawiliśmy się na miejscu, zagarnęli już niemal sto osiemdziesiąt drednotów. W połączeniu z ich nowymi źródłami załogi i żołnierzy… nie wpłynęło to zbyt dobrze na równowagę sił w galaktyce.

Mara pokiwała głową, czując w ustach gorzki posmak. Jeśli ująć to w ten sposób… zdecydowanie wyglądało to na robotę Thrawna.

– Co oznacza, że mało brakowało, bym zginęła na darmo – stwierdziła z goryczą.

Winter uśmiechnęła się do niej z przymusem.

– Jeśli cię to pocieszy, spotkało to mnóstwo ludzi.

Nadjechała winda. Gdy wsiadły, Winter wybrała przycisk piętra, na którym znajdowały się apartamenty gościnne.

– Ghent wspominał, że Imperium daje się wam we znaki – podjęła Jade, gdy kabina ruszyła. – Powinnam była się domyślić, że jeśli coś dotarło do niego przez grubą warstwę obłoków, w których nieustannie buja, to sytuacja musi być naprawdę poważna.

– „Poważna” to lekkie niedopowiedzenie – poprawiła ją ponuro Winter. – W ciągu ostatnich pięciu dni utraciliśmy kontrolę nad czterema sektorami, a kolejnych trzynaście utrzymujemy tylko cudem. Największym ciosem było dla nas przejęcie kontroli przez Imperium nad zakładami produkcyjnymi na Ukio. Nikt nie wie, jak tego dokonali, ale zajęli planetę z nietkniętymi systemami obronnymi.

Mara skrzywiła się mimowolnie.

– Ktoś z obsługi zaspał?

– Ze wstępnych raportów wynika, że nie… – Winter wahała się przez chwilę, nim podjęła: – Chodzą plotki, że Imperium wykorzystało nową superbroń, zdolną przebić się przez ukiańskie osłony planetarne… Wciąż próbujemy to rozgryźć.

Mara przełknęła ślinę, gdy przed oczami stanęły jej plany techniczne Gwiazdy Śmierci. Podobna broń w rękach stratega o geniuszu wielkiego admirała Thrawna…

Odsunęła od siebie szybko tę myśl. To nie była jej wojna. Jej szef twardo obstawał przy zachowaniu neutralności.

– Chyba lepiej w takim razie skontaktuję się z Karrde'em – bąknęła. – Spytam go, czy zdoła kogoś po nas przysłać.

– W ten sposób z pewnością wydostaniecie się stąd szybciej, niż gdybyście mieli czekać, aż zwolni się któryś z naszych statków – przyznała Winter. – Zostawił dla ciebie wizytówkę z nazwiskiem kontaktu, za którego pośrednictwem możesz wysłać wiadomość. Powiedział, że będziesz wiedziała, jakiego kodu użyć.

Turbowinda dostarczyła je na piętro mieszczące kwatery dla gości rządowych. Była to jedna z nielicznych części pałacu, w których Imperator nie wprowadził żadnych zmian za swoich rządów. Staroświeckie drzwi na zawiasach i ręcznie rzeźbione meble z egzotycznego drewna sprawiały, że człowiek czuł się tu, jakby nagle cofnął się w czasie o tysiąc lat. Imperator zwykł lokować tutaj gości, którzy mieli sentyment do dawnych dni lub takich, o których wiedział, że podobna demonstracja szacunku wobec minionych czasów wywrze na nich wrażenie.

– Po bitwie o Flotę Katańską kapitan Karrde zostawił też dla ciebie nieco ubrań i twoich rzeczy osobistych – dodała Winter, otwierając jedne z zamkniętych na klucz rzeźbionych drzwi. – Jeśli coś przeoczył, daj znać. Postaramy się dostarczyć ci to. Oto wizytówka, o której wspominałam. – Wyjęła z kieszeni datakartę i podała ją Marze.

– Dziękuję. – Jade wzięła głęboki oddech. Apartament, który jej przydzielono, wykończono bogato drewnem fijisi z Cardooine. Gdy delikatny zapach podrażnił jej nozdrza, z krańców pamięci napłynęły echa wspomnień dawnej świetności, szczytowego okresu panowania Imperatora…

– Czy mogłabym służyć czymś jeszcze?

Wizje przepychu i potęgi rozpłynęły się we mgle. Przed nią stała Winter… a czasy splendoru Imperium dawno minęły.

– Nie, nie, dziękuję – bąknęła.

Białowłosa kobieta pokiwała głową.

– Gdyby ci czegoś brakowało, wezwij po prostu oficera dyżurnego. – Wskazała gestem biurko. – W razie czego będę do twojej dyspozycji nieco później. Teraz czeka mnie spotkanie Rady, w którym muszę wziąć udział.

– Jasne. – Mara pokiwała głową. – I… dziękuję.

Winter uśmiechnęła się do niej i wyszła. Gdy drzwi zamknęły się za nią, Mara Jade wciągnęła ponownie głęboko w płuca aromat drewna fijisi i z trudem odsunęła od siebie resztki wspomnień. Była tu i teraz, a więc – jak nieustannie wbijali jej do głowy imperialni instruktorzy – przede wszystkim musiała się skupić na wtopieniu się w otoczenie. Co oznaczało w skrócie doprowadzenie się do porządku, tak by nie wyglądała jak uciekinierka z bloku szpitalnego.

Karrde zostawił jej całkiem sporo ubrań – skromną, elegancką sukienkę, dwa komplety prostych ubrań, w których nie rzucałaby się w oczy na ulicach tysięcy światów, a także cztery wygodne kombinezony, które nosiła zazwyczaj podczas podróży międzygwiezdnych. Zdecydowała się na jeden z tych ostatnich, a gdy się ubrała, zaczęła przeglądać resztę rzeczy, które dostarczył Talon. Może, przy odrobinie szczęścia i domyślności jej szefa…

O tak, zadbał i o to – niewielką kaburę na przedramię, pasującą do jej maleńkiego podręcznego blastera. Oczywiście nie mógł jej zapewnić samej broni – zabrał ją kapitan niszczyciela „Adamant” i mało prawdopodobne, by imperialni zamierzali ją wkrótce zwrócić. Szukanie czegoś podobnego w arsenale Nowej Republiki byłoby raczej stratą czasu, chociaż przez chwilę korciło Marę, by poprosić o to Winter – choćby po to, by zobaczyć, jak zareaguje na podobne żądanie.

Na szczęście był jeszcze jeden sposób.

Każde piętro mieszkalne pałacu imperialnego było wyposażone w pokaźnych rozmiarów bibliotekę, a wszystkie one zawierały wieloczęściowe dzieło zatytułowane *Pełna historia Corvis Minor*. Zważywszy na to, jak mało zajmujące były dzieje rzeczonej planety, prawdopodobieństwo, by ktoś rzeczywiście sięgnął po którąś z kasetek, było znikome. I bardzo dobrze, bo nie zawierały one wcale datakart.

Blaster różnił się odrobinę od tego, który zabrali jej imperialni, ale miał naładowane ogniwo i idealnie pasował do kabury – i tylko to się liczyło. Teraz, cokolwiek wydarzy się podczas tej wojny albo wewnętrznych rozgrywek Nowej Republiki, Mara przynajmniej będzie mogła walczyć.

Zamarła nagle z pustą kasetką w dłoni, gdy poniewczasie przypomniała sobie słowa Winter. Co kobieta miała na myśli, mówiąc o „nowych źródłach załogi i żołnierzy”? Czyżby jakieś układy należące do Republiki postanowiły przejść na stronę Imperium? A może Thrawn odkrył jakąś do tej pory nieznaną kolonię i zamierzał prowadzić rekrutację wśród jej mieszkańców?

Cóż, pewnie dowie się tego prędzej czy później. Teraz jednak musiała zadbać o zaszyfrowanie i wysłanie wiadomości za pośrednictwem kontaktu wskazanego przez Karrde’a. Im szybciej to zrobi, tym lepiej.

Wsunęła pustką kasetkę na półkę i czując na lewym przedramieniu pokrzepiający ciężar broni, skierowała kroki do swojego apartamentu.

Thrawn oderwał lśniące, czerwone oczy od sprawiających wrażenie stert gnijących szczątków dzieł sztuki prezentowanych na ekranach podwójnego szeregu wyświetlaczy otaczających jego fotel dowodzenia.

– Nie – mruknął. – To absolutnie wykluczone.

C’baoth powoli, z rozmysłem odwrócił się od holograficznej woostriańskiej rzeźby, której się przyglądał.

– Nie? – powtórzył głosem brzmiącym jak pomruk gromu zwiastującego burzę. – Co masz na myśli, mówiąc „nie”?

– Czy naprawdę muszę to wyjaśniać? – spytał lodowatym tonem Thrawn. – To równie oczywiste jak sytuacja militarna. Nie jesteśmy zwyczajnie przygotowani do frontalnego ataku na Coruscant. Nie mamy dość ludzi, brakuje nam zaopatrzenia oraz baz niezbędnych do przeprowadzenia klasycznego oblężenia. Szturm byłby w tej sytuacji zwykłym marnotrawstwem sił, dlatego Imperium nie podejmie takich kroków.

Oblicze C’baotha pociemniało.

– Uważaj, wielki admirale Thrawn – ostrzegł stratega. – To ja rządzę Imperium, nie ty.

– Czyżby? – Thrawn sięgnął w tył, by pogłaskać isalamira rozciągniętego za nim na podtrzymującym życie stelażu.

Widząc to, C’baoth wyprężył się i podniósł wysoko głowę. W jego oczach lśnił złowrogi ogień.

– To ja rządzę Imperium! – wykrzyknął. Jego głos odbił się echem od ścian centrum dowodzenia. – Będziecie mnie słuchać… lub zginiecie!

Pellaeon ostrożnie wycofał się w głąb odpornej na Moc bańki tworzonej przez isalamira Thrawna. W chwilach gdy C’baoth sprawiał wrażenie w pełni opanowanego, wydawał się znacznie bardziej pewny siebie i zrównoważony niż kiedykolwiek wcześniej. Jednocześnie gwałtowne napady typowego dla klonów szaleństwa stawały się coraz częstsze i przybierały na sile. Całkiem jak w układzie o dodatnim sprzężeniu zwrotnym, w których każde odchylenie od wartości referencyjnej oznaczało jego stopniowe narastanie aż do całkowitej utraty równowagi i kontroli.

Póki co C’baoth nie zabił nikogo ani nic nie zniszczył, jednak zdaniem Pellaeona było tylko kwestią czasu, nim do tego dojdzie.

Niewykluczone, że Thrawn również zdawał sobie z tego sprawę, bo przestrzegł mistrza Jedi:

– Jeśli mnie zabijesz, przegrasz tę wojnę. A gdy ją przegrasz, możesz zapomnieć o Lei Organie Solo i jej bliźniętach.

C’baoth zbliżył się o krok do fotela Thrawna, miotając z oczu błyskawice… i nagle, bez ostrzeżenia, jakby zapadł się w sobie, garbiąc się i chowając głowę w ramiona.

– Nigdy nie ośmieliłbyś się zwracać w ten sposób do Imperatora – poskarżył się niemal płaczliwie.

– Wręcz przeciwnie – zapewnił go ze spokojem Thrawn. – Ni mniej, ni więcej, tylko czterokrotnie przy różnych okazjach oświadczałem Imperatorowi, że nie będę marnotrawił jego żołnierzy oraz statków, podejmując ataki z góry skazane na niepowodzenie.

C’baoth parsknął kpiąco.

– Tylko głupcy zwracali się do Imperatora w ten sposób – wycedził. – Głupcy… lub ci, którym życie nie było miłe.

– Imperator również był tego zdania – przytaknął Thrawn, jakby nigdy nic. – Za pierwszym razem, gdy mu odmówiłem, nazwał mnie zdrajcą i powierzył dowodzenie nad siłami zbrojnymi komu innemu. – Wielki admirał ponownie pogłaskał isalamira. – Gdy jednak

oddziały zostały rozbite w pył, przekonał się, że nie powinien lekceważyć moich rad.

C'baoth przyglądał mu się w milczeniu przez długą chwilę. Na jego twarzy widać było wyraźnie walkę targających nim sprzecznych emocji, jakby z trudem panował nad swoimi uczuciami i myślami.

– Mógłbyś powtórzyć ten fortel z Ukio – zasugerował w końcu. – Tę sztuczkę z zamaskowanymi krążownikami i zgranymi w czasie salwami z turbolaserów… Pomógłbym ci.

– To bardzo uprzejme z twojej strony – odrzekł Thrawn. – Niestety, to również byłaby strata sił i środków. Rebelianccy przywódcy na Coruscant nie poddaliby się równie szybko jak ukiańscy farmerzy. Mniejsza o idealne zgranie w czasie strzałów. W końcu zorientowaliby się, że turbolaserowe promienie docierające do powierzchni różnią się od tych wystrzeliwanych przez działa „Chimaery", i wyciągnęliby odpowiednie wnioski. – Wskazał gestem holograficzne rzeźby wypełniające pomieszczenie. – Z kolei lud Woostri i jego przywódcy… to zupełnie inna sprawa. Podobnie jak Ukianie odczuwają silny lęk przed nieznanym oraz tym, co postrzegają jako niemożliwe. A co równie ważne, wykazują tendencję do wyolbrzymiania plotek o zagrożeniu. W ich wypadku podstęp z zamaskowanymi krążownikami powinien zadziałać całkiem nieźle.

C'baoth znów poczerwieniał.

– Wielki admirale Thrawn…

– Co się zaś tyczy Organy Solo i jej bliźniąt – podjął Thrawn, ignorując groźbę w głosie Jedi – mogę ci ich dostarczyć w każdej chwili.

Cały gniew zniknął, stłumiony w zalążku.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał nieufnie C'baoth.

– Chcę przez to powiedzieć, że atak na Coruscant, aby wziąć Organę Solo siłą jest zwyczajnie niepraktyczny – wyjaśnił spokojnie Thrawn. – Wysłanie na planetę niewielkiego oddziału, by porwał ją po kryjomu… o, to zupełnie co innego. Poleciłem już wywiadowi, aby zgromadził zespół komandosów, który podejmie się tego zadania. Powinni być gotowi lada dzień.

– Zespół komandosów. – C’baoth wydął pogardliwie wargi. – Czy naprawdę muszę ci przypominać, że twoi Noghri raz po raz nie stawali na wysokości zadania?

– Nie – zaprzeczył Thrawn. W jego głosie pobrzmiewała dziwna, ponura nuta. – I właśnie dlatego tym razem nie powierzę tego zadania Noghrim.

Pellaeon spojrzał na niego z zaskoczeniem, po czym odruchowo obejrzał się na drzwi, przy których pełnił straż osobisty ochroniarz Thrawna, Rukh. Od chwili, gdy lord Darth Vader podstępem zmusił te szaroskóre istoty do nieprzerwanej służby Imperium, łatwowierni obcy wzięli sobie za punkt honoru uczestniczenie w każdej imperialnej misji. Pozbawienie ich tej możliwości – szczególnie w wypadku sprawy takiej wagi – będzie dla nich jak policzek… Albo jeszcze gorzej.

– Panie admirale? – bąknął Pellaeon niepewnie. – Nie wiem, czy…

– Porozmawiamy o tym później, kapitanie – nie dał mu dokończyć Thrawn. – W tej chwili muszę tylko wiedzieć, czy nasz mistrz C’baoth jest w pełni gotów przyjąć pod swoją opiekę młodych Jedi. – Granatowoczarna brew powędrowała do góry. – Czy też może woli poprzestać na czczym roztrząsaniu tej sprawy?

C’baoth uśmiechnął się do niego zjadliwie.

– Czy mam to potraktować jako wyzwanie, wielki admirale Thrawn?

– Możesz to traktować, jak ci się żywnie podoba – odparł nieporuszony Thrawn. – Chcę po prostu dać do zrozumienia, że mądry taktyk rozważa cenę, jaką przyjdzie mu zapłacić za podjęcie pewnych działań, nim wprowadzi swój plan w życie. Bliźnięta Organy Solo przyjdą na świat lada dzień, co oznacza, że będziesz musiał się zająć nie tylko nią samą, ale także dwójką noworodków. Jeśli nie jesteś pewien, czy sobie z tym poradzisz, najlepiej byłoby zaczekać z całą operacją.

Pellaeon przygotował się na kolejny atak klonowego szaleństwa, jednak ku jego zaskoczeniu nic takiego się nie wydarzyło.

– Jedyne pytanie, jakie należałoby w tej sytuacji postawić, wielki admirale Thrawn – powiedział łagodnie C’baoth – brzmi: czy

imperialni komandosi poradzą sobie z dwójką osesków?

– Doskonale. – Thrawn kiwnął głową. – Za trzydzieści minut spotkamy się z resztą floty. Wówczas zostaniesz przeniesiony na pokład „Grotu Śmierci”, aby nadzorować atak na Woostri. Gdy wrócisz na „Chimaerę”… – ponownie podniósł brew – …twoi Jedi powinni już na ciebie czekać.

– Znakomicie, wielki admirale Thrawn. – C’baoth wyprostował się ponownie na pełną wysokość, gładząc długą, białą brodę. – Ostrzegam cię jednak: jeśli i tym razem mnie zawiedziesz, konsekwencje nie będą dla ciebie miłe. – Z tymi słowy odwrócił się na pięcie i opuścił centrum dowodzenia.

– Cała przyjemność po mojej stronie – mruknął Thrawn, gdy drzwi zamknęły się za nim.

Pellaeon zwilżył wyschnięte wargi.

– Panie admirale? Z całym należnym szacunkiem…

– Niepokoi pana moja obietnica porwania Organy Solo z najlepiej strzeżonego miejsca na terytorium wroga? – spytał Thrawn, nie dając mu dokończyć.

– Jeśli chodzi o ścisłość, sir… to prawda – potwierdził Pellaeon. – Pałac imperialny został zaprojektowany tak, by stanowić niezdobytą fortecę…

– Zgadza się – potwierdził Thrawn. – Jednak stało się tak na życzenie samego Imperatora i jak w większości podobnych wypadków zachował on dla siebie pewne sekrety związane z jego konstrukcją. Dla siebie… i ścisłego grona wybranych osób.

Pellaeon zmarszczył czoło i przyjrzał się admirałowi z namysłem. Sekrety?

– Takie jak na przykład tajemne punkty dostępu? – zaryzykował.

Thrawn uśmiechnął się do niego.

– Nie inaczej. Teraz zaś, gdy mamy pewność, że Organa Solo przez jakiś czas nie ruszy się poza pałac imperialny, warto spróbować wysłać tam zespół komandosów.

– Ale nie Noghrich.

Thrawn powiódł wzrokiem po szeregu otaczających ich holograficznych rzeźb.

– Z Noghrimi… jest coś nie w porządku, kapitanie – powiedział cicho. – Nie wiem jeszcze, o co w tym wszystkim chodzi, ale coś jest nie tak. Wyczuwam to podczas każdej wymiany zdań z noghryjskimi dynastami.

Pellaeon wrócił myślami do tej dziwnej sceny sprzed miesiąca, gdy na pokładzie „Chimaery" zjawił się płaszczący się niemal ze skruchy delegat dostojników z Honoghra, przynosząc wiadomość, że zdrajca Khabarakh uciekł z aresztu. Jak dotąd mimo wysiłków włożonych w próby jego pochwycenia nie udało się tego dokonać.

– Może wciąż są poruszeni tą historią z Khabarakhiem – podsunął.

– Powinni – stwierdził chłodno Thrawn. – Jednak to nie wszystko. A dopóki nie dowiem się, co jeszcze się tam dzieje, Noghri będą na cenzurowanym. – Pochylił się i wcisnął dwie kontrolki na pulpicie. Holograficzne rzeźby zniknęły, zastąpione taktyczną mapą miejsc, w których obecnie toczono główne walki. – W tej chwili musimy się jednak skupić na dwóch ważniejszych sprawach – dodał, opadając na oparcie fotela. – Przede wszystkim trzeba odwrócić uwagę naszego coraz bardziej pyszałkowatego mistrza Jedi od myśli i rządzeniu moim Imperium. Za dywersję posłużą nam Organa Solo i jej bliźnięta.

Pellaeon pomyślał o wszystkich dotychczasowych nieudanych próbach schwytania rebelianckiej przywódczyni…

– A jeśli zespół zawiedzie?

– Cóż, wypadki się zdarzają – stwierdził znacząco Thrawn. – Chociaż mistrz C'baoth jest potężny i nieprzewidywalny, wciąż można nim manipulować. – Wskazał mapę taktyczną. – W tej chwili jednak najważniejsze jest, byśmy utrzymali tempo wprowadzania w życie naszego planu walki. Jak dotąd wszystko idzie mniej więcej według przewidywań. Rebelia stawiła silniejszy opór, niż się spodziewaliśmy w sektorach Farrfin i Dolomar, ale w innych miejscach układy, które obraliśmy za cel, właściwie poddały się imperialnej władzy.

– Byłbym na razie ostrożny z traktowaniem tych zdobyczy jako pewnych – przestrzegł go Pellaeon.

– Nie inaczej – zgodził się z nim Thrawn. – Wszystko zależy od dobitnego zaznaczenia w tych rejonach naszej obecności. Z tego

względu tak ważne jest, byśmy nie zwolnili tempa produkcji klonów. – Zawiesił głos.

Pellaeon przyglądał się mapie taktycznej, gorączkowo zastanawiając się nad odpowiedzią, na którą najwyraźniej czekał Thrawn. Cylindry klonujące Spaarti, ukryte przez wiele dziesięcioleci w prywatnym skarbcu Imperatora na planecie Wayland, były bezpieczne bez dwóch zdań. Spoczywały głęboko w trzewiach góry, chronione przez imperialny garnizon i otoczone nastawionymi wrogo wobec obcych tubylcami, nie mówiąc już o tym, że o ich istnieniu nie wiedział nikt poza najwyżej postawionymi imperialnymi dowódcami.

Zamarł. Najwyżej postawionymi imperialnymi dowódcami, a także najprawdopodobniej…

– Mara Jade – wykrztusił. – Dochodzi do siebie na Coruscant. Czy mogłaby wiedzieć o magazynie?

– To dobre pytanie – skwitował wielki admirał. – Istnieje duże prawdopodobieństwo, że nie. Sam znałem wiele sekretów Imperatora, a mimo to sporo wysiłku kosztowało mnie odnalezienie Waylanda. W tej sytuacji nie możemy sobie jednak pozwolić na takie ryzyko.

Pellaeon pokiwał głową, tłumiąc nagły dreszcz. Nie mógł zaprzeczyć, że zastanawiało go, dlaczego właściwie wielki admirał postanowił zlecić tę misję ludziom z wywiadu. W przeciwieństwie do standardowych oddziałów komandosów agenci wywiadu byli szkoleni w technikach pozamilitarnych, takich jak na przykład potajemna eksterminacja…

– Czy powierzy pan obie misje jednemu zespołowi, czy też wyślemy tam dwa oddziały?

– Jeden powinien wystarczyć – ocenił Thrawn. – Oba cele są ze sobą na tyle ściśle powiązane, by takie posunięcie wydawało się uzasadnione. Poza tym… unieszkodliwienie Jade nie musi wcale oznaczać konieczności jej zabijania.

Kapitan zmarszczył czoło, jednak nim zdążył zapytać, co dokładnie jego przełożony ma na myśli, wielki admirał dotknął przycisku na pulpicie i hologram taktyczny został zastąpiony przez mapę sektora Orus.

– Sądzę, że to dobra pora, by tymczasem utwierdzić naszych wrogów w przekonaniu o znaczeniu Calius saj Leeloo. Czy otrzymaliśmy już raport podsumowujący od gubernatora Staffy?

– Tak jest, sir – potwierdził Pellaeon, wywołując odpowiedni dokument na ekran datapada. – Skywalker opuścił miasto w tym samym czasie co podstawiony prom. Wszystko wskazuje na to, że podążył za nim. Jeśli rzeczywiście tak się stało, powinien dotrzeć do układu Poderis za jakieś trzydzieści godzin.

– Doskonale – orzekł Thrawn. – Jestem pewien, że nim tam doleci, wyśle odpowiedni raport na Coruscant. Jego późniejsze zniknięcie powinno przekonać rebeliantów, że istotnie trafili na linię przerzutową klonów.

– Tak jest, sir – odparł Pellaeon. Miał wątpliwości, czy rzeczywiście uda im się doprowadzić do zniknięcia Skywalkera, jednak zachował je dla siebie. Thrawn z pewnością jak zawsze wiedział, co robi. – Jeszcze jedna sprawa, sir. Oprócz raportu Staffy otrzymaliśmy drugi, zaszyfrowany standardowym kodem.

– Od jego asystenta, Fingala. – Thrawn kiwnął głową. – W wypadku tak zmiennej i niepewnej osoby jak Staffa aż się prosi, by wyznaczyć kogoś, kto miałby gubernatora na oku. Czy są jakieś rozbieżności między tymi dwoma dokumentami?

– Tylko jeden szczegół, sir – zameldował Pellaeon. – Drugi z raportów zawiera dokładny opis mężczyzny, w którego towarzystwie widziano Skywalkera, a którego Staffa określił mianem jednego ze swoich agentów. Z tego, co donosi Fingal, można wywnioskować, że człowiekiem tym był w rzeczywistości Talon Karrde.

Thrawn wypuścił z namysłem powietrze z płuc.

– W rzeczy samej. Czy Fingal wspomniał o powodach obecności Karrde’a w Calius?

– Z jego słów wynika, że istnieją przesłanki świadczące o tym, że gubernator Staffa od kilku lat prowadzi z Karrde’em potajemnie interesy – poinformował Pellaeon. – Fingal twierdzi, że chciał zatrzymać przemytnika w celu przesłuchania, jednak nie był w stanie dokonać tego tak, by nie zaalarmować jednocześnie Skywalkera.

– Taaa – mruknął pod nosem Thrawn. – Trudno. Poza tym jeśli w grę wchodzi rzeczywiście jedynie przemyt, nie ma powodów do zmartwień. Mimo to nie powinniśmy pozwalać na to, by przypadkowi szmuglerzy kręcili się w pobliżu naszych skrzętnie zaaranżowanych spisków i narażali je na zdemaskowanie. A Karrde nieraz już udowodnił, że potrafi nam pomieszać szyki. – Thrawn znów zawiesił głos i przez chwilę przypatrywał się bez słowa mapie sektora Orus. W końcu podniósł wzrok na Pellaeona. – W tej chwili jednak, jak już wspomniałem, mamy na głowie ważniejsze sprawy. Proszę obrać kurs na układ Poderis, kapitanie. Chciałbym, by „Chimaera" dotarła tam w ciągu czterdziestu godzin. – Uśmiechnął się nieznacznie. – I proszę dać znać dowódcy garnizonu, że spodziewam się należytego przyjęcia. Być może za dwa lub trzy dni będziemy mogli sprezentować naszemu nieocenionemu mistrzowi Jedi niespodziewany podarek.

– Tak jest, sir – potwierdził Pellaeon, po czym z lekkim wahaniem dodał: – Admirale… co jednak, jeśli uda nam się schwytać Organę Solo i jej bliźnięta, a C'baoth zdoła ukształtować ich wolę zgodnie ze swoimi zachciankami? Wówczas będziemy musieli się liczyć z czwórką Jedi, a nie jednym. Piątką, gdyby powiódł się plan zatrzymania Skywalkera na Poderisie.

– Nie ma powodu do zmartwień – zapewnił go Thrawn, kręcąc głową. – Przeciągnięcie Organy Solo czy Skywalkera na swoją stronę zajmie C'baothowi mnóstwo czasu i będzie go kosztowało wiele wysiłku. Jeszcze dłużej potrwa, nim dzieci podrosną na tyle, aby mogły stanowić dla nas jakieś zagrożenie, niezależnie od tego, co z nimi zrobi. A zanim to się stanie… – Oczy Thrawna zalśniły. – Tak, zanim to się stanie, dojdziemy do porozumienia z naszym mistrzem Jedi w kwestii podziału władzy w Imperium.

Pellaeon przełknął ślinę.

– Rozumiem, sir – wykrztusił.

– Świetnie. W takim razie może pan odejść, kapitanie. Proszę wracać na mostek.

– Tak jest, sir. – Pellaeon odwrócił się na pięcie i ruszył do wyjścia, czując dziwne dławienie w gardle. Doskonale rozumiał, co

Thrawn miał na myśli. Dojdą do porozumienia… albo mistrz Jedi zginie.

O ile Thrawn zdoła tego dokonać. Gdyby ktoś spytał Pellaeona o zdanie, nie obstawiałby wyniku tej konfrontacji.

A jeśli chodzi o ścisłość, to nie chciałby być również w pobliżu, gdy do niej dojdzie.

Rozdział 4

Poderis stanowił jedną z planet określanych w opracowaniach jako mające marginalne znaczenie – skolonizowanych nie z uwagi na cenne surowce czy dogodną lokalizację, a wyłącznie dlatego, że koloniści postawili sobie za cel jej zasiedlenie. Cechowały ją wprawiający w dezorientację dziesięciogodzinny cykl dobowy, obfitość położonych na nizinach terenów podmokłych (co zmusiło kolonistów do osiedlenia się na rozległym archipelagu wypiętrzonych wyżyn), a także niemal pionowe nachylenie osiowe, skutkujące silnymi wichurami w okresie wiosennym i jesiennym. Wszystko to sprawiało, że planeta Poderis nie była raczej celem pielgrzymek turystów. Zamieszkiwał ją lud zahartowany i niezależny, tolerujący gości, jednak znany ze swojej skłonności do uporczywego ignorowania polityki galaktycznej.

Podsumowując, świat ten idealnie nadawał się jako punkt przerzutu klonów wykorzystywanych przez Imperium… stanowiąc jednocześnie doskonałe miejsce na pułapkę.

Mężczyzna śledzący Luke'a był niski i nie wyróżniał się niczym szczególnym – typ osoby, która wtopiłaby się w tłum niezależnie od okoliczności. Był też dobry w swoim fachu, trzeba mu to było przyznać, co sugerowało wieloletnie doświadczenie w imperialnych służbach wywiadowczych. Doświadczenie to jednak bez dwóch zdań nie objęło obcowania z Jedi. Luke wyczuł jego obecność niemal natychmiast, gdy mężczyzna zaczął go śledzić, a minutę później zdołał bez większego trudu wyłowić go z tłumu.

Teraz pozostawał tylko jeden problem: co z tym fantem zrobić?

– Artoo? – rzucił cicho Luke do komunikatora, który ukradkiem wpiął w kołnierz swojej szaty z kapturem. – Mamy towarzystwo. Najprawdopodobniej imperialne.

Odpowiedział mu zaniepokojony szczebiot, po którym dało się słyszeć kilka pytających ćwierknięć.

– Nie, obawiam się, że w tej sytuacji nie bardzo możesz mi pomóc – westchnął Luke, domyślając się treści pytania i żałując, że w pobliżu nie ma C-3PO, który potwierdziłby jego domysły. Właściwie rozumiał mniej więcej sens „słów" R2-D2, jednak w sytuacjach takich jak ta ich prawdziwe znaczenie mogło zadecydować o wszystkim. – Czy nikt nie kręci się w pobliżu frachtowca? – spytał. – Albo w okolicach lądowiska?

R2-D2 zabuczał przecząco.

– Cóż, niewykluczone, że wkrótce ktoś się tam pojawi – ostrzegł go Skywalker, zatrzymując się, by zerknąć na wystawę jednego ze sklepów. Zauważył, że śledzący go mężczyzna przeszedł jeszcze kilka kroków, nim znalazł sobie jakąś wymówkę, by również przerwać marsz. Bez wątpienia zawodowiec. – Postaraj się przeprowadzić procedury przedstartowe na tyle, na ile zdołasz, nie ściągając przy tym na siebie niepotrzebnej uwagi. Chciałbym, żebyśmy odlecieli stąd natychmiast, gdy tylko dotrę do statku.

Gdy droid zaburczał potwierdzająco, Luke sięgnął do szyi, wyłączył komunikator i rozejrzał się ukradkiem dookoła. W tej chwili priorytetem było zgubienie ogona, nim imperialni przejdą do bardziej zdecydowanych kroków. Aby tego dokonać, musiał jakoś odwrócić uwagę nieznajomego…

Okazja nadarzyła się wkrótce, gdy dostrzegł przedzierającego się przez tłum mniej więcej pięćdziesiąt metrów przed nim mężczyznę w szacie o kroju i kolorze takich jak ta, w jaką ubrany był on sam. Przyspieszając ostrożnie – tylko na tyle, by nie sprawiać wrażenia spłoszonego – Luke skrócił dzielący ich dystans.

Gdy mężczyzna w szacie dotarł do skrzyżowania i skręcił w prawo, Skywalker przyspieszył jeszcze odrobinę. Wyczuwał teraz zaniepokojenie śledzącego go mężczyzny: szpieg obawiał się, że jego obecność została wykryta. Opierając się chęci puszczenia się biegiem, Jedi skręcił za róg.

Uliczka nie różniła się zbytnio od wielu podobnych w tym mieście – szeroka, brukowana, ciągnąca się między szeregami budynków z szarego kamienia. Odruchowo przywołał Moc, aby przeskanować najbliższe otoczenie… i zaczerpnął gwałtownie tchu. Tuż przed nim, w oddali, jednak wyraźnie wyczuwalne, rozciągały się liczne plamy

mroku, których nie był w stanie spenetrować zmysłami Jedi. Całkiem jakby Moc, za pośrednictwem której zasięgał informacji, przestawała w tych miejscach działać… lub jakby coś ją blokowało.

Co oznaczało, że nie ma do czynienia ze zwykłą zasadzką na pierwszego lepszego szpiega Nowej Republiki. Imperium wiedziało, że to on tu dotrze, i wysłało na Poderis swoich ludzi wyposażonych w isalamiry.

Jeśli w tej sytuacji szybko czegoś nie wymyśli, schwytają go, to pewne.

Rozejrzał się ponownie, wodząc wzrokiem po otaczających go budynkach. W większości były to niskie, piętrowe budowle o chropowatych frontach i zdobnych okapach. Te po prawej tworzyły zwarty szereg, ale bryła domu stojącego tuż za skrzyżowaniem po lewej stronie była lekko przecięta, wskutek czego między nim a sąsiednim powstała szpara. Nie była to może kryjówka idealna, nie mówiąc już o tym, że musiał najpierw do niej dotrzeć, jednak w tej sytuacji nie bardzo mógł grymasić. Przeciął ulicę, na wpół spodziewając się, że lada chwila wpadnie w zasadzkę, jednak udało mu się bezpiecznie dopaść szczeliny. Przykucnął lekko, sięgnął po Moc i… skoczył.

Mało brakowało, a by mu się nie udało. Okap nad jego głową miał gładką, stromą powierzchnię i Luke odniósł wrażenie, że przez chwilę trwał zawieszony w powietrzu, bezskutecznie starając się zacisnąć na nim palce… Na szczęście w ostatniej, wydawałoby się, chwili udało mu się znaleźć punkt zaczepienia i z najwyższym trudem podciągnąć się na dach, do którego natychmiast przypadł, rozciągnięty płasko na brzuchu.

W samą porę. Gdy zerknął ostrożnie za skraj okapu, zobaczył, jak śledzący go mężczyzna wynurza się zza rogu, porzuciwszy wszelkie pozory obojętności. Przepychając się przez tłum i bezceremonialnie roztrącając pieszych na boki, mówił coś do trzymanego w dłoni komunikatora.

Chwilę później z najbliższej przecznicy wymaszerował oddział zakutych w białe pancerze szturmowców. Uzbrojeni w trzymane blisko ciała karabiny blasterowe, z ciemnymi stelażami

podtrzymującymi życie umieszczonych na nich isalamirów na plecach, zablokowali wylot uliczki.

Wszystko wskazywało na to, że to była skrzętnie zaplanowana i przemyślana zasadzka, a Luke miał góra trzy minuty, nim ścigający go zorientują się, że ich zdobycz im umknęła. Cofnąwszy się od skraju dachu, obejrzał się, by obrzucić wzrokiem jego drugą część…

I gorzko się rozczarował. Niewiele ponad pół metra od miejsca, w którym leżał, dach kończył się ścianą – wznoszącą się pionowo w górę i schodzącą stromo w dół. Jakieś sto metrów niżej ściana niknęła w mgłach spowijających rozciągające się w dole mokradła.

Cóż, najwyraźniej się przeliczył i niewykluczone, że przyjdzie mu za to słono zapłacić. Skupiony bez reszty na śledzącym go mężczyźnie jakimś cudem zupełnie przeoczył fakt, że dotarł niemal na skraj płaskowyżu. Mur stanowił jedną z solidnych osłon przeciwwiatrowych, zaprojektowanych z myślą o ochronie miasta przez porywistymi podmuchami, na które było narażone wiosną i jesienią.

Udało mu się umknąć przed imperialnym pościgiem… tylko po to, by utknął w martwym punkcie, z odciętą drogą ucieczki.

– Cudownie – mruknął pod nosem, podpełzając ponownie do krawędzi dachu i wyglądając ostrożnie na uliczkę.

Do pierwszego oddziału dołączyli kolejni szturmowcy i cała grupa zabierała się do kontroli zaskoczonych przechodniów, którzy mieli nieszczęście znaleźć się w pobliżu. Z drugiej strony następne dwa oddziały nakładały właśnie blokadę na przeciwległy kraniec uliczki. Mężczyzna śledzący wcześniej Luke'a przeciskał się przez tłum z blasterem w dłoni, kierując się ku człowiekowi w szacie z kapturem, którego Skywalker zauważył wcześniej.

Luke przygryzł wargę. Cóż, to nie będzie zbyt miłe dla Mocy ducha winnego przechodnia, jednak z drugiej strony imperialni doskonale wiedzieli, kogo szukali – i bez dwóch zdań zależało im na schwytaniu go żywcem. Skywalker zdawał sobie boleśnie sprawę z tego, że narażanie postronnej osoby na śmiertelne niebezpieczeństwo to zachowanie, które nie przystoi Jedi. Mógł tylko mieć nadzieję, że sprawy nie przybiorą dla nieszczęśnika fatalnego w skutkach obrotu…

Zacisnąwszy zęby, sięgnął po Moc… i wyszarpnął blaster z dłoni ścigającego go mężczyzny, po czym poderwał go i pchnął nad głowami zgromadzonych prosto w dłoń jego zakapturzonego sobowtóra.

Dowodzący pościgiem zawołał coś do szturmowców, jednak triumfalny okrzyk szybko przerodził się w jęk zaskoczenia. Luke zareagował błyskawicznie: w skupieniu przywołał znów Moc i obrócił blaster lufą w stronę jego byłego właściciela… a potem zdalnie nacisnął spust.

Strzał poszybował bezpiecznie nad głowami tłumu – nie było szans, by Jedi zdołał wycelować dość dokładnie i trafił imperialnego szpiega, nawet gdyby chciał. To jednak wystarczyło, żeby odwrócić uwagę szturmowców. Żołnierze legitymujący przechodniów porzucili swoje zadanie i zaczęli się przepychać w stronę człowieka w szacie z kapturem, a członkowie oddziałów strzegących blokad zaczęli w pośpiechu zajmować pozycje, z których mogliby osłaniać swoich kolegów.

Jak można się było spodziewać, strzelec mimo woli zareagował paniką. Odrzucił precz broń, która w niewyjaśniony sposób wylądowała w jego dłoni, wyminął zdumionych przechodniów i zanurkował w pobliską alejkę.

Luke nie czekał, by sprawdzić, co wydarzy się później. Wiedział, że gdy tylko żołnierze zdołają się lepiej przyjrzeć nieszczęśnikowi, którego wplątał w tę kabałę, będzie po wszystkim, a on musi zniknąć z dachu, kierując się na lądowisko, nim do tego dojdzie. Przysunął się jeszcze bliżej okapu i zerknął w dół.

Sytuacja wyglądała niewesoło. Wzniesiona jako zapora mająca powstrzymać wiejące z prędkością dwustu kilometrów na godzinę wiatry ściana była idealnie gładka, pozbawiona jakichkolwiek elementów, które mogłyby spowodować niebezpieczne turbulencje. Jak okiem sięgnąć nie było w niej żadnych okien, drzwi serwisowych ani widocznych szczelin. To jednak był najmniejszy problem – w razie potrzeby Jedi był w stanie przeciąć się przez jej powierzchnię swoim mieczem. Pytanie brzmiało: jak umknąć poza zasięg imperialnych, nim go namierzą i rzucą się w pościg za swoją prawdziwą ofiarą…

Obejrzał się nerwowo za siebie. Musiał działać szybko, miał coraz mniej czasu. W oddali, w pobliżu oficjalnego lądowiska miejskiego, zza przysadzistych budynków zaczynały się wynurzać punkciki śmigaczy pościgowych.

Co oznaczało, że nie może wrócić bezpiecznie na ulice miasta, nie ściągając przy tym na siebie uwagi. Nie był też w stanie przepełznąć po górnej krawędzi ściany dość szybko, by usunąć się z widoku, nim namierzą go patrole w śmigaczach powietrznych. Miał więc tylko jedno wyjście – kierować się w dół.

Na szczęście niekoniecznie prosto w dół.

Zmrużył oczy i spojrzał w niebo. Słońce Poderisa zniżało się szybko nad horyzont, finalizując swoją wędrówkę w dziesięciogodzinnym cyklu dobowym. W tej chwili jego promienie padały płasko na nadlatujące szybko śmigacze i ich pilotów, jednak Luke miał niewiele ponad pięć minut, nim zajdzie ona za linię horyzontu. Wówczas operatorzy maszyn znów będą widzieli wszystko wyraźnie, nie mówiąc już o tym, że w zapadającym zmierzchu poświata rzucana przez miecz świetlny z pewnością nie ujdzie ich uwagi.

Teraz albo nigdy.

Luke dobył miecza świetlnego i zapalił ostrze, upewniając się, że jego blask będzie niewidoczny dla oczu pilotów. Końcówką klingi ostrożnie naciął powierzchnię ściany w prawo i po skosie w dół. Materiał, z którego uszyto jego szatę, nie był zbyt wytrzymały, więc oderwanie lewego rękawa i owinięcie go wokół palców lewej dłoni zajęło mu tylko kilka sekund. Zabezpieczone tkaniną palce bez trudu wsunęły się w szczelinę nacięcia, mając przy tym dość miejsca, by mogły się w niej swobodnie przesuwać. Chwyciwszy się mocno krawędzi szpary, Luke wsunął końcówkę ostrza w jej kraniec i przetoczył się przez skraj okapu, a następnie, trzymając miecz świetlny w wyciągniętej na zewnątrz prawej dłoni, zaczął się zsuwać w dół po barierze, żłobiąc po drodze rysę, dzięki której mógł kontynuować podróż ku podstawie ściany.

Był to żmudny, pracochłonny i męczący proces, ale jednocześnie dziwnie satysfakcjonujące zajęcie. Z krańców pamięci napłynęły wspomnienia: wiatr mierzwiący mu włosy i szarpiący ubranie, gdy

spadał w głąb centralnego szybu w Mieście w Chmurach i gdy zawisł na koniuszkach palców kilka minut później pod samym miastem… Ból towarzyszący mu, gdy leżał wyczerpany na pokładzie drugiej Gwiazdy Śmierci, wyczuwając jak przez mgłę bezradną wściekłość Imperatora ciśniętego przez Vadera prosto w szyb stacji bojowej na pewną śmierć…

Przytulony do gładkiej powierzchni ściany, zsuwał się w zawrotnym tempie, z każdą chwilą zbliżając do jej podstawy… i czyhających w dole niewidzialnych zagrożeń.

W pewnym momencie podniósł głowę, mrużąc oczy od wściekle kąsającego jego twarz wiatru, i obejrzał się przez ramię. Widział zbliżającą się szybko podstawę ściany, pędzącą ku niemu w zastraszającym tempie – bliżej, coraz bliżej… dopóki nagle, w ostatniej, zdawałoby się, sekundzie, nie zmienił gwałtownie kąta, pod jakim wbijał w barierę miecz. Jego palce sunęły teraz szczeliną żłobioną niemal równolegle do ziemi – kilka sekund później łagodnie wyhamował.

Przez chwilę wisiał w bezruchu, trzymając się kurczowo muru jedną ręką, starając się złapać oddech i spowolnić szaleńcze bicie serca. Nad jego głową w ostatnich promieniach zachodzącego słońca lśniła wąska ścieżka wyżłobiona przez ostrze miecza – ciągnąca się w górę i zawijająca łagodnie w lewo. „Jakieś sto metrów” – oszacował ostrożnie. Prawdopodobnie dość, by zdołał bezpiecznie umknąć poza zasięg imperialnej pułapki.

Cóż, wkrótce się o tym przekona.

Słońce za jego plecami schowało się już za horyzontem, skrywając w mroku drogę ucieczki. Poruszając się z najwyższą ostrożnością i starając się jednocześnie nie stracić chwytu w nadwyrężonych boleśnie palcach, Luke zaczął mozolnie wycinać w ścianie otwór.

– Nadszedł raport od dowódcy szturmowców, panie admirale – zameldował Pellaeon, krzywiąc się coraz boleśniej w miarę zagłębiania się w tekst wiadomości przewijającej się przez ekran jego wyświetlacza. – Wszystko wskazuje na to, że nie znaleźli Skywalkera na terenie objętym blokadą.

– Nie jestem zaskoczony – skwitował ponuro Thrawn, łypiąc na swój ekran. – Ostrzegałem ludzi z wywiadu wielokrotnie, by nie lekceważyli zdolności Jedi. Najwyraźniej nie wzięli sobie moich przestróg do serca.

Pellaeon przełknął z trudem ślinę.

– Tak jest, sir. Wiemy jednak, że był tam, więc nie mógł uciec daleko. Szturmowcy zwiększyli zasięg blokady i rozpoczęli przeszukiwanie budynków.

Thrawn wziął głęboki oddech i powoli wypuścił powietrze z płuc.

– Nie – powiedział stanowczo, na powrót opanowany. – Nie ukrył się w żadnym z budynków. Nie on. Ta sztuczka z wystawionym mężczyzną i blasterem… – Podniósł wzrok na Pellaeona. – Niech przeszukają dachy, kapitanie. Jestem pewien, że skierował się w górę.

– Wysłali już tam obserwatorów – poinformował go Pellaeon. – Jeśli tam jest, znajdą go.

– Świetnie. – Thrawn dotknął przycisku na konsoli, wywołując holograficzną mapę tej części płaskowyżu. – A co z osłoną przeciwwiatrową na zachodnim skraju blokady? Czy można się po niej wspiąć albo nią zejść?

– Nasi ludzie twierdzą, że to niemożliwe. – Pellaeon pokręcił głową. – Jest zbyt stroma i gładka, a poza tym na dole nie ma żadnego parapetu ani osłony. Jeśli Skywalker wspiął się na nią po tej stronie ulicy, nadal musi tam być. Tam… albo u podnóża płaskowzgórza.

– Możliwe – skomentował krótko Thrawn. – Mimo to niech przydzielą kogoś do przeszukania tego obszaru. Co ze statkiem Skywalkera?

– Wywiad wciąż próbuje ustalić, czym przyleciał – wyjaśnił Pellaeon. – Mają jakiś problem z rejestrem danych. Powinni zidentyfikować jednostkę w ciągu kilku minut.

– To czas, którego nie mamy na skutek lekkomyślności wysłanego w ślad za nim człowieka – wycedził Thrawn. – Proszę przekazać, że chcę, by go zdegradowano o jeden stopień.

– Tak jest, sir. – Pellaeon wklepał rozkaz w komputer. To była dość surowa kara za podobne przewinienie, jednak zdarzały się

gorsze. Nieżyjący Lord Vader bez chwili wahania udusiłby pechowca. – Oczywiście lądowisko zostało również otoczone blokadą.

Thrawn potarł z namysłem podbródek.

– To z dużym prawdopodobieństwem zwykła strata czasu – powiedział z namysłem. – Z drugiej strony jednak… – Odwrócił się, żeby wyjrzeć przez iluminator na obracającą się z wolna planetę. – Proszę ich odwołać, kapitanie – rozkazał. – Wszystkich z wyjątkiem klonów. Pozostawić tych w pobliżu najbardziej prawdopodobnej lokalizacji statku Skywalkera.

Pellaeon zamrugał zdziwiony.

– Sir?

Thrawn zwrócił się w jego stronę z nowym błyskiem w czerwonych oczach.

– Blokada wokół lądowiska nie ma dość isalamirów, by powstrzymać Jedi, kapitanie – stwierdził. – Wszelkie obliczone na to próby będą więc daremne. Pozwolimy mu wystartować… i przechwycimy go za pomocą „Chimaery”.

– Tak jest, sir – bąknął Pellaeon. – Ale w takim razie…

– Po co zawracać sobie głowę zostawianiem klonów? – dokończył za niego wielki admirał. – Cóż, głównie dlatego, że podczas gdy Skywalker jest dla nas cenny, nie dotyczy to jego astromecha. – Uśmiechnął się lekko. – Chyba że heroiczne wysiłki Skywalkera, by uciec z Poderisa, utwierdzą droida w przekonaniu, że planeta to istotnie główny punkt przerzutowy dla naszych klonów.

– Och! – wyrwało się Pellaeonowi, gdy wreszcie to do niego dotarło. – A w tym wypadku pozwolimy, by droid wymknął się nam i wrócił do rebeliantów!

– Właśnie tak. – Thrawn wskazał gestem pulpit kontrolny kapitana. – A teraz… rozkazy.

– Tak jest, sir. – Oficer odwrócił się do swojej konsoli, czując nagły przypływ podekscytowania, gdy zaczął wpisywać w komputer zarządzenia wielkiego admirała. Możliwe, że tym razem Skywalker w końcu dostanie się w ich ręce…

Gdy Luke wpadł wreszcie na pokład ich niewielkiego frachtowca i zamknął za sobą właz, R2-D2 świergotał nerwowo.

– Czy wszystko gotowe do startu? – rzucił naglące przez ramię jego pan, spiesząc do kokpitu.

R2-D2 zaćwierkał potwierdzająco.

Luke opadł na fotel pilota, obrzucając szybkim spojrzeniem instrumenty pokładowe i zapinając jednocześnie uprząż.

– W porządku. W takim razie zabierajmy się stąd.

Przekierował moc do repulsorów i poderwał maszynę z ziemi, zawijając ostro na prawo. Niemal w tej samej chwili do lotu zerwały się dwie parkujące w pobliżu kanonierki typu Skipray, ustawiając się w szyku pościgowym tuż za nim i kierując ku skrajowi płaskowyżu.

– Uważaj na te kanonierki, Artoo! – zawołał do robocika Jedi, starając się kontrolować tor lotu frachtowca pokonującego szybko dystans dzielący ich od obrzeży miasta i równocześnie ocenić sytuację w przestrzeni kosmicznej nad nimi. Walka z klonami strzegącymi lądowiska kosztowała go niemało wysiłku, jednak wszystko rozegrało się zbyt szybko, by podtrzymać pozory prawdziwej zasadzki. Albo więc Imperium powierzyło zadanie schwytania go komuś żałośnie niekompetentnemu… albo pozwolili mu uciec celowo. W tym ostatnim wypadku istniało prawdopodobieństwo, że kierował się wprost w sidła wroga.

W dole przemknęła krawędź płaskowyżu i Luke zaryzykował szybki rzut oka na wyświetlacz obrazu z wstecznych kamer, aby potwierdzić, że zostawił miasto za sobą, po czym odpalił główny napęd podświetlny.

Frachtowiec wyprysnął w niebo niczym mynock z oparzonym zadkiem, zostawiając kanonierki daleko w tyle. Rozbrzmiewające z głośnika na konsoli oburzone wezwania do natychmiastowego wylądowania zmieniły się w pełen zaskoczenia okrzyk, gdy sięgnął do konsoli i przerwał połączenie.

– Artoo? Wszystko w porządku?

Droid ćwierknął twierdząco, a po chwili na ekranie komputera Luke’a wyświetliło się pytanie.

– Tak, to były klony – potwierdził ponuro Skywalker, czując, jak po plecach przebiega mu zimny dreszcz. Dziwna aura, którą emanowały nowe ludzkie duplikaty Imperium na tak bliski dystans, była dwukrotnie silniejsza. – I wiesz, co jeszcze? – dodał pod adresem robocika. – Imperium wiedziało, kogo szuka. Ci szturmowcy mieli na plecach stelaże z isalamirami.

R2-D2 zagwizdał z namysłem, po czym burknął pytająco.

– No właśnie, to całe Źródło Delta – westchnął Luke, odczytując na ekranie słowa droida. – Leia powiedziała, że jeśli szybko go nie zidentyfikują, poprosi o przeniesienie centrum operacyjnego w jakieś inne miejsce. Może nawet poza Coruscant.

Jeśli jednak Źródło Delta nie było jakimś niemal niemożliwym do wykrycia urządzeniem podsłuchowym umieszczonym w samym sercu pałacu, przeprowadzka nie będzie zbyt skutecznym rozwiązaniem. Wymowne milczenie R2-D2 podpowiedziało Luke'owi, że mały droid myślał o tym samym.

Odległy horyzont majaczący w oddali na tle ciemnego, rozświetlonego jedynie gwiazdami nieba zaczynał powoli wyginać się w łagodny łuk.

– Zacznij lepiej obliczać współrzędne skoku, Artoo – rzucił przez ramię Skywalker. – Bardzo prawdopodobne, że będziemy musieli się stąd błyskawicznie ewakuować.

Gdy otrzymał od droida potwierdzenie, skupił się ponownie na odległym horyzoncie. Wiedział, że może się za nim czaić cała flota gwiezdnych niszczycieli – poza zasięgiem jego instrumentów pokładowych – czekających tylko, aż oddali się wystarczająco od wszelkich potencjalnych kryjówek, aby przypuścić na niego atak.

Poza zasięgiem instrumentów… jednak nie poza zasięgiem zmysłów Jedi. Przymknąwszy powieki i nasyciwszy umysł spokojem, sięgnął po Moc…

Odpowiedź nadeszła na ułamek sekundy przed tym, nim w kabinie rozbrzmiało ostrzegawcze popiskiwanie Artoo: rzeczywiście, był tam imperialny gwiezdny niszczyciel… jednak nie zbliżał się z kierunku, z którego Luke się go spodziewał. Zamiast tego nadlatywał z tyłu, sunąc po orbicie tuż nad warstwą atmosfery,

dzięki czemu mógł przyspieszać, nie tracąc przy tym osłony w postaci samej planety.

– Trzymaj się, Artoo! – krzyknął Luke, aktywując awaryjne zasilanie i przekierowując do silników dodatkową moc. Wiedział jednak – i prawdopodobnie Imperium również doskonale zdawało sobie z tego sprawę – że to daremny trud. Gwiezdny niszczyciel zbliżał się szybko. Aktywował już promień ściągający i zaczynał namierzać Luke'a. W ciągu kilku sekund z pewnością go pochwycą.

Jego… albo przynajmniej frachtowiec.

Luke rozpiął uprząż, otwierając jednocześnie tajną skrytkę i sięgając do ukrytych w niej trzech przycisków. Pierwszy z nich aktywował autopilota w trybie ograniczonym, drugi uruchamiał rufową wyrzutnię torped i rozpoczynał sekwencję ślepego ostrzału ścigającego go gwiezdnego niszczyciela, trzeci zaś…

Trzeci inicjował proces autodestrukcji.

Jego X-wing czekał, skierowany dziobem naprzód, w przedniej ładowni, tuż za kokpitem. Wyglądał jak jakieś dziwne, metalowe zwierzę wystawiające łeb ze swojej nory. Luke wskoczył do otwartej kabiny, niemal zawadzając przy tym głową o niski sufit ładowni. R2-D2, usadowiony już bezpiecznie w gnieździe astromecha, świergotał coś do siebie po cichu, przełączając systemy myśliwca ze stanu uśpienia w tryb pełnej gotowości. Nim jeszcze Skywalker skończył zapinać uprząż i zakładać hełm, droid zasygnalizował, że mogą w każdej chwili ruszać.

– W porządku – odparł Luke, kładąc lewą dłoń na specjalnym przycisku, który dodano do pulpitu kontrolnego. – Jeśli to ma zadziałać, musimy idealnie zgrać wszystko w czasie. Przygotuj się…

Ponownie przymknął oczy, pozwalając, by Moc przepłynęła przez niego, wzmacniając jego zmysły. Już raz próbował kiedyś czegoś podobnego w starciu z Imperium, gdy starał się namierzyć mistrza Jedi C'baotha – wówczas również stawiał czoła gwiezdnemu niszczycielowi za sterami swojego X-winga. Tamta sytuacja także okazała się pułapką, jednak dowiedział się o tym dopiero wtedy, gdy zorientował się, że Imperium zawarło sojusz z C'baothem. Wówczas ocaliły go jego zdolności, szczęście i Moc.

Tym razem jeśli specjaliści na Coruscant zrobili, co do nich należało, o szczęście nie musiał się martwić.

Zanurzony głęboko w Mocy, wyczuł miejsce, w którym chwilę później zatrzyma się promień ściągający – i w tej samej sekundzie wdusił przycisk. Gdy frachtowiec szarpnął się w mocarnym uścisku promienia, dziobowa część statku rozprysnęła się w chmurze metalowych szczątków, z których za moment wyczmychnął X-wing, pchany do przodu niewidzialną siłą wmontowanego w pokład systemu dopalania. Przez mrożący krew w żyłach ułamek sekundy wydawało się, że mimo rozprzestrzeniającej się szybko chmury odłamków promień zdoła schwytać również myśliwiec… Nagle jednak jego chwyt zelżał, uwalniając maszynę.

– Jesteśmy wolni! – zawołał triumfalnie Luke, obracając X-winga w manewrze beczki i nurkując ku czerni głębokiej przestrzeni kosmicznej. – To jednak nie koniec. Trzymaj się – będzie trzęsło. – Obrócił X-winga ponownie, robiąc unik i schodząc z drogi dwóch zielonych promieni, które przeleciały tuż za transparistalową osłoną. Teraz, gdy umknął z zasięgu promieni ściągających, Imperium najwyraźniej postanowiło go zestrzelić. Kolejna salwa bliźniaczych zielonych promieni musiała spenetrować osłony myśliwca, bo R2-D2 zaburczał z oburzeniem, gdy coś uderzyło w podwozie X-winga. Zaczerpnąwszy znów Mocy, Skywalker pozwolił, by prowadziła jego dłonie na kontrolkach…

I nagle, niemal bez ostrzeżenia, nadeszła odpowiednia chwila. Teraz! Luke sięgnął do dźwigni hipernapędu i pociągnął ją do siebie…

Z rozbłyskiem pseudoruchu X-wing zniknął w bezpiecznej przystani nadprzestrzeni, podczas gdy baterie turbolaserów „Chimaery” wciąż bezskutecznie raziły ogniem miejsce, w którym jeszcze przed chwilą się znajdował. Wreszcie działa umilkły, a Pellaeon wypuścił długo wstrzymywany oddech, obawiając się choćby spojrzeć w stronę swojego przełożonego. Już drugi raz Skywalker umknął im z podobnej zasadzki… a ostatnio taka porażka kosztowała jednego z żołnierzy życie.

Reszta załogi mostka najwyraźniej również pamiętała tamten incydent. Cisza była tak dojmująca, że szelest materiału ocierającego się o wyściółkę fotela, gdy Thrawn wstał, rozbrzmiał nienaturalnie głośno.

– Cóż – powiedział wielki admirał dziwnie spokojnym głosem. – Trzeba rebeliantom przyznać, że są zmyślni. Widziałem już kiedyś tę sztuczkę, jednak nie w tak efektownym wykonaniu.

– Tak, sir – bąknął Pellaeon, bezskutecznie próbując ukryć podenerwowanie.

Kątem oka widział, że wielki admirał na niego patrzy.

– Spokojnie, kapitanie – powiedział łagodnie Thrawn. – Skywalker byłby bez dwóch zdań pożądanym prezentem dla naszego mistrza, jednak jego ucieczka to nie powód do zmartwień. Głównym celem tego pokazu było przekonanie Rebelii, że trafiła na trop szlaku przerzutowego klonów. A ten cel osiągnęliśmy.

Pellaeon poczuł, jak nieprzyjemny ucisk w jego piersi nieco ustępuje. Jeśli wielki admirał nie był wściekły…

– To jednak nie znaczy – podjął Thrawn, przerywając jego rozmyślania – że możemy zignorować uchybienia załogi „Chimaery”. Proszę za mną, kapitanie.

Pellaeon wstał. Ucisk w piersi wrócił ze zdwojoną siłą.

– Tak jest, sir.

Thrawn poprowadził go do tylnych schodów i zszedł do wnęki dla załogi. Minął obsługę usadowioną przy swoich konsolach oraz oficerów stojących sztywno nad nimi i zatrzymał się przy stanowisku kontroli prawoburtowych promieni ściągających.

– Nazwisko – powiedział cicho do stojącego przed nim na baczność młodego mężczyzny.

– Chorąży Mithel – odparł podoficer. Był blady, ale spokojny – jak ktoś, kto pogodził się z tym, że czeka go śmierć.

– Proszę opowiedzieć, co się wydarzyło, chorąży.

Mithel przełknął ślinę.

– Sir. Właśnie wziąłem frachtowiec na cel, gdy dosłownie rozprysnął się, tworząc chmurę rozpraszających promień cząsteczek. System namierzania próbował skupić się na wszystkich naraz i zablokował się w pętli.

– I co pan wówczas zrobił?

– Ja… sir, wiedziałem, że jeśli będę czekał, aż cząstki rozproszą się w zwykły sposób, nasz cel, czyli myśliwiec, znajdzie się poza zasięgiem. Spróbowałem więc rozproszyć je samodzielnie, zmieniając płaszczyznę rzutu promienia ściągającego.

– Nie zadziałało.

Spomiędzy warg Mithela wydarło się ciche westchnienie.

– Nie, sir. System namierzający nie był w stanie temu podołać. Zablokował się na amen.

– Tak. – Thrawn przechylił lekko głowę na ramię. – Miał pan chwilę na przemyślenie swoich działań, chorąży. Czy przyszło panu do głowy coś, co można by zrobić zamiast tego?

Wargi młodego mężczyzny drgnęły.

– Nie, sir. Przykro mi, ale nie. Nie przypominam sobie, by w podręcznikach była choćby wzmianka o podobnej sytuacji.

Thrawn pokiwał głową.

– Zgadza się – przyznał. – Nic takiego tam nie ma. W ciągu kilku ostatnich dziesięcioleci zaproponowano parę różnych sposobów radzenia sobie z gambitem całunowym, jednak żaden z nich nie okazał się skuteczny. Pańskie rozwiązanie stanowi jedno z innowacyjnych podejść do tego problemu, szczególnie ze względu na niewielką ilość czasu, jaką miał pan na jego obmyślenie. Fakt, że się nie sprawdziło, wcale nie umniejsza jego wartości.

Na twarzy Mithela odmalował się wyraz ostrożnego niedowierzania.

– Sir?

– Imperium potrzebuje szybkich i kreatywnych umysłów, chorąży – dodał Thrawn. – Niniejszym awansuję pana na porucznika… A pańskim pierwszym zadaniem będzie znalezienie sposobu na przeciwdziałanie manewrowi całunu osłaniającego. Fakt, że tym razem rebeliantom się powiodło, może ich skłonić do próby zastosowania tej sztuczki ponownie.

– Tak jest, sir! – wykrztusił Mithel. Na jego policzki powoli wracały rumieńce. – Ja… eee… dziękuję, sir.

– Moje gratulacje, poruczniku Mithel. – Thrawn skinął mu głową, po czym odwrócił się do Pellaeona. – Oddaję mostek pod pańskie

rozkazy, kapitanie. Proszę wrócić na wyznaczony kurs. Gdyby mnie pan potrzebował, będę w moim centrum dowodzenia.

– Tak jest, sir! – bąknął Pellaeon.

Stał jak sparaliżowany u boku świeżo upieczonego porucznika, czując, jak mostek dosłownie tchnie wręcz nabożnym respektem – wszyscy patrzyli w ślad za odchodzącym Thrawnem. Jeśli wczoraj załoga „Chimaery" ufała wielkiemu admirałowi i szanowała go, to po dzisiejszych wydarzeniach będzie gotowa oddać za niego życie. Kapitan nie miał co do tego wątpliwości.

I właśnie w tej chwili zyskał niezachwianą pewność, że stare Imperium odeszło… i że narodziło się nowe, z wielkim admirałem Thrawnem na czele.

X-wing trwał zawieszony w samym środku kosmicznej pustki, wiele lat świetlnych od litych mas większych niż ziarenko pyłu. Sytuacja przywodziła Luke'owi na myśl tamtą walkę z gwiezdnym niszczycielem, po której utknął w przestrzeni kosmicznej i która doprowadziła do spotkania z Talonem Karrde'em, Marą Jade oraz przywiodła go na Myrkr.

Na szczęście były to tylko pozory. A przynajmniej w dużej mierze.

R2-D2 zaszczebiotał coś nerwowo ze swojego gniazda astromecha.

– Och, daj spokój, Artoo, nie ma powodów do obaw – zapewnił go Luke. – Nie jest wcale aż tak źle. A poza tym i tak nie udałoby nam się dolecieć w pobliże Coruscant bez tankowania. Po prostu będziemy musieli zrobić to wcześniej.

Odpowiedziało mu oburzone mruknięcie.

– Ależ traktuję cię poważnie, Artoo – zapewnił robocika, przesyłając mu listę wyświetloną na ekranie komputera nawigacyjnego. – Spójrz tylko. Oto miejsca, do których możemy dotrzeć nawet na połowie ogniw zasilających. Widzisz?

Droid przez chwilę wydawał się analizować spis, a Luke skorzystał z okazji, by zerknąć na listę ponownie. Mieli całkiem spory wybór. Problem w tym, że pojawienie się w wielu z tych miejsc nie byłoby najbezpieczniejsze dla samotnego X-winga Nowej Republiki – połowa była pod kontrolą Imperium, a większość

pozostałych albo słynęła z sympatii proimperialnych, albo starała się zachować przynajmniej pozory neutralności.

Mimo to nawet w wypadku światów pod rządami Imperium istniały pewne luki w systemach wykrywania ruchu powietrznego, przez które mógłby się prześlizgnąć niewielki myśliwiec. Luke mógłby wylądować w jakimś odosobnionym miejscu, dotrzeć pieszo do kosmoportu i kupić ogniwa za imperialne kredyty, które mu zostały. Dostarczenie ich na pokład X-winga mogłoby być trudne, jednak nie było to nic, z czym nie poradziliby sobie razem z R2-D2.

Mały droid zaćwierkał pytająco.

– Owszem, Kessel brzmi nieźle – zgodził się Luke. – Ale nie jestem co do niego przekonany. Z tego, co słyszałem, wciąż rządzi tam Moruth Doole, a Han nigdy mu nie ufał. Mam wrażenie, że lepiej byłoby wybrać Fwillsving czy nawet… – Urwał, gdy jego wzrok padł na nazwę jednej z planet. To był świat, którego współrzędne Leia wpisała do jego komputera nawigacyjnego niemal w ostatniej chwili, nim wyruszył w tę misję: Honoghr. – Mam lepszy pomysł, Artoo – dokończył z namysłem. – Co powiesz na to, byśmy odwiedzili Noghrich?

Odpowiedział mu zaskoczony, pełen niedowierzania skrzek.

– Och, daj spokój – parsknął Luke. – Leia i Chewie byli tam i wrócili cali i zdrowi, zapomniałeś już? I Threepio również – dodał. – Nie chciałbyś chyba, żeby twój kolega rozpowiadał, że był w miejscu, do którego nie odważyłeś się lecieć, co?

R2-D2 burknął coś znowu urażony.

– To bez znaczenia, że nie miał wyboru – stwierdził stanowczo Luke. – Chodzi o sam fakt.

Droid wybełkotał coś żałośnie, wyraźnie zrezygnowany.

– Hej! Odrobina optymizmu jeszcze nikomu nie zaszkodziła! – zachęcił go łagodnie Jedi, wpisując w komputer nawigacyjny współrzędne Honoghra. – Leia i tak chciała, żebym ich odwiedził. W ten sposób upieczemy dwa wydmowe jaszczury na jednym ogniu.

R2-D2 zamruczał z konsternacją i zamilkł, bo nawet Luke, który ufał Lei bez zastrzeżeń, jeśli chodzi o Noghrich, musiał w duchu przyznać, że to nie było zbyt trafne porównanie.

Rozdział 5

Raport z Woostri wyświetlany na ekranie datapada dobiegł końca.

– Wciąż trudno mi w to uwierzyć – westchnęła Leia, kręcąc głową i odkładając notes elektroniczny na blat stołu. – Gdyby Imperium rzeczywiście dysponowało bronią zdolną przenikać osłony planetarne, wykorzystywałoby ją w każdym układzie, który zaatakowało! To musi być jakaś… sztuczka albo iluzja.

– Jestem tego samego zdania – przytaknęła cicho Mon Mothma. – Pytanie brzmi: jak przekonamy o tym resztę Rady i Zgromadzenia? Nie mówiąc już o rządach innych zewnętrznych układów…

– Musimy rozgryźć, co rzeczywiście wydarzyło się na Ukio i Woostri – oświadczył twardo admirał Ackbar. Jego głos brzmiał jeszcze poważniej niż zwykle. – I to szybko.

Leia sięgnęła znów po datapad, zerkając przy tym przelotnie na Kalamarianina. Powieki skrywające wielkie oczy istoty wydawały się nienaturalnie ciężkie, a różowawa skóra przybrała niezdrowo blady odcień. Widać było, że admirał jest koszmarnie zmęczony. Niestety, nic nie wskazywało na to, by zakrojona na skalę galaktyczną ofensywa Imperium miała w najbliższej przyszłości dobiec końca.

A co za tym idzie, oni również nie mogli liczyć w dającej się przewidzieć przyszłości na wytchnienie.

– Wiemy już, że wielki admirał Thrawn wykazuje zaskakującą zdolność do przewidywania posunięć swoich przeciwników – przypomniała zgromadzonym. – Czy mógłby się domyślić, jak szybko Ukianie i Woostroidzi skapitulują?

– Na przykład w porównaniu z Filvianami? – Mon Mothma pokiwała wolno głową. – To interesująca uwaga. Może oznaczać, że takiej iluzji nie da się wytwarzać zbyt długo.

– Albo wskazuje na to, że ten fortel wymaga dużych nakładów energetycznych – dodał Ackbar. – Gdyby Imperium odkryło sposób skupiania niewidzialnej energii na konkretnym obszarze pola

planetarnego, mogłoby je znacznie osłabić na czas wystarczający do przestrzelenia się przez nie turbolaserem. To jednak wymagałoby olbrzymich mocy…

– Nie mówiąc już o tym, że pozostawiłoby widomy ślad w postaci osłabienia samego pola – zauważyła trafnie Mon Mothma. – A takiej informacji nie otrzymaliśmy z żadnego ze źródeł.

– Niewykluczone, że nasze informacje są błędne lub niepełne – skontrował Ackbar, łypiąc spod oka na radcę Borska Fey'lyę. – Albo też sfabrykowane przez Imperium – dodał znacząco. – Takie rzeczy już się zdarzały.

Leia również zerknęła na Bothanina, zastanawiając się, czy ta wyraźna aluzja wyrwie go wreszcie z uporczywego milczenia. Jednak ten siedział wciąż bez słowa, wbijając wzrok w stół, z oklapniętą sierścią. Nie odzywał się ani nie reagował… może w ogóle nic nie myślał?

Leia przypuszczała, że w końcu wróci mu dawna pewność siebie, pozwalająca mu się wypowiadać otwarcie. Dopóki jednak wszyscy mieli świeżo w pamięci zamieszanie, jakie wywołały jego fałszywe zarzuty wobec Ackbara, wciąż trwał w czymś na podobieństwo narzuconej samemu sobie pokuty – zachowaniu typowym dla jego rasy w takich sytuacjach.

Leia poczuła, że do gardła podchodzi jej wywołana frustracją fala żółci. To już nie pierwszy raz typowy dla Bothan brak elastyczności w sprawach natury politycznej kłócił się z interesami Nowej Republiki. Zaledwie kilka miesięcy wcześniej z powodu bezpodstawnych zarzutów Fey'lyi wobec Ackbara rząd stracił mnóstwo cennego czasu i energii na roztrząsanie tamtej sprawy, teraz zaś, gdy Rada potrzebowała wszelkich pomysłów i środków, które pozwoliłyby jej na wyjście z impasu, Bothanin odgrywał rolę milczącego męczennika.

Bywały dni – i długie, ponure noce – gdy Leia rozpaczliwie szukała rozwiązania, które pozwoliłoby na powrót scalić tragicznie skłócone władze Nowej Republiki.

– Oczywiście, ma pan rację, admirale – przerwała wreszcie milczenie Mon Mothma. – Potrzebujemy dokładniejszych informacji. I to najszybciej, jak to możliwe.

– W tej kwestii nadal liczyłabym na wsparcie grupy Talona Karrde'a – odparła Leia. – Ma kontakty zarówno po stronie naszej, jak i Imperium, a z ostatniego raportu wysłanego przez Luke'a wynika, że Karrde byłby skłonny nam pomóc…

– Wolałbym nie polegać na kaprysach byle przemytnika – warknął Ackbar. Mięsiste macki wokół jego ust aż zesztywniały z nieskrywanej pogardy. – Co z generałem Belem Iblisem? Walczył samotnie z Imperium przez kilka ładnych lat.

– Generał przekazał nam już namiary na swoich agentów – zauważyła Mon Mothma. Uważny obserwator dostrzegłby, że drgnął jej przy tym nerwowo jeden mięsień w policzku. – Wciąż jeszcze wdrażamy ich w nasz system.

– Nie miałem na myśli jego kontaktów – odparł z rozdrażnieniem Ackbar – tylko jego samego. Dlaczego właściwie go tu nie ma?

Leia spojrzała na Mon Mothmę, czując znów nieprzyjemny ucisk w żołądku. Garm Bel Iblis był jedną z osób stojących za scaleniem działających samodzielnie komórek w Sojusz Rebeliantów i przez wiele lat tworzył jego nieoficjalne dowództwo wraz z Mon Mothmą i przybranym ojcem Lei, Bailem Organą. Gdy jednak Organa zginął wraz ze swoimi ludźmi wskutek ataku Gwiazdy Śmierci na Alderaan – a w następstwie tego faktu Mon Mothma zaczęła zagarniać dla siebie coraz więcej władzy w Rebelii – Bel Iblis wycofał się i rozpoczął walkę z Imperium na własną rękę. Od tamtej pory prowadził potajemnie swoją prywatną wojenkę… dopóki niemal przez przypadek los nie postawił na jego drodze rodaka z Korelii w osobie Hana Solo.

To właśnie na prośbę tego ostatniego Bel Iblis wspomógł Nową Republikę podczas walki o Flotę Katańską sześcioma pochodzącymi z niej drednotami. Mon Mothma przywitała go w łonie nowych władz z otwartymi ramionami, mówiąc o konieczności zapomnienia o dawnych ansach… po czym pospiesznie wysłała go z misją wzmocnienia ochrony zewnętrznych sektorów Nowej Republiki – najdalej, jak się dało.

Leia nie była jeszcze gotowa, by posądzić przywódczynię Nowej Republiki o mściwość… jednak wśród dygnitarzy sprawujących władzę w najwyższych kręgach nowego rządu byli tacy, którzy

dobrze pamiętali geniusz taktyczny Bela Iblisa – i nie wszyscy oni skłonni byli wierzyć w słuszność pobudek, jakimi kierowała się Mon Mothma.

– Doświadczenie generała jest niezbędne na froncie – stwierdziła spokojnie przywódczyni Republiki.

– Jego wnikliwa ocena jest potrzebna również tutaj – odciął się Ackbar, jednak Leia słyszała w jego głosie wyraźnie echo rezygnacji. Sam Kalamarianin wrócił dopiero co z inspekcji systemów obronnych Farrfina i Dolomara, a rankiem miał wyruszyć na Dantooine. W chwili gdy imperialna machina wojenna nabierała rozpędu, Nowa Republika nie mogła pozwolić sobie na luksus oddelegowywania swoich najlepszych dowódców liniowych do papierkowej roboty.

– Rozumiem pańskie obawy – stwierdziła Mon Mothma nieco łagodniej. – Gdy tylko sytuacja nieco się ustabilizuje, chciałabym, by generał Bel Iblis wrócił i zajął się planowaniem taktycznym.

„O ile się ustabilizuje" – pomyślała smętnie Leia, czując znów w brzuchu nieprzyjemny ucisk. Póki co działania ofensywne szły dokładnie po myśli Imperium…

Poczuła nagły niepokój, gdy dotarło do niej poniewczasie, że dziwne skurcze nie były wcale oznaką podenerwowania.

Ackbar zaczął coś mówić, jednak weszła mu bezceremonialnie w słowo:

– Wybaczcie – bąknęła, wstając. – Nie chciałabym przerywać spotkania, ale muszę się udać do centrum medycznego.

Mon Mothma otworzyła szeroko oczy.

– Bliźnięta?

Leia pokiwała głową.

– Chyba są już w drodze…

Ściany i sufit sali porodowej były pomalowane na ciepły, beżowy kolor, a wyświetlane na ich tle świetlne wzory zsynchronizowano z falami mózgowymi Lei. W teorii miało to jej pomóc odprężyć się i skupić, jednak jak to często bywa, również i tym razem teoria nie szła w parze z praktyką. Po dziesięciu godzinach wpatrywania się

w ruchome plamy światła księżniczka uznała, że technika ta zdecydowanie straciła efektywność.

Pojawił się kolejny skurcz, silniejszy od poprzednich. Leia odruchowo sięgnęła po Moc, wykorzystując metody tłumienia bólu, których nauczył ją Luke. Pomijając wszystko inne, miała przynajmniej okazję poćwiczyć swoje umiejętności Jedi – i to nie tylko do łagodzenia bólu. „Już dobrze – wysłała maleńkim umysłom ukrytym w jej wnętrzu kojącą wiadomość. – Wszystko w porządku. Mamusia jest z wami".

Cóż, niezbyt pomogło. Przerażone maleństwa nie rozumiały, co się z nimi dzieje, dlaczego ich drobne ciałka są poddawane dziwnemu uciskowi i powoli wypychane w nieznane. Ich umysły przepełniał bezgraniczny strach.

Trzeba przyznać, że ich ojciec wcale nie był w lepszym stanie.

– Wszystko w porządku? – spytał znowu Han. (Leia przestała już liczyć, który to raz, odkąd się tu znaleźli). Ścisnął mocniej jej dłoń (również po raz nie wiadomo który), wyrażając w ten sposób swoje współczucie dla niej, gdy znów skuliła się pod wpływem skurczu.

– Tak – zapewniła go przez ściśnięte gardło. Kiedy skurcz minął i napięcie opuściło jej ramiona, odwzajemniła uścisk. – Ty nie wyglądasz jednak za dobrze.

Skrzywił się z udawanym oburzeniem.

– Już dawno powinienem być w łóżku – zażartował.

– Och, ależ oczywiście – podchwyciła. Od chwili, gdy poród zaczął się na dobre, jej mąż siedział jak na szpilkach, ale dzielnie starał się tego nie okazywać. Leia przypuszczała, że bardziej ze względu na nią niż z obawy, że ucierpiałby na tym jego wizerunek twardziela. – Przykro mi.

– Nie przejmuj się. – Han zerknął w stronę kręcących się w pobliżu łóżka lekarza i dwóch droidów typu MD. – Chyba zbliżamy się do mety, kochanie.

– Mam taką nadzieję – wykrztusiła Leia przez zaciśnięte zęby, skupiona na nowym skurczu. – Och!

Niepokój Hana zwiększył się o jeden poziom.

– Wszystko w porządku?

Pokiwała machinalnie głową, niezdolna wydusić przez ściśnięte gardło choćby jedno słowo.

– Obejmij mnie, Han – wydyszała, gdy znów odzyskała głos. – Po prostu… mnie obejmij…

– Jestem przy tobie, kochanie – powiedział cicho, otaczając wolną ręką jej ramiona i ściskając je delikatnie, pokrzepiająco.

Ledwie słyszała jego słowa. W jej wnętrzu maleńkie istotki, które powołali razem do życia, zaczynały się poruszać… i nagle ich strach przerodził się w panikę.

„Nie bójcie się – przemawiała do nich łagodnie w myśli. – Nie ma powodów do obaw. Już wkrótce wszystko będzie dobrze. Jestem tutaj. Już niedługo będziecie przy mnie”.

Nie spodziewała się w zasadzie żadnej reakcji – umysły bliźniąt nie były jeszcze na tyle wykształcone, by rozumieć coś tak abstrakcyjnego jak słowa czy koncepcję przyszłych wydarzeń. Mimo to nie przestawała do nich czule przemawiać, starając się najlepiej, jak umiała, rozwiać ich strach, zastępując go miłością, poczuciem bezpieczeństwa i pokrzepieniem. Nastąpił kolejny skurcz, przybliżając jeszcze odrobinę to, co nieuchronne…

I nagle ku jej nieopisanemu zdumieniu i wielkiej radości jeden z maleńkich umysłów odpowiedział na ten mentalny dotyk w sposób, w jaki żadne z bliźniąt dotychczas nie zareagowało na nieme słowa otuchy. Panika powoli zaczynała ustępować, a w umyśle Lei pojawiła się wizja małej dłoni zaciśniętej mocno wokół jej palca. „Tak – zapewniła dziecko. – Jestem waszą mamą i jestem tutaj”.

Miniaturowy umysł zdawał się przez chwilę rozważać jej słowa – podczas gdy ona nie przestawała przemawiać do niego – aby wreszcie skoncentrować się na czym innym. Uznała, że to dobry znak: jeśli maleństwo było w stanie oderwać myśli od tego, co się z nim działo…

Nagle ku jej zaskoczeniu i uldze również drugi umysł przestał wysyłać sygnały paniki – umysł, który, o ile była w stanie to stwierdzić, nie wyczuł nawet jeszcze jej obecności.

Nieco później, gdy analizowała na spokojnie całą tę sytuację, dotarło do niej, że było to zupełnie naturalne i zrozumiałe, jednak

w tej chwili nowe doznanie było na tyle zaskakujące, by przyprawić ją o nagły dreszcz wzruszenia. Bliźnięta, wzrastając w jej wnętrzu i rozwijając się jednocześnie w Mocy, w jakiś sposób wytworzyły między sobą więź – były dostrojone do siebie w sposób, którego, jak wiedziała, jej samej nigdy nie będzie dane zaznać.

Nigdy nie była bardziej dumna niż w tej chwili… jednak czuła też dojmujący smutek. Płynął on ze świadomości, że jej dzieci będą wzrastały w Mocy, z każdym dniem coraz nią silniejsze, oraz że jednocześnie w ich życiu będzie miejsce, do którego nigdy nie będzie miała dostępu.

Skurcz ustąpił, a gorzko-słodka wizja przyszłości zmalała do ledwie wyczuwalnego bólu gdzieś na obrzeżach umysłu – bólu, który nasilił się, gdy ze wstydem się zorientowała, że w przypływie egoistycznych uczuć ani przez chwilę nie pomyślała o tym, że Han będzie miał jeszcze bardziej ograniczony dostęp do przeżyć ich własnych dzieci niż ona.

I nagle przez mgłę półświadomych refleksji przebiło się światło – jakby ktoś zapalił jej przed oczami oślepiający reflektor. Odruchowo zacisnęła kurczowo palce na dłoni Hana.

– Co się…

– To już! – zawołał jej mąż, odwzajemniając uścisk. – Pierwsze już prawie jest…

Zamrugała, a oślepiający rozbłysk zniknął, gdy jej umysł utracił więź z dziećmi. Dziećmi, które do tej pory trwały w półmroku jej ciała, mając do czynienia jedynie z rozproszoną poświatą…

– Wyłączcie to światło – wydyszała. – Jest zbyt jasne! Oczy dzieci…

– Wszystko w porządku – zapewnił ją lekarz. – Ich oczy szybko się przystosują. No dobrze, jeszcze jedno parcie…

I nagle, bez ostrzeżenia było już po wszystkim – a przynajmniej połowicznie.

– Jedno już jest! – powiedział Han dziwnie łamiącym się głosem. – To… – Wyciągnął szyję. – To nasza córka. – Gdy spojrzał znów na Leię, napięcie wciąż malujące się na jego twarzy łagodził krzywy uśmiech, który tak dobrze znała. – Jaina…

Pokiwała głową.

– Jaina – powtórzyła. Nie wiedziała ani dlaczego, ani jak to możliwe, ale imię, które wybrali wspólnie dla córki, zabrzmiało nagle zupełnie inaczej niż wcześniej. – Co z Jacenem?

– Chyba nie może się doczekać, aż dołączy do siostry – zażartował lekarz. – Proszę się przygotować do parcia. Wygląda, jakby miał ochotę sam wyczołgać się na świat. W porządku… teraz!

Leia zaczerpnęła głęboko tchu. Wreszcie! Po dziesięciu godzinach porodu… i dziewięciu miesiącach ciąży wreszcie widać było koniec.

„Nie – poprawiła się w myśli. – Nie koniec. Tylko początek".

Kilka minut później położyli jej bliźnięta na piersi, a gdy spojrzała na nie, później zaś na Hana, poczuła błogość i wszechogarniający spokój. Możliwe, że daleko pośród gwiazd wciąż toczyła się wojna, jednak tu i teraz wszystko było w jak najlepszym porządku.

– Uważaj, dowódco! – w słuchawkach Wedge'a rozbrzmiał głos Łotra Dziesięć. – Jeden siedzi ci na ogonie!

– Widzę! – odparł Antilles, skręcając ostro w bok.

Myśliwiec TIE przemknął obok niego, bluzgając laserowym ogniem z działek, a następnie spróbował powtórzyć manewr Wedge'a. Lecący tuż zanim X-wing udaremnił mu to jednak, obracając go ułamek sekundy później w chmurę płonących szczątków.

– Dzięki, Ósemko! – powiedział Wedge, zdmuchując z czubka nosa kropelkę potu i zerkając na odczyty. Wyglądało na to, że przynajmniej chwilowo ich rejon był czysty. Zawracając łagodnym łukiem, rozejrzał się po okolicy, by szybko ocenić sytuację.

Było znacznie gorzej, niż się obawiał. Jeśli chodzi o ścisłość, zdecydowanie gorzej niż jeszcze pięć minut temu. Z nadprzestrzeni wyskoczyły dwa gwiezdne niszczyciele typu Victory, zajmując pozycję w pobliżu jednego z trzech ocalałych kalamariańskich krążowników. Jeśli sądzić po zaciekłości, z jaką raziły go salwami z turbolaserów…

– Eskadra Łotrów? Zmienić kurs na dwa-zero-dwa koma osiem! – rozkazał Wedge, zawracając kursem przechwytującym i zastanawiając się, jak Imperium zdołało dokonać czegoś takiego.

Podobnie dokładny skok trudno było wykonać w idealnych warunkach. Osiągnięcie zbliżonej precyzji w samym środku bitwy… cóż, coś takiego graniczyło z cudem. To był tylko kolejny przykład nowego, niesamowitego talentu Imperium do koordynowania ataków.

Droid astromechaniczny zaćwierkał ostrzegawczo ze swojego gniazda za jego plecami: byli teraz zbyt blisko dużej masy, aby skoczyć w nadświetlną. Wedge rozejrzał się ponownie, marszcząc czoło… i dostrzegł krążownik przechwytujący majaczący w oddali. Trzymał się na uboczu, z dala od ognia walk. Najwyraźniej Imperium nie chciało, by którykolwiek ze statków Nowej Republiki wymknął się zbyt szybko z imprezy…

Tuż przed nim z hangarów niszczycieli typu Victory wyskakiwały roje myśliwców TIE.

– Szyk Porkinsa! – zarządził. – Uważać na skrzydłowych. Krążownik „Orthavan”? Tu Eskadra Łotrów. Nadlatujemy!

– Zostańcie, gdzie jesteście, dowódco Łotrów – odpowiedział kalamariański głos. – Mają zbyt dużą przewagę. Nie zdołacie nam pomóc…

Wedge zacisnął zęby. Kalamarianin miał rację.

– Spróbujemy mimo to – powiedział twardo. Nadlatujące TIE były już niemal w ich zasięgu. – Trzymajcie się!

– Eskadra Łotrów, tu Bel Iblis – odezwał się nowy głos. – Wstrzymajcie atak. Na mój znak skręcajcie trzydzieści stopni na lewo.

Wedge z trudem stłumił chęć odpowiedzenia czegoś, czym z dużą dozą prawdopodobieństwa zasłużyłby sobie na sąd wojskowy. Gdyby ktoś spytał go o opinię, to dopóki okręt był w jednym kawałku, istniała szansa na jego ocalenie. Najwyraźniej jednak generał Bel Iblis był innego zdania.

– Przyjąłem, generale – westchnął. – Eskadra Łotrów, przygotujcie się…

– Eskadra Łotrów, teraz!

Wedge zawinął swoim myśliwcem posłusznie, choć niechętnie w bok. TIE zmieniły kurs, by podążyć za grupą, szybko jednak rozproszyły się nieco, jak gdyby ich pilotów coś spłoszyło… i nagle,

z rykiem słyszalnym wyraźnie nawet w rozrzedzonych gazach przestrzeni międzyplanetarnej, przez miejsce, w którym jeszcze przed chwilą była Eskadra Łotrów, przemknęła w szyku grupa A-wingów. Złapani w połowie powtarzania manewru X-wingów piloci myśliwców TIE nie mieli nawet czasu zareagować. Mim zdążyli przeorganizować szyk i sformować zaporę, A-wingi wyminęły ich, prując pełną parą ku osaczonemu krążownikowi Republiki.

– W porządku, Łotry – powiedział Bel Iblis. – Teraz wasza kolej. Oczyśćcie im tyły.

Wedge uśmiechnął się szeroko. Nie powinien był lekceważyć Bela Iblisa.

– Przyjąłem, generale. Eskadra Łotrów? Za nimi!

– A potem – podjął Bel Iblis nieznoszącym sprzeciwu tonem – przygotujcie się do odwrotu.

Antilles zamrugał, czując, jak rzednie mu mina. Odwrót? Zawracając w stronę myśliwców TIE, obejrzał się na obszar, w którym toczyła się główna walka.

Kilka minut wcześniej uznał, że sytuacja wygląda kiepsko. W tej chwili była bliska katastrofy. Siły Bela Iblisa zostały zredukowane do zaledwie dwóch trzecich pierwotnej piętnastki okrętów, z którymi tu przybył, a i ta dziesiątka radziła sobie tylko z najwyższym trudem, okrążona przez ponad dwadzieścia gwiezdnych niszczycieli i drednotów, których załogi były zdeterminowane, by się z nimi szybko rozprawić.

Wedge obejrzał się na nadlatujące myśliwce TIE oraz majaczący za nimi krążownik przechwytujący… krążownik, którego projektory studni grawitacyjnych skutecznie uniemożliwiały uciemiężonej flotylli skok w nadprzestrzeń.

Nie było jednak czasu na dalsze rozmyślania, bo nadszedł nieuchronny moment konfrontacji. Starcie było burzliwe, ale krótkie. Nagłe pojawienie się A-wingów, które nadleciały w ślad za Eskadrą Łotrów, najwyraźniej zaskoczyło pilotów myśliwców TIE w stopniu wystarczającym, aby siły Republiki zyskały nieco przewagi. Trzy, może cztery minuty i Eskadra Łotrów znów sprawnie oczyściła teren.

– Co teraz? – dopytywał Łotr Dwa, gdy zmieniali szyk wśród szczątków imperialnych maszyn.

Zaciskając w duchu kciuki, Wedge zerknął na „Orthavana”. Jeżeli fortel Bela Iblisa nie zadziałał…

Okazało się jednak, że niepotrzebnie się martwił. Niespodziewana szarża A-wingów przerwała atak gwiezdnych niszczycieli typu Victory na dość długo, by zapewnić republikańskiemu krążownikowi chwilę wytchnienia potrzebną na powrót do ofensywy. „Orthavan” robił teraz dobry użytek zarówno ze swoich imponujących turbolaserów, jak i baterii dział jonowych, zakłócając systemy imperialnych statków i bombardując gradem strzałów ich kadłuby. Na oczach Wedge’a gejzer superrozgrzanych gazów trysnął ze środkowej części klinowatej sylwetki stacjonującego bliżej niszczyciela, wprawiając go w mozolny obrót i kierując z dala od centrum walk. Nurkując pod kadłubem unieszkodliwionego okrętu wroga, republikański gwiezdny krążownik zaczął się oddalać w stronę krążownika przechwytującego typu Immobilizer.

– Obieramy kurs w kierunku „Orthavana” – polecił Antilles. – Mogą potrzebować wsparcia.

Ledwie wybrzmiały jego słowa, gdy po obu burtach „Orthavana” zmaterializowały się nagle dwa drednoty wychodzące z nadprzestrzeni. Wedge wstrzymał oddech… jednak republikański krążownik za bardzo się już rozpędził, by drednoty zdołały zareagować czymś więcej niż tylko chaotyczną kanonadą oddaną w jego kierunku. Kalamariański krążownik minął je, nie zwalniając tempa, a gdy drednoty zawróciły, by rzucić się za nim w pościg, eskadra A-wingów powtórzyła swój wcześniejszy atak. Kolejny raz element zaskoczenia zadziałał i skutecznie udaremnił wrogowi realizację jego zamysłów. Nim na miejsce dotarła fala imperialnych myśliwców, „Orthavan” był już zbyt daleko, by drednoty zdołały go dogonić.

Ale Imperium doskonale o tym wiedziało. Usadowiony w gnieździe za plecami Wedge’a droid astromechaniczny zapiszczał. Sztuczne pole grawitacyjne zaczynało niknąć, gdy zawieszony w oddali krążownik przechwytujący wyłączył projektory studni grawitacyjnych, przygotowując się do skoku w nadprzestrzeń.

Krążownik przechwytujący, który…

Dopiero teraz, po fakcie, Antilles zrozumiał, że pomylił się wcześniej w swojej ocenie. Te gwiezdne niszczyciele typu Victory nie musiały polegać na żadnej tajemniczej technice koordynacyjnej, aby wyskoczyć z nadprzestrzeni tak blisko kalamariańskiego okrętu – wystarczyło, by trzymały się wytycznych dostarczanych im przez krążownik przechwytujący i zaczekały, aż skraj studni grawitacyjnej ściągnie je do normalnej przestrzeni.

Gdy zorientował się, co właśnie zaszło, wykrzywił usta w gorzkim grymasie. Już dawno nauczył się, że przecenianie zdolności wroga może być równie niebezpieczne, co ich niedocenianie. Będzie musiał dobrze zapamiętać tę lekcję.

– Krążownik przechwytujący wyłączył pole grawitacyjne – rozbrzmiał w jego uchu głos Bela Iblisa. – Do wszystkich jednostek: potwierdzić przyjęcie rozkazu i przygotować się do odwrotu.

– Tu dowódca Eskadry Łotrów. Przyjąłem! – zameldował Wedge, z kwaśną miną obierając ustalony wektor odwrotu. Obrzucił spojrzeniem to, co zostało z ich głównej grupy bojowej. Nie było żadnych wątpliwości co do tego, że zebrali tęgie lanie i tylko legendarny geniusz taktyczny Bela Iblisa zdołał ich uchronić przed poniesieniem druzgocącej porażki.

Przyjdzie im za to jednak słono zapłacić, a ceną będzie zapewne utrata kolejnego układu na rzecz Imperium.

– Eskadra Łotrów? Ruszajcie!

– Tak jest – westchnął z ciężkim sercem Antilles. Gdy pociągnął za dźwignię hipernapędu, a gwiazdy rozmazały się w lśniące smugi, przyszła mu do głowy smętna myśl: w najbliższej przyszłości raczej nie będzie miał problemu z niedocenianiem Imperium…

Rozdział 6

Rozmyte gwiezdne linie ponownie zmieniły się w świetlne punkciki. „Dziki Karrde” wrócił do normalnej przestrzeni. W oddali lśniło maleńkie słońce układu Chazwy, biały karzeł, niewyróżniający się w zasadzie niczym szczególnym wśród otaczających go gwiazd. W pobliżu, nieco na uboczu, dało się dostrzec samą Chazwę – w większości zaciemniony dysk obramowany lśniącym sierpem. W otaczającym planetę mroku przestrzeni kosmicznej połyskiwały smugi gazów wylotowych jakichś pięćdziesięciu odlatujących z planety i docierających do niej statków. Większość z nich stanowiły frachtowce i krążowniki transportowe wykorzystujące fakt, że Chazwa była znanym węzłem tranzytowym. Kilka można było bez trudu zidentyfikować jako okręty Imperium.

– No to jesteśmy – mruknął niezobowiązującym tonem zasiadający przy stanowisku drugiego pilota Aves. – A tak przy okazji, Karrde, chciałbym zaznaczyć, że moim zdaniem to poroniony pomysł.

– Może i tak – zgodził się Talon, obierając kurs na planetę i obrzucając pobieżnym spojrzeniem odczyty na wyświetlaczach. Doskonale: reszta ich grupy dotarła już na miejsce. – Jeśli jednak imperialny szlak przerzutu klonów rzeczywiście prowadzi przez sektor Orus, to informacje o tym powinny się znajdować w rejestrach garnizonu na Chazwie. Być może są tam nawet dane o umiejscowieniu linii produkcyjnej, jeśli imperialni nie zachowali należytej ostrożności.

– Nie chodzi mi o szczegóły tej misji – sprostował Aves. – Tylko o to, że w ogóle się w to wszystko pakujemy. To wojna Nowej Republiki, nie nasza. Niech sami się męczą z wytropieniem źródła dostaw klonów.

– Gdybym tylko miał pewność, że podołają temu zadaniu… – westchnął Karrde, wyglądając przez iluminator w prawej burcie.

W stronę „Dzikiego Karrde'a" sunął powoli kolejny frachtowiec. – Nie jestem jednak przekonany, czy są w stanie tego dokonać.

Aves odchrząknął.

– Nadal nie chce mi się wierzyć w dane, których dostarczył ci Skywalker. Jeśli chcesz znać moje zdanie, to gdyby można było tak szybko hodować stabilne umysłowo i emocjonalnie klony, ich dawni twórcy z pewnością by to robili.

– Może tak właśnie było – zauważył Karrde. – Chyba nie zachowały się po prostu żadne informacje na temat technik klonowania z tamtego okresu. Wszystko, z czym miałem do czynienia, dotyczy wcześniejszych, przedwojennych eksperymentów.

– Pewnie tak… – bąknął Aves, kręcąc głową. – Mimo to i tak wolałbym się do tego wszystkiego nie mieszać…

– Skoro już o tym mowa, może się okazać, że nie mamy wyboru. – Karrde wskazał na frachtowiec kierujący się wprost na nich. – Wygląda na to, że będziemy mieli gości. Mógłbyś go sprawdzić?

– Pewnie. – Aves obrzucił szybkim spojrzeniem frachtowiec, a potem skupił się na swoim pulpicie. – Nie mamy nic takiego w naszych rejestrach… Zaraz, chwileczkę. A, zgadza się: zmienili kod. Wygląda na prostą nakładkę na transponder. Przekonajmy się, czy magiczny dekoder Ghenta poradzi sobie z tą sztuczką…

Karrde pokiwał głową. Na wzmiankę o Ghencie jego myśli poszybowały przelotnie ku drugiemu krańcowi galaktyki i dwóm jego współpracownikom, których pozostawił tam pod opieką służb Nowej Republiki. Jeśli ich lekarze trafnie oszacowali czas konieczny do pełnej rekonwalescencji Mary, powinna właśnie dochodzić do siebie. Wkrótce zapewne spróbuje się z nim skontaktować. Zapamiętał, aby po powrocie z tej misji sprawdzić, czy nie czeka na niego wiadomość od niej.

– Mam! – zawołał triumfalnie Aves. – No, no… Najwyraźniej odwiedził nas twój stary znajomy, Karrde. To „Duma Kerna" i jej niezbyt chlubny właściciel w osobie Samuela Tomasa Gillespeego.

– Nie może być! – parsknął kpiąco szef przemytników, zerkając na statek, od którego dzieliło ich teraz nie więcej niż sto metrów. – Lepiej przekonajmy się, czego chce. – Otworzył wąskopasmowy

kanał łączności. – Tu Talon Karrde do „Dumy Kerna” – powiedział. – Nie wstydź się, Gillespee. Przywitałbyś się czy coś…

– Cześć, Karrde – dobiegł z głośnika znajomy głos. – Chyba nie masz nic przeciwko temu, że wolałem się upewnić, z kim mam do czynienia, nim się odezwę?

– Ależ skąd! – zapewnił go przemytnik. – A tak przy okazji, ładna nakładka maskująca.

– Jasne, mogłaby być lepsza – stwierdził kwaśno Gillespee. – My jeszcze nie nadgryźliśmy nawet porządnie waszej. A tak przy okazji, co tu robicie?

– Właśnie miałem spytać cię o to samo – odparł Karrde. – Wydawało mi się, że planowałeś przejść na emeryturę?

– Przeszedłem – odpowiedział ponuro Gillespee. – Wycofałem się na dobre, pozamykałem wszystkie sprawy, kupiłem sobie ładny kawałek ziemi na zapyziałej planetce, w miejscu, w którym mogłem sobie patrzeć, jak rosną drzewa, i trzymać się z dala od kłopotów. Na świecie znanym jako Ukio, słyszałeś może o nim kiedyś?

Siedzący obok Karrde’a Aves potrząsnął głową i wymamrotał coś pod nosem.

– Chyba ta nazwa obiła mi się ostatnio o uszy – przyznał z namysłem Talon. – Czy byłeś tam, gdy Imperium przypuściło atak?

– Owszem: podczas oblężenia, kapitulacji i okupacji, dopóki byłem w stanie ją znieść – warknął Gillespee. – Jeśli chodzi o ścisłość, miałem pierwszorzędny widok na bombardowanie. Możesz mi wierzyć, wyglądało naprawdę spektakularnie.

– Niewykluczone, że dzięki temu doświadczeniu mógłbyś się także nieco wzbogacić – zauważył ostrożnie Karrde, myśląc intensywnie. O ile wiedział, Nowa Republika nadal nie znała dokładnego przebiegu ataku na Ukio. Dane z pierwszej ręki mogłyby się okazać bezcennym materiałem dla ich taktyków… a także zapewnić pokaźną sumkę zarówno świadkowi wydarzeń, jak i osobie, która ich z nim skontaktuje. – Nie masz może przypadkiem jakichś nagrań z samego ataku?

– Mam krótki zapis bombardowania – przyznał Gillespee. – Na datakarcie z mojej makrolornetki. Dlaczego pytasz?

– Istnieje spora szansa, że mógłbym znaleźć na nie kupca – poinformował go Talon. – Może zrekompensowałoby ci to choć częściowo poniesione straty…

– Wątpię, czy twój kupiec miałby aż tyle forsy – parsknął Gillespee. – To naprawdę nie do wiary, Karrde. Mówię poważnie. Pomijając już Svivren… nawet zawłaszczenie Ukio powinno było im zająć nieco więcej czasu!

– Imperium ma całkiem spore doświadczenie w podboju planet – przypomniał mu z nutą ironii w głosie Talon. – Powinieneś się cieszyć, że w ogóle udało ci się ujść z życiem.

– Racja – zgodził się Gillespee. – Faughn i Rappapor zgarnęli mnie tuż przed tym, jak zjawili się szturmowcy. I robotnicy, przysłani, aby zmienić moją ziemię w pola uprawne. Mówię ci, ten ich nowy system klonowania jest naprawdę przerażający.

Karrde zerknął z ukosa na Avesa.

– Co masz na myśli?

– Jeszcze pytasz? – parsknął Gillespee. – Wiesz, osobiście jestem zdania, że ludzie zdecydowanie nie powinni pochodzić z linii produkcyjnej. A jeśli już tak musi być, to na pewno nie powierzyłbym zadania jej nadzorowania Imperium. Powinieneś był widzieć tych kolesi, jak zawiadują blokadami. Sam widok przyprawia o gęsią skórkę.

– Nie wątpię – przyznał Karrde. – Masz jakieś konkretne plany po opuszczeniu Chazwy?

– Szczerze mówiąc, nie mam żadnych sprecyzowanych planów – wyznał kwaśno Gillespee. – Liczyłem na to, że uda mi się tu złapać dawnego informatora Brascka i sprawdzić, czy nie byłby zainteresowany skorzystaniem z naszych usług. A czemu pytasz? Masz jakąś lepszą ofertę?

– Niewykluczone – odparł oględnie Talon. – Możemy zacząć od wysłania tej datakarty z makrolornetki do mojego kupca i zainkasowania zapłaty za pośrednictwem linii kredytowej, którą dla mnie otworzył. Później zaś… chciałbym wcielić w życie pewien projekt, który mógłby zainteresować zarówno was, jak i…

– Mamy towarzystwo – wszedł mu w słowo Aves. – Dwa imperialne statki lecą wprost na nas. Wyglądają na fregaty typu

Lancer.

– Ups! – wymamrotał pod nosem Gillespee. – Może wcale nie zdołaliśmy wykraść się z Ukio tak niepostrzeżenie, jak nam się zdawało…

– Wydaje mi się, że chodzi im raczej o nas – rzucił Karrde, krzywiąc się ponuro i kierując swój statek z dala od wrogich jednostek. – Miło się z tobą gawędziło, Gillespee. Gdybyś miał ochotę dokończyć tę rozmowę, spotkaj się ze mną za osiem dni w układzie Trogana. Wiesz gdzie.

– Dotrę tam, jeśli tylko się tam zjawisz – odparł Gillespee. – A gdyby ci się nie udało… no wiesz, daj im popalić.

Karrde przerwał łączność.

– Jasna sprawa – mruknął. – No dobra. Lecimy. Tylko spokojnie…

Zanurkował „Dzikim Karrde'em" łagodnie w dół i w lewo, starając się sprawiać wrażenie, jakby próbowali okrążyć planetę.

– Czy mam ostrzec resztę? – spytał Aves.

– Jeszcze nie – odpowiedział Karrde, zerkając pobieżnie na wyświetlacze i wpisując w komputer nawigacyjny komendę dla obliczenia skoku w nadprzestrzeń. – Wolałbym przerwać misję i zrobić później drugie podejście, niż zadzierać z dwiema fregatami, które nie będą się raczej z nami cackać.

– Taaa – bąknął Aves z namysłem. – Szefie… one… eee… nie zmieniają kursu.

Talon poderwał głowę znad pulpitu. Aves miał rację – żaden z Lancerów nawet nie drgnął. Nadal leciały pierwotnym kursem… wprost na „Dumę Kerna".

Gdy obejrzał się na Avesa, ten odwzajemnił jego spojrzenie.

– Co robimy? – spytał.

Szef przemytników popatrzył znów na imperialne fregaty. „Dziki Karrde" zdecydowanie nie był bezbronny i dałby sobie radę podczas starcia, a jego ludzie należeli do najlepszych spośród najlepszych. Ponieważ jednak dysponowali uzbrojeniem zaprojektowanym do walki z myśliwcami, musieliby naprawdę się postarać, by całą grupą, którą przybyli na Chazwę, rozprawić się z dwoma Lancerami.

Na jego oczach „Duma Kerna" nagle zareagowała. Obracając się w czymś na kształt manewru Koiograna, w pełnym pędzie zmieniła

ostro kurs. Lancery jednak nie dały się zmylić i natychmiast powtórzyły sztuczkę, siadając jej na ogonie… dzięki czemu „Dziki Karrde” miał teraz swobodne pole manewru. Mógł spokojnie udać się na Chazwę, dotrzeć do archiwów garnizonu i zniknąć stąd, nim Lancery zdążą wrócić, szybko, schludnie i z pewnością po myśli Nowej Republiki.

Jednak Karrde znał Gillespeego nie od dziś… a w jego prywatnym rankingu kolega po fachu stał zdecydowanie wyżej niż każdy galaktyczny rząd, któremu nie poprzysięgał lojalności.

– Chyba jednak Gillespeemu nie udało się umknąć z Ukio tak po cichu, jak mu się zdawało – stwierdził, obracając „Dzikiego Karrde’a” w przeciwną stronę i aktywując interkom. – Lachton, Chin, Corvis? Rozgrzewajcie turbolasery. Wkraczamy do akcji.

– Co z pozostałymi? – spytał Aves, uruchamiając osłony i włączając ekran taktyczny.

– Najpierw ściągnijmy na siebie uwagę tych Lancerów – powiedział Talon. Gdy trójka, którą oddelegował do obsługi turbolaserów, zasygnalizowała stan gotowości, wziął głęboki oddech i wcisnął gaz do dechy.

Oficerowie dowodzący Lancerami nie byli jednak w ciemię bici. Gdy „Dziki Karrde” rozpoczął szarżę, jedna z fregat przerwała pościg za „Dumą Kerna” i zawróciła, aby stawić czoła nowemu zagrożeniu.

– Chyba zadziałało – zauważył Aves pełnym napięcia głosem. – Czy mam już dać znać reszcie?

– Śmiało – przyzwolił Karrde, otwierając ponownie wąskopasmowy kanał łączności, aby nawiązać kontakt z „Dumą Kerna”. – Gillespee, tu Karrde.

– Tak, widzę was – nadeszła odpowiedź. – Co wy właściwie wyprawiacie?

– Dajemy ci szansę na ucieczkę – odpowiedział Talon.

Lecąca na nich fregata otworzyła ogień z dwudziestu poczwórnych działek laserowych, zasypując ich gradem zielonych promieni energetycznych. „Karrde” odpowiedział ostrzałem z turbolaserów, które wyglądały, trzeba to przyznać, dość żałośnie w porównaniu z uzbrojeniem Lancerów.

– W porządku, ta ma już zajęcie. Lepiej stąd znikaj, zanim ta druga cię dopadnie.

– Związaliście ją walką? – wykrztusił Gillespee. – Słuchaj, Karrde…

– Powiedziałem: zabieraj się stąd! – wszedł mu ostro w słowo Talon. – Nie zdołamy jej utrzymać zbyt długo. O mnie się nie martw. Nie jestem tu sam.

– Nadlatują… – zameldował Aves i Karrde poświęcił chwilę na zerknięcie na tylny wyświetlacz. Zgadza się, jego grupa już się zbliżała: piętnaście frachtowców lecących wprost na imperialną fregatę, nagle przytłoczoną przewagą liczebną wroga.

Z głośników rozległ się pełen podziwu gwizd.

– Nie żartowałeś, co? – bąknął Gillespee.

– Nie, nie żartowałem – odparł Talon. – A teraz czy łaskawie stąd spłyniesz?

Gillespee parsknął głośnym śmiechem.

– Zdradzę ci pewien sekret, Karrde. Ja również nie jestem tu sam.

I nagle, ledwie widoczne przez zasłonę laserowego ognia rażącego iluminatory „Dzikiego Karrde'a", w pobliżu pojawiły się strumienie gazów wylotowych niemal dwudziestu statków, które porzuciwszy swoje dotychczasowe kursy, zaczęły gromadzić się wokół drugiego Lancera niczym stado głodnych Barabelów.

– Wygląda na to– zagaił Gillespee jakby nigdy nic – że żaden z nas nie ubije tym razem interesu na Chazwie. Co powiesz na to, żebyśmy wrócili do tej rozmowy w bardziej sprzyjających okolicznościach? Dajmy na to za osiem dni?

Karrde uśmiechnął się pod nosem.

– Z miłą chęcią. – Podniósł wzrok na Lancera… i mina mu zrzedła. Standardowo fregata typu Lancer wymagała ośmiuset pięćdziesięciu członków załogi, a jeśli sądzić po tym, jak sprawnie statek radził sobie z odpieraniem ataku, można było przypuszczać, że był w pełni obsadzony. Karrde zastanawiał się, jak wielu członków załogi stanowili świeżo sklonowani żołnierze z fabryk wielkiego admirała Thrawna… – A tak przy okazji, Gillespee – dodał pozornie od niechcenia – gdybyś przypadkiem wpadł na któregoś

z naszych kumpli, zaproś go na spotkanie. Sądzę, że ludzie z branży mogą być zainteresowani tym, co mam do powiedzenia.

– Masz to jak w banku – mruknął Gillespee. – Do zobaczenia za osiem dni.

Karrde ponownie się rozłączył. Cóż, klamka zapadła. Gillespee rozpuści wici wśród innych dużych grup przemytniczych, a jak Karrde go zna, zaproszenie w jego wykonaniu przerodzi się w coś w rodzaju wymogu podpisania listy obecności. Zjawią się na Troganie – wszyscy, a przynajmniej większość.

Teraz musiał tylko wymyślić, co dokładnie im powiedzieć…

Wielki admirał Thrawn opadł na oparcie fotela.

– W porządku, panowie – powiedział, przenosząc kolejno wzrok na każdego z czternastu mężczyzn otaczających półkolem jego konsolę. – Jakieś pytania?

Stojący na skraju półkola niechlujnie wyglądający mężczyzna powiódł wzrokiem po reszcie zgromadzonych.

– Nie mamy więcej pytań, panie admirale – powiedział. Stanowczy, służbisty głos dziwnie nie pasował do zaniedbanego wyglądu. – Kiedy planowo wyruszamy?

– Wasz frachtowiec jest w trakcie przygotowań – poinformował go Thrawn. – Odlecicie, gdy tylko prace dobiegną końca. Jak szybko zdołacie przeniknąć do pałacu imperialnego?

– Nie wcześniej niż za sześć dni, licząc od dzisiejszego, sir – odparł mężczyzna. – Zanim wylądujemy na Coruscant, chciałbym zawinąć do jednego czy dwóch portów. Będziemy wiarygodniejsi, jeśli będą mogli prześledzić trasę naszej podróży. O ile oczywiście nie życzy pan sobie wszystkiego przyspieszyć…

Thrawn zmrużył nieco gorejące, czerwone oczy i Pellaeon pomyślał, że wie, o czym w tej chwili myśli wielki admirał: Mara Jade wciąż przebywała pod opieką rebeliantów. Być może właśnie w tej chwili przekazywała im informacje na temat prywatnego skarbca Imperatora na Waylandzie…

– Czas ma tu kluczowe znaczenie – zaznaczył wreszcie Thrawn. – Jednak pośpiech na nic nam się nie zda, jeśli zostaniecie

zdemaskowani, nim przenikniecie do pałacu. To pan zawiaduje tą akcją, majorze Himron. Dlatego panu pozostawiam podjęcie decyzji.

Dowódca komandosów kiwnął głową.

– Tak jest, sir. Dziękuję, panie admirale. Nie zawiedziemy pana.

Thrawn uśmiechnął się półgębkiem.

– Wiem o tym, majorze. Może pan odejść.

Czternastu mężczyzn w milczeniu odwróciło się na pięcie i wymaszerowało z centrum dowodzenia.

– Mam wrażenie, że jest pan zaskoczony niektórymi z moich poleceń, kapitanie – stwierdził Thrawn, gdy drzwi zamknęły się za nimi.

– Tak, sir – bąknął Pellaeon. – Oczywiście to wszystko brzmi całkowicie rozsądnie – dodał pospiesznie. – Po prostu… nie zastanawiałem się nad dokładnym przebiegiem operacji i…

– Musimy być przygotowani na każdą ewentualność – oświadczył wielki admirał, wpisując coś w pulpit. Światła przygasły i na ścianach centrum dowodzenia pojawiły się holograficzne malowidła i szkice. – Sztuka Mrissich – wyjaśnił. – Jeden z najbardziej intrygujących przypadków w cywilizowanej galaktyce: żadna z licznych mrisskich kultur nie wypracowała form trójwymiarowej sztuki… aż do przybycia dziesiątej ekspedycji alderaańskiej.

– To… ciekawe – ocenił uprzejmie Pellaeon. – Może wynikało to z jakichś braków w ich sposobie percepcji?

– Wielu ekspertów jest właśnie takiego zdania – wyjaśnił Thrawn. – Ale moim zdaniem to przeoczenie wynika po prostu z pewnych kulturowych braków w połączeniu z niezwykle subtelną, a jednak bardzo silną harmonizacją społeczeństwa. To cechy, które będziemy mogli wykorzystać.

Pellaeon zerknął na dzieła sztuki, czując nieprzyjemny skurcz w żołądku.

– Zaatakujemy Mrisst?

– Bez dwóch zdań planeta już dojrzała, by po nią sięgnąć – oświadczył wielki admirał. – A dzięki założeniu na niej bazy moglibyśmy uderzyć w samo serce Rebelii…

– Tylko że rebelianci z pewnością zdają sobie z tego sprawę… – zauważył ostrożnie Pellaeon. Czyżby admirał postanowił w końcu

ulec naciskom C'baotha, który upierał się, by zaatakować Coruscant? – Jeśli wykażemy choćby śladowe zainteresowanie Mrisst, zareagują z pewnością zdecydowanym kontratakiem…

– Właśnie – potwierdził Thrawn z pełnym samozadowolenia uśmiechem. – Co oznacza, że gdy wreszcie nadejdzie odpowiednia pora, by wciągnąć flotę z sektora Coruscant w zasadzkę, Mrisst będzie doskonałą przynętą. Jeśli wyjdą nam na spotkanie, pokonamy ich z marszu. A gdyby jakimś cudem zorientowali się w naszym planie i postanowili się wstrzymać z odpowiedzią… wtedy zyskamy wysunięty ośrodek. Tak czy inaczej, będziemy górą. – Sięgnął znów do swojego pulpitu i holograficzne dzieła ustąpiły gwiezdnej mapie taktycznej. – Jednak ta bitwa to wciąż pieśń przyszłości – podsumował. – W tej chwili naszym celem jest stworzenie sił militarnych o potędze zdolnej zagwarantować nam ostateczne zwycięstwo. A przy okazji naruszenie wewnętrznej równowagi w szeregach wroga.

Pellaeon pokiwał głową.

– Atak na Ord Mantell powinien się do tego walnie przyczynić.

– Z pewnością wzbudzi on strach w okolicznych układach – zgodził się z nim Thrawn. – A także ograniczy nacisk, jaki rebelianci wywierają na nasze linie zaopatrzenia stoczni.

– To by nie zaszkodziło – przyznał kapitan, krzywiąc się kwaśno. – Z ostatniego raportu z Bilbringi wynika, że stocznie zaczynają się uskarżać na poważne uszczuplenie zapasów gazu tibanna, a także hfredium i kammrisu…

– Poleciłem już stacjonującemu na Bespinie garnizonowi dopilnować zwiększenia produkcji tibanny – poinformował go Thrawn, wpisując coś w konsolę. – Co się zaś tyczy metali… wywiad zameldował ostatnio o namierzeniu dogodnego źródła dostaw.

Na ekranie pojawił się odpowiedni raport i Pellaeon pochylił się, by go przeczytać. Dotarł do miejsca, w którym wskazano lokalizację.

– Czy to, zdaniem wywiadu, jest dogodnie zlokalizowane źródło?!

– Rozumiem, że jest pan innego zdania? – spytał obojętnym głosem Thrawn.

Pellaeon zajrzał znów do raportu, marszcząc z niepokojem czoło. Imperium już raz zaatakowało mobilny zespół wydobywczy Landa

Calrissiana na supergorącej planecie Nkllon, gdy potrzebowali kretowiertów niezbędnych do uderzenia na stocznie Sluis Van. Tamta operacja kosztowała ich ponad milion roboczogodzin – najpierw, aby przygotować gwiezdny niszczyciel „Judicator" do ekstremalnie wysokich temperatur panujących na położonym w pobliżu słońca Nkllonie, a następnie, aby usunąć usterki, których okręt doznał wskutek narażenia na nie.

– To… zależy, sir – rzucił kapitan ostrożnie. – Między innymi od tego, na jak długi okres zostanie wyłączony z użycia gwiezdny niszczyciel oddelegowany do tej akcji…

– Tak, to prawda – zgodził się Thrawn. – Na szczęście tym razem nie będzie potrzeby wysyłania tam gwiezdnego niszczyciela. Trzy z naszych nowych drednotów powinny spokojnie wystarczyć do unieszkodliwienia systemów ochronnych Nkllona.

– Ale drednoty nie będą w stanie… – Pellaeon urwał nagle, gdy to do niego dotarło. – Okręty nie muszą być dość duże, by wytrzymać bezpośrednie narażenie na działanie promieni słonecznych. Gdyby udało się zdobyć jeden ze statków-tarcz osłaniających frachtowce docierające na tereny wydobywcze, drednot mógłby się bez problemu za nim schronić.

– Właśnie. – Thrawn pokiwał głową. – A przechwycenie którejś z tych jednostek nie powinno być wielkim problemem. Chociaż statki-tarcze są imponujących rozmiarów, w istocie to niewiele więcej niż osłony, system chłodzenia, a także niewielka kabina, duża na tyle, by pomieścić układ zasilania i załogę. Sześć promów bojowych obsadzonych pełną załogą powinno bez trudu sobie poradzić z zajęciem takiego modułu.

Pellaeon pokiwał głową, wciąż pogrążony w lekturze sprawozdania.

– A co, jeśli… Calrissian sprzeda swoje rezerwy, nim nasze siły dotrą na miejsce?

– Nie zrobi tego – zapewnił go wielki admirał. – Ceny rynkowe metali zaczęły znów rosnąć, a ludzie jego pokroju zawsze czekają, by podskoczyły jeszcze odrobinę.

„Chyba że niespodziewanie dozna przypływu patriotycznych uczuć wobec swoich przyjaciół w rządzie Nowej Republiki

i postanowi sprzedać im swoje zapasy po niższej cenie…” – pomyślał Pellaeon, głośno zaś dodał:

– Sir, mimo to jestem zdania, że atak należy przeprowadzić najszybciej, jak to możliwe.

– Przyjąłem pańską sugestię, kapitanie – zapewnił go Thrawn, uśmiechając się lekko. – Tak się składa, że podjąłem już odpowiednie kroki. Atak rozpoczął się dziesięć minut temu.

Kapitan uśmiechnął się z przymusem, obiecując sobie w duchu solennie, że kiedyś wreszcie nauczy się nie podawać w wątpliwość decyzji wielkiego admirała.

– Tak jest, sir.

Thrawn opadł na oparcie fotela.

– Proszę wrócić na mostek, kapitanie. I przygotować okręt do skoku w nadprzestrzeń. Ord Mantell czeka.

Rozdział 7

Luke'a wyrwało z drzemki pikanie dobiegające z głośnika konsoli. Mrugając wściekle, żeby pozbyć się resztek sennego odrętwienia, obrzucił pospiesznym spojrzeniem ekrany kontrolne.

– Artoo? – zawołał, starając się rozprostować zesztywniałe członki na tyle, na ile pozwalała na to ciasna kabina myśliwca. – Już niemal jesteśmy! Przygotuj się.

Odpowiedziało mu nerwowe poćwierkiwanie.

– Och, daj spokój, Artoo, nie ma powodów do niepokoju – zapewnił robocika, ujmując w dłoń dźwignię hipernapędu i otwierając się na Moc. Już niemal… prawie… Teraz! Pociągnął drążek do siebie i lśniące smugi, które pojawiły się na chwilę za osłoną kabiny, zmieniły się na powrót w gwiazdy.

Przed nimi zaś widniała w oddali ojczyzna Noghrich – Honoghr.

R2-D2 gwizdnął cicho.

– Wiem – potwierdził Luke, czując w gardle dziwne dławienie.

Leia uprzedzała go co prawda, czego powinien się spodziewać, jednak mimo to widok świata, na który zmierzali, dogłębnie nim wstrząsnął. Pod cienką warstewką białych chmur przesłaniających powierzchnię planety wszystkie lądy były jednolicie bure. Barwę tę nadawała im trawa kholm, jak nazwała ją Leia – roślina, którą Imperium zmodyfikowało genetycznie, aby systematycznie siać spustoszenie w ekosystemie Honoghra. Ten podstęp w połączeniu ze skrupulatnie dozowaną pomocą Vadera, a później Thrawna, zapewnił Imperium cztery dekady wiernej służby Noghrich. Nawet teraz liczne oddziały noghryjskich komand śmierci rozsiane po galaktyce walczyły i ginęły za tych, których zdrada i fałszywe współczucie zmieniły mieszkańców tej planety w niewolników.

R2-D2 zaświergotał znowu i Luke oderwał wzrok od tego milczącego pomnika imperialnego okrucieństwa.

– Nie wiem – wyznał, gdy na ekranie pojawiło się tłumaczenie pytania droida. – Będziemy musieli przysłać tu zespół ekspertów do

spraw środowiska i ekologów, zanim będzie można coś powiedzieć na pewno. Jednak nie wygląda to zbyt obiecująco, prawda?

Droid wydał z siebie burknięcie będące elektronicznym odpowiednikiem wzruszenia ramion… po czym nagle zaszczebiotał z przejęciem.

Luke poderwał głowę… w samą porę, by dostrzec przelatujący tuż nad nimi niewielki, szybki patrolowiec.

– Chyba nas zauważyli – mruknął, siląc się na beztroskę. – Miejmy nadzieję, że to Noghri, a nie imper…

– Podaj swój kod identyfikacyjny – zamiauczał z głośnika dźwięczny głos.

Luke wysłał dane, jednocześnie próbując wybadać przez Moc patrolowiec, który zawijał właśnie, by ustawić się w pozycji do ataku. Nawet z tej odległości powinien wyczuć za jego sterami człowieka – a skoro mu się to nie udało, mógł ostrożnie założyć, że pilotuje go Noghri. Cóż, przynajmniej taką miał nadzieję…

– Tu Luke Skywalker – przedstawił się. – Syn lorda Dartha Vadera, brat Lei Organy Solo.

Nadejście odpowiedzi poprzedziła długa chwila ciszy.

– Po co tu przybyłeś?

Skywalker zdawał sobie sprawę z tego, że najrozsądniej w tych okolicznościach byłoby nie wspominać o ogniwach paliwowych, dopóki nie zorientuje się lepiej w obecnym nastawieniu noghryjskich przywódców, jednak Leia niejednokrotnie wspominała mu, jak duże wrażenie zrobiła na niej honorowość i uczciwość tubylców.

– Główne ogniwa zasilające mojego statku zostały zniszczone – wyjaśnił. – Pomyślałem, że może moglibyście mi pomóc…

Z głośnika dobiegło ciche syknięcie.

– Narażasz nas na wielkie niebezpieczeństwo, synu Vadera – powiedział Noghri. – Imperialne statki zjawiają się na Honoghrze bez zapowiedzi. Jeśli ktoś cię tu zobaczy, nasz lud ucierpi.

– Rozumiem – potwierdził Luke, oddychając nieco lżej. Skoro Noghri martwili się o to, że mogą go zauważyć wysłannicy Imperium, oznaczało to, że przynajmniej nie odrzucili kategorycznie sugestii Lei, by sprzeciwić się władzy Thrawna. – Jeśli taka będzie

wasza wola, odejdę. – Wstrzymał oddech, podczas gdy usadowiony za jego plecami R2-D2 pisnął żałośnie. Jeśli Noghri zdecyduje, że Luke rzeczywiście nie ma tu czego szukać, nie zalecą zbyt daleko na tej resztce mocy.

Najwyraźniej jednak noghryjski pilot również zdawał sobie z tego sprawę, bo po chwili milczenia powiedział:

– Lady Vader wiele ryzykowała dla dobra Noghrich. Nie możemy pozwolić, byś narażał swoje życie. Leć za mną, synu Vadera. Zapewnimy ci bezpieczeństwo w miarę naszych skromnych możliwości.

Ze słów Lei wynikało, że na Honoghrze istnieje tylko jeden niewielki spłachetek ziemi, na którym jest w stanie rosnąć coś innego niż zmodyfikowana genetycznie przez Imperium trawa kholm. Khabarakh i maitrakh klanu Kihm'bar osadzili Leię wraz z Chewbaccą i C-3PO w jednej z wiosek na tym obszarze i tylko dzięki swojej przemyślności i szczęściu zdołali ukryć przed wścibskim wzrokiem Imperium. Wraz ze współrzędnymi układu Leia wpisała w komputer pokładowy X-winga brata namiary na to miejsce, zwane Czystym Lądem, więc podążając w ślad za patrolowcem ku planecie, Luke szybko się zorientował, że kierują się w inną stronę.

– Dokąd lecimy? – spytał noghryjskiego pilota, gdy przebili się przez cienką warstewkę chmur.

– Do miejsca, które stanie się przyszłością naszego świata – wyjaśnił obcy.

– Och – bąknął pod nosem Jedi. W oddali majaczyła linia poszarpanych górskich szczytów, wyglądająca niczym grzebienie stojących obok siebie dwóch tatooińskich smoków krayt. – Czy… wasza przyszłość to te góry? – spytał swojego przewodnika.

Z głośnika dobiegło kolejne syknięcie.

– Podobnie jak lady Vader i lord Vader przed nią – oznajmił pilot – ty także masz moc czytania w duszach Noghrich.

Luke wzruszył ramionami. Po prostu zgadywał i najwyraźniej trafił dobrze.

– Dokąd się teraz udamy?

– Od tego miejsca zaopiekuje się tobą kto inny – poinformował go pilot. – Nasze drogi się tu rozchodzą. Żegnaj, synu Vadera. Moja rodzina długo będzie pamiętała zaszczyt, który spotkał ją dzisiejszego dnia.

Stateczek patrolowy wzbił się gwałtownie w niebo, zawracając ku przestrzeni kosmicznej… i niemal jak na komendę, w idealnej synchronizacji z jego manewrem, w pobliżu pojawiły się dwa uzbrojone chmurne statki. Szybko zajęły pozycje z obu stron X-winga w szyku eskortowym.

– Witamy cię, synu Vadera – dobiegł z głośnika myśliwca nowy głos. – To dla nas zaszczyt móc ci wskazać drogę. Leć za nami.

Jeden z pojazdów przesunął się na czoło ich niewielkiej kawalkady, podczas gdy drugi zwolnił nieco, by ubezpieczać tyły. Luke trzymał się posłusznie między nimi, próbując zidentyfikować miejsce, do którego się kierowali. Z tej odległości pasmo górskie sprawiało wrażenie równie jałowego jak reszta planety…

R2-D2 zaświergotał i na ekranie pojawiło się tłumaczenie jego „słów”.

– Rzeka? – zdziwił się Luke, wyglądając przez osłonę kabiny. – Gdzie… Ach! Rzeczywiście! Już widzę! Wypływa spomiędzy tych dwóch pasm górskich, zgadza się?

Droid zapiszczał potwierdzająco. Nurt sprawiał wrażenie bystrego, jak zauważył Luke, gdy podlecieli bliżej. Skywalker widział już wyraźniej liczne spienione smugi świadczące o obecności podwodnych skał. Być może wyjaśniało to, dlaczego wąwóz oddzielający od siebie dwa łańcuchy górskie był tak głęboki i miał tak strome zbocza…

Kilka minut później dotarli do skraju gór. Chmurny statek lecący na przedzie zawinął w lewo, wznosząc się gładko nad pogórzem, i zniknął za jednym z wyższych wierzchołków. Luke podążył za nim, uśmiechając się pod nosem, gdy z krańców pamięci napłynęło wspomnienie: „Musicie lecieć tym szybem prosto przed siebie…”. Okrążył pogórze i znalazł się w cieniu górskich szczytów… a także w zupełnie innym świecie. Wąskie brzegi rzeki znaczyły pasma soczystej zieleni.

Na jej widok R2-D2 zagwizdał ze zdumieniem.

– To rośliny – wyjaśnił Luke, po chwili zdając sobie sprawę z tego, jak niedorzecznie zabrzmiały jego słowa. To oczywiste, że mieli do czynienia z roślinami, jednak znaleźć je na Honoghrze…

– To przyszłość naszego świata – oznajmił jeden z eskortujących go pilotów z dumą w głosie. – Przyszłość, którą dała nam lady Vader. Leć za nami, synu Vadera. Do lądowiska jest jeszcze kawałek.

Lądowisko okazało się dużą, płaską skałą, wystającą z nurtu rwącej rzeki i ciągnącą się wzdłuż niej przez jakieś dwa kilometry. Nie spuszczając czujnego wzroku z kłębiących się w dole zdradliwych wirów, Luke posadził na skale swojego X-winga. Na szczęście kamienna półka okazała się znacznie szersza, niż wydawała się z wysokości pięćdziesięciu metrów. Chmurne statki odczekały, aż jego myśliwiec osiądzie na skale, a następnie zawróciły i skierowały się w głąb jaru. Skywalker tymczasem rozejrzał się dookoła, przestawiając systemy statku w stan uśpienia.

Teraz dostrzegał, że zieleń nie miała wcale tak jednolitej barwy, jak wydawało mu się wcześniej: dało się wśród niej wyróżnić co najmniej cztery różne odcienie, tworzące wzór zbyt regularny, by stanowił dzieło przypadku. Widział też odchodzącą od rzeki rurę, której drugi koniec znikał wśród roślinności – najwyraźniej tubylcy wykorzystywali wartki nurt do nawadniania upraw. Kilka metrów dalej, na wpół przesłonięta skalnym nawisem, stała niewielka chata. W pobliżu jej wejścia zobaczył dwóch Noghrich – jednego szaroskórego, drugiego o karnacji w znacznie ciemniejszym odcieniu. Kiedy spojrzał w ich stronę, zaczęli iść ku niemu.

– Hm, to chyba nasz komitet powitalny – mruknął pod adresem R2-D2, wciskając guzik podnoszący owiewkę. – Zostań tu. Mówię serio. Jeśli wpadniesz do wody tak jak podczas naszej pierwszej wyprawy na Dagobah, nie wiem, czy tym razem będziesz miał tyle szczęścia. Wątpię, żebyśmy zdołali wyłowić z tej rzeki wszystkie twoje części…

Nie musiał tego dwa razy powtarzać. R2-D2 zapiszczał potwierdzająco, po czym wyćwierkał nerwowe pytanie.

– Tak, jestem pewien, że są do nas przyjaźnie nastawieni – zapewnił go Luke, zdejmując z głowy hełm i wstając. – Nie martw

się, nie będę się zbytnio oddalał. – Zeskoczywszy na ziemię, skierował kroki ku gospodarzom.

Dwóch Noghrich czekało już na skraju kamiennego lądowiska, przypatrując się Luke'owi w milczeniu. Idąc w ich stronę, sięgnął ku nim Mocą i skrzywił się w duchu: żałował, że jego zdolności nie są na tyle rozwinięte, by zdołał wyczytać za ich pośrednictwem coś – cokolwiek – u przedstawicieli tego gatunku.

– Pozdrawiam was w imieniu Nowej Republiki – przemówił, gdy znalazł się dość blisko, by mieć pewność, że usłyszą go przez huk rwącej rzeki. – Jestem Luke Skywalker, syn lorda Dartha Vadera, brat Lei Organy Solo. – Wyciągnął w ich stronę zwróconą wnętrzem do góry lewą dłoń, zgodnie z instrukcjami Lei.

Starszy z Noghrich podszedł do niego i zbliżył pysk do jego ręki. Gdy jego nozdrza dotknęły skóry, Luke stłumił odruchową chęć cofnięcia dłoni pod wpływem łaskotania.

– Witam cię, synu Vadera – odpowiedział obcy, podnosząc głowę, po czym obaj Noghri padli jak na komendę na kolana, rozrzucając ręce na boki w geście szacunku, który opisała mu wcześniej Leia. – Jestem Ovkhevam z klanu Bakh'tor. Służę tu naszemu ludowi, w miejscu, które będzie przyszłością naszego świata. Twoja obecność jest dla nas zaszczytem.

– Wasza gościnność przynosi wam chlubę – odparł Luke, gdy obcy wstali. – A twój towarzysz to…?

– Jestem Khabarakh z klanu Kihm'bar – przedstawił się młodszy Noghri. – To już drugi raz klan Vadera czyni mi zaszczyt.

– Khabarakh z klanu Kihm'bar – powtórzył Luke, przyglądając się młodemu Noghriemu z szacunkiem. A więc to był ten mężny komandos, który ryzykował życie, najpierw sprowadzając tu Leię, potem chroniąc ją przed wielkim admirałem Thrawnem. – Dziękuję ci za przysługi oddane mojej siostrze. Moja rodzina i ja jesteśmy waszymi dłużnikami.

– Nie jesteście nam nic winni, synu Vadera – zaprotestował Ovkhevam. – To lud Noghrich ma dług wobec was. Czyny Khabarakha z klanu Kihm'bar były tylko wstępem do spłaty naszych zobowiązań.

Luke pokiwał głową, nie bardzo wiedząc, co na to odpowiedzieć.

– Nazwałeś to miejsce przyszłością waszego świata… – zagaił, licząc na zmianę tematu.

– To przyszłość, którą podarowała ludowi Noghrich lady Vader – wyjaśnił Ovkhevam, wskazując szerokim gestem dolinę. – Dzięki niej oczyściliśmy tę ziemię z trujących roślin Imperium. Pewnego dnia wyhodujemy tu dość żywności, by starczyło dla nas wszystkich.

– To… robi wrażenie – stwierdził z przekonaniem Luke.

Rzeczywiście, widok był imponujący. Na otwartym terenie takie morze zieleni rzucałoby się w oczy pośród szarej trawy kholm niczym bantha na kinderbalu u Jawów. Tutaj jednak, strzeżone bliźniaczymi łańcuchami górskimi przed ludzkim okiem ze wszystkich stron, z wyjątkiem widoku bezpośrednio z góry, uprawy była na tyle dobrze ukryte, by przy odrobinie szczęścia imperialne statki nigdy się o nich nie dowiedziały. Rzeka dostarczała dość wody, a umiejscowienie w obniżeniu terenu oznaczało nieco dłuższy okres wegetacji niż na Czystym Lądzie. Gdyby zaś doszło do najgorszego, odpowiednia liczba strategicznie umieszczonych ładunków wybuchowych mogła zawalić skały, tak by utworzyły na rzece zaporę lub pogrzebały wszelkie ślady tej cichej rebelii przeciwko Imperium.

Nie mówiąc już o tym, że Noghri mieli na zaplanowanie, zaprojektowanie i wybudowanie tego wszystkiego zaledwie miesiąc. Nic dziwnego, że zarówno Vader, jak i Thrawn tak cenili sobie Noghrich jako wiernych poddanych.

– Nic z tego nie byłoby możliwe, gdyby nie lady Vader – zauważył Ovkhevam. – Nie mamy za bardzo czym cię ugościć, synu Vadera, ale wszystko, co nasze, jest i twoje.

– Dziękuję. – Luke skłonił lekko głowę. – Jednak jak już wspomniał pilot waszego statku patrolowego, moja obecność na Honoghrze jest dla was zagrożeniem. Jeśli zdołalibyście w jakiś sposób zdobyć dla mnie ogniwa zasilające, odlecę najszybciej, jak się da. Oczywiście zapłacę za nie.

– Nie przyjmiemy żadnych pieniędzy od syna Vadera – powiedział twardo Ovkhevam, sprawiając wrażenie wstrząśniętego tą sugestią. – To również uczynimy w ramach spłaty naszego długu wobec was.

– Rozumiem – powiedział Luke, tłumiąc westchnienie. Jasne, zdawał sobie sprawę z tego, że Noghri chcieli dobrze, jednak nie mogli w nieskończoność obwiniać siebie za to, że służyli Imperium. Imperator potrafił zmusić do uległości podstępem znacznie bardziej zaawansowane technicznie i doświadczone rasy.

– Sądzę, że najpierw powinniśmy sprawdzić, czy w ogóle dysponujecie odpowiednimi częściami. Czy możemy się tym zająć?

– Już tego dopilnowaliśmy – poinformował go Khabarakh. – Chmurne statki zaniosą wieści o twoim zapotrzebowaniu do kosmoportu w Nystao. Ogniwa zasilające i mechanicy, którzy zajmą się ich zainstalowaniem, powinni tu dotrzeć, nim zapadnie zmrok.

– A tymczasem chcielibyśmy zaoferować ci gościnę – dodał Ovkhevam, rzucając kose spojrzenie Khabarakhowi. Być może nie był zachwycony tym, że młodszy Noghri wypowiada się w ich imieniu?

– Będę zaszczycony – zapewnił ich Luke. – Prowadźcie.

Chata pod skalnym nawisem była rzeczywiście mała – Luke nie pomylił się w swojej ocenie. Większość przestrzeni zajmowały dwie wąskie prycze, niski stolik i coś, co wyglądało na moduł składowania i przetwarzania żywności, wymontowany z niewielkiego statku kosmicznego. W środku było jednak przynajmniej dość zacisznie, bo ściany wygłuszały nieco huk rwącej rzeki.

– To będzie twoje schronienie podczas pobytu na Honoghrze – wyjaśnił Ovkhevam. – Khabarakh i ja będziemy pełnili straż na zewnątrz, aby zapewnić ci bezpieczeństwo.

– To nie będzie konieczne – zaoponował Luke, rozglądając się po ciasnawym wnętrzu. Widać było, że zostało zaprojektowane z myślą o dłuższym pobycie. – Czym się tu zajmujecie? Jeśli to oczywiście nie tajemnica…

– Opiekuję się tym miejscem – wyjaśnił Ovkhevam. – Czuwam nad terenem, pilnując, żeby rośliny rosły bez przeszkód. A Khabarakh z klanu Kihm’bar… – Zerknął na młodszego Noghriego i Luke odniósł wrażenie, że dostrzega w jego oczach ponure rozbawienie. – Ten tu Khabarakh z klanu Kihm’bar przebywa na wygnaniu. Nawet w tej chwili szuka go wiele statków.

– Oczywiście – skwitował Luke.

W obliczu groźby wielkiego admirała Thrawna, który zapowiedział, że Khabarakh zostanie poddany imperialnemu przesłuchaniu, należało dopilnować, by młody komandos „zbiegł" z aresztu i zniknął wszystkim z oczu. Równie ważne było, by informacja o zdradzie Imperium rozeszła się wśród noghryjskich oddziałów komandoskich rozsianych po całej galaktyce, a te dwa cele wręcz idealnie się ze sobą zazębiały.

– Czy jesteś głodny? – spytał go Ovkhevam. – A może chciałbyś odpocząć?

– Nie, dziękuję – odparł Luke. – Chyba najlepiej będzie, jeśli wrócę teraz na pokład mojego statku i zacznę wymontowywać ogniwa…

– Czy mógłbym ci pomóc? – zaproponował Khabarakh.

– Chętnie skorzystam z pomocy, dziękuję – odpowiedział Skywalker. W rzeczywistości świetnie poradziłby sobie samodzielnie, jednak im wcześniej Noghri uznają, że spłacili swój dług wobec jego rodziny, tym lepiej. – Chodźmy. Na statku mam wszystkie potrzebne narzędzia.

– Otrzymaliśmy informacje z Nystao – zameldował Khabarakh, wynurzając się bezszelestnie z mroku w pobliżu Luke'a, siedzącego na ziemi z plecami wspartymi o goleń lądowniczą X-winga. – Kapitan imperialnego statku postanowił dokonać tam właśnie drobnych napraw. Prace potrwają około dwóch dni. – Po chwili wahania dodał: – Dostojnicy wyrażają ubolewanie w związku z zaistniałą sytuacją i proszą cię o wybaczenie.

– Nie macie za co przepraszać – zapewnił go Luke, zerkając ponad cieniem skrzydła myśliwca na nikłe pasmo gwiazd lśniących na tle atramentowej czerni przestrzeni kosmicznej. A więc tak się sprawy miały… Cóż, oznaczało to, że będzie tu uziemiony przez dwa kolejne dni. – Gdy tu przyleciałem, zdawałem sobie sprawę z tego, że coś takiego może się wydarzyć. Przykro mi tylko, że będę dla was ciężarem jeszcze przez jakiś czas…

– Twoja obecność w żadnym wypadku nie jest dla nas ciężarem.

– Doceniam waszą gościnność. – Skywalker wskazał kiwnięciem głowy gwiazdy na nieboskłonie. – Domyślam się, że nic nie wskazuje na to, by zauważyli mój statek?

– A czy syn Vadera nie wiedziałby, gdyby tak się stało? – odpowiedział pytaniem Khabarakh.

Luke uśmiechnął się do niego w ciemności.

– Nawet Jedi mają swoje ograniczenia, Khabarakh. Bardzo trudno jest wykryć odległe zagrożenie.

„A mimo to – dodał w myśli – Moc wciąż jest ze mną". Tamten krążownik szturmowy mógł się pojawić w zdecydowanie bardziej niedogodnym momencie, na przykład w chwili, gdy noghryjscy mechanicy byli w trakcie podróży do doliny lub z niej wracali, albo gdyby akurat on sam startował. Czujny kapitan z pewnością by się zorientował, że coś jest nie tak, a wówczas Noghri mieliby poważne kłopoty, gdyby ich sekretne uprawy zostały odkryte.

Bardziej poczuł, niż usłyszał ponad hukiem rwącego strumienia, nieznaczny ruch powietrza, gdy Khabarakh usiadł obok niego.

– To nie wystarczy, prawda? – spytał go cicho Noghri. – To, co rośnie w tym miejscu. Dynaści nazywają to naszą przyszłością, ale to za mało.

Luke pokręcił głową.

– Masz rację – przyznał niechętnie. – Włożyliście w to miejsce mnóstwo pracy i efekt jest naprawdę niesamowity, a plony pomogą wyżywić wasz lud. Jeśli jednak chodzi o przyszłość Honoghra… Nie jestem ekspertem, Khabarakh, ale to, co tu widziałem, chyba nie wystarczy, by ocalić waszą planetę.

Noghri syknął ledwie słyszalnie przez ostre jak igiełki zęby.

– Tego samego lęka się wielu Noghrich – przyznał. – Być może nikt tak naprawdę nie wierzy, że możemy coś zmienić.

– Możemy pomóc wam odnaleźć nowy dom – zaproponował Luke. – W galaktyce jest wiele planet. Z pewnością zajdziemy jakieś miejsce, w którym będziecie mogli zacząć wszystko od nowa.

Khabarakh znów syknął.

– Ale to nie będzie Honoghr.

Skywalker przełknął głośno ślinę.

– Nie.

Przez chwilę milczeli. Luke wsłuchiwał się w szum rzeki, ogarnięty współczuciem dla Noghrich. Jednak nie był w stanie zmienić tego, co wydarzyło się tutaj, na Honoghrze. Jedi nie byli wszechmocni.

Poczuł kolejny podmuch powietrza, gdy Khabarakh wstał.

– Czy jesteś głodny? – spytał Luke'a. – Jeśli tak, przyniosę coś do jedzenia.

Gdy Jedi potwierdził, Noghri zniknął znów w mroku. Skywalker tymczasem stłumił kolejne westchnienie i zmienił pozycję, opierając się wygodniej o płozę lądowniczą. Wystarczająco źle czuł się z myślą, że ma do czynienia z problemem, którego nie może rozwiązać, a perspektywa spędzenia kolejnych dwóch dni w miejscu, w którym wszystko na każdym kroku będzie mu o tym przypominało, jeszcze pogarszała sytuację.

Podniósł wzrok na pasmo gwiazd na niebie, zastanawiając się, co też o tym wszystkim myślała Leia. Czy ona także zdawała sobie sprawę z tego, że jest o wiele za późno, by próbować ocalić tę planetę? Może miała jakiś pomysł na jej uratowanie?

A może po prostu miała w tej chwili na głowie zbyt wiele niecierpiących zwłoki spraw, by martwić się także i o to?

Skrzywił się, ogarnięty znów wyrzutami sumienia. Gdzieś tam, na Coruscant, jego siostra lada dzień urodzi bliźnięta. Tak naprawdę równie dobrze mogło już do tego dojść. Oczywiście był z nią Han, jednak Luke żałował, że go tam z nią nie ma.

Skoro jednak nie mógł być tam osobiście…

Wziął głęboki oddech i odprężył całe ciało. Kiedyś, gdy przebywał na Dagobah, udało mu się uchylić rąbka przyszłości i wejrzeć w nią. Zobaczył wówczas swoich przyjaciół i ich przyszłe losy. Wówczas miał co prawda Yodę, który był jego przewodnikiem… Gdyby jednak zdołał sam odpowiednio się skoncentrować, może udałoby mu się ujrzeć siostrzeńca i siostrzenicę? Ostrożnie, maksymalnie skupiony, zanurzył się w Moc i sięgnął przez nią…

Leia kucała w ciemności z blasterem i mieczem świetlnym w dłoniach, podczas gdy serce waliło jej jak młotem. Przepełniały ją strach i determinacja. Obok niej była Winter, tuląc do siebie dwie kruche, bezradne istotki. Usłyszał czyjś głos… Tak, to był Han. Krzyczał coś,

zdjęty takim samym strachem i równie zdeterminowany jak jego żona. Gdzieś w pobliżu byli też Chewbacca – Luke odnosił niejasne wrażenie, że gdzieś wyżej – a także Lando. Przed nimi zaś kłębiły się w mroku postacie o umysłach przesyconych złymi zamiarami i zimną, wyrachowaną stanowczością. Strzał z blastera, potem kolejny… Otwarte na oścież drzwi…

– Leia! – wyrwało mu się. Jego ciałem targnął nagły dreszcz, gdy został wyrwany brutalnie z transu, a przed oczami wciąż stał mu szybko niknący w honoghrskiej nocy ostatni, przelotny obraz: postać bez twarzy, skradająca się ku jego siostrze i jej dzieciom zza mrocznych cieni… Postać obdarzona Mocą.

– Co się stało? – rozbrzmiał w jego uchu głos Noghriego.

Luke otworzył oczy i zobaczył nad sobą twarze Khabarakha i Ovkhevama. Niewielki pręt jarzeniowy trzymany przez jednego z nich oblewał ich oblicza nikłym blaskiem, zmieniając je w upiorne maski.

– Widziałem… Leię – wyjaśnił im roztrzęsionym głosem. – Ona… i jej dzieci są w niebezpieczeństwie. – Wziął drżący oddech, starając się uspokoić rozdygotane od adrenaliny ciało. – Muszę wracać na Coruscant.

Noghri wymienili spojrzenia.

– Ale jeśli są w niebezpieczeństwie teraz… – powiedział ostrożnie Ovkhevam.

– Nie, nie teraz. – Luke pokręcił głową. – Widziałem przyszłość. Nie wiem jak odległą.

Khabarakh dotknął ramienia Ovkhevama i przez chwilę Noghri rozmawiali ze sobą ściszonymi głosami w swoim języku.

„W porządku – powtarzał sobie tymczasem Luke, wykonując wszystkie znane mu ćwiczenia uspokajające Jedi. – Już w porządku". W jego wizji był Lando – jak przez mgłę pamiętał, że go tam widział. A przecież Lando zgodnie z wiedzą Luke'a przebywał w tej chwili w Nomad City, nadzorując operacje wydobywcze na Nkllonie. To oznaczało, że Luke wciąż ma czas, by wrócić na Coruscant, nim dojdzie do ataku na Leię.

Czy aby na pewno? Czy jego wizja rzeczywiście przedstawiała przyszłość? A może zmiana biegu wydarzeń mogła wpłynąć na jej

kształt? „Trudno dostrzec – powiedział mu Yoda, gdy Luke zapytał go wtedy, na Dagobah, o znaczenie swojej wizji. – W ciągłym ruchu przyszłość jest”. A jeśli ktoś o wiedzy Yody i jego doświadczeniu we władaniu Mocą nie był w stanie określić jednoznacznie trafności wizji…

– Jeśli takie będzie twoje życzenie, synu Vadera, nasi komandosi porwą imperialny statek – powiedział Ovkhevam. – Jeżeli szybko zlikwidujemy ich ludzi, nie zdążą rozesłać wici, które wskazywałyby na to, że stoją za tym Noghri…

– Nie mogę na to pozwolić. – Luke potrząsnął zdecydowanie głową. – To zbyt niebezpieczne. Nie ma gwarancji, że nie zdążą poinformować o wszystkim przełożonych.

Ovkhevam wyprostował się na pełną wysokość.

– Jeżeli lady Vader jest w niebezpieczeństwie, lud Noghrich jest gotów ponieść każde ryzyko.

Skywalker spojrzał kolejno na Noghrich, ogarnięty nagle dziwnym uczuciem. Wyraz ich upiornych twarzy nie zmienił się ani na jotę, jednak on w ciągu tej krótkiej chwili zupełnie zmienił o nich zdanie. Nie byli już dla niego przedstawicielami kolejnej obcej rasy – tylko przyjaciółmi.

– Ostatnim razem, gdy miałem taką wizję – wyznał – rzuciłem się bez namysłu na pomoc przyjaciołom. Działając nierozważnie, nie tylko im nie pomogłem, ale mało brakowało, bym zniweczył ich szanse na ucieczkę. – Spojrzał na swoją sztuczną prawą dłoń, czując nieomal tamten cios i palące ostrze miecza świetlnego Vadera, które odcięło mu rękę w nadgarstku. – Nie mówiąc już o tym, że kosztowało mnie to znacznie więcej. – Podniósł znów na nich wzrok. – Tym razem nie popełnię takiego błędu. Nie będę narażał Noghrich na niebezpieczeństwo. Zaczekam, aż imperialny statek stąd odleci.

Khabarakh delikatnie dotknął jego ramienia.

– Nie martw się o ich bezpieczeństwo, synu Vadera – powiedział. – Lady Vader nie podda się bez walki. Nie, gdy ma u swojego boku Wookieego Chewbaccę.

Luke zapatrzył się znów w gwiazdy. „Zgadza się – pomyślał. – Mając do pomocy Hana, Chewiego i całą straż pałacową, Leia powinna być w stanie odeprzeć zwykły atak”.

Wciąż miał jednak przed oczami ten jeden, ostatni obraz – osobę, która posiłkowała się Mocą…

Na Jomarku mistrz Jedi C'baoth dał mu wyraźnie do zrozumienia, że zależy mu na Lei i jej dzieciach. Czy mógłby być tak zdesperowany, by osobiście pofatygować się po nich na Coruscant?

– Zwyciężą – powtórzył Khabarakh pewnym głosem.

Luke machinalnie pokiwał głową.

– Wiem – powiedział, siląc się na optymizm. Nie było sensu, by wszyscy się zamartwiali.

Gdy ugaszono ostatnie płomienie, uszczelniono ostatnie mikropęknięcia, a ostatnich rannych zabrano do ambulatorium, Lando Calrissian wyjrzał przez okno swojego prywatnego centrum dowodzenia, czując dziwną mieszankę rezygnacji i wściekłości. Wiedział, że to już koniec. Najpierw Miasto w Chmurach na Bespinie, a teraz Nomad City na Nkllonie… Imperium po raz drugi zabrało mu coś, nad czego stworzeniem tak ciężko pracował – dzieło jego rąk, okupione wieloma godzinami znojnej pracy – i obróciło to w popioły. Dosłownie.

Konsola na jego biurku zadźwięczała. Podszedł do niej i pochylając się nad blatem, dotknął przycisku otwierającego kanał łączności.

– Calrissian, słucham – rzucił do mikrofonu, ocierając czoło drugą dłonią.

– Sir, tu Bagitt z maszynowni – odpowiedział znużony głos. – Właśnie padł ostatni motywator napędu.

Lando skrzywił się, jednak tak naprawdę nie było to zaskakujące, jeśli wziąć pod uwagę wszystkie zniszczenia, jakich myśliwce TIE dokonały w mobilnej stacji wydobywczej.

– Czy jest jakaś szansa na uruchomienie wystarczającej ich liczby, żebyśmy znów zdołali ruszyć? – spytał.

– Bez całej fregaty części zamiennych… nie ma – westchnął Bagitt. – Przykro mi, sir, ale zbyt dużo elementów uległo uszkodzeniu lub się przepaliło.

– Rozumiem – mruknął Calrissian. – Cóż, w takim razie lepiej zajmij się ze swoimi ludźmi utrzymaniem na chodzie systemów podtrzymywania życia.

– Tak jest. Eee… sir, chodzą słuchy, że straciliśmy łączność dalekiego zasięgu…

– To przelotna usterka – zapewnił go Lando. – Technicy już się tym zajmują. Poza tym mamy w razie czego dość części, by zbudować dwa nowe transmitery.

– Tak jest, sir – potwierdził Bagitt, sprawiając wrażenie odrobinę podniesionego na duchu. – Cóż, w takim razie… chyba zabierzemy się do tych systemów podtrzymywania życia.

– Informujcie mnie na bieżąco – poprosił na zakończenie rozmowy Lando, po czym rozłączył się i wrócił do okna. Dwadzieścia dni. Mieli dwadzieścia dni, ni mniej, ni więcej, zanim Nkllon dopełni swojego powolnego obrotu, przenosząc ich z centrum nocnej strony planety w pełne słońce. A wówczas nie będzie miało żadnego znaczenia, czy będą mieli sprawne motywatory napędu, łączność, a nawet systemy podtrzymywania życia. Gdy słońce zacznie powoli podnosić się nad horyzont, każdego, kto pozostanie w Nomad City, czeka bardzo szybka – i bardzo gorąca śmierć.

Dwadzieścia dni…

Wyjrzał przez okno na nocne niebo i przesunął wzrokiem po konstelacjach, których widokiem cieszył oczy w nielicznych wolnych chwilach. Gdyby przed upływem tego czasu zdołali naprawić transmiter dalekiego zasięgu, powinni dać radę skontaktować się z Coruscant, by wezwać pomoc. Niezależnie od tego, jak mocno ucierpiały wskutek imperialnego ataku statki-tarcze na obrzeżach układu, zespoły techników Nowej Republiki powinny być w stanie naprawić choć jeden z nich – a przynajmniej uruchomić na dość długo, by dał radę odbyć ostatnią podróż do wnętrza układu. Może być ciężko, ale przy odrobinie szczęścia…

Z zamyślenia wyrwał go widok ruchomego świetlnego punktu, niemal tuż nad jego głową: świateł nadlatującego statku-tarczy.

Odruchowo odwrócił się do biurka, żeby zaalarmować stanowiska obrony stacji. Jeśli to znów imperialni, którzy postanowili wrócić,

żeby dokończyć to, co zaczęli…

Zatrzymał się w pół kroku. Nie. Jeżeli to rzeczywiście było Imperium, nic już się nie da zrobić. Nie miał już myśliwców, które mógłby przeciwko niemu wysłać, a Nomad City nie było już w stanie się bronić. Nie było sensu podrywać pozostałych przy życiu na darmo…

I wówczas konsola na biurku rozbrzmiała serią trzasków charakterystycznych dla sygnału obejścia.

– Nomad City, tu generał Bel Iblis – odezwał się znajomy głos. – Czy ktoś mnie słyszy?

Lando rzucił się w stronę biurka.

– Tu Lando Calrissian, panie generale – powiedział, siląc się na lekki ton. – Czy to pan do nas leci?

– Zgadza się – potwierdził Bel Iblis. – Byliśmy na Qat Chrystac, gdy odebraliśmy wasz sygnał z prośbą o pomoc. Przykro mi, że nie zdołaliśmy dotrzeć na czas…

– Mnie również – westchnął Lando. – Jak wygląda sytuacja w magazynie statków-tarcz?

– Obawiam się, że panuje tam niezły bałagan – wyznał Bel Iblis. – Te wasze latające osłony są zbyt duże, by można je było łatwo zniszczyć, jednak Imperium i tak narobiło tu niezłego zamieszania. W tej chwili tylko statek, którym lecę, jest mniej więcej na chodzie.

– Cóż, teraz to i tak bez większego znaczenia – westchnął Lando. – Nomad City jest skończone.

– Nie ma szans na jego ponowne uruchomienie?

– Na pewno nie w ciągu dwudziestu dni, które dzielą nas od znalezienia się w pełnym słońcu – wyjaśnił Calrissian. – Może zdołalibyśmy się zagłębić w ziemię wystarczająco, by przetrwać obrót, ale potrzebowalibyśmy do tego ciężkiego sprzętu… którym nie dysponujemy.

– A gdybyśmy spróbowali ewakuować was z Nkllona i zabrać maszyny na zewnątrz układu, aby dokonać napraw? – zaproponował Bel Iblis. – Fregata szturmowa i kilka ciężkich podnośników powinno wystarczyć, gdyby udało nam się uruchomić kolejną tarczę…

– …i przekonać admirała Ackbara, żeby odwołał którąś z oddelegowanych do walk jednostek – przypomniał mu znacząco Lando.

– Racja – zgodził się z nim Bel Iblis. – Chyba powinienem w takim razie usłyszeć resztę złych wieści. Co wpadło w ręce Imperium?

Calrissian westchnął ciężko.

– Wszystko – wyznał. – Całe nasze zapasy hfredium, kammrisu i dolovitu. Nie wybrzydzali. Zabrali wszystko, co wydobyliśmy.

– Ile tego będzie?

Lando ponownie westchnął.

– Jakiś czteromiesięczny urobek. Wart nieco ponad trzy miliony przy obecnych cenach na rynku.

Bel Iblis milczał przez dłuższą chwilę.

– Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że to miejsce przynosi tak duży zysk – stwierdził wreszcie. – Co skłania mnie do refleksji, że tym bardziej powinniśmy spróbować przekonać Coruscant, by rząd pomógł wam stanąć z powrotem na nogi. Ilu ludzi tam macie?

– Niecałe pięć tysięcy – odparł Lando. – Niektórzy jednak są w naprawdę kiepskim stanie.

– Mam spore doświadczenie w transporcie rannych – stwierdził ponuro Bel Iblis. – Nie martwcie się, weźmiemy ich na pokład. Chciałbym, żebyście wyznaczyli grupę, która zostanie tu i zajmie się uruchamianiem statków-tarcz. Całą resztę dostarczymy na Qat Chrystac. To miejsce równie dobre jak każde inne, by wysłać prośbę o wsparcie na Coruscant.

– Nie sądziłem, że są lepsze i gorsze miejsca do wysyłania wiadomości – mruknął Lando.

– Owszem, mają tam sporo na głowie – przyznał Bel Iblis – ale jeśli to coś pomoże, powiedziałbym, że będziecie mieli całkiem spore szanse na to, by wasz komunikat nie utknął gdzieś w całym tym bałaganie.

Calrissian przygryzł wargę.

– W takim razie pomińmy może cały ten bałagan. Proszę mnie zabrać na Coruscant i pozwolić porozmawiać z nimi osobiście.

– To będzie was kosztowało dodatkowych pięć dni podróży – zauważył generał. – Czy jesteście pewni, że możecie sobie na to

pozwolić?

– Wolę spędzić te pięć dni w ten sposób, niż siedząc na Qat Chrystac i zastanawiając się, czy moja wiadomość wyszła w ogóle poza centrum łączności – odciął się Lando. – Pięć dni koniecznych na dotarcie na Coruscant, kolejny dzień lub dwa na przekonanie Lei, by użyczyli nam statku i podnośników, a potem jeszcze dziesięć na dostarczenie ich tu i zrobienie tego, co należy.

– To daje nam siedemnaście dni. Ryzykowne…

– Niestety, nie mam w tej chwili lepszych pomysłów. Co pan na to?

– Cóż, i tak planowałem wybrać się w najbliższym czasie na Coruscant. – Bel Iblis parsknął cicho. – Równie dobrze mogę to zrobić teraz.

– Dziękuję, generale.

– To żaden problem – zapewnił go Bel Iblis. – Lepiej zacznijcie przygotowania. Wyślemy promy, gdy tylko znajdziemy się w cieniu planetarnym.

– W porządku. Do zobaczenia wkrótce.

Lando się rozłączył. Wiedział, że to ryzykowny plan, jednak prawda była taka, że nie miał zbyt wielu możliwości. A poza tym nawet jeśli nic nie wskóra, podróż na Coruscant w tych okolicznościach wcale nie wydawała się takim złym pomysłem. Zobaczy się z Leią i Hanem, a także ich nowo narodzonymi bliźniętami… Kto wie, może uda mu się też spotkać z Lukiem czy Wedge'em?

Wyjrzał znów przez okno, krzywiąc się gorzko. Poza tym na Coruscant nie będzie się musiał przynajmniej zamartwiać imperialnymi atakami.

Aktywował interkom i zaczął wydawać rozkaz ewakuacji.

Rozdział 8

Jacen zasnął w połowie posiłku, jednak Jaina wciąż z apetytem pałaszowała. Leżąc na boku w łóżku, Leia zmieniła pozycję – na tyle, na ile zdołała, nie przerywając karmienia – i sięgnęła znów po datapad. O ile była w stanie stwierdzić, zabierała się do lektury tej strony już czwarty raz.

– Do pięciu razy sztuka – zażartowała, kierując słowa do Jainy i głaszcząc ją wolną ręką po główce.

Jej córka, zajęta znacznie ważniejszymi rzeczami, nie odpowiedziała. Leia przez chwilę przyglądała się jej, ogarnięta mimo zmęczenia nowym przypływem czułości na widok tych drobnych rączek nieporadnie błądzących po jej ciele, główki porośniętej ciemnymi włoskami, maleńkiej twarzyczki, na której podczas jedzenia malowało się maksymalne skupienie – nowego życia, jakże kruchego, ale i pełnego tak niezwykłej niezłomności.

Powołanego na ten świat przez nią i Hana, podobnie jak drugie z bliźniąt.

Po przeciwnej stronie apartamentu otworzyły się drzwi prowadzące do salonu.

– Witaj, kochanie – zawołał cicho Han. – Czy wszystko w porządku?

– Tak – odparła cicho. – Właśnie jemy kolejny obiad.

– Pałaszują jak wygłodniali Wookiee – zauważył Solo, podchodząc do łóżka i pobieżnie oceniając sytuację. – Jacen już skończył?

– Chyba chciał tylko coś przekąsić – wyjaśniła Leia, wyciągając szyję, żeby spojrzeć na niemowlę śpiące na łóżku za jej plecami. – Za jakąś godzinę pewnie będzie gotowy na drugie danie.

– Szkoda, że nie mają zsynchronizowanych pór posiłków – westchnął Han, siadając ostrożnie na łóżku obok żony i wkładając koniec palca wskazującego w drobną rączkę Jacena. Małe paluszki zamknęły się odruchowo wokół jego dużego palca, a gdy Leia

podniosła wzrok na męża, zobaczyła na jego twarzy znajomy krzywy uśmiech. – Facet będzie silny.

– Och, zaczekaj, aż zobaczysz, co potrafi jego siostra – zażartowała, przenosząc spojrzenie na Jainę. – Czy Lando wciąż jest na dole?

– Tak. On i Bel Iblis cały czas rozmawiają z admirałem Draysonem – wyjaśnił Han, kładąc drugą rękę na ramieniu żony. – Wciąż starają się przekonać go, by wysłał na Nkllon kilka statków.

– I jakie są na to szanse? – Jak dobrze było poczuć jego ciepły dotyk przez cienki materiał szlafroka! Sprawiało jej to niemal taką samą przyjemność jak ciepło, którym emanowały przez Moc jego myśli.

– Szczerze mówiąc, marne – wyznał Han. Pogmerał delikatnie palcem w uścisku rączki śpiącego Jacena, cmokając przy tym cicho. – Nie uda nam się podnieść Nomad City z ziemi, jeśli nie będziemy dysponowali czymś o rozmiarach co najmniej fregaty szturmowej. A Drayson niespecjalnie ma ochotę odwoływać z frontu jednostkę o takich gabarytach.

– Czy dałeś mu jasno do zrozumienia, jak bardzo potrzebne są nam metale, które Lando tam wydobywa?

– Owszem, napomknąłem mu o tym. Nie zrobiło to jednak na nim większego wrażenia.

– Cóż, z Draysonem trzeba umieć rozmawiać. – Leia spojrzała na Jainę. Mała wciąż pracowicie ssała, jednak miała coraz cięższe powieki. – Może gdy mała zaśnie, zejdę i pomogę Landowi…

– Taaa, jasne – parsknął Han. – Bez urazy, kochanie, ale zasypiając z nosem na stole, niewiele wskórasz.

– Dzięki za troskę, ale nie jestem aż tak zmęczona. – Leia spiorunowała go wzrokiem. – W każdym razie na pewno nie sypiam mniej od ciebie.

– Och, nie byłbym tego taki pewien – stwierdził Han, zdejmując dłoń z ramienia żony, żeby pogładzić policzek Jainy. – Ja zazwyczaj podczas ich posiłków w środku nocy ucinam sobie drzemkę.

– Nie powinieneś w ogóle do nich wstawać – zauważyła łagodnie. – Równie dobrze sama mogę wyjmować je z łóżeczka lub poprosić o to Winter.

– Ależ oczywiście! – rzucił Han z udawanym oburzeniem. – Wiesz, wydawało mi się, że przed narodzinami dzieci byłem całkiem przydatny, a teraz nagle nie jestem ci do niczego potrzebny, co? No, dalej, powiedz po prostu, że mam spływać, i miejmy to już za sobą…

– Oczywiście, że cię potrzebuję – zapewniła go Leia. – Dopóki większość droidów jest oddelegowana do obrony, a tu mamy dwoje dzieci, które trzeba przewijać, zawsze będziesz przydatny.

– Cudownie – jęknął Han. – Chyba w takim razie wolę zostać spławiony.

– Na to już za późno – zapewniła go, gładząc jego rękę. – Wiem, że chcesz pomóc, Han, i naprawdę to doceniam – dodała, poważniejąc. – Po prostu… zżera mnie poczucie winy.

– Nie powinnaś czuć się winna – odpowiedział, ujmując jej dłoń i ściskając ją lekko. – Jako były przemytnik jestem przyzwyczajony do funkcjonowania o dziwnych porach. – Obejrzał się na drzwi do pokoju jej asystentki. – Winter już się położyła?

– Nie, jeszcze nie wróciła – wyjaśniła Leia, wysyłając wici Mocy w stronę pomieszczenia. O ile była w stanie stwierdzić, było puste. – Miała coś do załatwienia na dole. Nie wiem co takiego.

– A ja wiem – mruknął Han z namysłem. – Zaszyła się w bibliotece i grzebie w starych archiwach Sojuszu.

Leia przyjrzała mu się uważnie.

– Kłopoty?

– Nie wiem – wyznał powoli. – Winter niechętnie dzieli się swoimi przemyśleniami. A w każdym razie nie ze mną. Mam jednak wrażenie, że coś ją zaniepokoiło…

Nim skończył mówić, Leia wyczuła za drzwiami aurę czyjejś obecności.

– Właśnie wróciła – poinformowała męża. – Sprawdzę, czy zdołam z niej coś wyciągnąć.

– Powodzenia – szepnął Solo, ściskając na pożegnanie jej dłoń i wstając z łóżka. – Chyba zejdę jeszcze na chwilę na dół. Spróbuję pomóc Landowi w urabianiu Draysona.

– Powinniście z nim zagrać w sabaka – podsunęła księżniczka. – O statki. Tak jak ty i Lando graliście o „Sokoła”. Może udałoby ci się

wygrać fregatę szturmową…

– Grać o statki? Z Draysonem? – parsknął kpiąco Solo. – Dzięki, kochanie, ale chyba nie wiedzielibyśmy z Landem, co zrobić z flotą. Do zobaczenia później.

– Do zobaczenia. Kocham cię, Han.

Obdarzył ją kolejnym ze swoich krzywych uśmiechów.

– Wiem – powiedział i już go nie było.

Leia z westchnieniem poprawiła pozycję wśród poduszek i odwróciła się w stronę pokoju swojej asystentki.

– Winter? – zawołała cicho.

Po chwili drzwi otworzyły się bezszelestnie.

– Tak, Wasza Wysokość? – odpowiedziała jej przyjaciółka i asystentka, wchodząc do pokoju.

– Czy mogłabym cię prosić na słówko? Jeśli to oczywiście nie problem…

– Oczywiście – zapewniła ją Winter, sunąc ku niej z niewymuszoną gracją, której Leia zawsze jej tak zazdrościła. – Jacen chyba zasnął. Czy mam go przełożyć do łóżeczka?

– Gdybyś była tak miła… – Leia kiwnęła głową. – Han twierdzi, że szukałaś czegoś w archiwach Sojuszu…

W twarzy Winter nie drgnął najmniejszy mięsień, jednak księżniczka wyczuła subtelną zmianę w jej nastawieniu oraz języku ciała.

– Tak.

– Czy mogłabyś mi zdradzić, co takiego cię zainteresowało?

Winter z najwyższą ostrożnością podniosła Jacena z łóżka i zaniosła do dziecięcego łóżeczka.

– Możliwe, że mamy w pałacu imperialnego agenta – wyjawiła. – Próbowałam to potwierdzić.

Leia poczuła, jak jeżą jej się włoski na karku.

– Kto to taki?

– Wolałabym nie rzucać bezpodstawnych oskarżeń, dopóki nie potwierdzę pewnych informacji – powiedziała Winter. – Niewykluczone, że się mylę.

– Rozumiem twoje obawy – stwierdziła ostrożnie Leia – ale jeśli znalazłaś coś na temat tego przecieku, Źródła Delta, powinnaś nas

o tym poinformować. Natychmiast.

– To nie ma nic wspólnego ze Źródłem Delta. – Winter pokręciła głową. – A przynajmniej nie bezpośrednio. Ona… jest tu zbyt krótko.

Leia zmarszczyła czoło, starając się wyczuć asystentkę i przyjaciółkę poprzez Moc. Winter była pełna obaw, jednak równocześnie naprawdę nie chciała nikogo niesłusznie oskarżać…

– Chodzi ci o Marę Jade? – spytała cicho.

Białowłosa kobieta zawahała się, jednak po chwili potwierdziła:

– Tak. Ale jak mówiłam: nie mam na to żadnego dowodu.

– A na czym opierasz swoją hipotezę?

– To nic spektakularnego – westchnęła Winter, otulając Jacena troskliwie kocykiem. – Właściwie to dał mi do myślenia fragment naszej rozmowy, gdy odprowadzałam ją do jej kwater z centrum medycznego. Zapytała mnie, co robiłam w szczytowym okresie Rebelii. Powiedziałam jej o mojej pracy dla działu zaopatrzenia i dostaw. Zidentyfikowała mnie wówczas jako Namierzacza.

Leia wróciła pamięcią do tamtych dni. Winter posługiwała się w owym czasie tak wieloma przydomkami…

– Czy się myliła?

– Nie, przez krótki czas rzeczywiście działałam pod tym pseudonimem – przyznała Winter. – I właśnie o to chodzi. Jako Namierzacz byłam znana tylko przez kilka tygodni, na Averamie. Zanim imperialny wywiad zlikwidował tamtejszą komórkę.

– Rozumiem – mruknęła z namysłem Leia. – A ona nie współpracowała z Averystami?

– Nie wiem. – Winter pokręciła głową. – Miałam kontakt z zaledwie kilkoma osobami z ich grupy. I właśnie dlatego zaczęłam szperać w zapisach z tamtego okresu. Pomyślałam, że może trafię gdzieś na pełną listę…

– Wątpię – westchnęła księżniczka. – Tego typu lokalne komórki niemal nigdy nie przechowywały danych na temat swoich członków. Gdyby coś takiego wpadło w ręce Imperium… cóż, w ten sposób podpisaliby na siebie wyrok śmierci.

– Wiem. – Winter podniosła na nią wzrok znad łóżeczka. – Co nie pozostawia nam zbyt dużego pola manewru.

– Hm, prawdopodobnie masz rację – wymamrotała Leia. Wpatrzona niewidzącym wzrokiem w przestrzeń nad ramieniem przyjaciółki, starała się przypomnieć sobie wszystko, co wiedziała na temat Mary. Prawdę mówiąc nie było tego wiele. O ile się orientowała, dziewczyna nigdy nie wspominała, że miała jakieś powiązania z Sojuszem, co mogłoby potwierdzać teorię Winter. Z drugiej jednak strony niecałe dwa miesiące temu poprosiła Luke'a o pomoc w uwolnieniu Karrde'a z aresztu na pokładzie okrętu flagowego wielkiego admirała Thrawna, a to zaprzeczałoby jej powiązaniom z Imperium. – Sądzę – zaczęła powoli – że niezależnie od tego, po czyjej dawniej była stronie, porzuciła już tamte sympatie. Wszystko wskazuje na to, że w tej chwili jest lojalna wyłącznie wobec Karrde'a i jego ludzi.

Winter uśmiechnęła się do niej z przymusem.

– Czy podpowiada ci to intuicja Jedi, Wasza Wysokość? Czy może to twoja opinia jako biegłej dyplomatki?

– I to, i to – przyznała Leia. – Sądzę, że nie mamy się z jej strony czego obawiać.

– Chciałabym, żebyś miała rację. – Winter wskazała na małą. – Czy odłożyć już Jainę do łóżeczka?

Leia spojrzała na córkę. Powieki dziewczynki były szczelnie zamknięte, a usteczka poruszały się, jakby niemowlę wciąż ssało pierś.

– Tak, gdybyś była tak miła – odparła, gładząc pieszczotliwie policzek córeczki. – Czy na dole wciąż trwa przyjęcie z okazji wizyty delegacji sarkańskiej? – spytała, obracając się na plecy i rozprostowując zdrętwiałe kończyny.

– Gdy wracałam, wciąż podejmowano gości – zrelacjonowała Winter, podnosząc Jainę i odkładając ją do łóżeczka obok brata. – Mon Mothma prosiła, żebym spytała cię, czy nie zajrzałabyś do nich na kilka minut, gdybyś znalazła wolną chwilę.

– Och, nie wątpię – parsknęła Leia, wstając z łóżka i idąc w stronę garderoby. Jedną z korzyści płynących z faktu zajmowania się dwójką nowo narodzonych dzieci było to, że wreszcie miała superskuteczną wymówkę pozwalającą jej wykręcać się od udziału w tych nudnych rządowych spotkaniach, które z zasady trwały

zawsze dłużej niż powinny. Teraz jednak Mon Mothma próbowała najwyraźniej wciągnąć ją na powrót w tryby tej szalonej machiny. – Cóż, przykro mi, ale będę ją musiała rozczarować – stwierdziła Leia lekko. – Obawiam się, że mam w tej chwili ważniejsze sprawy na głowie. Czy mogłabyś przez chwilę popilnować bliźniąt?

– Oczywiście – potwierdziła Winter. – Czy… wolno mi spytać, dokąd się wybierasz?

Leia wybrała z garderoby strój, który bardziej nadawał się do publicznych wystąpień niż szlafrok, i zaczęła się przebierać.

– Chcę sprawdzić, czy uda mi się dowiedzieć czegoś na temat przeszłości Mary Jade – wyznała.

Przez Moc wyczuła, jak stojącą po przeciwnej stronie pokoju Winter ogarniają lekki niepokój i konsternacja.

– A czy mogę wiedzieć w jaki sposób?

Księżniczka uśmiechnęła się pod nosem.

– Zapytam ją o to osobiście.

Widziała go. Stał przed nią z twarzą na wpół skrytą pod kapturem szaty. Mimo dzielącego ich nieskończonego dystansu czuła na sobie palące spojrzenie jego świdrujących, żółtych oczu. Jego wargi poruszały się, jednak nie słyszała słów. Zagłuszało je chrapliwe wycie alarmu, napełniające ją trwogą niebezpiecznie bliską paniki. Nagle między nią a Imperatorem pojawiły się dwie postacie: mroczna, budząca słuszną grozę sylwetka Dartha Vadera oraz mniejsza figura odzianego w czerń Luke'a Skywalkera. Stali przed Imperatorem zwróceni twarzami do siebie. Po chwili obaj zapalili miecze świetlne. Ostrza – krwistoczerwone i żywozielone – naparły na siebie, a dzierżący je mężczyźni przygotowali się do walki.

I nagle, bez ostrzeżenia, klingi rozdzieliły się, a walczący, z podwójnym okrzykiem nienawiści na ustach, odwrócili się w stronę Imperatora i ruszyli wprost na niego.

Mara usłyszała własne wołanie, gdy ona również rzuciła się w jego stronę, by pospieszyć mu z pomocą… Jednak dzieliła ich zbyt wielka odległość, a jej ciało reagowało zbyt wolno, dziwnie ociężałe. Krzyknęła ponownie, starając się ściągnąć na siebie ich uwagę, ale ani Skywalker,

ani Vader jej nie słyszeli. Rozeszli się na boki, aby okrążyć przeciwnika, a gdy podnieśli wysoko swoje miecze świetlne, zobaczyła, że Imperator patrzy wprost na nią.

Odwzajemniła spojrzenie, desperacko pragnąc odwrócić się, aby nie patrzeć na zbliżającą się nieuchronnie tragedię, jednak nie była w stanie się ruszyć. W tym spojrzeniu widziała tysiące myśli i uczuć: migotliwy kalejdoskop bólu, strachu i gniewu, w którym konfiguracje zmieniały się zbyt szybko, by była zdolna je wszystkie spostrzec.

Imperator podniósł dłonie, posyłając ku swoim wrogom kaskady białoniebieskich wyładowań elektrycznych. Pod ich wpływem obaj napastnicy zachwiali się i Mara z pełną udręki nadzieją obserwowała ten ponury spektakl, licząc na to, że tym razem wszystko skończy się inaczej… Na próżno. Vader i Skywalker wyprostowali się, z gardeł obu wyrwał się kolejny gniewny ryk, a potem podnieśli wysoko miecze i…

Nagle buczenie kling mieczy świetlnych zagłuszył grzmot odległego gromu… i Mara przebudziła się ze snu. Gwałtowny spazm, który targnął jej ciałem, sprawił, że niemal spadła z fotela.

Wzięła głęboki, drżący oddech, starając się otrząsnąć z resztek snu i natłoku emocji, które w niej wywołał: bólu, wściekłości… i dojmującego poczucia osamotnienia. Tym razem jednak wszystko wskazywało na to, że nie będzie jej dane uporać się z demonami przeszłości w samotności. Jak przez mgłę wyczuwała czyjąś obecność pod drzwiami apartamentu, a gdy odruchowo zsunęła się z fotela, kucając obok biurka i przyjmując niską pozycję bojową, powtórnie usłyszała grzmot ze swojego snu – w rzeczywistości lekkie pukanie do drzwi.

Przez długą chwilę zastanawiała się, czy nie byłoby lepiej siedzieć cicho, udając, że jej nie ma, aż intruz – kimkolwiek był – uzna, że jej nie zastał, i sobie pójdzie. Wiedziała jednak, że jej obecność zdradzi światło widoczne w szparze pod staroświeckimi drzwiami na zawiasach. Nie mówiąc już o tym, że jeśli nieproszonym gościem była osoba, którą podejrzewała o najście, udawanie, że jej nie ma, i tak na nic się nie zda.

– Proszę! – zawołała.

Zamek szczęknął i drzwi się otworzyły… jednak zamiast Luke’a Skywalkera stanęła w nich Leia Organa Solo.

– Witaj, Maro – przywitała się, kiwając jej głową. – Czy nie przeszkadzam?

– Nie, skądże – zapewniła ją uprzejmie Mara, starając się nie okazywać rozdrażnienia. W tej chwili towarzystwo, a już szczególnie kogoś w jakikolwiek sposób związanego ze Skywalkerem, było ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę. Zdawała sobie jednak boleśnie sprawę z tego, że dopóki tkwili tu uziemieni razem z Ghentem, nie byłoby zbyt mądrze wymigiwać się od kontaktów z kimś o wpływach Organy Solo. – Czytałam akurat najnowsze raporty z terenów objętych walką – skłamała. – Wejdź, proszę.

– Dziękuję – powiedziała Organa Solo, przechodząc przez próg. – Tak się składa, że przed chwilą przeglądałam te same doniesienia. Trudno się wyzbyć wrażenia, że świętej pamięci Imperator słusznie postąpił, zawierzając zdolnościom taktycznym wielkiego admirała Thrawna.

Mara spojrzała na nią ostro, zastanawiając się jednocześnie, jak wiele Skywalker zdradził siostrze. Jednak Organa Solo nie patrzyła na nią – zamiast tego wpatrywała się w widniejące w dole światła Centrum Imperialnego. A o ile Mara się orientowała, w zachowaniu i głosie siostry Skywalkera nie było śladu ironii czy zjadliwości.

– Racja, Thrawn był jednym z najlepszych w swoim fachu – zgodziła się. – Błyskotliwy i pomysłowy, a na dodatek pałający wiecznie niezaspokojoną żądzą zwycięstwa.

– Może po prostu chciał w ten sposób udowodnić, że swoimi zdolnościami dorównuje innym wielkim admirałom – podsunęła Organa Solo. – Szczególnie jeśli zważy się na niechęć, jaką Imperator żywił wobec nieludzi…

– Jestem pewna, że po części rzeczywiście mogło to być powodem jego gorliwości – zgodziła się z nią Mara.

Organa Solo postąpiła jeszcze o krok w stronę okna, wciąż zwrócona plecami do niej.

– Czy dobrze znałaś wielkiego admirała? – spytała.

– Niezbyt – odparła Jade. – Kontaktował się kilka razy z Karrde'em w mojej obecności i odwiedził raz naszą bazę na Myrkr. Przez jakiś czas żywo interesował się tamtejszymi isalamirami.

Karrde twierdzi, że mógł wywieźć stamtąd jakieś pięć do sześciu tysięcy tych stworzeń…

– Chodziło mi o to, czy znaliście się podczas wojny – uściśliła Organa Solo, odwracając się wreszcie w jej stronę.

Mara spokojnie odwzajemniła jej spojrzenie. Jeżeli Skywalker jej powiedział… Z drugiej strony jednak, gdyby jej powiedział, zamiast w apartamencie gościnnym tkwiłaby teraz raczej w jakiejś celi, czyż nie? Organa Solo przyszła tu najwyraźniej po to, żeby ją wysondować.

– Skąd niby miałabym go znać w czasie wojny? – odpowiedziała pytaniem.

Leia wzruszyła lekko ramionami.

– Doszły mnie słuchy, jakobyś miała powiązania z Imperium.

– I chciałaś to potwierdzić, zanim mnie zamkniecie?

– Chciałam się dowiedzieć, czy może wiesz na temat wielkiego admirała coś, co moglibyśmy wykorzystać przeciwko niemu – wyprowadziła ją z błędu księżniczka.

– Nie ma nic takiego – parsknęła Mara. – Zapomnijcie. Nie, gdy w grę wchodzi Thrawn. Nie da się przewidzieć jego posunięć. Nie ma ulubionych strategii, żadnych słabości, które dałoby się zauważyć. Uważnie studiuje zachowanie swoich wrogów i opracowuje atak, wykorzystując ich słabe punkty. Nie obciąża niepotrzebnie swoich sił, a gdy wie, że przegrywa, nie waha się wycofać. Co, prawdę mówiąc, nie zdarza się zbyt często. Jak zresztą mieliście już okazję przekonać się na własnej skórze. – Podniosła brew. – Czy któraś z tych informacji wam się przyda? – spytała sarkastycznie.

– Jeśli chodzi o ścisłość, to owszem – przytaknęła Organa Solo. – Gdybyśmy mogli zidentyfikować te słabe punkty, o których wspomniałaś, a które on zamierza wykorzystać, moglibyśmy przewidzieć, gdzie i jak uderzy.

– To nie będzie łatwe – ostrzegła ją Mara.

Księżniczka uśmiechnęła się pod nosem.

– Zgadza się, ale w ten sposób moglibyśmy od czegoś zacząć. Dziękuję.

– Nie ma za co – odparła mechanicznie Mara. – Czy mogę ci w czymś jeszcze pomóc?

– Nie, chyba nie. – Leia odeszła od okna i zaczęła iść w stronę drzwi. – Pójdę już. Spróbuję się nieco zdrzemnąć, nim bliźnięta znowu się obudzą. Ty pewnie również chciałabyś się wkrótce położyć.

– Czy w takim razie nadal mogę swobodnie poruszać się po terenie pałacu?

Organa Solo ponownie się do niej uśmiechnęła.

– Oczywiście. Czymkolwiek zajmowałaś się w przeszłości, jest dla mnie jasne, że obecnie nie służysz Imperium. Dobrej nocy. – Odwróciła się do drzwi, sięgając do klamki…

– Mam zamiar zabić twojego brata – oświadczyła Mara. – Czy powiedział ci o tym?

Organa Solo zamarła i Mara wyczuła, że przez jej wystudiowany spokój Jedi przebija dreszcz niepokoju: ta informacja prawdziwie nią wstrząsnęła. Opuściła wyciągniętą do klamki rękę wzdłuż tułowia.

– Nie. Nie mówił mi o tym – zaprzeczyła, wciąż zwrócona plecami do niej. – Czy… czy mogę wiedzieć… dlaczego?

– Zniszczył mi życie – odparła Mara bez ogródek, czując, jak znajomy, zadawniony ból znów ściska ją za gardło, i zastanawiając się, dlaczego właściwie postanowiła powiedzieć o tym tej kobiecie. – I jesteś w błędzie. Nie tylko służyłam Imperium. Byłam osobistą agentką samego Imperatora. Sprowadził mnie tu, na Coruscant, do pałacu imperialnego i wyszkolił, bym wypełniała jego wolę w całej galaktyce. Słyszałam jego głos w każdym zakątku Imperium i przekazywałam jego rozkazy wszystkim ludziom na jego usługach: od oddziałów szturmowców aż po wielkich moffów. Miałam władzę i cieszyłam się autorytetem. I miałam w życiu cel. Znali mnie jako Rękę Imperatora i darzyli mnie takim samym szacunkiem jak jego. A twój brat mi to wszystko odebrał.

Leia odwróciła się do niej.

– Przykro mi – powiedziała. – Nie mieliśmy jednak wyboru. Życie i wolność miliardów istot…

– Nie zamierzam się z tobą o to wykłócać – nie dała jej skończyć Mara. – Nie masz pojęcia, przez co przeszłam.

Twarz Lei przelotnie ściągnął grymas bólu.

– Mylisz się – powiedziała cicho. – Rozumiem to aż za dobrze.

Jade łypnęła na nią gniewnie, jednak zrobiła to raczej z przyzwyczajenia niż kierowana prawdziwą nienawiścią. Miała do czynienia z Leią Organą Solo z Alderaana, którą zmuszono do patrzenia, jak pierwsza Gwiazda Śmierci rozbija na atomy jej ojczystą planetę…

– Ty przynajmniej miałaś dokąd pójść! – wycedziła w końcu. – Miałaś całą tę swoją Rebelię i więcej przyjaciół i sojuszników, niż byłaś w stanie zliczyć. A ja… nie miałam nikogo.

– Musiało być ci ciężko.

– Dałam sobie radę – ucięła szorstko. – I co, nadal nie rozkażesz mnie aresztować?

Jej rozmówczyni uniosła lekko swoje wypielęgnowane alderaańskie brwi.

– Co chwila pytasz, czy wtrącimy cię do więzienia. Czy naprawdę tego chcesz?

– Powiedziałam ci już, czego chcę. Chcę zabić twojego brata.

– Czyżby? – spytała ją Organa Solo. – Czy aby na pewno?

Mara uśmiechnęła się do niej zjadliwie.

– Przyprowadź go tu, to się przekonamy.

Leia przyglądała jej się przez chwilę. Mara czuła też, że księżniczka stara się nieporadnie wysondować ją Mocą.

– Z tego, co mówił mi Luke, wynikałoby, że już kilkakrotnie miałaś doskonałą okazję, by go zabić – zauważyła wreszcie. – A mimo to nie zrobiłaś tego.

– Nie z braku motywacji – warknęła Jade, choć w duchu musiała przyznać, że ta myśl od jakiegoś czasu gnębiła i ją. – Po prostu tak się składało, że za każdym razem był mi potrzebny żywy. To nie będzie jednak trwało w nieskończoność.

– Może i masz rację – stwierdziła Organa Solo, nadal taksując ją wzrokiem. – A może po prostu to nie ty chcesz jego śmierci.

Mara zmarszczyła czoło.

– Co masz na myśli?

Organa Solo oderwała wzrok od jej twarzy i utkwiła go w oknie. Mara wyczuła emanujące od niej napięcie.

– To było… w okolicy Endora kilka miesięcy temu – zaczęła Leia i Mara poczuła, jak w górę kręgosłupa pełznie jej zimny dreszcz. Ona także była w pobliżu Endora, gdy trafiła na pokład okrętu wielkiego admirała Thrawna, i pamiętała doskonale atmosferę panującą w miejscu śmierci Imperatora.

– I? – spytała ostro, choć sama słyszała we własnym głosie nerwowość.

Najwyraźniej nie uszło to również uwagi Organy Solo, bo odpowiedziała jej cichym pytaniem:

– Wiesz, o czym mówię, zgadza się? – Nie odrywała oczu od świateł Centrum Imperialnego. – W tamtym miejscu… wciąż czuć echo obecności Imperatora. Pozostałości tej ostatniej fali nienawiści i gniewu. Całkiem jak… sama nie wiem.

– Jak niewidzialny krwawy ślad, sygnatura silnych emocji wzbudzonych w chwili śmierci – dokończyła cicho Mara, mając przed oczami sugestywną wizję. – Ślad znaczący miejsce, w którym zginął. – Gdy podniosła wzrok na Organę Solo, kobieta wpatrywała się w nią intensywnie.

– Właśnie – przytaknęła. – Dokładnie tak to odczułam.

Mara wzięła głęboki oddech, starając się wyprzeć z umysłu spowijający go zimny cień.

– Co jednak ma to wspólnego ze mną?

Organa Solo milczała przez chwilę, przyglądając jej się wciąż z uwagą.

– Sądzę, że to wiesz.

MASZ ZABIĆ LUKE'A SKYWALKERA!

– Nie… – bąknęła Jade. Nagle zaschło jej w ustach. – Mylisz się…

– Czyżby? – spytała łagodnie Organa Solo. – Powiedziałaś, że słyszałaś jego głos w każdym punkcie galaktyki.

– Słyszałam jego głos – odwarknęła. – Nic poza tym.

Leia wzruszyła nieznacznie ramionami.

– Oczywiście, sama wiesz najlepiej, jak jest. Sądzę jednak, że powinnaś to przemyśleć.

– Zrobię to – wydukała Mara sztywno. – Jeśli to wszystko, możesz odejść.

Leia kiwnęła głową. Chociaż Mara zachowała się niegrzecznie, odprawiając ją jak służącą, księżniczka nie zdradzała objawów poirytowania.

– Dziękuję ci za pomoc – powiedziała na odchodnym. – Porozmawiamy później. – Obdarzywszy ją na pożegnanie uśmiechem, otworzyła drzwi i wyszła.

– Nie licz na to – wymamrotała pod nosem Mara, gdy Leia zniknęła.

Odwróciła się do biurka i opadła na fotel. Sprawy zaszły za daleko, uznała. Jeśli Karrde był zbyt zajęty, by skontaktować się ze swoim pośrednikiem, trudno. Wydostaną się stąd, korzystając wyłącznie z pomocy rzeczonego pośrednika. Wyszperała datakartę z kodem i spróbowała nawiązać połączenie dalekiego zasięgu.

Na ekranie terminala natychmiast pojawił się komunikat: POŁĄCZENIE NIE MOŻE ZOSTAĆ ZREALIZOWANE. ŁĄCZNOŚĆ DALEKIEGO ZASIĘGU TYMCZASOWO NIEDOSTĘPNA.

– Cudownie – burknęła pod nosem. – A kiedy będzie dostępna?

BRAK DANYCH. POWTARZAM: ŁĄCZNOŚĆ DALEKIEGO ZASIĘGU TYMCZASOWO NIEDOSTĘPNA.

Klnąc pod nosem, wyłączyła terminal. Wyglądało to tak, jakby cały wszechświat sprzysiągł się dziś przeciwko niej. Sięgnęła po datapad, na którym wcześniej przeglądała raporty, po czym odłożyła go z powrotem na biurko i wstała. Było późno. Zasnęła już raz przy biurku. Na jej miejscu ktoś mający odrobinę zdrowego rozsądku odpuściłby i poszedł spać.

Ona jednak podeszła do okna, wsparła głowę o rzeźbioną drewnianą ramę i zapatrzyła się na światła miasta migoczące w dole jak okiem sięgnąć. Spróbowała zebrać myśli…

„Nie. To niemożliwe – stwierdziła z determinacją. – Niemożliwe, absurdalne, wręcz nie do pomyślenia”. Organa Solo mogła sobie do woli strzępić język, próbując jej wmówić to, w co sama wierzyła. Ona jednak po pięciu latach życia z tym ciężarem doskonale znała swoje myśli i uczucia. Wiedziała, co jest prawdą, a co nie.

A mimo to…

Przed oczami stanął jej znów obraz z jej snu: Imperator, wpatrujący się w nią przenikliwie, z bezbrzeżnym rozgoryczeniem, osaczony przez Vadera i Skywalkera. Milczący wyrzut malujący się wyraźnie w jego żółtych oczach – oskarżających ją o to, że to wszystko przez nią. Dlatego, że nie zdołała zlikwidować Skywalkera w pałacu Hutta Jabby. Fala bezsilnej wściekłości, gdy opadały na niego ostrza dwóch mieczy świetlnych. I ten ostatni okrzyk, rozbrzmiewający nieustannie w jej głowie:

MASZ ZABIĆ LUKE'A SKYWALKERA!

– Przestań! – warknęła, uderzając z całej siły bokiem głowy we framugę.

Obraz i słowa eksplodowały w rozbłysku oślepiającego bólu i zniknęły w powodzi iskier.

Przez długą chwilę stała tak w ciszy, nasłuchując dudnienia serca we własnych uszach. Jej myśli krążyły jak oszalałe, nasuwając sprzeczne wnioski. Imperator bez dwóch zdań pragnął śmierci Skywalkera… jednak Organa Solo myliła się. Nie było innego wytłumaczenia. To ona, Mara, chciała uśmiercić Luke'a Skywalkera, a nie jakieś duchy z przeszłości.

Daleko nad miastem zapulsowały łagodnie wielobarwne światła, oblewając budynki i wiszące nad nimi chmury tęczową poświatą. Zegar w starożytnym Ratuszu Zgromadzeń wybił godzinę, tak jak to robił przez trzy ostatnie stulecia. Światła zafalowały i zamigotały, a potem zgasły.

Było pół godziny po północy. Pogrążona w myślach Mara nie zdawała sobie sprawy z tego, że zrobiło się tak późno. A ona nie wymyśliła nic mądrego. Równie dobrze mogła się położyć i spróbować zapomnieć o tym wszystkim na chwilę dość długą, by zdołała zasnąć. Z westchnieniem odepchnęła się od okna… i zamarła. Gdzieś na skraju jej umysłu rozbrzmiał cichy alarm.

W pobliżu czaiło się niebezpieczeństwo.

Nasłuchując, wyjęła z kabury na przedramieniu swój miniaturowy blaster. Nic. Zerknęła podejrzliwie na okno, zastanawiając się przelotnie, czy ktoś może obserwował ją z ukrycia, i bezszelestnie podkradła się do drzwi. Przyłożyła do nich ucho i znów zaczęła nasłuchiwać.

Przez chwilę nic się nie działo, nagle jednak dosłyszała odległe echo zbliżających się kroków, ledwie słyszalne przez grube drewno: cichych, ale zdecydowanych kroków typowych dla zawodowych żołnierzy. Znieruchomiała… ale ktokolwiek był tam na zewnątrz, minął jej pokój, nie zwalniając, i skierował się w głąb korytarza.

Odczekała, licząc do dziesięciu, aby kroki oddaliły się na bezpieczną odległość, po czym ostrożnie otworzyła drzwi i wyjrzała na zewnątrz.

Było ich czterech, ubranych w mundury straży pałacowej i idących w szyku rombowym. Gdy dotarli do rozgałęzienia korytarza, mężczyzna idący przodem zwolnił i rozejrzał się pospiesznie dookoła. Gestem dał reszcie znak i wszyscy czterej zniknęli za rogiem, kierując się w stronę schodów wiodących do centralnej części pałacu – w dół lub na górę, do wieży i apartamentów osób rezydujących tu na stałe.

Patrzyła przez chwilę w ślad za nimi. Wcześniejsze znużenie zniknęło bez śladu w wyniku napływu adrenaliny. Szyk rombowy, dostrzegalna ostrożność, sygnał dłonią i jej własne przeczucie, podpowiadające pojawienie się zagrożenia… Wniosek nasuwał się sam: do pałacu przeniknął imperialny wywiad.

Odwróciła się do biurka i zatrzymała w pół kroku, klnąc cicho pod nosem. Jedną z pierwszych rzeczy, o które zadbałyby siły specjalne, byłoby dostanie się do komputera centralnego i systemu łączności budynku. Wszelkie próby wszczęcia alarmu zostałyby z pewnością dostrzeżone i spłoszyłyby intruzów.

Co oznaczało, że jeśli Mara chce ich powstrzymać, będzie to musiała zrobić osobiście. Zacisnąwszy mocniej palce na rękojeści blastera, wyślizgnęła się z pokoju i ruszyła w ślad za żołnierzami.

Zdołała dotrzeć do zakrętu korytarza, zza którego wychylała się właśnie, żeby rozeznać się szybko w sytuacji, gdy usłyszała za plecami cichy szczęk odbezpieczanego blastera.

– No dobra, Jade – mruknął jej ktoś do ucha. – Tylko spokojnie. To koniec.

Rozdział 9

Admirał Drayson opadł na oparcie fotela i pokręcił głową.

– Panie Calrissian, generale Bel Iblis, bardzo mi przykro – powtórzył jakiś dziesiąty raz od chwili rozpoczęcia tego spotkania – ale nie możemy ryzykować.

Lando wziął głęboki oddech, próbując wykrzesać z siebie ostatnie iskry cierpliwości. Nie mógł pozwolić, by Drayson tak lekkomyślnie odbierał mu jedyną szansę na uratowanie tego, na co tak ciężko pracował i o co w pocie czoła walczył.

– Admirale…

– To wcale nie jest aż tak wielkie ryzyko, jak mogłoby się wydawać, admirale – wszedł mu w słowo Bel Iblis, gładko i zdecydowanie uprzejmiej, niż zamierzał to zrobić Lando. – Wskazałem panu co najmniej osiem miejsc, z których mógłby pan odwołać którąś z fregat szturmowych na mniej niż dziesięć dni.

– Przy dotychczasowym tempie wielki admirał Thrawn zajmie w ciągu tych dziesięciu dni kolejne trzy sektory! – parsknął Drayson. – Chce mu pan umożliwić zdobycie czwartego?

– Admirale, mówimy tu o jednej fregacie szturmowej – jęknął Lando. – Nie o tuzinie gwiezdnych krążowników czy orbitalnej stacji bojowej. Co takiego może pana zdaniem knuć Thrawn, aby jedna fregata lub jej brak zadecydowały o losach bitwy?

– A czego, pańskim zdaniem, zdołałby dokonać w pilnie chronionych stoczniach, dysponując jednym zmodyfikowanym frachtowcem? – odciął się Drayson. – Panowie, powiedzmy to sobie wprost: podczas konfrontacji z kimś pokroju Thrawna przestają się liczyć wszelkie zasady. Jest w stanie uknuć intrygę tak subtelną, że dostrzeżemy zasadzkę dopiero wtedy, gdyby będzie już za późno. Było tak już nieraz.

Lando się skrzywił, jednak tak naprawdę nie mógł winić Draysona za jego ostrożność. Kilka miesięcy temu, gdy wraz z Hanem pierwszy raz trafili do tajnej bazy wojskowej Bela Iblisa, sam

podejrzewał początkowo, że wszystko to jest jakimś zakrojonym na gigantyczną skalę szwindlem, za którym stoi Thrawn. Dopiero po awanturze z Flotą Katańską Lando dał się przekonać, że tak nie jest, i dobrze zapamiętał tę lekcję.

– Admirale, każdy z nas doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że Thrawn jest genialnym taktykiem – powiedział, siląc się na spokój i ostrożnie dobierając słowa. – Nie możemy jednak wiecznie zakładać, że wszystko, co dzieje się w galaktyce, stanowi część jakiegoś zakrojonego na niewyobrażalną skalę spisku, który uknuł. Przywłaszczył sobie moje zapasy metali i sparaliżował Nomad City. Obstawiałbym, że dostał już wszystko, na czym mu zależało.

Drayson pokręcił głową.

– Obawiam się, że pańskie szacunki to za mało, Calrissian. Jeśli dostarczy mi pan gwarancji, że Imperium nie wykorzysta sytuacji, w której wyłączymy z walk jedną fregatę szturmową, rozważę użyczenie jej panu.

– Och, admirale, ależ…

– Ponadto – nie dał mu dokończyć Drayson, zaczynając zbierać swoje datakarty – na pańskim miejscu starałbym się nie nagłaśniać zbytnio swoich powiązań z projektem, który realizował pan na Nkllonie. Wiele osób wciąż pamięta, że to właśnie pańskich kretowiertów Thrawn użył podczas ataku na stocznie Sluis Van.

– I to właśnie dzięki wiedzy Calrissiana na temat tych maszyn atak się nie powiódł – dopowiedział cicho Bel Iblis. – O tym również pamięta sporo osób.

– Jeśli wyjdziemy z założenia, że Thrawnowi rzeczywiście zależało na kradzieży statków – odbił piłeczkę Drayson, wstając od stołu. – Osobiście sądzę, że w zupełności wystarczyło mu wyłączenie ich z walki. A teraz, jeśli panowie wybaczą, muszę wrócić do swoich obowiązków. Przypominam, że wojna wciąż trwa. – Z tymi słowy wyszedł.

Gdy drzwi się za nim zamknęły, Lando westchnął cicho zrezygnowany.

– I to będzie na tyle – mruknął, zaczynając gromadzić własne datakarty.

– Proszę nie brać tego zbytnio do siebie – poradził mu Bel Iblis, wstając ze swojego krzesła i rozprostowując zdrętwiałe członki. – Tu chodzi nie tyle o pana i Nomad City, ile o mnie. Drayson od zawsze należał do osób, które każdy sprzeciw wobec decyzji Mon Mothmy traktują niemal na równi z sympatyzowaniem z Imperium. Najwyraźniej nic się w tej kwestii nie zmieniło.

– Wydawało mi się, że wyjaśniliście już sobie z Mon Mothmą dawne zaszłości – bąknął Lando, wstając.

– W rzeczy samej. – Bel Iblis wzruszył ramionami, po czym obszedł stół i skierował się w stronę drzwi. – Przynajmniej z grubsza. Zaproponowała, bym wrócił na łono Nowej Republiki, a ja przyjąłem jej zwierzchnictwo i oficjalnie konflikt został zażegnany. Jednak o pewnych rzeczach trudno jest zapomnieć. – Skrzywił się gorzko. – Poza tym muszę przyznać, że moje odejście z Sojuszu po zniszczeniu Alderaana mogło zostać potraktowane bardziej… dyplomatycznie. Umieścili pana na piętrze dla gości rządowych?

– Tak. A pana?

– Również. Chodźmy. Odprowadzę pana.

Wyszli z sali konferencyjnej, kierując się łukowato sklepionym korytarzem do zespołu turbowind.

– Sądzi pan, że jest szansa na to, by zmienił zdanie? – spytał po drodze Lando.

– Drayson? – Bel Iblis pokręcił głową. – Nie liczyłbym na to. Chyba że zdołamy wywabić Mon Mothmę z centrum dowodzenia i zmusić ją, żeby pana wysłuchała. Jeśli nie, pozostaje nam tylko liczyć na to, że w ciągu najbliższych dni na Coruscant wróci Ackbar. Pomijając już kwestię znaczenia Nomad City, przypuszczam, że jest panu winien przysługę lub dwie…

Lando wrócił myślami do tej niezręcznej chwili, w której poinformował Ackbara, że zrzeka się stopnia generalskiego.

– Przysługi na nic się tu nie zdadzą, jeśli on również uzna, że to może być pułapka – zauważył ponuro. – Tym bardziej po tej całej historii ze Sluis Van.

– Racja – przyznał Bel Iblis. Zajrzał w głąb mijanego korytarza, a gdy spojrzał znów przed siebie, Lando spostrzegł, że marszczy

czoło z lekkim niepokojem. – A wszystko jeszcze komplikuje obecność tego całego Źródła Delta, zainstalowanego w pałacu przez Imperium. Sam fakt, że Thrawn nie ma obecnie żadnych planów względem Nkllona, nie oznacza, że czegoś nie wymyśli, gdy dowie się, co zamierzamy.

– O ile się dowie – poprawił go Calrissian. – Źródło Delta nie jest wszechwiedzące. Pod jego nosem Han i Leia zdołali wypełnić kilka ważnych misji, o których Imperium się nie dowiedziało.

– Co tylko potwierdza skuteczność małych grup. Mimo to im wcześniej namierzymy źródło przecieku i je zlikwidujemy, tym lepiej.

Mijali właśnie kolejne skrzyżowanie i Bel Iblis ponownie zajrzał w głąb bocznego korytarza. Tym razem Lando wyraźnie dostrzegł jego zafrasowaną minę.

– Kłopoty? – spytał cicho.

– Nie jestem pewien… – Bel Iblis zawiesił głos. – Czy w tej części pałacu nie powinniśmy przypadkiem spotkać jakichś strażników?

Lando rozejrzał się dookoła. Rzeczywiście, korytarze były dziwnie wyludnione.

– Może wszyscy zostali gdzieś oddelegowani w związku z sarkańskim przyjęciem?

– Byli tu wcześniej – zauważył Bel Iblis. – Gdy schodziłem na dół, widziałem co najmniej dwóch.

Lando obejrzał się za siebie, czując pełznący po plecach nieprzyjemny dreszcz.

– Gdzie się w takim razie podziali?

– Nie wiem. – Bel Iblis wziął głęboki oddech. – Nie ma pan przypadkiem przy sobie broni?

Calrissian pokręcił głową.

– Zostawiłem blaster w swoim pokoju na górze. Nie sądziłem, że będzie mi potrzebny.

– Cóż, może i nie będzie – stwierdził koreliański generał, rozglądając się ukradkiem dookoła i wsuwając prawą dłoń za pazuchę. – Prawdopodobnie istnieje jakieś proste wytłumaczenie tej sytuacji…

– Niewykluczone – zgodził się z nim Lando, sięgając po komunikator. – Skontaktuję się z centralą i spytam, co się dzieje.– Włączył urządzenie… I wyłączył je równie szybko, gdy z głośnika dobiegł cichy pisk zakłóceń.– Wygląda na to, że właśnie straciliśmy szansę na proste wytłumaczenie – skwitował ponuro. Nagle zaczął żałować, że nie wziął ze sobą blastera. – Co robimy?

– Musimy znaleźć jakiś sposób na ostrzeżenie straży pałacowej – postanowił Bel Iblis, rozglądając się po korytarzu. – Zastanówmy się. Raczej nie skorzystamy z turbowind, bo dojeżdżają one jedynie do części mieszkalnej. Na końcu tego korytarza są jednak schody prowadzące do centralnej części pałacu. Może spróbujemy tamtędy.

– Brzmi rozsądnie – ocenił Lando. – Zajrzyjmy najpierw do mojego apartamentu. Wezmę blaster.

– Dobry pomysł – pochwalił generał. – Przejdziemy obok turbowind. Schody są tam. Szybko i po cichu…

Schody były równie wyludnione co korytarz, którym tu dotarli. Ledwie jednak Bel Iblis wyszedł z klatki schodowej, podniósł ostrzegawczym gestem dłoń. Calrissian bezszelestnie zatrzymał się obok niego i wyjrzał na korytarz.

W oddali skradała się samotna postać, kierując się w przeciwną stronę: szczupła kobieta o ognistorudych włosach, z małym blasterem w dłoni.

Mara Jade.

W ciszy rozległ się ledwie słyszalny szelest metalu ocierającego się o materiał, gdy Bel Iblis dobył broni. Gestem dał Landowi znak, by szedł za nim, i razem ruszyli w jej stronę.

Dogonili ją, kiedy dotarła do przecięcia korytarzy. Gdy zamarła, zamierzając się rozejrzeć, Bel Iblis wziął ją na muszkę.

– No dobra, Jade – powiedział cicho. – Tylko spokojnie. To koniec.

Calrissian przez chwilę był pewien, że napotkają opór – dziewczyna obejrzała się przez ramię, jakby chciała oszacować, z kim przyjdzie jej się zmierzyć, jednak zamiast rzucić się na nich, zawołała z wyraźną ulgą w głosie:

– Calrissian! – Wydawała się równie zaniepokojona co oni. – W pałacu są ludzie Imperium. Podszywają się pod straż pałacową.

Właśnie przed chwilą widziałam czwórkę…

– Ciekawa sprawa – stwierdził Bel Iblis, mierząc ją czujnym wzrokiem. – A dokąd się pani wybierała?

– Pomyślałam, że nie zaszkodzi sprawdzić, jakie mają plany – warknęła z przekąsem. – Pomożecie czy nie?

Bel Iblis zaryzykował spojrzenie za róg.

– Nikogo nie widzę. Pewnie już zeszli na dół. Obstawiałbym centrum dowodzenia lub przyjęcie dla Sarkan.

Calrissiana nagle olśniło.

– Nie – powiedział stanowczo. – Nie zeszli na dół. Udali się na górę. Chodzi im o bliźniaki Lei.

Mara zaklęła pod nosem.

– Masz rację. Thrawn obiecał je temu szaleńcowi C'baothowi. To by się zgadzało.

– Możliwe – przytaknął Bel Iblis. – Calrissian, gdzie jest pański pokój?

– Drugie drzwi w tę stronę. – Lando wskazał podbródkiem przez ramię.

– Proszę wziąć swój blaster – polecił mu Bel Iblis, wyglądając znów za róg. – Potem idźcie tym korytarzem do głównych schodów i sprawdźcie, czy zdołali już dotrzeć na górę. Może uda wam się jakoś ostrzec Leię i Hana. Ja pójdę na dół i zorganizuję jakieś wsparcie.

– Proszę zachować ostrożność – przestrzegła go Mara. – Mogli zostawić na dole straż.

– Na pewno wystawią czujkę na górze – odparł Bel Iblis. – Wy również na siebie uważajcie. – Ponownie zerknął za róg, po czym ruszył przed siebie.

– Zaczekaj tu – mruknął Lando do Mary, kierując się do swojego apartamentu. – Za chwilę wrócę.

– Lepiej się pospiesz! – zawołała cicho w ślad za nim.

– Jasne.

W kilku szybkich krokach dotarł do swojego pokoju i otworzył drzwi, oglądając się przy tym na Marę. Stała tam, gdzie ją zostawił, wyglądając ostrożnie za róg. Na jej zwróconej do niego profilem twarzy malowało się napięcie, ale i dziwne otępienie.

Ta twarz… Osobliwie znajoma, jakby gdzieś już się spotkali. Gdzieś na obrzeżach pamięci majaczyły szczegóły tego spotkania, jednak w tej chwili mgliste wspomnienia za nic nie chciały nabrać ostrości.

Otrząsnął się z zamyślenia. Kimkolwiek była, to zdecydowanie nie były miejsce ani pora na zastanawianie się nad tym. Hanowi, Lei i ich dzieciom groziło śmiertelne niebezpieczeństwo, a od niego i Mary zależało uchronienie ich przed nim.

Odwrócił się z powrotem do drzwi swojego pokoju i pospiesznie wszedł do środka.

„Leio Organa Solo! Leio Organa Solo, obudź się! Jesteś w niebezpieczeństwie! Obudź się! Leio Organa Solo, przebudź się…”.

Leia wybudziła się ze snu, wciągając spazmatycznie powietrze w płuca. W uszach wciąż słyszała echo tego natarczywego głosu. Przez kilka sennych sekund nie mogła sobie przypomnieć, gdzie jest, starając się dojrzeć coś i wyczuć zmysłami Jedi w otaczającym ją mroku. Nagle jednak resztki snu się rozproszyły i wróciła pełna świadomość: zgadza się, była w swoim apartamencie w pałacu imperialnym. Han mruknął coś cicho przez sen, przekręcając się na bok, po drugiej stronie pokoju bliźnięta spały smacznie w swoim łóżeczku. W sąsiednim pokoju Winter również spała, bez wątpienia śniąc sny równie realne jak obrazy zapamiętywanych przez nią w najdrobniejszych szczegółach wspomnień. A na zewnątrz…

Zmarszczyła czoło. Pod drzwiami ktoś był. „Nie… – poprawiła się w myśli. – To nie była jedna osoba, tylko kilka. Co najmniej pięć lub sześć”.

Wyślizgnęła się z pościeli, odruchowo sięgając po blaster i miecz świetlny leżące na podłodze przy łóżku. Prawdopodobnie nie było powodu do niepokoju – zapewne to członkowie patroli straży pałacowej spotkali się na zewnątrz i wykorzystywali okazję, by uciąć sobie pogawędkę, nim wrócą do swoich obowiązków. „Łamiąc przy okazji kilka rygorystycznych przepisów, których zobowiązani

byli przestrzegać podczas służby” – pomyślała z przekąsem. Będzie musiała poinformować ich o tym. Uprzejmie, ale surowo.

Stąpając bezszelestnie po grubym dywanie, wyszła z sypialni i przeszła przez salon do drzwi, po drodze starając się wyostrzyć zmysły ćwiczeniami Jedi. Jeśli zdoła rozpoznać głosy poszczególnych strażników, porozmawia z każdym z nich rankiem na osobności.

Nie dotarła nawet do drzwi. W pół drogi do nich zatrzymała się raptownie, gdy jej wyczulony dzięki Mocy słuch zaczął rejestrować dobiegający zza nich cichy szum. Nadstawiła uszu, starając się zignorować dudnienie własnego serca. Odgłos był ledwie słyszalny, ale bardzo charakterystyczny, a ona miała pewność, że gdzieś go już kiedyś słyszała.

I nagle sobie przypomniała: to był dźwięk wydawany przez elektroniczny wytrych. Ktoś próbował się włamać do ich apartamentu!

Nim zdążyła zareagować, sparaliżowana z przerażenia, zamek kliknął cicho, sygnalizując rozpracowanie blokady…

Nie było czasu ani miejsca na ucieczkę, jednak architekci, którzy zaprojektowali pałacową wieżę, pomyśleli i o takiej ewentualności. Leia błyskawicznie podniosła blaster do strzału, modląc się w duchu, by mechanizm wciąż działał – i wypaliła dwukrotnie w stronę drzwi.

Wykonano je z jednego z najwytrzymalszych gatunków drewna w galaktyce, więc jej strzały prawdopodobnie nie dotarły nawet do jednej czwartej ich grubości – to jednak wystarczyło. Wbudowane w drzwi czujniki zarejestrowały je, klasyfikując jako sygnał świadczący o ataku. Nim odgłos palby wybrzmiał na dobre w boleśnie wrażliwych uszach Lei, drewniane skrzydła przesłoniła ciężka, metalowa płyta.

– Leia? – dobiegł zza jej pleców głos Hana, dziwnie przytłumiony przez dzwonienie w uszach.

– Ktoś próbuje włamać się do apartamentu! – wyjaśniła, odwracając się na pięcie i biegnąc w stronę męża stojącego w drzwiach sypialni z odbezpieczonym blasterem w dłoni. – Opuściłam w porę gródź bezpieczeństwa, ale pewnie ich to nie powstrzyma.

– A przynajmniej nie na długo – zgodził się z nią Han, gdy dopadła do niego. – Wracaj do sypialni i skontaktuj się ze służbami bezpieczeństwa. Ja spróbuję ich zatrzymać.

– Dobrze. Uważaj na siebie. Oni nie żartują… – Nim wypowiedziała te słowa, pokojem targnął gwałtowny wstrząs. Najwyraźniej intruzi uznali, że czas na próby dostania się do środka po cichu minął, i postanowili poradzić sobie za pomocą ładunków.

– Cóż, nie wątpię – mruknął ponuro Han. – Obudź Winter i Threepio i weź bliźnięta. Musimy szybko coś wymyślić.

Pierwszy stłumiony huk, który odbił się echem od delikatnego łukowego sklepienia klatki schodowej, mógł być strzałem z blastera, Mara nie była w stanie stwierdzić na pewno. Jednak drugi, który rozległ się kilka sekund później, potwierdził jej obawy.

– Oho – mruknął z niepokojem Calrissian. – Chyba robi się poważnie.

Z oddali dobiegł odgłos kolejnego wystrzału.

– Brzmi jak ciężki blaster – oceniła, nasłuchując w skupieniu. – Najwyraźniej nie udało im się dostać do środka po cichu.

– Chyba że zależy im tylko na bliźniętach – podsunął ponuro Lando, posuwając się nieco dalej od rogu, za którym przycupnęli. – Chodźmy.

– Zaczekaj – powstrzymała go Jade, chwytając go wolną ręką za ramię i omiatając uważnie wzrokiem bezpośrednią okolicę. Zwieńczone szerokim łukiem schody przed nimi prowadziły na galerię na półpiętrze, ozdobioną misterną kamienną balustradą. Z miejsca, w którym stali, widać było podnóża dwóch prowadzących na piętro z przeciwnych końców półpiętra węższych ciągów schodów, pnących się podwójnymi spiralami ku górze. – Ta galeria aż się prosi, by zostawić na niej tylną straż, a ja wolałabym nie wystawiać się na ostrzał.

Calrissian zaburczał ze zniecierpliwieniem pod nosem, ale nie ruszył się z miejsca. Chwilę później ucieszył się najprawdopodobniej, że posłuchał Mary.

– Masz rację, w pobliżu schodów po lewej ktoś jest – szepnął.

– Co oznacza, że przy tych po prawej też kogoś zostawili – mruknęła, lustrując uważnie szczeliny i zagłębienia kamiennej balustrady. Z oddali dobiegł odgłos kolejnego wystrzału. Agenci wywiadu lubili trzymać się w cieniu… – Kolejna dwójka strzeże głównych schodów – dodała. – Jakieś dwa metry od ich skraju.

– Widzę ich – potwierdził Lando. – To nie będzie łatwe. – Obejrzał się przez ramię na schody prowadzące w górę. – No, Bel Iblis, gdzie jesteś!?

– Lepiej, żeby się pospieszył – dodała Mara, ostrożnie popatrując na czwórkę imperialnych żołnierzy i próbując sobie jednocześnie przypomnieć rozkład pomieszczeń w wieży. – Drzwi do pokoju Organy Solo nie wytrzymają zbyt długo…

– A nawet gdyby wytrzymały, to i tak jesteśmy tu uziemieni – dodał Calrissian, cmokając cicho z dezaprobatą. – Zaczekaj tu chwilę. Mam pewien pomysł.

– Dokąd idziesz? – szepnęła w ślad za nim Mara.

– Do głównego hangaru – wyjaśnił, kierując kroki w stronę schodów za ich plecami. – Chewie pracował tam wcześniej przy „Sokole”. Jeśli nadal tam jest, może zdołamy dotrzeć do nich z zewnątrz.

– Niby jak? – parsknęła Jade. – Te okna są zrobione z transparistali. Nie zdołasz się przez nie przestrzelić, nie zabijając przy tym wszystkich w środku.

– Nie będę musiał tego robić – odpowiedział z chytrym uśmieszkiem. – Leia ma miecz świetlny. Zajmij się nimi, dobra?

Puścił się biegiem w stronę schodów i wkrótce zniknął jej z oczu.

– Jasne – warknęła na wpół do niego, na wpół do siebie, skupiając się na powrót na imperialnych żołnierzach strzegących schodów. Czy zauważyli tu ją i Calrissiana? Cóż, to możliwe. A jeśli rzeczywiście tak było, to facet przy schodach po lewej stał prawdopodobnie zbyt daleko od bezpiecznego schronienia tylko po to, by ją sprowokować i wywabić…

Postanowiła, że da mu tę satysfakcję. Przerzuciła blaster do lewej dłoni, wsparła nadgarstek o róg ściany, wycelowała ostrożnie…

Strzał oddany z okolicy drugich schodów odłupał kawałki muru tuż nad jej bronią, zasypując ją gradem kamiennych okruchów.

– Szlag! – warknęła, cofając pospiesznie dłoń i strącając z niej rozgrzane szczątki. A więc tak to chcieli rozegrać? Nie ma sprawy, ona też potrafiła pogrywać ostro. Zacisnąwszy mocniej palce na rękojeści blastera, podkradła się z powrotem do rogu…

Życie ocalił jej cichy sygnał ostrzegawczy, który pojawił się w jej umyśle dosłownie w ostatniej chwili. Usłyszawszy go, instynktownie przyklękła. Ledwie przypadła do ziemi, tuż nad jej głową przeleciały oddane z naprzeciwka dwa strzały, trafiając w ścianę. Odepchnęła się od podłogi, przetoczyła na bok i odruchowo wycelowała w stronę miejsca, z którego padły.

Było ich dwóch, bezszelestnie skradali się ku niej z korytarza po drugiej stronie schodów. Bez namysłu wypaliła w ich stronę dwukrotnie, przekręcając się na brzuch. Strzały chybiły. Chwyciwszy blaster oburącz i próbując nie zwracać uwagi na to, że kolejne oddawane przez napastników strzały padały coraz bliżej, wzięła na muszkę tego po prawej i znów oddała dwa szybkie strzały, jeden po drugim.

Mężczyzną wstrząsnął nagły dreszcz, a po chwili jego ciało runęło na podłogę. Zaciśnięty odruchowo na spuście palec posłał ostatni strzał w stronę sufitu.

Gdy Mara skupiła się na drugim z intruzów, koło jej ucha świsnął promień energii. Kolejny przeleciał jeszcze bliżej, gdy mężczyzna wycelował dokładniej…

I nagle powietrze nad jej głową przeszyła seria blasterowego ognia. Ostrzeliwujący ją imperialny agent zwalił się bez życia na ziemię.

Mara odwróciła się jak użądlona. W jej stronę schodami pędziła grupa strażników pałacowych z bronią w pogotowiu. Pochód zamykał Bel Iblis.

– Wszystko w porządku? – zawołał do niej.

– Nic mi nie jest – mruknęła, odtaczając się nieco głębiej za róg.

Rychło w czas: gdy imperialni na półpiętrze zorientowali się, że nie ma już sensu dalej się kryć, przestali się również wahać i otworzyli ogień na dobre.

Mara zerwała się na równe nogi, nurkując z dala od chmury kamiennych szczątków, która zasypała korytarz.

– Calrissian zszedł do hangaru! – zawołała do Bela Iblisa, starając się przekrzyczeć odgłosy kanonady.

– Wiem, minęliśmy się po drodze. – Korelianin kiwnął głową, a obok przemknęła grupa strażników Nowej Republiki. – Co straciłem?

– Zjawiło się kilku spóźnialskich – poinformowała go Mara, wskazując podbródkiem na korytarz. – Pewnie wracali z centrali łączności. Ich przyjaciele na galerii próbowali odwrócić moją uwagę, podczas gdy tamci się podkradli. O mały włos.

– Cieszę się, że im się nie udało – stwierdził Bel Iblis, przenosząc wzrok nad jej ramię. – Poruczniku?

– To nie będzie łatwe, sir – zawołał dowódca straży, próbując przekrzyczeć hałas. – Sprowadzamy ze zbrojowni samopowtarzalnego E-Weba. Gdy tylko tu dotrze, pozbędziemy się ich stąd. Do tego czasu jednak możemy tylko próbować związać ich ogniem i liczyć na to, że powinie im się noga.

Bel Iblis pokiwał z wolna głową, zaciskając usta i mrużąc lekko oczy, w których dało się dostrzec ślad napięcia. Mara znała ten wyraz twarzy, choć widywała go rzadko i to jedynie u ścisłej elity dowódców wojskowych: była to mina przywódcy, który wie, że musi posłać swoich ludzi na pewną śmierć…

– Nie możemy dłużej czekać – powiedział stanowczo generał, choć w jego głosie słychać było wzburzenie. – Zanim tu dotrą, grupa na górze sforsuje drzwi do apartamentu Solo. Musimy działać. Natychmiast.

Dowódca straży wziął głęboki oddech.

– Ja… tak jest, sir. W porządku, słyszeliście, co powiedział generał – rzucił pod adresem swoich ludzi. – Poszukajmy jakiejś osłony i do dzieła.

Mara postąpiła o krok w stronę Bela Iblisa.

– Wie pan, że nie zdołają tam dotrzeć na czas – powiedziała cicho.

– Wiem – potwierdził niechętnie. – Ale im więcej przeciwników zlikwidujemy teraz, z tym mniejszą grupą będziemy musieli się rozprawić, gdy zejdą. – Spojrzał znów ponad jej ramieniem. – I kiedy – dodał ledwie słyszalnym szeptem – będą mieli zakładników…

Terkot blasterowej kanonady umilkł, zakończony przez stłumiony metaliczny szczęk, i nastała cisza.

– Ojej – jęknął C-3PO z kąta pokoju, w którym próbował najlepiej, jak umiał, nie rzucać się w oczy. – Chyba frontowa gródź bezpieczeństwa przestała działać…

– Cieszę się, że jesteś tu z nami, żeby nas o tym poinformować – parsknął poirytowany Han, kolejny raz gorączkowo rozglądając się po sypialni Winter.

Leia wiedziała, że to bezcelowe – wykorzystali już wszystko, co mogłoby posłużyć jako prowizoryczna barykada. Łóżko Winter i jej pamiątkowy kufer przesunęli pod dwoje drzwi prowadzących do głównej części apartamentu, a pod oknem stała przewrócona szafa. I to tyle. Teraz mogli tylko czekać, aż intruzi wedrą się do środka przez któreś z drzwi.

Wzięła głęboki oddech, próbując uspokoić serce walące jak młotem. Od chwili, gdy Imperium po raz pierwszy podjęło próbę porwania jej na Bimmisaari, zdążyła się oswoić z myślą, że te ataki były wymierzone w nią – i tylko w nią. Nie była tym zachwycona, jednak po wszystkich latach spędzonych na wojnie w jakiś sposób mogła się z tym faktem pogodzić.

Tym razem jednak było inaczej. Tym razem zamiast zasadzić się na nią i jej nienarodzone dzieci… napastnicy wzięli na cel jej córkę i syna. Niemowlęta, które mogli jej fizycznie odebrać – wyrwać z jej objęć – i ukryć w miejscu, w którym być może nigdy ich nie odnajdzie.

Ścisnęła mocniej rękojeść miecza świetlnego. „O nie – postanowiła z mocą. – Nie zrobią tego. Nie pozwolę im na to”.

Z zewnątrz dobiegł głuchy trzask pękającego drewna.

– No to… ładną mieliśmy kanapę – wymamrotał Han. Kolejny trzask. – I krzesło. I tak nie sądziłem, że ich to powstrzyma…

– Cóż, warto było spróbować – podjęła próbę pocieszenia go Leia.

– Taaa – mruknął pod nosem jej mąż. – A od kilku miesięcy wciąż ci powtarzałem, że przydałoby się nam tutaj więcej mebli.

Uśmiechnęła się z wysiłkiem i ścisnęła jego dłoń. Jak zawsze nie byłby sobą, gdyby nie spróbował chociaż odrobinę rozładować napięcia w trudnej sytuacji.

– Wcale tak nie mówiłeś – szepnęła mu na ucho. – A poza tym i tak rzadko tu bywasz. – Obejrzała się na Winter, siedzącą na podłodze pod transparistalowymi oknami z bliźniętami w ramionach. – Jak tam? – spytała.

– Chyba zaczynają się budzić – odszepnęła Winter.

– Zgadza się – potwierdziła księżniczka, starając się poprzez Moc uspokoić maleństwa i dodać im otuchy na tyle, na ile była w stanie w tej sytuacji.

– Postaraj się je uciszyć – poprosił ją szeptem Han. – Wolałbym nie ułatwiać sprawy tej bandzie.

Leia pokiwała głową, czując, jak serce ściska jej się na nowo z bólu. Z salonu apartamentu dwoje drzwi prowadziło do dwóch sypialni – jednej należącej do nich, drugiej przydzielonej Winter, co oznaczało, że napastnicy będą mieli pięćdziesiąt procent szans na wdarcie się do właściwego pokoju. Zważywszy na broń, jaką dysponował wróg, błędny wybór celu dałby ofiarom ataku niewiele więcej niż kilka minut cennego czasu, jednak niekiedy nawet tak niewiele mogło zadecydować o życiu lub śmierci.

Od strony ich sypialni dobiegł huk wystrzału z ciężkiego blastera i Leia odetchnęła… Jednak ulga była krótkotrwała: chwilę później odgłos powtórzył się, tym razem z okolic drzwi do pokoju Winter. Stając przed koniecznością wyboru drzwi do wyważenia, imperialni agenci postanowili zabrać się do jednych i drugich.

Odwróciła się w stronę Hana i podchwyciła jego wzrok.

– To ich nieco spowolni – spróbował ją zapewnić, najwyraźniej wbrew własnemu przekonaniu. – Będą musieli się rozdzielić. Nadal mamy jeszcze nieco czasu…

– Gdybyśmy jeszcze wiedzieli, co z nim zrobić… – westchnęła, wodząc bezradnym wzrokiem po ścianach pomieszczenia. Lata spędzone na bezustannym przenoszeniu się z miejsca na miejsce wraz z sekcją zaopatrzenia i dostaw Rebelii wyrobiły u Winter nawyk ograniczania dobytku do najpotrzebniejszego minimum, więc po prostu nie było tu nic więcej poza tym, co wykorzystali już w charakterze osłony przed napastnikami.

Z zewnątrz dobiegło echo kolejnej kanonady, po którym dał się słyszeć nowy zduszony trzask. Leia zdawała sobie boleśnie sprawę

z tego, że intruzi już wkrótce sforsują drewniane drzwi do sypialni, a wówczas ostatnią linią obrony stanie się wewnętrzna gródź bezpieczeństwa. Rozejrzała się znów desperacko po pokoju, czując, że zaczyna ją nieuchronnie dopadać panika. Szafa, łóżko, zabytkowy kufer… nie mieli nic poza tym. Nic, oprócz grodzi bezpieczeństwa, transparistalowych okien i nagich ścian.

Nagich ścian…

Nagle jej wzrok padł na miecz świetlny, który ściskała kurczowo w dłoni.

– Han, a gdybyśmy po prostu stąd… wyszli? – spytała, z nieśmiałą radością witając iskierkę nadziei, która niespodziewanie zatliła się w jej sercu. – Mogłabym przeciąć się przez ścianę do sąsiedniego apartamentu mieczem świetlnym. I nie musielibyśmy na tym poprzestać. Może udałoby się nam wydostać na korytarz, nim sforsują gródź…

– Tak, myślałem już o tym – wyznał niechętnie Solo. – Problem w tym, że oni pewnie również już na to wpadli.

Leia przełknęła głośno ślinę. Zgadza się: imperialni żołnierze bez dwóch zdań byli przygotowani i na to.

– Może w takim razie spróbowalibyśmy ucieczki na dół? – zaproponowała. – Albo piętro wyżej? Sądzisz, że przyszło im do głowy, że będziemy próbowali wydostać się przez sufit?

– Widziałaś, do czego jest zdolny Thrawn – westchnął jej mąż. – Jak myślisz?

Ona również westchnęła ciężko, z żalem porzucając ostatnią nadzieję. Han miał oczywiście rację. Jeśli wielki admirał zaplanował ten atak osobiście, równie dobrze mogli już teraz podnieść gródź i się poddać. Każdy ich potencjalny krok został z pewnością dokładnie przeanalizowany, każde ewentualne posunięcie przewidziane w najmniejszych szczegółach. Co więcej, zespół wysłany przez wielkiego admirała otrzymał najprawdopodobniej wskazówki, jak skutecznie pomieszać im szyki, niezależnie od sytuacji.

Po chwili namysłu potrząsnęła jednak zdecydowanie głową.

– Nie – powiedziała z mocą. – On nie jest nieomylny. Przechytrzyliśmy go już wcześniej i możemy to zrobić znowu. –

Obejrzała się ponownie na siedzącą pod oknem Winter i bliźnięta śpiące nadal w najlepsze w jej ramionach.

Okno…

– No dobrze – powiedziała z namysłem. – A co, gdybyśmy spróbowali wydostać się przez okno?

Han wybałuszył na nią oczy.

– Przez okno… dokąd?

– Dokądkolwiek zdołamy dotrzeć – odparła. Na zewnątrz serie z blasterów wybijały rytmiczne *staccato* o płytę pancernej grodzi. – W górę lub w dół, mniejsza o to.

Solo wciąż przypatrywał się jej z niedowierzaniem.

– Kochanie – jęknął wreszcie. – Na wypadek gdybyś nie zauważyła, te mury na zewnątrz to lity, gładki kamień. Nawet Chewie nie zdołałby się po nich wspiąć bez specjalistycznego sprzętu…

– I właśnie dlatego nie będą się spodziewać, że wybierzemy tę drogę ucieczki – zripostowała, zerkając znów na okno. – Może zdołałabym wyciąć w kamieniu jakieś oparcie dla rąk i stóp… – Urwała, przypatrując się uważniej oknom. To nie było złudzenie wywołane oświetleniem pomieszczenia. Na zewnątrz rzeczywiście migotały reflektory zbliżającego się pojazdu. – Han…

Solo podążył za jej wzrokiem.

– Oho – mruknął. – Kolejni goście. Cudownie.

– Może to ekipa ratunkowa? – zasugerowała z wahaniem.

– Wątpię. – Solo pokręcił głową, przyglądając się światłom. – Minęło zaledwie kilka minut, odkąd zaczęła się strzelanina. Zaraz…

Księżniczka spojrzała znów w stronę okien. Światła na zewnątrz zapalały się i gasły, zapalały się i gasły… Przypatrywała się im w wielkim napięciu, bez rezultatu próbując dopasować tempo i częstotliwość do jakiegokolwiek znanego jej szyfru…

– Kapitanie Solo! – wykrzyknął nagle podekscytowany C-3PO. – Jak pan zapewne wie, władam biegle ponad sześcioma milionami form komunikacji…

– To Chewie! – wszedł mu w słowo Han, zrywając się na równe nogi i zaczynając machać gorączkowo rękami w stronę szyb.

– …a ten sygnał nosi znamiona kodu używanego przez zawodowych graczy w sabaka w sytuacji, gdy…

– Musimy pozbyć się tej szyby – stwierdził stanowczo Han, oglądając się na drzwi. – Leia?

– Już się robi. – Księżniczka odrzuciła blaster i wstała, ściskając w dłoni miecz świetlny.

– …przeciwnicy oszukują w grze…

– Zamknij się, Złota Sztabo! – warknął Han, pomagając tulącej bliźnięta Winter podnieść się z podłogi.

Światła na zewnątrz zbliżały się szybko i Leia dostrzegała już na tle blasku miasta w dole sylwetkę „Sokoła". Przed oczami stanęły jej nagle obrazy z ich pobytu na Bpfassh, kiedy to Noghri próbowali wciągnąć ich w zasadzkę, używając do tego fałszywego „Sokoła". Ale przecież imperialni nie wpadliby na pomysł użycia szyfru wykorzystywanego przez zawodowych hazardzistów… Prawda?

Cóż, w tej chwili nie miało to już właściwie większego znaczenia. Uznała, że woli stawić czoła wrogowi na pokładzie statku, niż czekać tu, aż wedrą się do sypialni i spróbują ich pojmać. Poza tym nim wejdzie na pokład, powinna być w stanie wyczuć, czy to rzeczywiście Chewbacca, czy nie. Podchodząc do okna, zapaliła miecz świetlny, podniosła go nad głowę i…

W tej samej chwili za jej plecami rozległ się ogłuszający huk i gródź bezpieczeństwa ustąpiła pod atakiem napastników.

Odwróciła się jak użądlona. Przez kłęby dymu i snopy iskier zdołała jeszcze dojrzeć przelotnie sylwetki dwóch mężczyzn, odsuwających na bok kufer i nurkujących w bok, nim Han pociągnął ją za rękę na podłogę. Gdy o ścianę i okno rozprysnął się ogień zaporowy, wyłączyła miecz i sięgnęła znów po blaster. Kulący się u jej boku Han odpowiadał już ogniem, ignorując zagrożenie, na wpół skryty za szafą. W drzwiach pojawiło się kolejnych czterech napastników, którzy dołączyli do kolegów skupionych bez reszty na przerabianiu drewnianej szafy na stertę drzazg. Leia zacisnęła zęby, naciskając spust tak szybko, jak pozwalał jej szlifowany latami refleks oraz wsparcie Mocy, jednocześnie rozpaczliwie świadoma tego, że to daremny trud. Im dłużej będą przeciągali tę strzelaninę,

tym większe prawdopodobieństwo, że któryś ze zbłąkanych pocisków dosięgnie jej dzieci…

I nagle, niespodziewanie, poczuła czyjś mentalny dotyk – na wpół sugestię, na wpół nieznoszące sprzeciwu żądanie. Naglące polecenie, prośbę, by…

Zaczerpnęła głęboko tchu.

– Przestańcie! – zawołała, starając się przekrzyczeć ogłuszającą kakofonię. – Przerwać ogień! Poddajemy się!

Ostrzał stopniowo tracił na sile i częstotliwości, aż wreszcie całkiem ustał. Odkładając ostrożnie blaster na wierzch strzaskanej szafy, podniosła ręce nad głowę. Po drugiej stronie pokoju dwójka imperialnych żołnierzy wstawała powoli, kierując się w ich stronę.

Nie spuszczając z nich wzroku, próbowała ignorować Hana, który wbijał w nią pełne niedowierzania spojrzenie.

Tralki balustrady w pobliżu schodów po prawej wybuchły w chmurze kamiennych okruchów i pyłu pod wpływem skoncentrowanego ostrzału straży pałacowej. Żołnierze Imperium natychmiast odpowiedzieli ogniem – jeden z promieni trafił któregoś z pałacowych strażników: mężczyzna runął na plecy i znieruchomiał na posadzce z rozrzuconymi członkami. Mara ostrożnie wyjrzała za róg, mrużąc oczy, aby ochronić je przed wszechobecnym pyłem i oślepiającymi rozbłyskami strzałów. Zastanowiła się przelotnie, czy w całym tym chaosie udało im się zdjąć człowieka Imperium, którego próbowali zlikwidować.

Owszem, na to wyglądało. Gdy bitewny kurz zaczął opadać, dostrzegła wśród dymu i pyłu niewyraźny kształt ciała poznaczonego śladami osmaleń i przysypanego warstewką kamiennego miału.

– Dorwali go – zameldowała, zwracając się do Bela Iblisa. – Zostało jeszcze trzech…

– Oprócz tych, którzy są na górze – uściślił z zasępioną miną. – Miejmy tylko nadzieję, że legendarny fart Solo obejmie Leię, dzieciaki i wszystkich innych, których wezmą jako zakładników…

– Już drugi raz wspomina pan o zakładnikach – zauważyła Mara.

Generał wzruszył ramionami.

– Wykorzystanie ludzkich tarcz to ich jedyny sposób na wydostanie się stąd – skwitował. – I z pewnością o tym wiedzą. Mogą też spróbować ucieczki górą, ale poleciłem już Calrissianowi wysłać tam kilka myśliwców, aby strzegły przestrzeni powietrznej wokół pałacu. Turbowindy są odcięte, więc poza tym ich jedyna droga odwrotu to te schody.

Mara przyglądała mu się, czując, jak po jej plecach pełznie zimny dreszcz. Ostatnie wydarzenia rozgrywały się w tak szaleńczym tempie, że odkąd to wszystko się zaczęło, nie miała nawet chwili, by spokojnie rozważyć wszystkie aspekty sytuacji. Teraz jednak, pod wpływem słów Bela Iblisa połączonych z jej własnymi, na wpół zatartymi przez czas wspomnieniami, powoli zaczęło spływać na nią olśnienie.

Przez dłuższą chwilę stała jak sparaliżowana, a myśli krążyły jej jak oszalałe, gdy zastanawiała się półprzytomnie, czy może wyobraźnia płata jej figle. Jednak nie – to wszystko układało się w perfekcyjnie logiczną układankę. Schludną, przemyślaną, noszącą znamiona geniuszu… geniuszu typowego dla wielkiego admirała Thrawna. Tak, to zdecydowanie było to. Nie mogło być innego wytłumaczenia.

I wszystko poszłoby idealnie zgodnie z planem… gdyby nie jedno małe przeoczenie. Thrawn bez dwóch zdań nie wiedział, że tu była. Albo nie wierzył, że naprawdę była Ręką Imperatora.

– Zaraz wracam – rzuciła pod adresem Bela Iblisa, wymijając go i spiesząc w głąb korytarza.

Skręciła za róg w poprzeczne odgałęzienie, bacznie lustrując rzeźbiony fryz wieńczący ściany. Gdzieś tutaj znajdowało się dyskretne oznaczenie, którego szukała…

O tak, jest! Zatrzymała się przed na pozór niewyróżniającym się niczym szczególnym panelem, rozglądając się przy tym ukradkiem. Może i Skywalker oraz Organa Solo pogodzili się z jej imperialną przeszłością, jednak wątpiła, czy inni potraktowaliby ją równie pobłażliwie, gdyby się dowiedzieli… W korytarzu nie było jednak żywej duszy. Wspiąwszy się na palce, sięgnęła do dekoracyjnego

pasa i wsunęła palce w otwory, czekając, aż czujniki wykryją ciepło jej ciała.

Po chwili panel odsunął się z cichym szczęknięciem.

Wślizgnęła się do środka, zamknęła za sobą panel i rozejrzała się dookoła. Zbudowane mniej więcej równolegle do szybów turbowind prywatne tajne przejścia Imperatora były z konieczności ciasne i wąskie. Na szczęście światło działało tu nadal bez zarzutu, system wentylacji pracował pełną parą, a dźwiękoszczelne ściany tłumiły wszelki hałas. Co ważniejsze jednak, mogła tą drogą wyminąć imperialny oddział na galerii.

Dwie minuty i trzy kondygnacje później znalazła się przy wyjściu w pobliżu apartamentu Organy Solo. Odetchnęła głęboko kilka razy, przygotowując się mentalnie do walki, po czym wyszła na korytarz…

Ze względu na zażarty bój, jaki toczył się trzy piętra niżej, spodziewała się, że imperialni ustawią w pobliżu apartamentu tylną straż – i nie myliła się. Pod ścianami kucało dwóch zwróconych do niej plecami mężczyzn w mundurach pałacowej straży, wpatrzonych w przeciwległy koniec korytarza. Hałas dochodzący z tamtego kierunku doskonale tłumił jej ciche kroki. Żaden z nich nie zorientował się, co się święci, nim było za późno: zginęli szybko od dwóch celnych strzałów z jej małego blastera. Upewniwszy się, że zostali skutecznie wyeliminowani, Mara skierowała kroki do apartamentu Lei.

Dotarła do drzwi i już miała przestąpić nad szczątkami drewnianych drzwi, gdy blasterowej kanonadzie dobiegającej z wewnątrz zawtórował ogłuszający trzask.

Zacisnęła zęby, wsłuchując się w odgłosy wznowionego ostrzału napastników, odpowiadających na ogień ofiar. Wiedziała, że to nie jest dobry moment na głupią bohaterszczyznę i wdzieranie się do środka bez namysłu, bo w ten sposób dałaby się natychmiast zabić. Gdyby jednak spróbowała przekraść się do środka, zachowując ostrożność, ktoś mógłby zginąć, nim zdołałaby dotrzeć na miejsce.

Chyba że…

„Leio Organa Solo! – zawołała bezgłośnie, sięgając ku księżniczce przez Moc, podobnie jak zrobiła to wcześniej, gdy Calrissian wrócił

po swój blaster. Nie miała pojęcia, czy Leia w ogóle usłyszy jej niemą prośbę, jednak musiała spróbować. – To ja, Mara. Jestem tuż za nimi. Poddajcie się. Czy mnie słyszysz? Poddajcie się! Poddajcie! Poddajcie…”.

Stojąc u drzwi, usłyszała nagle okrzyk Organy Solo, ledwie słyszalny przez hałas strzelaniny:

– Przestańcie! Przerwać ogień! Poddajemy się!

Zachowując najwyższą ostrożność, wyjrzała zza potrzaskanej framugi. Byli tam – czterej imperialni żołnierze, stojący i klęczący w pobliżu poczerniałych szczątków pancernej grodzi, z blasterami wycelowanymi do środka. Kolejni dwaj wewnątrz pomieszczenia zaczynali właśnie wstawać. Żaden z agentów nie zdradzał choćby śladu podejrzenia, że wie o jej obecności.

Uśmiechając się pod nosem, podniosła blaster do strzału… i otworzyła ogień.

Pierwsi dwaj padli, nim jeszcze reszta zorientowała się, że od tyłu zakradł się ktoś inny. Trzeciego trafiła, kiedy zaczął się odwracać w jej stronę, bezskutecznie próbując wziąć ją na cel. Czwarty przyjął już niemal pozycję do strzału, gdy runął jak długi, trafiony promieniem energii wystrzelonym przez kogoś w środku.

Pięć sekund później było już po wszystkim.

Z całej grupy ocalał tylko jeden, jednak nawet on był w ciężkim stanie.

– Sądzimy, że to dowódca – poinformował Hana Bel Iblis, gdy szli korytarzem w stronę ambulatorium. – Wstępnie zidentyfikowany jako major Himron. Nie będziemy jednak mieli pewności, dopóki nie odzyska przytomności. O ile w ogóle.

Han pokiwał głową, łypiąc podejrzliwie na kolejną dwójkę sprawiających wrażenie zaniepokojonych strażników, których akurat mijali. Aktualnie pałacowa straż podwoiła czujność. „Rychło w czas” – pomyślał z przekąsem.

– Wiadomo już może, jak się tu w ogóle dostali? – spytał.

– Chciałbym się tego od niego dowiedzieć w pierwszej kolejności – stwierdził Bel Iblis. – Jest na oddziale intensywnej terapii. Tędy.

Gdy dotarli do centrum medycznego, Lando czekał już na nich w towarzystwie jednego z medyków.

– Wszyscy cali i zdrowi? – spytał Calrissian, mierząc przyjaciela wzrokiem od stóp do głów. – Wysłałem do was Chewiego, ale kazali mi tu zostać z więźniem.

– Nikomu nic się na szczęście nie stało – zapewnił go Han, gdy Bel Iblis minął Calrissiana i wziął na bok lekarza. – Zanim wyszedłem, Chewie dotarł już na górę. Pomaga teraz Lei i Winter ulokować się w nowym apartamencie. A tak przy okazji, dzięki za pomoc.

– Nie ma za co – bąknął Lando. – Szczególnie, że mogliśmy tylko bezczynnie obserwować rozwój wypadków. Nie mogliście poczekać jeszcze chwilę z tą całą akcją?

– Nie patrz na mnie – obruszył się Han. – To była sprawka Mary, ja nie miałem z tym nic wspólnego.

Po twarzy Landa przemknął jakiś cień.

– Jasne. Mary.

Przyjaciel przyjrzał mu się, marszcząc czoło.

– O co znowu chodzi?

– Nie wiem – mruknął Calrissian, kręcąc głową. – Jest w niej coś, co nie daje mi spokoju. Pamiętasz tę akcję w bazie na Myrkr tuż przed tym, nim zjawił się Thrawn i musieliśmy ukryć się w lesie?

– Powiedziałeś, że masz wrażenie, jakbyś skądś ją kojarzył – przypomniał sobie Solo. On również ostatnio o tym myślał. – Czy coś ci wreszcie zaświtało?

– Jeszcze nie – westchnął Lando. – Ale już prawie, prawie. Wiem, że prędzej czy później sobie przypomnę.

Solo obejrzał się na Bela Iblisa i medyka, przypominając sobie nagle coś, co Luke powiedział mu kilka dni później, gdy odlatywali z Myrkr: że Mara poinformowała go bez ogródek, że chce go zabić.

– Cóż, wydaje mi się, że niezależnie od tego, gdzie się spotkaliście, teraz jest po naszej stronie.

– Taaa – mruknął ponuro Lando. – Może i tak.

Rozmowę przerwał im Bel Iblis, wzywając ich gestem do siebie.

– Spróbujemy go obudzić – powiedział. – Chodźmy.

Gdy weszli do środka, ich oczom ukazało się szpitalne łóżko, otoczone przez grupę lekarzy i droidów typu MD oraz strzeżone

przez trójkę najlepszych oficerów ze służb specjalnych Ackbara.

Na znak Bela Iblisa jeden z lekarzy przez chwilę manipulował przy opasce z opatrunkiem na ramieniu rannego, a gdy Han i Lando zajęli miejsca po bokach łóżka, mężczyzna zakasłał nagle i otworzył gwałtownie oczy.

– Majorze Himron? – spytał jeden z oficerów. – Majorze, czy słyszy mnie pan?

– Tak – wydyszał imperialny żołnierz, mrugając kilkakrotnie. Powiódł wzrokiem po wianuszku osób otaczających szpitalne łóżko i Han zauważył, że jego spojrzenie nabrało dziwnej czujności. – Tak – powtórzył, tym razem głośniej.

– Wasz atak się nie powiódł – poinformował go oficer. – Wszyscy pańscy ludzie zginęli, a my nie mamy pewności, czy panu uda się wyjść z tego cało…

Himron westchnął i przymknął oczy, jednak wciąż wydawał się skupiony i ostrożny.

– Cóż, na wojnie tak bywa – skwitował.

Bel Iblis pochylił się nad nim.

– Jak wasz oddział dostał się do pałacu, majorze?

– Teraz to już chyba… bez znaczenia – wymamrotał Himron. Oddychał z coraz większym trudem. – Tylne wejście… utworzone… w tym samym czasie… prywatny system przejść… zamykane od wewnątrz… To ona nas wpuściła.

– Ktoś was… wpuścił? – spytał Bel Iblis, marszcząc czoło. – Kto?

Himron otworzył oczy.

– Nasz kontakt w pałacu. Nazywa się… Jade.

Bel Iblis spojrzał na Hana z niepokojem.

– Mara Jade?

– Tak. – Himron znowu przymknął powieki i odetchnął głęboko. – Specjalna agentka… Imperium. Zwana niegdyś… Ręką Imperatora. – Zamilkł i jakby zapadł się głębiej w szpitalną pościel.

– To na razie wszystko, generale – powiedział surowo szef zespołu lekarzy. – Nie mogę pozwolić na więcej. Potrzebuje odpoczynku, a my musimy zadbać o ustabilizowanie jego stanu. Być może za dzień lub dwa odzyska dość sił, by odpowiedzieć na kolejne pytania.

– W porządku, to wystarczy – stwierdził jeden z oficerów bezpieczeństwa, kierując się w stronę drzwi. – Wiemy już dość, by mieć od czego zacząć.

– Chwileczkę! – zawołał w ślad za nim Han. – Dokąd pan idzie?

– A jak pan myśli? – odparł oficer. – Aresztować Marę Jade.

– Na podstawie słów imperialnego agenta?

– Takie są procedury, Solo – powiedział cicho Bel Iblis, kładąc mu dłoń na ramieniu. – W wypadku tak poważnych zarzutów areszt tymczasowy to standard. Nie martw się, wszystko wyjaśnimy.

– Mam taką nadzieję – burknął Solo. – Imperialna agentka, terefere. Tam, na górze, zdjęła co najmniej trójkę… – Urwał i spojrzał ostro na przyjaciela. – Lando?

Calrissian powoli przeniósł na niego zamglony wzrok.

– Już wiem – powiedział powoli, z namysłem. – Wiem, gdzie ją widziałem. Była jedną z nowych tancerek Hutta Jabby w pałacu na Tatooine, gdy przekradliśmy się tam, by cię uratować.

Han ściągnął z niepokojem brwi.

– U Jabby?

– Zgadza się. I… nie jestem pewien, ale pamiętam chyba, jak w całym tym zamieszaniu, które wybuchło, nim wysłali nas nad Wielką Jamę Carkoon, prosiła Jabbę, żeby pozwolił jej lecieć z nim na pokładzie barki żaglowej. Właściwie to nie tyle prosiła, ile nalegała na to. Błagała go.

Han spojrzał na nieprzytomnego majora Himrona. Ręka Imperatora? I Luke twierdzący, że Mara chce go zabić…

Odsunął od siebie tę myśl.

– Nie interesuje mnie, gdzie była, a gdzie jej nie było – burknął. – Zastrzeliła bez mrugnięcia okiem siedzących nam na karkach imperialnych żołnierzy. Chodźmy. Muszę pomóc Lei przenieść się do nowych kwater. A potem spróbujemy się rozeznać, o co w tym wszystkim chodzi.

Rozdział 10

Kawiarnia Szemrzący Wir na Troganie stanowiła zdaniem Karrde'a najlepszy przykład na to, jak można zepsuć dobry pomysł przez jego kiepską realizację. Położona na wybrzeżu najgęściej zaludnionego kontynentu kawiarnia została zbudowana wokół formacji zwanej Pucharem – podmywanej przez morze skały w kształcie misy. Sześć razy dziennie silne trogańskie pływy podnosiły lub obniżały poziom wody w misie, zmieniając ją w kipiel spienionych wirów. Dzięki stolikom ustawionym koncentrycznie wokół misy miejsce tchnęło atmosferą luksusu, zapewniając przy tym możliwość podziwiania spektakularnego widoku: idealne połączenie, zdolne przyciągnąć miliardy gości.

A przynajmniej tak sądzili projektanci kawiarni i ich sponsorzy. Niestety, ich uwagi uszły trzy rzeczy: po pierwsze, tego typu miejsca z zasady same z siebie stawały się i przestawały być atrakcjami turystycznymi – w zależności od tendencji panujących na rynku. Po drugie, gdy goście znudzą się podziwianiem uroku samego wiru, wymuszony układ architektoniczny skutecznie utrudni zmianę profilu działalności lokalu. A po trzecie, nawet gdyby było to możliwe, hałas wywoływany przez huk ścierających się w Pucharze fal i tak będzie skutecznie uniemożliwiał gościom odbiór ewentualnego programu rozrywkowego.

Gdy atrakcja turystyczna przyciągająca tłumy na Calius saj Leeloo straciła moc ich wabienia, Berchestianie zmienili swoje miasto w centrum handlowe. Trogańczycy po prostu porzucili Szemrzący Wir, pozostawiając go na pastwę losu.

– Wciąż liczę na to, że ktoś kupi to miejsce i je odnowi – westchnął Karrde, wodząc wzrokiem po pustej sali, gdy wraz z Avesem szli między stolikami w stronę Pucharu i czekającej tam na nich samotnej postaci.

Lata zaniedbania odcisnęły swoje piętno na tych wnętrzach, jednak do stanu ruiny było im jeszcze daleko.

– Ja również zawsze lubiłem ten lokal – przyznał Aves. – Może i trochę tu głośno, ale w dzisiejszych czasach to norma.

– Przynajmniej utrudnia to podsłuchiwanie rozmów – zauważył Karrde. – Co samo w sobie było zaletą. Cześć, Gillespee.

– Karrde. – Gillespee skinął mu głową, wstając od stołu i wyciągając rękę na powitanie. – Już zaczynałem się bać, że się nie zjawisz.

– Spotkanie jest dopiero za dwie godziny – przypomniał mu Aves.

– Och, daj spokój. – Gillespee uśmiechnął się do niego krzywo. – Od kiedy to Talon Karrde zjawia się co do minuty o czasie? Choć mogliście sobie oszczędzić kłopotu, bo moi ludzie już wszystko sprawdzili.

– Doceniam waszą troskę – zapewnił go Karrde, co rzecz jasna wcale nie oznaczało, że zamierzał zrezygnować z powierzenia swoim ludziom obowiązku dokonania tego samego. W sytuacji, gdy Imperium deptało im po piętach, a zaledwie dwadzieścia kilometrów stąd znajdował się imperialny garnizon, odrobina ostrożności z pewnością nie zaszkodzi. – Masz listę gości?

– Oto ona. – Gillespee wywołał odpowiedni dokument na ekran datapada i podał urządzenie Talonowi. – Obawiam się, że nie jest tak długa, jak na to liczyłem…

– Nie przejmuj się – zapewnił go Karrde, przebiegając wzrokiem po nazwiskach.

Zgadza się, lista może i nie była imponująca, ale znalazło się na niej elitarne grono, w tym kilka najznakomitszych person z przemytniczego światka. Ze spisu Gillespeego wynikało, że mogą liczyć na pojawienie się między innymi Brascka, Par'tah, Ellora, Dravisa (człowieka od Billeya – sam Billey od jakiegoś czasu rzadko fatygował się gdzieś osobiście), Mazzica, ZeHethbry Clyngunna, Ferriera…

Karrde poderwał gwałtownie głowę.

– Ferrier? – spytał. – Niles Ferrier, ten złodziej statków?

– Zgadza się. – Gillespee kiwnął głową, marszcząc czoło. – Zajmuje się również przemytem.

– I pracuje dla Imperium – zauważył ostro Karrde.

– My również. – Gillespee wzruszył ramionami. – Tak jak i ty, z tego, co ostatnio słyszałem…

– Nie mówię o szmuglowaniu towarów między imperialnymi światami – sprecyzował Karrde. – Tylko o pracę bezpośrednio dla wielkiego admirała Thrawna. O drobne zlecenia w stylu porwania człowieka, który wskazał mu lokalizację Floty Katańskiej.

Gillespee zauważalnie spochmurniał. Niewykluczone, że przypomniał sobie swoją szaloną ucieczkę z Ukio, z Imperium atakującym go statkami pochodzącymi z tej właśnie floty…

– To była sprawka Ferriera?

– I wygląda na to, że wyświadczył im tę usługę z przyjemnością – poinformował go cierpko Karrde, sięgając po komunikator. – Lachton?

– Tak? – dobiegło natychmiast z głośnika.

– Jak wygląda sytuacja w garnizonie?

– Jak na przyjęciu w kostnicy – odparł z ponurym rozbawieniem Lachton. – Nikt się tu nie zjawił od co najmniej trzech godzin.

Talon podniósł brew.

– No, no… Coś podobnego. Ciekawa sprawa. A co z ruchem powietrznym? Z działaniami na terenie jednostki?

– Nic – potwierdził Lachton. – Serio, Karrde. To miejsce wygląda jak wymarłe. Może dostali jakieś nowe hologramy szkoleniowe czy coś…

Szef przemytników uśmiechnął się pod nosem.

– Taaa, jestem pewien, że właśnie o to chodzi. No dobra, miej ich tam na oku. I daj mi znać, gdyby coś się zmieniło.

– Jasne. Bez odbioru.

Karrde wyłączył komunikator i przywiesił go z powrotem u pasa.

– Imperium nie wystawia nosa z garnizonu – poinformował resztę. – Najwyraźniej nigdzie się nie wybierają.

– A czy nie o to nam właśnie chodziło? – spytał Gillespee. – Jeśli będą siedzieli u siebie na tyłkach, nie będą się nam tu plątać pod nogami.

– Racja – zgodził się Talon. – Z drugiej strony jednak nigdy nie słyszałem, by cały garnizon dostał wolne…

– Fakt – przyznał Gillespee. – Chyba że w związku z tą zakrojoną na szeroką skalę kampanią Thrawna wszystkie prowincjonalne garnizony cierpią na brak ludzi…

– To tylko kolejny powód, dla którego powinni zadbać o codzienne patrole w ramach demonstracji siły – zauważył Karrde. – Człowiek pokroju wielkiego admirała bez dwóch zdań starałby się zamaskować tego typu braki stwarzaniem pozorów.

– Może powinniśmy odwołać spotkanie – zasugerował ostrożnie Aves, oglądając się z niepokojem na wejście do kawiarni. – Może to zasadzka…

Karrde spojrzał nad ramieniem Gillespeego na kipiel obmywającą ściany Pucharu. Za niecałe dwie godziny poziom wód powinien maksymalnie opaść. Wówczas będzie tu najciszej i to właśnie dlatego zaplanowali spotkanie o tej porze. Jeżeli teraz się wycofa, dając wszystkim grubym rybom z przemytniczego światka jasno do zrozumienia, że z powodu Imperium zaczął się bać nawet własnego cienia…

– Nie – powiedział powoli. – Zostajemy. Nasi goście nie będą w razie czego bezbronni. A jeśli coś się wydarzy, powinniśmy zostać o tym z wyprzedzeniem ostrzeżeni. – Uśmiechnął się pod nosem. – Jeśli chcesz znać moje zdanie, to chciałbym zaryzykować. Choćby po to, by przekonać się, co knują.

Gillespee wzruszył ramionami.

– Może nic nie knują. Może tak skutecznie omamiliśmy imperialny wywiad, że w ogóle się nie spostrzegli?

– To raczej nie w stylu imperialnego wywiadu, jakim go wszyscy znamy i kochamy – zakpił Karrde, rozglądając się dookoła. – Tak czy inaczej do rozpoczęcia spotkania zostały jeszcze dwie godziny. Sprawdźmy, co da się tu zrobić…

Siedzieli w milczeniu, pojedynczo lub w małych grupkach przy stolikach, podczas gdy Karrde wygłaszał swoją mowę… Gdy skończył i rozejrzał się po ich twarzach, wiedział jedno: nie przekonał ich.

Pierwszy postanowił powiedzieć o tym głośno Brasck:

– Dobrze gadasz, Karrde – wysyczał Brubb, wysuwając i chowając gadzi język, którym smakował powietrze. – Można by rzec: ze swadą, gdyby takie określenie do ciebie pasowało. Ale nie jesteś przekonujący.

– Serio, Brasck? – spytał go Talon. – Czy może po prostu nie zdołałem przezwyciężyć twojej niechęci do przeciwstawienia się Imperium?

Wyraz pyska Brascka się nie zmienił, jednak poznaczona dziobami, szarozielona skóra głowy – jedyna część ciała wystająca spod skrywającego je pancerza – poszarzała jeszcze mocniej.

– Imperium dobrze płaci za przemyt – zauważył.

– Czy zza dosstarczanie niewolników równieszsz? – spytała Par'tah w swoim śpiewnym języku ojczystym. Wężowe macki na jej głowie zadrżały lekko, gdy kłapnęła paszczą w ho'dińskim odpowiedniku pogardliwego parsknięcia. – I offiar porwania? Nie jesteśś lepszszy od Hutta.

Któryś z ochroniarzy Brascka poruszył się niespokojnie na krześle. Karrde rozpoznał mężczyznę jako jednego z nielicznych ocalałych członków świty Jabby, którym udało się zbiec, gdy Luke Skywalker rozprawił się z huttyjskim gangsterem.

– Nie powiedziałby tak nikt, kto go znał – warknął facet, stukając palcem w blat dla podkreślenia wagi swoich słów.

– Nie zwołałem was tu, by się kłócić – oświadczył stanowczym głosem Karrde, nim Par'tah lub ktoś z towarzyszącej jej grupy zdołali odpowiedzieć na ten zarzut.

– To po co nas tu zebrałeś? – spytał Mazzic, zasiadający między rogatym Gotalem a uroczą damą o pustym spojrzeniu i włosach upiętych w misterne pętle wokół kilku pokaźnych rozmiarów, lakierowanych igieł. – Wybacz, Karrde, ale mam niejasne wrażenie, jakbym słuchał agitacyjnej mówki któregoś z agentów Nowej Republiki…

– Tak, a to już słyszeliśmy w wykonaniu Hana Solo – parsknął Dravis, ładując nogi na stół. – Billey powiedział mu już, że nie interesuje go dostarczanie towarów Nowej Republice.

– To zbyt niebezpieczne – potwierdził Clyngunn, potrząsając pasiastą, czarno-białą grzywą. – Zdecydowanie zbyt niebezpieczne.

– Serio? – Karrde udał zaskoczonego. – Niebezpieczne? Dlaczego niby?

– Chyba sobie żartujesz – zagrzmiał ZeHethbra, potrząsając znów grzywą. – Jeśli wziąć po uwagę, jak bardzo imperialni dają się ostatnio we znaki konwojom Nowej Republiki, za każdym razem, gdy startujesz, ryzykujesz wpadnięcie w ich łapy.

– A więc z tego, co mówicie – stwierdził spokojnie Talon – wynika, że działalność Imperium z każdym dniem coraz bardziej zagraża naszym interesom.

– O nie, nawet o tym nie myśl, Karrde – mruknął Brasck, kiwając na niego swoim wielkim paluchem. – Nie przekonasz nas do swojej sprawy, przekręcając nasze słowa…

– Nie wyłuszczyłem nawet jeszcze tej sprawy, Brasck – wytknął mu Karrde. – Zasugerowałem tylko, że powinniśmy dostarczyć Nowej Republice wszelkie przydatne informacje, na które trafimy podczas załatwiania naszych spraw.

– I sądzisz, że Imperium machnie na to ręką? – zakpił Brasck.

– A od kiedy to martwimy ssię, cco ssobie pomyśśli Imperium? – zasyczała Par'tah.

– Odkąd wielki admirał objął władzę – wyznał bez ogródek Brasck. – Słyszałem o nim różne opowieści, Par'tah. To właśnie on zmusił moją planetę do ugięcia karku przez Imperium.

– Cóż, w takim razie masz dobry powód, by mu się przeciwstawić – zauważył Gillespee. – Jeśli obawiasz się tego, co Thrawn może zrobić wam teraz, pomyśl tylko, co może się wydarzyć, gdy cała galaktyka znajdzie się znów pod jarzmem Imperium.

– Nic nam się nie stanie, jeśli nie będziemy się mu stawiali – nie dawał za wygraną Brasck. – Za bardzo nas potrzebują…

– To bardzo wygodna teoria – odezwał się ktoś siedzący z boku. – Jednak już teraz mogę cię zapewnić, że nie jest warta nawet pierdnięcia kosmicznego ślimaka.

Karrde poszukał wzrokiem mówiącego. Okazał się nim potężny, umięśniony mężczyzna o ciemnych włosach i brodzie, z cienkim niezapalonym cygarem między zębami.

– A ty jesteś…? – zagadnął Talon, chociaż był przekonany, że zna odpowiedź.

– Niles Ferrier – przedstawił się facet. – I mogę was zapewnić, że pilnowanie jedynie własnego nosa nic wam nie da, jeśli Thrawn uzna, że czegoś od was chce.

– Mimo to gość dobrze płaci – zauważył Mazzic, machinalnie gładząc dłoń swojej towarzyszki. – A przynajmniej tak słyszałem.

– Słyszałeś, co? – warknął Ferrier. – A czy słyszałeś również, że zgarnął mnie z Nowej Kowii i zabrał mój statek? A potem wypchnął mnie, żebym wypełnił dla niego zlecenie, na pokładzie cholernej zaminowanej balii wywiadu? Och, możesz też spróbować zgadnąć, jaka czekałaby mnie kara, gdybym nie zrobił tego, czego żądał.

Karrde rozejrzał się po pomieszczeniu, wsłuchując się w cichy szmer wody w Pucharze za jego plecami. Milczał, postanawiając nie wtrącać się na razie do wymiany zdań. Wiedział jedno: Solo trochę inaczej opisał udział Ferriera w tej sprawie, a jeśli ktoś spytałby go o zdanie, wolałby zaufać relacji tego pierwszego, a nie złodzieja statków. Mimo to nie mógł wykluczyć, że Solo błędnie zinterpretował fakty. Gdyby jednak historyjka Ferriera pomogła mu przekonać innych, że Imperium należy stawić czoła…

– Czy zapłacili ci za fatygę? – spytał Mazzic.

– Oczywiście, że tak – parsknął Ferrier. – Ale nie o to tutaj chodzi…

– Dla mnie tylko o to – uciął dyskusję Mazzic, odwracając się w stronę Talona. – Wybacz, Karrde, ale nadal nie widzę żadnego rozsądnego powodu, żeby nadstawiać karku.

– A co z nowymi sklonowanymi żołnierzami Imperium? – przypomniał mu Karrde. – Czy to cię nie niepokoi?

– Nie jestem tym zachwycony – przyznał Mazzic – ale moim zdaniem to problem Nowej Republiki, nie nasz.

– A kiedy to sstanie ssię twoim problemem? – syknęła Par’tah. – Gdy Imperium zasstąpi tymi klonami wszszysstkich przemytników?

– Nikt nas nie będzie zastępował żadnymi klonami – stwierdził kategorycznie Dravis. – Wiesz co, Karrde? Brasck ma rację. Imperium za bardzo potrzebuje naszych usług, by nam wchodzić w paradę… Pod warunkiem oczywiście, że zachowamy neutralność.

– Właśnie – zawtórował mu Mazzic. – Jesteśmy istotami biznesu, koniec kropka. I jeśli o mnie chodzi, to chcę, by tak pozostało. Jeżeli

Nowa Republika zaoferuje za informacje cenę wyższą niż Imperium, z radością jej je sprzedam. Jeżeli nie… – Wzruszył ramionami.

Karrde pokiwał głową, w duchu przyznając się do klęski. Może i Par'tah była skłonna do dalszej dyskusji – podobnie jak jedna czy dwie pozostałe osoby (może Ellor? Duros póki co nie zabrał głosu, co w wypadku przedstawicieli tej rasy często oznaczało zgodę) – jednak reszta nie była przekonana, a w tym momencie dalsze naciskanie tylko by ich rozdrażniło. Może nieco później będą skłonni przyznać, że Imperium rzeczywiście stanowi zagrożenie…

– W porządku – powiedział więc tylko. – Sądzę, że mam już jasność, jeśli chodzi o wasze zdanie w tej sprawie. Dziękuję, że zgodziliście się poświęcić mi swój czas. Może moglibyśmy umówić się na kolejne spotkanie po tym, jak…

I wówczas, bez ostrzeżenia, tylna część Szemrzącego Wiru eksplodowała.

– Niech nikt się nie rusza! – przebił się przez rumor sztucznie wzmocniony głos. – Wszyscy mają zostać na swoich miejscach. Jesteście więźniami Imperium.

Karrde zerknął ponad głowami swoich zastygłych w bezruchu gości na tyły budynku. Przez kłęby dymu i chmurę pyłu widział podwójny szereg około trzydziestu imperialnych żołnierzy przedzierających się przez szczątki tylnej ściany, osłanianych przez dwie pary szturmowców w białych pancerzach. Za ich plecami, ledwie widoczne zza opadającego pyłu, majaczyły dwa śmigacze dowodzenia typu Chariot.

– A więc postanowili jednak wpaść na przyjęcie – mruknął pod nosem.

– I to z przytupem – wycedził przez zęby Gillespee. – Wygląda na to, że miałeś rację co do Ferriera.

– Może i tak. – Talon obejrzał się przez ramię na złodzieja statków, na wpół spodziewając się, że zobaczy na szerokiej twarzy mężczyzny triumfalny uśmieszek.

Jednak Ferrier nie patrzył w jego stronę. Zamiast tego zezował gdzieś w bok, jakby zupełnie nie interesowali go zbliżający się żołnierze, tylko kawałek ściany po prawej od nowego „wejścia" do lokalu. Karrde podążył za jego spojrzeniem…

W samą porę, by dostrzec gęsty, czarny cień odklejający się od muru i wślizgujący bezszelestnie za plecy dwójki szturmowców oskrzydlających żołnierzy z jednej strony.

– A może i nie… – dodał znacząco, wskazując Gillespeemu podbródkiem oddalający się chyłkiem cień. – Spójrz no tam, tuż nad ramieniem Ellora.

Gillespee zaczerpnął gwałtownie tchu.

– Co to, na wszystkie bramy piekła, ma być?

– Udomowiony Defel Ferriera – wyjaśnił Karrde. – Nazywają je czasem upiorami – Solo mi o nim opowiadał. No, dosyć tego dobrego. Wszyscy gotowi?

– Jesteśmy gotowi – potwierdził Gillespee.

Pozostali zawtórowali mu cichymi mruknięciami. Karrde powiódł wzrokiem po twarzach kolegów i ich ludzi, podchwytując spojrzenie każdego po kolei. Odwzajemniali je – i widział w ich oczach, jak wstrząs spowodowany zasadzką zmienia się gwałtownie w zimny gniew… O tak, oni też byli gotowi.

Cień Defela Ferriera dotarł właśnie do szeregu zbliżających się żołnierzy… i nagle jeden ze szturmowców został poderwany niewidzialną siłą w powietrze i pchnięty wprost na swojego towarzysza. Najbliżej stojący żołnierze zareagowali błyskawicznie, kierując broń w tę stronę i rozglądając się w poszukiwaniu niewidocznego napastnika.

– Teraz! – mruknął Karrde.

Kątem oka zobaczył, jak znad krawędzi Pucharu wynurzają się długie lufy dwóch karabinów blasterowych typu BlasTech A280, bluzgając niemal natychmiast ogniem.

Pierwsza salwa uderzyła w środek przedniego szeregu żołnierzy, kładąc pokotem kilku z nich, nim reszta zdołała zanurkować w poszukiwaniu schronienia pod puste stoły i krzesła. Karrde dał susa naprzód, przewracając najbliższy stolik i przypadając za nim do ziemi na jedno kolano.

Jak się okazało, jego ostrożność była właściwie zbędna. Uwaga imperialnych została skutecznie odwrócona od niedoszłych więźniów – na fatalny w skutkach ułamek sekundy… W chwili, gdy

Karrde dobył broni, powietrze dookoła niego przeszył deszcz blasterowych strzałów.

Brasck i jego ochrona zdjęli całą grupę żołnierzy w ciągu zaledwie pięciu sekund idealnie zsynchronizowanym ostrzałem, który świadczył o tym, że Brubb nie zapomniał nawyków wyuczonych w czasach, gdy parał się fachem najemnika. Par'tah i jej eskorta skupili się na drugim krańcu szeregu, skutecznie uniemożliwiając imperialnym posuwanie się naprzód. Używali broni mniejszej i o mocy zdecydowanie słabszej niż ciężkie pistolety blasterowe ekipy Brascka, jednak nie mniej zabójczej. Dravis, Ellor i Clyngunn wykorzystywali ich ogień osłonowy do wyeliminowania pozostałych żołnierzy, jednego po drugim. Mazzic z kolei ignorował zagrożenie ze strony żołnierzy, aby unieruchomić czekające na zewnątrz Charioty.

Co nie było wcale takim głupim pomysłem.

– Aves? Fein! – zawołał Karrde, starając się przekrzyczeć huk kanonady. – Skupcie się na tych Chariotach!

Ze skraju Pucharu dobiegły okrzyki potwierdzenia i promienie energetyczne posyłane z tamtej strony nad jego ramionami zmieniły kierunek. Talon wyjrzał ostrożnie za krawędź swojego stolika i dostrzegł, jak towarzyszka Mazzica, rozpuściwszy włosy, ciska z zabójczą precyzją w stronę jednego z żołnierzy ostatnią ze swoich lakierowanych igieł. Poprzednia obojętność zniknęła bez śladu z jej twarzy, zastąpiona morderczą determinacją. Kolejny z imperialnych żołnierzy rzucił się w bok w poszukiwaniu kryjówki, mierząc w ich stronę z karabinu blasterowego… i runął jak długi na ziemię, gdy celny strzał Karrde'a trafił go w pierś. Stołu, za którym chował się Talon, dosięgły dwa strzały, posyłając w powietrze chmurę drzazg i zmuszając przemytnika do rozpłaszczenia się na podłodze. Z zewnątrz dobiegł ogłuszający huk eksplozji, któremu niemal natychmiast zawtórował drugi.

I nagle było już po wszystkim.

Karrde ponownie wyjrzał ostrożnie zza swojej osłony. Pozostali również zaczęli wynurzać się ze swoich kryjówek, z bronią w pogotowiu, lustrując czujnie otaczające ich pobojowisko. Talon widział Clyngunna, który z ramieniem odsuniętym z dala od ciała

szperał drugą ręką w sakwach u pasa w poszukiwaniu bandaża. Bluza Brascka była poznaczona w kilku miejscach wypalonymi dziurami, odsłaniającymi poczerniałe placki pancerza przysmażonego strzałami z blastera.

– Czy wszyscy są cali i zdrowi? – zawołał.

Mazzic wstał. Nawet z tej odległości Karrde widział zbielałe knykcie jego zaciśniętej na rękojeści blastera dłoni.

– Trafili Lishmę – rzucił nienaturalnie spokojnym tonem, w którym pobrzmiewała cicha groźba. – Nawet nie strzelał.

Talon opuścił spojrzenie na pogruchotany stół u stóp Mazzica oraz na Gotala, na wpół pogrzebanego pod jego szczątkami. Obcy się nie ruszał.

– Przykro mi – powiedział Karrde i była to prawda: od zawsze darzył przedstawicieli tej rasy sympatią.

– Mnie również. – Mazzic schował swój blaster do kabury, a gdy podniósł wzrok na Talona, jego oczy płonęły dziwnym ogniem. – Ale Imperium pożałuje tego. W porządku, Karrde. Przekonałeś mnie. Gdzie zaczniemy?

– Najlepiej gdzieś z dala od tego miejsca – stwierdził Karrde, patrząc na zawaloną ścianę i stojące w płomieniach szczątki Chariotów. Sięgnął po komunikator. Na zewnątrz panował spokój, jednak wiedział, że nie potrwa to długo. – Na pewno wsparcie jest już w drodze. Lachton, Torve – jesteście tam?

– Tak, szefie – nadeszła odpowiedź Torve'a. – Co tam się, na wszystkie gwiazdy kosmosu, wydarzyło?

– Imperium uznało, że jednak ma ochotę się z nami zabawić – wyjaśnił ponuro przemytnik. – Podlecieli tu dwoma Chariotami. Czy w okolicy ktoś się kręci?

– Tutaj? Nic podobnego – zameldował Torve. – Skądkolwiek się tam wzięli, nie wyruszyli z kosmoportu.

– Tu również nic się nie działo – zawtórował mu Lachton. – W garnizonie cicho jak w grobie.

– W takim razie miejmy nadzieję, że pozostanie tak jeszcze przez kilka minut – skwitował Talon. – Dajcie znać reszcie. Wracamy na statek. Wkrótce będziemy. Do zobaczenia. – Rozłączył się i rozejrzał po pobojowisku, gdzie Gillespee pomagał Avesowi i Feinowi wspiąć

się na krawędź Pucharu. Gramolili się właśnie na zewnątrz, ciągnąc za sobą uprzęże, na których tkwili zawieszeni wewnątrz misy. – Dobra robota, panowie – pochwalił ich. – Dzięki.

– Cała przyjemność po naszej stronie – mruknął Aves, wyplątując się z uprzęży i odbierając od Gillespeego swój blaster.

Karrde zauważył, że choć poziom wody opadł nisko, wzburzona kipiel zmoczyła obu jego ludzi aż do kolan.

– Chyba czas się stąd zmywać, co?

– Najszybciej, jak się da – potwierdził Talon, odwracając się w stronę reszty przemytników. – Do zobaczenia w przestrzeni kosmicznej.

W pobliżu „Dzikiego Karrde'a" nie czekała na nich zasadzka – ani śladu pułapki, pościgu czy imperialnego gwiezdnego niszczyciela przyczajonego na orbicie. Mogłoby się wydawać, że incydent w Szemrzącym Wirze był zbiorową halucynacją.

Mogłoby… gdyby nie zrujnowana kawiarnia, wypatroszone Charioty i bardzo namacalne oparzenia. Oraz, oczywiście, śmierć Gotala.

– No to… jaki mamy plan? – spytał Dravis. – Chcesz, żebyśmy namierzyli miejsce, z którego pochodzą klony, tak?

– Tak – potwierdził Karrde. – Wiemy, że szlak przerzutu prowadzi przez Poderis, więc najlepiej byłoby zacząć w sektorze Orus.

– Prowadził przez Poderis – poprawił go Clyngunn. – Thrawn mógł go do tej pory przenieść w inne miejsce.

– Nawet jeśli tak, to z dużą dozą prawdopodobieństwa zostawił pewne ślady, które mogłyby nam pomóc w dalszym śledztwie – zauważył Karrde. – To jak? Wchodzicie w to?

– Masz wsparcie mojej grupy – potwierdził skwapliwie Ferrier. – A przy okazji, jeśli chcesz, mogę sprawdzić, czy nie udałoby mi się załatwić twoim ludziom kilku porządnie uzbrojonych statków.

– Będę miał to na uwadze – zapewnił go Karrde. – Par'tah?

– Wessprzemy cię w twoich poszszukiwaniach – obiecała Ho'dinka głosem, w którym brzmiało więcej gniewu, niż Karrde

słyszał u niej kiedykolwiek wcześniej. Śmierć Gotala wstrząsnęła nią równie mocno jak Mazzikiem. – Imperium mussi dosstać nauczkę.

– Dzięki – mruknął Talon. – Mazzic?

– Zgadzam się z Par'tah – potwierdził chłodno Mazzic. – Sądzę jednak, że ta nauczka powinna być bardziej… spektakularna. Wy zajmijcie się polowaniem na klony. Ja i Ellor mamy własny plan.

Karrde obejrzał się na Avesa, który wzruszył tylko ramionami i mruknął:

– Jeśli chcą to zrobić po swojemu, nie ma się co w to mieszać.

Szef przemytników również wzruszył ramionami i kiwnął głową.

– W porządku – powiedział. – W takim razie… powodzenia. Mam nadzieję, że wiecie, co robicie…

– Nie martw się o nas – stwierdził beznamiętnie Mazzic. – Zwijamy się. Do zobaczenia później.

Majaczące na skraju prawego iluminatora dwa statki wyłamały się z luźnej formacji i zniknęły w nadprzestrzeni w rozbłysku pseudoruchu.

– Cóż, w takim razie zostajesz jeszcze ty, Brasck – rzucił Talon. – Podjąłeś już jakąś decyzję?

Z głośnika dobiegło ciche, przeciągłe westchnienie – jedna z wielu nieprzetłumaczalnych reakcji werbalnych Brubba.

– Nie mogę sprzeciwić się wielkiemu admirałowi Thrawnowi – powiedział wreszcie Brasck – i nie zrobię tego. Przekazując informacje Nowej Republice, niechybnie ściągnąłbym na siebie jego gniew. – Kolejne westchnienie. – Ale nie będę wchodził wam w paradę ani was nie wydam.

– Niech będzie i tak – zgodził się Karrde. W istocie osiągnął i tak więcej niż to, na co liczył ze strony Brascka. Lęk Brubbów przed Imperium był głęboko zakorzeniony. – Cóż, w takim razie przeorganizujmy się i spotkajmy na Chazwie za… dajmy na to… pięć dni. Powodzenia.

Pozostali potwierdzili przyjęcie instrukcji i rozłączyli się, znikając kolejno w nadprzestrzeni.

– I to tyle, jeśli chodzi o zachowanie neutralności – mruknął Aves, wpisując komendy do komputera nawigacyjnego. – Mara się wścieknie, gdy się dowie. A tak przy okazji, kiedy do nas wróci?

– Gdy tylko znajdę sposób, żeby ją stamtąd ściągnąć – odparł Karrde ogarnięty nagłym poczuciem winy. Minęło już ładnych kilka dni, odkąd odebrał od niej wiadomość potwierdzającą, że ona i Ghent są gotowi wrócić. Wiadomość, która zanim do niego dotarła, czekała na niego zapewne od kolejnych paru dni. Bardzo prawdopodobne, że w tym momencie Mara chodziła już pewnie z niecierpliwości i nudów po ścianach. – Po tym, jak Imperium podniosło ostatnio cenę za nasze głowy, na Coruscant zasadziła się już na nas pewnie cała banda łowców nagród, czekających tylko, aż się tam pokażemy.

Aves poruszył się niespokojnie w swoim fotelu.

– Sądzisz, że właśnie o to chodziło? – spytał. – Że jakiś łowca nagród dostał cynk o spotkaniu i ostrzegł Imperium?

Karrde zapatrzył się w migoczące za iluminatorem gwiazdy.

– Jeśli chcesz znać moje zdanie, to nie mam pojęcia, co się tam wydarzyło – wyznał. – Łowcy nagród z zasady unikają alarmowania władz, o ile nie dobiją wcześniej z nimi targu. A poza tym jeśli już Imperium fatyguje się z przypuszczeniem ataku, można by się spodziewać, że zabiorą się do tego bardziej profesjonalnie…

– Chyba że po prostu śledzili Gillespeego i nie wiedzieli, że nas tam zastaną – podsunął ostrożnie Aves. – Może uznali, że trzy oddziały i dwa Charioty wystarczą, by go zatrzymać?

– To niewykluczone – przyznał Karrde. – Trudno jednak uwierzyć, że ich wywiad przeoczyłby coś takiego. Cóż, tak czy inaczej, poproszę naszych ludzi na Troganie, żeby wypytali po cichu kogo trzeba. Może uda nam się ustalić, kto ich zawiadomił. A tymczasem musimy zabrać się do planowania łowów. Bierzmy się lepiej do roboty.

Pellaeon zauważył, że gdy szturmowcy wiedli Nilesa Ferriera na mostek, na jego ozdobionej niechlujnym zarostem twarzy malował się pełen samozadowolenia uśmieszek, sugerujący, że facet nie ma pojęcia, dlaczego tak naprawdę został sprowadzony na pokład „Chimaery”.

– Już jest, panie admirale – mruknął pod nosem kapitan.

– Wiem – potwierdził Thrawn, zwrócony tyłem do prowadzonego przez żołnierzy złodzieja statków. Głos miał spokojny… jednak w jego lśniących, czerwonych oczach płonął ogień.

Widząc to, Pellaeon skrzywił się i przygotował na najgorsze. To nie będzie miła rozmowa…

Niewielki pochód dotarł do fotela dowodzenia Thrawna i zatrzymał się w pobliżu.

– Niles Ferrier, panie admirale – zameldował dowódca szturmowców. – Zgodnie z pańskimi rozkazami.

Wielki admirał przez dłuższą chwilę trwał w bezruchu i Pellaeon widział, jak Ferrierowi stopniowo rzednie mina.

– Byłeś na Troganie dwa dni temu – odezwał się wreszcie Thrawn, nie odwracając się jednak w stronę złodzieja statków. – I spotkałeś się tam z dwójką ludzi poszukiwanych obecnie przez Imperium: Talonem Karrde'em i Samuelem Tomasem Gillespeem. Namówiłeś również niewielki… i nieprzygotowany oddział szturmowy pod wodzą niejakiego porucznika Reynola Koska, aby przypuścił śmiały atak na uczestników tego spotkania. Który to atak się nie powiódł. Czy to prawda?

– Owszem – potwierdził Ferrier. – I właśnie dlatego przesłałem tę wiadomość. Tak, aby wiedział pan, że…

– W takim razie chciałbym, byś podał mi choć jeden powód – wszedł mu w słowo Thrawn, obracając swoje krzesło, tak by spojrzeć na rozmówcę – dla którego nie powinienem natychmiast kazać cię stracić.

Ferrier rozdziawił usta.

– Co takiego? – wykrztusił. – Ale… ale wkradłem się w łaski Karrde'a. Zdobyłem jego zaufanie! A właśnie o to chodziło, prawda? Teraz mogę wam podać całą jego bandę na tale… – Urwał i przełknął głośno ślinę.

– Odpowiadasz osobiście za śmierć czterech szturmowców i trzydziestu dwóch imperialnych żołnierzy – podjął zimnym głosem Thrawn. – A także za zniszczenie dwóch śmigaczy dowodzenia typu Chariot oraz śmierć ich załóg. Nie jestem lordem Darthem Vaderem, Ferrier. Nie pozbywam się swoich ludzi lekką ręką. I nie puszczam też płazem ich zabijania.

Ferrier zrobił się biały jak ściana.

– Sir… panie admirale… – zaczął się plątać. – Wiem, że wyznaczył pan za grupę Karrde'a nagrodę w wysokości niemal…

– Wszystko to blednie jednak w porównaniu z katastrofą, do jakiej doprowadziłeś – przerwał mu ponownie Thrawn. – Wywiad doniósł mi o tym spotkaniu przemytników niemal cztery dni temu. Znałem jego lokalizację, termin oraz prawdopodobną listę gości… i wydałem już trogańskiemu garnizonowi odpowiednie instrukcje, bardzo dokładne instrukcje, Ferrier, by zostawiono ich w spokoju.

Pellaeon nie sądził, by twarz złodzieja statków mogła jeszcze bardziej poszarzeć, okazało się jednak, że był w błędzie.

– Pan… eee…? Ale… sir! Ale… eee… Nie rozumiem.

– Jakoś mnie to nie dziwi – stwierdził Thrawn z cichą groźbą w głosie. Na jego znak stojący za jego fotelem noghryjski ochroniarz Rukh postąpił o krok naprzód. – Choć nie ma w tym nic skomplikowanego. Znam tych przemytników, Ferrier. Śledziłem uważnie ich kroki i zadbałem o to, by osobiście spotkać się z każdym z nich przynajmniej raz w ciągu ostatniego roku. Żaden z nich nie chciał się mieszać w tę wojnę i jestem pewien, że gdybyś nie postanowił się wtrącić, aranżując ten atak, każdy z nich opuściłby planetę przekonany, że zdoła przeczekać wszystko, zachowując typową dla swojego gatunku neutralność. – Machnął znów ręką i nagle w dłoni Rukha pojawiło się wąskie ostrze noża. – Wskutek zaś twoich nieprzemyślanych działań – podjął cicho admirał – postanowili sprzymierzyć się przeciwko Imperium, czyli zrobić dokładnie to, czemu z takim trudem próbowałem zapobiec. – Utkwił spojrzenie lśniących oczu w twarzy Ferriera. – A ja nie lubię, gdy ktoś miesza mi szyki.

Złodziej statków powiódł spojrzeniem od Thrawna do ostrza w dłoni Rukha, blady jak papier.

– P… proszę o wybaczenie, panie admirale – wydukał. – Nie chciałem… To znaczy… Proszę dać mi jeszcze jedną szansę… Ostatnią! Dostarczę panu Karrde'a, przysięgam! Rany, właściwie to… mniejsza o Karrde'a! Dostarczę panu ich wszystkich! – Urwał, najwyraźniej nie bardzo wiedząc, co mógłby jeszcze dodać.

Zdesperowany stał w milczeniu, szukając gorączkowo czegoś, co mogłoby wybawić go z opresji.

Thrawn pozwalał mu się miotać jeszcze przez chwilę, nim wreszcie miłosiernie przerwał milczenie:

– Jesteś żałosnym głupcem, Ferrier. Jednakże nawet głupcy bywają czasem przydatni. Dam ci jeszcze jedną szansę. Ostatnią. Mam nadzieję, że wyrażam się jasno…

– O tak, panie admirale, świetliście jasno – zapewnił go prędko Ferrier, nerwowo kiwając głową.

– Doskonale. – Thrawn dał gestem Rukhowi znak i nóż zniknął. – Możesz zacząć od dokładnego zrelacjonowania, co takiego planują.

– Oczywiście. – Złodziej statków zaczerpnął nerwowo tchu. – Karrde, Par'tah i Clyngunn mają się spotkać za… od dziś to będą chyba trzy dni na Chazwie. Oni… och, wiedzą o przerzucie nowych klonów przez sektor Orus.

– Czyżby? – spytał spokojnie Thrawn. – I zamierzają pokrzyżować mi plany?

– Nie, nie, chcą się po prostu dowiedzieć, skąd pochodzą klony. Następnie planują poinformować o tym Nową Republikę. Brasck powiedział, że im nie pomoże, ale zapewnił ich, że nie będzie im również wchodził w paradę. Dravis chce skonsultować wszystko z Billeyem, a później dać im znać, czy w to wchodzą. A Mazzic i Ellor knują coś na własną rękę, ale nie powiedzieli co takiego. – Zamilkł. Zabrakło mu słów czy może powietrza, trudno było stwierdzić na pewno.

– W porządku – stwierdził po chwili namysłu Thrawn. – W takim razie posłuchaj mnie teraz uważnie. Ty i twoi ludzie spotkacie się z Karrde'em i resztą na Chazwie, tak jak ustaliliście. Dostarczysz Karrde'owi podarunek: prom szturmowy, który wykradniesz ze stacji patrolowej na Hishyim.

– Z niespodzianką, tak? – Ferrier pokiwał gorliwie głową. – No właśnie, też wpadłem na taki pomysł: podrzucić im jakiś statek, który…

– Oczywiście, Karrde dokładnie go sprawdzi – wszedł mu w słowo Thrawn. Widać było, że jego cierpliwość jest na wyczerpaniu. – Stąd

też statek będzie czysty jak łza. Ma jedynie służyć potwierdzeniu twojej wiarygodności. O ile to w ogóle możliwe…

Ferrier się skrzywił.

– Tak jest, sir. A potem…?

– Potem będziesz nadal informował nas o poczynaniach Karrde'a – poinstruował go wielki admirał. – A ja od czasu do czasu będę dostarczał ci dalszych dyspozycji. Dyspozycji, które będziesz wypełniał niezwłocznie i bez zbędnych pytań. Czy to jasne?

– Jak słońce – zapewnił go Ferrier. – Spokojna głowa, admirale. Może pan na mnie liczyć.

– Mam taką nadzieję. – Thrawn spojrzał znacząco na swojego noghryjskiego ochroniarza. – Bo naprawdę wolałbym, aby Rukh nie musiał składać ci niezapowiedzianej wizyty… Mam nadzieję, że się rozumiemy?

Ferrier również spojrzał na Rukha i przełknął znów ślinę.

– Tak. Oczywiście.

– Doskonale. – Thrawn obrócił się w swoim fotelu plecami do złodzieja statków. – Proszę odprowadzić naszego gościa z powrotem na jego statek i upewnić się, że odleci promem szturmowym, który dla niego przygotowałem.

– Tak jest, sir! – potwierdził przyjęcie rozkazu dowódca szturmowców. Popchnął lekko Ferriera i cała grupa zawróciła, kierując się na rufę.

– Idź z nimi, Rukh – polecił Noghriemu Thrawn. – Ferrier ma ptasi móżdżek, a ja chciałbym, by odleciał stąd, zdając sobie dobrze sprawę z tego, co się wydarzy, gdy jeszcze raz nadepnie mi na odcisk.

– Tak jest, mój panie – zamiauczał Noghri i bezszelestnie ruszył w ślad za eskortowanym przez żołnierzy złodziejem statków.

Gdy odszedł, Thrawn odwrócił się do Pellaeona.

– Co pan o tym wszystkim sądzi, kapitanie?

– Cóż, źle się stało, sir – stwierdził ostrożnie Pellaeon – ale mogłoby być gorzej. Jeśli można zaufać temu całemu Ferrierowi, mamy potencjalny namiar na grupę Karrde'a. Który tymczasem wraz ze swoimi nowymi sojusznikami będzie bez reszty skupiony na badaniu fałszywego tropu przygotowanego dla rebeliantów.

– Co ich w końcu znuży, a wówczas ich drogi na powrót się rozejdą – mruknął Thrawn, w zamyśleniu wpatrzony niewidzącym wzrokiem w przestrzeń. – Szczególnie gdy zaczną boleśnie odczuwać skutki rezygnacji ze świadczenia usług na rzecz Imperium. To jednak potrwa…

– Jakie mamy inne opcje? – spytał Pellaeon. – Skorzystać z propozycji Ferriera, by podrzucić im trefne statki?

Thrawn uśmiechnął się pod nosem.

– Myślę o zdecydowanie bardziej korzystnym i użytecznym rozwiązaniu, kapitanie – wyznał. – Jestem przekonany, że prędzej czy później ktoś z grupy przemytniczej zorientuje się, jak nieprzekonujący był ten atak na Troganie. Być może dzięki paru rozważnie spreparowanym dowodom zdołamy zaszczepić w nich podejrzenie, że stał za nim nie kto inny, a sam Karrde.

Pellaeon zamrugał, zbity z tropu.

– Karrde? – powtórzył niepewnie.

– A dlaczego by nie? Przy odrobinie ostrożnego planowania upozorowanie tego incydentu na toporną i grubymi nićmi szytą intrygę, mającą przekonać innych, że jego obawy co do Imperium były słuszne, nie powinno być trudne. W ten sposób z pewnością pozbawimy go wpływu, jaki mógłby na nich wywrzeć, a może i zaoszczędzimy sobie trudu uganiania się za nim po całej galaktyce.

– Cóż, na pewno warto wziąć taką ewentualność pod rozwagę – stwierdził dyplomatycznie Pellaeon. Gdyby ktoś pytał go o zdanie, to zawracanie sobie głowy zemstą na jakiejś bandzie mętów z półświatka nie było zbyt rozsądnym posunięciem w samym środku zakrojonej na szeroką skalę ofensywy. Będzie na to mnóstwo czasu już po tym, jak rozbiją Rebelię w puch. – Jeśli wolno mi coś zasugerować, panie admirale, to powinien pan chyba poświęcić nieco uwagi tej wstrzymanej kampanii na Ketarisie…

Thrawn uśmiechnął się znów pod nosem.

– Pańskie oddanie służbie jest godne pochwały, kapitanie. – Odwrócił głowę, by wyjrzeć przez boczny iluminator. – Jakieś wieści z Coruscant?

– Jeszcze żadnych, sir – zameldował Pellaeon, odświeżając dla pewności meldunki w dzienniku pokładowym. – Jeśli mnie jednak

pamięć nie myli, major Himron wspominał o tym, że muszą najpierw zadbać o zapełnienie rejestru lotów, a to mogło spowodować pewne opóźnienie.

– Może i tak. – Gdy Thrawn zwrócił się znów w jego stronę, Pellaeon dostrzegł w jego rysach lekkie napięcie. – A może nie. Mimo to nawet jeśli nie uda nam się pozyskać bliźniaków Organy Solo dla naszego czcigodnego mistrza Jedi, majorowi Himronowi powinno się udać skutecznie zlikwidować zagrożenie, jakim jest dla nas obecnie Mara Jade. A to w tej chwili najważniejsze. – Wyprostował się w swoim fotelu. – Ustawić kurs na rejon walk pod Ketarisem, kapitanie. Wyruszamy natychmiast, gdy tylko Ferrier odleci.

Rozdział 11

Gdy Han zrównał się wreszcie z przysadzistym mężczyzną, którego próbował dogonić w pałacowych labiryntach, ten skręcał właśnie w Wielki Korytarz. Sprawiał wrażenie, jakby bardzo mu się spieszyło, a na dodatek był w niezbyt dobrym nastroju. Solo nie przejmował się tym jednak zbytnio – sam miał podły humor.

– Pułkowniku Bremen – zaczepił go, gdy ten mijał pierwsze fioletowo-zielone drzewka ch'hala w szpalerze ciągnącym się wzdłuż ścian Wielkiego Korytarza. – Czy mógłbym zająć panu minutkę?

Bremen rzucił mu poirytowane spojrzenie.

– Jeśli ma to jakiś związek z Marą Jade, Solo, to nie chcę o tym słyszeć.

– Nadal przebywa w areszcie domowym – zauważył Han, puszczając mimo uszu jego uwagę. – Chciałbym wiedzieć dlaczego.

– Czyżby miało to coś wspólnego z tym imperialnym atakiem sprzed dwóch dni? – spytał z przekąsem Bremen. – Jak pan sądzi?

– To możliwe – przyznał Han, trącając jedną z gałązek drzewka ch'hala wystającą nieco zbyt daleko na korytarz. Pod wpływem dotyku barwna powierzchnia pod przejrzystą zewnętrzną warstwą kory, w miejscu, w którym gałąź łączyła się z pniem, rozbłysła agresywną czerwienią. Kolorowa plama rozlała się falującym kręgiem, nim powoli zaczęła blaknąć. – To chyba zależy od tego, jak poważnie traktujemy plotki rozsiewane ostatnio przez Imperium.

– Czego właściwie pan ode mnie chce, Solo? – warknął Bremen, zatrzymując się w pół kroku i odwracając gwałtownie w jego stronę. Drzewko, obok którego stali, zalała nowa fala czerwieni, a siedząca po przeciwnej stronie korytarza grupa dyplomatów przerwała rozmowę i spojrzała na nich. – Proszę spojrzeć na fakty: Jade wiedziała o tajnym wejściu do pałacu i sekretnych przejściach, sama to przyznała. Była tam, nim wszczęto alarm, temu również nie zaprzecza…

– Cóż, podobnie jak Lando i generał Bel Iblis – uzupełnił Han, czując, że cienkie pokłady dyplomacji, w które z takim trudem uzbroił się pod troskliwym okiem Lei, zaczynają się wyczerpywać. – A jakoś ich nie aresztowano.

– Naprawdę nie widzi pan, że to dwie różne sytuacje? – odburknął Bremen. – Calrissian i Bel Iblis mogą się poszczycić chlubną służbą Nowej Republice. To ludzie, za których jestem w stanie poręczyć. W przeciwieństwie do Jade.

– Za którą możemy poręczyć ja i Leia – nie dawał za wygraną Han, z całej siły próbując nie pamiętać o pogróżkach Mary dotyczących zabicia Luke'a. – Czy to nie wystarczy? A może po prostu jesteście wkurzeni, bo odwaliła za was czarną robotę? – Jeszcze nim to powiedział, dotarło do niego, że to był błąd.

Bremen zrobił się niemal tak czerwony jak przed chwilą drzewko ch'hala, a rysy twarzy stwardniały mu tak, że z powodzeniem dałoby się je przerobić na poszycie statku kosmicznego.

– Twierdzi pan, że pomogła wam się rozprawić z ludźmi będącymi rzekomo na usługach Imperium – wycedził lodowatym tonem. – To jednak niczego nie dowodzi. Absolutnie niczego. W chwili, gdy za sznurki pociąga wielki admirał Thrawn, cały ten atak mógł stanowić ni mniej, ni więcej, tylko skomplikowany spisek mający przekonać wszystkich, że ona jest po naszej stronie. Tak czy inaczej, przykro mi, ale nie dojdziemy dziś do porozumienia w tej kwestii. Jade nie dostanie dyspensy, jeśli chodzi o procedurę: sprawdzimy skrupulatnie jej historię, kontakty, powiązania, a nasi śledczy poddadzą ją wnikliwemu przesłuchaniu.

– Cudownie – parsknął Han. – Jeśli nawet nie jest po naszej stronie, to z pewnością skutecznie ją zniechęcicie do wsparcia naszej sprawy.

Bremen wypiął pierś i wyprężył się dumnie.

– Nie robimy tego, by zyskać na popularności, Solo. Tylko aby chronić życia obywateli Nowej Republiki, między innymi twoje i twoich dzieci, na wypadek gdybyś o tym zapomniał. Zakładam, że radczyni Organa Solo weźmie udział w naradzie zorganizowanej przez Mon Mothmę. Jeśli ma jakieś zastrzeżenia lub uwagi, może je przedstawić. Dopóki jednak tak się nie stanie, nie chcę słyszeć ani

słowa więcej na temat Jade. A już szczególnie od ciebie. Czy to jasne, kapitanie Solo?

Han westchnął.

– Taaa. Jakby inaczej.

– Świetnie. – Z tymi słowy Bremen odwrócił się i odmaszerował w swoją stronę.

Solo patrzył w ślad za nim, łypiąc na niego gniewnie.

– Umiesz rozmawiać z ludźmi, nie ma co – rozległ się gdzieś w pobliżu znajomy głos.

Han odwrócił się jak użądlony, nie kryjąc zaskoczenia.

– Luke! Kiedy wróciłeś?

– Jakieś dziesięć minut temu. – Skywalker wskazał głową w głąb korytarza. – Próbowałem się z wami skontaktować, ale Winter powiedziała mi, że zszedłeś na jakieś ważne spotkanie. Miałem nadzieję, że cię złapię, zanim na nie dotrzesz.

– Cóż, jeśli chodzi o ścisłość, to nie zostałem zaproszony – mruknął Han, rzucając ostatnie nienawistne spojrzenie oddalającemu się Bremenowi. – A Leia ma najpierw zajrzeć do Mary.

– Ach, tak. Mara.

Solo przyjrzał się przyjacielowi uważnie.

– Przyszła nam z pomocą, dosłownie w ostatniej chwili – przypomniał mu.

– A ja nie. – Luke się skrzywił.

– Nie to miałem na myśli – zaprotestował Solo.

– Wiem – zapewnił go Skywalker. – Mimo to… powinienem tu być, gdy mnie potrzebowaliście.

– Cóż… – bąknął Han, nie bardzo wiedząc, co na to odpowiedzieć. – Nie zawsze będziesz w stanie ją chronić. To moje zadanie.

Jedi uśmiechnął się do niego krzywo.

– Jasne. Wybacz, wyleciało mi to z głowy.

Solo obejrzał się przez ramię. W pobliżu zaczynali się już gromadzić kolejni dyplomaci i asystenci radców, jednak nigdzie nie widział śladu Lei.

– Chodźmy – powiedział. – Pewnie utknęła gdzieś na górze. Złapiemy ją w pół drogi.

– Trochę mnie dziwi, że po tym wszystkim pozwalasz jej się włóczyć po pałacu samopas – zauważył Luke, gdy wracali wzdłuż szpaleru drzewek ch'hala.

– Właściwie to nie do końca samopas – skomentował z przekąsem Han. – Od chwili ataku Chewie nie odstępuje jej na krok. Ten wielki futrzak zaczął nawet sypiać pod naszymi drzwiami.

– Pewnie czujecie się dzięki temu bezpieczni.

– Tak, a dzieciaki pewnie nabawią się alergii na sierść Wookieech. – Spojrzał na przyjaciela. – A tak przy okazji, to gdzie cię właściwie wywiało? Z ostatniej wiadomości, którą przysłałeś, wynikało, że miałeś wrócić trzy dni temu.

– To było zanim utknąłem na… – Luke urwał, czujnym wzrokiem lustrując ludzi mijających ich w korytarzu. – Ach, mniejsza o to, później ci wyjaśnię – stwierdził, zmieniając zdanie. – Winter wspominała, że Mara przebywa w areszcie domowym…

– Tak. I chyba nieprędko ją wypuszczą – warknął Solo. – A przynajmniej dopóki nie przekonamy tych tępaków z ochrony, że jest czysta.

– Aha – bąknął Luke z wahaniem. – Cóż, może się okazać, że to nie takie proste…

Han spojrzał na niego, marszcząc czoło.

– Dlaczego tak sądzisz?

Skywalker odchrząknął i wykrzywił lekko usta.

– Bo wygląda na to, że przez większą część wojny działała w charakterze osobistej asystentki Imperatora.

Han wytrzeszczył na niego oczy.

– Mam nadzieję, że to jakiś żart…

Jedi westchnął.

– Niestety nie – Pokręcił głową. – Wypełniała dla niego mnóstwo różnych misji na terenie całego Imperium. Nazywali ją Ręką Imperatora.

„Właśnie takim mianem określił ją major w centrum medycznym" – przypomniał sobie Solo.

– Cudownie – jęknął, wbijając wzrok w głąb korytarza. – Po prostu wspaniale. Mogłeś nas uprzedzić…

– Nie przyszło mi do głowy, że to może mieć znaczenie – wyznał Luke. – Jedno jest pewne: nie pracuje już dla Imperium. – Posłał Hanowi znaczące spojrzenie. – A skoro już o tym mowa, to większość z nas ma na sumieniu pewne grzeszki, które wolelibyśmy przemilczeć.

– Wiesz, mam dziwne przeczucie, że Bremen ze swoją bandą nadgorliwców ma na ten temat zgoła odmienne zdanie – skwitował ponuro Solo.

– Cóż, będziemy ich po prostu musieli przekonać, że… – Luke urwał.

– O co chodzi? – zaniepokoił się Han.

– Nie wiem – powiedział powoli Jedi. – Wyczułem właśnie zakłócenie w Mocy.

Solo poczuł w żołądku nieprzyjemny chłód.

– Jakiego rodzaju… zakłócenie? – spytał ostrożnie. – Masz na myśli zagrożenie?

– Nie. – Luke ściągnął w skupieniu brwi. – Coś bardziej jak… zaskoczenie. Czy szok. – Spojrzał na Solo. – I… nie jestem pewien, ale chyba pochodziło od Lei.

Han opuścił odruchowo dłoń do rękojeści blastera, lustrując czujnie korytarz. Leia była na górze z byłą agentką Imperium… i coś ją zaskoczyło tak mocno, że aż wyczuł to Luke?

– Sądzisz, że powinniśmy biec? – spytał cicho.

– Nie – zaprzeczył Skywalker. Solo zauważył z niepokojem, że jego palce spoczywają na rękojeści miecza świetlnego. – Ale szybki marsz nie zaszkodzi.

Od strony drzwi dobiegł stłumiony głos droida strażniczego G-2RD. Mara ze znużonym westchnieniem wyłączyła datapad i cisnęła go na blat biurka. Przypuszczała, że ochronie w końcu znudzą się te pełne wymuszonej uprzejmości przesłuchania. Póki co jednak jeszcze się na to nie zanosiło. Sięgnęła Mocą ku drzwiom, próbując

zidentyfikować swojego gościa. Miała nadzieję, że tym razem to przynajmniej nie ten cały Bremen…

Jej ciche prośby zostały wysłuchane. Z trudem zdołała ukryć zaskoczenie, gdy chwilę później drzwi otworzyły się i stanęła w nich Leia Organa Solo.

– Witaj, Maro. – Kiwnęła jej głową na powitanie. Nim droid strażniczy zatrzasnął za nią drzwi, Mara zdążyła jeszcze zauważyć stojącego za progiem Wookieego, wyraźnie niezadowolonego. – Zajrzałam, żeby sprawdzić, jak się miewasz.

– Wręcz wspaniale – odburknęła Jade, nie mogąc się zdecydować, czy widok Organy Solo zamiast Bremena ją cieszy, czy wręcz przeciwnie. – Co to było za zamieszanie tam pod drzwiami?

Księżniczka pokręciła głową i Mara dostrzegła na jej twarzy przelotny cień rozdrażnienia.

– Najwyraźniej ktoś z ochrony uznał, że nie powinnaś przyjmować więcej niż jednego gościa naraz, chyba że towarzyszy mu ktoś od nich. Chewie musiał zostać na zewnątrz i nie był zbyt szczęśliwy z tego powodu.

– Domyślam się, że mi nie ufa?

– Nie bierz tego do siebie – poprosiła ją Leia. – Wookiee traktują swoje długi życia bardzo poważnie. Wciąż nie może się pogodzić z tym, że mało brakowało, byśmy zostali porwani. W tym momencie najprawdopodobniej ufa ci bardziej niż komukolwiek innemu w tym pałacu.

– Cieszę się, że chociaż on – stwierdziła Mara, słysząc we własnym głosie gorzkie nuty. – Może powinnam go poprosić, żeby porozmawiał na ten temat z pułkownikiem Bremenem.

Organa Solo westchnęła.

– Naprawdę bardzo mi z tego powodu przykro, Maro. Za kilka minut mamy na dole spotkanie i zamierzam spróbować ponownie przekonać ich, że powinni cię uwolnić. Obawiam się jednak, że Mon Mothma i Ackbar nie zaaprobują tego, dopóki służby bezpieczeństwa nie zrobią, co do nich należy.

A gdy dowiedzą się, że naprawdę była Ręką Imperatora…

– Powinnam była bardziej nalegać, by Winter załatwiła mi ten statek – mruknęła pod nosem Jade.

– Gdyby ci się udało, ja i bliźnięta bylibyśmy teraz w rękach Imperium – powiedziała cicho Organa Solo. – I prawdopodobnie lada dzień trafilibyśmy jako podarunek do tego mistrza Jedi, C'baotha.

Mara zacisnęła nerwowo szczęki. Jeśli miała być szczera, to nie wyobrażała sobie, by kogoś mógł spotkać gorszy los.

– Już mi dziękowałaś – bąknęła. – Powiedzmy po prostu, że jesteś mi winna przysługę i tyle, w porządku?

Organa Solo uśmiechnęła się pod nosem.

– Chyba jesteśmy ci winni znacznie więcej niż tylko jedną przysługę – stwierdziła.

Mara spojrzała jej w oczy.

– Pamiętaj o tym, gdy zabiję twojego brata.

Organa Solo nawet nie drgnęła.

– Nadal sądzisz, że to ty chcesz go zabić?

– Nie zamierzam dyskutować na ten temat – ucięła Mara, wstając od biurka i podchodząc do okna. – Czuję się doskonale, ty za chwilę spróbujesz mnie stąd wyciągnąć, a wszyscy są zadowoleni, że ocaliłam cię ze szponów C'baotha. Coś jeszcze?

Czuła na sobie taksujący wzrok Organy Solo.

– Nie… właściwie to nie – stwierdziła po chwili milczenia Leia. – Chciałabym tylko jeszcze skorzystać z okazji, żeby zapytać cię, dlaczego to zrobiłaś.

Mara wpatrywała się w widok za oknem, czując, jak pod szczelnym pancerzem, którym z takim trudem oddzieliła się od świata, niebezpiecznie wzbiera fala emocji.

– Nie wiem – wyznała, zaskoczona, że w ogóle się do tego przyznaje. – Spędziłam tu dwa dni, podczas których miałam czas dobrze się nad tym zastanowić i… nadal nie wiem. Może… – Wzruszyła ramionami. – Może miało to coś wspólnego z tym, że Thrawn chciał odebrać ci dzieci.

Organa Solo przez dłuższą chwilę milczała.

– Skąd pochodzisz, Maro? – spytała wreszcie. – Chodzi mi o to, gdzie był twój dom, zanim Imperator sprowadził cię na Coruscant.

Mara wróciła myślą do tamtych dni.

– Nie wiem – wyznała ponownie. – Pamiętam ten dzień, gdy go poznałam, i podróż tutaj na pokładzie jego prywatnego statku. Ale nie mam zbyt wiele wspomnień z miejsca, z którego pochodzę.

– Czy pamiętasz, ile miałaś wówczas lat?

Pokręciła głową.

– Nie. Wiem, że byłam dość duża, by z nim rozmawiać i rozumieć, że opuszczę swój dom i gdzieś z nim polecę. Ale nic poza tym.

– A co z twoimi rodzicami? – dociekała Leia. – Czy ich również nie pamiętasz?

– Tylko trochę – odparła. – Jak przez mgłę. – Wahała się przez chwilę, nim dodała: – Mam jednak niejasne wrażenie, że nie chcieli, by mnie zabierał.

– Wątpię, by Imperator dał im w tej kwestii jakiś wybór – zauważyła współczująco Leia. – A co z tobą, Maro? Czy ty miałaś jakiś wybór?

Uśmiechnęła się z przymusem, starając się powstrzymać łzy, które niespodziewanie napłynęły jej do oczu.

– A więc do tego zmierzasz. Sądzisz, że narażałam się dla twoich bliźniąt, bo zabrano mnie z domu w taki sam sposób?

– A nie?

– Nie – stwierdziła obojętnie, odwracając się w stronę księżniczki. – To nie tak. Nie chciałam po prostu, by trafiły w łapy tego szaleńca C'baotha. I nie doszukuj się w tym żadnych ukrytych znaczeń.

– W porządku – przytaknęła Organa Solo, jednak sądząc po tonie, uwierzyła jej tylko połowicznie. – Gdybyś jednak kiedykolwiek chciała o tym porozmawiać…

– …wiem, gdzie cię szukać – dokończyła za nią ze znużeniem Jade. Wciąż nie była w stanie zrozumieć, dlaczego w ogóle o tym wszystkim mówi, jednak w głębi duszy musiała przyznać sama przed sobą, że poczuła dziwną ulgę, gdy to wreszcie z siebie wyrzuciła. Cóż, może po prostu zaczynała się robić miękka.

– Możesz się ze mną skontaktować, kiedy tylko przyjdzie ci na to ochota. – Organa Solo uśmiechnęła się do niej i wstała. – Pójdę już. Czeka mnie spotkanie. Zobaczymy, co tam znów narozrabiali ci sklonowani żołnierze Thrawna…

Mara zmarszczyła czoło.

– Jacy znów sklonowani żołnierze?

Teraz to Organa Solo ściągnęła z konsternacją brwi.

– O niczym nie wiesz?

– O czym konkretnie?

– Imperium wytrzasnęło skądś cylindry klonujące Spaarti. Produkują całe zastępy klonów, które dla nich walczą.

Mara wpatrywała się w nią bez słowa, czując na plecach zimny dreszcz. Klony…

– Nikt mi nic nie powiedział – wykrztusiła wreszcie.

– Przykro mi – powiedziała Leia. – Wydawało mi się, że wszyscy o tym wiedzą. To główny temat rozmów w pałacu od niemal miesiąca.

– Przebywałam w centrum medycznym – przypomniała jej odruchowo Mara. Klony… Jako dodatek do statków z Floty Katańskiej i w połączeniu z chłodnym geniuszem wielkiego admirała Thrawna, który nimi dowodził… To mogło oznaczać tylko jedno: wybuch nowych wojen klonów.

– Racja, zapomniałam o tym – przyznała księżniczka. – Tyle się przez ten miesiąc działo… – Przyjrzała się Marze uważnie. – Czy wszystko w porządku?

– Tak, tak… – bąknęła Jade. Jej własny głos brzmiał w jej uszach dziwnie obco, gdy z krańców pamięci zaczęły napływać wspomnienia, rozbłyskujące przed jej oczami niczym migawki: forteca… górska forteca, tajny i pilnie strzeżony magazyn osobistych skarbów Imperatora… a także przestronna komnata pełna cylindrów klonujących.

– No dobrze – rzuciła Leia, najwyraźniej niezbyt przekonana jej odpowiedzią, jednak zdeterminowana nie naciskać. – No to… do zobaczenia później. – Sięgnęła do klamki.

– Zaczekaj.

Księżniczka odwróciła się do niej.

– Tak?

Mara wzięła głęboki oddech. Samo istnienie tamtego miejsca było pilnie strzeżoną tajemnicą. Wiedziała o nim tylko garstka zaufanych powierników Imperatora, co podkreślał on wielokrotnie. Jednak

skoro Thrawn miał na swoich usługach armię klonów, przy pomocy których mógł podbić galaktykę…

– Chyba wiem, gdzie znajdują się cylindry klonujące Spaarti Thrawna.

Chociaż jej zdolności do wyczuwania nastroju przez Moc były ograniczone i przytępione, fala zaskoczenia emanująca od Organy Solo była trudna do przeoczenia.

– Gdzie? – wykrztusiła Leia, ledwie panując nad własnym głosem.

– Imperator… miał swój prywatny skarbiec – wyjaśniła Mara, sama z trudem artykułując słowa. Przed oczami stanęła jej jego poorana bruzdami zmarszczek twarz: żółte oczy patrzące na nią z milczącym wyrzutem. – We wnętrzu góry na świecie zwanym Wayland. Nie wiem nawet, czy to oficjalna nazwa… To właśnie tam składował wszystkie swoje najcenniejsze pamiątki i trofea, a także osobliwe zdobycze technologii, które jego zdaniem mogły mu się pewnego dnia przydać. W jednej ze sztucznych jaskiń mieścił się w pełni wyposażony ośrodek klonowania, który najwyraźniej przejął od jakiegoś kloniarza.

– W pełni wyposażona?

– Zgadza się – potwierdziła Mara. Na samo wspomnienie przeszły ją ciarki. – Wraz z systemem odżywiania klonów, a także modułami błyskawicznego przyswajania wiedzy, umożliwiającymi kształtowanie osobowości oraz szkolenie klonów w okresie dojrzewania.

– Ile… ile było tych cylindrów?

Pokręciła głową.

– Nie jestem pewna. Były ustawione koncentrycznie, wielopoziomowo, coś na kształt areny sportowej, w którą zmienił całą jaskinię.

– Ile ich mogło być twoim zdaniem? Tysiąc? – dopytywała się Leia. – Dwa tysiące? Dziesięć?

– Powiedziałabym, że na moje oko co najmniej dwadzieścia tysięcy – odparła Mara. – Możliwe, że więcej.

– Dwadzieścia tysięcy… – powtórzyła zbielałymi ustami Organa Solo. – A każdy co dwadzieścia dni daje mu jednego klona…

Mara wytrzeszczyła na nią oczy.

– Dwadzieścia dni? – jęknęła. – Ale… to niemożliwe!

– Wiem. A jednak Thrawnowi się to udaje. Czy znasz może współrzędne tego… Waylanda?

Mara potrząsnęła głową.

– Byłam tam tylko raz, a Imperator sam pilotował statek. Wiem jednak, że mogłabym znaleźć tę planetę, gdybym miała dostęp do map gwiezdnych i komputera nawigacyjnego.

Organa Solo powoli pokiwała głową. Przez Moc Mara wyczuwała, że jej myśli kłębią się i gonią jedna drugą niczym wzburzone fale podczas sztormu.

– Zobaczę, co da się zrobić. A tymczasem… – Wzrok jej się nagle wyostrzył, gdy skupiła spojrzenie na twarzy Mary. – Nie mów nikomu o tym, co mi wyjawiłaś. Nikomu! Thrawn wciąż jakimś cudem przechwytuje informacje z pałacu… a wiedza o tym fakcie mogłaby kosztować kogoś życie.

Jade kiwnęła głową.

– Rozumiem – powiedziała. Nagle ogarnął ją dziwny chłód.

– W porządku. Spróbuję zapewnić ci dodatkowe straże. Gdybym tylko mogła to zrobić, nie ściągając przy tym na siebie niepotrzebnie uwagi… – Leia urwała, przechylając głowę na ramię, jakby nasłuchiwała. – Lepiej już pójdę. Han i Luke tu idą, a to niezbyt dobre miejsce na naradę wojenną.

– Jasne – rzuciła Mara, odwracając się z powrotem do okna. Klamka zapadła, a ona… cóż, wyglądało na to, że opowiedziała się właśnie po stronie Nowej Republiki.

Po stronie Luke'a Skywalkera. Człowieka, którego zamierzała zabić.

Tego wieczoru urządzili naradę wojenną w biurze Lei – jedynym miejscu, co do którego mieli pewność, że tajemnicze Źródło Delta nie przechwytuje z niego informacji. Wchodząc do pokoju, Luke powiódł dookoła wzrokiem, wracając myślą do zawiłych meandrów zdarzeń, które doprowadziły do tego, że ci ludzie – „moi przyjaciele" – poprawił się w myśli – pojawili się w jego życiu. Han i Leia, siedzący ramię w ramię na kanapie i cieszący się tą cichą

chwilą wytchnienia w swoim towarzystwie, nim brutalna rzeczywistość ogarniętej wojenną zawieruchą galaktyki znów się o nich upomni. Chewbacca, usadowiony między nimi a drzwiami, z kuszą w pogotowiu na porośniętych zmierzwioną sierścią kolanach, zdeterminowany tym razem nie zawieść i nadal godnie spłacać dług życia, który sam na siebie nałożył. Lando, z kwaśnym grymasem pochylony nad ekranem terminala komputerowego Lei i przeglądający coś, co wyglądało na raport z aktualnych cen rynkowych. C-3PO i R2-D2, pogrążeni w cichej rozmowie w kącie pokoju – najprawdopodobniej zdający sobie nawzajem relacje z ostatnich wydarzeń i wymieniający się droidzimi ploteczkami… I Winter, która przycupnęła po cichu w drugim kącie, bez reszty skupiona na śpiących w najlepsze bliźniętach.

To byli jego przyjaciele. Jego rodzina.

– No i…? – zagaił Han.

– Sprawdziłem dokładnie okolice biura – poinformował go Luke. – W pobliżu nie ma żadnych istot żywych ani droidów. Jak u was?

– Poprosiłam porucznika Page'a, żeby osobiście przeprowadził skan na okoliczność urządzeń podsłuchowych – zameldowała Leia. – Od tamtej pory nikt tu nie zaglądał. Powinno być czysto.

– Świetnie – skwitował Han. – Czy teraz mogłabyś nas wreszcie wtajemniczyć?

– Tak – potwierdziła Leia i Luke wyczuł, że jego siostra zbiera się w sobie. – Mara sądzi, że wie, gdzie się znajduje ośrodek klonowania Imperium.

Han usiadł prosto i posłał Landowi czujne spojrzenie.

– Gdzie?

– Na planecie, którą Imperator nazywał Waylandem – wyjaśniła księżniczka. – Niewykluczone, że to kryptonim, bo nie znalazłam tej nazwy w żadnych z oficjalnych spisów.

– Gdzie dokładnie? Czy to któraś z dawnych fabryk kloniarzy? – dopytywał Skywalker.

– Mara twierdzi, że mieści się wewnątrz prywatnego skarbca Imperatora – wyjaśniła. – Z jej słów wynikało, że to swego rodzaju połączenie wystawy trofeów i składu sprzętu.

– Prywatna szczurza nora – mruknął Han. – Całkiem w jego stylu. Gdzie leży ta planeta?

– Mara nie zna współrzędnych – odparła jego żona. – Mówi, że była tam tylko raz. Ale uważa, że mogłaby ją zlokalizować.

– A dlaczego nie wspomniała o tym wcześniej? – zainteresował się Lando.

Leia wzruszyła ramionami.

– Wydaje się, że nie wiedziała o klonach, dopóki o nich nie wspomniałam. Pamiętaj, że gdy ten temat był na ustach wszystkich, ona dochodziła do siebie w centrum medycznym.

– Mimo to trudno mi uwierzyć, że cała sprawa jej umknęła – stwierdził sceptycznie Calrissian.

– To jednak możliwe – upierała się Leia. – W żadnym z publicznych raportów, do których miała dostęp, nie było o tym wzmianki. A ona raczej nie jest osobą towarzyską, która włóczyłaby się po pałacu w poszukiwaniu plotek.

– Tak czy inaczej, zgodzisz się chyba, że to zaskakujący zbieg okoliczności, że ujawniła te rewelacje akurat w tym momencie – wytknął jej Lando. – Podejrzanie stosownym, rzekłbym. Najpierw dostaje zielone światło na poruszanie się po terenie pałacu praktycznie bez ograniczeń, potem demaskuje ją dowódca oddziału imperialnych komandosów i Mara trafia do aresztu, a teraz nagle, bum! – wymachuje nam przed nosem jakimś Waylandem jak nie przymierzając marchewką na kiju, domagając się uwolnienia…

– A kto tu mówi o jej uwalnianiu? – zdziwiła się Leia autentycznie zaskoczona.

– A czy właśnie nie o to poprosiła w zamian za ujawnienie tych informacji? – spytał Calrissian. – Czy nie powiedziała, że zabierze nas na Wayland, jeśli zostanie zwolniona z aresztu?

– O nic nie prosiła – sprostowała księżniczka. – A ja zadeklarowałam się jedynie zapewnić jej dostęp do komputera nawigacyjnego, tak aby mogła spróbować namierzyć dla nas tę planetę.

– Obawiam się, że to za mało, kochanie. – Han pokręcił głową. – Współrzędne to dobry punkt wyjścia, ale trudno będzie przeszukać całą planetę, by znaleźć na niej jakiś tam skarbiec.

– Szczególnie taki, który Imperator chciał ukryć przed wzrokiem niepowołanych osób – zauważył trafnie Luke. – Lando ma rację. Będziemy musieli ją ze sobą zabrać.

Han i Lando utkwili w nim zaskoczone spojrzenia. Nawet Leia wydawała się wstrząśnięta jego sugestią.

– Nie chcesz chyba powiedzieć, że kupiłeś tę bujdę… – zaczął Calrissian.

– Chyba nie mamy wyboru – westchnął Skywalker. – Im dłużej będziemy zwlekać, tym więcej klonów Imperium rzuci przeciwko nam.

– A co z tym tropem, który zacząłeś badać? – spytała jego siostra. – Tą linią przerzutową prowadzącą przez Poderis i sektor Orus?

– To trochę zajmie – stwierdził Luke. – A w ten sposób dotarlibyśmy do źródła znacznie szybciej.

– O ile ona mówi prawdę – zauważył ponuro Lando. – Jeśli nie, będziemy gonili w piętkę.

– Albo gorzej – dopowiedział Solo. – Thrawn już raz próbował zwabić cię w sidła tego całego C'baotha. To może być kolejna pułapka…

Luke spojrzał na nich kolejno, żałując, że nie bardzo wie, jak im to wytłumaczyć. Gdzieś w głębi duszy wiedział, że właśnie tak powinni postąpić, że to właśnie tym tropem prowadzi go Moc. Podobnie jak było w wypadku tamtej rozstrzygającej konfrontacji Vadera i Imperatora, losy jego i Mary były ze sobą splecione – w miejscu i czasie.

– To nie jest pułapka – stwierdził wreszcie prosto. – A przynajmniej nie ze strony Mary.

– Jestem tego samego zdania – potwierdziła cicho Leia. – I sądzę, że masz rację: powinniśmy ją ze sobą zabrać.

Han poruszył się niespokojnie na kanapie i zerknął z ukosa na żonę, potem przeniósł wzrok na Luke'a, by po chwili ponownie spojrzeć na nią.

– Niech zgadnę – warknął. – To jedna z tych waszych wariackich gierek Jedi?

– Po części – przyznała Leia. – W większości jednak proste, logiczne rozumowanie. Nie sądzę, by Thrawn tak mocno starał się

przekonać nas, że Mara brała udział w tej próbie porwania, gdyby zależało mu, żebyśmy dali wiarę jej opowieściom o Waylandzie.

– Ale wychodząc z takiego założenia, musisz też przyjąć, że Thrawn wiedział, że ta próba się nie powiedzie – wskazał Lando.

– Zakładam, że Thrawn jest przygotowany na każdą ewentualność – skwitowała księżniczka. W jej policzku drgnął mięsień. – Zresztą jak sam raczyłeś wspomnieć, Han, ma to sporo wspólnego z intuicją Jedi. Dwukrotnie podczas ataku miałam kontakt z Marą za pośrednictwem Mocy. Pierwszy raz, gdy mnie obudziła, a drugi, gdy zaszła od tyłu komandosów. – Gdy spojrzała na brata, zorientowała się, że to wyczuł: wiedział, że Mara powiedziała jej, że chce go zabić. – Ona nie darzy nas specjalnym uczuciem – wyznała. – Jednak mam wrażenie, że nie ma to specjalnego znaczenia. Wie, co oznaczałoby dla galaktyki rozpętanie nowych wojen klonów, i nie chce, by do tego doszło.

– Jeśli obieca, że zabierze nas na Wayland, wchodzę w to – stwierdził stanowczo Luke. – Nie proszę was, byście lecieli z nami. Chciałbym tylko, żebyście pomogli mi przekonać Mon Mothmę, by ją uwolniła. – Zawahał się zauważalnie, nim dodał: – I żebyście trzymali za nas kciuki.

Przez długą chwilę nikt nie odzywał się ani słowem. Han wbijał wzrok w podłogę, marszcząc w skupieniu czoło i ściskając oburącz dłoń Lei. Lando gładził w zamyśleniu bródkę, Chewbacca przebierał nerwowo palcami po kuszy, pomrukując cicho pod nosem. W kącie po drogiej stronie pokoju R2-D2 poćwierkiwał coś do siebie po swojemu. Jedno z bliźniąt – Jacen, uznał po krótkim namyśle Luke – zakwiliło przez sen i Winter pogładziła malucha kojąco po plecach.

– Mon Mothma nie może się o tym dowiedzieć – zadecydował wreszcie Solo, przerywając milczenie. – Będzie chciała załatwić wszystko oficjalnymi kanałami, a nim dostaniemy pozwolenie na działanie, pół pałacu będzie już o wszystkim wiedziało. Jeśli Thrawnowi zależy na uciszeniu Mary, w ten sposób zyska tylko czas, by o to zadbać.

– A jakie mamy inne wyjście? – spytała Leia, obrzucając zgromadzonych czujnym spojrzeniem.

– To, o którym wspomniał Lando – skwitował Han. – Uwolnimy ją.

Księżniczka posłała bratu spłoszone spojrzenie.

– Ależ Han! Nie możemy tego zrobić!

– Owszem, możemy – zapewnił ją mąż. – Chewie i ja odbiliśmy już raz pewnego gościa z imperialnego więzienia i wszystko poszło jak z płatka.

Chewbacca zawarczał gardłowo.

– Wcale nie – burknął w odpowiedzi Solo, posyłając mu urażone spojrzenie. – Nie nasza wina, że tydzień później znów go zwinęli.

– Nie to miałam na myśli – jęknęła Leia. – Mówisz o podjęciu nielegalnych kroków zakrawających na zdradę stanu…

Han poklepał ją uspokajająco po kolanie.

– Cała ta nasza Rebelia była wysoce nielegalnym działaniem zakrawającym na zdradę stanu, złotko – przypomniał jej. – Gdy masz do czynienia z nieskutecznymi przepisami, po prostu je łamiesz. Nie ma w tym żadnej filozofii.

Leia wzięła głęboki oddech i powoli wypuściła powietrze z płuc.

– Masz rację – przyznała wreszcie. – To prawda. No to… kiedy zaczynamy?

– My… to znaczy ty… nie weźmiesz w tym udziału – stwierdził stanowczo Han. – Zajmiemy się tym razem z Lukiem. Ty i Chewie zostaniecie tu, gdzie będziecie bezpieczni.

Chewbacca zaczął coś burczeć pod nosem, ale urwał w pół zdania.

Leia spojrzała kolejno na Wookieego i brata.

– Nie musisz z nami lecieć, Han – powiedział Luke, wyczuwając emanujący od siostry niepokój. – Mara i ja doskonale sobie poradzimy we dwójkę.

– Niby jak? – parsknął zaczepnie Solo. – Chcecie we dwoje zrównać z ziemią cały kompleks klonujący?

– Nie widzę innej możliwości – stwierdził Skywalker. – Dopóki Źródło Delta działa i ma się dobrze, niewiele jest osób, którym możemy bez reszty zaufać. Ci zaś, którym moglibyśmy zawierzyć, jak na przykład Eskadra Łotrów, mają w tej chwili inne rzeczy do roboty. – Wskazał szerokim gestem pokój. – Co ogranicza nasz wybór do osób tutaj zgromadzonych.

– W porządku – podsumował Solo. – Mimo to jestem zdania, że trzy osoby poradziłyby sobie z tym zadaniem znacznie lepiej niż dwie.

Luke spojrzał na siostrę. W jej oczach lśnił strach o męża, jednak przez Moc wyczuwał, że co prawda niechętnie, ale pogodziła się już z jego decyzją. Zdawała sobie sprawę z tego, jak ważna jest ta misja, a była zbyt zaprawiona w bojach, by nie doceniać propozycji Hana.

A może po prostu podobnie jak mąż nie chciała, by Luke wyruszał na misję sam w towarzystwie kobiety, która pragnęła go zabić?

– Dobrze, Han – zgodził się Luke. – W takim razie wybierzemy się tam we trójkę.

– Skoro mówimy już o trójce, to dlaczego by nie we czwórkę? – wtrącił się Lando. – Z uwagi na to, jak ślamazarnie posuwają się kwestie związane z dalszymi losami Nomad City, w najbliższym czasie raczej nie będę miał zbyt wiele do roboty… Miło byłoby odpłacić się choć częściowo Imperium za ich przysługi.

– Nie mam nic przeciwko – skwitował Solo. – Witamy na pokładzie. – Odwrócił się w stronę Chewbakki. – Dobra, Chewie. Czy mógłbyś nam wyjaśnić, z czym masz problem?

Luke zwrócił zaskoczone spojrzenie na Wookieego. Jak dotąd nie zauważył, by Chewie był z jakiegoś powodu niezadowolony, teraz jednak, gdy skupił na nim uwagę, wyczuł przez Moc, że Wookieego rzeczywiście coś trapi.

– O co chodzi, Chewie? – zawtórował przyjacielowi.

Przez dłuższą chwilę Wookiee burczał coś pod nosem, aż wreszcie, z wyraźnym ociąganiem, wyartykułował, co mu leży na duszy.

– Och, jasne, stary, z miłą chęcią zabralibyśmy cię ze sobą – zapewnił go Han. – Ale ktoś musi tu zostać, żeby zaopiekować się Leią. No chyba że jesteś zdania, że straż pałacowa świetnie sobie z tym poradzi…

Chewbacca w kilku zwięzłych, ale dosadnych pomrukach wyraził swoje zdanie na temat kompetencji straży pałacowej.

– Masz całkowitą rację – zgodził się z nim Han. – I właśnie dlatego zostaniesz.

Luke zerknął na Leię. Gdy podchwyciła jego spojrzenie, zyskał pewność, że ona również zdaje sobie sprawę z dylematu, w obliczu którego stanął Wookiee. Chewbacca miał wobec Hana dług życia, co sprawiało, że czuł się rozdarty w sytuacji, w której ten miał narażać się samotnie na niebezpieczeństwo. Jednak dług ten obejmował również Leię i bliźnięta, więc równie ciężko było mu pogodzić się z powierzeniem ich pieczy straży pałacowej.

Nagle jednak, gdy Luke wciąż zastanawiał się nad wybrnięciem z tego impasu, dostrzegł w oczach siostry dziwny błysk.

– Mam pewien pomysł – rzuciła ostrożnie Leia.

Wszyscy nadstawili uszu, a gdy księżniczka przedstawiła im swoją propozycję, ku zaskoczeniu Hana Chewbacca natychmiast na nią przystał.

– Czy to jakiś dowcip? – parsknął Solo. – Żartujecie sobie, prawda? No jasne, to z pewnością żart. Bo jeśli wydaje wam się, że zostawię Leię i bliźnięta pod opie…

– To jedyne sensowne wyjście, Han – powiedziała cicho księżniczka. – Inaczej Chewie będzie niepocieszony…

– Chewie bywał niepocieszony już nieraz – burknął Solo. – I jakoś od tego nie umarł. No, dalej, Luke, powiedz jej…

Luke pokręcił jednak tylko głową.

– Wybacz, Han – bąknął po chwili. – Tak się składa, że moim zdaniem to dobry pomysł. – Po chwili milczenia, nie mogąc się oprzeć, dodał z przekorą: – To chyba jedna z tych naszych wariackich gierek Jedi.

– Bardzo zabawne – bąknął Han, rozglądając się znów po zgromadzonych. – Lando? Winter? No, dajcie spokój, powiedzcie im coś…

– Na mnie nie patrz, Han – stwierdził Calrissian, podnosząc ręce w obronnym geście. – Moja opinia niewiele tu zmieni.

– Jeśli o mnie chodzi, to ufam osądowi księżniczki Lei – wyznała Winter. – Skoro twierdzi, że będzie bezpieczna, to jestem skłonna przyznać jej rację.

– Będziesz miał jeszcze kilka dni, by sobie to wszystko przemyśleć – wtrąciła Leia, nim Han zdążył dodać coś jeszcze. – Może zdołamy cię przekonać.

Solo miał nietęgą minę, ale mimo to pokiwał głową.

– Taaa. Jasne.

Przez chwilę w pomieszczeniu znów panowała niezręczna cisza.

– No to… załatwione? – spytał wreszcie Lando.

– Wydaje się, że tak – potwierdziła Leia. – Cóż, musimy zaplanować tę misję. Nie ma czasu do stracenia.

Rozdział 12

Z głośnika konsoli łączności dobiegł sygnał nadchodzącego połączenia.

– Karrde? – rozległ się znużony głos Dankina. – Zbliżamy się do układu Bilbringi. Pięć minut do wyjścia z nadprzestrzeni.

– Spodziewajcie się nas lada chwila – poinformował go Karrde. – I wyślijcie ludzi do obsługi turbolaserów. Nie wiadomo, co nas czeka na miejscu.

– Jasne – potwierdził przyjęcie rozkazu Dankin. – Bez odbioru.

Talon wyłączył interkom i urządzenie deszyfrujące.

– Wydawał się zmęczony – zauważył siedzący po przeciwnej stronie Aves, odkładając datapad.

– Ty też nie wyglądasz na wypoczętego – zauważył Karrde, obrzucając ostatnim spojrzeniem dane wyświetlane na ekranie, nim wyłączył urządzenie. Z raportu jego ludzi na Anchoronie, podobnie jak z poprzednich, nie wynikało nic godnego uwagi. – Chyba po prostu zrobiliśmy sobie za długą przerwę od podwójnych wacht – dodał półżartem. – Odwykliśmy. Będę musiał uwzględnić to w przyszłości w programie ćwiczeń.

– Jestem pewien, że załoga nie będzie się posiadała z radości – stwierdził z przekąsem Aves. – Nie możemy dopuścić do tego, by ktokolwiek pomyślał, że jesteśmy cieniasami…

– Ucierpiałby na tym nasz image – zgodził się z nim Karrde, wstając z fotela. – No, już pora. Dokończymy przeglądanie tych raportów później.

– O ile w ogóle coś nam z tego przyjdzie – mruknął pod nosem Aves. – Czy jesteś pewien, że ci żołnierze, których Skywalker namierzył na Bercheście, to były klony?

– Skywalker był o tym święcie przekonany – stwierdził Talon, gdy opuścili biuro i skierowali się w stronę mostka. – Nie twierdzisz chyba, że cieszący się powszechnym szacunkiem Jedi chciałby mnie okłamać…

– Okłamać? Nie. – Aves pokręcił głową. – Zastanawiam się po prostu, czy to wszystko nie zostało przypadkiem skrzętnie ukartowane. Czy Thrawn nie uknuł kolejnej intrygi, by naprowadzić nas na fałszywy trop.

– Mnie również przyszło to do głowy – przyznał Karrde. – Nawet mimo długu wdzięczności, jaki ma wobec nas gubernator Staffa, jakoś podejrzanie łatwo udało nam się dotrzeć do układu i go opuścić.

– A mimo to nawet się o tym nie zająknąłeś, gdy przydzielałeś ekipom zadania poszukiwawcze na Chazwie.

– Jestem pewien, że innym również przyszło to do głowy – zapewnił go Talon. – Podobnie jak to, że jeśli wśród nas jest imperialny agent, w naszym najlepszym interesie będzie utwierdzenie go w przekonaniu, że daliśmy się nabrać na jego podstęp. O ile to rzeczywiście podstęp.

– I o ile rzeczywiście mamy w grupie imperialnego agenta – dodał Aves.

Karrde uśmiechnął się półgębkiem.

– Gdybyśmy mieli bruallki, moglibyśmy zjeść bruallki z Menkooro…

– …gdybyśmy mieli Menkooro – dokończył stare powiedzenie Aves. – Nadal uważasz, że Ferrier pracuje dla Thrawna, co?

Talon wzruszył ramionami.

– Mam tylko jego słowo przeciwko słowu Solo, że nie wziął dobrowolnie udziału w całej tej aferze z Flotą Katańską.

– I dlatego właśnie kazałeś odprowadzić Torve'owi ten prom szturmowy do układu Roche?

– Zgadza się. – Karrde kiwnął głową, żałując przelotnie, że nie ma tu z nimi Mary. Aves był dobry w swoim fachu, jednak trzeba mu było czasem tłumaczyć jak bancie na rowie rzeczy, które Mara pojęłaby w lot. – Mam tam paru znajomych Verpinów, którzy są mi winni przysługę. Jeśli przy tym promie ktoś majstrował, to będą o tym wiedzieć.

Drzwi na mostek otworzyły się i weszli do środka.

– Jak sytuacja? – spytał Karrde, wyglądając przez iluminator na połyskliwe cętki nadprzestrzennego tunelu.

– Wszystkie systemy w gotowości – zameldował Dankin, ustępując Avesowi miejsca za sterami. – Wysłałem już Baliga, Lachtona i Corvisa do dział turbolaserowych.

– Dzięki. – Talon zajął miejsce obok Avesa na stanowisku drugiego pilota. – Bądź w pobliżu, Dankin. Chciałbym, żebyś objął dziś dowodzenie.

– Będę zaszczycony – mruknął Dankin, podchodząc do stanowiska łączności i zajmując fotel.

– Jak myślisz, o co w tym wszystkim chodzi? – spytał go Aves, przygotowując statek do opuszczenia nadprzestrzeni.

– Nie mam pojęcia – wyznał Karrde. – Par'tah wspomniała, że Mazzic powiedział tylko, że być może chciałbym zajrzeć do Bilbringi po naszym spotkaniu na Chazwie.

– Może chodzi o tę widowiskową nauczkę, którą chcieli wraz z Ellorem zaserwować Imperium i o której mówili na Troganie – podsunął ze znużeniem Aves. – Wątpię, by mi się to spodobało…

– Pamiętaj tylko, że cokolwiek się wydarzy, jesteśmy tylko postronnymi obserwatorami – przypomniał mu Talon. – Lecimy z ładunkiem konwerterów mocy Koensayra, które zgodnie z planem mamy dostarczyć do układu. Wszystko całkowicie legalne.

– Dopóki komuś nie przyjdzie do głowy bliżej się nami zainteresować – dopowiedział Aves. – W porządku. Jesteśmy… – Pchnął dźwignie hipernapędu i cętki nadprzestrzeni ustąpiły miejsca świetlnym liniom, które szybko zmieniły się w gwiezdne punkty na tle kosmosu.

A dokładniej gwiezdne punkty, na wpół ukończone statki, pojazdy serwisowe i konstrukcyjne, a także dryfujące tu i ówdzie platformy stoczniowe. Oraz widniejącą niemal tuż na wprost dziobu „Dzikiego Karrde'a" potężną stację bojową typu Golan II, najeżoną działami.

Przybyli do imperialnych stoczni na Bilbringi.

Dankin gwizdnął cicho pod nosem.

– Spójrzcie tylko na te cacka – mruknął z podziwem. – Chłopaki się nie obijają, co?

– Najwyraźniej – zgodził się z nim Karrde. – Podobnie jak nie tracą czasu w okolicach Ord Trasi czy Yagi Minor. A jeśli Thrawn

wkłada w klonowanie chociaż połowę tego wysiłku co w budowę okrętów…

– Frachtowcu, tu kontrola lotów Bilbringi – przerwał mu oficjalnie brzmiący głos dobiegający z głośnika. – Podaj swój kod identyfikacyjny, nazwę portu macierzystego i cel wizyty.

– Dankin? – mruknął pod nosem Karrde.

Dankin kiwnął głową.

– Tu frachtowiec „Hab Camber". Lecimy z Valrara – rzucił rzeczowo do mikrofonu. – Pod dowództwem kapitana Abela Quillera. Wieziemy transport konwerterów mocy do doku czterdzieści siedem…

– Przyjąłem – odpowiedział kontroler. – Czekajcie na potwierdzenie.

Aves klepnął Karrde'a w ramię i wskazał widniejącą w oddali stację bojową.

– Wysyłają stamtąd prom szturmowy – powiedział.

Zgadza się, ze stacji startował właśnie prom – kierujący się wprost na „Dzikiego Karrde'a"…

– Utrzymaj kurs – odparł cicho Talon. – Możliwe, że po prostu sprawdzają, czy się nie spłoszymy…

– Albo spodziewają się kłopotów – odmruknął Aves.

– Lub po nich sprzątają – dopowiedział Dankin. – Jeżeli Mazzic już tu był…

– „Hab Camber", zostań na miejscu – rozległ się znów głos kontrolera lotów. – Wysłaliśmy do was oddział inspekcyjny, który sprawdzi wasz list frachtowy.

Dankin aktywował mikrofon.

– A dlaczego coś miałoby być z nim nie tak? – spytał z odpowiednią mieszanką zaskoczenia i rozdrażnienia w głosie. – Słuchajcie: muszę tu szybko załatwić swoje sprawy i nie mam czasu na wasze biurokratyczne bzdury…

– Jeśli wolicie, możemy od razu rozwiązać wasz problem z brakiem czasu na trzymanie się przepisów – stwierdził znacząco kontroler lotów. – Jeśli jednak wolicie zrealizować ten kontrakt, radziłbym przygotować się na przyjęcie zespołu inspekcyjnego.

– Potwierdzam, kontrolo. Zrozumiałem – warknął Dankin. – Mam tylko nadzieję, że nie będę musiał długo czekać…

– Kontrola, bez odbioru.

Dankin zerknął na szefa.

– Co robimy?

– Przygotujemy się na przyjęcie ich ludzi – stwierdził Talon, wodząc wzrokiem po infrastrukturze stoczni. Jeśli Mazzic trzymał się wstępnego grafiku działań, który przekazał Par'tah, powinien się tu wkrótce zjawić… Zamarł nagle. – Aves, daj mi odczyty sygnałów dochodzących z okolic tamtego… czegoś – mruknął, wskazując na skupisko ciemnych, nieregularnych kształtów majaczących w pobliżu centrum stoczni. – To mi nie wygląda na statki…

– Bo to nie są statki – potwierdził Aves kilka sekund później. – Tylko… hm, coś w rodzaju średnich rozmiarów asteroid. Każda ma może jakieś czterdzieści metrów średnicy. Będzie ich wszystkiego… dwadzieścia dwie sztuki.

– Dziwne – skwitował Karrde, ze ściągniętymi brwiami przypatrując się danym z czujników na wyświetlaczu. W okolicy widział ponad trzydzieści niewielkich pojazdów wsparcia i podobną liczbę robotników w skafandrach serwisowych uwijających się wokół asteroid. – Ciekawe, na co imperialnym tyle asteroid…

– Może coś z nich wydobywają? – podsunął niepewnie Aves. – Nigdy nie słyszałem jednak, żeby ktoś ściągał do stoczni takie kawały skał.

– Ja również – potwierdził Karrde. – A może… może ma to coś wspólnego z tą magiczną suberbronią Thrawna? Tą samą, której użył na Ukio i Woostri?

– To by wyjaśniało zaostrzenie środków bezpieczeństwa – podsunął Aves. – A skoro już o tym mowa, to prom szturmowy właśnie się zbliża… Wpuścimy ich na pokład?

– Nie bardzo widzę, byśmy mieli jakieś inne wyjście, chyba że wolałbyś podkulić ogon i stąd zwiać – stwierdził Talon. – Dankin? Jak wnikliwą kontrolę zdołają przejść nasze papiery?

– Rzekłbym, że dość wnikliwą – powiedział powoli Dankin. – Zależy od tego, czy coś podejrzewają, czy też po prostu są ostrożni.

Karrde, zerknij no jakieś czterdzieści stopni na lewą burtę. Widzisz ten na wpół ukończony gwiezdny niszczyciel?

Talon obrócił się na swoim fotelu we wskazanym kierunku. Rzeczywiście, znajdował się tam gwiezdny niszczyciel, zbudowany nieco ponad w połowie. Brakowało mu tylko nadbudowy z mostkiem i kawałka przedniej linii grzbietowej.

– Tak? – mruknął. – Co z nim?

– Wygląda na to, że coś się dzieje wokół…

Przerwała mu eksplozja na prawej burcie rzeczonego niszczyciela.

Aves aż gwizdnął z podziwem pod nosem.

– No, no… – wymamrotał, gdy kolejny wybuch pochłonął kawałek dziobowej części okrętu. – Myślisz, że to Mazzic?

– Chyba nie ma co do tego żadnych wątpliwości – ocenił Talon, powiększając obraz na swoim głównym wyświetlaczu, żeby móc się lepiej przyjrzeć. Przez chwilę na tle pożerających niszczyciel płomieni dostrzegł sylwetkę kilku stateczków o rozmiarach frachtowców, przemykających błyskawicznie na obrzeża stoczni. – I na moje oko odrobinę przekombinowali… – dodał, zerkając znów na gwiezdny niszczyciel. W kierunku płonącego statku leciała już grupa jednostek ratowniczych, za którymi sunęły trzy eskadry myśliwców TIE.

Nagle, bez uprzedzenia, cała grupa myśliwców zmodyfikowała lekko swój kurs, odłączając się od statków pożarniczych i obierając ten sam wektor co frachtowce, które umknęły z miejsca zdarzenia tuż przed nimi.

– Zauważyli ich – stwierdził ponuro Talon, dokonując pobieżnej analizy. Przeciwnik przytłaczał grupę Mazzica liczebnością oraz przewyższał pod względem uzbrojenia, a ta nierównowaga sił zapewne się pogłębi, nim grupa zdoła oddalić się od stoczni na dystans pozwalający skoczyć w nadprzestrzeń. Trzy turbolasery „Dzikiego Karrde'a" mogłyby wyrównać nieco szanse statków Mazzica w tym starciu. Niestety, centrum wydarzeń było zbyt daleko, by zdołali istotnie wpłynąć na rozwój sytuacji…

– Pomożemy im? – spytał Aves.

– Ze względu na okoliczności nie powinniśmy nawet kiwnąć palcem – stwierdził Talon, wpisując w komputer nawigacyjny

komendę rozpoczęcia procedury obliczania skoku i aktywując interkom. – Pomaganie komuś w sytuacji, gdy jego plan spalił na panewce, tylko go zachęci do podejmowanie kolejnych nierozważnych działań. Sądzę jednak, że nie możemy tak siedzieć bezczynnie i tylko się przyglądać. Corvis?

– Jestem – potwierdził mężczyzna.

– Na mój znak, otworzysz ogień do tego nadlatującego promu szturmowego – zaordynował Talon. – Balig i Lachton, weźcie na cel stację bojową. Spróbujcie narobić możliwie jak najwięcej bałaganu. Aves, chciałbym, żebyś obrócił nas i naprowadził na wektor…

– Chwileczkę, Karrde – wszedł mu w słowo Dankin. – Spójrz no pięćdziesiąt stopni na lewo…

Talon posłuchał. We wskazanym przez Dankina miejscu, z tego samego kierunku, w którym uciekała właśnie ekipa sabotażowa Mazzica, wyskoczyły właśnie z nadprzestrzeni dwie koreliańskie kanonierki. Myśliwce TIE, które znalazły się w pobliżu tego punktu, zawinęły w ich stronę kursem przechwytującym… i zostały niemal natychmiast rozpylone w chmurę płonących szczątków.

– No, no – bąknął Karrde. – Być może plan Mazzica nie jest wcale tak niedopracowany, jak mogłoby się zdawać…

– To muszą być ludzie Ellora – stwierdził Aves.

– Też tak sądzę. – Talon pokiwał głową. – Koreliańskie kanonierki? To nie w stylu Mazzica, a już na pewno poza jego zasięgiem finansowym. Taka strategia zdecydowanie bardziej pasuje do legendarnej durosjańskiej brawury.

– Mogłoby się wydawać, że koreliańskie kanonierki to również zbyt kosztowna impreza dla Ellora – zwrócił mu uwagę Dankin. – Sądzisz, że mógł je ukraść Nowej Republice?

– „Ukraść” to dość… brutalne określenie – zbeształ go łagodnie Karrde. – Przypuszczam, że po prostu je nieformalnie pożyczył. Republikańskie statki często korzystają z durosjańskich stacji serwisowych na terenie Szlaku Handlowego, a Ellor ma potajemne układy z kilkoma z nich.

– Idę o zakład, że w najbliższym czasie otrzymają kilka skarg na działanie serwisu – skwitował z przekąsem Aves. – A tak przy okazji, czy polecenie ataku na ten prom nadal jest aktualne?

Karrde niemal całkiem o tym zapomniał.

– Nie, darujmy to sobie. Corvis, Balig, Lachton, dezaktywujcie turbolasery. Cała reszta, alarm odwołany. Przygotujcie się na przyjęcie imperialnej inspekcji.

Otrzymawszy potwierdzenia, odwrócił się do Avesa, który wpatrywał się w niego wyraźnie zbity z tropu.

– Nie atakujemy? – spytał ostrożnie szefa. – Nawet… po tej akcji? – Kiwnął głową w stronę walki toczącej się na ich lewej burcie.

– Nie mamy nic wspólnego z tym, co się tam dzieje – stwierdził Talon z niewinną miną. – Jesteśmy niezależnym frachtowcem przewożącym konwertery mocy. Zapomniałeś już?

– Tak, ale…

– Poza tym dobrze byłoby się przekonać, co się wydarzy po tym całym zamieszaniu – dodał, spoglądając znów na ścierające się statki. W sytuacji, w której kanonierki Ellora osłaniały bezpośredni punkt skoku, a stoczniowe okręty były zbyt daleko, by dotrzeć do nich na czas, napastnicy mieli spore szanse wyjść z potyczki bez szwanku i bezpiecznie uciec z miejsca zdarzenia. – Nasłuchuj wymiany komunikatów, obserwuj ruchy jednostek w reakcji na atak, postaraj się ocenić rozmiary szkód i tak dalej.

Aves nie wyglądał na przekonanego, jednak wiedział, że nie powinien kwestionować rozkazów.

– Skoro uważasz, że wyjdziemy z tego bez szwanku… – rzucił z powątpiewaniem. – To znaczy, jeśli wziąć pod uwagę, że jesteśmy poszukiwani i w ogóle…

– To ostatnie miejsce, w którym spodziewałby się nas imperialny dowódca – zapewnił go Karrde. – Dlatego też nikt nas nie będzie tu szukał.

– Na pewno nie na statku pod rozkazami kapitana Abela Quillera – dodał Dankin, rozpinając uprząż i wstając. – Niecierpliwy i arogancki, tak?

– Właśnie tak – potwierdził Talon. – Tylko nie przesadzaj z tą arogancją. Nie chcemy ich do siebie zrazić, tylko zasłużyć na ich pogardę.

– Łapię – potwierdził Dankin.

Opuścił mostek, a tymczasem Karrde odwrócił się, żeby spojrzeć na tlący się wrak niedokończonego gwiezdnego niszczyciela. O tak, to był spektakularny pokaz, którego Karrde zdecydowanie by odradzał, gdyby Mazzic i Ellor zapytali go o zdanie. Nie zrobili tego jednak, a mimo to udało im się i najwyraźniej miało im to ujść na sucho.

W ten sposób jednak przypieczętowali swój los jeszcze mocniej, niż uczestnicząc w wydarzeniach na Troganie. Bo wielki admirał Thrawn zdecydowanie nie puści im tego płazem. Mogli być teraz pewni, że odpowie szybko i brutalnie. A jeśli zorientuje się, że za wszystkim stał Mazzic, i doda dwa do dwóch, łącząc jego działania z grupą Karrde'a…

– Teraz nie ma już odwrotu – wymamrotał pod nosem Karrde, na wpół do siebie. – Będziemy musieli się zorganizować. Wszyscy.

– Co takiego? – spytał Aves.

Talon obejrzał się na podwładnego – spojrzał na te dobroduszne, zdumione oblicze, w oczy, które zdradzały pewną dozę sprytu, ale były pozbawione geniuszu czy intuicji.

– Mniejsza o to – mruknął, starając się ocieplić słowa wymuszonym uśmiechem.

Obrócił się ponownie do iluminatora i rosnącej za nim szybko sylwetki promu szturmowego. Poprzysięgając sobie w duchu, że gdy to wszystko się skończy, znajdzie jakiś sposób, by sprowadzić Marę z powrotem.

Gdy przez ekran przewinęły się ostatnie linijki raportu, Thrawn podniósł wzrok na mężczyznę stojącego przed nim na baczność.

– Czy ma pan coś do dodania w kwestii tego sprawozdania, generale Drost? – spytał cicho.

Zdaniem Pellaeona stanowczo zbyt cicho. Bez dwóch zdań ciszej, niż zrobiłby to Pellaeon, gdyby to on tu dowodził. Stojąc w milczeniu obok wielkiego admirała i patrząc bezradnie na poczerniały wrak majaczący za iluminatorem „Chimaery", który jeszcze niedawno był niemal ukończonym i niezwykle cennym

gwiezdnym niszczycielem, z trudem starał się zapanować nad chęcią ukręcenia Drostowi łba. Facet nie zasługiwał na nic poza tym.

I doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

– Nie, sir – bąknął generał, wyraźnie spięty.

Thrawn utrzymywał z nim jeszcze przez chwilę kontakt wzrokowy, po czym odwrócił się, by wyjrzeć przez iluminator.

– A czy byłby pan w stanie podać mi choć jeden powód, dla którego nie powinienem pana zdegradować?

Spomiędzy rozchylonych warg Drosta wyrwało się ledwie słyszalne westchnienie.

– Nie, sir – powtórzył.

Przez długą chwilę jedynym dźwiękiem słyszalnym na mostku „Chimaery" był cichy szmer sprzętu pokładowego. Pellaeon łypnął gniewnie na zmartwiałego ze strachu Drosta, zastanawiając się, jaką karę szykuje dla niego admirał. Podobne uchybienie – jeśli można było to określić tak delikatnym mianem – zasługiwało przynajmniej na sąd polowy, a także dyscyplinarne pozbawienie stanowiska ze względu na karygodne zaniedbanie obowiązków. W najgorszym zaś razie… cóż, lord Vader miał swoje sprawdzone sposoby reagowania na podobną niekompetencję.

A Rukh stał cały czas w pogotowiu tuż za fotelem dowodzenia Thrawna.

– Proszę wracać do swoich kwater, generale – polecił Drostowi Thrawn. – „Chimaera" odlatuje stąd za około trzydzieści godzin. Do tego czasu ma pan opracować i wdrożyć nowy system ochrony stoczni. Wówczas podejmę decyzję co do pańskiej przyszłości.

Drost zerknął na Pellaeona, a później spojrzał znów na Thrawna.

– Rozumiem, sir – potwierdził. – Nie zawiodę pana ponownie, admirale.

– Mam taką nadzieję – powiedział Thrawn z cichą groźbą w głosie. – Może pan odejść.

Generał kiwnął głową i odwrócił się na pięcie, a gdy skierował się do wyjścia, w jego ruchach znać było ponowną determinację.

– Widzę, że nie pochwala pan mojej decyzji, kapitanie.

Pellaeon zmusił się, by wytrzymać spojrzenie gorejących oczu.

– Można by się spodziewać, że w tej sytuacji wskazane byłyby bardziej radykalne kroki.

– Drost to na swój sposób dobry żołnierz – stwierdził spokojnie Thrawn. – Jego główną wadą jest tendencja do popadania w samozadowolenie i spoczywania na laurach. Sądzę jednak, że w najbliższej przyszłości mu to nie grozi.

Pellaeon wyjrzał znów na wrak straszący za iluminatorem „Chimaery".

– To dość… kosztowna lekcja – zauważył kwaśno.

– Owszem – potwierdził wielki admirał. – I doskonale wyjaśnia, dlaczego nie chciałem drażnić kolegów po fachu Karrde'a.

Pellaeon spojrzał na niego zbity z tropu.

– To byli przemytnicy? Sądziłem, że mieliśmy do czynienia z rebelianckim sabotażem…

– Drost jest tego samego zdania. Jednak metoda i sposób przeprowadzenia tej akcji zdecydowanie różniły się od tego, do czego zwykli się uciekać rebelianci. Jak sądzę, z dużą dozą prawdopodobieństwa możemy za ten wyczyn podziękować Mazzicowi, choć dostrzegłem też pewne elementy, które mogłyby wskazywać na udział Durosów, a dokładniej grupy Ellora.

– Rozumiem – powiedział powoli Pellaeon. – Cóż, to rzuca na całą sprawę nowe światło. Jak się domyślam, zademonstrujemy im teraz, jakim błędem było zadzieranie z Imperium?

– Niczego nie pragnąłbym bardziej – potwierdził Thrawn. – I u szczytu władzy Imperium nie wahałbym się ani przez chwilę. Niestety, w tej chwili reakcja taka zadziałałaby na naszą szkodę. Nie tylko utwierdziłaby przemytników w przekonaniu, że należy dać nam odpór. W ten sposób ryzykowalibyśmy również, że wrogo nastawimy do siebie inne szumowiny z galaktycznego półświatka.

– Z pewnością w tym momencie nie potrzebujemy ich usług i wsparcia aż tak bardzo… – zauważył Pellaeon.

– Nasze zapotrzebowanie na usługi tej hołoty rzeczywiście uległo zmniejszeniu – przyznał wielki admirał. – Co jednak nie znaczy, że nasza sytuacja jest na tyle stabilna, by całkowicie rezygnować z ich pomocy. Nie w tym jednak rzecz. Problemem jest zagrożenie płynące z faktu, że element działający na granicy prawa jest bardzo

doświadczony w prowadzeniu akcji w kręgach oficjalnych bez formalnych pozwoleń. Utrzymywanie ich z dala od miejsc takich jak Bilbringi wymagałoby znacznie więcej ludzi, niż obecnie mamy na zbyciu.

Pellaeon niemal zazgrzytał zębami.

– Zdaję sobie z tego sprawę, sir. Jednak nie możemy ot tak przejść do porządku dziennego nad atakiem na taką skalę…

– I nie zrobimy tego – obiecał cicho Thrawn, a oczy zalśniły mu złowróżbnie. – Gdy nadejdzie odpowiednia pora, zareagujemy adekwatnie ku chwale Imperium. – Obrócił się w swoim fotelu, aby spojrzeć przez iluminator na centrum stoczni. – Tymczasem…

– Wielki admirale Thrawn! – Okrzyk przetoczył się przez mostek niczym grom, odbijając się echem od ścian pomieszczenia.

Pellaeon aż podskoczył, odruchowo sięgając po blaster, którego nie miał.

W ich stronę szedł Joruus C’baoth, miotając błyskawice z oczu lśniących ponad falującą brodą. Jego wściekłość zdawała się rozpalać powietrze wokół niego. Za jego plecami dwóch strzegących wejścia na mostek szturmowców leżało rozciągniętych na podłodze – martwych lub nieprzytomnych, trudno stwierdzić.

Kapitan przełknął nerwowo ślinę, machinalnie macając w poszukiwaniu pokrzepiającego dotyku stelaża podtrzymującego życie isalamira, umieszczonego nad fotelem dowodzenia wielkiego admirała Thrawna. Z ulgą natrafił na ramę, jednak szybko został pozbawiony jej namacalnego wsparcia, gdy Thrawn obrócił się w fotelu w stronę zbliżającego się mistrza Jedi.

– Chciałeś ze mną rozmawiać, mistrzu C’baoth?

– Oni zawiedli, wielki admirale Thrawn! – zagrzmiał C’baoth. – Czy słyszysz, co mówię? Twoi komandosi zawiedli!

– Słyszę cię doskonale – potwierdził spokojnie wielki admirał. – Co zrobiłeś moim strażnikom?

– To moi ludzie! – warknął C’baoth. Jego głos znów odbił się echem od ścian mostka. Pellaeon musiał przyznać, że nawet odarta z elementu zaskoczenia sztuczka robiła wrażenie. – Moi! To ja dowodzę Imperium, wielki admirale Thrawn! Nie ty!

Thrawn odwrócił głowę w bok i podchwycił spojrzenie oficera odpowiedzialnego za obsadę lewoburtowej wnęki dla załogi.

– Proszę się skontaktować z ambulatorium – polecił mu. – Niech przyślą medyków.

Przez kilka wypełnionych niepokojem sekund Pellaeon był pewien, że C'baoth zaprotestuje albo – gorzej – rozprawi się również z oficerem. Wydawało się jednak, że jego uwagę bez reszty zajmuje Thrawn.

– Twoi komandosi zawiedli, wielki admirale – powtórzył mistrz Jedi, tym razem cicho, jednak w jego głosie pobrzmiewały nuty groźby.

– Wiem o tym – potwierdził Thrawn. – Wszystko wskazuje na to, że zginęli wszyscy z wyjątkiem dowódcy grupy.

C'baoth wyprostował się na pełną imponującą wysokość.

– W takim razie nadeszła pora, bym wziął to zadanie na siebie. Zabierzesz mnie na Coruscant. Teraz.

Thrawn pokiwał głową.

– W porządku, mistrzu C'baoth. Przyjmiemy na pokład mój ładunek specjalny i możemy ruszać.

Bez dwóch zdań nie była to odpowiedź, jakiej spodziewał się C'baoth.

– Słucham? – warknął mistrz Jedi, marszcząc czoło.

– Powiedziałem, że gdy tylko mój ładunek specjalny trafi na pokłady „Chimaery" i innych statków, wyruszymy na Coruscant – powtórzył Thrawn.

C'baoth zerknął na Pellaeona, jakby szukał u niego potwierdzenia informacji, których jakimś cudem nie był w stanie wykryć swoimi zmysłami Jedi.

– Co to znowu za sztuczka? – burknął, przenosząc wzrok z powrotem na Thrawna.

– To żadna sztuczka – zapewnił go wielki admirał. – Uznałem po prostu, że błyskawiczny atak w samo serce Rebelii będzie najlepszym sposobem na podkopanie ich morale i rozpoczęcie kolejnego etapu mojej kampanii. To właśnie będzie ten cios.

C'baoth wyjrzał przez iluminator, wodząc wzrokiem po bezkresnym obszarze zajmowanym przez stocznie Bilbringi. Omiótł

spojrzeniem poczerniały kadłub gwiezdnego niszczyciela i asteroidy zgromadzone w centralnej części ośrodka…

– Czy to właśnie je masz na myśli? – spytał, dźgając w ich stronę palcem. – Czy to jest ten twój ładunek specjalny?

– Jesteś mistrzem Jedi – odparł Thrawn. – Ty mi to powiedz.

Starzec łypnął na niego gniewnie i Pellaeon wstrzymał oddech. Kapitan wiedział, że wielki admirał droczy się z mistrzem Jedi, a gdyby ktoś spytał go o zdanie, była to raczej niebezpieczna zabawa. Jedynych ludzi, którzy wiedzieli, co właściwie zamierza zrobić wielki admirał z tymi asteroidami, strzegło w tej chwili odporne na Moc pole wytwarzane przez isalamiry.

– W porządku, wielki admirale Thrawn – stwierdził C'baoth. – Zrobię to.

Wziął głęboki oddech i przymknął oczy, a rysy jego twarzy wyostrzyły się – była to oznaka wysiłku umysłowego, której Pellaeon nie widział u niego od długiego czasu. Kapitan przyglądał się podejrzliwie, zastanawiając się, co takiego starzec zamierza… i nagle do niego dotarło. Tam na zewnątrz, wokół asteroid uwijały się setki oficerów i techników pracujących przy projekcie. Każdy z nich miał własne podejrzenia co do tego, czego dotyczyła ta operacja. C'baoth sięgał do ich umysłów, próbując wyłowić te spekulacje z ich myśli, tak aby elementy układanki utworzyły spójny obraz…

– Nie! – warknął nagle, wbijając nachmurzone spojrzenie w Thrawna. – Nie możesz zniszczyć Coruscant. Nie, dopóki nie dostanę moich Jedi…

Wielki admirał pokręcił głową.

– Nie mam zamiaru niszczyć Coruscant…

– Łżesz! – wszedł mu w słowo starzec, celując w niego oskarżycielsko palcem. – Zawsze mnie okłamujesz! Ale dość już tego. O tak, to już koniec. To ja dowodzę Imperium i jego siłami… – Wzniósł nad głowę ręce, które otoczyła upiorna, białoniebieska poświata.

Pellaeon skrzywił się mimowolnie, przypominając sobie błyskawice Mocy, którymi C'baoth poraził ich w krypcie na Waylandzie… Jednak wyładowania się nie pojawiły. C'baoth stał

z rozcapierzonymi nad głową palcami, wpatrzony niewidzącym wzrokiem w przestrzeń. Pellaeon spojrzał na niego, marszcząc brwi. Rozważał zapytanie C'baotha, co ma na myśli, gdy jego wzrok padł na obsadę mostka na lewej burcie.

Członkowie załogi siedzieli sztywno na swoich krzesłach, wyprostowani, jakby każdy z nich połknął kij, z dłońmi złożonymi równo na podołkach, wpatrzeni tępym wzrokiem w swoje konsole. Stojący nad nimi oficerowie byli równie nieruchomi, zesztywniali i niepomni tego, co się dzieje dookoła. Gdy kapitan zerknął w stronę prawej burty, zobaczył ten sam widok. Podobnie rzecz się miała z załogą na tyłach mostka. Pellaeon widział też, że na ekranach, po których powinny się przewijać liczne raporty nadchodzące z innych sekcji okrętu, widniały zamiast tego zakłócenia.

Nadeszła chwila, której Pellaeon obawiał się od czasu tamtej pierwszej wizyty na Waylandzie: C'baoth przejął kontrolę nad „Chimaerą"…

– Imponujące – przerwał martwą ciszę Thrawn. – Zaprawdę imponujące. I co teraz proponujesz?

– Czy naprawdę muszę powtarzać? – mruknął C'baoth drżącym lekko z wysiłku głosem. – Zamierzam zabrać ten okręt na Coruscant. Aby zdobyć moich Jedi, nie ich zniszczyć.

– Podróż stąd na Coruscant potrwa co najmniej pięć dni – stwierdził spokojnie Thrawn. – Pięć dni, podczas których będziesz musiał utrzymać kontrolę nad trzydziestoma siedmioma tysiącami członków załogi. Oczywiście okres ten wydłuży się, jeśli chcesz, by walczyli, gdy dotrzesz na miejsce. A jeśli zamierzasz zabrać ze sobą jednostki wsparcia, liczba osób, nad którymi będziesz musiał zapanować, również znacznie wzrośnie.

– Wątpisz w potęgę Mocy, wielki admirale? – C'baoth prychnął z pogardą.

– Ależ skąd – zapewnił go Thrawn. – Chcę ci po prostu uzmysłowić problemy, z którymi ty i Moc będziecie musieli się zmierzyć, jeśli zapragniesz zrealizować ten plan. Dajmy na to: czy wiesz, w którym miejscu przebywa obecnie flota broniąca sektora Coruscant? Czy znasz liczbę i rodzaj statków wchodzących w jej skład? Czy pomyślałeś o tym, w jaki sposób unieszkodliwić

miejscowe orbitalne stacje bojowe oraz naziemne systemy obrony? Czy wiesz, kto dowodzi obecnie siłami obronnymi planety i w jaki sposób je rozdysponuje w razie ataku? Wziąłeś pod uwagę fakt istnienia pól energetycznych osłaniających świat? Wiesz, w jaki sposób najlepiej wykorzystać strategiczne i taktyczne możliwości gwiezdnego niszczyciela?

– Próbujesz zbić mnie z pantałyku! – oskarżył go C'baoth. – Twoi… moi ludzie – poprawił się szybko – znają odpowiedzi na wszystkie te pytania.

– Na niektóre z nich… owszem – potwierdził Thrawn. – Nie będziesz jednak w stanie poznać wszystkich odpowiedzi. A już na pewno nie dość szybko.

– Władam Mocą! – warknął gniewnie C'baoth, jednak w uszach Pellaeona uwaga ta zabrzmiała dziwnie pretensjonalnie. Jakby słuchał rozkapryszonego dziecka, które tak naprawdę nie spodziewa się, że coś wskóra swoimi fanaberiami.

– Nie – powiedział Thrawn dziwnie ugodowym tonem. Być może on również dostrzegł zmianę w nastawieniu C'baotha. – Galaktyka nie jest jeszcze gotowa na twoje przywództwo, mistrzu. Może nieco później, gdy przywrócimy już ład, przekażę ją do twojej dyspozycji, abyś mógł nią władać według uznania. Jednak ten czas jeszcze nie nadszedł.

Przez długą chwilę C'baoth trwał w bezruchu, poruszając bezgłośnie ustami, na wpół skrytymi w gęstej brodzie. Aż wreszcie, niemal niechętnie, opuścił dłonie – a gdy to zrobił, przestrzeń na mostku wypełniły szmery stłumionych westchnień, jęków i stukotu butów o metalowe poszycie, kiedy członkowie załogi zostali uwolnieni z niewidzialnego jarzma mistrza Jedi.

– Nigdy nie przekażesz mi władzy nad Imperium – stwierdził dziwnie gorzkim tonem C'baoth. – Nie z własnej woli…

– To może w dużej mierze zależeć od twojej zdolności do utrzymania tego, co właśnie z takim trudem staram się stworzyć – zauważył Thrawn.

– I co nie powstałoby bez twojego udziału?

– Jesteś mistrzem Jedi – powtórzył Thrawn, podnosząc brew. – Czy gdy wejrzysz w przyszłość, dostrzeżesz powstanie nowego

Imperium beze mnie?

– Widzę wiele możliwych scenariuszy – odburknął C'baoth. – I nie we wszystkich jesteś obecny do samego końca…

– Cóż, to niepewny los, z którym muszą się mierzyć wszyscy wojownicy – stwierdził spokojnie Thrawn. – Nie o to jednak pytałem.

C'baoth uśmiechnął się pod nosem.

– Niech ci się nie wydaje, że jesteś niezastąpiony w moim Imperium, wielki admirale. Bo tylko ja mogę się szczycić tym przywilejem. – Omiótł leniwym wzrokiem mostek, po czym wyprostował się i wyprężył pierś. – Jednak póki co jestem skłonny przyzwolić, byś poprowadził moje siły do walki. – Spojrzał na Thrawna ostro. – Możesz to zrobić… o ile nie zniszczysz przy tym Coruscant. Nie, dopóki nie dostanę moich Jedi…

– Jak już wspomniałem, nie mam zamiaru niszczyć Coruscant – przypomniał mu chłodno Thrawn. – W tej chwili moim celom zdecydowanie lepiej przysłuży się wzbudzenie strachu i podkopanie morale wroga.

– Naszym celom – poprawił go z naciskiem C'baoth. – Nie zapominaj o tym, wielki admirale.

– Ja nigdy o niczym nie zapominam, mistrzu C'baoth – zapewnił go cicho Thrawn.

– To dobrze – odparł równie cicho mistrz Jedi. – W takim razie możecie wrócić do wypełniania swoich obowiązków. Gdybyś mnie potrzebował, będę medytował. O przyszłości mojego Imperium… – Z tymi słowy odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę wyjścia.

Pellaeon odetchnął głęboko. Dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, że wstrzymuje oddech.

– Admirale…

– Proszę dać sygnał „Relentless", kapitanie – wszedł mu w słowo Thrawn, obracając się znów w swoim fotelu. – I poinformować kapitana Dorję, że będę potrzebował przez sześć najbliższych godzin pięciuset dodatkowych ludzi.

Pellaeon zerknął w stronę lewoburtowej wnęki dla załogi. Tu i ówdzie członkowie obsługi siedzieli karnie przy swoich stanowiskach, nadzorowani przez mniej lub bardziej przytomnych

oficerów, ale duża część personelu zwieszała się bezładnie nad konsolami, a czuwający nad ich pracą załoganci wspierali się z trudem o ściany i pulpity albo nawet leżeli wstrząsani drgawkami na pokładzie.

– Tak jest, sir – bąknął, wracając do swojego stanowiska i zabierając się do wypełniania rozkazów. – Czy przekładamy operację na Coruscant?

– Jedynie na tak długo, jak będzie to naprawdę konieczne – poinformował go Thrawn. – Bieg historii nie zwalnia, kapitanie. Ci, którzy nie zdołają dotrzymać jej tempa, zostaną w tyle, zmuszeni oglądać z daleka rozwój wypadków. – Obejrzał się na drzwi, za którymi zniknął C'baoth. – A ci, którzy staną nam na drodze… – dodał cicho – nie będą ich świadkami wcale.

Rozdział 13

Zjawili się na Coruscant w samym środku nocy: było ich dziesięciu, przebranych za Jawów. Wślizgnęli się tajnym wejściem, które pałacowe służby bezpieczeństwa pieczołowicie opatrzyły blokadami, a które Luke teraz równie starannie odblokował. Dotarcie do wieży niepostrzeżenie nie stanowiło problemu – jak dotąd nikt nie miał czasu zająć się labiryntem tajemnych przejść Imperatora.

Gdy przemknęli po cichu do apartamentu w ślad za Lukiem, Hanowi przyszło pierwszy raz stanąć twarzą w twarz z ochroniarzami, których opiece Leia postanowiła powierzyć życie swoje i swoich dzieci na wypadek ataku Imperium: grupie Noghrich.

– Bądź pozdrowiona, lady Vader – odezwał się pierwszy z szaroskórych obcych chrapliwym głosem, padając plackiem na podłogę i rozkładając ręce na boki. Reszta poszła w jego ślady, co przynajmniej w teorii powinno być trudne do zrealizowania w wąskim przejściu wiodącym do kwater, jednak w wykonaniu tych istot poszło zaskakująco sprawnie. Najprawdopodobniej miało to coś wspólnego z ich imponującą zwinnością. – Jestem Cakhmaim, wojownik z klanu Eikh'mir – przedstawił się Noghri, mamrocąc w podłogę. – Powierzono mi zaszczyt dowodzenia strażą honorową Mal'ary'ush. Od tej chwili poświęcamy całe swoje życie służeniu ci i strzeżeniu ciebie i twojej rodziny.

– Możecie powstać – powiedziała uroczystym, poważnym głosem Leia. Kiedy Han zerknął na nią ukradkiem, przekonał się, że jej wyraz twarzy był równie skupiony i podniosły. Emanowała cała tą trudną do pomylenia z czymkolwiek innym aurą władczości, która automatycznie wywoływała u niego chęć sprzeciwu. Musiał jednak przyznać, że pasuje jej to dostojeństwo. – Jako Mal'ary'ush przyjmuję waszą służbę.

Noghri wstali równie bezszelestnie, jak padli na podłogę.

– Oto mój adiutant, Mobvekhar z klanu Hakh'khar. – Cakhmaim wskazał na towarzysza po swojej prawej stronie. – Będzie dowodził

drugim oddziałem.

– Poznajcie mojego męża, Hana Solo – odpowiedziała Leia, wskazując na Hana.

Gdy Cakhmaim odwrócił się w jego stronę, Solo z trudem odsunął dłoń z dala od blastera.

– Witamy cię – zamiauczał z powagą obcy. – To dla nas zaszczyt móc poznać oblubieńca lady Vader.

„Oblubieńca”? Han posłał żonie skonsternowane spojrzenie. Zachowała kamienne oblicze, jednak dostrzegł, że kąciki jej ust drgnęły w wyrazie lekkiego rozbawienia.

– Hm, tak, dzięki – mruknął. – Mnie również miło was poznać.

– Witaj i ty, Khabarakhu – dodała Leia, wyciągając dłoń do innego z Noghrich. – Miło znów cię widzieć. Mam nadzieję, że maitrakh twojej rodziny dobrze się miewa.

– Owszem, o pani – potwierdziła szaroskóra istota, występując z grupy, by ująć jej dłoń. – Przesyła ci pozdrowienia i pragnie zapewnić o swoim oddaniu.

Leia skinęła głową.

Drzwi za plecami Noghrich otworzyły się i do środka wślizgnął się Chewbacca.

– Czy wszystko w porządku? – spytał Han z niepokojem, ale i ulgą, że wydarzyło się coś, co przerwało tę monotonną ceremonię.

Chewbacca warknął potwierdzająco, czujnie lustrując wzrokiem grupkę obcych. Gdy jego wzrok padł na Khabarakha, podszedł do niego, wymrukując słowa powitania. Khabarakh odwzajemnił pozdrowienie.

– Kto jeszcze znajdzie się pod naszą pieczą, lady Vader? – spytał Cakhmaim.

– Moja asystentka Winter i moje bliźnięta – wyjaśniła Leia. – Chodźcie, przedstawię was. – Ruszyła w stronę sypialni, eskortowana przez Cakhmaima i Mobvekhara.

Reszta obcych zaczęła rozchodzić się po apartamencie, omiatając uważnym spojrzeniem ściany i drzwi. Chewbacca i Khabarakh skierowali kroki do pokoju Winter, rozprawiając o czymś cicho.

– Nadal nie budzą twojego zaufania? – zagadnął Hana stojący u jego boku Luke.

– Nie bardzo – przyznał się Solo, odprowadzając wzrokiem Chewbaccę i Khabarakha. – Ale chyba nie mam za bardzo wyboru.

Bardziej wyczuł, niż zobaczył, że Luke wzrusza ramionami.

– Moglibyście zostać tu z Chewiem – podsunął. – Lando, Mara i ja możemy lecieć na Wayland sami…

– Albo moglibyście zabrać ich ze sobą – burknął Solo. – Wówczas przynajmniej nie musielibyśmy się martwić, że ktoś ich tu zobaczy.

– Nikt nas nie zobaczy – dobiegł go zgrzytliwy głos z okolic jego łokcia.

Han niemal podskoczył, opuszczając dłoń do blastera. Obok niego stał jeden z Noghrich, chociaż Solo był gotów przysiąc, że jeszcze przed chwilą nie widział żadnego z nich w pobliżu.

– Czy zawsze podkradacie się w ten sposób do ludzi? – spytał oskarżycielsko.

Obcy skłonił szarą głowę.

– Wybacz, oblubieńcu lady Vader. Nie chciałem cię urazić.

– Są świetnymi łowcami – wtrącił Luke.

– Taaa, jasne, słyszałem – mruknął Solo, odwracając się z powrotem do szwagra. Owszem, podobne umiejętności były imponujące, jednak to nie o zdolność obcych do ochrony jego żony i bliźniąt Han martwił się najbardziej… – Słuchaj, Luke…

– Oni są w porządku, Han – zapewnił go cicho Jedi. – Naprawdę. Leia powierzyła im już swoje życie więcej niż raz.

– Taaa – mruknął ponownie Solo, próbując usunąć z umysłu sugestywną wizję Lei i bliźniąt schwytanych przez Imperium. – Czy na lądowisku wszystko w porządku?

– Żadnych problemów – zapewnił go Skywalker. – Wedge i kilku jego kumpli z Eskadry Łotrów zapewnili nam eskortę, a Chewie zadbał o ukrycie statku. Nikt nie widział, jak wchodziliśmy do pałacu.

– Mam nadzieję, że dobrze zamknęliście za sobą drzwi – skwitował ponuro Han. – Gdyby do pałacu dostał się kolejny imperialny oddział, Leia miałaby pełne ręce roboty…

– Są zamknięte, ale nie zablokowane. – Luke pokręcił głową. – Cakhmaim zaplombuje je za nami.

Han zmarszczył czoło, ogarnięty złym przeczuciem.

– Sugerujesz, że powinniśmy już lecieć?

– A czy jest sens czekać? – odpowiedział pytaniem Luke. – Noghri już tu są, a „Sokół” jest gotów do drogi. Poza tym do rana na pewno nikt nie zorientuje się, że Mara zniknęła.

Han zerknął ponad ramieniem Luke’a na drzwi do sypialni, z której właśnie wychodziła jego żona w eskorcie Noghrich. Cóż, musiał przyznać, że brzmiało to rozsądnie. Mimo to jakoś odruchowo założył, że on i Leia będą mogli spędzić razem jeszcze nieco czasu, nim przyjdzie się pożegnać…

Z drugiej strony oznaczało to, że Imperium będzie miało więcej czasu na wyprodukowanie kolejnych zastępów klonów…

Skrzywił się.

– W porządku – westchnął. – Jasne. Dlaczego nie…?

– Wiem – zapewnił go współczująco Luke, jakby czytał mu w myślach. – I… przykro mi.

– Och, daj spokój. Jak chcesz to zrobić?

– Lando i ja pójdziemy po Marę – wyjaśnił Skywalker, przechodząc do rzeczy. Najwyraźniej spostrzegł, że przyjaciel nie ma ochoty wypłakiwać mu się na ramieniu. – Ty i Chewie weźmiecie „Sokoła” i zgarniecie nas po drodze. Nie zapomnij o droidach.

– Jasne – mruknął Solo, wykrzywiając usta. Czuł się wystarczająco podle, że jest zmuszony zostawić Leię i dzieci, aby wyruszyć na podbój kolejnej imperialnej twierdzy, i nie miał najmniejszej ochoty znosić przy tym nieustannego paplania przemądrzałego C-3PO. Humor z każdą chwilą mu się pogarszał. – Czy Chewie dostarczył ci ogranicznik?

– Tak. – Luke poklepał kieszeń kurtki. – I wiem, gdzie go zamontować, nie martw się.

– Tylko ostrożnie – ostrzegł go Han. – Jeśli źle go zamocujesz, ten blaszak podniesie alarm i będziesz musiał urwać mu ten metalowy czerep, żeby nie postawił wszystkich na nogi.

– Jasne, rozumiem. – Skywalker pokiwał głową. – Podejmiemy was z miejsca, w którym ukryliśmy statek Noghrich. Chewie będzie wiedział gdzie. – Z tymi słowy odwrócił się na pięcie i skierował w stronę drzwi.

– Powodzenia – rzucił w ślad za nim Han. Zaczął się odwracać… – A ty co tu robisz? – warknął na widok kolejnego obcego kręcącego się w pobliżu.

Noghri skłonił głowę.

– Nie chciałem cię urazić, oblubieńcu lady Vader – zapewnił go pospiesznie, po czym obrócił się i podjął kontemplowanie ściany.

Solo znów się skrzywił i rozejrzał w poszukiwaniu Lei. Za chwilę odlecą, jednak nie zamierzał się stąd ruszyć, nie pożegnawszy się uprzednio z własną żoną. Na osobności.

Imperator podniósł dłonie, posyłając ku swoim wrogom kaskady białoniebieskich wyładowań elektrycznych. Pod ich wpływem obaj napastnicy zachwiali się i Mara z pełną udręki nadzieją obserwowała ten ponury spektakl, licząc na to, że tym razem wszystko skończy się inaczej… Na próżno. Vader i Skywalker wyprostowali się, z gardeł obu wyrwał się kolejny gniewny ryk, później zaś podnieśli wysoko miecze i…

Mara ocknęła się gwałtownie ze snu, odruchowo sięgając pod łóżko po blaster – którego tam nie było. Dobiegający z zewnątrz skrzek, który ją obudził, brzmiał całkiem jak sygnał alarmowy droida typu G-2RD pełniącego wartę pod jej drzwiami – sygnał, który nie zdołał do końca wybrzmieć, urwany w połowie…

Drzwi po przeciwnej stronie pokoju otworzyły się z cichym szczękiem. Dłoń Mary natrafiła na datapad, z którego korzystała, nim udała się na spoczynek. Gdy drzwi otworzyły się na oścież, z całej siły cisnęła urządzenie w stronę ciemnej sylwetki, która stanęła w przejściu.

Prowizoryczny pocisk nie dotarł jednak nawet do celu – postać po prostu wyciągnęła rękę i przedmiot zatrzymał się w powietrzu, w pół drogi do niej.

– Spokojnie, Maro – mruknęła postać, postępując ku niej o krok. – To ja, Luke Skywalker.

Zmarszczyła w mroku czoło, sięgając do intruza umysłem. Zgadza się, to był Skywalker.

– Czego chcesz? – warknęła.

– Zabieramy cię stąd – wyjaśnił Luke, podchodząc do biurka i włączając przytłumione światło. – Chodź. Powinnaś się ubrać.

– Co ty nie powiesz – odburknęła, mrużąc przez chwilę oczy, nim przyzwyczaiły się do światła. – A czy raczysz mi wyjaśnić, dokąd się wybieramy?

Skywalker przelotnie ściągnął brwi.

– Lecimy na Wayland – odparł. – Podobno powiedziałaś Lei, że udałoby ci się go znaleźć.

Wpatrywała się w niego przez chwilę z zaskoczeniem.

– Jasne, tak właśnie jej powiedziałam. Nie przypominam sobie jednak, żebym poinformowała ją, że kogokolwiek tam ze sobą zabiorę.

– Musisz to zrobić, Maro – oświadczył Skywalker z denerwującą nutą rozbrajającej szczerości i idealistycznego przekonania. Tego samego tonu użył, by odwieść ją od zabicia tamtego pomyleńca Joruusa C'baotha na Jomarku. – Galaktyce grożą nowe wojny klonów. Nie możemy dopuścić do ich wybuchu.

– No to sobie nie dopuszczajcie – fuknęła. – To nie jest moja wojna, Skywalker. – Jednak nim jeszcze skończyła mówić, wiedziała, że te słowa to tylko odruch, reakcja obronna. W chwili, gdy poinformowała Organę Solo o skarbcu Imperatora, klamka zapadła: opowiedziała się w tej wojnie po jednej ze stron, a to oznaczało konieczność robienia tego, o co zostanie poproszona. Nawet jeśli miała zaprowadzić ich na Wayland.

A wyszkolony we władaniu Mocą Skywalker z pewnością doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Na szczęście miał dość przyzwoitości i oleju w głowie, by oszczędzić jej przypominania o tym.

– Dobra – mruknęła, zsuwając nogi z łóżka. – Zaczekaj na zewnątrz. Zaraz będę gotowa.

Ubierając się, wybadała okolicę zmysłami – na tyle, na ile pozwoliły jej szczątkowe umiejętności władania Mocą – więc nie była zbyt zaskoczona, gdy po wyjściu na korytarz pod swoimi drzwiami zastała czekającego tam wraz ze Skywalkerem Landa Calrissiana. Zaskoczył ją za to widok droida G-2RD. Sądząc po sposobie, w jaki nagle uciszono jego elektroniczny skrzek,

spodziewała się zastać na podłodze raczej stertę szczątków – zamiast tego droid strażniczy stał nietknięty na swoim posterunku, wstrząsany jedynie drgawkami stanowiącymi objaw mechanicznego odpowiednika wściekłości czy może frustracji.

– Założyliśmy mu ogranicznik – wyjaśnił Skywalker na widok jej zdziwionej miny.

Gdy przyjrzała się uważniej, dojrzała przyczepione do boku robota płaskie urządzenie.

– Nie sądziłam, że da się założyć ogranicznik droidowi strażniczemu…

– To nie takie proste, ale Han i Chewie mają swoje sposoby – poinformował ją Luke, gdy we trójkę ruszyli korytarzem w stronę turbowind. – Uznali, że dzięki temu twoja ucieczka pozostanie dłużej niezauważona.

Ucieczka… Mara zerknęła spod oka na odwróconego do niej bokiem Skywalkera. To jedno słowo sprawiło, że nagle spojrzała na wszystko z zupełnie innej perspektywy. Oto on, Luke Skywalker, rycerz Jedi, bohater Rebelii, stróż prawa i porządku… właśnie sprzeciwia się całemu ustrojowi Nowej Republiki, łącznie z Mon Mothmą i że wszystkimi strukturami rządowymi, aby uwolnić ją z więzienia. Ją, Marę Jade, przemytniczkę, której nic nie był winien, a która poprzysięgła mu śmierć.

Tylko dlatego, że wiedział, co należy zrobić. I wierzył, że ona mu w tym pomoże.

– Niezła sztuczka – oceniła, zerkając w głąb korytarza, który właśnie mijali, wyczulona na wszelkie ślady obecności strażników. – Będę musiała poprosić Solo, żeby mnie tego nauczył.

Calrissian zatrzymał śmigacz w pobliżu czegoś, co wyglądało na dawne prywatne lądowisko. „Sokół Millennium” już na nich czekał, z wyraźnie podenerwowanym i zniecierpliwionym Chewbaccą kręcącym się w pobliżu opuszczonego trapu.

– Rychło w czas – mruknął Solo, gdy Mara weszła za Skywalkerem do kokpitu. Nie zdążyła nawet dobrze rozejrzeć się po sterowni, gdy już poderwał statek z platformy. Najwyraźniej był

równie zdenerwowany jak Wookiee. – No dobrze, Maro. Dokąd lecimy?

– Ustaw kurs na Obroa-skai – poleciła mu. – To był nasz ostatni przystanek przed dotarciem na Wayland podczas tamtej podróży. Nim tam dolecimy, powinnam dać radę ustalić resztę trasy.

– Miejmy nadzieję – mruknął, zaczynając wklepywać dane w komputer nawigacyjny. – Lepiej się przypnij – skoczymy w nadprzestrzeń, gdy tylko będziemy mogli.

Wślizgnęła się na fotel pasażera za jego plecami, Skywalker zajął miejsce obok.

– Jak wygląda nasz oddział szturmowy? Ilu mamy ze sobą ludzi? – spytała, zapinając uprząż bezpieczeństwa.

– Właśnie na niego patrzysz – mruknął pod nosem Solo. – Ty, ja, Luke, Lando i Chewie.

– Rozumiem… – Przełknęła głośno ślinę. Ich piątka przeciwko zapewne całym zastępom żołnierzy oddelegowanych przez Thrawna do chronienia bazy wojskowej o kluczowym znaczeniu… Cudownie. – Jesteś pewien, że z taką przewagą z naszej strony to będzie honorowe? – parsknęła z przekąsem.

– Na Yavinie było nas niewiele więcej – zauważył Solo. – I na Endorze też.

Wbiła nienawistne spojrzenie w tył jego głowy, chcąc się poddać gniewowi i złości… jednak zamiast tego poczuła tylko odległy i dziwnie nikły ból.

– Twoja pewność siebie jest bardzo pokrzepiająca – stwierdziła znów kpiąco.

Wzruszył tylko ramionami.

– Dzięki nieprzewidywalności można czasem zyskać sporo przewagi – rzucił lekko – Przypomnij mi kiedyś, żebym opowiedział ci, jak uciekliśmy z Hoth.

Drzwi za ich plecami odsunęły się i do środka wpadł Chewbacca.

– Czy wszystko w porządku? – spytał go Solo.

Wookiee zaryczał coś, co było zapewne potwierdzeniem.

– Świetnie. Sprawdź jeszcze w takim razie szybko te tłumiki przepływowe. Jakiś czas temu trochę iskrzyły.

Kolejny ryk i Wookiee zabrał się do pracy.

– Aha, Luke, na wypadek gdybym zapomniał: odpowiadasz za oba droidy. Nie chcę widzieć, że Threepio przy czymś majdruje, chyba że w pobliżu będą Chewie albo Lando. Czy to jasne?

– Tak jest – potwierdził Skywalker. Widząc zdziwione spojrzenie Mary, uśmiechnął się do niej. – Threepio czasem się nudzi – wyjaśnił. – Ma wtedy ciągoty do majstrowania przy statku.

– I przeważnie nie kończy się to zbyt dobrze – dodał kwaśno Solo. – W porządku, Chewie. Przygotuj się… Teraz! – Pociągnął do siebie dźwignie hipernapędu.

Gwiazdy za iluminatorem rozmyły się w lśniące smugi. Skoczyli. Nie było już odwrotu. Ich piątka ruszała z misją opanowania imperialnej twierdzy.

Mara obejrzała się na Skywalkera, myśląc o tym, jaką ironią losu było to, że jedyną osobą wśród nich, która naprawdę jej ufała, był człowiek, którego musiała zabić.

– To pierwsza misja pod twoim dowodzeniem, odkąd zrzekłeś się stopnia wojskowego – przerwał ciszę Skywalker.

– Taaa – mruknął z wyraźnym napięciem Solo. – Miejmy nadzieję, że nie ostatnia.

– Kapitanie? Zjawiła się grupa szturmowa „Bellicose” – zameldował oficer łączności, oglądając się na kładkę nad wnęką dla obsady mostka „Chimaery”. – Kapitan Aban zgłasza, że wszystkie statki są w gotowości bojowej i prosi o ostatnie rozkazy.

– Proszę mu je przekazać, poruczniku – polecił Pellaeon, wyglądając przez iluminator na nowe skupisko świateł, które pojawiły się w oddali po ich prawej burcie, i próbując jednocześnie stłumić narastające uczucie niepokoju, które stopniowo paraliżowało jego członki niczym opary trującego dymu. Było godne pochwały, że Thrawn zgromadził najwytrawniejszych imperialnych dowódców, planując błyskawiczny atak na Coruscant. Było też całkiem możliwe, że na ataku się nie skończy. Na pokładzie był bowiem C’baoth, a ostatnio jedyną rzeczą, która zdawała się zaprzątać uwagę starca, było pochwycenie Lei Organy Solo i jej bliźniąt. Potwierdził już bezdyskusyjnie swoją zdolność do przejęcia

kontroli nad „Chimaerą” i jej załogą w aroganckiej i zupełnie niepotrzebnej demonstracji, która opóźniła rozpoczęcie całej operacji o kilka godzin. Jeśli przyjdzie mu do głowy powtórzyć to w samym środku bitwy w pobliżu Coruscant…

Pellaeon skrzywił się, gdy przed oczami stanęły mu sceny z gorzkiej porażki Imperium na Endorze. Utracili tam drugą Gwiazdę Śmierci, jak również superniszczyciel Vadera „Excecutor”, nie mówiąc już o stanowczo zbyt wielu oficerach należących do imperialnej elity. Gdyby z powodu interwencji C’baotha tamta klęska się powtórzyła… gdyby Imperium utraciło zarówno wielkiego admirała Thrawna, jak i flotę gwiezdnych niszczycieli… Całkiem możliwe, że nie zdołałoby się już podźwignąć po takim ciosie.

Wciąż przyglądał się przez iluminator gromadzącym się w okolicy siłom szturmowym i próbując jednocześnie stłumić targające nim obawy, gdy przez mostek za jego plecami przeszła fala zaniepokojonych szmerów. Nie musiał się odwracać, by wiedzieć, co to oznacza: przybył C’baoth.

Od fotela dowodzenia i ochronnej bańki tworzonej przez isalamira siedzącego na stelażu dzieliło go kilkanaście długich kroków – stanowczo zbyt duży dystans, by pokonując go szybko, nie zdradził się ze swoją nerwowością. W zasięgu nie było również żadnego ze stworzeń umieszczonych wokół mostka. Nie zamierzał jednak ganiać na oczach całej załogi niczym zaszczuta zwierzyna, nawet gdyby C’baoth mu na to pozwolił – coś takiego nie przystoi wszak kapitanowi.

A gdyby mistrz Jedi postanowił go unieruchomić, tak jak zrobił to z obsadą „Chimaery” nad Bilbringi…

Przeszedł go zimny dreszcz. Widział raporty na temat stanu zdrowia tych, którzy dochodzili do siebie w pokładowym ambulatorium, i nie miał ochoty skończyć jak oni. Nawet jeśli pominąć dyskomfort i rozchwianie emocjonalne, które stanowiły pokłosie lekkomyślnych działań C’baotha, podobne upokorzenie z pewnością nie wpłynęłoby dobrze na jego autorytet wśród załogi.

W tej chwili mógł mieć tylko nadzieję, że zdoła spełnić zachcianki starca – czegokolwiek od niego zażąda – nie sprawiając przy tym wrażenia słabego i uległego. Odwracając się w stronę zbliżającego

się mistrza Jedi, kapitan Pellaeon zastanawiał się, czy podobne zagrania z wykorzystaniem strachu i poniżenia wykorzystywał również Imperator, gdy dochodził do władzy…

– Mistrzu C'baoth. – Skinął z powagą głową na powitanie. – Czym mogę służyć?

– Chcę, by natychmiast przygotowano dla mnie statek – oznajmił C'baoth. Jego oczy płonęły dziwnym blaskiem. – Zdolny zabrać mnie szybko na Wayland.

Pellaeon zamrugał zaskoczony.

– Na… Wayland?

– Tak – potwierdził Jedi, wyglądając przez iluminator. – Już dawno wspominałem, że w końcu chciałbym tam wrócić. Ten czas właśnie nadszedł.

Pellaeon uzbroił się w cierpliwość.

– Odniosłem wrażenie, że zgodził się pan wesprzeć nas podczas ataku na Coruscant…

– Zmieniłem zdanie – oświadczył ze zniecierpliwieniem C'baoth.

Ze zniecierpliwieniem… ale i pewną dozą roztargnienia.

– Czy na Waylandzie coś się wydarzyło? – spytał ostrożnie Pellaeon.

Gdy C'baoth na niego spojrzał, sprawiał wrażenie, jakby pierwszy raz zauważył jego obecność.

– To, co wydarzyło się na Waylandzie, lub co się tam nie wydarzyło, to nie pański interes, kapitanie Pellaeon – stwierdził. – Jedyną rzeczą, która winna pana w tej chwili interesować, jest przygotowanie dla mnie statku. – Wyjrzał znów przez iluminator. – Czy może mam go sobie wybrać sam?

Kątem oka Pellaeon zauważył na tyłach mostka jakiś ruch: to wielki admirał Thrawn zjawił się, aby nadzorować osobiście ostatnie przygotowania do ataku na Coruscant. Kapitan widział, jak lśniące, czerwone oczy Thrawna lustrują sytuację. Wielki admirał zauważył obecność C'baotha, po czym jego wzrok spoczął przelotnie na Pellaeonie. Następnie obrócił głowę i skinął nieznacznie szturmowcowi ze stelażem i isalamirem na plecach, a żołnierz posłusznie zbliżył się, by stanąć u jego boku. Wówczas ramię

w ramię ruszyli w stronę starca, który nie pofatygował się nawet, by odwrócić się w ich stronę.

– Przygotuje pan dla mnie statek, wielki admirale Thrawn – zawołał mistrz Jedi. – Chciałbym polecieć na Wayland. Niezwłocznie.

– Oczywiście – potwierdził Thrawn, zatrzymując się obok Pellaeona. Szturmowiec stanął między nimi i kapitan z ulgą powitał obecność odpornej na działanie Mocy bańki tworzonej przez isalamira. – Czy mógłbym spytać o powód tej decyzji?

– To wyłącznie moja sprawa – obwieścił chmurnie C'baoth. – Czy kwestionuje pan moje pobudki?

Pellaeon przez dłuższą chwilę obawiał się, że Thrawn da się sprowokować.

– Ależ skąd – zapewnił go wreszcie wielki admirał. – Jeśli życzysz sobie lecieć na Wayland, nikt nie będzie cię zatrzymywał. Poruczniku Tschel?

– Sir? – Młody oficer z lewoburtowej wnęki dla obsady stanął na baczność.

– Proszę skontaktować się z „Grotem Śmierci" – polecił mu Thrawn. – I poinformować kapitana Harbida, że gwiezdny galeon „Draklor" ma zostać wyłączony z jego grupy i przekazany pod moje zwierzchnictwo. Jedynie z samą załogą. Osobiście dostarczę żołnierzy i pasażerów.

– Tak jest, sir! – potwierdził przyjęcie rozkazu Tschel, podchodząc do stanowiska łączności.

– Nie prosiłem o żołnierzy, wielki admirale – powiedział z naciskiem C'baoth. Na jego pooranym bruzdami obliczu rozdrażnienie walczyło o lepsze z podejrzliwością. – Ani o pasażerów.

– Od jakiegoś czasu miałem zamiar wysłać generała Covella, aby objął dowodzenie nad garnizonem stacjonującym w górze Tantiss – odparł gładko Thrawn. – A także dostarczyć tam nowy regiment żołnierzy. To pora równie dobra, jak każda inna.

C'baoth spojrzał na Pellaeona, a potem przeniósł znów wzrok na Thrawna.

– W porządku – stwierdził niechętnie, gdy rozdrażnienie wzięło górę nad nieufnością. – Ale to będzie mój statek, nie Covella. To ja będę nim dowodził.

– Oczywiście, mistrzu – zapewnił go ugodowo wielki admirał. – Przekażę te instrukcje generałowi.

– Dobrze. – Usta C'baotha poruszały się przez chwilę pod jego długą, białą brodą, jakby mistrz Jedi chciał dodać coś jeszcze, i przez chwilę Pellaeon bał się, że starzec znów straci nad sobą kontrolę. Mistrz Jedi szarpnął głową… ale po chwili znów nad sobą panował. – Dobrze – powtórzył. – Będę w swoich komnatach. Proszę po mnie przysłać, gdy statek będzie gotowy.

– Jak sobie życzysz. – Thrawn kiwnął głową.

C'baoth posłał im kolejno przenikliwe spojrzenia, następnie odwrócił się i odmaszerował.

– Proszę poinformować generała Covella o zmianie planów, kapitanie – polecił Pellaeonowi Thrawn, obserwując, jak starzec opuszcza mostek. – W komputerze znajduje się lista żołnierzy i załogi przypisanej do szablonów klonowania. Asystenci Covella zadbają o dostarczenie ich na pokład „Draklora". Wraz z oddziałem najlepszych żołnierzy generała.

Pellaeon zmarszczył czoło, przypatrując się profilowi Thrawna. Żołnierze Covella – a także sam generał, skoro już o tym mowa – mieli wspomóc siły uderzeniowe wysłane na Qat Chrystac.

– Sądzi pan, że operacja „Góra Tantiss" może być zagrożona? – spytał ostrożnie.

– To raczej nic poważnego – stwierdził Thrawn. – Mimo to niewykluczone, że nasz przenikliwy mistrz Jedi rzeczywiście mógł coś wyczuć, być może jakieś niepokoje pośród tubylców. Lepiej dmuchać na zimne.

Pellaeon wyjrzał przez iluminator na odległą gwiazdę – słońce Coruscant.

– Czy to może mieć coś wspólnego z rebeliantami?

– To mało prawdopodobne – zapewnił go wielki admirał. – Nic nie wskazuje na to, by w ogóle wiedzieli o istnieniu Waylanda, nie mówiąc już o planowaniu jakichś związanych z nim działań. Gdy…

i jeśli w ogóle do tego dojdzie, powinniśmy wiedzieć z wyprzedzeniem o podobnych zamiarach.

– Dzięki Źródłu Delta.

– A także zwykłemu wywiadowi. – Thrawn uśmiechnął się nieznacznie. – Nadal czuje się pan niepewnie z myślą o tym, że otrzymujemy informacje nieznanymi panu kanałami?

– Odrobinę, sir – przyznał Pellaeon.

– Proszę więc uznać to za ćwiczenie mające na celu umocnienie pańskiego zaufania – stwierdził wielki admirał. – Pewnego dnia powierzę panu dysponowanie Źródłem Delta. Jednak jeszcze nie teraz.

– Tak jest, sir – bąknął Pellaeon. Zerknął w stronę rufy, ku tylnemu wyjściu, którym opuścił mostek C'baoth. Coś nie dawało mu spokoju. Coś związanego w jakiś sposób z mistrzem Jedi i Waylandem…

– Wydaje się pan jakiś nieswój, kapitanie – zauważył Thrawn.

– Nie podoba mi się myśl o osadzeniu go w górze Tantiss, admirale. – Pellaeon pokręcił głową. – Nie wiem dlaczego. Po prostu… nie podoba mi się to.

– Nie martwiłbym się o to – powiedział cicho wielki admirał, podążając za jego spojrzeniem. – W istocie stanowi to nie tyle problem, ile jego rozwiązanie.

– Nie bardzo rozumiem… – Kapitan ściągnął brwi, zbity z tropu.

– Wszystko w swoim czasie, kapitanie. – Thrawn ponownie się uśmiechnął. – W tej chwili jednak mamy inne, niecierpiące zwłoki sprawy, którymi należy się zająć. Czy mój okręt jest gotowy?

Pellaeon z trudem otrząsnął się z ponurych myśli. Teraz, gdy w zasięgu ręki mieli samo serce Rebelii, nie było czasu na zamartwianie się bliżej nieokreślonymi problemami.

– „Chimaera" czeka na pańskie rozkazy, admirale – odpowiedział służbiście.

– Doskonale. – Thrawn omiótł spojrzeniem mostek, po czym zwrócił się znów do Pellaeona. – Proszę się upewnić, że reszta grupy szturmowej również jest gotowa, i poinformować ich, że wstrzymujemy się z rozpoczęciem operacji do czasu, aż „Draklor"

odleci. – Wyjrzał przez iluminator. – A wówczas – dodał cicho – przypomnimy rebeliantom, czym tak naprawdę jest wojna.

Rozdział 14

Stali w milczeniu ramię w ramię: Mara i Luke, czekając na postać w ciemnej szacie z kapturem, idącą w ich stronę z lśniącym mieczem świetlnym w dłoni. Za jej plecami majaczyła sylwetka starca – w jego oczach lśniło szaleństwo, a dłonie spowijała siatka błękitnych wyładowań. Cień zatrzymał się i podniósł broń do ataku. Luke odsunął się od Mary, unosząc nad głowę własny miecz świetlny. Emanowały od niego strach i przerażenie…

Wycie syren dobiegające z korytarza obudziło Leię, zmieniając koszmar w mozaikę różnobarwnych okruchów obrazu ze snu.

Jej pierwszą myślą było, że alarm podniesiono z powodu Luke'a i Mary, ale po chwili przyszło jej do głowy, że być może do pałacu przeniknęła kolejna grupa imperialnych komandosów… Gdy jednak oprzytomniała na tyle, by rozpoznać ton sygnału alarmowego, dotarło do niej, że jest znacznie gorzej:

Coruscant zostało zaatakowane.

Po drugiej stronie pokoju bliźnięta zaczęły płakać.

– Winter! – krzyknęła księżniczka, chwytając w biegu szlafrok i starając się jednocześnie przez Moc dodać dzieciom nieco otuchy i je uspokoić.

Jej asystentka stała już w progu, narzucając na siebie podomkę.

– To alarm bojowy! – zawołała, starając się przekrzyczeć wycie syren.

– Wiem! – Leia zawiązała pospiesznie pasek szlafroka. – Muszę natychmiast zejść do centrum dowodzenia.

– Oczywiście. – Winter przyjrzała się jej czujnie. – Czy wszystko w porządku?

– Miałam… sen, to wszystko – wyjaśniła Leia, wzuwając namierzone w pośpiechu botki. To właśnie była cała Winter: potrafiła dostrzec, że coś jest nie tak, nawet w samym środku największego zamieszania. – Luke i Mara z kimś walczyli i nie wyglądało na to, by mieli wygrać…

– Jesteś pewna, że to był tylko sen?

– Nie wiem – wyznała Leia. Przygryzła wargę, sznurując buty. Jeśli to nie był sen, tylko wizja Jedi… – Nie, to tylko sen – uznała z przekonaniem. – Luke będzie w stanie stwierdzić jeszcze w przestrzeni kosmicznej, gdyby czekał tam na nich C'baoth albo inny Mroczny Jedi. A jeśli rzeczywiście do tego dojdzie, nie będzie ryzykował i dążył do wypełnienia misji za wszelką cenę.

– Mam taką nadzieję – powiedziała Winter, jednak nie sprawiała wrażenia przekonanej.

– Nie martw się – spróbowała uspokoić ją Leia. – Możliwe, że koszmar wywołały po prostu te alarmy. – „I podsyciło go jeszcze poczucie winy – dodała w myśli – spowodowane tym, że w ogóle puściłam ich na Wayland". – Czy mogłabyś popilnować bliźniąt?

– Będziemy nad nimi czuwać – zapewniła ją przyjaciółka.

„My"? Leia rozejrzała się, marszcząc czoło, i dopiero po chwili dostrzegła Mobvekhara i dwóch innych Noghrich, którzy przycupnęli w cieniu dookoła łóżeczka. Była pewna, że nie widziała ich tu, gdy szła spać, co oznaczało, że musieli się tu wślizgnąć z salonu tuż po tym, jak rozwyły się syreny alarmowe. A ona nic nie zauważyła…

– Możesz ruszać bez obaw, lady Vader – powiedział z powagą Mobvekhar. – Twoim potomkom nie stanie się żadna krzywda.

– Wiem – powiedziała Leia i mówiła szczerze. Zabrała z szafki nocnej komunikator i przez chwilę zastanawiała się nad skontaktowaniem z kimś z dowództwa, żeby zorientować się w sytuacji, jednak zamiast tego wsunęła po namyśle urządzenie do kieszeni szlafroka. Udzielanie wyjaśnień bądź co bądź cywilowi było w tej chwili ostatnią rzeczą, na jaką mieli czas w centrum dowodzenia. Już wkrótce dowie się, co się wydarzyło. – Wrócę najszybciej, jak zdołam – obiecała Winter. Chwyciła jeszcze swój miecz świetlny i wyszła.

W korytarzu roiło się od istot różnych ras – część z nich spieszyła stanowczym krokiem do swoich obowiązków, inne kręciły się bezradnie, próbując uzyskać jakieś informacje od pełniących w pobliżu służbę strażników. Leia wyminęła wartowników i lawirując między toczącymi ożywione dyskusje grupami, dołączyła

do strumienia zaspanych adiutantów, spieszących w stronę turbowind. Gdy do nich dotarła, drzwi do zatłoczonej kabiny właśnie się zamykały, jednak na jej widok dwoje pasażerów, którzy najwyraźniej ją rozpoznali, ustąpiło jej uprzejmie miejsca. Do środka zdążyła się jeszcze wepchnąć dwójka trajkoczących Jawów w brązowych szatach i winda ruszyła.

Na zawiadywanie operacjami wojskowymi przeznaczono całe niższe piętro pałacu. Pomieszczenia położone na zewnątrz oddano do użytku służbom wsparcia, pokoje znajdujące się bliżej centrum służyły jako biura Ackbara i Draysona, a także innych dowódców, w samym środku zaś urządzono ośrodki decyzyjne i planowania strategicznego. Leia zameldowała się przy stanowisku kontrolnym, minęła dwóch potężnie zbudowanych strażników rasy Wookiee i weszła przez pancerną gródź do centrum dowodzenia.

Chociaż od ogłoszenia alarmu minęło zaledwie kilka minut, wewnątrz panowało już spore zamieszanie, podczas gdy postawieni w stan gotowości starsi oficerowie i ich wybudzeni dopiero co ze snu asystenci zajmowali miejsca przy stanowiskach bojowych. Wystarczyło jedno spojrzenie na główny wyświetlacz taktyczny, by zorientować się, że sytuacja była poważna: wokół wektora sześć-jeden-sześć w sektorze czwartym pojawiło się w luźnych formacjach osiem imperialnych krążowników przechwytujących. Emitowane przez nie stożki pseudo-pola grawitacyjnego skutecznie blokowały wszelki ruch w bezpośrednim sąsiedztwie Coruscant. Na jej oczach nowa grupa statków zmaterializowała się w samym centrum gromady: kolejne dwa krążowniki przechwytujące w eskorcie ośmiu drednotów z Floty Katańskiej.

– Co się dzieje? – spytał ktoś nad jej ramieniem.

Odwróciła się w stronę źródła głosu. Za jej plecami stał młody mężczyzna („Właściwie to jeszcze chłopiec” – oceniła), drapiąc się po głowie porośniętej szopą zmierzwionych włosów i przyglądając się w skupieniu sytuacji na monitorze taktycznym. Przez chwilę miała problem z rozpoznaniem go, jednak w końcu sobie przypomniała. To był Ghent, haker, którego przysłał im Karrde, by pomógł w rozgryzieniu tej afery z bankiem, w którą imperialni

wrobili admirała Ackbara. Zupełnie zapomniała, że chłopak wciąż przebywa w pałacu.

– Zaatakowało nas Imperium – wyjaśniła.

– Och – bąknął. – Czy wolno im to robić?

– Toczymy z nimi wojnę – przypomniała mu cierpliwie – a na wojnie wolno wszystko, przed czym nie powstrzyma cię druga strona. A tak w ogóle, jak się tu dostałeś?

– Ja… eee… jakiś czas temu złamałem kod wejściowy – stwierdził lekko, wskazując dłonią w bliżej nieokreślonym kierunku i nie spuszczając przy tym wzroku z wyświetlacza. – Nie mam ostatnio zbyt wiele do roboty. Czy nie możecie ich zatrzymać?

– Z pewnością spróbujemy to zrobić – zapewniła go ponuro, rozglądając się po pokoju. Po drugiej stronie pomieszczenia, przy konsoli dowodzenia, spostrzegła generała Rieekana. – Trzymaj się na uboczu i niczego nie dotykaj.

Uszła dwa kroki w stronę Rieekana, gdy nagle coś ją tknęło. Ghent, który złamał superskomplikowany kod dostępu, bo nie miał nic lepszego do roboty…

Odwróciła się na pięcie, przypadła w dwóch susach do chłopaka i złapała go za ramię.

– Wiesz co? Może lepiej będzie jednak, jeśli pójdziesz ze mną – stwierdziła, ciągnąc go przez tłum w stronę drzwi opatrzonych napisem SZYFROWNIA w bocznej części centrum dowodzenia. Wpisała kod dostępu i skrzydła się rozsunęły.

Pomieszczenie było przestronne, po sam sufit zastawione komputerami i wypełnione zasiadającymi przy stanowiskach deszyfrujących technikami oraz droidami wsparcia.

– Kto tu dowodzi? – zawołała Leia, gdy w ich stronę odwróciło się kilka głów.

– Ja – odparł mężczyzna w średnim wieku, z insygniami pułkownika na piersi, cofając się od jednej z konsol i zajmując jedyny, zdawałoby się, skrawek wolnego miejsca w pomieszczeniu.

– Jestem radczyni Organa Solo – przedstawiła się Leia. – A to Ghent, doświadczony haker. Czy przydałby wam się tu do czegoś?

– No, nie wiem… – Pułkownik przyjrzał się chłopakowi z namysłem. – Czy miałeś już kiedyś do czynienia z imperialnymi

kodami bojowymi, Ghent?

– Nie – wyznał młodzieniec. – Nigdy. Ale złamałem kilka ich zwykłych kodów wojskowych.

– Które dokładnie?

– No… jeden nazywał się Lepido. – Ghent spojrzał w przestrzeń zamglonym wzrokiem. – Aha, i było też coś o nazwie ILKO. Złamałem go, gdy miałem dwanaście lat. To był naprawdę twardy orzech do zgryzienia. Zajęło mi to niemal dwa miesiące.

Ktoś z siedzących w pobliżu techników gwizdnął cicho.

– Czy to dobrze? – spytała Leia.

– Cóż, można tak powiedzieć. – Pułkownik parsknął pod nosem. – Szyfr ILKO stanowił jeden z najdoskonalszych kodów, których Imperium używało do przesyłania danych między Coruscant a placówką konstrukcyjną pierwszej Gwiazdy Śmierci na Horuzie. Męczyliśmy się nad nim prawie miesiąc. – Dał chłopakowi gestem znak, by podszedł do niego. – Chodź no tu, synu – znajdziemy dla ciebie wolną konsolę. Jeśli podobało ci się ILKO, będziesz zachwycony szyframi bojowymi.

Ghent aż pokraśniał i już za chwilę zaczął się przedzierać między konsolami, a tymczasem Leia wróciła do centrum dowodzenia.

Gdy tam dotarła, okazało się, że bitwa już rozgorzała na dobre.

W luce między krążownikami przechwytującymi typu Immobilizer pojawiło się sześć gwiezdnych niszczycieli, które wyskoczyły z nadprzestrzeni. Grupa podzieliła się na dwie trójki i obrała kurs na potężne, umieszczone w połowie orbity stacje bojowe typu Golan III. Wyplute z hangarów niszczycieli myśliwce TIE roiły się przed nimi, kierując się ku siłom obronnym, które zaczynały się wyłaniać z położonego na niskiej orbicie doku i startować z powierzchni planety. Na głównym wyświetlaczu pierwsze nieśmiałe rozbłyski strzałów z turbolaserów zasygnalizowały, że obie strony zbliżyły się do siebie na odległość umożliwiającą związanie przeciwnika ogniem.

Gdy do niego dotarła, generał Rieekan stał kilka kroków od głównej konsoli dowodzenia.

– Księżniczko. – Skinął jej z powagą głową.

– Generale – odwzajemniła gest, wstrzymując oddech i popatrując na wyświetlacze. Planetarne osłony energetyczne zostały aktywowane, a naziemne systemy obronne szybko osiągały status bojowy, z kolei z doków w przestrzeni kosmicznej zaczynała się właśnie szybko wyłaniać druga fala X-wingów i B-wingów.

A tuż przed stojącym na podium fotelem dowodzenia stał wydający podniesionym głosem rozkazy admirał Drayson.

– Drayson? – zdumiała się księżniczka.

– Ackbar dokonuje inspekcji w regionie Ketarisa – wyjaśnił posępnie Rieekan. – Pod jego nieobecność jego obowiązki pełni Drayson…

Leia zerknęła na główny wyświetlacz taktyczny, czując w żołądku nieprzyjemny chłód. Draysonowi nie można było odmówić kompetencji… jednak w starciu z wielkim admirałem Thrawnem same kompetencje nie wystarczały. Wiedziała o tym aż za dobrze.

– Czy flota sektora została zaalarmowana?

– Wysłaliśmy do nich wiadomość, nim aktywowaliśmy osłony – poinformował ją Rieekan. – Niestety, jednym z pierwszych celów zaatakowanych przez Imperium była pozaorbitalna stacja przekaźnikowa, więc nie mamy pojęcia, czy wieści do nich dotarły. Aby zyskać pewność, musielibyśmy wyłączyć pole.

Uczucie chłodu zaczęło się nieprzyjemnie rozpełzać po całym jej ciele.

– A więc to nie jest tylko markowany atak, mający na celu ściągnięcie tu floty z całego sektora – powiedziała cicho. – W przeciwnym wypadku nie zawracaliby sobie głowy stacją przekaźnikową i umożliwili nam wezwanie pomocy.

– To prawda – westchnął Rieekan. – Cokolwiek knuje Thrawn, to my jesteśmy prawdziwym celem.

Pokiwała głową. Niezdolna wykrztusić choć słowo, wpatrywała się w milczeniu w wyświetlacz taktyczny. Gwiezdne niszczyciele znalazły się właśnie w zewnętrznym polu rażenia stacji bojowych i czerń przestrzeni z każdą chwilą przeszywało coraz więcej turbolaserowych strzałów. Poza głównym rejonem wymiany ognia drednoty i inne jednostki wsparcia otaczały luźnym pierścieniem

niszczyciele, aby chronić je przez zbliżającymi się szybko statkami wroga.

Na ekranie taktycznym ku górze poszybowała blada smuga: wystrzał z działa jonowego na powierzchni planety, mknący ku gwiezdnym niszczycielom.

– To strata energii – mruknął ze wzgardą Rieekan. – Są zdecydowanie poza naszym zasięgiem.

Leia przyznała mu w duchu rację. Wiedziała też, że nawet gdyby było inaczej, salwa zakłócająca systemy elektroniczne mogła równie dobrze zaszkodzić tak niszczycielom, w które była wymierzona, jak i własnym stacjom bojowym. Działa jonowe nie były najcelniejszą bronią.

– Musimy przekazać dowodzenie komuś innemu – rzuciła desperacko, rozglądając się po centrum dowodzenia. Gdyby tylko zdołała znaleźć Mon Mothmę i przekonać ją, by powierzyła obowiązki Draysona Rieekanowi…

Nagle jej wzrok padł na stojącą pod tylną ścianą i wpatrzoną w ekran taktyczny Senę Leikvold Midanyl. Główną asystentkę i doradczynię generała Garma Bela Iblisa… którego bez dwóch zdań cechowało coś znacznie więcej niż tylko kompetencja w dziedzinie rzemiosła wojennego.

– Za chwilę wracam – powiedziała pospiesznie do Rieekana i zniknęła w tłumie.

– Radczyni Organa Solo – powitała ją Sena, gdy księżniczka do niej dotarła. Na twarzy kobiety dało się dostrzec napięcie, wyczuwalne od niej również przez Moc. – Kazano mi trzymać się na uboczu. Czy mogłaby mi pani wyjaśnić, co się właściwie dzieje?

– Dzieją się rzeczy, które wymagają interwencji Garma – rzuciła ostro Leia, rozglądając się dookoła. – Gdzie go znajdę?

– Jest na galerii obserwacyjnej. – Sena wskazała podbródkiem półkolisty balkon opasujący tyły centrum dowodzenia.

Leia podniosła wzrok. Na galeryjce tłoczyły się istoty różnych ras i autoramentu – w większości cywilni członkowie rządu, którzy mieli pozwolenie na przebywanie w wewnętrznych kręgach dowódczych, ale nie dopuszczono ich na poziom właściwego

centrum dowodzenia. Nieco z boku, wpatrzony w najwyższym skupieniu w wyświetlacz taktyczny, siedział Bel Iblis.

– Sprowadź go na dół – poprosiła Senę. – Potrzebujemy go tutaj…

– Nie zejdzie – westchnęła kobieta. – A przynajmniej dopóki nie poprosi go o to sama Mon Mothma. To jego własne słowa.

Żołądek Lei skurczył się gwałtownie. Bel Iblis był znany ze swojej legendarnej dumy, ale to nie był czas na prywatne przepychanki.

– Nie może się tak zachowywać! Potrzebujemy jego pomocy!

– Już próbowałam. – Sena pokręciła nieznacznie głową. – Nie chciał mnie słuchać.

Księżniczka wzięła głęboki oddech.

– W takim razie może mnie posłucha – mruknęła.

– Mam taką nadzieję. – Sena wskazała wyświetlacz, na którym z doków wyłonił się jeden z drednotów Bela Iblisa, kierując się w stronę wzbierającej fali myśliwców, koreliańskich kanonierek i fregat eskortowych mknących w stronę najeźdźców. – To „Tropiciel” – zidentyfikowała statek. – Na jego pokładzie są moi synowie, Peter i Dayvid.

Leia dotknęła pokrzepiającym gestem jej ramienia.

– Proszę się nie martwić. Sprowadzę go tu.

Nim dotarła na górę, w centralnej części galerii panował już nieopisany ścisk. Na szczęście w pobliżu Bela Iblisa było nieco wolnego miejsca.

– Witaj, Leio – powiedział Garm, gdy zatrzymała się tuż obok niego. – Czy nie powinnaś być przypadkiem na dole?

– Owszem, powinnam – potwierdziła księżniczka. – Podobnie jak i ty. Potrzebujemy cię…

– Czy masz może przy sobie komunikator? – przerwał jej bezceremonialnie.

– Tak. – Spojrzała na niego niepewnie, marszcząc czoło.

– Wyjmij go. Szybko. Skontaktuj się z Draysonem i ostrzeż go przed tymi dwoma Immobilizerami.

Zerknęła na wyświetlacz taktyczny. Dwa krążowniki przechwytujące, które dołączyły przed chwilą do walki, kluczyły z ociężałością, nakierowując mgliste stożki pól grawitacyjnych na jedną ze stacji bojowych.

– Thrawn zastosował tę sztuczkę na Qat Chrystac – wyjaśnił Bel Iblis. – Wykorzystuje te Immobilizery do wyznaczenia punktu opuszczenia nadprzestrzeni, a następnie ściąga statek wzdłuż wektora przecięcia, aby umieścić go w wybranym miejscu. Drayson musi wysłać na flanki jakieś jednostki, aby być gotowym na to, co sprowadzi tu wielki admirał.

Leia szperała już w kieszeni szlafroka.

– Ale nie mamy tam nic, co moglibyśmy rzucić przeciwko kolejnemu gwiezdnemu niszczycielowi… – zaprotestowała słabo.

– Nie chodzi o związanie go walką – wyjaśnił Bel Iblis. – Cokolwiek do nas leci, wyskoczy praktycznie ślepe, z wyłączonymi osłonami, bez możliwości namierzenia celu. Jeśli wyślemy tam nasze jednostki, będziemy mieli czystą linię strzału. To powinno przesądzić o wyniku.

– Rozumiem – potwierdziła księżniczka, aktywując komunikator i wybierając numer centrali. – Tu radczyni Leia Organa Solo – rzuciła do mikrofonu. – Mam pilną wiadomość dla admirała Draysona.

– Admirał Drayson jest w tej chwili zajęty i nie wolno mu przeszkadzać – odpowiedział elektroniczny głos.

– To nagła, niecierpiąca zwłoki sprawa – zaznaczyła z naciskiem. – Tryb bezpośredniego obejścia członka Rady. Proszę mnie połączyć z Draysonem.

– Analiza głosu potwierdzona – oznajmił operator. – Obejście Rady ma niższy priorytet niż nagła sytuacja natury wojskowej. Proszę zostawić wiadomość.

Leia zazgrzytała zębami, podnosząc wzrok na wyświetlacz taktyczny.

– W takim razie proszę mnie połączyć z głównym adiutantem Draysona.

– Porucznik DuPre jest zajęty i nie może…

– Anulować – weszła w słowo elektronicznej sekretarce. – Połącz mnie z generałem Rieekanem.

– Generał Rieekan jest zaję…

– Za późno – szepnął Bel Iblis.

Podniosła wzrok. Z nadprzestrzeni wyskoczyły właśnie dwa gwiezdne niszczyciele typu Victory, zatrzymując się w bezpośrednim zasięgu swojego celu: dwóch stacji bojowych – dokładnie tak, jak to przewidział koreliański generał. Oddały do nich kilka salw o dużej mocy, po czym zawróciły, zanim jeszcze stacje czy osłaniające je kanonierki zdołały odpowiedzieć czymś więcej niż tylko paroma chaotycznymi strzałami. Na ekranie taktycznym błękitnawa mgiełka znacząca osłony stacji migotała przez chwilę, nim na powrót się ustabilizowała.

– Drayson nie jest dla niego godnym przeciwnikiem – westchnął Bel Iblis. – Nie ma w tym żadnej filozofii.

Leia wzięła głęboki oddech.

– Musisz zejść na dół, Garm.

– Nie mogę tego zrobić. – Pokręcił głową. – Nie, dopóki nie poprosi mnie o to Mon Mothma.

– Nie zachowuj się jak dziecko! – zbeształa go, nagle poirytowana i zmęczona, porzucając wszelkie pozory dyplomacji. – Nie możesz pozwolić, by ludzie ginęli tam z powodu twojej urażonej dumy!

Gdy na nią spojrzał, z zaskoczeniem dostrzegła w jego oczach głęboki ból.

– Nie rozumiesz, Leio – powiedział cicho. – Tu nie chodzi o mnie, tylko o Mon Mothmę. Dopiero teraz, po wszystkich tych latach, dotarło do mnie, co nią kieruje. Zawsze zakładałem, że sięga po coraz większą władzę tylko dlatego, że kocha rządzić. Okazało się jednak, że byłem w błędzie.

– W takim razie dlaczego twoim zdaniem to robi? – spytała księżniczka wbrew sobie samej. W tej chwili rozmowa o Mon Mothmie była ostatnią rzeczą, na jaką miała czas i ochotę.

– Bo od każdej jej decyzji zależy czyjeś życie – wyznał smutno generał. – A ona panicznie boi się powierzyć losy swoich ludzi komuś innemu.

Leia wpatrywała się w niego przez chwilę w milczeniu… Nim jednak otworzyła usta, by odruchowo zaprzeczyć, wszystkie kawałki układanki – wszystko, co wydarzyło się w jej życiu w ciągu ostatnich kilku lat – znalazły swoje miejsce. Wszystkie te misje dyplomatyczne, na które wysyłała ją Mon Mothma i dla których

musiała rezygnować ze szkolenia Jedi i życia rodzinnego… Całe zaufanie, jakim darzyła Ackbara i garstkę wybrańców… Cała odpowiedzialność, którą obarczała nielicznych…

Nielicznych, którym ufała, że wypełnią powierzone im zadania jak należy.

– Właśnie dlatego nie mogę po prostu zejść tam i objąć dowodzenia – dodał Bel Iblis. – Dopóki ona mi nie zawierzy. Dopóki nie obdarzy mnie prawdziwym zaufaniem, nie będzie w stanie powierzyć mi żadnej realnej władzy w strukturach Nowej Republiki. Zawsze musiałaby być tuż obok, zerkając mi z niepokojem przez ramię, obserwując każdy mój ruch, aby mieć pewność, że nie popełnię błędu. Ona nie ma na to czasu, a ja cierpliwości, skutki zaś mogą być tragiczne dla wszystkich zainteresowanych. – Kiwnął głową w stronę centrum dowodzenia. – Gdy będzie gotowa mi zaufać, ja będę gotów służyć jej pomocą. Do tego czasu będzie jednak lepiej dla wszystkich, jeśli nie będę się wtrącał.

– Dla wszystkich poza tymi, którzy tam giną – przypomniała mu gorzko Leia. – Pozwól, że się z nią skontaktuję, Garm. Może zdołam ją przekonać, by przekazała ci dowodzenie…

Bel Iblis potrząsnął głową.

– To nie tak, Leio. Jeśli ją do tego nakłonisz, to nie będzie się liczyło. Ona musi podjąć tę decyzję sama.

– Może już to zrobiła – rozległ się za ich plecami cichy głos.

Głos Mon Mothmy.

Leia odwróciła się jak użądlona. Bez reszty skupiona na rozmowie z Belem Iblisem, nie zauważyła nawet, kiedy przywódczyni Nowej Republiki zjawiła się w pobliżu.

– Mon Mothmo… – bąknęła, ogarnięta nagle poczuciem winy z powodu rozmowy na jej temat za jej plecami. – Ja…

– Spokojnie, Leio – powiedziała Mon Mothma. – Generale Garmie Bel Iblis…

Korelianin wstał i zwrócił się w jej stronę.

– Tak?

Mon Mothma przez chwilę zbierała się w sobie, szukając odpowiednich słów.

– W ostatnich latach doszło między nami do wielu tarć. Jednak ten czas już dawno minął. Niegdyś tworzyliśmy zgrany zespół. Nie widzę powodu, dla którego nie moglibyśmy znów wrócić do tej współpracy. – Wahała się przez chwilę, jakby nie wiedząc, co mogłaby jeszcze dodać, i w tej krótkiej przerwie dotarło do Lei, jak bardzo musiało to być dla Mon Mothmy trudne. Jak upokorzona musiała się czuć, stając przed człowiekiem, który kiedyś się od niej odwrócił, i przyznając przy świadkach, że potrzebuje jego pomocy. Jeśli Bel Iblis pozostanie nieugięty, dopóki nie usłyszy słów, które jego zdaniem powinny paść z jej ust…

Nagle jednak, ku zaskoczeniu Lei, Bel Iblis wyprężył się i stanął na baczność.

– Mon Mothmo – powiedział oficjalnie – zważywszy na obecną sytuację kryzysową, proszę o pozwolenie na objęcie dowodzenia obroną Coruscant.

Zmarszczki wokół oczu Mon Mothmy wygładziły się zauważalnie, a Leia wyczuła w jej zachowaniu zmianę: przewodnicząca Nowej Republiki wyraźnie się odprężyła.

– Byłabym niewypowiedzianie wdzięczna, Garm.

Generał uśmiechnął się do niej.

– W takim razie… do dzieła.

Wspólnie ruszyli w stronę schodów prowadzących na poziom centrum dowodzenia, Leia zaś z kruchą świadomością własnych ograniczeń zorientowała się, że najprawdopodobniej nawet w połowie nie zdoła objąć umysłem tego, czego właśnie była świadkiem. Długa i pełna niebezpieczeństw droga, którą przebyli razem Mon Mothma i Bel Iblis, połączyła ich więziami empatii i zrozumienia – znacznie mocniejszymi, niż były w stanie spenetrować jej słabo wyszkolone zmysły Jedi. Po namyśle uznała, że może to właśnie ta empatia stworzy prawdziwe podwaliny Nowej Republiki i da jej nieodzowną siłę… Siłę do tworzenia przyszłości galaktyki.

O ile oczywiście zdoła ona przetrwać kolejne kilka godzin.

Zacisnąwszy zęby, ruszyła w ślad za nimi.

Obok „Chimaery” przemknęła para koreliańskich kanonierek, rażąc osłony mostka serią turbolaserowych strzałów. Tuż za nią trzymała się eskadra myśliwców TIE, zawijając w manewrze okrążającym Rellisa, aby uzyskać czystą linię strzału. Nieco dalej Pellaeon zauważył fregatę eskortową zajmującą miejsce na przecięciu wektora wyjściowego kanonierek.

– Eskadra A-cztery? Przesunąć się do sektora dwadzieścia dwa – wydał rozkaz. Póki co, o ile był w stanie to stwierdzić, bitwa przebiegała zgodnie z planem.

– Wycofują się – stwierdził stojący obok niego Thrawn.

Pellaeon omiótł wzrokiem bezpośrednią okolicę.

– Gdzie? – spytał.

– Przygotowują się do odwrotu – wyjaśnił Thrawn, wskazując jeden z dwóch rebelianckich drednotów, które dołączyły do bitwy. – Proszę spojrzeć, w jaki sposób ten krążownik ustawia się w pozycji do osłony odwrotu. O, tam. Drugi właśnie powtarza ten manewr.

Pellaeon przyjrzał się ze ściągniętymi brwiami powolnemu tańcowi okrętów. Wciąż nie widział w nim zbytnio sensu, jednak prawdą było też, że jak dotąd nie zdarzyło się, by Thrawn pomylił się w tej kwestii.

– Porzucają stacje bojowe na pastwę losu?

Wielki admirał parsknął cicho pod nosem.

– Zacznijmy od tego, że w ogóle nie powinni sprowadzać tu tych statków, by ich broniły. Platformy obronne typu Golan są w stanie przyjąć zdecydowanie tęższe ciosy, niż wydawało się ich poprzedniemu dowódcy kierującemu obroną.

– Poprzedniemu?

– Tak – potwierdził Thrawn. – Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że dowodzenie obroną przekazano właśnie naszemu staremu koreliańskiemu nieprzyjacielowi. Ciekaw jestem, dlaczego trwało to tak długo.

Pellaeon wzruszył ramionami, przypatrując się walce w kosmosie. Wielki admirał miał oczywiście rację: obrońcy zaczynali się wycofywać.

– Może musieli go obudzić?

– Być może. – Admirał powiódł od niechcenia wzrokiem po polu bitwy. – Proszę zauważyć, że Korelianin w ten sposób składa nam propozycję i daje do wyboru dwie opcje: zostać tutaj i walczyć ze stacjami bojowymi lub lecieć za obrońcami w zasięg rażenia naziemnych systemów uzbrojenia. Na szczęście – dodał z błyskiem w oku – mamy trzecie wyjście.

Kapitan pokiwał głową. Zastanawiał się, kiedy Thrawn ucieknie się do swojej nowej, genialnej strategii.

– Tak jest, sir – potwierdził. – Czy mam zarządzić aktywowanie promieni ściągających?

– Zaczekamy, aż Korelianin wycofa swoje statki nieco dalej – zadecydował Thrawn. – Nie chcemy, by to przeoczył.

– Tak jest, sir. – Pellaeon wrócił do swojego fotela dowodzenia, usiadł i potwierdził, że asteroidy i hangarowe promienie ściągające są gotowe do działania.

Pozostało tylko czekać na rozkaz wielkiego admirała.

– W porządku – stwierdził Bel Iblis. – „Tropiciel”? Przygotujcie się do odwrotu. Osłaniajcie fregaty eskortowe po waszej lewej. Dowódco Czerwonych, uważaj na te TIE interceptory.

Leia wpatrywała się w ekran taktyczny, wstrzymując oddech. O tak, sytuacja zaczynała się poprawiać. Aby nie narażać się na ostrzał naziemnych systemów uzbrojenia, Imperium pozwalało obrońcom wycofać się w pobliże Coruscant. W ten sposób zagrożone pozostaną jedynie dwie stacje bojowe, a te były w stanie wytrzymać znacznie silniejszy ostrzał, niż początkowo zakładała. Ten zaś nie potrwa zapewne zbyt długo – nawet wielki admirał powinien zdawać sobie sprawę z tego, co się wydarzy, gdy zjawi się tu flota sektora… Było już niemal po wszystkim – co oznaczało, że udało im się przetrwać ten atak.

– Generale Bel Iblis – odezwał się jeden z oficerów przy stanowiskach kontrolnych. – Mamy jakiś dziwny odczyt z pokładu hangarowego „Chimaery”…

– O co dokładnie chodzi? – spytał Bel Iblis, podchodząc do konsoli.

– Wygląda to tak, jakby aktywowali promienie ściągające – zameldował oficer, wskazując jedną z wielobarwnych plam na sylwetce gwiezdnego niszczyciela widniejącej w centrum wyświetlacza. – Jednak pobiera znacznie więcej energii…

– Czy to możliwe, że wysyłają jednocześnie całą eskadrę myśliwców? – podsunęła Leia.

– Wątpię – odparł oficer. – Jedno jeszcze jest zastanawiające: o ile jesteśmy w stanie stwierdzić, nie wypuścili nic z hangaru…

Stojący obok Lei Bel Iblis zamarł.

– Proszę obliczyć wektor wyjścia – polecił. – Do wszystkich statków: skupić czujniki na tym torze i przeskanować teren w poszukiwaniu śladów emisji spalin. Sądzę, że „Chimaera” właśnie wypluła zamaskowany okręt…

Ktoś w pobliżu zaklął szpetnie. Leia spojrzała na główny wyświetlacz i ścisnęło ją w gardle na wspomnienie krótkiej rozmowy, którą odbyła jakiś czas temu z Hanem i admirałem Ackbarem. Ackbar był wówczas święcie przekonany – a swoją argumentacją przekonał również i ją – że zdolność pola maskującego do tłumienia przepływu informacji pobieranych przez czujniki zarówno zamaskowanej jednostki, jak i wroga czyni tę technologię zbyt niebezpieczną, by stanowiła skuteczną broń. Jeśli Thrawn znalazł jakiś sposób na obejście tego problemu…

– Znowu coś wypuścili – zameldował oficer czujników. – I ponownie.

– Tak samo z „Grotu Śmierci” – dodał kolejny z oficerów. – O, i znów.

– Proszę dać stacjom bojowym znać, by namierzyły te wektory i je ostrzeliwały – polecił Bel Iblis. – Tak blisko gwiezdnych niszczycieli, jak się da. Musimy się dowiedzieć, co knuje Thrawn.

Ledwie wypowiedział te słowa, na wyświetlaczu wizualnym rozbłysła chmura eksplozji. Jedna z fregat eskortowych w pobliżu pierwszego z szacunkowych wektorów stanęła nagle w płomieniach. Ciągnąc za sobą ognisty warkocz płonących gazów, zawirowała dziko wokół własnej osi…

– Kolizja! – krzyknął ktoś. – Fregata eskortowa „Evanrue” zderzyła się z niezidentyfikowanym obiektem!

– Zderzyła? – powtórzył Bel Iblis. – To nie był strzał z turbolasera?

– Dane telemetryczne wskazują na fizyczne zderzenie. – Oficer pokręcił głową.

Leia popatrzyła znów na ekran, na którym „Evanrue”, skąpana w płonących gazach, z trudem próbowała przerwać swój szalony taniec.

– Ale pola maskujące to broń obosieczna – jęknęła. – Jak udaje im się manewrować?

– Może wcale tego nie robią – stwierdził Bel Iblis ponurym, ociekającym podejrzliwością głosem. – Sekcja taktyczna? Ustalcie nowy tor wyznaczony z punktu zderzenia z „Evanrue”. Przyjmijcie bezwładność obiektu i oszacujcie prędkość, z jaką doszło do zderzenia, biorąc pod uwagę odległość od „Chimaery”. Nie zapomnijcie uwzględnić lokalnego pola grawitacyjnego. Prześlijcie prawdopodobną lokalizację „Tropicielowi” i polećcie im otworzyć ogień natychmiast, gdy otrzymają koordynaty.

– Tak jest, sir! – potwierdził przyjęcie rozkazu jeden z poruczników. – Przesyłam dane „Tropicielowi”…

– Chwileczkę… – Koreliański generał powstrzymał go, podnosząc dłoń. – Jednak nie, proszę odwołać ostatni rozkaz. Poinformujcie „Tropiciela”, by prowadzili ostrzał wyłącznie z działa jonowego, powtarzam: tylko działo jonowe. Żadnych turbolaserów.

Leia przyjrzała mu się zbita z tropu, marszcząc brwi.

– Zależy ci, by ten statek był nietknięty?

– Nie chcę uszkodzić tego obiektu, zgadza się – powiedział powoli Bel Iblis. – Ale nie sądzę, by to był statek. – Nie dodał jednak nic więcej.

Na ekranie taktycznym działo „Tropiciela” bluznęło ogniem.

Drednot otworzył ogień – dokładnie tak, jak przewidział to Thrawn. Pellaeon zauważył jednak z zaskoczeniem, że prowadzi ostrzał wyłącznie z działa jonowego.

– Admirale?

– Tak, widzę to – mruknął Thrawn. – To… ciekawe. Miałem rację, kapitanie. Tam w dole rzeczywiście dowodzi nasz stary koreliański nieprzyjaciel. Chyba postanowił, że nie da nam się dłużej wodzić za nos.

Pellaeon pokiwał głową, gdy nagle zrozumiał:

– Próbuje odrzeć asteroidę z pola maskującego.

– Licząc na to, że weźmie ją nietkniętą. – Thrawn dotknął panelu kontrolnego. – Przednie baterie turbolaserów: zlokalizować i wziąć na cel asteroidę numer jeden. Strzelać na mój rozkaz.

Kapitan spojrzał na powiększony obraz na swoim wyświetlaczu. Drednot namierzył cel, a wysyłane przez niego promienie jonowe znikały w samym środku kosmicznej pustki, pochłaniane przez pole maskujące. Wiedział, że nie potrwa długo, nim…

Nagle gwiazdy w miejscu rażonym seriami z działa zniknęły. Przez kilka sekund na tle gwiazd widniał placek atramentowej czerni, gdy pole maskujące zostało naruszone, po czym, równie raptownie, zastąpiła go naga asteroida.

Ostrzał jonowy ustał.

– Turbolasery? Stan gotowości… – polecił Thrawn. – Chcemy, by najpierw dobrze się przyjrzeli. Turbolasery? Ognia!

Pellaeon skupił wzrok na sytuacji za iluminatorem. Przestrzeń między nimi a asteroidą przecięły promienie zielonej energii, znikając w oddali, gdy dosięgły celu. Sekundę później punkt, w który trafiły, rozbłysnął nikłym blaskiem, zdublowanym w nieco silniejszej wersji na jego monitorze. Kolejna salwa… jeszcze jedna… i następna…

– Wstrzymać ogień – zarządził Thrawn ze słyszalną satysfakcją w głosie. – Niech się zadowolą ochłapami. Pokład hangarowy, status liczby wystrzałów.

– Siedemdziesiąt dwa, sir – zgłosił oficer techniczny lekko napiętym głosem. – Ale bocznik systemu sprzężenia zwrotnego zasilania zaczyna się przegrzewać. Nie zdołamy strzelać na sucho dużo dłużej, nie przepalając go przy tym… albo samego projektora promienia ściągającego.

– Przerwać ostrzał na sucho – polecił Thrawn – i dać znać reszcie statków, by również go zaprzestały. Ile sumarycznie oddaliśmy

strzałów, kapitanie?

Pellaeon sprawdził dane.

– Dwieście osiemdziesiąt siedem – zameldował kapitan.

– Zakładam, że wszystkie dwadzieścia dwie asteroidy zostały już rozmieszczone?

– Tak jest, sir – potwierdził Pellaeon. – Większość z nich w ciągu dwóch pierwszych minut. Choć trudno stwierdzić na pewno, czy zajęły ustalone orbity.

– Dokładność ich umiejscowienia nie gra roli – zapewnił go Thrawn. – Liczy się tylko, że są tam, w okolicy Coruscant.

Pellaeon uśmiechnął się pod nosem. O tak, były tam z całą pewnością… tyle tylko, że stanowiły zaledwie ułamek tego, co znajdowało się tam zdaniem rebeliantów.

– Czy dać sygnał do odwrotu, sir?

– Tak, odlatujemy – potwierdził wielki admirał. – Obecnie Coruscant zostało skutecznie wyeliminowane z jakichkolwiek działań wojennych.

Drayson kiwnął głową pułkownikowi taktycznemu i wrócił do niewielkiej grupy czekającej na niego za konsolami.

– Mamy ostateczne liczby – powiedział dziwnie głuchym głosem. – Nie są całkowicie pewni, czy przypadkiem nie przeoczyli czegoś w całym tym bałaganie, jednak tak czy inaczej… naliczyli dwieście osiemdziesiąt siedem.

– Dwieście osiemdziesiąt siedem? – powtórzył generał Rieekan, rozdziawiając ze zdumienia usta.

– Właśnie – potwierdził Drayson, łypiąc gniewnie na Bela Iblisa. – Co teraz?

„Całkiem jakby to była jego wina” – pomyślała Leia.

Korelianin pocierał z namysłem policzek.

– Zacznijmy od tego, że moim zdaniem sytuacja wcale nie jest tak kiepska, jak mogłoby się zdawać – powiedział. – Na podstawie tego, co słyszałem na temat kosztów pól maskujących, jestem zdania, że Thrawn raczej nie trwoniłby pieniędzy na urządzenia konieczne do

ukrywania niemal trzech setek asteroid. Szczególnie w sytuacji, gdy wystarczyłaby znacznie mniejsza ich liczba.

– Sądzisz, że część strzałów mogła być markowana? – spytała Leia.

– To niemożliwe – zaprotestował Rieekan. – Widziałem odczyty z systemów czujników! Te projektory bez dwóch zdań pobierały energię…

Bel Iblis spojrzał na Draysona.

– Wie pan o gwiezdnych niszczycielach więcej niż reszta z nas, admirale. Czy to możliwe?

Drayson wpatrywał się przez moment niewidzącym wzrokiem w przestrzeń, marszcząc czoło. Duma zawodowa na chwilę wzięła górę nad wyraźną wrogością wobec Bela Iblisa.

– To… niewykluczone – potwierdził wreszcie. – Od projektora promienia ściągającego można poprowadzić bocznik systemu sprzężenia zwrotnego… albo do kondensatora rozbłysku, albo do rozpraszacza zasilania umieszczonego w innym miejscu statku. W ten sposób można przepuścić znaczną moc przez projektor bez właściwie żadnego widomego efektu.

– A czy istnieje jakiś sposób na odróżnienie takich strzałów od faktycznego wysyłania w przestrzeń asteroid? – spytała Mon Mothma.

– Z takiej odległości? – Drayson pokręcił głową. – Nie.

– To w zasadzie bez większego znaczenia, ile ich tam jest – stwierdził Rieekan. – Prędzej czy później zaczną stopniowo obniżać orbity, a gdy któraś uderzy w ziemię… cóż, to będzie katastrofa. Dopóki ich nie usuniemy, nie możemy ryzykować wyłączenia osłon planetarnych.

– Problem w tym, jak je zlokalizujemy – westchnął ciężko Drayson. – I skąd będziemy mieli pewność, że zlikwidowaliśmy wszystkie.

Kątem oka Leia złowiła jakiś ruch, a gdy obejrzała się w jego stronę, spostrzegła, że dołączył do nich pułkownik Bremen. Na jego twarzy malowało się wyraźne napięcie.

– Powtórzę: mogło być gorzej – zauważył Bel Iblis. – Flota sektora będzie w stanie w ciągu kilku godzin wymienić pozaorbitalną stację

przekaźnika, więc przynajmniej będziemy mogli kierować stąd obroną Nowej Republiki.

– Będziemy też mogli rozesłać komunikat alarmowy do innych światów – dodał Bremen. – Mara Jade uciekła.

Mon Mothma zaczerpnęła gwałtownie tchu.

– Jak? – spytała.

– Z czyjąś pomocą – wyjaśnił ponuro Bremen. – Droid strażniczy został dezaktywowany. Użyto jakiegoś zmodyfikowanego ogranicznika, który wyczyścił jednocześnie część pamięci robota.

– Jak dawno? – chciał wiedzieć Rieekan.

– Nie więcej niż kilka godzin temu. – Bremen rozejrzał się po centrum dowodzenia. – Od razu po odkryciu jej zniknięcia wzmocniliśmy straże na piętrze dowodzenia, na wypadek gdyby planowali jakiś sabotaż w czasie ataku.

– Możliwe, że nadal chcą to zrobić – zauważył Bel Iblis. – Czy wszystkie wejścia do pałacu są zabezpieczone?

– Strzeżone pilnie jak kasetka przemytnika – zameldował Bremen. – Mimo to wątpię, by wciąż byli gdzieś w pobliżu.

– Musimy zyskać pewność – stwierdziła stanowczo Mon Mothma. – Pułkowniku? Proszę natychmiast rozpocząć przeszukiwanie całego pałacu.

– Tak jest. – Bremen kiwnął głową.

Leia zacisnęła zęby i zebrała się w sobie. Wiedziała, że ta wiadomość nie zostanie przyjęta zbyt dobrze…

– Proszę się nie fatygować, pułkowniku – powiedziała, dotykając jego ramienia, żeby go zatrzymać, gdy zaczął się już odwracać do wyjścia. – Mary tu nie ma.

Oczy wszystkich zwróciły się w jej stronę.

– Skąd wiesz? – spytał Bel Iblis.

– Bo w nocy odleciała z Coruscant. Razem z Hanem i Lukiem.

Nastała długa chwila milczenia.

– Właśnie się zastanawiałem, dlaczego Solo nie zjawił się w centrum dowodzenia – przerwał wreszcie ciszę koreliański generał. – Czy zechcesz nam wyjaśnić, co się właściwie wydarzyło?

Leia wahała się przez chwilę, jednak w końcu uznała, że to raczej wątpliwe, by ktoś z obecnych miał powiązania ze Źródłem Delta.

– Mara twierdzi, że wie, gdzie może się znajdować imperialna fabryka klonów – westchnęła. – Uznaliśmy, że warto wysłać ją tam wraz z małym zespołem rozpoznania.

– „Uznaliśmy”? – warknął admirał Drayson. – To znaczy kto właściwie?

Leia spojrzała mu w oczy.

– Moja rodzina i najbliżsi przyjaciele – wyjaśniła. – Jedyne osoby, co do których mogę mieć absolutną pewność, że nie są źródłem przecieku informacji przechwytywanych przez Imperium…

– To olbrzymia zniewaga…

– Dosyć, admirale – weszła mu w słowo Mon Mothma. Była spokojna, jednak na jej twarzy malowała się stanowczość. – Później będziemy się zastanawiać, czy, komu i za co należą się nagany. Niezależnie od tego, czy ta decyzja była słuszna, czy nie, faktem jest, że są już w drodze, a my musimy się teraz zastanowić, jak najlepiej moglibyśmy im pomóc. Leio?

– Najważniejsze, by nikt nie dowiedział się, że Mary tu już nie ma – powiedziała księżniczka, czując, że ciężar, który zdawał się przygniatać jej pierś, nieco zelżał. – Musimy zachować wszelkie pozory i udawać, że dziewczyna wciąż przebywa w areszcie. Powiedziała mi, że była na Waylandzie tylko raz i nie jest w stanie stwierdzić, ile czasu zabierze jej odtworzenie trasy na planetę. Im większą przewagę czasową będą mieli, tym mniejsze będzie prawdopodobieństwo, że Imperium w porę wyśle tam posiłki i przygotuje się na ich przyjęcie.

– Co później? – spytała Mon Mothma. – Zakładając oczywiście, że tam dotrą…

– Spróbują zniszczyć tę placówkę.

Znów zapadła pełna napięcia cisza.

– Sami – odezwał się wreszcie znacząco Drayson.

– Chyba że ma pan zbędną flotę, którą moglibyśmy im wysłać na pomoc – odcięła się Leia.

Mon Mothma pokręciła głową.

– Nie powinnaś była tego robić, Leio – powiedziała z troską. – A przynajmniej nie bez skonsultowania się z Radą…

– Gdybym przedstawiła ten projekt Radzie, Mara mogłaby już nie żyć – wyznała bez ogródek księżniczka. – Gdyby do uszu Imperium dotarły wieści, że dziewczyna jest w stanie odnaleźć Wayland, kolejny zespół komandosów, który by tu przysłali, z pewnością nie poprzestałby na próbie jej zdyskredytowania.

– Rada jest poza wszelkimi podejrzeniami – oświadczyła chłodno Mon Mothma.

– A czy wszyscy asystenci radców również? – wytknęła jej Leia. – Oraz taktycy, oficerowie zaopatrzenia i osoby wyszukujące dane w archiwach? Gdybym przedstawiła propozycję ataku na Wayland Radzie, wszyscy oni prędzej czy później by się o tym dowiedzieli.

– I nie tylko oni – dodał Bel Iblis. – Leia ma rację, Mon Mothmo.

– Nie chcę szukać winnych, Garm – wyznała cicho przewodnicząca Rady. – Ani nikogo bronić. Boję się po prostu, że to wszystko może się okazać spiskiem, Leio… i że twój mąż i brat zapłacą za to życiem.

Leia przełknęła z trudem ślinę.

– Owszem, przyszło nam to do głowy – wyznała. – Uznaliśmy jednak, że warto podjąć to ryzyko. Poza tym… komu innemu mieliśmy powierzyć to zadanie?

Przez długą chwilę nikt się nie odzywał. Wreszcie Mon Mothma ocknęła się z ponurego zamyślenia.

– Proszę porozmawiać ze wszystkimi osobami, które wiedzą o zniknięciu Mary Jade, pułkowniku – poinstruowała Bremena. – Kiedy… i jeśli poznamy lokalizację Waylanda, zobaczymy, czy zdołamy wysłać im na pomoc jakieś wsparcie.

– O ile zyskamy pewność, że nie to jest pułapka – dodał poirytowany Drayson.

– Oczywiście – zgodziła się Mon Mothma, unikając wzroku Lei. – W tej chwili nie możemy zrobić wiele więcej. Skupmy się więc na problemach, które wymagają obecnie całej naszej uwagi: obronie Coruscant i namierzeniu tych zamaskowanych asteroid. Generale Bel Iblis…

Leia poczuła na ramieniu dotyk czyjejś dłoni, a gdy się odwróciła, zobaczyła stojącego za jej plecami Ghenta.

– Czy już po wszystkim? – spytał ją cicho.

– Tak, bitwa już się skończyła – potwierdziła, popatrując na Mon Mothmę i pozostałych. Byli pogrążeni w dyskusji na temat asteroid, jednak wiedziała, że prędzej czy później ktoś z nich zauważy Ghenta i zorientuje się, że nie powinno go tu być. – Chodź – szepnęła, prowadząc go w stronę wyjścia z pomieszczenia. – Opowiem ci wszystko na zewnątrz. I co sądzisz o tych kodach bojowych Imperium?

– Och, były całkiem spoko – stwierdził chłopak. – Ale ci goście tutaj nie pozwolili mi zbyt wiele zdziałać. Nie znam ich sprzętu tak dobrze jak oni. A poza tym ten ich system jest jakiś durny…

Leia uśmiechnęła się pod nosem. Specjaliści Nowej Republiki opracowali najlepszą, ich zdaniem, i najskuteczniejszą sekwencję dekodowania, a Ghent uznał ją za „durny system”…

– Wiesz, ludzie przyzwyczajają się do pewnego postępowania w niektórych sytuacjach – stwierdziła dyplomatycznie. – Może mogłabym zorganizować ci spotkanie z osobą, która tu dowodzi, a ty przedstawiłbyś jej swoje sugestie…

– E tam. – Machnął lekceważąco ręką. – Tym wojskowym typom na pewno nie spodobałyby się moje metody. Nawet Karrde czasem się na mnie wścieka. A tak przy okazji, kojarzy pani może ten transmiter impulsowy, który gdzieś tu nadaje?

– Masz na myśli system wykorzystywany przez Źródło Delta? – Pokiwała głową. – Kontrwywiad próbuje go namierzyć od chwili, kiedy zaczął nadawać. Wygląda jednak na to, że to ustrojstwo korzysta z jakichś zmiennych częstotliwości i jest wielofazowe, więc póki co nic nie wskórali.

– Och. – Ghent przez chwilę się nad czymś zastanawiał. – Cóż, to w takim razie problem natury technicznej. Nie znam się zbytnio na tym.

– Nic nie szkodzi – zapewniła go. – Jestem pewna, że przydasz się nam w jakiś inny sposób.

– Hm, tak – bąknął, wyjmując z kieszeni datakartę. – W każdym razie… eee… proszę.

– Co to? – Wzięła od niego nośnik, przyglądając mu się ze zmarszczonym czołem.

– To kod deszyfrujący informacje przesyłane przez ten transmiter.

Leia stanęła jak wryta.

– To… słucham?

On również zamarł, podnosząc na nią niewinny wzrok.

– Szyfr do tego ustrojstwa o zmiennej częstotliwości – wyjaśnił. – Wreszcie go złamałem.

Gapiła się na niego, przez chwilę niezdolna wykrztusić choćby jednego słowa.

– Ot… tak? Po prostu do tego usiadłeś i go rozpracowałeś?

Wzruszył ramionami.

– No, powiedzmy. Właściwie to pracowałem nad nim od jakiegoś miesiąca.

Spojrzała znów na datakartę, czując, jak po plecach pełznie jej dziwny, nie do końca miły dreszcz.

– Czy mówiłeś o tym komuś? – spytała cicho.

Dzieciak pokręcił głową.

– Przed wyjściem chciałem go dać tamtemu pułkownikowi, ale był zajęty, bo z kimś rozmawiał.

Kod deszyfrujący do Źródła Delta… a Źródło Delta nie wie, że go mają!

– Nie mów o tym nikomu – przestrzegła chłopaka. – Absolutnie nikomu!

Ghent zmarszczył czoło, ale wzruszył tylko ramionami.

– Jasne. Skoro tak pani mówi…

– Dziękuję – mruknęła, wsuwając datakartę do kieszeni szlafroka, w głębi duszy przekonana, że to klucz do rozpracowania samego Źródła Delta. Teraz musiała tylko znaleźć sposób, by odpowiednio go wykorzystać.

I to szybko.

Rozdział 15

Nim odnalazła ją piąta ekspedycja alderaańska, forteca na planecie Hijarna niszczała powoli od jakiegoś tysiąca lat – była niczym milczący, samotny strażnik tego opuszczonego świata. Potężna i zbudowana z niebywale wytrzymałego czarnego kamienia wznosiła się na stromym urwisku nad równiną wciąż poznaczoną głębokimi bruzdami, świadczącymi o zniszczeniu na niewyobrażalną skalę. Dla niektórych stanowiła pomnik upamiętniający tragedię – ostatni bastion obrony zdesperowanego, oblężonego świata. Inni uważali ją za złowieszczą i nikczemną przyczynę zarówno samego oblężenia, jak i destrukcji, którym się ono zakończyło.

Karrde jednak – przynajmniej w tej chwili – traktował ją jak dom.

– No, no, przytulne gniazdko, nie ma co – mruknął Gillespee, opierając nogi o skraj awaryjnego stanowiska łączności i rozglądając się po wnętrzu. – A właściwie to jak trafiłeś na jego ślad?

– Wystarczyło pogrzebać w archiwalnych rejestrach – wyjaśnił Talon, wpatrując się w ekran, po którym przewijały się linijki deszyfrowanej transmisji. W końcu pojawił się na nim obraz mapy gwiezdnej, opatrzony krótkim opisem.

– Raport od Clyngunna? – Gillespee kiwnął głową w stronę wyświetlacza.

– Nie inaczej – potwierdził Karrde, wyjmując z portu datakartę.

– I jak?

– Nic spektakularnego. Żadnego śladu przerzutu klonów na Poderisie, Chazwie czy Joiolu.

Gillespee zdjął nogi z konsoli i wstał.

– Cóż, w takim razie to chyba byłoby tyle – mruknął, podchodząc do patery z owocami, którą ktoś postawił na bocznym stoliku, i częstując się driblisem. – Wydaje się, że czymkolwiek Imperium zajmowało się w sektorze Orus, przestało to robić. O ile w ogóle rzeczywiście coś tam kombinowali.

– Ze względu na brak jakichkolwiek śladów obstawiałbym to drugie – zgodził się z nim Karrde, wybierając jedną z kart, które otrzymał od swojego kontaktu na Bespinie i wsuwając ją w szczelinę terminala. – Mimo to warto było to sprawdzić. Teraz, gdy wiemy już, na czym stoimy, możemy się skupić na innych możliwościach.

– Taaa – bąknął bez przekonania Gillespee, wracając do stanowiska łączności. – Hm… wiesz, Karrde, jeśli mam być z tobą szczery, to wszystko dziwnie mi pachnie. To znaczy… rany, przemytnicy nie zajmują się takim… węszeniem. A już szczególnie takim, które za bardzo nie popłaca…

– Mówiłem ci już, że Nowa Republika ma nam zapłacić za informacje.

– Tyle tylko, że właściwie nie mamy im nic do zaoferowania – zauważył Gillespee. – A ja nigdy nie spotkałem nikogo, kto by płacił za niedostarczony towar. – Wyciągnął skądś paskudnie wyglądający majcher i zabrał się z namaszczeniem do wycinania cząstek driblisa.

– Tu nie chodzi o zapłatę. – Karrde spojrzał na niego z nachmurzoną miną. – Tylko o przetrwanie w obliczu kroków podejmowanych przez Imperium.

– Może dla ciebie – mruknął Gillespee, przyglądając się przez chwilę z uwagą cząstce owocu, nim ugryzł kawałek. – Wpada ci dość dodatkowych fuch, byś mógł wycofać się na chwilę z branży. Jednak pozostali mają ludzi do opłacania i statki do tankowania. Gdy tylko przestaną dostawać kasę, zaczną się buntować.

– A więc chodzi o kasę?

Widział niemal, jak Gillespee zbiera się w sobie.

– Mnie chodzi o kasę – wyznał po chwili. – Reszta… chce się wycofać.

Jeśli wziąć pod uwagę sytuację, Karrde mógł się tego w zasadzie spodziewać. Świeży gniew na Imperium spowodowany tamtym atakiem w Szemrzącym Wirze już ostygł, a rzeczywistość dnia codziennego zaczynała upominać się o swoje.

– Imperium wciąż nam zagraża – przypomniał koledze.

– Nam? Nie sądzę – wyznał gorzko Gillespee. – Od czasu tamtej akcji na Troganie Imperium nie zainteresowało się żadnym z nas. Zupełnie się nie przejęli naszym myszkowaniem w okolicach sektora

Orus. Nie dali nawet Mazzicowi popalić za ten wybryk w stoczniach Bilbringi!

– A więc ignorują nas mimo próby ich sprowokowania – skwitował Karrde. – Czy dzięki temu czujesz się bezpiecznie?

– Nie wiem – bąknął Gillespee, ostrożnie odcinając kolejną cząstkę owocu. – W jednej chwili wydaje mi się, że Brasck ma rację, gdy mówi, że jeśli zostawimy Imperium w spokoju, ono nie będzie niepokoiło nas… Później jednak przypominam sobie o tej armii klonów, za pomocą której Thrawn przegonił mnie z Ukio. Czasem sobie myślę, że może po prostu w tej chwili jest zbyt zajęty gnębieniem Nowej Republiki, by zawracać sobie nami głowę…

– Thrawn nigdy nie jest zbyt zajęty, by się na kogoś uwziąć, jeśli mu na tym zależy – powiedział twardo Karrde, kręcąc głową. – Jeśli nas ignoruje, robi to, bo wie, że to najlepszy sposób na stłumienie wszelkich sprzeciwów. Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że lada chwila zacznie nam proponować kontrakty i będzie udawał, że wszyscy znów jesteśmy najlepszymi kumplami.

– Rozmawiałeś z Par'tah? – Gillespee spojrzał na niego ostro.

– Nie – zaprzeczył Talon. – Dlaczego pytasz?

– Dwa dni temu powiedziała mi, że dostała propozycję transportu sporej liczby silników podświetlnych do imperialnych stoczni na Ord Trasi.

– Zgodziła się? – Karrde się skrzywił.

– Twierdziła, że dogrywa szczegóły. Ale znasz ją, cały czas cienko przędzie. Przypuszczam, że po prostu nie może sobie pozwolić na to, by odmówić.

Talon odwrócił się w stronę ekranu, czując w ustach gorzki posmak porażki.

– Chyba nie mogę mieć do niej o to pretensji – powiedział cicho. – A co z resztą?

Gillespee wzruszył z zakłopotaniem ramionami.

– Tak jak ci wspomniałem, kończy nam się kasa. Musimy jakoś zarabiać.

I w ten oto sposób, tak po prostu, chwiejny sojusz, który z takim trudem starał się zawiązać Talon Karrde, zaczął się rozpadać, nim

jeszcze na dobre zaczął funkcjonować. A Imperium nie musiało nawet kiwnąć palcem.

– Cóż, w takim razie będę musiał pewnie pociągnąć to dalej sam – stwierdził, wstając. – Dzięki za pomoc. Domyślam się, że chcesz już wrócić do swoich spraw…

– Och, daj spokój, Karrde, po co się od razu dąsać? – jęknął Gillespee, wrzucając sobie do ust ostatnią cząstkę owocu i wstając od konsoli. – Masz rację: cała ta afera z klonami to poważna sprawa. Jeśli chciałbyś wynająć na czas poszukiwań moich ludzi i statki, chętnie ci pomogę. Po prostu nie możemy sobie pozwolić na robienie tego dalej za darmo. Gdybyś nas potrzebował… daj nam tylko znać. – Odwrócił się do wyjścia.

– Moment – zatrzymał go w drzwiach Karrde. Do głowy przyszedł mu właśnie pewien karkołomny pomysł. – Możliwe, że mógłbym znaleźć sposób na opłacenie całej grupy. Jak sądzisz, czy inni również zgodziliby się wówczas zostać?

– Nie wkręcaj mnie, Karrde. – Gillespee przyjrzał mu się podejrzliwie. – Nie śpisz na forsie, więc nie próbuj mnie bajerować.

– Nie – zaprzeczył Talon. – Ale Nowa Republika ma pieniądze, a w obecnej sytuacji chyba nie mieliby nic przeciwko kilku dodatkowym statkom na liście płac.

– Nic z tego. – Gillespee pokręcił stanowczo głową. – Wybacz, stary, ale nie mam ochoty na zabawę w najemnika.

– Nawet jeśli twoja rola polegałaby tylko na gromadzeniu informacji? – spytał go Talon. – Nie żądam od ciebie niczego więcej poza tym, co właśnie robiliśmy w sektorze Orus.

– Brzmi jak fucha marzeń – zakpił Gillespee. – Tyle tylko, że jest mały problem: wątpię, czy znajdziesz w rządzie Nowej Republiki kogoś tak głupiego, by płacił najemnikom za samo węszenie.

Karrde uśmiechnął się pod nosem.

– Jeśli chodzi o ścisłość, nie zamierzałem marnować ich cennego czasu na pytanie o zgodę. Czy miałeś może okazję poznać jednego z moich chłopaków, Ghenta?

Gillespee przez chwilę gapił się tylko na niego bez słowa, zbity z tropu. Aż wreszcie do niego dotarło…

– Nie – wykrztusił. – Nie odważyłbyś się…

– A dlaczego by nie? – spytał niewinnie Karrde. – Spójrz na to z takiej strony: wyświadczymy im przysługę. Dlaczego mieliby sobie zawracać jeszcze głowę pilnowaniem rachunków, gdy próbują wygrać wojnę?

– A poza tym i tak będą nam musieli zapłacić, gdy znajdziemy dla nich centrum klonowania…

– Właśnie. – Karrde pokiwał głową. – Można to po prostu uznać za zaliczkę.

– A dowiedzą się o tym dopiero wtedy, gdy będzie już po wszystkim – skwitował dobitnie Gillespee. – Pytanie brzmi: czy Ghent zdoła tego dokonać?

– Z palcem w nosie – zapewnił go Karrde. – Szczególnie że przebywa obecnie w pałacu imperialnym na Coruscant. I tak miałem tam wkrótce zamiar zajrzeć, żeby zgarnąć stamtąd Marę. Poproszę go po prostu, żeby włamał się do rejestrów floty sektora i dodał nas do listy płac.

Gillespee wypuścił z głośnym sykiem powietrze z płuc.

– Jedno trzeba przyznać: otwiera nam to pewne możliwości… Nie wiem jednak, czy to wystarczy do przekonania innych, żeby zostali…

– Więc po prostu ich o to spytajmy – stwierdził Karrde, wracając do swojego biurka. – Zaprośmy ich na spotkanie za… powiedzmy… cztery dni od dziś?

– Możemy spróbować, dlaczego nie. – Gillespee wzruszył ramionami. – Co masz do stracenia?

Talon spoważniał.

– W sytuacji, gdy to wielki admirał Thrawn rozdaje karty – przypomniał koledze – lepiej się dwa razy zastanowić, nim zada się takie pytanie.

Wieczorna bryza hulała w na wpół zawalonych pomieszczeniach i przemykała ze świstem między kamiennymi kolumnami zrujnowanej fortecy, co jakiś czas wygwizdując smętne melodie w otworach i szczelinach. Siedzący pod jednym z filarów Karrde upił łyk z trzymanego w dłoni kubka, przyglądając się, jak ostatnie

promienie zachodzącego słońca znikają za horyzontem. Na rozciągającej się w dole równinie długie cienie kładące się na poznaczonej głębokimi bruzdami ziemi zaczynały niknąć, w miarę jak zapadał zmrok, zacierając nieuchronnie szczegóły krajobrazu.

Wszystko to w oczach Karrde'a niemal symbolicznie odzwierciedlało sposób, w jaki tocząca się w galaktyce wojna doścignęła jego samego.

Upił jeszcze jeden łyk, nie mogąc się w duchu nadziwić absurdalności całej tej sytuacji. Oto on, inteligentny, wyrachowany, umiarkowanie egoistyczny przemytnik, któremu udało się zrobić karierę dzięki niemieszaniu się w politykę galaktyczną – co więcej, przemytnik, który poprzysiągł sobie trzymać siebie i swoich ludzi z dala od całej tej wojny – jakimś cudem trafił w sam jej środek.

Na tym jednak nie koniec. Nie dość, że wpakował się w nią po uszy, to jeszcze próbował wciągnąć w nią swoich kolegów po fachu.

Pokręcił z lekkim rozdrażnieniem głową. Wiedział, że dokładnie to samo przytrafiło się Hanowi Solo w czasie tamtej głośnej bitwy o Yavin. Pamiętał, z jakim rozbawieniem śledził stopniowe wplątywanie się Solo w sieć obowiązków i odpowiedzialności Sojuszu Rebeliantów. Teraz, gdy patrzył na to z wnętrza tej samej sieci, nie widział w tym już nic zabawnego.

Z drugiej strony zniszczonego dziedzińca dobiegł nikły chrzęst żwiru. Karrde odwrócił się, żeby zerknąć na szpaler kamiennych kolumn, opuszczając jednocześnie dłoń do blastera. W tej chwili w pobliżu nie powinno nikogo być.

– Sturm? – zawołał cicho. – Drang?

Słysząc w odpowiedzi znajomy ni to pomruk, ni to charczenie, odetchnął z ulgą.

– Tutaj! – zawołał do zwierzęcia. – Tu jestem. Chodź!

Zaproszenie było jednak niepotrzebne: vornskr kluczył już między filarami, kierując się w jego stronę, z nosem nisko przy ziemi, z zapałem machając krótko obciętym ogonem. Karrde uznał, że to raczej Drang – był bardziej towarzyski z dwójki zwierząt, a poza tym Sturm miał zwyczaj marudzić nad jedzeniem.

Vornskr zatrzymał się ślizgiem obok niego, wydając z siebie kolejny charczący pomruk – tym razem dziwnie żałosny – i wtulając

pysk w nadstawioną dłoń swojego pana. Zgadza się: to był Drang.

– Tak, bardzo tu cicho – powiedział do niego Talon, przesuwając dłoń w górę pyska zwierzęcia, żeby podrapać go we wrażliwym miejscu za uszami. – Ale reszta wkrótce wróci. Wybrali się tylko sprawdzić inne statki.

Drang zamruczał znów żałośnie i przysiadł przy krześle Karrde'a, wpatrzony czujnym wzrokiem w wyludnioną równinę rozciągającą się w dole. Czegokolwiek szukał, nie znalazł tam tego, więc po chwili zawarczał gardłowo i złożył pysk na kamiennej posadzce. Zastrzygł dwukrotnie uszami, jakby próbował złowić nimi jakiś dźwięk, ale w końcu położył je po sobie.

– Tam też jest bardzo cicho – zgodził się z nim z powagą Karrde, głaszcząc zwierzę. – Jak sądzisz, co tu się wydarzyło?

Drang nie odpowiedział. Talon opuścił wzrok na jego szczupły, umięśniony grzbiet, kolejny raz kontemplując naturę tych dziwnych drapieżników, których dwójkę tak lekkomyślnie – a może nawet arogancko – postanowił udomowić. Zastanawiał się, czy w ogóle brałby taką możliwość pod rozwagę, gdyby wiedział, że ma do czynienia z bodaj jedynymi zwierzętami w galaktyce, które polowały przy użyciu Mocy.

Na pierwszy rzut oka podobne rozterki mogłyby się wydać komuś zwyczajnie śmieszne – wszak wrażliwość na Moc była czymś powszechnie spotykanym. Wyczuwali ją na przykład w pewnym stopniu Gotalowie, choć nie byli w stanie zrobić z niej dobrego użytku. Chodziły też słuchy, że są nią w stanie władać Duinuogwuini. Jednak niemal wszystkie stworzenia obdarzone tego typu zdolnością były istotami rozumnymi, o dużych pokładach inteligencji i samoświadomości. Korzystanie z Mocy przez zwierzęta… to było coś nowego.

Do takich wniosków doprowadziły go jednak dopiero wydarzenia ostatnich miesięcy. Przypomniał sobie niezwykłą reakcję swoich pupili, gdy Luke Skywalker zjawił się w jego bazie na Myrkr. Podobnie zaskakująca – i nieobserwowana przez niego wcześniej – była ich reakcja na Marę na pokładzie „Dzikiego Karrde'a" tuż przed tym, jak niewyjaśnione przeczucie skłoniło ją do podjęcia działań, które ocaliły ich przed tamtym imperialnym krążownikiem

przechwytującym. Znacznie agresywniej zareagowały dzikie vornskry – i to zarówno na Marę, jak i Skywalkera – podczas ich trzydniowej przeprawy przez myrkrskie lasy…

Skywalker był Jedi. Mara wykazywała szczątkowe zdolności charakterystyczne dla członków zakonu. Możliwe też, że wszystko to wyjaśniałoby także zachowanie myrkrskich isalamirów, które tworzyły odporne na Moc bańki – stanowiące zapewne formę samoobrony czy też kamuflażu chroniącego je przed drapieżnikami.

Drang poderwał nagle łeb, stawiając uszy w szpic i obracając się w bok. Karrde wytężył słuch… i kilka sekund później jego uszu dobiegł słaby szum silników powracającego promu.

– Wszystko w porządku – zapewnił zwierzę. – To tylko Chin i reszta wracają.

Drang zachowywał czujność jeszcze przez chwilę, po czym, jak gdyby uznał, że może zaufać osądowi swojego pana, odwrócił się i znowu złożył pysk na kamieniach. Spoglądając na równinę, która – jeśli przypuszczenia Karrde'a były słuszne – była dla niego jeszcze cichsza niż dla Talona.

– Nie martw się – powiedział kojąco, drapiąc znów zwierzaka za uszami. – Już wkrótce się stąd wyniesiemy. Obiecuję ci, że następne miejsce, w którym się zatrzymamy, będzie tętniło życiem, którego mógłbyś nasłuchiwać.

Uszy vornskra drgnęły… jednak równie dobrze mogła to być reakcja na pieszczotę.

Rzuciwszy ostatnie spojrzenie na skąpane w barwach zachodzącego słońca niebo, Karrde wstał i poprawił na biodrach pas z bronią. Właściwie to nie było żadnego szczególnego powodu, by wracać już do środka. Zaproszenia zostały napisane, zaszyfrowane i wysłane, więc w tej chwili pozostawało mu tylko czekać na odpowiedzi. Nagle jednak poczuł się tu dojmująco samotny. Znacznie bardziej samotny niż zaledwie kilka minut temu.

– Chodź, Drang – powiedział, poklepując zwierzę po głowie. – Czas na nas.

Prom osiadł z sykiem uwalnianych gazów wylotowych na pokładzie hangarowym „Chimaery”, wśród szturmowców maszerujących karnie, by zająć pozycje eskortowe wokół opadającego właśnie trapu. Pellaeon czekał u boku Thrawna, marszcząc nos, gdy doleciał go zapach spalin, i żałując, że nie wie, co tym razem wymyślił wielki admirał.

Cokolwiek to było, miał przeczucie, że mu się to nie spodoba… Thrawn mógł sobie powtarzać w kółko, jacy to przewidywalni są ci przemytnicy – i może dla niego tak właśnie było – jednak on, Pellaeon, miał na swoim koncie porachunki z tego typu szumowinami i jak sięgał pamięcią, nie zdarzyło się jeszcze, by układanie się z którymś z nich skończyło się dobrze. Niezależnie od tego, o co chodziło.

Co prawda żadne z tamtych kontaktów nie zostały zapoczątkowane przez bezczelny atak na imperialną stocznię… Ale tym bardziej nie wróżyło to dobrze.

Trap opadł. Dowódca szturmowców zerknął do środka i kiwnął głową, a po chwili z wnętrza wyszedł więzień, eskortowany przez dwóch odzianych na czarno żołnierzy floty.

– Ach, kapitan Mazzic – powiedział przyjaźnie Thrawn, gdy szturmowcy uformowali krąg wokół ich gościa. – Witam na pokładzie „Chimaery”. Proszę wybaczyć dramatyczne okoliczności tego wezwania… i wszelkie problemy związane z pańskim grafikiem, jakich mogło ono nastręczyć. Istnieją jednak pewne kwestie, których nie da się przedyskutować inaczej jak tylko twarzą w twarz.

– Bardzo zabawne – burknął Mazzic. – Jak mnie znaleźliście?

Pellaeon pomyślał odruchowo, że jego zachowanie różni się zdecydowanie od wyrafinowanej uprzejmości i ogłady, która cechowała go według danych zawartych w imperialnych aktach. Ale z drugiej strony świadomość, że za chwilę zostanie się poddanym imperialnemu przesłuchaniu, sama w sobie mogła skłonić kogoś do porzucenia wszelkich pozorów galanterii…

– Och, proszę dać spokój, kapitanie – zganił go łagodnie Thrawn. – Czy naprawdę sądził pan, że ktoś zdoła się ukryć przede mną, jeśli zechcę go znaleźć?

– Karrde'owi się to udało – odgryzł się Mazzic. Za wszelką cenę starał się zgrywać twardziela, jednak Pellaeon dostrzegał, że więzień nerwowo przebierał palcami skutych rąk. – Wciąż go szukacie, mam rację?

– Przyjdzie na niego pora – poinformował go wielki admirał. Nadal był spokojny, jednak temperatura jego głosu wyraźnie opadła o stopień lub dwa. – Nie spotkaliśmy się tu jednak, by rozmawiać o Karrdzie. Tylko o panu.

– O tak, i jestem pewien, że nie możesz się tego doczekać – warknął Mazzic, gestykulując skutymi dłońmi. – Przejdźmy więc do rzeczy.

– Chyba źle się zrozumieliśmy, kapitanie. – Thrawn podniósł leciutko brwi. – Nie sprowadziłem tu pana, by go ukarać. Chciałem po prostu oczyścić atmosferę naszych wzajemnych stosunków.

– Co masz na myśli? – burknął Mazzic, patrząc z mieszanką podejrzliwości i konsternacji.

– Mam na myśli niedawny incydent w stoczniach Bilbringi – wyjaśnił gładko wielki admirał. – Och, proszę nie zaprzeczać. Wiem, że to pan i Ellor zniszczyliście ten niedokończony gwiezdny niszczyciel. W normalnych okolicznościach Imperium wyznaczyłoby wysoką nagrodę za sprawców takiego haniebnego czynu. Jednak zważywszy na to, że okoliczności są dalekie od normalnych, jestem skłonny przymknąć na to oko.

– Nie rozumiem… – Mazzic przyjrzał mu się spod oka.

– To proste, kapitanie – zapewnił go Thrawn. Na jego znak jeden z eskortujących Mazzica żołnierzy zdjął mu kajdanki. – Pański wyczyn na Bilbringi był odpowiedzią na podobny atak wymierzony w przemytników odbywających spotkanie na Troganie, w którym brał pan udział. Co było w pełni uzasadnioną reakcją… Tyle tylko, że ani ja, ani żaden inny imperialny oficer wyższy stopniem nie autoryzowaliśmy tamtych działań. Jeśli chodzi o ścisłość, dowódca garnizonu otrzymał wyraźne rozkazy, by nie mieszać się w wasze sprawy i zostawić was w spokoju.

– I spodziewasz się, że uwierzę w te bajki? – parsknął Mazzic.

– A czy wolałby pan zamiast tego uwierzyć w to, że jestem tak niekompetentny, by wysłać na tę misję zespół, który nie sprosta

powierzonemu mu zadaniu? – zripostował Thrawn, a jego oczy zalśniły ostrzegawczo.

Mazzic przyglądał mu się spode łba, wciąż wściekły, teraz jednak również ostrożny.

– Od początku byłem zdania, że zbyt łatwo nam poszło – wymamrotał pod nosem.

– Cóż, w takim razie chyba doszliśmy do porozumienia – stwierdził Thrawn, na powrót perfekcyjnie opanowany. – Uznajmy więc tę sprawę za załatwioną. Załoga promu otrzymała już rozkazy, by zabrać pana z powrotem do pańskiej bazy. – Uśmiechnął się blado. – Czy może raczej do waszej bazy awaryjnej, w której schroniliście się wraz ze swoimi ludźmi na planecie Lelmra. Jeszcze raz przepraszam za wszelkie niedogodności.

Mazzic zaczął strzelać oczami po pokładzie hangarowym z nieufną miną, świadczącą o tym, że wciąż wietrzy podstęp, a jednocześnie ma nadzieję, że to może jednak nie pułapka.

– I sądzisz, że w to uwierzę? – prychnął.

– Proszę sobie wierzyć, w co się panu żywnie podoba – oznajmił Thrawn – ale radziłbym pamiętać przy tym, że miałem pana w garści… a jednak pozwoliłem panu odejść. Miłego dnia, kapitanie. – Zaczął się odwracać.

– No to… kto to był? – zawołał w ślad za nim Mazzic. – To znaczy, skoro twierdzicie, że nie zaatakowało nas Imperium?

Thrawn obrócił się ponownie w jego stronę.

– Och, ależ owszem, to byli nasi żołnierze – sprostował. – Wciąż jeszcze prowadzimy dochodzenie, choć w tej chwili wszystko wskazuje na to, że porucznik Kosk i jego ludzie próbowali sobie po prostu dorobić na boku.

– Ktoś ich… wynajął, żeby pomieszali nam szyki? Imperialnych żołnierzy? – Mazzic wytrzeszczył oczy.

– Nawet ludzie Imperium nie są niezawodnie odporni na pokusy przekupstwa – stwierdził wielki admirał głosem wręcz ociekającym udawaną pogardą. – W tym konkretnym wypadku przypłacili tę zdradę własnym życiem. Może być pan pewien, że ludzie, którzy za tym stali, zapłacą podobną cenę.

– Wiecie, kto to był? – spytał Mazzic.

– Tak sądzę – odparł Thrawn. – Póki co nie mamy jednak dowodów.

– Jakieś sugestie?

– Proszę wyciągnąć własne wnioski, kapitanie. – Wielki admirał uśmiechnął się do niego pobłażliwie. – Jeszcze raz życzę miłego dnia. – Z tymi słowy odwrócił się na pięcie i skierował kroki w stronę łukowato sklepionego wyjścia, wiodącego do pomieszczeń serwisowych i sal odpraw.

Pellaeon odczekał chwilę dość długą, by mieć pewność, że Mazzic i jego eskorta wrócili na pokład promu, po czym dołączył do Thrawna w kilku długich krokach.

– Czy to aby na pewno wystarczy, panie admirale? – zaniepokoił się.

– To bez znaczenia, kapitanie – zapewnił go Thrawn. – Dostarczyliśmy mu wszelkich niezbędnych danych. Nawet jeśli sam Mazzic nie okaże się dość rozgarnięty, by zidentyfikować jako winnego Karrde'a, to z pewnością zrobi to ktoś inny z dowódców przemytniczych grup. Tak czy inaczej niedosyt zawsze jest lepszy niż przesadna oczywistość. Niektórzy automatycznie reagują nieufnością na informacje podane na tacy.

Za ich plecami prom wzbił się z pokładu, kierując ku otwartej przestrzeni. W tej samej chwili zza załomu korytarza przed nimi wynurzyła się uśmiechnięta od ucha do ucha postać.

– Dobrze rozegrane, admirale – stwierdził Niles Ferrier, przesuwając cygaretkę w drugi kącik ust. – Najpierw go pan postraszył, a później puścił wolno. Z pewnością będzie miał o czym myśleć w najbliższym czasie…

– Dziękuję, Ferrier – odparł chłodno Thrawn. – Twoja aprobata jest dla mnie niezwykle cenna.

Ferrierowi zaczęła rzednąć mina, jednak po chwili uznał pochwałę za dobrą monetę.

– W porządku – rzucił. – No to… jak wygląda nasz dalszy plan?

Na dźwięk słowa „nasz" oczy Thrawna rozświetlił chmurny błysk, jednak za chwilę admirał znów nad sobą panował.

– Karrde rozesłał wczoraj wieczór serię transmisji, z których jedną przechwyciliśmy – oznajmił. – Nadal pracujemy nad jej

rozszyfrowaniem, jednak to nie może być nic innego, jak tylko zaproszenie na kolejne spotkanie. Gdy już ustalimy jego miejsce i czas, przekażemy ci odpowiednie informacje.

– A wówczas ja pomogę Mazzicowi wrobić Karrde'a – dopowiedział Ferrier.

– Nic podobnego – ostudził jego zapędy wielki admirał. – Będziesz siedział cicho i udawał, że o niczym nie wiesz.

– W porządku. Jasne. – Ferrier wtulił głowę w ramiona.

Thrawn przez dłuższą chwilę utrzymywał z nim kontakt wzrokowy.

– Twoim zadaniem – dodał wreszcie – będzie dopilnowanie, by pewna datakarta znalazła się w posiadaniu Karrde'a. Najlepiej, by trafiła do biura na pokładzie jego statku. To właśnie tam zajrzy najprawdopodobniej w pierwszej kolejności Mazzic.

Na jego znak podszedł do nich oficer, który podał Ferrierowi datakartę.

– Aha! – mruknął złodziej statków, przyjmując od niego nośnik. – Jasne, łapię. To dowód na zawarcie przez Karrde'a umowy z tym całym porucznikiem Koskiem, hę?

– Nie inaczej – potwierdził Thrawn. – A także dodatkowe dowody obciążające Koska, które nie powinny pozostawiać wątpliwości, że Karrde starał się zmanipulować przemytników. Jak sądzę, to całkowicie wystarczający materiał.

– Taaa, to w rzeczy samej banda cwaniaków. – Ferrier obrócił datakartę w dłoni, żując cygaro. – No dobra. W takim razie teraz muszę się tylko dostać na pokład „Dzikiego Karrde'a"… – Urwał na widok miny Thrawna.

– Nie – zaprzeczył cicho wielki admirał. – Wręcz przeciwnie. Będziesz się trzymał od jego statku i bazy najdalej, jak zdołasz. Jeśli chodzi o ścisłość, nikt nie może cię zobaczyć w ich pobliżu.

– Tak, ale… – Ferrier zamrugał, zaskoczony. Zbity z tropu, wyciągnął w stronę wielkiego admirała dłoń z kartą.

Stojący obok Thrawna Pellaeon westchnął ze zniecierpliwieniem.

– Kartę podrzuci na pokład „Dzikiego Karrde'a" twój Defel – wyjaśnił.

– Ach, jasne! – Na twarzy złodzieja statków zagościł wyraz zrozumienia. – No tak. Bez dwóch zdań zdoła się wślizgnąć na pokład tak, by nikt nie zauważył.

– Oby – mruknął Thrawn lodowatym tonem. – Bo nie zapomniałem o twoim udziale w doprowadzeniu do śmierci porucznika Koska i jego ludzi. Masz wobec Imperium dług, Ferrier. I lepiej, żebyś go spłacił.

– Jasne. – Złodziej statków zbladł dostrzegalnie. – Rozumiem, panie admirale.

– Świetnie – uciął dalszą dyskusję Thrawn. – Pozostaniesz na swoim statku, dopóki wywiad nie przekaże ci informacji na temat lokalizacji spotkania planowanego przez Karrde'a. Później możesz działać według uznania.

– Oczywiście – potwierdził Niles, upychając kartę w kieszeni bluzy. – No to… Co mam robić po tym, jak już rozprawicie się z Karrde'em?

– Będziesz mógł się zająć swoimi sprawami – stwierdził wielkodusznie Thrawn. – Gdybym znów cię potrzebował, dam ci znać.

Wargi Ferriera drgnęły zauważalnie.

– Oczywiście – powtórzył.

Przyglądając mu się, Pellaeon stwierdził, że mężczyzna zaczął powoli zdawać sobie sprawę z tego, jak wielki ma dług wobec Imperium…

Rozdział 16

Planeta, która ukazała się ich oczom, była zielono-błękitna, o powierzchni nakrapianej tu i ówdzie plamkami bieli – nie odstawała pod tym względem od większości światów, na które Han trafił w swoim życiu. Tym, co ją od nich różniło, był fakt, że nie miała nazwy.

Ani kosmoportów. Podobnie jak placówek orbitalnych, a także miast, zakładów energetycznych czy innych statków. Jeśli chodzi o ścisłość, nie było tu w ogóle zbyt wiele poza samą przyrodą.

– A więc to tutaj, co? – zagadnął Marę.

Nie odpowiedziała. Gdy obejrzał się na nią przez ramię, spostrzegł, że dziewczyna wpatruje się w widniejący przed nimi glob.

– No to jak? To ona czy nie ona? – powtórzył pytanie z naciskiem.

– Tak, to ona – potwierdziła Mara Jade dziwnie głucho. – Jesteśmy.

– Świetnie – mruknął Han, przyglądając jej się nadal ze zmarszczonym czołem. – Cudownie. Powiesz nam, gdzie jest ta cała góra? Czy mamy po prostu latać w kółko, żeby przekonać się, skąd zaczną do nas strzelać?

– To mniej więcej w pół drogi między równikiem a biegunem północnym – wyjaśniła, jakby ocknęła się z zamyślenia. – W pobliżu wschodniej krawędzi głównego kontynentu. Samotna góra wznosząca się nad lasy i pola.

– W porządku. – Solo zaczął wpisywać informacje do komputera, licząc na to, że czujniki tym razem nie zawiodą. Od chwili rozpoczęcia tej podróży Mara poczyniła już wystarczającą liczbę zjadliwych komentarzy na temat funkcjonowania systemów „Sokoła”.

Drzwi do kokpitu za jego plecami otworzyły się i do środka weszli Lando z Chewbaccą.

– I jak tam? – spytał Calrissian. – Jesteśmy już?

– Tak – potwierdziła Mara, nim Solo zdążył odpowiedzieć.

Chewbacca zaryczał pytająco.

– Nie, wygląda to na miejsce niezbyt zaawansowane technologicznie. – Han pokręcił głową. – Żadnych śladów źródeł zasilania czy łączności.

– Bazy wojskowe? – podsunął Lando.

– Jeśli tu są, to żadnej z nich nie namierzyłem – doniósł Solo.

– Hm, ciekawe – mruknął Calrissian, zerkając nad ramieniem Mary. – Wielki admirał nie wygląda mi na kogoś, kto nie zadbałby o odpowiednią ochronę w takim miejscu.

– To miał być prywatny magazyn – przypomniała mu kwaśno. – Nie wystawa imperialnego sprzętu. Nie rozmieszczono tu żadnych garnizonów ani centrów dowodzenia, które mógłby wykorzystać Thrawn.

– A więc cokolwiek strzeże tej góry, będzie w jej wnętrzu? – upewnił się Solo.

– Plus najprawdopodobniej kilka patroli naziemnych na zewnątrz – potwierdziła Jade. – Z pewnością nie powinniśmy się jednak spodziewać żadnych eskadr myśliwców czy systemów ciężkiego uzbrojenia.

– Och, to byłaby miła odmiana – skwitował cierpko Lando.

– Chyba że Thrawn postanowił sam zadbać o kilka garnizonów – zauważył Solo. – Lepiej z Chewiem przygotujcie działka, tak na wszelki wypadek.

– Jasne.

Gdy wyszli. Han skierował statek do podejścia nad powierzchnię, a następnie rozpoczął sekwencję omiatania terenu czujnikami.

– Jakieś kłopoty? – spytała Mara.

– Nie, raczej nie – mruknął, wpatrując się w odczyty na wyświetlaczach. Wokół rzeczywiście nie było widać nic niepokojącego. – Ale po drodze kilka razy wydawało mi się, że mamy coś na ogonie…

– Calrissian twierdził, że również coś zauważył, gdy zmienialiśmy kurs w pobliżu Obroa-skai – stwierdziła Jade, także zerkając na ekran. – Jeśli rzeczywiście coś tam jest, to musi mieć naprawdę dobry system maskowania.

– Albo to po prostu wina usterki – westchnął Han. – Nasz Fabritech ostatnio często szwankuje.

Mara wyciągnęła szyję, żeby zerknąć na prawo.

– Czy to możliwe, by ktoś nas śledził aż tutaj z Coruscant?

– Ale kto wiedział, że odlatujemy? – odpowiedział pytaniem Solo. Nie, nic tam nie było. Najwyraźniej wyobraźnia po prostu płatała mu figle. – Jak dużą część tego prywatnego magazynku miałaś okazję obejrzeć?

Powoli odwróciła głowę w przód. Nie sprawiała wrażenie zbyt pewnej siebie.

– Niewiele ponad trasę od wejścia do sali tronowej na szczycie – wyznała. – Ale wiem, gdzie znajduje się grota z cylindrami Spaarti.

– A co z generatorami mocy?

– Nie widziałam ich – poinformowała go. – Ale słyszałam coś na temat tego, że system chłodzenia pobiera wodę z rzeki płynącej w dół północno-wchodniego zbocza góry. Prawdopodobnie będą gdzieś w tamtej okolicy.

Han przygryzł wargę.

– A główne wrota znajdują się po stronie południowo-zachodniej…

– To jedyne wrota – poprawiła go. – Jest tylko jedno wejście i wyjście.

– Słyszałem to już nieraz.

– Ale tym razem naprawdę tak jest.

– W porządku – rzucił. Wzruszył ramionami. Nie było sensu się o to wykłócać, przynajmniej dopóki nie będą mieli okazji osobiście rzucić na wszystko okiem.

Drzwi do kokpitu znów się otworzyły, a gdy obejrzał się przez ramię, zobaczył wchodzącego do środka Luke’a.

– Jesteśmy, młody – powiedział Han do niego.

– Wiem. – Skywalker uszedł kawałek do przodu, by zatrzymać się koło Jade. – Mara mi powiedziała.

Han obejrzał się na dziewczynę. O ile był to w stanie stwierdzić, przez całą drogę starała się unikać Luke’a jak ognia, co nie było łatwe na statku wielkości „Sokoła”. Jedi szedł jej na rękę, trzymając się od niej z dala, co również wymagało nie lada zachodu.

– Och, czyżby?

– Tak – potwierdził Luke jak gdyby nigdy nic, wyglądając przez iluminator na zielono-niebieską planetę. – A więc to jest Wayland…

– To jest Wayland – powtórzyła krótko Mara, rozpinając uprząż, wstając i przeciskając się obok niego. – Będę na tyłach – rzuciła przez ramię i wyszła z kabiny.

– Rany, dobrana z was para, nie ma co – mruknął Han, gdy drzwi zamknęły się za nią.

– Żebyś wiedział – odparł Luke, zajmując zwolnione przez nią miejsce drugiego pilota. – Powinieneś był widzieć, jak świetnie się zgraliśmy, odbijając Karrde'a z pokładu „Chimaery". Dobrze jest mieć taką osobę u boku.

Solo spojrzał na niego z ukosa.

– Chyba że chce cię w ten bok dźgnąć nożem.

– Jestem gotów podjąć to ryzyko. – Luke uśmiechnął się pod nosem. – To pewnie jedna z tych naszych wariackich gierek Jedi – dodał półżartem.

– To nie jest śmieszne, Luke – zganił go Solo. – Wiesz, że ona wcale nie zrezygnowała z zamiaru zabicia ciebie? Powiedziała o tym Lei na Coruscant.

– Co tylko potwierdza, że tak naprawdę wcale tego nie chce – upierał się Skywalker. – Gdy ludzie mają zamiar kogoś zamordować, raczej nie trąbią o tym wszem i wobec. A już szczególnie nie informują o tym rodziny upatrzonej ofiary.

– A więc chcesz ryzykować życie?

Luke wzruszył nieznacznie ramionami.

– Już to robiłem.

„Sokół" sunął teraz przez zewnętrzne warstwy atmosfery i komputer wreszcie namierzył prawdopodobną lokalizację góry Tantiss.

– Cóż, jeśli chcesz znać moje zdanie, to nie jest najlepsza pora na podejmowanie podobnego ryzyka – poinformował Skywalkera Solo, obrzucając krytycznym spojrzeniem mapę czujników. Uznał, że najlepiej będzie podejść prosto od południa: dzięki temu zarówno podczas lądowania, jak i podróży do stóp góry będą mogli skorzystać z osłony zapewnianej przez las.

– A masz jakiś lepszy pomysł? – parsknął Luke.

– Skoro już o to pytasz, to tak – mruknął Han, biorąc kurs na majaczącą w oddali górę. – Zostawmy ją na pokładzie „Sokoła”.

– Żywą?

Han pomyślał, że w jego życiu bywały chwile, w których podobne pytanie wcale nie brzmiało niedorzecznie.

– Oczywiście, że żywą – burknął. – Istnieje mnóstwo sposobów na upewnienie się, że nie narobi nam kłopotów.

– Naprawdę sądzisz, że zgodzi się, abyśmy ją zostawili?

– Nikt nie mówił, że zapytamy ją o zdanie.

Skywalker pokręcił głową.

– Nie możemy tego zrobić, Han. Ona musi wziąć w tym udział.

– Co dokładnie masz na myśli? – warknął. – Atak na fabrykę klonów czy zabicie ciebie?

– Nie wiem – wyznał cicho Luke. – Może jedno i drugie.

Przed dołączeniem do Sojuszu Rebeliantów Han nie przepadał zbytnio za lasami. Nie mógł jednak powiedzieć, by darzył je też jakąś specjalną niechęcią. Nie były po prostu czymś, czemu przeciętny przemytnik był skłonny poświęcać szczególną uwagę. Przez większość czasu ta praca polegała na podejmowaniu ładunków i zostawianiu ich w obskurnych kosmoportach, takich jak Mos Eisley czy Abregado-rae, a podczas tych nielicznych okazji, gdy spotkanie odbywało się w lesie, klient obserwował otoczenie, przemytnik musiał patrzeć mu na ręce. Wskutek takiego stanu rzeczy Han nabrał niejasnego przeświadczenia, że wszystkie lasy są właściwie takie same.

Wszystko zmieniło się jednak, gdy związał swoje losy z Sojuszem. Obcując ze środowiskiem naturalnym takich planet jak Endor, Corstris, Fedje i kilkunastu innych światów, przekonał się na własnej skórze – czasem w bardzo bolesny sposób – że każdy las ma własną faunę, florę, a także mnóstwo niemiłych niespodzianek czyhających na postronnego przybysza. Cóż, to była tylko jedna z wielu rzeczy, o których Han wiedział teraz o wiele więcej, niżby chciał.

Waylandzki las idealnie się wpisywał w ten schemat. Pierwszą niespodzianką była konieczność rozgryzienia, w jaki sposób przeprowadzić „Sokoła” przez gęste korony drzew, nie pozostawiając przy tym dziury, której nie przeoczyłby żaden z przeczesujących okolicę myśliwców TIE. W tym celu najpierw musieli znaleźć odpowiednią lukę – w tej sytuacji powstałą na skutek zwalenia się drzewa – a następnie wprowadzić w nią statek bokiem, co było manewrem znacznie trudniejszym do wykonania w polu grawitacyjnym planety niż na przykład w polu asteroid. Drugą niespodzianką okazała się wtórna warstwa koron drzew, o której istnieniu dowiedział się mniej więcej w połowie pierwszej. Nim udało mu się w miarę ustabilizować pozycję „Sokoła” i sprowadzić go na ziemię, skosił równy rządek czubków niższych drzew, a podczas lądowania połamał całą masę zarośli.

– Ładne lądowanie – skomentował z przekąsem Lando, rozcierając pod pasami uprzęży obolałe ramiona, podczas gdy Han wyłączał repulsory.

– Przynajmniej nie straciliśmy anteny – odburknął uszczypliwie Solo.

– Nigdy mi tego nie zapomnisz, co? – Lando się skrzywił.

Han wzruszył ramionami, wpisując algorytm wyszukiwania w okolicy form życia. Czas się przekonać, co jeszcze kryje w zanadrzu ta planeta.

– Obiecałeś mi, że nawet go nie draśniesz – przypomniał przyjacielowi z wyrzutem.

– Jasne, nie ma sprawy – burknął Calrissian. – Następnym razem to ja zajmę się niszczeniem generatora pola energetycznego, a ty polecisz sobie na wycieczkę w trzewia Gwiazdy Śmierci. Wiesz, wcale się przy tym dobrze nie bawiłem. Jeśli Imperium zdoła odzyskać dawne wpływy i środki, Thrawn może się pokusić o budowę kolejnego takiego cholerstwa.

– Jesteśmy gotowi – przerwał im sprzeczkę Luke, zaglądając do kokpitu. – Jak tam sytuacja?

– Nie jest źle – mruknął Solo, zerkając na odczyty. – Mamy tu trochę zwierząt, ale póki co trzymają się z dala.

– Jakich rozmiarów są te stworzenia? – zainteresował się Calrissian, pochylając nad ramieniem Hana, żeby też rzucić okiem na ekran.

– I jak duże stado tworzą? – dodał Skywalker.

– Około piętnastu osobników – wyjaśnił Solo. – Nic, czemu w razie konieczności nie dalibyśmy rady. Chodźmy, przyjrzyjmy się temu bliżej…

Mara i Chewbacca czekali już na nich obok włazu, wraz z R2-D2 i C-3PO, który dla odmiany trzymał złotą buzię na kłódkę.

– Chewie i ja pójdziemy przodem – zarządził Solo, dobywając blastera. – Wy miejcie oczy i uszy otwarte, i na razie nigdzie się stąd nie ruszajcie.

Gdy dotknął przycisku, właz otworzył się, a trap opadł, z głuchym chrzęstem przygniatając warstwę suchych liści. Han zaczął po nim schodzić, starając się patrzeć jednocześnie we wszystkich kierunkach naraz…

Pierwsze zwierzę dostrzegł, nim jeszcze postawił stopę na ziemi: było szare, o biało nakrapianym grzbiecie, i miało może jakieś dwa metry długości – od pyska do pędzelka na ogonie. Przycupnęło pod jednym z pobliskich pni drzew, przyglądając mu się czujnie paciorkowatymi oczami. Jeśli sądzić po ostrych kłach i szponach, bez dwóch zdań miał do czynienia z drapieżnikiem.

Idący obok niego Chewbacca zamruczał cicho.

– Tak, tak, widzę je – odmruknął Han. – W pobliżu powinno być gdzieś jeszcze czternastu jego ziomków. Czy coś koło tego.

Wookiee znów zawarczał, wymachując włochatą łapą.

– Racja – przytaknął Han powoli, nie spuszczając drapieżnika z oka. – Wygląda znajomo. Coś jak te panthaki z Mantessy?

Chewbacca rozważał przez chwilę jego sugestię, jednak wreszcie zaryczał przecząco.

– Cóż, mniejsza o to. Będziemy się nad tym zastanawiali później – zadecydował Solo. – Luke?

– Tak? – spytał stojący nadal we włazie Skywalker.

– Zacznijcie z Marą wyładowywać sprzęt – polecił mu przyjaciel, obserwując uważnie drapieżnika. Najwyraźniej zwierzę nie przejmowało się odgłosami rozmowy. – Zacznijcie od skuterów

repulsorowych. Lando? Będziesz nas osłaniał z góry. Zachowaj czujność.

– W porządku – potwierdził Calrissian.

Zza jego pleców dobiegła seria stuków i kliknięć, gdy Luke i Mara uwalniali pierwsze dwa skutery z blokad, a później cichy szum, kiedy aktywowali repulsory pojazdów.

I nagle, wśród chrzęstu listowia i trzasku gałęzi, drapieżnik skoczył…

– Chewie! – zdążył tylko wykrztusić Han, nim zwierzę rzuciło się w jego stronę. Wystrzelił, trafiając je w sam środek korpusu i w ostatniej chwili zanurkował w bok, usuwając się z drogi bezwładnego cielska. Chewbacca tymczasem, z wojennym okrzykiem Wookieech na pysku, robił dobry użytek ze swojej kuszy, strzelając raz za razem w coraz to nowym kierunku, gdy spośród drzew wynurzały się kolejne drapieżniki, szarżując wprost na nich. Od strony włazu dobiegł okrzyk i po chwili powietrze przeciął kolejny strzał.

Kątem oka Han dostrzegł pełną ostrych kłów paszczę, zbliżającą się do niego zbyt szybko, by zdołał jej uniknąć…

Odruchowo osłonił twarz przedramieniem, chowając głowę w ramiona i starając się maksymalnie oddalić od zwierzęcia… które chwilę później zwaliło się na niego całym ciężarem, ścinając go z nóg. Poczuł nacisk i przeszywający ból, gdy szpony przebiły jego kamuflującą kurtkę…

I nagle ciężar cielska zniknął. Solo opuścił ramię – w samą porę, by zobaczyć, jak zwierzę wbiega na trap i przygotowuje się do skoku na pokład „Sokoła”… Obrócił się i wypalił – w tej samej chwili, w której drapieżnika trafił strzał oddany z wnętrza statku.

Chewbacca zawarczał ostrzegawczo. Wciąż rozciągnięty na plecach Solo przetoczył się na bok… tylko po to, by zobaczyć kolejne trzy stwory pędzące w jego stronę. Jednego z nich położył dwoma szybkimi strzałami i właśnie miał wziąć na cel kolejnego drapieżnika, gdy tuż przed jego twarzą wylądowała para nóg obutych w czarne, wysokie buty. Zwierzęta skoczyły – wprost na smugę rozmazanego, żywozielonego światła… i chwilę później upadły martwe na ziemię.

Odturlawszy się kawałek w bok, Solo zerwał się na równe nogi i rozejrzał pospiesznie dookoła. Tuż przed nim kucał Luke, z mieczem świetlnym w pogotowiu. Stojącego po drugiej stronie trapu Chewbaccę otaczały trzy cielska martwych bestii.

Han spojrzał na truchło leżące u jego stóp. Teraz, gdy mógł mu się lepiej przyjrzeć…

– Uważaj! – krzyknął Skywalker. – Tam są jeszcze trzy!

Han obejrzał się za siebie. Rzeczywiście, widział przyczajone między drzewami dwa stworzenia.

– Powinny się już trzymać z dala – uznał. – Czy któremuś udało się dostać na pokład?

– Nie zdołało zajść zbyt daleko – skwitował Luke. – Co takiego zrobiliście, że zaatakowały?

– Nic nie zrobiliśmy – zapewnił go Solo, chowając blaster do kabury. – Zareagowały na odgłos silników skuterów, kiedy uruchomiliście je z Marą.

Chewbacca zawarczał, gdy nagle to do niego dotarło.

– Właśnie, stary – przytaknął Solo. – To wtedy się na nas rzuciły.

– Co to właściwie jest? – spytał Luke.

– Nazywają je garralami – wyjaśniła ze szczytu trapu Mara. Kucając z blasterem w pogotowiu, przypatrywała się czujnie martwym zwierzętom wokół Chewbakki. – Imperium używało ich w charakterze psów obronnych, zazwyczaj w pobliżu garnizonów leżących na pograniczu mocno zalesionych obszarów, gdzie nie sprawdzały się czujki w postaci droidów. Najwyraźniej ultradźwiękowa sygnatura repulsorów przypomina odgłosy wydawane przez któryś z gatunków, na który polują. Przyciąga je jak magnes.

– A więc to dlatego siedziały tu i czekały na nas – domyślił się Luke, wyłączając swój miecz, jednak nie przypinając go z powrotem do pasa.

– Potrafią usłyszeć repulsory statku z wielu kilometrów – dodała Mara. Zeskoczyła z trapu i przyklękła przy jednym z martwych garrali, a potem wsunęła dłoń w sierść na jego szyi. – Co oznacza, że jeśli wyposażono je w czipy, kontrolerzy w górze Tantiss będą wiedzieli, że się tu zjawiliśmy…

– Cudowne – jęknął Han, kucając przy ciele rozciągniętym u jego stóp. – Czego mam szukać? Czegoś w stylu obroży?

– Możliwe – przytaknęła dziewczyna. – Sprawdź też okolice nóg.

Zajęło im to kilka minut, ale koniec końców zyskali pewność, że żadne z martwych zwierząt nie zostało oznakowane.

– To pewnie potomkowie grupy, którą sprowadzono pierwotnie do ochrony góry – podsunął Lando.

– Albo po prostu stąd właśnie pochodzą – zauważyła Mara. – Nie mam pojęcia, skąd je sprowadzano.

– Tak czy inaczej, oznaczają kłopoty – podsumował Solo, strącając zwłoki ostatniego zwierzęcia z trapu „Sokoła" w usłane suchymi liśćmi poszycie. – Skoro nie możemy używać skuterów, czeka nas spacer…

Gdzieś z góry dobiegł cichy elektroniczny gwizd.

– Proszę wybaczyć, sir – odezwał się C-3PO. – Ale czy dotyczy to również Artoo i mnie?

– Chyba że niedawno nauczyliście się latać – odparował Han Solo.

– Cóż, sir… Wydaje mi się, że szczególnie Artoo nie jest zbyt dobrze przystosowany do tego typu wędrówek po lesie – zauważył grzecznie złocisty droid. – Jeśli nie możemy skorzystać z platformy towarowej, być może uda się znaleźć jakieś inne rozwiązanie…

– Rozwiązanie jest takie, że będziecie szli pieszo jak cała reszta – uciął Solo. Wdawanie się w długie dyskusje z C-3PO nie było jego wymarzonym sposobem na spędzenie reszty dnia. – Daliście radę na Endorze, to poradzicie sobie i tutaj.

– Ale na Endorze nie musieliśmy pokonywać tak długiej trasy – przypomniał mu cicho Luke. – Z tego miejsca to będą jakieś dwa tygodnie marszu.

– Nie jest aż tak źle – stwierdził Solo, dokonując pobieżnych obliczeń. Owszem, nie było aż tak źle, jednak nie było też różowo. – Osiem, góra dziewięć dni. Może kilka więcej, jeśli napotkamy jakieś problemy.

– Och, napotkamy je, masz to jak w banku – zapewniła go kwaśno Mara, siadając na trapie i opuszczając blaster na podołek. – W tej jednej kwestii możesz mi zaufać.

– Jak sądzę, tubylcy nie będą zbyt przyjaźnie nastawieni? – spytał Lando.

– Spodziewam się, że powitają nas kuszami – odparła Jade. – Planetę zamieszkują dwie rdzenne rasy: Psadanie i Myneyrshowie. Żaden z gatunków nie darzył ludzi zbytnią miłością, jeszcze nim Imperium zajęło górę Tantiss.

– W takim razie przynajmniej nie będą po jego stronie – skwitował Lando.

– To marna pociecha – burknęła. – A gdyby nawet oni zostawili nas w spokoju, to wystarczającym zagrożeniem będą miejscowe drapieżniki. Będziemy mieli szczęście, jeśli uda nam się tam dotrzeć w ciągu dwunastu czy trzynastu dni. O ośmiu czy dziewięciu nie mamy nawet co marzyć.

Han spojrzał na las… kątem oka łowiąc jakiś ruch. Jego uwagę przykuło coś zdecydowanie niepokojącego…

– No to… trzymajmy się wersji dwunastodniowego marszu – zaproponował. Nagle uznał, że to bardzo ważne, by wyruszyli w drogę jak najszybciej. – Lando, Mara? Przygotujcie sprzęt, który będziemy musieli zabrać ze sobą. Chewie? Wypakuj z pakietów przetrwania wszystkie racje żywnościowe. Dzięki temu powinno nam starczyć jedzenia. Luke, ty i droidy skierujcie się w tamtą stronę – wskazał ręką – i sprawdźcie, czy znajdziecie tam jakąś ścieżkę. Może wyschnięte koryto strumienia? Powinniśmy być dość blisko góry, by trafić w pobliżu na coś takiego.

– Tak jest, sir – zameldował żwawo C-3PO, zaczynając schodzić po trapie. – Chodź, Artoo.

Reszta potwierdziła gotowość do wypełnienia swoich zadań, kierując się w głąb statku.

Solo zaczął schodzić po trapie, gdy poczuł na ramieniu dłoń Luke’a.

– O co chodzi? – spytał go cicho Jedi.

– Te garrale, które nam się wcześniej przyglądały… – Han kiwnął głową w stronę lasu. – Zniknęły.

– Czy odeszły wszystkie? – Luke obejrzał się za siebie.

– Nie wiem. Nie widziałem, jak odchodzą.

Skywalker zacisnął mocniej palce na rękojeści miecza.

– Sądzisz, że to sprawka imperialnego patrolu?

– Albo po prostu stada tych zwierząt, na które według Mary polują. Wyczuwasz coś?

Luke wciągnął głęboko w płuca powietrze i powoli je wypuścił.

– Nie odbieram żadnych sygnałów z bezpośredniej okolicy – powiedział. – Ale mogą być po prostu poza zasięgiem. Sądzisz, że powinniśmy przerwać tę misję?

– Jeśli to zrobimy, zaprzepaścimy naszą najlepszą szansę. – Han pokręcił głową. – Kiedy Imperium się zorientuje, że znaleźliśmy fabrykę klonów, nie będą mieli powodu, by dłużej udawać, że to jakaś zapadła dziura na galaktycznym zadupiu. Nim zdołamy tutaj wrócić z oddziałem zadaniowym, zdążą tu przysłać flotę gwiezdnych niszczycieli.

– Też tak sądzę. – Jedi się skrzywił. – I chyba masz rację. Jeżeli namierzyli „Sokoła", im szybciej się stąd zawiniemy, tym lepiej. Czy nim wyruszymy, prześlesz na Coruscant współrzędne?

– Nie wiem. – Solo podniósł wzrok na górujący nad nim statek, próbując nie myśleć o tym, że imperialni mogliby położyć na nim swoje wstrętne łapy. – Jeżeli te zwierzaki spłoszył patrol, nie zdołamy dostroić nadajnika na pasmo dość wąskie, by nie przechwycili wiadomości. Na pewno nie przy jego ostatnich kaprysach.

– Ciężka sprawa – mruknął Luke, również zerkając na frachtowiec. – Bo jeśli wpadniemy w tarapaty, nie będą mieli pojęcia, dokąd wysłać wsparcie…

– Hm, racja. Jeżeli sygnał zostanie namierzony przez imperialny patrol, z pewnością możemy się spodziewać tarapatów – odparł Solo. – Jestem otwarty na propozycje.

– A może bym został kilka godzin za wami w tyle? – podsunął Jedi. – Gdyby do tego czasu nie pojawili się tu ludzie Imperium, można by chyba bezpiecznie nadać wiadomość…

– Zapomnij. – Han pokręcił głową. – Musiałbyś podróżować sam i mało prawdopodobne, żebyś nas znalazł.

– Mimo to byłbym skłonny zaryzykować.

– A ja nie – burknął Solo. – Nie mówiąc już o tym, że zawsze, gdy wypuszczasz się gdzieś samopas, mam przez to kłopoty.

– Cóż, czasem rzeczywiście tak bywa. – Skywalker uśmiechnął się smutno.

– Jak jasna cholera. Chodź, tracimy tylko niepotrzebnie czas. Rusz się i znajdźmy jakąś drogę.

– W porządku – skapitulował Luke, wzdychając ciężko, jednak nie sprawiał wrażenia zbytnio poirytowanego. Może od początku wiedział, że to nie był zbyt dobry pomysł… – Threepio? Artoo! W drogę.

Pierwsza godzina okazała się najtrudniejsza. Ledwie widoczna w leśnej gęstwie ścieżka, którą znalazł R2-D2, doprowadziła ich po niecałych stu metrach do kępy ciernistych krzaków, zmuszając ich do torowania sobie drogi przez plątaninę zarośli. Przedostając się przez nie, wypłoszyli kolejnych przedstawicieli lokalnej fauny, w związku z czym byli zmuszeni zmarnować kilka cennych minut na strzelanie do gniazda sześcionogich, mierzących po pół metra stworzeń, które wyroiły się z niego, atakując ich długimi szponami i kłapiąc paszczękami pełnymi ostrych kłów. Na szczęście ich pazury i zęby były przystosowane do polowania na znacznie mniejszą zwierzynę, więc oprócz C-3PO, który dorobił się kompletnego odcisku uzębienia jednego ze stworów na swojej złocistej nodze, nikt nie odniósł poważniejszych obrażeń i już wkrótce mogli podjąć marsz. Droid protokolarny nie byłby oczywiście sobą, gdyby nie zaczął lamentować głośno nad tym, że padł ofiarą tego straszliwego incydentu i zupełnie sobie nie zasłużył na tak okropne potraktowanie przez bestię. Jego jęki były najprawdopodobniej przyczyną zainteresowania ze strony pokrytego brązowymi łuskami zwierzęcia, które zaatakowało ich kilka minut później. Han chybił, strzelając do stwora, którego pozbyli się dopiero wtedy, gdy Luke użył miecza, by cięciem strącić go z ramienia C-3PO. Po tym wypadku złocisty droid wpadł w jeszcze gorszy nastrój, nim jednak na powrót zaczął narzekać, Han zagroził mu, że wyłączy go i zostawi na pastwę lokalnych padlinożerców – i właśnie wtedy natrafili niespodziewanie na wyschnięte koryto strumienia, na którego znalezienie liczyli od początku. Od tego momentu, dzięki

lepszej trasie i nieatakowani przez miejscowe zwierzęta, poprawili tempo i nim korony drzew nad ich głowami zaczęły ciemnieć wraz ze zbliżającym się zmrokiem, pokonali niemal dziesięć kilometrów.

– Wracają miłe wspomnienia, co? – rzuciła ironicznie Mara, zdejmując plecak i kładąc go na ziemi obok jednego z niewielkich krzewów porastających brzegi wyschniętego strumienia.

– Całkiem jak na Myrkr – zgodził się z nią Luke, wycinając mieczem świetlnym kolejny ciernisty krzak, do których widoku przywykli już w ciągu ostatnich kilku godzin. – Wiesz, właściwie to nigdy nie zapytałem cię, co się wydarzyło po tym, jak odlecieliśmy…

– Nic, czego nie można by się spodziewać – burknęła. – Udało nam się dać nogę tuż przed tym, jak do bazy wkroczyły AT-AT Thrawna. Poza tym mało brakowało, by nas nakryli, gdy Karrde uparł się, żeby zaczaić się w pobliżu i obserwować rozwój wypadków.

– Czy właśnie dlatego nam pomagasz? – spytał ją. – Bo Thrawn wyznaczył nagrodę za głowę Karrde'a?

– Słuchaj no, Skywalker, wyjaśnijmy sobie pewną rzecz – warknęła. – Pracuję dla Karrde'a, a on powiedział już wyraźnie, że w tej waszej wojence nie będziemy się opowiadać po żadnej ze stron. Jedynym powodem, dla którego tu jestem, jest to, że wiem co nieco o wojnach klonów i nie mam ochoty patrzeć, jak banda zimnookich duplikatów o kamiennych twarzach znów zalewa galaktykę. A jedyny powód, dla którego jesteś tu i ty, jest taki, że nie zdołam sama zamknąć tej jego małej fabryczki.

– Rozumiem – powiedział Luke, wycinając drugi krzew. Wyłączył miecz świetlny, podniósł oba krzaki Mocą i opuścił je na dno koryta. – Cóż, to raczej nie powstrzyma nikogo naprawdę zdeterminowanego, by nas dorwać – stwierdził, obrzucając krytycznym spojrzeniem swoją prowizoryczną blokadę. – Ale przynajmniej powinno go nieco spowolnić.

– Nie na długo – mruknęła Jade, wyciągając rację żywnościową i odwijając ją z opakowania. – Miejmy tylko nadzieję, że to nie jedno z tych cudownych miejsc, w których w nocy wychodzą na żer naprawdę duże drapieżniki…

– Przy odrobinie szczęścia czujniki Artoo wykryją je, nim zanadto się do nas zbliżą – pocieszył ją Skywalker. Zapalił znów swój miecz świetlny i wyciął jeszcze dla pewności dwa krzaki.

Przygotował się właśnie do wyłączenia broni, gdy nagle wyczuł lekką zmianę w aurze dziewczyny… Gdy się odwrócił, zobaczył, że przygląda się jego mieczowi z nietkniętą racją w opuszczonej dłoni i dziwnie udręczonym wyrazem twarzy.

– Maro? – zagadnął ją. – Wszystko w porządku?

Szybko odwróciła od niego wzrok, jakby przyłapał ją na gorącym uczynku.

– Jasne – wymamrotała. – Nic mi nie jest. – Łypnąwszy na niego spode łba, wgryzła się z furią w batonik.

– Skoro tak mówisz. – Wyłączywszy miecz, przeniósł Mocą dwa krzewy na stertę, umieszczając je na poprzednich. Spojrzał na swoje dzieło i uznał, że to wciąż za mało. Może gdyby zdołał rozciągnąć między drzewami nieco tych pnączy…

– Skywalker…

Odwrócił się w jej stronę.

– Tak?

Patrzyła na niego z dziwnie napiętą twarzą.

– Muszę o to spytać – powiedziała cicho. – Bo jesteś jedyną osobą, która to wie. Jak… jak zginął Imperator?

Luke przez chwilę przyglądał jej się badawczo. Nawet w szybko zapadającym zmroku widział ból w jej oczach, gorzkie wspomnienia życia w dostatku i świetlanej przyszłości, którą odebrano jej na Endorze. Jednak oprócz cierpienia była w nich również silna determinacja. Choć mogło ją to mocno zaboleć, rzeczywiście chciała usłyszeć prawdę.

– Imperator próbował przeciągnąć mnie na ciemną stronę – wyjaśnił cicho. Na wpół zatarte przez czas wspomnienia wróciły z nową siłą… i nową falą bólu. Mało brakowało, a to on, nie Imperator, zginąłby tamtego dnia. – Niemal mu się to udało. Ledwie zdążyłem zaatakować, do walki włączył się Vader. Imperator sądził chyba, że gdybym zabił jego ucznia w gniewie, otworzyłbym się dzięki temu na jego wpływ i ciemną stronę.

– A więc zamiast tego rzuciliście się na niego obaj – stwierdziła oskarżycielsko dziewczyna, piorunując go gniewnym wzrokiem. – Zwróciliście się przeciwko niemu… obaj…

– Chwileczkę – zaprotestował. – Nie atakowałem go. Nie po tej początkowej nieudanej próbie.

– Co chcesz mi wmówić? – warknęła. – Widziałam to! Widziałam was! Obaj ruszyliście na niego z mieczami świetlnymi. Widziałam, jak to robicie!

Luke wpatrywał się w nią z niedowierzaniem… i nagle do niego dotarło: Mara Jade, Ręka Imperatora, która słyszała jego głos w każdym zakątku galaktyki… Miała kontakt ze swoim mistrzem w chwili jego śmierci i widziała to wszystko jego oczami.

Tyle tylko, że jakimś cudem źle to zinterpretowała.

– Nie zaatakowałem go, Maro – powtórzył. – Chciał mnie zabić, gdy Vader schwycił go i cisnął do szybu. A ja nie byłem w stanie wówczas nic zrobić, nawet gdybym chciał. Wciąż byłem na wpół sparaliżowany wyładowaniami, którymi mnie poraził.

– Co masz na myśli, mówiąc „nawet, gdybym chciał”? – prychnęła Jade. – Przecież właśnie po to przeniknąłeś na pokład Gwiazdy Śmierci, czyż nie?

– Nie. – Pokręcił głową. – Poszedłem tam, żeby spróbować zawrócić Vadera ze ścieżki mroku.

Odwróciła się od niego. Wyczuwał kłębiące się w niej sprzeczne emocje.

– Dlaczego niby miałabym w to uwierzyć? – spytała wreszcie.

– A po co miałbym cię okłamywać? – odpowiedział pytaniem. – To jednak nie zmieni faktu, że gdyby mnie tam nie było, Vader nie zwróciłby się przeciwko niemu. Gdy spojrzeć na to w ten sposób, prawdopodobnie nadal odpowiadam za jego śmierć.

– O tak, nie da się zaprzeczyć – stwierdziła ostro, jednak zawahała się chwilę, nim dodała: – I nie zapomnę ci tego.

Luke pokiwał w milczeniu głową, czekając, aż dziewczyna doda coś jeszcze. Nie zrobiła tego jednak, więc po chwili skupił się znów na stercie krzaków.

– Na twoim miejscu nie przesadzałabym z tym zbytnio – dobiegł go zza pleców jej ironiczny głos. Znów była opanowana i rzeczowa.

– Lepiej, żebyśmy nie utknęli tu, jeśli przez tę barykadę przedrze się coś wielkiego.

– Racja – stwierdził, łapiąc w lot aluzję ukrytą za trafną skądinąd uwagą. Mieli zadanie do wykonania, a dopóki nie wypełnią tej misji, wciąż potrzebowała go żywego.

A gdy już zrobią, co do nich należy, będzie musiała stawić czoła przeznaczeniu, które zgotował jej los… albo wybrać nową ścieżkę.

Wyłączywszy miecz, minął ją, kierując się w stronę reszty członków ich zespołu zajętych rozbijaniem obozowiska. Musiał sprawdzić, jak sobie radzą droidy.

Rozdział 17

Drzwi do Auli Zgromadzeń otworzyły się i na Wielki Korytarz zaczęła się wylewać fala istot i droidów porozumiewających się w licznych językach. Leia zerknęła na idącą u jej boku Winter i kiwnęła jej głową.

Nadeszła pora na ich małe przedstawienie.

– Czy wydarzyło się coś jeszcze, o czym powinnam wiedzieć? – spytała ją, gdy znalazły się w pobliżu wartkiego strumienia istot i droidów.

– Nadeszła dość… niezwykła odpowiedź na standardowy raport z Pantolomina – odpowiedziała Winter, pozornie od niechcenia lustrując otaczający ich tłum. – Jeden z łowców nagród twierdzi, że udało mu się przeniknąć do imperialnych stoczni na Ord Trasi i proponuje nam informacje dotyczące ich nowego programu budowy. Oczywiście za odpowiednią cenę.

– Miałam już w życiu do czynienia z tymi szumowinami – stwierdziła Leia, próbując nie rozglądać się zbyt ostentacyjnie dookoła w tłumie mijanych istot. Wystarczyło, że miała u boku Winter. Dzięki swojej pamięci ejdetycznej jej asystentka i przyjaciółka zapamięta wszystkich, którzy znajdą się dość blisko, by podsłuchać ich rozmowę. – Dlaczego pułkownik Derlin sądzi, że możemy zaufać łowcy nagród?

– Nie ma takiej pewności – zaprzeczyła Winter zgodnie ze scenariuszem. – Ale przemytnik dostarczył nam coś, co nazwał „darmową próbką na zachętę”: informację o tym, że w ciągu miesiąca w stoczni zostaną ukończone trzy gwiezdne niszczyciele. Pułkownik Derlin twierdzi, że podpułkownik Harleys stara się właśnie znaleźć jakiś sposób na potwierdzenie tych rewelacji.

Opuściły już Wielki Korytarz, podążając za grupką polityków i ich asystentów, którzy nie rozdzielili się jeszcze, udając się do swoich biur czy sal konferencyjnych.

– To może być niebezpieczna misja – zauważyła księżniczka, rzetelnie wygłaszając wyuczoną kwestię. – Mam tylko nadzieję, że nie zamierza się tam wybrać osobiście…

– Raport nie zawierał żadnych szczegółów – odpowiedziała Winter. – Jednak był tam załącznik z prośbą o autoryzację wypożyczenia frachtowca od kogoś, kto prowadzi interesy z Imperium…

Ostatni z urzędników skręcił w boczny korytarz. Zostały w holu same, otoczone niewielkim tłumem wszelkiego rodzaju techników, asystentów, pracowników administracyjnych i innego personelu niższego szczebla. Leia obrzuciła każdego szybkim spojrzeniem i uznała, że nie ma sensu ciągnąć tej farsy. Zerknęła na Winter, skinęła ponownie głową i ramię w ramię skierowały kroki do turbowind.

Potrzebowały jakiegoś kąta, w którym Ghent mógłby się rozłożyć ze swoim sprzętem tak, by jednocześnie nikt nie zorientował się w tym, co robią, a uważne przestudiowanie oryginalnych planów pałacu dostarczyło im idealnego miejsca. Dawny awaryjny składzik ogniw zasilających został zamknięty i zapieczętowany wiele lat temu. Wciśnięty między biura wydziału zaopatrzenia ogniowego sektora i centrum dowodzenia sekcji myśliwskiej, znajdował się na piętrze dowódczym. Leia wycięła mieczem świetlnym nowe wejście z korytarza serwisowego, a Bel Iblis zadbał o podciągnięcie zasilania i kabli przesyłu danych, po czym Ghent niezwłocznie zabrał się do instalowania sprzętu niezbędnego do operowania systemem deszyfrującym.

Mieli już wszystko, czego potrzebowali. Oprócz wyników…

Gdy dotarły na miejsce, Ghent siedział na jedynym krześle w pomieszczeniu, wpatrzony rozmarzonym wzrokiem w przestrzeń, z nogami wspartymi o krawędź biurka. Był tak pogrążony w rozmyślaniach o sobie tylko wiadomych sprawach, że zauważył je dopiero wtedy, gdy weszły i zamknęły za sobą drzwi.

– Och, cześć! – zawołał na ich widok, z głuchym hukiem opuszczając nogi na podłogę.

– Trochę ciszej! – Leia skrzywiła się na dźwięk hałasu. Oficerowie pracujący w sąsiednich pokojach, przedzielonych jedynie cienkimi

przepierzeniami, prawdopodobnie przypiszą rumor pracownikom pobliskich biur… albo i nie. – Czy generał Bel Iblis dostarczył ci już najnowsze transmisje? – spytała chłopca.

– Taaa, jakąś godzinę temu – potwierdził Ghent, zniżając głos do konspiracyjnego szeptu i kiwając zawzięcie głową. – Właśnie skończyłem je rozpracowywać. – Dotknął jakiegoś przycisku i na wyświetlaczu pojawił się szereg deszyfrowanych wiadomości.

Leia przystanęła za jego krzesłem, przebiegając meldunki wzrokiem. Były tam między innymi detale dotyczące planowanych rozmieszczeń wojsk, coś, co wyglądało na szczegółową transkrypcję rozmów dyplomatycznych wysokiego szczebla, kilka pozbawionych znaczenia pałacowych plotek… Jak zawsze Źródło Delta przechwyciło cały zakres informacji: od tych ważnych aż po zwykłe błahostki.

– O, jest jedna z naszych rozmów – zauważyła Winter, dotykając ekranu.

Leia przeczytała wiadomość: informację na temat niepotwierdzonego raportu wywiadu z układu Bpfassh, sugerującą, że „Chimaera" i jej statki wsparcia zostały zauważone w pobliżu Anchorona. Zgadza się, rozmawiały o tym.

– Ile osób ją słyszało? – spytała Winter.

– Tylko czterdzieści siedem – poinformowała bez mrugnięcia okiem jej asystentka, przeglądając już dane w datapadzie Ghenta. – To było wczoraj po południu, tuż przed trzecią, podczas drugiej sesji Zgromadzenia, i Wielki Korytarz był dość opustoszały.

Leia kiwnęła głową i spojrzała znów na ekran. Nim Winter skończyła przeglądać listę, znalazła jeszcze dwie ich pozorowane rozmowy. A gdy jej przyjaciółka uporała się i z nimi – kolejne pięć.

– Wygląda na to, że to byłoby tyle – powiedziała księżniczka, a tymczasem Winter zdążyła już podać młodemu hakerowi pierwsze trzy spisy i zabrała się do zestawiania pozostałych. – W porządku, spróbujmy to przepuścić przez twój program przesiewający.

– Dobra – mruknął Ghent, rzucając Winter ostatnie, pełne podziwu spojrzenie, nim skupił się na powrót na swojej konsoli. Wdrażali swój plan w życie już trzeci dzień, a on wciąż nie mógł się nadziwić, jakim cudem ta białowłosa kobieta jest w stanie

zapamiętać w najmniejszych szczegółach każdą z piętnastu jednominutowych rozmów. – Sprawdźmy, co my tu mamy. Korelacje… taaa. Ograniczyło nam to liczbę do stu dwudziestu siedmiu pozycji. Wygląda na to, że to głównie technicy i administratorzy. A także kilku pozaświatowych dyplomatów.

– Żaden z nich nie powinien mieć dostępu do wszystkich tych informacji – stwierdziła Leia, kręcąc głową i wskazując na ekran komputera deszyfrującego. – To musi być ktoś zdecydowanie wyżej postawiony w hierarchii dowodzenia…

– Chwila – wszedł jej w słowo Ghent, podnosząc palec. – Chce pani grubej ryby? Oto ona. Radca Sian Tevv z Sullusta.

– Ale to… niemożliwe. – Księżniczka spojrzała na ekran, marszcząc czoło. – Tevv był jednym z pierwszych przywódców Sojuszu Rebeliantów. Wydaje mi się, że to właśnie on sprowadził do nas Niena Nunba i jego prywatny oddział bojowy po tym, jak Imperium wykurzyło ich z układu Sullust.

– Nic mi o tym nie wiadomo. – Ghent wzruszył ramionami. – Wiem tylko, że słyszał wszystkie piętnaście z tych waszych spreparowanych rozmów, które trafiły do nadajnika Źródła Delta.

– To nie może być radca Tevv – potwierdziła machinalnie Winter, wciąż skupiona bez reszty na datapadzie. – Nie było go w pobliżu podczas żadnej z sześciu ostatnich rozmów.

– Ale może podsłuchał je któryś z jego asystentów – podsunął Ghent. – Nie musiał być tam osobiście.

– Nie. – Winter pokręciła głową. – Owszem, jedną z nich mógł usłyszeć któryś z jego asystentów, jednak podczas pozostałych pięciu nie było w pobliżu nikogo z jego bezpośredniego otoczenia. Co ważniejsze, radca Tevv był świadkiem dwu rozmów przeprowadzonych dzień wcześniej, ale nieprzekazanych przez Źródło Delta. O dziewiątej piętnaście rano i drugiej czterdzieści pięć po południu.

– Ma pani rację – potwierdził Ghent, gdy wywołał już odpowiednie listy. – Nie pomyślałem, by sprawdzać dane w ten sposób. Chyba powinienem nieco usprawnić mój program przesiewający…

Prowizoryczne drzwi za plecami Lei otworzyły się, a gdy odwróciła się w ich stronę, zobaczyła wchodzącego do środka Bela Iblisa.

– Tak przypuszczałem, że cię tu znajdę. – Kiwnął jej na powitanie głową. – Jesteśmy gotowi do przeprowadzenia testów operacji „Gwiezdny Pył". Pomyślałem, że może chciałabyś zerknąć…

Operacja „Gwiezdny Pył" stanowiła najnowszy plan namierzenia zamaskowanych asteroid, które Thrawn pozostawił na orbicie Coruscant.

– Chętnie – potwierdziła księżniczka. – Winter, gdy skończycie, szukaj mnie w centrum dowodzenia.

– Dobrze, Wasza Wysokość.

Leia i Bel Iblis wyszli z centralki i ruszyli jedno za drugim korytarzem serwisowym.

– Czy już coś znaleźliście? – rzucił przez ramię generał.

– Winter wciąż sprawdza wczorajszą listę – poinformowała go księżniczka. – Póki co mamy około stu trzydziestu możliwości.

Generał pokiwał głową.

– Zważywszy na to, jak liczny personel pracuje w pałacu, powiedziałbym, że to pewien postęp…

– Może i tak. – Leia wahała się przez chwilę, nim dodała: – Przyszło mi do głowy, że ten plan może się sprawdzić jedynie wówczas, jeśli Źródło Delta to rzeczywiście tylko jedna osoba. Jeżeli mamy do czynienia z całą grupą… może się okazać, że nie będziemy w ten sposób w stanie ich wszystkich zidentyfikować.

– To niewykluczone – zgodził się z nią. – Ale trudno mi uwierzyć w to, że w naszych szeregach może być więcej niż jeden zdrajca. W istocie nadal nie potrafię się pogodzić z tym, że w ogóle jest tu ktoś taki. Zawsze myślałem o Źródle Delta jako o czymś w rodzaju niezwykłego systemu nagrywania. Czymś, co jak dotąd umykało uwagi służb bezpieczeństwa.

– Widziałam, jak ludzie z kontrwywiadu przeprowadzają skany – westchnęła Leia. – I szczerze powiedziawszy, nie wiem, jak mogliby cokolwiek przeoczyć.

– Niestety, ja również.

Gdy dotarli do centrum dowodzenia, zastali generała Rieekana i admirała Draysona czekających już przy głównej konsoli.

– Księżniczko – przywitał ją z powagą generał Rieekan. – W samą porę.

Leia spojrzała na główny ekran. Stary transportowiec odłączył się właśnie od grupy statków pełniących straż na odległej orbicie i skierował się ostrożnie ku planecie.

– Jak głęboko ma zejść? – zainteresowała się.

– Zaczniemy tuż nad osłonami planetarnymi – wyjaśnił Drayson. – Z analizy przeprowadzonej po bitwie wynika, że większość zamaskowanych asteroid prawdopodobnie trafiła na niską orbitę.

Pokiwała głową. Rozpoczęcie poszukiwań od tego miejsca wydawało się tym bardziej rozsądne, że gdyby wyłączyli osłony, to właśnie te asteroidy pierwsze zaczęłyby opadać w kierunku planety.

Ślamazarnie, z niezdarnością typową dla jednostki sterowanej zdalnie, statek zaczął zbliżać się do celu swojej podróży.

– W porządku – powiedział Drayson. – Kontrola transportowca numer jeden? Wyłączyć silniki i przygotować się do zrzutu, na mój rozkaz. Gotowi… teraz!

Przez chwilę nic się nie działo, po czym nagle z rufy transportowca zaczęła się wydobywać chmura lśniącego pyłu, wirującego leniwie w ślad za statkiem.

– Kontynuować – polecił Drayson. – „Tropiciel”? Przygotować ujemne promienie jonowe…

– Cały ładunek pyłu wyrzucony, admirale – zameldował jeden z oficerów.

– Kontrola transportowca numer jeden, wycofać statek – zarządził Drayson.

– Tylko nie za szybko – wymamrotał Bel Iblis. – Nie chcemy wyorać w chmurze pyłu śladów wydechów…

Drayson rzucił mu poirytowane spojrzenie.

– Spokojnie i powoli – polecił, jednak w jego głosie znać było ślad urażonej dumy. – Czy mamy już jakieś odczyty?

– Bardzo wyraźne, sir – zgłosił oficer obsługujący konsolę czujników. – Między punktami dziewięć-trzy i dziewięć-osiem odbicie na wszystkich pasmach.

– Świetnie. – Drayson kiwnął głową. – Miejcie je na oku. „Tropiciel”?

– „Tropiciel” zgłasza gotowość, sir! – potwierdził inny z oficerów.

– Wystrzelić ujemne promienie jonowe – zaordynował Drayson. – Najniższa moc. Przekonajmy się, czy to zadziała…

Leia spojrzała na główny ekran. Lśniące cząsteczki pyłu zaczynały lgnąć do siebie, gdy jony z gazów wydechowych oddalającego się transportowca tworzyły w chmurze tu i ówdzie wyładowania elektrostatyczne. Kątem oka dostrzegła, jak na głównym wyświetlaczu taktycznym pojawia się rozmyta linia promienia jonowego, omiatającego chmurę. Naładowywała cząsteczki pyłu takim samym ładunkiem, tak by odpychały się nawzajem… i nagle zlepiające się drobinki ponownie zaczęły się rozpraszać, dając na ekranie efekt rozchylającego płatki egzotycznego kwiatu.

– Wstrzymać ogień – polecił Drayson. – Sprawdźmy, czy nam to coś da.

Przez długą minutę kielich kwiatu rozkwitał coraz śmielej i Leia złapała się na tym, że wpatruje się w lśniącą mgiełkę, wstrzymując oddech. Po chwili się zreflektowała: nie było właściwie podstaw, by spodziewać się od razu efektów. Zważywszy na bezmiar przestrzeni kosmicznej w pobliżu planety, było bardzo mało prawdopodobne, by podczas tego pierwszego podejścia natrafili na którąś z orbitujących w pobliżu asteroid. A nawet gdyby tak się stało, to na ekranie kontrolnym niewiele będzie widać: tuż przed dezaktywowaniem pole maskujące zniekształci lekko światło i zostanie omiecione wiązkami czujników, przez co wśród pyłu nie będzie nawet widać ciemnej plamy.

– Chmura zaczyna się rozpraszać, admirale – zgłosił oficer czujników. – Współczynnik rozpraszania sięga dwunastu…

– Rozwiewa ją wiatr słoneczny – mruknął pod nosem Rieekan.

– Tak jak się spodziewaliśmy – przypomniał mu Drayson. – Kontrola transportowca numer dwa, start i zrzut.

Od stacjonujących na orbicie statków odłączył się drugi transportowiec, kierując się ku powierzchni planety.

– Trochę to potrwa – mruknął Bel Iblis.

– To prawda – westchnął Rieekan. – Szkoda, że straciliśmy na Svivrenie ten wasz krystaliczny namierzacz pola grawitacyjnego. Przydałby się tutaj.

Leia pokiwała głową. Krystaliczne namierzacze pola grawitacyjnego, zaprojektowane pierwotnie do identyfikowania grup zamaskowanych statków z odległości wielu tysięcy kilometrów, idealnie by się tu sprawdziły.

– Czy nasz wywiad przypadkiem któregoś gdzieś nie zlokalizował?

– Znaleźli trzy sztuki – wyjaśnił Rieekan. – Problem w tym, że w przestrzeni kontrolowanej przez Imperium.

– Wciąż nie jestem przekonany, czy ta technologia by się tu sprawdziła – wtrącił Bel Iblis. – Moim zdaniem na tak bliski dystans grawitacja Coruscant zniekształciłaby wszelkie odczyty wskazujące na asteroidy.

– To byłoby ryzykowne, bez dwóch zdań – zgodził się z nim Rieekan. – Ale chyba warto byłoby spróbować.

Wszyscy zamilkli, gdy na ekranie głównym drugi transportowiec dotarł do celu i powtórzył procedurę przeprowadzoną przed chwilą przez swojego poprzednika. I tym razem bez wymiernego efektu.

– Ten wiatr słoneczny porządnie miesza nam szyki – zauważył Bel Iblis, gdy ku planecie skierował się trzeci transportowiec. – Może przy następnym podejściu powinniśmy zwiększyć kaliber cząsteczek?

– Albo przeprowadzić operację w cyklu nocnym – podsunął Rieekan. – W ten sposób przynajmniej wyeliminowalibyśmy czynnik…

– Turbulencje! – przerwał mu głos oficera czujników. – Wektor jeden-jeden-siedem na cztery-dziewięć-dwa.

Przy konsoli czujników aż się zakotłowało. Na samym skraju wciąż rozprzestrzeniającej się drugiej chmury pyłu pojawiła się rozmazana pomarańczowa linia, wyznaczona przez turbulencje spowodowane przelotem niewidzialnej asteroidy.

– Namierzyć ją – polecił Drayson. – „Tropiciel”? Strzelać bez rozkazu.

Ekran odczytów wizualnych przecięły czerwone linie, gdy turbolasery drednota zaczęły razić szacunkowy tor przelotu serią strzałów. Leia wpatrywała się w napięciu w monitor, zaciskając kurczowo palce na oparciu fotela oficera czujników… i nagle – tak, znaleźli ją! Ich oczom ukazała się bezkształtna skalna bryła, powoli obracająca się na tle gwiazd.

– Wstrzymać ogień – rozkazał Drayson. – Dobra robota, panowie. W porządku. „Lojalny”? Wasza kolej. Wyślijcie tam zespół techników… – Urwał. Na ekranie wizualnym pojawiła się siateczka cienkich linii, rozpełzających się stopniowo po ciemnej grudzie asteroidy. Przez krótką chwilę jaśniały mocnym światłem, aby za moment zniknąć.

– Odwołuję rozkaz, „Lojalny” – warknął Drayson. – Wydaje się, że wielki admirał nie chce, by ktoś zbyt dobrze przyjrzał się jego zabawkom…

– Przynajmniej znaleźliśmy jedną z nich – zauważyła cicho Leia. – A to już coś.

– Racja – skomentował ironicznie Rieekan. – Teraz zostaje nam już tylko wykryć niecałe trzy setki.

Księżniczka pokiwała ponownie głową i zaczęła się odwracać w drugą stronę. To wszystko zapewne jeszcze chwilę potrwa, więc równie dobrze mogła wrócić do Winter i Ghenta, aby…

– Kolizja! – zameldował oficer czujników.

Obejrzała się gwałtownie przez ramię. Na ekranie taktycznym trzeci z transportowców zaczął wirować dziko, zbaczając z kursu. Jego uszkodzona prawa burta stała w płomieniach, rozsiewając wokół strumienie lśniącego pyłu.

– Czy dacie radę ustalić wektor? – spytał z napięciem w głosie Drayson.

Palce oficera tańczyły błyskawicznie nad klawiaturą.

– Nic z tego. Zbyt mało danych. Możemy jedynie ustalić stożek prawdopodobieństwa…

– Wystarczy – stwierdził Drayson. – Do wszystkich statków: otworzyć ogień, pełna sekwencja bombardowania, objąć ostrzałem stożek.

Na ekranie taktycznym pojawił się kształt stożka, ku któremu pomknęły wkrótce turbolaserowe promienie salw oddawanych przez odległą flotę.

– Rozszerzyć stożek do obszaru pięćdziesięcioprocentowego prawdopodobieństwa – zarządził Drayson. – Do stacji bojowych, zająć się zewnętrznym perymetrem stożka. Chcę, żebyście namierzyli cel.

Nie musiał tego właściwie mówić. Przestrzeń nad Coruscant zmieniła się w ogniste piekło, gdy strzały z turbolaserów i torpedy protonowe zaczęły razić wskazany rejon przestrzeni. Strefa docelowa rozszerzała się stopniowo, zagarniając coraz większy obszar, w miarę jak komputery obliczały kolejne potencjalne tory przelotu asteroidy, a stacje bojowe i statki modyfikowały cel.

W nic jednak nie trafiły, więc po kilku minutach bezowocnej palby Drayson był w końcu zmuszony przyznać się do porażki.

– Do wszystkich jednostek: wstrzymać ogień – powiedział znużonym głosem. – To bezcelowe. Zgubiliśmy ją.

Nie trzeba było dodawać nic więcej. Stali więc w milczeniu i przyglądali się, jak uszkodzony transportowiec, teraz zdecydowanie już poza zasięgiem promieni ściągających floty, dryfuje z wolna w stronę osłon planetarnych… ku nieuchronnej zagładzie. Gdy jego zmiażdżona prawa burta otarła się o pole, do pióropusza płonących gazów dołączyły jaskrawoniebieskie wyładowania – widomy efekt zerwanych wiązań atomowych. Stłumiony rozbłysk zasygnalizował oderwanie się prawoburtowej części statku od kadłuba… nieco jaśniejszy rozświetlił okolicę, gdy dziób uderzył w pole osłon… ciemne szczątki rozproszyły się na tle płomieni, kiedy cała bryła statku zaczęła się rozpadać…

I wraz z ostatnią eksplozją oraz obłokiem szybko rozprzestrzeniających się płomieni… było po wszystkim.

Leia obserwowała stopniowo gasnące płomienie, szukając ukojenia w technikach relaksacyjnych Jedi i z trudem odsuwając od siebie palący gniew. Pozwolenie sobie na luksus nienawiści wobec Thrawna za to, co zrobił, tylko zmąciłoby jej osąd sytuacji. Gorzej, podobna lekkomyślność stanowiłaby niechybny krok ku ciemnej stronie…

Nagle wyczuła za plecami nieznaczne poruszenie, a gdy się odwróciła, spostrzegła stojącą obok Winter. Jej asystentka wpatrywała się w ekran odczytów wizualnych z wyraźnym, zadawnionym bólem w spojrzeniu mądrych oczu.

– Spokojnie – szepnęła pokrzepiająco Leia. – Na pokładzie nikogo nie było.

– Wiem – mruknęła Winter. – Po prostu… przypomniał mi się inny transportowiec, który w podobny sposób został zniszczony nad Xyquine. Z pasażerami na pokładzie… – Wzięła głęboki oddech i było widać, z jakim trudem przyszło jej odsunięcie od siebie ponurych wspomnień, z pewnością aż nadto wyrazistych. – Gdy Wasza Wysokość tu skończy, chciałabym z panią porozmawiać – poprosiła.

Leia sięgnęła ku niej Mocą i spróbowała wybadać ją pod tą skrupulatnie utrzymywaną maską wymuszonej obojętności. Wyglądało na to, że cokolwiek się wydarzyło, wieści nie były zbyt pomyślne.

– Już idę – powiedziała.

Ramię w ramię wyszły z centrum dowodzenia i mijając turbowindy, wróciły do korytarza serwisowego oraz ich tajnej szyfrowni. Jak się okazało, wieści rzeczywiście nie były zbyt dobre.

– Ale… to niemożliwe. – Leia pokręciła głową, czytając powtórnie wyniki analizy Ghenta. – Wiemy przecież, że w pałacu jest przeciek…

– Sprawdziłem to na wszelkie możliwe sposoby – obstawał przy swoim młody haker. – Za każdym razem wynik jest taki sam. Wprowadziłem dane wszystkich osób, które słyszały i nie słyszały wiadomości wysłanych przez Źródło Delta, a także wprowadziłem dane wszystkich osób, które słyszały i nie słyszały wiadomości pominiętych przez źródło – zawsze wychodzi to samo: idealne, okrągłe zero.

Leia wcisnęła klawisz powtórzenia sekwencji i patrzyła, jak na ekranie datapada lista nazwisk kurczy się wraz z każdym przesiewaniem, dopóki całkowicie nie znika.

– A więc Źródło Delta to więcej niż jedna osoba – stwierdziła.

– Wziąłem po uwagę i tę ewentualność – zapewnił ją Ghent, machając bezradnie ręką. – To też się nie sprawdziło. Tych osób musiałoby być co najmniej piętnaście, a wasze służby bezpieczeństwa nie mogą być aż tak kiepskie.

– W takim razie Źródło Delta dokonuje selekcji wysyłanych wiadomości – zadecydowała Leia. – Nadaje tylko część z tego, co przechwytuje, nie wszystko.

Ghent podrapał się po policzku.

– To możliwe – przyznał z oporami. – Ale nie jestem przekonany do takiego pomysłu. Wystarczy spojrzeć na niektóre z głupot, które przekazywało. To znaczy, na przykład w tej ostatniej transmisji znalazł się zapis rozmowy dwóch Arconów na temat tego, jak jeden z nich zamierza nazwać swoje młode. Albo ten gość nie ma zbyt dobrej pamięci, albo ma jakąś naprawdę pokręconą listę priorytetów.

Drzwi otworzyły się, a gdy Leia odwróciła się w ich stronę, ujrzała wchodzącego do środka Bela Iblisa.

– Zobaczyłem, że wychodzisz – powiedział. – Czy udało się coś znaleźć?

Podała mu bez słowa datapad. Generał zerknął pobieżnie na ekran, po czym zabrał się do uważniejszej lektury.

– To… ciekawe – stwierdził wreszcie. – Albo analiza jest błędna, albo Winter zaczyna szwankować pamięć… albo też Źródło Delta podejrzewa, że jesteśmy na jego tropie.

– Dlaczego tak sądzisz? – spytała go.

– Bo najwyraźniej nie przesyła już wszystkiego, co usłyszy – wyjaśnił Korelianin. – Coś musiało wzbudzić jego podejrzenia.

Leia wróciła myślą do wszystkich tamtych zaaranżowanych rozmów…

– Nie – zaprzeczyła po krótkim namyśle. – Nie wierzę w to. Nigdy nie wyczułam choćby śladu złych zamiarów czy podejrzliwości.

Garm wzruszył ramionami.

– W takim razie musielibyśmy przyjąć, że mamy tu cały zastęp szpiegów. Zaraz, zaraz… to nie jest taki głupi pomysł, jak mogłoby się wydawać. Gdybyśmy założyli, że Źródło Delta nie zorientowało się jeszcze, że jesteśmy na jego tropie, wciąż moglibyśmy użyć

danych z dwóch pierwszych dni do ograniczenia grona podejrzanych do jakichś sensownych liczb.

Leia poczuła w żołądku nerwowy skurcz.

– Ależ Garm, mówimy tu o ponad setce szanowanych obywateli Nowej Republiki! – zaprotestowała. – Nie możemy ot tak oskarżyć tylu osób o zdradę. Zarzuty wysunięte przez radcę Fey'lyę wobec admirała Ackbara wystarczająco napsuły wszystkim krwi, coś takiego rozpętałoby prawdziwe piekło.

– Wiem o tym, Leio – potwierdził stanowczym głosem Bel Iblis. – Ale nie możemy pozwolić na to, by Imperium w dalszym ciągu podsłuchiwało nasze sekrety. Chętnie wysłucham innych pomysłów.

Księżniczka przygryzła wargę, przeglądając w myśli gorączkowo dostępne scenariusze.

– A co powiesz na tę możliwość, o której wspomniałeś w centrum dowodzenia? – spytała. – Że Źródło Delta może być po prostu niezwykłym systemem rejestrującym?

– Jeśli rzeczywiście tak jest, powinien on się znajdować gdzieś w Wielkim Korytarzu – zauważyła Winter, nim Bel Iblis zdążył odpowiedzieć. – To właśnie tam odbyły się wszystkie rozmowy, których zapis został wysłany.

– Jesteś tego pewna? – Generał zmarszczył czoło.

– Na sto procent – zapewniła go. – Wszystkich, bez wyjątku.

– A więc to musi być to – stwierdziła Leia, pozwalając sobie na dreszcz ostrożnego podekscytowania. – Jakimś cudem komuś udało się umieścić w Wielkim Korytarzu system rejestrujący.

– Nie rób sobie zbyt wielkich nadziei – ostudził jej zapał Garm. – Wiem, że to brzmi zachęcająco, jednak w praktyce nie jest wcale takie proste. Systemy mikrofonów mają pewne ściśle określone właściwości, są one trudne do pomylenia z czymkolwiek innym i porządny skan przeprowadzony przez kompetentnych ludzi z pewnością by je wykrył.

– Chyba że system przechodziłby w stan uśpienia podczas kontroli – podsunął Ghent. – Widziałem już takie rzeczy.

– Mówisz o obiekcie wyposażonym w chociażby szczątkowe zdolności do podejmowania decyzji. – Bel Iblis pokręcił głową. –

Czymś charakteryzującym się poziomem inteligencji bliskim droidowi…

– Hej! – przerwał mu podekscytowany haker. – To może być właśnie to! Źródło Delta to nie osoba, tylko droid!

– Czy to możliwe? – Leia spojrzała niepewnie na Korelianina.

– Nie wiem – powiedział powoli generał. – Oczywiście zainstalowanie oprogramowania szpiegowskiego u droida jest możliwe. Problem w tym, jak ukryć jego obecność przy standardowych procedurach bezpieczeństwa stosowanych przez wasze służby, a następnie skutecznie chronić je podczas skanów przeprowadzanych przez kontrwywiad.

– To musiałby być droid mający dobry powód, by kręcić się po Wielkim Korytarzu – zasugerowała Leia, rozważając w myśli wszystkie opcje. – A przy tym taki, który mógłby się wycofać na czas zaplanowanej kontroli, nie budząc przy tym podejrzeń.

– Ze względu zaś na nasilony ruch w Wielkim Korytarzu kontrole te są dość częste – zgodził się z nią generał. – Ghent, czy dałbyś radę dostać się do rejestrów kontrwywiadu i wyciągnąć stamtąd listę skanów przeprowadzonych w ciągu ostatnich trzech czy czterech dni?

– Pewnie. – Dzieciak wzruszył ramionami. – Ale zajęłoby mi to kilka ładnych godzin. Chyba że odpuścimy kwestię ostrożności…

– Co o tym sądzisz? – Bel Iblis zerknął na księżniczkę.

– Na pewno nie chcemy, żeby go przyłapali – stwierdziła Leia. – Z drugiej strony jednak nie możemy też pozwolić, by Źródło Delta kręciło się po pałacu samopas dłużej niż to konieczne.

– Wasza Wysokość? – zagadnęła Winter. – Proszę wybaczyć, ale moim zdaniem, jeśli kontrole odbywają się rzeczywiście tak często, musimy tylko obserwować Wielki Korytarz, aż któraś się rozpocznie, i sprawdzić, które droidy się wówczas wycofają.

– Warto spróbować – orzekł Bel Iblis. – Ghent, spróbuj się włamać do tych rejestrów. Leia, Winter, chodźmy.

– Idą. – Z głośnika komunikatora trzymanego przez Leię w dłoni dobiegł głos Winter.

– Jesteś pewna, że to ludzie z kontrwywiadu? – spytał Bel Iblis.

– Tak – potwierdziła Winter. – Widziałam, jak pułkownik Bremen wydaje im rozkazy. Mają też ze sobą droidy i sprzęt.

– W takim razie chyba pora brać się do roboty – mruknęła księżniczka, podnosząc ukradkiem dłoń do ust i licząc na to, że trójka Kubazów siedzących po przeciwnej stronie miejsca wyznaczonego do spotkań nie zauważy jej dziwnego zachowania. – Obserwujcie uważnie.

Gdy otrzymała od pozostałej dwójki potwierdzenie, opuściła rękę na podołek i rozejrzała się dookoła. Teraz albo nigdy. To była zapewne najlepsza szansa na zdemaskowanie Źródła Delta, drugiej takiej raczej nie będzie. Ponieważ spotkanie Zgromadzenia właśnie się kończyło, a za chwilę miało się rozpocząć posiedzenie Rady, w Wielkim Korytarzu roiło się od wysoko postawionych oficjeli. Oficjeli… a także ich asystentów i doradców oraz droidów.

Z jednej strony Leia wiedziała, że te ostatnie stanowią nieodzowny element pałacowego życia, z drugiej jednak coraz bardziej dojmująco zaczynała sobie zdawać sprawę z tego, że do tej pory nie miała tak naprawdę pojęcia, jak wiele się ich tu kręci. Ze swojego miejsca widziała całkiem sporo jednostek protokolarnych typu 3PO – większość z nich towarzyszyła grupkom pozaświatowych dyplomatów, jednak niektóre asystowały kilkorgu osobom z pałacowych kręgów. Nad tłumem lewitował na repulsorach rój insektoidalnych droidów serwisowych typu SPD, systematycznie czyszczących ornamenty ścienne i rżnięte okna. Pod przeciwległą ścianą przemknął szereg robocików MSE, doręczających wiadomości zbyt skomplikowane lub ważne, by przesyłać je za pośrednictwem systemu łączności, kluczących między nogami istot spieszących do swoich pilnych spraw. Spośród zielono-fioletowych drzewek ch'hala co jakiś czas wynurzała się jednostka serwisowa typu MN-2E, ostrożnie usuwająca z gałązek martwe liście.

„Którego z nich – zastanawiała się Leia – Imperium zmieniło w swojego szpiega?".

– Zaczynają – zgłosiła cicho Winter. – Zajmują pozycje w korytarzu…

Nagle z głośnika komunikatora Lei dobiegł nikły szelest, jakby Winter zasłoniła mikrofon ręką. Gdy uszu księżniczki dobiegła kolejna seria stłumionych szmerów, zaczęła się zastanawiać, czy powinna może znaleźć swoją asystentkę, żeby dowiedzieć się, co się wydarzyło. Nagle usłyszała czyjś głos:

– Radczyni Organa Solo?

– Tak – rzuciła ostrożnie. – Kto mówi?

– Tu porucznik Machel Kendy ze straży pałacowej – wyjaśnił mężczyzna. – Czy zdaje sobie pani sprawę z tego, że ktoś przechwytuje sygnał pani komunikatora?

– To nie podsłuch, poruczniku – zapewniła go. – Prowadzimy konferencję w trzy osoby z generałem Belem Iblisem.

– Rozumiem – potwierdził Kendy lekko zawiedzionym tonem. Pewnie przypuszczał, że udało mu się wpaść na trop Źródła Delta… – Będę musiał panią poprosić, żebyście przerwali tę rozmowę na kilka minut. Rozpoczynamy właśnie skan Wielkiego Korytarza. Na ten czas wszelka łączność za pośrednictwem komunikatorów powinna zostać zawieszona.

– Rozumiem – westchnęła księżniczka. – W takim razie zaczekamy z tym, aż skończycie. – Rozłączyła się i przywiesiła komunikator do pasa. Serce waliło jej jak młotem. Zmieniła od niechcenia pozycję, tak aby mieć dobry widok na kraniec Wielkiego Korytarza. Jeśli gdzieś w pobliżu rzeczywiście kręcił się droid szpiegowski, gdy tylko w okolicy pojawi się zespół skanujący, powinien się tu zjawić.

Do repulsorowych jednostek czyszczących nad jej głową dołączyły nowe SPD, metodycznie kierując się w głąb pomieszczenia. Omiatały czujnikami górną część ściany i zawiłe wzory sklepionego sufitu w poszukiwaniu mikrofonów lub systemów nagrywania, które jakimś cudem mogły się tu znaleźć od czasu przeprowadzenia ostatniej inspekcji. Tuż pod nimi kroczył porucznik Kendy ze swoim oddziałem – idąc ławą od ściany do ściany, przedzierali się przez tłum dyplomatów, obserwując uważnie ekrany przewieszonych przez ramiona urządzeń detekcyjnych. Dotarli do miejsca spotkań, w którym siedziała, minęli ją i ruszyli bez przeszkód w stronę drugiego końca pomieszczenia. Gdy się tam znaleźli, zaczekali, aż

droidy typu SPD i trzymające się pod ścianami MSE zakończą swoją część zadania, po czym przeformowali szyk i zniknęli całą grupą w oddali, kierując się ku biurom Rady Wewnętrznej.

I to byłoby tyle. Wielki Korytarz został przeskanowany i najwyraźniej nie znaleziono nic podejrzanego… a podczas kontroli żaden z droidów nie próbował wymknąć się z terenu poddawanego inspekcji.

Kątem oka dostrzegła jakiś ruch… ale kiedy zwróciła się w jego stronę, zobaczyła jedynie droida serwisowego MN-2E – tego samego, którego dostrzegła wcześniej. Sunął właśnie do kolejnego drzewka ch'hala w szpalerze, ustawionego tuż obok miejsca spotkań, które wybrała na swój punkt obserwacyjny. Pomrukując cicho pod zestawem czujników, zaczął gmerać ostrożnie chwytakami wśród gałązek, szukając martwych lub obumierających liści…

Martwych lub obumierających… Całkiem jak ich teoria.

Z ciężkim westchnieniem sięgnęła znów po komunikator.

– Winter? Garm?

– Jestem, Wasza Wysokość – zameldowała natychmiast Winter.

– Ja również – potwierdził Bel Iblis. – Czy coś się wydarzyło?

Pokręciła machinalnie głową.

– Kompletnie nic – westchnęła znowu. – O ile jestem w stanie stwierdzić, żaden z droidów nawet nie drgnął.

Po chwili milczenia Bel Iblis stwierdził:

– Rozumiem. Cóż, może po prostu naszego robota dziś tu nie ma? Sądzę, że Winter powinna wrócić do Ghenta, aby dopisać do jego listy droidy.

– Co o tym sądzisz, Winter? – spytała swoją asystentkę Leia.

– Możemy spróbować – zgodziła się z wahaniem Winter. – Problemem będzie jednak zidentyfikowanie konkretnych jednostek. Z zewnątrz wszystkie droidy protokolarne typu 3PO są właściwie identyczne…

– Sprawdź, co da się zrobić – poprosił ją Bel Iblis. – Jesteśmy blisko rozwiązania tej sprawy. Czuję to w kościach.

Leia wstrzymała oddech, wysyłając na zewnątrz wici Mocy. Nie miała co prawda wyostrzonej latami doświadczenia intuicji żołnierza jak Bel Iblis ani nie dorównywała swojemu bratu

w wykorzystywaniu umiejętności Jedi… jednak ona też to czuła: tu, w Wielkim Korytarzu, czekało gdzieś rozwiązanie ich zagadki.

– Chyba masz rację – powiedziała, kierując słowa do Bela Iblisa. – Winter – zwróciła się do asystentki – najlepiej będzie, jeśli zajmiesz się tym od razu.

– Oczywiście, Wasza Wysokość.

– Pójdę z panią – zaoferował się generał. – Chciałbym zobaczyć, jak przebiega dalsza część operacji „Gwiezdny Pył".

Leia rozłączyła się i opadła na oparcie fotela. Mimo najszczerszych chęci stłumienia rozczarowania, czuła, jak ogarnia ją frustracja. Początkowo wykorzystanie złamanego przez Ghenta szyfru do próby zidentyfikowania Źródła Delta wydawało jej się doskonałym pomysłem! W tej chwili jednak wszelkie starania w tym kierunku spełzały na niczym.

A czas mijał nieubłaganie. Nawet gdyby byli w stanie dłużej utrzymać pracę Ghenta w sekrecie – co jak na razie im się udawało – każda z tych porażek zbliżała ich nieuchronnie do dnia, w którym Źródło Delta zorientuje się w ich działaniach i zamilknie. Gdy do tego dojdzie, utracą bezpowrotnie ostatnią szansę na zidentyfikowanie imperialnego szpiega w pałacu.

Do tego zaś nie mogli dopuścić. I to nie z powodu samego przecieku – wszak imperialny wywiad przechwytywał tajne informacje od chwili utworzenia Sojuszu Rebeliantów, a jednak jakoś udawało im się sprawnie funkcjonować mimo to. Znacznie groźniejsza dla chwiejnej równowagi, w której znajdowała się obecnie Nowa Republika, mogła się okazać pogłębiająca się z każdym dniem aura nieufności i podejrzliwości, którą podsycała sama obecność Źródła Delta. Niesłuszne oskarżenia radcy Fey'lyi wysunięte wobec admirała Ackbara potwierdziły już aż zanadto, jak wielkie szkody mógł wyrządzić podobny brak zaufania w tak wielogatunkowym środowisku, jakie tworzyło Nową Republikę. Jeśli w jej sferach rządowych rzeczywiście zostanie odkryty imperialny agent…

Siedząca po drugiej stronie miejsca wyznaczonego do spotkań trójka Kubazów wstała i ruszyła w swoją stronę, obchodząc łukiem drzewko ch'hala i droida MN-2E zajętego pracami pielęgnacyjnymi,

aby chwilę później dołączyć do spieszącego korytarzem tłumu. Leia złapała się na tym, że przygląda się droidowi z lekkim roztargnieniem, śledząc jego chwytaki, pieczołowicie manewrujące między gałązkami, aby dotrzeć do niewielkiej kępki zeschniętych liści. Robot wciąż poćwierkiwał cicho sam do siebie. Przypomniała sobie sondę zwiadowczą, którą zdemaskowała podczas pobytu na ojczystej planecie Noghrich, Honoghrze. Tamto spotkanie mogło skończyć się dla niej tragicznie i spowodować śmierć garstki pozostałych przy życiu przedstawicieli tej rasy. Jeśli Bel Iblis miał rację… Jeżeli Źródło Delta było w rzeczywistości droidem, a nie szpiegiem z krwi i kości…

Cóż, nawet gdyby tak było, nie na wiele im się to zda. Imperium nie zdołałoby po prostu dostarczyć droida szpiegowskiego do pałacu bez pomocy kogoś z wewnątrz. Pałacowa straż niezmiennie sprawdzała każdego robota dopuszczanego do pałacu – niezależnie od tego, czy miał on tu przebywać czasowo, czy też rezydował tu na stałe – a kto jak kto, ale oni wiedzieli doskonale, czego szukać. Ukryte oprogramowanie szpiegowskie byłoby widoczne jak na dłoni, niczym plama bladej czerwieni na jasnym pniu drzewka ch'hala…

Zmarszczyła czoło, przypatrując się roślinie i skupiając nagle uwagę na procesie, którego była świadkiem. Na jej oczach po smukłym pniu rozlała się nowa fala czerwieni, rozchodząc się kręgami po konarach i gałązkach, dopóki nie zblakła do spokojnego fioletu. Chwilę później sytuacja się powtórzyła, następnie jeszcze raz i znowu, dając wrażenie zmarszczek na mąconej podmuchem wiatru wodzie. Wszystkie fale były mniej więcej podobnej wielkości i rozchodziły się z tego samego miejsca na pniu, każda idealnie zgrana w czasie z cichymi pomrukami wydawanymi przez droida typu MN-2E.

I nagle to do niej dotarło, jakby ktoś wylał jej na głowę kubeł zimnej wody. Sięgnęła dziwnie drżącymi palcami po komunikator i wybrała numer centrali.

– Tu radczyni Organa Solo – rzuciła do mikrofonu. – Proszę mnie połączyć z pułkownikiem Bremenem z pałacowej straży. I przekazać mu, że znalazłam Źródło Delta.

Musieli się wkopać niemal osiem metrów w głąb ziemi, nim ją znaleźli: długą, grubą, nadgryzioną już zębem czasu rurę, na wpół wpuszczoną w korzeń główny drzewka ch'hala, z tysiącem cieniutkich przewodów dochodzących do niej z jednej strony i włóknem bezpośredniej transmisji wychodzącym z drugiego końca. Nawet wówczas jednak musieli strawić kolejną godzinę na oględzinach i sporządzaniu wstępnego raportu, nim Bremen dał się wreszcie przekonać.

– Technicy twierdzą, że nigdy wcześniej nie widzieli czegoś podobnego – poinformował Leię, Bela Iblisa i Mon Mothmę szef służb bezpieczeństwa, gdy stali wokół wykopanego drzewka wśród zwałów ziemi. – Wszystko wskazuje jednak na to, że działanie tego systemu jest dość proste: każdy nacisk wywierany na pień drzewa, łącznie z tym wywołanym falami dźwiękowymi, wywołuje w wewnętrznej warstwie kory szereg zmian chemicznych.

– Które odpowiadają za to falowanie kolorów? – domyśliła się Mon Mothma.

– Właśnie. – Bremen kiwnął głową, krzywiąc się lekko. – Teraz, gdy już o tym wiemy, wydaje się to oczywiste: tempo zmian barw jest zbyt szybkie, by spowodowało je coś innego niż reakcja biochemiczna. Mniejsza o to. Rzecz w tym, że te rury wszczepione w pnie bezustannie dokonują analizy składu chemicznego i przesyłają informacje do modułu w korzeniu głównym. On z kolei gromadzi dane chemiczne, zmienia je na powrót w informacje na temat stopnia nacisku, aby następnie przekształcić w mowę. Jakiś inny moduł – być może umieszczony głębiej w korzeniu głównym – segreguje pojedyncze rozmowy i przygotowuje całość do zaszyfrowania i transmisji. To wszystko.

– Mikrofon organiczny. – Bel Iblis pokiwał głową. – Pozbawiony jakichkolwiek elementów elektronicznych, które mógłby wykryć skan kontrwywiadu.

– Cały zestaw mikrofonów organicznych – uściślił Bremen, obrzucając znaczącym spojrzeniem podwójny szpaler drzewek w Wielkim Korytarzu. – Musimy się ich natychmiast pozbyć.

– Cóż za genialny pomysł – nie mogła się nadziwić Mon Mothma. – I tak bardzo w stylu Imperatora… Zawsze zastanawiałam się, jak

pozyskiwał niektóre z informacji wykorzystywanych przeciwko nam w Senacie. – Pokręciła z niedowierzaniem głową. – Wygląda na to, że nawet zza grobu wciąż znajduje sposób, by nam zaszkodzić.

– Cóż, w takim razie już za chwilę ukrócimy jego poczynania – stwierdził Bel Iblis. – Proszę sprowadzić tu ekipę, pułkowniku, i zabrać się do wykorzeniania tych drzew.

Rozdział 18

W oddali, nad pooraną głębokimi bruzdami równiną, rozbłysło odbite światło.

– A oto i Mazzic – rzucił Karrde.

Gillespee oderwał wzrok od zastawionego przekąskami stołu i mrużąc oczy, spojrzał nad na wpół zawaloną ścianą fortecy.

– Zgadza się, ktoś leci – potwierdził, odstawiając swój kubek i bruallki na zimno, którymi się właśnie raczył. Wytarł ręce o bluzę, a potem podniósł do oczu makrolornetkę. – Masz rację, to on – dodał. – To dziwne… Są z nim jeszcze dwa statki.

– Dwa statki? – Karrde zmarszczył czoło i spojrzał uważniej na rosnący w oczach punkcik.

– Sam zerknij. – Gillespee podał mu makrolornetkę.

Gdy Talon przez nią spojrzał, rzeczywiście dostrzegł dwie jednostki eskortujące maszynę Mazzica: lśniący jacht kosmiczny flankowały dwa smukłe stateczki, sprawiające wrażenie zabójczo skutecznych. Nie rozpoznawał ich po wyglądzie.

– Sądzisz, że prowadzi ze sobą jakichś gości? – spytał Gillespee.

– Gdy meldował się Avesowi kilka minut temu, nie wspominał nic o gościach – mruknął Talon.

Na jego oczach stateczki odbiły, opadając ku równinie i zniknęły w jednym z przecinających ją wąwozów.

– Może lepiej to sprawdzić…

– Może lepiej to sprawdzić – powtórzył Karrde, oddając Gillespeemu makrolornetkę i sięgając po komunikator. – Aves? Czy zdołasz zidentyfikować te maszyny?

– Pewnie – odpowiedział niemal natychmiast Aves. – Wszystkie posługują się fałszywymi kodami, jednak w istocie to „Tęcza”, „Szpon” i „Sęp”.

Karrde się skrzywił. Może i nie rozpoznał jednostek na pierwszy rzut oka, jednak ich nazwy znał aż za dobrze. To były osobisty

transportowiec Mazzica i jego dwa ulubione zmodyfikowane myśliwce.

– Dzięki – mruknął i się rozłączył.

– No i? – spytał Gillespee.

– To tylko Mazzic.

– Co tam z Mazzikiem? – rozległ się głos Nilesa Ferriera.

Karrde się odwrócił. Złodziej statków stał za nimi przy stole z przystawkami, częstując się hojnie prażonymi orzechami pirki.

– Powiedziałem, że leci – powtórzył wolno Talon.

– To dobrze. – Ferrier pokiwał głową, wrzucając sobie orzech do ust i zgryzając go z głośnym chrzęstem. – W samą porę. Wreszcie rozpoczniemy to spotkanie. – Odmaszerował, chrupiąc po drodze zawzięcie i kiwając głową na powitanie mijanym Dravisowi oraz Clyngunnowi.

– Wydawało mi się, że go nie zapraszałeś – mruknął Gillespee.

– Bo nie zapraszałem. – Karrde pokręcił głową. – Ale najwyraźniej ktoś uznał, że zrobiłem to przez przeoczenie.

– Chcesz powiedzieć, że ściągnął go tu ktoś inny? – Gillespee zmarszczył czoło. – Ale kto?

– Nie mam pojęcia – wyznał Talon, przyglądając się, jak Ferrier zmierza do kąta, w którym zaszyli się Ellor wraz ze swoją grupą. – Nie wiedziałem, jak zapytać go o to tak, żeby nie sprawić przy tym wrażenia małostkowego, podejrzliwego czy apodyktycznego. Mniejsza o to, nie ma się raczej czym przejmować. Ktoś pewnie wyszedł po prostu z założenia, że powinni być tu obecni wszyscy, którzy wzięli udział w spotkaniu na Troganie, i tyle.

– Nawet jeśli nie wszyscy zostali oficjalnie zaproszeni?

– Może uznał to za niedopatrzenie. – Karrde wzruszył ramionami. – Tak czy inaczej, gdybym teraz poruszył tę kwestię publicznie, narobilibyśmy tylko niepotrzebnego zamieszania. I tak mam już niejasne wrażenie, że niektórzy mają mi za złe, że najwyraźniej przejąłem kontrolę nad prowadzeniem tej akcji.

Gillespee wsunął do ust ostatnie bruallki.

– Taaa, może to nic takiego – stwierdził ponuro. – A może i nie.

– Mamy na oku wektor ewentualnych przylotów – przypomniał mu Karrde. – Jeśli Ferrier dobił targu z Imperium, dowiemy się

o tym z odpowiednim wyprzedzeniem.

– Mam taką nadzieję – mruknął pod nosem Gillespee, lustrując stół z poczęstunkiem w poszukiwaniu kolejnej przekąski. – Nie lubię biegać z pełnym żołądkiem…

Talon uśmiechnął się pod nosem. Odwracał się właśnie w drugą stronę, gdy zapiszczał jego komunikator. Sięgnął po niego i włączył go, odruchowo popatrując w niebo.

– Karrde – rzucił do mikrofonu.

– Tu Torve – doleciało z głośnika. Sam ton głosu rozmówcy wystarczył Karrde'owi, by się domyślił, że coś jest nie tak. – Czy mógłbyś tu zejść na chwilkę?

– Jasne – zgodził się Talon, mimochodem opuszczając dłoń do kabury z blasterem. – Czy mam ze sobą kogoś zabrać?

– Nie, nie – padła odpowiedź. – Nie urządzamy tu przyjęcia… – Co znaczyło w skrócie: „Posiłki są w drodze".

– Przyjąłem – mruknął Karrde. – Zaraz tam będę. – Wyłączył komunikator i przywiesił go do pasa.

– Jakieś kłopoty? – spytał cicho Gillespee, popatrując na niego znad brzegu szklanki.

– Mamy intruza – poinformował go Talon, rozglądając się po dziedzińcu. Wydawało się, że nikt ze zgromadzonych nie patrzy w jego stronę. – Zrób mi, proszę, przysługę i miej towarzystwo na oku, dobrze?

– Pewnie. Czy powinienem zwrócić szczególną uwagę na kogoś konkretnego?

Karrde zerknął na Ferriera, który właśnie zostawił w spokoju Ellora i kierował się w stronę Par'tah i jej ho'dińskiej asysty.

– Pilnuj, żeby Ferrier nigdzie się stąd nie ruszał.

Główna część bazy mieściła się trzy poziomy poniżej górnych, ocalałych pięter zrujnowanej fortecy – najprawdopodobniej były to kondygnacje kuchenne i zaplecza wysoko sklepionego pomieszczenia, niegdyś stanowiącego zapewne salę bankietową. „Dziki Karrde" dokował właśnie w tej auli. Miejsce to było dość ciasne jak na statek o takich rozmiarach, jednak zapewniało podwójną korzyść w postaci zarówno doskonałej kryjówki, jak i możliwości szybkiego startu, na wypadek gdyby okazało się to

konieczne. Gdy Karrde stanął pod wysokimi, podwójnymi drzwiami, czekali już tam na niego Fynn Torve i pięciu członków załogi „Gwiezdnego Lodu", z blasterami w pogotowiu.

– Tak? – rzucił.

– Chyba ktoś tam jest – zameldował ponuro Fynn Torve. – Chin wyprowadzał vornskry na spacer wokół statku, kiedy zobaczył, jak coś się porusza w cieniach pod południową ścianą.

Ścianą znajdującą się najbliżej opuszczonego trapu „Dzikiego Karrde'a"…

– Czy na pokładzie ktoś jest?

– Lachton pracował przy zapasowej konsoli dowodzenia – wyjaśnił Torve. – Aves kazał mu siedzieć twardo na mostku, z blasterem wycelowanym we właz, dopóki kogoś tam nie przyślemy. Chin zgarnął z okolicy kilka osób z załogi „Eterycznego Szlaku" i zaczęli przeszukiwanie wszystkich pomieszczeń od strony południowej. Dankin zaczął z przeciwnej strony, od północy.

– W takim razie nam zostaje statek. – Karrde pokiwał głową. – Wasza dwójka – wskazał na dwóch członków załogi „Gwiezdnego Lodu" – zostanie tu, żeby pilnować drzwi. Reszta za mną. Spokojnie i powoli.

Otworzyli jedno skrzydło drzwi i wślizgnęli się do środka. Tuż przed nimi majaczyła rufa „Dzikiego Karrde'a". Jakieś sto pięćdziesiąt metrów dalej przez na wpół zawalony mur fortecy przeświecały łaty błękitu – nieba Hijarny.

– Szkoda, że nie mamy tu lepszego oświetlenia – mruknął pod nosem Torve, rozglądając się dookoła.

– W rzeczywistości trudniej się tu ukryć, niż mogłoby się zdawać – zapewnił go Karrde, sięgając po komunikator. – Dankin, Chin? Tu Karrde. Meldujcie.

– Jak dotąd w pomieszczeniach od północy czysto – zgłosił niemal natychmiast Dankin. – Wysłałem Corvisa po przenośny zestaw czujników, jednak jeszcze nie wrócił.

– Tu też nic, kapitanie – dodał Chin.

– W porządku – powiedział Talon. – Idziemy wzdłuż prawej burty statku w stronę trapu. W razie potrzeby osłaniajcie nas ogniem.

– Tak jest, kapitanie.

Karrde przypiął z powrotem komunikator do pasa, wziął głęboki oddech i ruszył przed siebie.

Przeszukali cały statek, salę bankietową i wszystkie biura oraz magazyny na obrzeżach fortecy. Nic nie znaleźli.

– Chyba po prostu mi się przywidziało – bąknął smętnie Chin, gdy już po wszystkim zgromadzili się pod opuszczonym trapem „Dzikiego Karrde'a". – Przepraszam, kapitanie. Naprawdę.

– Nie przejmuj się – odparł Karrde, rozglądając się po sali. Nawet jeśli nikogo tu nie było, nie mógł się wyzbyć niepokojącego uczucia, całkiem jakby ktoś przyglądał mu się z ukrycia i śmiał się z niego w kułak. – Każdemu może się zdarzyć przywidzenie. O ile to rzeczywiście było przywidzenie. Torve, jesteś pewien, że sprawdziliście z Lachtonem cały statek?

– Przeszukaliśmy każdy metr kwadratowy – zapewnił go stanowczo Torve. – Jeśli ktoś rzeczywiście był na pokładzie „Dzikiego Karrde'a", to zmył się na długo przed tym, nim się tam pojawiliśmy.

– A co z tymi pańskimi vornskrami, sir? – spytał ktoś z załogi „Gwiezdnego Lodu". – Czy one potrafią tropić?

– Tylko jeśli poluje się na isalamiry albo Jedi – rozczarował ich Talon. – Cóż, ktokolwiek tu był, najwyraźniej już go nie ma. Możliwe, że spłoszyliśmy go, nim zdążył zrobić to, co go tu sprowadziło. Torve, chciałbym, żebyś porozstawiał straże. Niech Aves zaalarmuje personel na pokładzie „Gwiezdnego Lodu" i „Eterycznego Szlaku".

– Już się robi – potwierdził Torve, sięgając po komunikator. – Co z naszymi gośćmi na górze? Czy ich również mamy ostrzec?

– A kim niby jesteśmy? Ich niańkami? – parsknął jeden z członków załogi. – To duzi chłopcy, potrafią o siebie zadbać.

– Jestem tego pewien – zbeształ go łagodnie Karrde – jednak przybyli tu na moje zaproszenie. A dopóki są pod moim dachem, jesteśmy zobowiązani zapewnić im bezpieczeństwo.

– A czy dotyczy to również osoby, która wysłała intruza namierzonego przez China? – spytał kwaśno Lachton.

– To zależy, w jakim celu go tu wysłał – powiedział ostrożnie Talon, podnosząc wzrok na swój statek. – A skoro mowa o naszych gościach, to najwyższy czas do nich wracać. – Pewnie już dołączył do nich Mazzic, a Ferrier nie był jedyną osobą, która z niecierpliwością czekała na rozpoczęcie spotkania. – Lachton, gdy tylko zjawi się tu z czujnikami Corvis, chciałbym, żebyście przeprowadzili pełen skan statku, począwszy od zewnętrznej powłoki kadłuba. Niewykluczone, że ktoś zostawił nam jakiś prezent, a ja nie chciałbym stąd odlatywać z boją namierzającą czy bombą udarową z zapalnikiem czasowym na pokładzie. Gdybyście mnie potrzebowali, będę w sali konferencyjnej. – Z tymi słowy odszedł, pozostawiając ich obowiązkom i kolejny raz odczuwając dojmująco brak w ich grupie Mary. Wkrótce będzie musiał znaleźć czas, aby wrócić na Coruscant i ściągnąć stamtąd ją i Ghenta. Najlepiej na dniach.

O ile oczywiście będzie miał ku temu okazję. Jego informatorzy dostarczyli mu ostatnio dość niejasnych i niepokojących plotek, że jakaś kobieta o bliżej nieokreślonej tożsamości została przyłapana na Coruscant na udzielaniu pomocy imperialnym komandosom. Jeśli wziąć pod uwagę wyraźną wrogość Mary wobec wielkiego admirała Thrawna, było mało prawdopodobne, by dziewczyna była skłonna udzielać Imperium jakiejkolwiek pomocy. Z drugiej strony jednak grono obywateli Nowej Republiki ogarniętych czymś w rodzaju histerii wojennej wciąż rosło… a Mara – z uwagi na jej szemraną przeszłość – idealnie wręcz nadawała się do tego, by obarczyć ją podobnymi zarzutami. Co stanowiło tylko kolejny powód ku temu, by zabrać ją z Coruscant jak najszybciej.

Gdy Karrde dotarł na górny dziedziniec, jego przypuszczenia się potwierdziły: rzeczywiście, Mazzic już się zjawił. Stał właśnie, otoczony wianuszkiem Ho'Dinów, pogrążony w ożywionej rozmowie z Par'tah. Jego urocza i sprawiająca wrażenie zwodniczo bezbronnej ochroniarz, którą widział w akcji na Troganie, trzymała się na uboczu, starając się nie rzucać w oczy.

Podobnie jak dwójka mężczyzn tuż za nią. A także kolejna czwórka, rozmieszczona kilka metrów od grupy. Jak również sześć osób kręcących się po obrzeżach dziedzińca.

Karrde zatrzymał się w sklepionym łukowato przejściu. Gdzieś na obrzeżach jego umysłu rozdzwoniły się sygnały alarmowe. Jasne, był w stanie zrozumieć, że Mazzic wziął ze sobą dwa dodatkowe statki do ochrony. Ale przyprowadzanie ze sobą na przyjacielskie spotkanie całego oddziału obstawy… cóż, to było zdecydowanie co innego. Albo więc imperialny atak na Troganie sprawił, że facet stał się nietypowo dla niego nerwowy… albo wcale nie miał tak przyjaznych zamiarów, jak mógłby na to wskazywać zaplanowany charakter spotkania.

– Hej! Karrde! – zawołał do niego Ferrier, przyzywając go gestem. – Może byśmy wreszcie zaczęli?

– Jasne – potwierdził Talon, przywołując na twarz swój najlepszy uśmiech uprzejmego gospodarza i wchodząc do środka. Teraz było już zbyt późno, żeby na wszelki wypadek ściągnąć tu kilku jego ludzi. Będzie musiał założyć w najlepszej wierze, że jego gość jest po prostu przesadnie ostrożny… – Witaj, Mazzic – powiedział. – Dzięki, że się zjawiłeś.

– Nie ma sprawy – odparł tamten, mierząc go obojętnym wzrokiem. Nie odwzajemnił uśmiechu.

– W pomieszczeniu na tyłach przygotowaliśmy nieco wygodniejsze siedzenia – dodał Talon, wskazując na lewo. – Tędy, proszę…

– Mam lepszy pomysł – wszedł mu w słowo Mazzic. – Co powiesz na to, żeby przenieść to spotkanie na pokład „Dzikiego Karrde'a"?

Gdy Talon na niego spojrzał, Mazzic spokojnie odwzajemnił spojrzenie z kamienną twarzą. Cóż, wszystko wskazywało na to, że jednak nie chodziło tylko o nadmierną ostrożność…

– Czy mógłbym spytać dlaczego? – odpowiedział pytaniem.

– Chcesz powiedzieć, że masz coś do ukrycia? – skontrował zaczepnie Mazzic.

– Oczywiście, że mam do ukrycia to i owo – zapewnił Karrde, obdarzając go chłodnym uśmiechem. – Podobnie jak Par'tah, Ellor czy ty. W końcu jesteśmy dla siebie konkurencją w branży.

– A więc nie wpuścisz nas na pokład „Dzikiego Karrde'a"?

Talon spojrzał kolejno na każdego z szefów przemytniczych grup. Gillespee, Dravis i Clyngunn marszczyli czoła. Bez dwóch zdań

sprawiali wrażenie osób, które nie mają pojęcia, co tu się dzieje. Miał pewne problemy z interpretacją miny zdobiącej ho'dińskie oblicze Par'tah, jednak coś w jej posturze kazało mu przypuszczać, że jest dziwnie zaniepokojona. Ellor otwarcie unikał jego wzroku. A Ferrier…

Ferrier się uśmiechał. Nie było to nic ostentacyjnego. O nie, wręcz przeciwnie: uśmieszek ledwie błąkał się po jego ustach, niemal niewidoczny wśród tej jego gęstej brody. Jednak Karrde'owi to wystarczyło. Jeśli chodzi o ścisłość, było to więcej niż dosyć.

Dopiero teraz to do niego dotarło – zbyt późno. Tym, co widział Chin – i nieuchwytnym intruzem – był nie kto inny, a Defel Ferriera.

Ludzie Mazzica byli tu. Ludzie Karrde'a – trzy poziomy niżej, zajęci strzeżeniem statku i bazy przed zagrożeniem, które już dawno zniknęło. A wszyscy jego goście czekali na odpowiedź.

– „Dziki Karrde" dokuje na dole – poinformował zgromadzonych. – Jeśli ktoś ma ochotę, zapraszam.

Gdy zjawili się w pobliżu transportowca, Dankin i Torve byli pogrążeni w cichej rozmowie u stóp trapu.

– Eee… cześć, kapitanie – bąknął na widok szefa ten pierwszy, wyraźnie zaskoczony. – W czym możemy pomóc?

– Nie potrzebuję pomocy – wyjaśnił Karrde. – Postanowiliśmy po prostu przenieść spotkanie na pokład statku.

– Na… pokład? – powtórzył Dankin, strzelając oczami od jednego członka grupy do drugiego. Widać było, że zdecydowanie nie podoba mu się to, co widzi. I nic dziwnego: wśród grona hersztów przemytniczych karteli, ich asystentów i ochroniarzy, zbiry Mazzica rzucały się w oczy jak jaskrawe światła boi lądowniczej w mroku. – A, jasne. Przepraszam. O niczym nie widziałem – dodał, zaczepiając pozornie od niechcenia kciuk prawej dłoni o pas z kaburą.

– To była spontaniczna decyzja – wyjaśnił Talon. Kątem oka widział, jak reszta jego ludzi porozstawianych po kątach sali bankietowej porzuca swoje posterunki i zaczyna się dyskretnie kierować w ich stronę na widok sygnału Dankina. Otaczali ich powoli luźnym kręgiem…

– Jasne – stwierdził tymczasem sam Dankin, z każdą chwilą coraz bardziej zbity z tropu. – Choć to niezbyt dobre miejsce na podobną

imprezę… To znaczy, sam wiesz, szefie, jak wygląda nasza świetlica…

– Nie szukamy wygód – wszedł mu obcesowo w słowo Mazzic. – Odsuń się. Mamy sprawy do załatwienia.

– Jasne, rozumiem – przytaknął Dankin. Widać było po nim, że zupełnie nie ma pojęcia, co się tu wyprawia, jednak ani drgnął. – Problem w tym, że w tej chwili na pokładzie przebywa ekipa skanująca. Jeśli wpuścimy tam więcej osób, ich obecność zafałszuje odczyty.

– No i trudno! – wtrącił się Ferrier. – A tak w ogóle, to kim ty jesteś, żeby tak się tu rządzić?

Nim Dankin zdążył coś na to odpowiedzieć, Karrde poczuł na policzku delikatny powiew przesyconego zapachem perfum powietrza, po czym w bok wbiła mu się twarda lufa blastera.

– Sprytna sztuczka, Karrde – rzucił Mazzic – ale, niestety, nie zadziała. Odwołaj ich. Natychmiast.

Karrde ostrożnie zerknął przez ramię. Urocza ochroniarz Mazzica odwzajemniła jego spojrzenie – w jej oczach nie było nic oprócz zimnego profesjonalizmu.

– A jeśli tego nie zrobię?

– Będziemy tu mieli strzelaninę – wyznał bez ogródek Mazzic. – Tu i teraz.

W grupie przemytników i ich asysty zawrzało, gdy zgromadzeni poruszyli się niespokojnie.

– Czy ktoś mógłby mi wyjaśnić, o co tu właściwie chodzi? – spytał niepewnym głosem Gillespee.

– Powiem ci, gdy będziemy już na pokładzie – odparł Mazzic, nie spuszczając Karrde'a z oczu. – To znaczy, oczywiście, jeśli pożyjemy na tyle długo, by się tam znaleźć. A to zależy wyłącznie od naszego gospodarza.

– Moi ludzie ci się nie poddadzą – zastrzegł cicho Talon. – A przynajmniej nie bez walki.

– Nic mnie nie obchodzą twoi ludzie – burknął Mazzic. – Ani twój statek czy twoja organizacja. To sprawa osobista, między tobą a mną. I naszymi kolegami po fachu.

– W takim razie miejmy to już za sobą – podsunął Dankin. – Zrobimy wam miejsce, wybierzecie sobie broń…

– Nie mam na myśli jakichś głupich prywatnych porachunków – przerwał mu poirytowany Mazzic. – Mówię o… zdradzie.

– Słucham? – zdumiał się Gillespee. – Mazzic…

– Zamknij się, Gillespee – nie dał mu dokończyć Mazzic, piorunując go wzrokiem. – Co ty na to, Karrde?

Talon powoli powiódł spojrzeniem po zgromadzonych. Nie miał wśród nich sojuszników ani przyjaciół, którzy stanęliby za nim murem niezależnie od tego, jaki spisek uknuli przeciwko niemu Mazzic i Ferrier. Nawet jeśli dawniej darzyli go szacunkiem lub byli mu winni przysługi, teraz nie miało to żadnego znaczenia. Gdyby do czegoś doszło, będą spokojnie patrzeć, nie kiwnąwszy nawet palcem, jak jego wrogowie się z nim rozprawiają… później zaś rozkradną, kawałek po kawałku, całą organizację, którą budował przez lata z takim trudem.

Nim jednak do tego dojdzie, ludzie i inne istoty wciąż byli jego kolegami po fachu… i był za nich odpowiedzialny.

– W świetlicy nie ma dość miejsca, by zmieścili się tam wszyscy – poinformował cicho Mazzica. – Wystarczy go tylko dla ośmiu osób. Wszyscy adiutanci, ochroniarze i twoje zbiry będą musieli zostać tutaj. Czy zechciałbyś wydać im wyraźny rozkaz, by zostawili moich ludzi w spokoju?

Mazzic przyglądał mu się w milczeniu przez długą chwilę, jednak w końcu kiwnął krótko głową.

– Dopóki nie zostaną sprowokowani, nikogo nie tkną. Shada, zabierz mu blaster. Karrde, prowadź.

Talon spojrzał na Dankina i Torve'a i kiwnął głową. Jego ludzie niechętnie cofnęli się od trapu, a on zaczął się po nim wspinać. Tuż za nim trzymała się grupa ludzi, których jeszcze tak niedawno miał nadzieję zjednoczyć przeciwko Imperium.

Powinien był wiedzieć, że to mrzonki.

Gdy znaleźli się w świetlicy, Mazzic szturchnięciem wskazał Karrde'owi miejsce w kącie pomieszczenia, a cała reszta usiadła

wokół stołu, twarzami do niego.

– W porządku – powiedział Talon. – No to… co teraz?

– Chciałbym zobaczyć twoje datakarty – zażądał Mazzic. – Wszystkie. Zacznijmy od tych z twojego biura.

Karrde wskazał głową przez ramię.

– Tym wyjściem, a potem prawe drzwi w korytarzu.

– Kody dostępu?

– Nie używam zabezpieczeń. Ufam swoim ludziom.

Mazzicowi drgnął lekko kącik ust.

– Ellor, idź po nie. I weź ze sobą kilka datapadów.

Duros wstał i wyszedł bez słowa.

– A może tymczasem – przerwał niezręczne milczenie Karrde – przedstawię wam powód, dla którego zaprosiłem was na Hijarnę?

– Masz no tupet, Karrde – parsknął Mazzic. – Tupet i styl, trzeba to przyznać. Ale wolałbym, żebyśmy zaczekali tę chwilę w milczeniu, co ty na to?

Talon spojrzał na wycelowany w niego blaster.

– Skoro tak mówisz…

Ellor wrócił minutę później, niosąc tacę pełną datakart, z dwoma datapadami balansującymi na szczycie sterty.

– No dobra – mruknął Mazzic, gdy Duros usiadł obok niego. – Daj jeden z notesów Par’tah i zacznijcie sprawdzać nośniki. Wiecie, czego szukać.

– Chciałbym na samym wstępie zaznaczyć, że wcale mi się to nie podoba – stwierdził Ellor.

– Mnie równieżżż – dodała Par’tah. Wypustki na jej głowie falowały niczym stado niespokojnych węży. – Otwarta walka z konkurencją jessst wpisssana w naszszsz fach. To jednak… O, to zzzupełnie ccco innego.

– Tu nie chodzi o interesy – zaprotestował Mazzic.

– Oczywiście, że nie – zgodził się z nim Karrde. – Jak Mazzic raczył wspomnieć, nie interesuje go też moja organizacja.

– Nie łap mnie za słówka, Karrde – warknął ostrzegawczo Mazzic. – Nienawidzę tego tak samo jak bycia wodzonym za nos.

– Nikogo nie wodzę za nos – odparł cicho Karrde. – Od samego początku gram w otwarte karty.

– Może tak, a może i nie. Właśnie po to tu jesteśmy: aby się o tym przekonać.

Talon rozejrzał się po zgromadzonych, przypominając sobie, jaki chaos rozpętał się w półświatku przemytniczym po rozpadzie organizacji Hutta Jabby. Wszystkie ugrupowania z całej galaktyki rzuciły się na łeb na szyję, aby rozwłóczyć jej szczątki, podbierając sobie nawzajem statki, ludzi i kontrakty – a czasem wręcz walcząc o nie kłami i pazurami. Na śmierci Hutta szczególnie wzbogaciły się większe grupy…

Zastanawiał się, czy Aves byłby w stanie odeprzeć ich zakusy. Aves… i Mara.

– Coś już macie? – spytał Mazzic.

– Jeśśśli cośśś zzznajdziemy, dowieszszsz sssię o tym – odparła Par'tah z rozdrażnieniem. Ton jej głosu zdradzał, że jest całą tą sytuacją bezgranicznie zdegustowana.

Karrde spojrzał na Mazzica.

– Czy raczysz mi przynajmniej wyjaśnić, co takiego rzekomo zrobiłem?

– No właśnie, ja również chętnie się tego dowiem – poparł go Gillespee.

Mazzic opadł na oparcie krzesła, składając dłoń z bronią na udzie.

– To bardzo proste – powiedział. – Ten atak na Troganie… ten sam, w którym zginął mój przyjaciel Lishma. Wszystko wskazuje na to, że został ukartowany.

– Co masz na myśli, mówiąc „ukartowany"? – spytał Dravis.

– Dokładnie to, co powiedziałem. Ktoś wynajął imperialnego porucznika i jego oddział, by nas zaatakowali.

– Imperialni żołnierze nie biorą fuch na boku – warknął gardłowo Clyngunn.

– A jednak. Tamci wzięli – zauważył Mazzic.

– Skąd takie informacje? – spytał Gillespee.

– Z najbardziej zaufanego źródła, jakie istnieje. – Mazzic uśmiechnął się skąpo. – Od wielkiego admirała Thrawna.

Przez chwilę wszyscy milczeli wstrząśnięci. Dravis pierwszy odzyskał rezon.

– Wolne żarty – wykrztusił. – Chcesz powiedzieć, że ot tak ci o tym wspomniał?

– Zgarnęli mnie z okolic układu Joiol i ściągnęli na „Chimaerę” – wyjaśnił Mazzic, ignorując sarkazm w głosie kolegi. – Sądziłem, że da mi popalić po tym incydencie w stoczniach Bilbringi. Ale Thrawn powiedział, że sprowadził mnie na pokład tylko w celu, cytuję, „oczyszczenia atmosfery”, i zapewnił, że nikt od nich nie autoryzował trogańskiej akcji oraz że nie powinienem ich o to obwiniać. A potem puścił mnie wolno.

– Zasugerowawszy uprzednio w wygodny dla siebie sposób, że to ja za tym wszystkim stałem? – domyślił się Karrde.

– Nie wskazał konkretnie ciebie – zastrzegł Mazzic. – Ale… kto inny zyskałby na nastawianiu nas przeciwko Imperium?

– Mówimy tu o wielkim admirale, Mazzic – przypomniał mu ostro Karrde. – Wielkim admirale, który uwielbia się bawić w długofalowe, zawiłe strategie. I który ma własny interes w tym, by mnie zniszczyć.

– Nie opieram się jedynie na słowach Thrawna, Karrde. – Mazzic uśmiechnął się pod nosem. – Zanim tu przybyłem, poprosiłem jednego z przyjaciół, aby poszperał dla mnie w imperialnych archiwach wojskowych. Dostarczył mi pełen opis incydentu na Troganie.

– Wiesz, że nawet w imperialnych aktach można namieszać – wytknął mu Talon.

– Tak jak już wspomniałem, nie opieram się wyłącznie na tych informacjach – odparł Mazzic. – Jeśli jednak znajdziemy tu dowody potwierdzające tę wersję… – podniósł nieco wyżej lufę swojego blastera – …trudno będzie ci z nimi polemizować.

– Rozumiem – mruknął Karrde, popatrując na Ferriera. A więc to właśnie po to złodziej statków przysłał tu swojego Defela. Aby podrzucić dowody, o których mówił Mazzic. – Jak sądzę, już trochę za późno, by wspomnieć o tym, że na kilka minut przed waszym przybyciem mieliśmy tu intruza?

– Jasne! – parsknął Ferrier. – Sprytnie, ale obawiam się, Karrde, że rzeczywiście jest już odrobinę za późno.

– Za późno na co? – spytał Dravis, marszcząc czoło.

– Próbuje właśnie rzucić podejrzenia na kogoś innego, ot co! – wypluł z pogardą Ferrier. – Chce was przekonać, że to ktoś z nas podrzucił mu tę datakartę…

– Jaką datakartę? – parsknął Gillespee. – Nic jeszcze przecież nie znaleźliśmy…

– Owszem, znaleźliśmy – zaprzeczył cicho Ellor.

Gdy Talon na niego spojrzał, płaska twarz Durosa była nieruchoma – trudno było wyczytać z niej jakiekolwiek emocje, gdy w milczeniu podawał datapad Mazzicowi. Ten wziął urządzenie od niego i rysy jego twarzy również stwardniały.

– A więc oto i nasze dowody – powiedział zwodniczo spokojnie, kładąc datapad na stole. – Jak sądzę, nie trzeba już nic dodawać.

– Chwileczkę – sprzeciwił się Gillespee. – Owszem, trzeba. Karrde nie kłamie, to prawda z tym intruzem. Byłem z nim na górze, gdy nadeszła wiadomość, że coś jest nie tak.

– W porządku. – Mazzic wzruszył ramionami. – Powiedzmy, że łykam tę wersję. No i co się okazało, Karrde? Co dokładnie widziałeś?

– Niestety nic. – Talon pokręcił głową, próbując nie spuszczać przy tym z oka lufy blastera Mazzica. – Chinowi zdawało się, że dostrzegł, jak ktoś kręci się w pobliżu statku, jednak nikogo nie namierzyliśmy.

– Nie zauważyłem tu zbyt wielu miejsc, w których ktoś mógłby się ukryć – zauważył z przekąsem Mazzic.

– Człowiek… nie – zgodził się z nim Karrde. – Jednak podczas poszukiwań nie zwróciliśmy uwagi na to, jak wiele zacienionych miejsc jest pod ścianami i w pobliżu drzwi.

– Chcesz przez to powiedzieć, że za wszystkim stoi mój upiór, co? – wtrącił Ferrier. – Cóż, to klasyczne posunięcie: rzucić kilka niejasnych aluzji, by zaciemnić obraz całej sytuacji. Jeśli właśnie to chciałeś zrobić, zapomnij. Na nas to nie zadziała.

Talon zerknął na niego, marszcząc czoło. Spojrzał w to wykrzywione grymasem wściekłości oblicze i dziwnie czujne oczy… i nagle do niego dotarło, że mylił się w swoim osądzie. Ferrier i Mazzic nie uknuli tego wspólnie. To była tylko sprawka tego

pierwszego, wypełniającego najprawdopodobniej instrukcje Thrawna, który próbował go pogrążyć.

Co oznaczało, że Mazzic naprawdę był przekonany o tym, że Karrde ich wszystkich wystawił… A zatem wciąż istniała jakaś szansa na udowodnienie mu, że jest w błędzie.

– W takim razie spróbuję inaczej – powiedział, skupiając wzrok na Mazzicu. – Czy naprawdę sądzisz, że byłbym na tyle lekkomyślny, by zostawiać dowód mojej zdrady w miejscu, w którym każdy mógłby go znaleźć?

– Nie wiedziałeś, że będziemy go szukać – zauważył Ferrier, nim Mazzic zdążył otworzyć usta, by coś na to odpowiedzieć.

Talon spojrzał na niego, podnosząc brew.

– Och, a więc teraz jesteście już wy, co, Ferrier? Prowadzisz to śledztwo razem z Mazzikiem?

– On ma rację, Karrde. Przestań ściemniać – skomentował Mazzic. – Naprawdę ci się zdaje, że Thrawn zadałby sobie cały ten trud tylko po to, by cię zdyskredytować? Przecież gdyby mu na tym zależało, mógłby to zrobić od razu, na Troganie.

– Na Troganie nie mógł mnie tknąć palcem. – Talon pokręcił głową. – Nie na oczach was wszystkich. Wówczas ryzykowałby, że nastawi przeciwko sobie cały półświatek. O nie, takie rozwiązanie jest znacznie lepsze. Dzięki temu zniszczy mnie, podkopie moją wiarygodność, jeśli chodzi o ostrzeżenia, których udzielałem co do jego osoby, a jednocześnie zagwarantuje sobie wasz posłuch i gotowość świadczenia mu usług.

– Nie. Thrawn nie jest taki jak Vader. – Clyngunn pokręcił kudłatym łbem. – Nie szafowałby życiem swoich ludzi, wysyłając ich na straceńczą misję.

– Zgadzam się – powiedział Talon. – Ja również sądzę, że to nie on zaplanował atak na Troganie. Przypuszczam, że stał za nim ktoś inny, a wielki admirał po prostu wykorzystał zaistniałą sytuację dla własnych celów.

– A ja przypuszczam, że próbujesz ni mniej, ni więcej, tylko zwalić na mnie winę także za tamtą akcję – warknął Niles.

– Nikogo z was o nic nie oskarżyłem, Ferrier – przypomniał mu spokojnie Karrde. – Myślałby kto, że zżera cię poczucie winy.

– O, proszę, znowu próbuje zamydlić nam oczy – stwierdził złodziej statków, rozglądając się po twarzach zgromadzonych, nim łypnął znów gniewnie na Talona. – Przed chwilą właściwie otwarcie oskarżyłeś mojego upiora o podrzucenie ci tej datakarty.

– Ty to zasugerowałeś, nie ja – odparł Talon, nie spuszczając z niego wzroku. Szybkie myślenie z pewnością nie było mocną stroną Ferriera i powoli było widać, że podenerwowanie zaczynało brać górę nad zdrowym rozsądkiem. Gdyby tylko zdołał wyprowadzić go z równowagi jeszcze odrobinę… – A skoro już o tym mowa, to gdzie twój Defel?

– Na moim statku – odpowiedział szybko Ferrier. – Zaparkowanym na zachodnim dziedzińcu, razem z innymi. Nie ruszał się stamtąd, odkąd wylądowaliśmy.

– Dlaczego?

– Cóż to za pytanie? – Ferrier ściągnął brwi. – Jest tam, bo należy do mojej załogi.

– Nie, nie. Chodzi mi o to, dlaczego nie czeka wraz z resztą ochroniarzy pod „Dzikim Karrde'em".

– A kto powiedział, że jest moim ochroniarzem?

– Cóż, założyłem po prostu, że zatrudniasz go w takim charakterze. – Talon wzruszył ramionami. – W końcu taką rolę odgrywał na Troganie…

– Zgadza się, tak właśnie było – potwierdził z namysłem Gillespee. – Stał pod ścianą. Gotów zareagować na atak imperialnych żołnierzy, gdy tylko się zjawili.

– Zupełnie jakby wiedział, że do niego dojdzie – zawtórował mu Karrde.

– Karrde… – Twarz Ferriera aż pociemniała z gniewu.

– Dosyć tego! – zdusił sprzeczkę w zarodku Mazzic. – To nie jest żaden dowód, Karrde, i doskonale o tym wiesz. Tak czy inaczej, dlaczego niby Ferrier miałby sfingować ten atak?

– Być może po to, by móc ostentacyjnie pomóc nam podczas walki – zasugerował Talon. – Licząc na to, że uchroni go to przed oskarżeniem o powiązania z Imperium.

– Mów sobie, co ci się żywnie podoba – burknął Ferrier, dźgając palcem w stronę datapada leżącego na stole obok Mazzica. – Ale

z danych na tej karcie nie wynika, że to ja wynająłem Koska i jego ludzi, tylko że zrobiłeś to ty. Jeśli chcecie znać moje zdanie, to sądzę, że usłyszeliśmy już dość, by…

– Chwileczkę – przerwał mu z namysłem Mazzic, zwracając się w jego stronę. – Skąd wiesz, co jest na tej datakarcie?

– Sam nam to powiedziałeś – obruszył się Niles. – Powiedziałeś, że to dowody potwie…

– Nie wymieniłem nazwiska porucznika.

Nagle w świetlicy zapadła głucha cisza… a brodata twarz Ferriera zbladła jak ściana.

– Ale… zrobiłeś to, na bank!

– Nie – zaprzeczył zimnym głosem Mazzic. – Nie zrobiłem tego.

– Nikt nie wymieniał nazwiska – zagrzmiał Clyngunn.

Ferrier łypnął na niego gniewnie.

– To jakieś… szaleństwo! – wykrztusił, gdy najwyraźniej odzyskał panowanie nad sobą. – Wszystkie dowody wskazują wyraźnie na Karrde'a, a wy pozwolicie, by mu się upiekło, tylko dlatego, że gdzieś obiło mi się o uszy nazwisko tego całego Koska? Może wymienił je któryś ze szturmowców podczas tamtego ataku na Troganie? Skąd mam wiedzieć!

– Cóż, w takim razie może zadam ci łatwiejsze pytanie – odezwał się spokojnie Karrde. – Wyjaśnij nam, proszę, skąd dowiedziałeś się o tym spotkaniu. Zważywszy na fakt, że nie zostałeś na nie oficjalnie zaproszony.

– Nie zaprosiłeś go? – Mazzic rzucił mu czujne spojrzenie.

– Nigdy temu typowi nie ufałem. – Talon pokręcił głową. – Nie, odkąd dowiedziałem się o jego roli w przejęciu przez Thrawna Floty Katańskiej. Zacznijmy od tego, że nie zjawiłby się na Troganie, gdyby Gillespee nie postanowił objąć zaproszeniem wszystkich zainteresowanych.

– No to jak było, Ferrier? – przycisnął złodzieja statków Dravis. – A może będziesz się upierał, że zaprosił cię ktoś z nas?

Złodziej statków zmrużył lekko oczy, wyraźnie spięty.

– Przechwyciłem wiadomość wysłaną do Mazzica – wymamrotał pod nosem. – I ją rozszyfrowałem. Pomyślałem, że też powinienem tu być.

– Szybko ją rozpracowałeś – skwitował Gillespee. – Bo używamy naprawdę przyzwoitych kodów. Jak mniemam, zachowałeś kopię oryginalnej transmisji?

Ferrier wstał.

– Nie muszę tu siedzieć i wysłuchiwać tych obelg – warknął. – To Karrde jest tu na cenzurowanym, nie ja.

– Siadaj, Ferrier – powiedział zwodniczo spokojnie Mazzic. Nie celował już do Karrde'a.

– Ale to on! – upierał się Niles. Wyciągnął przed siebie prawą dłoń, z palcem wskazującym wycelowanym w Karrde'a. – To on za to wszy…

– Uwaga! – wykrzyknął Gillespee.

Było już jednak za późno. Wymachując prawą dłonią dla odwrócenia uwagi, Ferrier błyskawicznie sięgnął do sakwy u pasa lewą ręką, aby za moment ją również wyciągnąć przed siebie.

Trzymał w niej detonator termiczny.

– No dobra, wszyscy rączki na stół – warknął. – Rzuć broń, Mazzic.

Przemytnik powoli odłożył blaster na stół.

– Nie wyjdziesz stąd żywy, Ferrier – wycedził. – Shada i moi ludzie już o to zadbają.

– Nie licz na to – parsknął Niles, sięgając po jego blaster. – Upiorze? Chodzi no tu!

Drzwi do świetlicy za jego plecami rozsunęły się i do pomieszczenia wślizgnął się bezszelestnie czarny cień. Cień o czerwonych oczach i lśniących bielą długich kłach.

Clyngunn zmełł w ustach zehethbrańskie przekleństwo.

– A więc Karrde miał co do ciebie rację. Zdradziłeś nas. Wydałeś nas Imperium.

Ferrier jednak go nie słuchał.

– Pilnuj ich – rozkazał cieniowi, popychając po blacie w jego stronę blaster Mazzica i sięgając po własną broń. – No, Karrde, zapraszam. Zrobimy sobie wycieczkę na mostek…

– A jeśli odmówię? – Talon ani drgnął.

– Zabiję cię i sam sobie wezmę twój statek – skwitował krótko Ferrier. – Hm, może powinienem to zrobić tak czy inaczej. Thrawn

pewnie dobrze by mi za was wszystkich zapłacił.

– Fakt – przyznał Karrde, wstając. – Tędy.

Dotarli na mostek bez przeszkód.

– Ty pilotujesz – polecił Talonowi złodziej statków, wskazując blasterem konsolę i jednocześnie obrzucając wyświetlacze szybkim spojrzeniem. – Świetnie. Tak właśnie myślałem, że wszystko będzie gotowe do startu.

– Dokąd lecimy? – spytał przemytnik, zajmując miejsce za sterami. Przez iluminator widział kilkoro swoich ludzi, najwyraźniej nieświadomych jego obecności na mostku, skupionych bez reszty na wymianie nienawistnych spojrzeń ze zbirami Mazzica.

– Na początek do góry i na zewnątrz – poinstruował go Ferrier, wskazując lufą blastera nad wznoszącą się przed nimi na wpół zawaloną ścianę fortecy.

– W porządku. – Talon zabrał się do wklepywania do komputera pokładowego komend, wywołując na ekran raport procedury przedstartowej. Robił to prawą dłonią. Lewą opuścił pozornie od niechcenia na kolano. Tuż nad nim znajdował się wmontowany w główną konsolę panel kontrolny zewnętrznych świateł statku. – Co później?

– A jak sądzisz? – burknął Ferrier, podchodząc do stanowiska łączności i obrzucając je szybkim spojrzeniem. – Spadamy stąd. Czy któreś z twoich pozostałych statków mają aktywne nadajniki?

– „Gwiezdny Lód” i „Eteryczny Szlak” – odpowiedział Karrde, włączając i wyłączając trzykrotnie światła pozycyjne statku. Widział, jak za iluminatorem w stronę dziobu zaczynają się odwracać kolejne twarze – malowały się na nich zaskoczenie i podejrzliwość. – Mam nadzieję, że nie wybierasz się zbyt daleko?

Ferrier obdarzył go bezczelnym uśmiechem.

– A co, boisz się, że ukradnę twój cenny frachtowiec?

– Nie uda ci się to – stwierdził spokojnie Karrde, patrząc mu w oczy. – Prędzej go zniszczę.

Złodziej statków parsknął lekceważąco.

– Odważne słowa jak na kogoś, kto znajduje się na złym końcu blastera – rzucił z pogardą, ważąc w dłoni broń dla podkreślenia swoich słów.

– Nie blefuję – ostrzegł go Talon, włączając znów światła pozycyjne. Zaryzykował szybkie spojrzenie za panel widokowy. Liczył na to, że sygnały świetlne w połączeniu z widokiem Ferriera trzymającego go na muszce sprawią, że ludzie na zewnątrz dodadzą dwa do dwóch i zorientują się, co się dzieje na górze. Oby. Bo jeśli nie… nagły odlot „Dzikiego Karrde'a" poskutkuje najprawdopodobniej strzelaniną.

– No ja myślę – prychnął znów Niles i klapnął na fotel przy konsoli drugiego pilota obok niego. – Spokojnie, nie musisz zgrywać bohatera. Wierz mi, niczego nie pragnąłby bardziej, niż uwolnić cię od ciężaru „Dzikiego Karrde'a", ale nie jestem na tyle głupi, by próbować pilotować tak duży statek z połową załogi. O nie, chcę tylko, żebyś odstawił mnie na pokład mojej łajby. Potem znikniemy stąd i zaszyjemy się gdzieś, dopóki nie będzie po wszystkim. – Zerknął jeszcze raz na wyświetlacze i kiwnął głową. – W porządku. W drogę.

Karrde zacisnął w duchu kciuki, aktywował repulsory i pchnął statek lekko w przód, spodziewając się odruchowo, że tłumek ochroniarzy i adiutantów zgromadzony na zewnątrz otworzy do nich ogień. Nikt jednak nie zaczął strzelać, gdy ostrożnie przeprowadzał statek nad poszarpaną krawędzią kamiennego muru, kierując go na zewnątrz.

– Taaa, jasne, wszyscy już się stąd zawinęli – rzucił od niechcenia Ferrier w ciszy panującej na mostku. – Pewnie gnają na łeb na szyję do swoich statków, żeby puścić się za nami w pościg.

– Odnoszę wrażenie, że niezbyt cię to martwi?

– Bo tak jest – stwierdził Niles. – Wystarczy, że dostarczysz mnie na pokład mojego statku tak, bym miał nad nimi małą przewagę czasową. Dasz chyba radę, co?

Karrde zerknął na wycelowany w niego blaster.

– Zrobię, co w mojej mocy – potwierdził.

Nie napotkali żadnych problemów. Gdy „Dziki Karrde" osiadał na skruszonych skałach tuż obok zmodyfikowanej koreliańskiej kanonierki, statki reszty zaczynały się dopiero wynurzać spod łuku prowadzącego do głównej części fortecy. Nim przemytnicy zdołają tu dotrzeć, minie ładnych kilka minut.

– Wiedziałem, że ci się uda! – skwitował sarkastycznie Ferrier, wstając i aktywując interkom. – Upiorze? Otwieraj właz. Zabieramy się stąd.

Odpowiedź jednak nie nadeszła.

– Upiorze? Słyszysz mnie?

– Nie będzie nic słyszał jeszcze przez jakąś chwilę – dobiegł z głośnika grzmiący głos Clyngunna. – Jeśli chcesz go z powrotem, będziesz go musiał nieść.

Rozwścieczony Ferrier plasnął dłonią w moduł interkomu, przerywając połączenie.

– Co za dureń! Powinienem był wiedzieć, że nie można mu ufać. Chociaż w zasadzie wyszedłbym na tym lepiej, gdybym od razu was wszystkich zabił…

– Może i tak – stwierdził ze spokojem Karrde. Kiwnął głową w stronę dziedzińca, wskazując rzeszę nadciągających w ich stronę ochroniarzy i zbirów. – Choć szczerze wątpię, żebyś miał teraz okazję naprawić ten błąd…

– Równie dobrze mogę zadbać o to później – odwarknął ze zniecierpliwieniem Ferrier. – Tak czy inaczej, wciąż mogę się zająć tobą.

– Cóż. Jeśli masz ochotę zginąć razem ze mną… – skomentował spokojnie Karrde, zmieniając lekko pozycję w fotelu, aby zademonstrować złodziejowi statków, że lewą dłoń trzyma na jednym z przycisków panelu pod konsolą. – Tak jak już wspomniałem: wolę zniszczyć ten statek, niż pozwolić, by wpadł w twoje łapy.

Przez długą chwilę obawiał się, że Ferrier i tak spróbuje szczęścia, jednak po kilku dłużących się niemiłosiernie sekundach złodziej statków z wyraźnym ociąganiem przestał do niego celować. Zamiast tego wypalił dwukrotnie w sekcję panelu kontrolnego odpowiadającego za sterowanie ogniem.

– Do zobaczenia innym razem, Karrde – rzucił na odchodnym, po czym w kilku susach dopadł do drzwi mostka, rozejrzał się pospiesznie, gdy się otworzyły, po czym dał nura na zewnątrz.

Gdy Ferrier zniknął mu z pola widzenia, Karrde wziął głęboki oddech i powoli wypuścił powietrze z płuc. Zdjąwszy palec ze

spustu aktywowania świateł lądowniczych, nad którym trzymał go cały czas, wstał. Piętnaście sekund później zauważył za iluminatorem postać Ferriera, gnającego czym prędzej w stronę swojej kanonierki.

Sięgnął ostrożnie ponad dymiącą dziurą w panelu kontrolnym i aktywował interkom.

– Tu Karrde – rzucił do mikrofonu. – Możecie już znieść barykadę przy drzwiach. Ferrier dał nogę. Czy do więźnia trzeba wezwać medyków? Potrzebujecie pomocy?

– Nie, nic podobnego – zapewnił go Gillespee. – Może i jego Defel jest świetny w skradaniu się, ale strażnik z niego byle jaki. Wygląda na to, że Ferrier porzucił go tu, zostawiając na pastwę losu, tak?

– Szczerze? Nie spodziewałbym się po nim niczego innego – stwierdził Talon. Za iluminatorem kanonierka Ferriera wzbijała się w powietrze na repulsorach, obracając się dziobem na zachód. – Właśnie startuje. Ostrzeż wszystkich, by nie opuszczali pokładu. Podejrzewam, że on coś knuje, by opóźnić pościg…

I rzeczywiście tak było. Ledwie słowa Karrde'a wybrzmiały, zawieszony na repulsorach statek wystrzelił w powietrze duży pojemnik. Niebo rozświetlił gwałtowny rozbłysk, który niebawem przybrał formę rozpościerającej się błyskawicznie metalowej siatki. Sieć rozciągnęła się nad dziedzińcem i opadła na ziemię, iskrząc w miejscach, gdzie zetknęła się z zaparkowanymi w dole statkami.

– Sieć Connera – dobiegł zza pleców Talona głos Dravisa. – Klasyczne zagranie złodziei statków…

Gdy Karrde się odwrócił, zobaczył stojących w przejściu Dravisa, Par'tah i Mazzica, spoglądających przez iluminator na odlatującą kanonierkę.

– Mamy sporo ludzi poza siecią – przypomniał im. – Jej przepalenie nie powinno długo potrwać.

– Nie możżżemy pozwolić, by uccciekł – wysyczała Par'tah, wskazując oddalającą się kanonierkę gestem będącym u Ho'Dinów odpowiednikiem wyrazu pogardy.

– Nie ucieknie – zapewnił ją Talon. Kanonierka sunęła nisko nad równiną, poza zasięgiem dział statków uziemionych za pomocą sieci. – „Eteryczny Szlak" i „Gwiezdny Lód" czekają w gotowości na

północ i południe od tego miejsca. – Odwrócił się i spojrzał na Mazzica, podnosząc brew. – Ze względu jednak na okoliczności sądzę, że to Mazzic powinien czynić honory.

Ten tylko uśmiechnął się do niego, zaciskając usta w wąską linię.

– Dzięki – mruknął cicho, sięgając po komunikator. – Griv, Amber? Leci do was kanonierka. Zdejmijcie ją.

Talon obejrzał się za siebie. Kanonierka była już w pobliżu linii horyzontu i zaczynała się właśnie wspinać ku przestrzeni kosmicznej… gdy dwa myśliwce Mazzica wyłoniły się ze swoich kryjówek i puściły za nią w pościg.

– Chyba jestem ci winien przeprosiny – rzucił zza pleców Talona Mazzic.

– Zapomnij o tym – mruknął Karrde, kręcąc głową. – Albo może lepiej nie zapominaj. Niech ten incydent będzie dla ciebie przypomnieniem tego, jak wielki admirał załatwia swoje sprawy. I co tak naprawdę znaczą dla niego ludzie tacy jak my.

– Spokojna głowa – zapewnił go cicho Mazzic. – Nie zapomnę.

– To dobrze – rzucił rzeczowo Karrde. – W takim razie do roboty. Dobrze by było, gdyby nasi ludzie zajęli się tą siecią najszybciej, jak się da. Jestem pewien, że wszyscy wolelibyśmy opuścić Hijarnę jak najprędzej, nim Imperium zorientuje się, że jego plan nie wypalił.

W oddali, tuż nad horyzontem niebo rozświetlił na krótko gwałtowny rozbłysk.

– A w wolnej chwili, nim zdołamy się stąd wydostać – dodał znacząco Talon – chciałbym przedstawić wam moją propozycję…

Rozdział 19

– W porządku – mruknął do Landa Han, wymacując palcami krawędź lewej nogi R2-D2, żeby znaleźć lepszy chwyt. – Gotów?

Droid zaćwierkał coś pod kopułką.

– Artoo chce tylko przypomnieć, byście byli ostrożni – przetłumaczył usłużnie C-3PO, nerwowo przestępując z nogi na nogę i trzymając się na tyle daleko, by nikt mu nie mógł zarzucić, że wchodzi w paradę. – Proszę pamiętać, że ostatnim razem, gdy…

– Nie upuściliśmy go celowo – wszedł mu w słowo Han. – Jeśli wolałby zaczekać na Luke'a, droga wolna.

R2-D2 znów zaćwierkał.

– Mówi, że to nie będzie konieczne – pospieszył natychmiast z tłumaczeniem C-3PO. – Ufa wam bezgranicznie.

– Miło mi to słyszeć – burknął Solo. Niestety, nie znalazł żadnego lepszego chwytu. Zapamiętał, by wspomnieć o tym po powrocie gościom z Industrial Automaton. – No to jazda. Lando? Ciągniemy!

Naprężyli mięśnie… i chwilę później z szarpnięciem, od którego Hanowi chrupnęło coś paskudnie w krzyżu, droid wystrzelił z plątaniny korzeni, które jakimś cudem wkręciły mu się w kółka.

– No i gotowe – sapnął Lando, gdy postawili astromecha na tyle delikatnie, na ile dali radę, na dnie wyschniętego koryta rzeki, usłanego zeschniętymi liśćmi. – I jak?

Tym razem świergotliwe wyjaśnienia trwały dłużej.

– Mówi, że teraz doszło jedynie do niewielkich uszkodzeń – zameldował C-3PO. – W większości natury… kosmetycznej.

– Czytaj: rdzewieje – mruknął pod nosem Han, rozmasowując krzyż i odwracając się w drugą stronę.

Pięć metrów w dół wyschniętego koryta Luke ostrożnie przecinał mieczem grubą ścianę pnączy uniemożliwiających im dalszy marsz. Obok niego kucali Chewbacca i Mara z bronią w pogotowiu, gotowi strzelać natychmiast do wężopodobnych stworów, które czasem wyłaniały się z gęstwiny, gdy cięło przez nią ostrze miecza, nauczeni

doświadczeniem, które – podobnie jak wiele innych informacji na temat lokalnej flory i fauny – zdobywali w bardzo bolesny sposób.

Lando podszedł do nich, strącając z rąk ostatnie strzępki żrących korzeni.

– Milutkie miejsce, co? – mruknął pod nosem.

– Powinienem był podprowadzić „Sokoła" bliżej – westchnął Han. – Albo przeparkować go, gdy zorientowaliśmy się, że nie możemy użyć skuterów repulsorowych.

– Gdybyśmy to zrobili, zamiast walczyć teraz ze żrącymi korzeniami i tymi wężoidami, bylibyśmy pewnie zmuszeni do ukrywania się przed imperialnymi patrolami – zauważył trzeźwo Calrissian. – Jeśli chcesz znać moje zdanie, to wolę obecną sytuację.

– Chyba masz rację – przyznał niechętnie Han.

Gdzieś niedaleko rozległ się melodyjny, modulowany gwizd, a po chwili odpowiedział mu podobny sygnał. Solo odwrócił głowę w stronę, z której dobiegały dźwięki, jednak nic nie dostrzegł wśród zielonego gąszczu, na który składały się zarośla, pnącza i dwupoziomowa ściana drzew.

– To raczej nie brzmiało jak drapieżnik… – zauważył ostrożnie Lando.

– Raczej nie. – Solo obejrzał się przez ramię na C-3PO, przemawiającego łagodnie do R2-D2 i dokonującego oględzin nowych śladów kwasowych poparzeń na korpusie droida. – Hej! Kurduplu! Zrób no może użytek z tych swoich czujników, co?

R2-D2 posłusznie wysunął krótką antenkę i zaczął nią obracać na wszystkie strony. Przez jakąś minutę poćwierkiwał do siebie cicho, po czym zatrajkotał.

– Mówi, że w promieniu dwudziestu metrów nie ma żadnych dużych zwierząt – wyjaśnił C-3PO. – A dalej…

– …nie ma zasięgu z powodu gęstych krzaków – dokończył za niego Solo. Ostatnio stanowczo zbyt często ich wymiana zdań przebiegała właśnie w ten sposób. – Dzięki.

R2-D2 schował antenkę i wrócił do przerwanej rozmowy ze swoim złocistym kompanem.

– Jak sądzisz, gdzie się podziały? – zagadnął Lando.

– Masz na myśli drapieżniki? – Han pokręcił głową. – Zabij mnie, ale nie mam zielonego pojęcia. Może zniknęły w tym samym miejscu, w którym zaszyli się najwyraźniej wszyscy tubylcy.

Lando rozejrzał się dookoła, wypuszczając powoli powietrze z płuc.

– Nie podoba mi się to, Han – wyznał. – Do tej pory już dziesięć razy powinni byli wpaść na nasz trop. Na co czekają?

– Może Mara myliła się co do nich? – podsunął bez przekonania Solo. – Pewnie Imperium uznało, że ma dosyć dzielenia tych terenów z kimkolwiek, i pozbyło się tubylców?

– Cóż za pocieszająca myśl – skwitował z przekąsem Calrissian. – Tak czy inaczej, w żaden sposób nie wyjaśnia to, dlaczego od dwóch i pół dnia całkowicie ignorują nas miejscowe drapieżniki.

– Nie – zgodził się z nim Han. Lando miał rację: gdzieś tam czaiło się coś, co ich obserwowało. Czuł to głęboko w kościach. Coś… albo ktoś. – Może tamte pierwsze bestie, którym spuściliśmy manto, rozesłały wici dalej, ostrzegając pobratymców, że lepiej zostawić nas w spokoju?

– Te sierściuchy były głupsze niż kosmiczne ślimaki i doskonale o tym wiesz – parsknął Lando.

– Tak tylko pomyślałem. – Han wzruszył ramionami.

Zielonkawa poświata w pobliżu zniknęła, gdy Luke wyłączył miecz świetlny.

– Chyba możemy już ruszać dalej – zawołał półgłosem. – Udało wam się wyplątać Artoo?

– Taaa, nic mu nie jest – odparł Han, podchodząc do nich. – Jakieś węże?

– Tym razem nic. – Luke wskazał rękojeścią miecza na jedno z drzew rosnących na skraju wyschniętego strumienia. – A tak przy okazji: wygląda na to, że właśnie uniknęliśmy konieczności użerania się z kolejnym stadem pazuroptaków.

Han spojrzał we wskazanym kierunku. Na jednej z niższych gałęzi znajdowało się gniazdo z błota i trawy. Było wielkości talerza i przypominało te, na które trafiali już wcześniej. C-3PO niechcący potrącił wczoraj jedno z nich i na lewym ramieniu Chewbakki wciąż widniały pamiątki po spotkaniu z drapieżnymi mieszkańcami

gniazda, nim zdołali się z nimi rozprawić za pomocą blasterów i miecza świetlnego.

– Tylko nie dotykaj! – ostrzegł przyjaciela.

– Spokojnie, jest puste – zapewnił go Skywalker, trącając gniazdo rękojeścią miecza. – Najwyraźniej się wyprowadziły…

– Taaa – rzucił z powątpiewaniem Han, ostrożnie podchodząc o krok bliżej. – Pewnie tak.

– Coś nie w porządku?

Solo obejrzał się na niego.

– Nie – mruknął, próbując brzmieć spokojnie. – Wszystko gra. Czemu pytasz?

Stojący za plecami Luke'a Chewie zaryczał gardłowo.

– Ruszajmy – zarządził Solo, nim Luke zdążył dodać coś jeszcze. – Chciałbym, żebyśmy uszli jeszcze kawałek, zanim się ściemni. Luke, weźcie z Marą droidy i idźcie przodem. Chewie i ja będziemy ubezpieczać tyły.

Skywalker nie dał się oszukać zapewnieniom Hana, że wszystko jest w porządku – widać to było wyraźnie po jego minie – ale pokiwał tylko głową.

– W porządku. Chodź, Threepio.

Gdy tylko podjęli marsz wyschniętym korytem, C-3PO wrócił do swoich narzekań. Lando spojrzał na Hana spode łba, jednak po chwili i on ruszył w ślad za nimi, zachowując dla siebie to, co chciał powiedzieć.

Idący obok Hana Chewbacca zaryczał pytająco.

– Sprawdzimy, co się stało z tymi pazuroptakami. Oto, co zrobimy – poinformował go Solo, oglądając się na gniazdo. Nie wyglądało na zniszczone, a z pewnością nosiłoby ślady uszkodzeń, gdyby ptaki zaatakował jakiś drapieżnik. – No, stary, dawaj. Potrafisz wyczuć świeże mięso z odległości dziesięciu metrów, i to pod wiatr. Zacznij niuchać.

Okazało się, że Wookiee nie miał tym razem okazji do zademonstrowania swoich imponujących zdolności tropicielskich. Jeden z ptaków leżał tuż obok krzaka, po drugiej stronie drzewa, z rozłożonymi szeroko skrzydłami, sztywny i nieruchomy. Nie mógłby być bardziej martwy.

– Co o tym myślisz? – spytał Han, gdy Chewie ostrożnie podniósł truchło. – Czy to sprawka jakiegoś drapieżnika?

Chewbacca zaryczał przecząco i wysunął ostre szpony, służące Wookieem do wspinania się na drzewa, aby zbadać ciemnobrązową plamę na piórach pod lewym skrzydłem. Gdy znalazł nacięcie, zanurzył w nie jeden z pazurów i zawarczał.

– Jesteś pewien, że to był nóż? – Solo zmarszczył czoło, popatrując niepewnie na ranę. – Nie jakiś szpon?

Wookiee zaryczał ponownie, zwracając uwagę na oczywisty fakt: gdyby ptak został zabity przez drapieżnika, nie zostałoby z niego nic oprócz piór i kości.

– Racja – zgodził się z nim kwaśno Han, gdy Chewbacca porzucił truchło pazuroptaka pod krzakiem. – I to byłoby tyle, jeśli chodzi o liczenie na to, że tubylcy nie kręcą się w okolicy. Muszą być dość blisko…

Chewbacca zaryczał ponownie, zadając pytanie, które samo nasuwało się w tej sytuacji.

– Gdybym tylko wiedział… – westchnął Solo. – Może wciąż nas sprawdzają? Albo czekają na posiłki…

Wookiee zawarczał, wskazując na ptaka, i Han zerknął na niego ponownie. Jego przyjaciel miał rację; umiejscowienie rany sugerowało, że gdy zwierzę zostało zabite, miało rozpostarte skrzydła. Co oznaczało, że zginęło w locie. Od jednego uderzenia.

– Fakt, posiłki im niepotrzebne – mruknął. – Chodźmy. Dogońmy lepiej resztę.

Solo chciał, by maszerowali aż do zmierzchu, ale po kolejnej nierównej walce między astromechem Skywalkera a plątaniną żrących korzeni poddał się i zarządził postój.

– To co z nim zrobimy? – spytała Mara, gdy Luke zrzucił swój plecak obok jej bagażu i przeciągnął się, rozprostowując obolałe ramiona. – Będziemy go nieść?

– Wątpię – odparł Skywalker, oglądając się przez ramię na Calrissiana i Wookieego, którzy przycupnęli obok R2-D2

i majstrowali przy jego kółkach. – Chewie twierdzi, że zdoła to naprawić.

– Powinieneś go wymienić na coś, co nie zostało zaprojektowane do poruszania się wyłącznie po płaskim, metalowym pokładzie – rzuciła z przekąsem.

– Wiesz, czasem przychodzi mi do głowy taka myśl – przyznał Luke, siadając obok niej. – Jednak jak na te okoliczności radzi sobie całkiem nieźle. Szkoda, że nie widziałaś, jak daleko zapuścił się w głąb tatooińskiej pustyni pierwszej nocy, gdy do mnie trafił…

Mara spojrzała ponad droidami na Hana, który właśnie rozkładał swoje posłanie, co chwila rozglądając się czujnie dookoła.

– Powiesz mi, o czym rozmawialiście z Solo, gdy was dogonił? Czy to może coś, o czym nie powinnam wiedzieć?

– On i Chewie znaleźli jednego z pazuroptaków z tamtego pustego gniazda – wyjaśnił Jedi. – Tego w pobliżu drugiej barykady z pnączy, przez którą musieliśmy się dziś przebić. Został zabity pchnięciem noża.

Mara przełknęła głośno ślinę, wracając myślą do opowieści, które słyszała, gdy przebywała na planecie z Imperatorem.

– To pewnie Myneyrshowie – mruknęła. – Podobno opanowali do perfekcji sztukę walki ostrzem.

– A jak byli nastawieni do Imperium?

– Tak jak już wspominałam, nie przepadali za ludźmi – powiedziała. – Począwszy od tych, którzy zjawili się tu, by skolonizować planetę, na długo przed tym, nim znalazł ją Imperator. – Patrzyła na niego, jednak on zdawał się błądzić myślami gdzieś daleko, wpatrzony w przestrzeń ze zmarszczonym czołem.

Wzięła głęboki oddech i spróbowała wybadać okolicę Mocą – na tyle, na ile pozwalały jej szczątkowe umiejętności władania nią. Do jej umysłu napłynęły zapachy i dźwięki lasu, układające się w obraz odpowiadający otoczeniu: były tam drzewa, krzewy, zwierzęta, ptaki…

A także, na samym skraju jej świadomości, inny umysł – obcy, trudny do przeniknięcia, jednak bez dwóch zdań należący do istoty myślącej.

– Jest ich czworo – powiedział cicho Skywalker. – Nie, zaraz… pięcioro.

Mara ściągnęła brwi, skupiając się maksymalnie na tym, co wyczuwała za pośrednictwem Mocy. Miał rację: to nie był jeden umysł, tylko kilka. Nie była jednak w stanie ich wyodrębnić.

– Szukaj różnic – mruknął Luke. – Szczegółów, które nie powtarzają się u innych. To najlepszy sposób, by wyłowić je z grupy.

Posłuchała go… i ku jej zaskoczeniu – a także lekkiemu poirytowaniu – przekonała się, że ma rację. Z plątaniny myśli i uczuć wyłonił się drugi umysł… następnie trzeci…

I nagle wszystko zniknęło.

Spojrzała ostro na Skywalkera.

– Nie wiem – wyznał ostrożnie w skupieniu Jedi. – Poczułem falę silnych emocji… jakieś poruszenie… a potem wszyscy jakby zawrócili i odeszli.

– Może nie wiedzieli, że tu jesteśmy? – podsunęła z wahaniem, boleśnie jednak świadoma, jak mało prawdopodobny jest taki scenariusz. Ze względu na to, że Wookiee ryczał na wszystko, co spotkali na swojej drodze, a droid protokolarny co chwila na coś narzekał, aż dziw brał, że o ich obecności w tym miejscu nie wiedziała jeszcze cała planeta.

– Nie, oni wiedzieli – stwierdził stanowczo Jedi. – Jeśli chodzi o ścisłość, jestem całkiem pewny, że szli prosto na nas, gdy… – Pokręcił głową. – Chciałbym powiedzieć: „coś ich wystraszyło”, ale to by było bez sensu.

Jade spojrzała na podwójną warstwę koron drzew nad ich głowami.

– Czy to możliwe, że trafiliśmy na imperialny patrol?

– Nie – zaprzeczył z przekonaniem Skywalker. – Wiedziałbym, gdyby w pobliżu byli inni ludzie.

– Idę o zakład, że to przydatne – mruknęła.

– To tylko kwestia odpowiedniego przeszkolenia.

Spojrzała na niego z ukosa. Gdy to mówił, w jego głosie pobrzmiewały jakieś dziwne nuty.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nic. – Skrzywił się, zaciskając przelotnie usta. – Po prostu… Myślałem o bliźniętach Lei. O tym, że pewnego dnia będę musiał się zająć ich szkoleniem.

– Nie wiesz, kiedy zacząć?

Potrząsnął głową.

– Zastanawiam się raczej, czy w ogóle podołam temu zadaniu.

– A co to za filozofia? – Wzruszyła ramionami. – Nauczysz ich, jak czytać w umysłach, przenosić Mocą przedmioty i korzystać z miecza świetlnego. To samo przekazałeś swojej siostrze, prawda?

– Tak – przyznał. – Wtedy jednak sądziłem, że to wszystko. Podczas gdy w rzeczywistości… to był dopiero początek. Jej dzieci będą silne Mocą, a ta siła pociąga za sobą odpowiedzialność. Jak mam im przekazać całą wiedzę? Jak mam je nauczyć mądrości, współczucia i tego, że nie wolno im nadużywać Mocy?

Mara przyglądała się jego profilowi, gdy wpatrywał się w ścianę lasu. To nie była tylko fałszywa skromność czy czcza gadanina – mówił szczerze. Musiała przyznać, że nie znała go z tej strony. Tego bohaterskiego, szlachetnego i nieomylnego z pozoru Jedi, którym teraz – jak się okazywało – targały wątpliwości.

– A jak w ogóle uczy się kogoś takich rzeczy? – odpowiedziała pytaniem. – Chyba głównie dając przykład.

Rozważał przez chwilę w myśli jej uwagę, po czym kiwnął z wahaniem głową.

– Chyba masz rację. Jak intensywne było twoje szkolenie pod okiem Imperatora?

MASZ ZABIĆ LUKE'A SKYWALKERA!

– Wystarczająco – rzuciła krótko, starając się usunąć z umysłu echo słów i stłumić płomień odruchowej nienawiści, który w niej rozpaliły. – Nauczył mnie podstaw. A co? Chcesz przetestować moją mądrość i współczucie? – spytała zaczepnie.

– Nie. – Wahał się przez moment, nim dodał: – Jednak dopóki od góry Tantiss wciąż dzieli nas kilka dni marszu, może warto byłoby sobie co nieco powtórzyć? Wiesz, takie szkolenie przypominające…

Spojrzała na niego, czując, jak po plecach pełznie jej zimny dreszcz. Coś w sposobie, w jaki to powiedział… Miała wrażenie, że

przeszło mu to przez gardło zbyt gładko, że celowo stara się brzmieć, jakby mówił od niechcenia.

– Czy… czy dostrzegłeś coś, co nas czeka po drodze? – spytała podejrzliwie.

– Nie, nie do końca – wyznał, ale w jego głosie znów słyszała wahanie. – Tylko kilka obrazów i wizji, zupełnie bez sensu. Pomyślałem po prostu, że dobrze byłoby, gdybyś weszła do skarbca maksymalnie uzbrojona w Moc.

Odwróciła wzrok.

MASZ ZABIĆ LUKE'A SKYWALKERA!

– Przecież wejdziemy tam razem – przypomniała mu. – Po co miałabym być silna Mocą?

– Aby dokonać tego, czego zażąda od ciebie twoje przeznaczenie – powiedział cicho, lecz stanowczo. – Mamy jeszcze jakąś godzinę, nim słońce zajdzie. Zacznijmy już teraz.

Wedge Antilles zajął miejsce na długiej, półkolistej ławie, między innymi dowódcami eskadr myśliwskich, rozglądając się po centrum dowodzenia na pokładzie gwiezdnego krążownika. Zgromadził się tu już całkiem pokaźny tłumek, a nowe osoby wciąż napływały. Cokolwiek zaplanował Ackbar, zapowiadało się na naprawdę dużą sprawę.

– Witaj, Wedge – zagadnął go ktoś, siadając obok niego. – Dobrze cię tu widzieć.

Wedge spojrzał na sąsiada, nie kryjąc zaskoczenia: Pash Cracken, syn legendarnego generała Airena Crackena i jeden z najlepszych dowódców eskadr…

– Z wzajemnością – odparł. – Wydawało mi się, że utknąłeś w sektorze Atrivis, warując w centrum łączności na Zewnętrznych Rubieżach…

– Nie jesteś na bieżąco – stwierdził ponuro Pash. – Trzy dni temu upadło Generis.

Wedge wpatrywał się w niego przez chwilę bez słowa.

– Nie wiedziałem – mruknął. – Jak bardzo jest kiepsko?

– Wystarczająco. Straciliśmy całą stację łączności, mniej lub bardziej nietkniętą, a także większość magazynów zaopatrzenia floty tego sektora. Plus jest taki, że nie zostawiliśmy im żadnych statków, które mogliby wykorzystać. A poza tym gdy się wycofywaliśmy, udało nam się narobić dość bałaganu, by generał Kryll zdołał odbić Travię Chan i jej ludzi, wykradając ich imperialnym spod nosa.

– Nieźle – skwitował Wedge. – Czym was rozłożyli na łopatki? Przewagą liczebną czy taktyką?

– I jednym, i drugim – westchnął Pash, krzywiąc się kwaśno. – Wątpię, by Thrawn osobiście dowodził atakiem, ale bez dwóch zdań go zaplanował. Wiesz, Wedge, muszę ci powiedzieć, że te cholerne klony to najkoszmarniejsza rzecz, z jaką kiedykolwiek miałem do czynienia. Ciary po człowieku łażą na samą myśl o nich. To całkiem jak walka ze szturmowcami: ta sama zaciekłość, ślepa determinacja, wyrachowanie i mechaniczna precyzja. Jedyna różnica jest taka, że wszędzie ich pełno jak jakiegoś przeklętego robactwa. To nie są jedynie oddziały specjalne.

– Taaa, nie musisz mi mówić – przytaknął ponuro Antilles. – Podczas pierwszego ataku na Qat Chrystac mieliśmy wątpliwą przyjemność walczyć z dwiema eskadrami TIE-ów obsadzonych przez te dziwolągi. Dokonywali takich akrobacji, że nigdy bym nie pomyślał, że TIE są do czegoś takiego zdolne…

– Generał Kryll jest zdania, że Thrawn wybiera jako matryce do klonowania swoich najlepszych ludzi. – Pash pokiwał głową.

– Byłby głupcem, gdyby tego nie robił. A co z Varthem? Dał radę?

– Nie wiem – wyznał Pash. – Straciliśmy z nim kontakt podczas odwrotu. Wciąż mam nadzieję, że udało mu się przedrzeć przez szeregi Imperium od drugiej strony i że dołączył do którejś z jednostek w okolicach Fedje czy Ketarisa.

Wedge pomyślał o tych kilku razach, gdy posprzeczał się porządnie z Varthem – przeważnie szło o części zapasowe albo szacowany czas napraw. Gość był zgorzkniałym, zgryźliwym typem, ale nie można mu było odmówić zadziwiającej zdolności do rzucania dowodzonych przez siebie maszyn w sam środek szaleńczych, wręcz straceńczych, zdawałoby się, misji, z których jednak wszyscy wracali jakimś cudem cało.

– Da radę – stwierdził z mocą. – Jest zbyt uparty, żeby dać się zgarnąć ot tak i odwalić kitę tylko dlatego, by Imperium miało satysfakcję.

– Może i tak. – Pash kiwnął głową w stronę centrum pomieszczenia. – Chyba zaraz zaczynamy…

Wedge również spojrzał w tę stronę, a szmer rozmów wokół nich zaczął cichnąć. Miejsce przy głównym holostole zajął admirał Ackbar, a po obu jego stronach stanęli generał Crix Madine i pułkownik Bren Derlin.

– Oficerowie Nowej Republiki – przywitał ich z powagą Kalamarianin, łypiąc swoimi wielkimi oczami na boki, aby objąć spojrzeniem wszystkich zgromadzonych. – Żadnemu z was nie trzeba chyba przypominać, że w ciągu ostatnich kilku tygodni nasza wojna ze szczątkami Imperium zmieniła formę. Z czegoś, co można by określić mianem prac porządkowych, przekształciła się w walkę o przetrwanie. Obecnie wciąż mamy nad wrogiem przewagę środków i personelu, jednak z każdą minutą coraz bardziej ona topnieje. Zagrożeniem są dla nas także może mniej namacalne, ale równie poważne próby, podejmowane przez wielkiego admirała Thrawna, podkopania naszego morale i osłabienia naszej determinacji. Nadszedł czas, by odpowiedzieć Imperium równie stanowczo. – Spojrzał na Madine'a. – Generale…

– Jak się domyślam, wszyscy tu zgromadzeni zostali poinformowani o innowacyjnym w swojej formie oblężeniu, jakie Imperium zastosowało wobec Coruscant? – spytał Madine, lekko uderzając w lewą dłoń trzymanym w prawej wskaźnikiem świetlnym. – Nasi ludzie poczynili co prawda pewne postępy w usuwaniu zamaskowanych asteroid, jednak tym, czego naprawdę potrzeba nam do uporania się z tym zadaniem, jest krystaliczny detektor pola grawitacyjnego. I właśnie na jego pozyskaniu będzie polegała nasza misja.

– Zapowiada się ciekawie – mruknął pod nosem Pash.

– Cii! – uciszył go Wedge.

– Nasz wywiad namierzył trzy takie urządzenia – podjął Madine. – Oczywiście wszystkie znajdują się w przestrzeni kontrolowanej przez Imperium. Najprościej będzie zdobyć ten zlokalizowany na

Tangrene, gdzie pełni on funkcję elementu systemów obronnych nowej bazy inspektoratu wywiadu, która tam powstaje. Wokół kręci się mnóstwo jednostek towarowych i budowlanych, ale stosunkowo mało statków zdolnych do walki. Zdołaliśmy wprowadzić kilkoro naszych ludzi do obsad załadunkowych. Uzyskaliśmy potwierdzenie, że to dobry moment na przypuszczenie ataku.

– Brzmi znajomo – skomentował ktoś siedzący po stronie przeciwnej niż Wedge. – Podejrzanie pachnie Endorem. Skąd możemy mieć pewność, że to nie pułapka?

– Jeśli chodzi o ścisłość, jest wręcz przeciwnie. Mamy pewność, że to jest pułapka – skwitował Madine, uśmiechając się pod nosem. – I właśnie dlatego zamiast tego polecimy… – dotknął przycisku na holostole – …tutaj. – Z centrum stołu wynurzył się moduł holoprojektora, a nad nim pojawił się świetlisty schemat. – To imperialne stocznie w okolicach Bilbringi – wyjaśnił. – Doskonale wiem, co sobie wszyscy w tej chwili myślicie: są wielkie, dobrze chronione… i co, u licha, wyobraża sobie właściwie najwyższe dowództwo? Odpowiedź na to pytanie jest prosta. Stocznie istotnie są wielkie, dobrze chronione… i stanowią tym samym ostatnie miejsce, o którego zaatakowanie posądzałoby nas Imperium.

– Co więcej – dodał Ackbar – jeśli atak się powiedzie, w dużym stopniu ograniczymy zdolność Imperium do zaopatrywania swojej floty w nowe jednostki. A także zachwiejemy w posadach niebezpiecznie rosnącym przekonaniem o nieomylności wielkiego admirała Thrawna.

„Zakładając, oczywiście, że Thrawn jest omylny” – pomyślał Wedge i przez chwilę bawił się myślą o wypowiedzeniu tej uwagi na głos, jednak po krótkim zastanowieniu uznał, że nie ma to sensu. Najprawdopodobniej to samo przyszło do głowy każdemu ze zgromadzonych.

– Podzieliliśmy operację na dwa etapy – podjął Madine. – Przede wszystkim nie chcielibyśmy zawieść Imperium, które zadało sobie trud przygotowania dla nas pułapki na Tangrene. Dlatego też pułkownik Derlin będzie odpowiedzialny za utwierdzenie ich w przekonaniu, że to właśnie ten układ jest celem naszych działań. Podczas gdy on zajmie się wypełnianiem swojej części zadania,

admirał Ackbar i ja dopilnujemy przygotowań do rzeczywistego ataku na Bilbringi. Jakieś pytania?

Przez chwilę w centrum dowodzenia panowała cisza, aż wreszcie Pash podniósł dłoń.

– A co, jeśli imperialni nakryją nas na Bilbringi i zupełnie przeoczą nasze działania na Tangrene?

Madine uśmiechnął się leciutko.

– Bylibyśmy bardzo, ale to bardzo rozczarowani. W porządku, panowie. Czas zorganizować zespół uderzeniowy. Bierzmy się do roboty.

W sypialni było ciemno, ciepło i cicho. Ciszę tę zakłócały jedynie nikłe odgłosy nocnego życia Centrum Imperialnego dobiegające zza okien i sporadyczne, jeszcze cichsze posapywanie niemowląt śpiących po drugiej stronie pokoju. Nasłuchując kojących szmerów i wdychając pokrzepiający, znajomy zapach domu, Leia wpatrywała się w sufit, zastanawiając się jednocześnie, co takiego ją obudziło.

– Czy czegoś ci trzeba, lady Vader? – dobiegł od strony drzwi łagodny noghryjski szept.

– Nie, Mobvekharze, dziękuję – odparła. Była pewna, że po przebudzeniu nie zdradziła się najlżejszym szelestem – Noghri musiał najwyraźniej wychwycić zmianę w rytmie jej oddechu. – Przepraszam. Nie chciałam cię niepokoić…

– Nie zaniepokoiłaś mnie, o pani – zapewniła ją obca istota. – Czy coś cię trapi?

– Sama nie wiem – westchnęła. Wszystko zaczynało powoli wracać… – Miałam… nie, właściwie to nie do końca sen. To było raczej coś jak podświadomy przebłysk, wizja. Jak element układanki, próbujący wskoczyć na swoje miejsce…

– Czy wiesz, jaki to element?

Pokręciła głową.

– Szczerze mówiąc, nie wiem nawet, co to za układanka.

– A czy to ma coś wspólnego z zawieszonymi na niebie kamieniami? – spytał Mobvekhar. – Albo z misją, na którą wyruszyli twój oblubieniec i syn Vadera?

– Nie jestem pewna… – wyznała, marszcząc w skupieniu czoło i wspomagając się technikami wzmacniania pamięci krótkotrwałej, których nauczył ją Luke. Powoli, powolutku, na wpół zamazane obrazy ze snu zaczęły się wyostrzać… – To… było coś, co powiedział Luke – stwierdziła. – Nie. Raczej coś, o czym mówiła Mara. Na temat czegoś, co zrobił Luke. Ich losy w jakiś sposób są ze sobą splecione. Nie wiem jak, ale jestem pewna, że to ważne.

– W takim razie z pewnością wkrótce znajdziesz odpowiedź, której szukasz – stwierdził z przekonaniem Mobvekhar. – Jesteś wszak lady Vader. Mal'ary'ush lorda Vadera. Osiągniesz swój cel niezależnie od tego, jaki on jest.

Leia uśmiechnęła się w mroku. Wiedziała, że to nie są zwykłe, czcze słowa. Mobvekhar i reszta Noghri naprawdę w to wierzyli.

– Dziękuję – powiedziała, biorąc głęboki wdech i czując, że na nowo wypełniają ją wiara w siebie i optymizm. O tak, uda jej się. Chociażby po to, by nie zawieść zaufania, jakim darzył ją lud Honoghra.

Wyczuła, jak w drugim końcu pokoju zaczyna narastać fala rozdrażnienia i głodu, nieuchronnie zwiastująca rychłe przebudzenie się bliźniąt. Muskając dłonią na wpół ukryty pod poduszką miecz świetlny, sięgnęła po szlafrok i narzuciła go na siebie. Czymkolwiek był ten ważny element układanki, który nie dawał jej spokoju, mógł zaczekać do rana.

Rozdział 20

Ostatni ocalały rebeliancki statek zamigotał w rozbłysku pseudoruchu i zniknął w nadprzestrzeni… i po trzydziestoczterogodzinnej walce serce sektora Kanchen było wreszcie w ich rękach.

– Proszę odwołać stan pełnej gotowości bojowej floty, kapitanie – zarządził stojący pod bocznym iluminatorem Thrawn głosem ociekającym ponurą satysfakcją. – Proszę również dać sygnał do zajęcia pozycji i przygotowania się do bombardowania planetarnego, a także przekazać kapitanowi Harbidowi polecenie, aby przesłał nasze warunki kapitulacji rządowi Xa Fel.

– Tak jest, sir! – potwierdził przyjęcie rozkazu Pellaeon, wpisując w komputer odpowiednie komendy.

Thrawn na wpół zwrócił się w jego stronę.

– Proszę również przesłać załogom wszystkich jednostek wiadomość – dodał półgłosem. – Brzmiącą: „Dobra robota”.

Pellaeon uśmiechnął się pod nosem. O tak, wielki admirał bez dwóch zdań wiedział, jak dowodzić swoimi ludźmi.

– Tak jest, sir! – powtórzył i postąpił zgodnie ze wskazówkami. Na jego pulpicie kontrolnym zapaliło się światełko sygnalizujące odkodowanie uprzednio dostarczonej wiadomości. Wywołał ją na ekran i przebiegł wzrokiem…

– Czy to raport z Tangrene? – spytał Thrawn, wciąż wpatrzony w bezbronny świat w dole.

– Tak, sir – potwierdził Pellaeon. – Rebelianci wysłali do układu kolejne dwa frachtowce. Ze skanów dalekiego zasięgu wynika, że pozostawili na obrzeżach jakiś ładunek, jednak póki co wywiad nie był w stanie zlokalizować ani zidentyfikować tych obiektów.

– Proszę dać im znać, by się nie fatygowali – stwierdził Thrawn. – Nie chcemy spłoszyć naszej zwierzyny.

Pellaeon kiwnął głową, kolejny raz podziwiając w duchu biegłość wielkiego admirała i jego zdolność do przenikania zamiarów

przeciwnika. Jeszcze dwadzieścia godzin temu byłby w stanie przysiąc, że rebelianci nie będą dość bezczelni, by rzucić tak wielkie siły do walki tylko po to, by położyć łapy na krystalicznym detektorze pola grawitacyjnego. Najwyraźniej było jednak inaczej…

– Otrzymaliśmy też raporty, z których wynika, że rebelianckie statki starają się po cichu przeniknąć w okolice Tangrene – dodał, zerkając znów do raportu. – Okręty, myśliwce, jednostki wsparcia… pełne spektrum.

– Doskonale – skwitował Thrawn, jednak w sposobie, w jaki splótł dłonie za plecami, było coś… niepokojącego, sugerującego, że jego myśli zaprząta coś zgoła innego.

Na ekranie konsoli Pellaeona pojawił się nowy meldunek: rząd Xa Fel przyjął warunki kapitulacji przedstawione przez Harbida.

– Mamy informacje z pokładu „Grotu Śmierci", admirale – poinformował przełożonego. – Xa Fel się poddało.

– Jak można było się spodziewać – skwitował Thrawn. – Proszę dać znać kapitanowi Harbidowi, by osobiście dopilnował procedury lądowania i rozmieszczenia sił. Chciałbym, by zajął się pan przeformowaniem szyku floty i przypisaniem jednostek do pozycji bojowych, dopóki nie zabezpieczymy systemu obrony planetarnej.

– Tak jest, sir. – Pellaeon zmarszczył czoło, wbijając wzrok w plecy wielkiego admirała. – Czy… czy wszystko w porządku? – spytał z troską.

– Jeszcze nie wiem – wyznał z namaszczeniem Thrawn. – Będę w moim prywatnym centrum dowodzenia, kapitanie. Proszę tam do mnie dołączyć za godzinę. – Odwrócił się i uśmiechnął pod nosem. – Może wówczas będę znał odpowiedź na pańskie pytanie.

Gillespee skończył lekturę i pchnął datapad po blacie stołu w stronę Mazzica.

– Wiesz, Karrde? Nie przestajesz mnie zadziwiać – mruknął na tyle głośno, by zostać usłyszanym w gwarze kawiarnianych rozmów. – Skąd, na wszystkie gwiazdy galaktyki, bierzesz te informacje?

– Stąd i zowąd – stwierdził oględnie Talon, wskazując otoczenie bliżej nieokreślonym gestem. – Po prostu stąd i zowąd.

– Taka gadka jest warta tyle, co splunięcie mynocka – naburmuszył się Gillespee.

– Bo i chyba właśnie tyle miała znaczyć – skwitował spokojnie Mazzic, oddając Karrde'owi notes komputerowy. – Ale masz rację. Ciekawa sprawa, bez dwóch zdań. Pytanie brzmi: na ile to wiarygodne…?

– Źródło informacji jest pewne – powiedział stanowczo Karrde. – Oczywiście, możecie podważać trafność mojej interpretacji faktów…

– No, nie wiem… – Mazzic pokręcił głową. – Wygląda mi to na cholerną desperację.

– Nie nazwałbym tego tak – sprzeciwił mu się Talon. – Rzekłbym raczej, że to powrót do śmiałych taktyk, z których słynął Sojusz Rebeliantów. A gdyby ktoś spytał mnie o zdanie, to sądzę, że powinni byli zdobyć się na to już dawno. Stanowczo za długo pozostawali w defensywie. O wiele dłużej niż to naprawdę konieczne.

– Co jednak nie zmienia faktu, że jeśli ich fortel nie zadziała, stracą mnóstwo statków – zauważył Mazzic. – Być może flotę dwóch pełnych sektorów, jeśli wierzyć danym.

– Fakt – zgodził się Karrde. – Ale jeśli dopną swego, będzie to oznaczało niebagatelne zwycięstwo nad siłami Thrawna, a co za tym idzie, zastrzyk pozytywnej energii dla ich morale. Pomijając już fakt pozyskania tego detektora…

– No właśnie, to inna para butów magnetycznych – wtrącił Gillespee. – Po co im w ogóle to ustrojstwo?

– Sądzę, że może to mieć coś wspólnego z powodem, dla którego Coruscant kilka dni temu zamknięto dla cywilnego ruchu powietrznego – stwierdził Karrde. – To wszystko, co mi wiadomo.

Mazzic odchylił się na oparcie swojego fotela i posłał Talonowi pełne namysłu spojrzenie.

– Mniejsza o to, na co im ono potrzebne. Skupmy się raczej na tym, co my zrobimy w tej sytuacji.

– Jeśli chcesz znać moje zdanie, to Nowa Republika desperacko pożąda tych detektorów. – Karrde wzruszył ramionami. – Skoro są skłonni wydrzeć je Imperium siłą, to bez dwóch zdań zechcą za nie zapłacić, gdybyśmy przedstawili im ofertę sprzedaży.

– Brzmi niegłupio – zgodził się Mazzic. – Co więc radzisz? Chcesz, żebyśmy przekradli się w okolice Tangrene, nim tam dotrą?

Talon pokręcił głową.

– Niekoniecznie. Myślałem raczej o tym, że gdy wszyscy będą skupieni na walce w okolicach Tangrene… my zgarniemy ten detektor z Bilbringi.

– Chyba żarty sobie stroisz. – Uśmiech zniknął z twarzy Mazzica bez śladu.

– Wbrew pozorom to nie jest wcale taki głupi pomysł – zastrzegł Gillespee, powoli kołysząc szklaneczką z resztką drinka na dnie. – Zjawiamy się tam przed rozpoczęciem ataku, zgarniamy detektor i dajemy nogę.

– Masz na myśli przedarcie się przez imperialną flotę? – prychnął Mazzic. – Daj spokój, widziałem na własne oczy, jaką siłą ognia dysponują…

– Szczerze? Wątpię, by mieli tam coś więcej poza szczątkową obroną. – Karrde podniósł brew. – Chyba że naprawdę wydaje ci się, że Thrawn nie zdoła przewidzieć ataku Nowej Republiki na Tangrene oraz odpowiednio się na niego przygotować…

– Racja – przytaknął Mazzic. – Nie mogą sobie pozwolić na to, by Nowa Republika ich rozgromiła.

– Szczególnie w takim miejscu jak Tangrene. – Karrde pokiwał głową. – To właśnie tam dał im jakiś czas temu popalić generał Bel Iblis.

Mazzic mruknął coś pod nosem i znów sięgnął po datapad. Talon pozwolił mu przeczytać ponownie wiadomość oraz analizę, wykorzystując chwilę ciszy na rozejrzenie się pozornie bez zainteresowania po wnętrzu kawiarni. W pobliżu głównego wejścia Aves i asystent Gillespeego, Faughn, siedzieli przy jednym ze stolików, idealnie wtapiając się w tłum. Po drugiej stronie, niedaleko tylnego wejścia, osobista ochroniarz Mazzica, Shada, flirtowała przekonująco z Dankinem i Torve’em, na których z podobną wiarygodnością łypali zazdrośnie Rappapor i Oshay – kolejni dwaj współpracownicy Gillespeego.

Ponadto obsadzili swoimi ludźmi jeszcze trzy stoliki w różnych miejscach kawiarni – wszyscy pod pozorami niezobowiązującej

wizyty w lokalu byli gotowi i zwarci. Tym razem nie dadzą się zaskoczyć, gdyby Imperium znów przyszło do głowy próbować pomieszać im szyki.

– To nie będzie proste – ostrzegł go Mazzic. – Thrawn był na nas naprawdę wściekły za tamten atak. Bardzo prawdopodobne, że do tej pory dokonali już reorganizacji całego systemu ochrony…

– Tym lepiej – stwierdził spokojnie Karrde. – Bo to będzie oznaczało, że nie znaleźli jeszcze w nim słabych punktów. Wchodzisz w to czy mówisz pas?

Mazzic spojrzał znów na ekran datapada.

– Może i byłbym zainteresowany – mruknął wreszcie. – Ale tylko jeśli zdołasz uzyskać potwierdzenie dokładnego terminu akcji na Tangrene. Nie chciałbym, by Thrawn był gdziekolwiek w promieniu stu lat świetlnych od Bilbringi, kiedy uderzymy na stocznie.

– To nie powinien być problem – zapewnił go Karrde. – Wiemy, w których układach Nowa Republika gromadzi swoje siły. Wyślę kilku moich ludzi, żeby powęszyli tu i ówdzie, i zobaczymy, czego się dowiedzą.

– A co, jeśli wrócą z kwitkiem?

– I tak muszę poprosić Ghenta, żeby dopisał nas do ich listy płac – zauważył Talon, uśmiechając się pod nosem. – Gdy więc będzie grzebał w ich systemie, może przy okazji zerknąć na ich plany bojowe.

Mazzic przez chwilę wpatrywał się w niego bez słowa, aż wreszcie jego nachmurzone oblicze się rozjaśniło, a z jego gardła wyrwał się chichot.

– Wiesz co, Karrde? Nie widziałem nikogo, kto tak zręcznie potrafiłby grać na dwa fronty. W porządku. Wchodzę w to.

– W takim razie witamy na pokładzie. – Talon kiwnął głową. – Gillespee?

– Widziałem już klony Thrawna w akcji – przypomniał mu ponuro kolega. – Moje wsparcie masz jak w banku. A poza tym jeśli nam się uda, może zdołam odzyskać ziemię, którą Imperium ukradło mi na Ukio.

– Szepnę o tym słówko władzom Nowej Republiki – obiecał mu Talon. – No dobra. Ja wybieram się w najbliższym czasie „Dzikim

Karrde'em" na Coruscant, ale zostawię Avesa, żeby w moim imieniu koordynował działania naszej grupy szturmowej. Gdy się z nim spotkacie, przekaże wam plan operacyjny.

– Brzmi przyzwoicie – ocenił Mazzic, gdy wstali od stołu. – Wiesz, Karrde, mam tylko nadzieję, że będę w pobliżu tego dnia, gdy Nowa Republika połapie się w tych twoich machlojkach. Niezależnie od tego, czy dadzą ci medal, czy cię rozstrzelają, widowisko będzie przednie.

– Też chciałbym wtedy być w okolicy – mruknął Karrde, uśmiechając się blado. – W porządku, panowie. Czystego nieba zatem i do zobaczenia nad Bilbringi.

Jaskrawozielony promień turbolaserowej salwy, wypluty przez działa majaczącego w oddali, lekko rozmytego gwiezdnego niszczyciela, rozprysnął się nieco, gdy trafił w niewidzialną warstwę osłon energetycznych, aby po chwili pojawić się po ich drugiej stronie i bez przeszkód pomknąć ku…

– Proszę zatrzymać – rzucił admirał Drayson.

Obraz zastygł. Zastopowana w biegu turbolaserowa błyskawica wyglądała dziwnie kanciasto i nienaturalnie na środku głównego wyświetlacza.

– Proszę wybaczyć tę marną jakość – powiedział Drayson, podchodząc do ekranu, aby dotknąć go swoim świetlnym wskaźnikiem – ale w wypadku obrazu z makrolornetki możliwości jego poprawiania są ograniczone. W pewnym punkcie algorytmy korekcji po prostu się sypią. Niezależnie jednak od tego jestem pewien, że widzicie, co się tu wydarzyło. Strzał oddany przez gwiezdny niszczyciel nie spenetrował osłon planetarnych Ukio. Chociaż wydaje się, że promień zachował ciągłość, w istocie mamy tu do czynienia z drugim strzałem, oddanym przez zamaskowaną jednostkę ukrytą wewnątrz pola.

Leia zerknęła na zamglony obraz. Dla niej wcale nie wydawało się to takie oczywiste.

– Jest pan pewien? – spytała.

– Niemal w stu procentach – zapewnił ją, dotykając wskaźnikiem pustej przestrzeni między rozbłyskiem a dalszą częścią zielonego promienia. – Mamy wyniki analizy spektralnej i energetycznej promieni, jednak ta przerwa to jedyny dowód, jakiego potrzebujemy. To miejsce, w którym ustawiono drugi statek. Jeśli sądzić po rozmiarach, najprawdopodobniej lekki krążownik typu Carrack. – Opuścił wskaźnik i rozejrzał się po twarzach zgromadzonych wokół stołu. – Innymi słowy, nowa superbroń Imperium to ni mniej, ni więcej, tylko wyjątkowo sprytne oszustwo.

Leia przypomniała sobie tamto spotkanie w kwaterze admirała Ackbara, gdy Kalamarianin przebywał w areszcie domowym oskarżony o zdradę.

– Ackbar ostrzegał jakiś czas temu mnie i Hana, że wielki admirał znajdzie jakiś sposób na wykorzystanie przeciwko nam pola maskującego – powiedziała ostrożnie.

– Jak sądzę, wszyscy są co do tego zgodni. – Drayson kiwnął głową. – Tak czy inaczej, sądzę, że pora położyć tej sztuczce kres. Wyślemy ostrzeżenie do wszystkich jednostek sił planetarnych: poinformujemy ich, że w razie gdyby Imperium spróbowało znowu tego fortelu, wystarczy, by skupili ogień na miejscu, w którym wystrzały z działa turbolaserowego wydają się przechodzić przez osłony.

– Trik czy nie, trzeba przyznać, że to imponujący pokaz – zauważył Bel Iblis. – Wystarczy spojrzeć na to idealne zgranie w czasie i przestrzeni. Jak sądzisz, Leio, czy to możliwe, by maczał w tym palce ten szalony Jedi, z którym Luke miał zatarg na Jomarku?

– Chyba nie może być co do tego żadnych wątpliwości – odpowiedziała księżniczka, czując, jak przechodzi ją zimny dreszcz. – Widzieliśmy już podobną synchronizację w trakcie poprzednich kampanii Thrawna. A od Mary wiemy, że C'baoth i Thrawn ściśle ze sobą współpracują.

Dopiero po chwili dotarło do niej, że w tych okolicznościach wzmianka o Marze nie była zbyt fortunnym posunięciem. Zgromadzeni poruszyli się niespokojnie na swoich miejscach, a atmosfera w pomieszczeniu wyraźnie się oziębiła. Wcześniej

wszyscy wysłuchali tłumaczeń i powodów, dla których Leia samowolnie podjęła decyzję o uwolnieniu dziewczyny… i nikt nie był tym zachwycony.

Niezręczną ciszę przerwał Bel Iblis:

– Skąd pochodzi ten zapis z makrolornetki, admirale?

– Dostarczył go nam ten przemytnik, Talon Karrde – wyjaśnił Drayson, posyłając przy tym Lei znaczące spojrzenie. – Kolejna obca osoba, która zjawia się znikąd, aby przekazać nam informacje, z których nie ma żadnego pożytku…

– To nie w porządku. – Leia aż się zjeżyła. – To nie z winy Karrde'a utraciliśmy Flotę Katańską. – Spojrzała na radcę Fey'lyę, siedzącego w milczeniu i nadal odbywającego coś w rodzaju prywatnej bothańskiej pokuty. Gdyby nie tamten jego głupi napad wybujałej ambicji… Przeniosła znów wzrok na Draysona. – To nie była niczyja wina – poprawiła się, stanowczo odsuwając od siebie resztki pretensji wobec Fey'lyi i pozwalając, by rozwiały się bez śladu. Świadomość własnej porażki była dla niego wystarczającą karą i czynnikiem, który skutecznie go paraliżował, uniemożliwiając mu podjęcie jakichkolwiek sensownych działań. Nie mogła pozwolić, by zadawniony gniew uczynił z nią to samo.

Bel Iblis odchrząknął.

– Sądzę, że Leia chce po prostu powiedzieć, że bez pomocy Karrde'a stracilibyśmy znacznie więcej niż tylko Flotę Katańską. Niezależnie od tego, co wszyscy myślicie o przemytnikach w ogóle, czy o Karrdzie szczególnie, mamy wobec niego dług.

– To ciekawe, że to właśnie pan o tym wspomina – stwierdził cierpko Drayson. – Bo Karrde jest najwyraźniej podobnego zdania. W zamian za to nagranie, a także pewne inne drobne informacje wywiadowcze, dość śmiało korzysta z otwartego kredytu, którego udzieliła mu Nowa Republika. – Spojrzał znów znacząco na Leię. – A dokładniej brat radczyni Organy Solo.

Komandor Sesfan, przedstawiciel Ackbara w Radzie, łypnął na księżniczkę swoimi wielkimi kalamariańskimi ślepiami.

– Jedi Skywalker autoryzował wypłatę wynagrodzenia przemytnikowi? – W jego chrapliwym głosie słychać było niedowierzanie.

– Owszem – potwierdził Drayson. – Oczywiście bez żadnego upoważnienia. Niezwłocznie zamkniemy tę linię kredytową…

– Nic podobnego – dobiegł ze szczytu stołu cichy głos Mon Mothmy. – Niezależnie od tego, czy Karrde jest oficjalnie po naszej stronie, czy nie, z pewnością jest skłonny nam pomagać. Co samo w sobie wystarczy, by udzielić mu wsparcia.

– Ale to przemytnik! – zaprotestował oburzony Sesfan.

– Han również parał się dawniej przemytem – przypomniała mu Leia. – Podobnie jak Lando Calrissian. A jednak obaj doczekali się stopni generalskich.

– Po tym jak do nas dołączyli – zauważył z naciskiem Sesfan. – A Karrde w żaden sposób nie dał nam do zrozumienia, że chciałby się do nas przyłączyć.

– To bez znaczenia – ucięła dyskusję Mon Mothma. Choć mówiła cicho, w jej głosie pobrzmiewała żelazna nieugiętość. – W tym momencie przyda nam się każda pomoc. Czy to udzielana oficjalnymi kanałami, czy też nie.

– Chyba że dajemy się wodzić za nos – wtrącił ponuro Drayson. – I że ten cały Karrde próbuje wkraść się w nasze łaski podobnymi przysługami jak dostarczenie tego materiału z makrolornetki oraz zdobyć nasze zaufanie, tak aby później móc nam sprzedawać fałszywe informacje. A przez cały ten czas porządnie się na tym wzbogacić.

– Będziemy musieli po prostu zwiększyć czujność – stwierdziła Mon Mothma. – Jednak osobiście wątpię, by do tego doszło. Luke Skywalker to w końcu Jedi… a on najwyraźniej ufa „temu całemu Karrde'owi". Tak czy inaczej, obecnie powinniśmy się skupić na tych elementach bezpośredniej przyszłości, na które mamy wpływ. Admirale Drayson, czy ma pan najnowszy raport z postępów operacji na Bilbringi?

– Tak. – Drayson kiwnął głową, wyszukał odpowiednią datakartę i wsunął ją do szczeliny czytnika.

W tym samym momencie Leia usłyszała ciche piszczenie komunikatora dobiegające skądś z boku. Winter odpięła urządzenie od pasa i odebrała półgłosem. Leia nie słyszała słów, jednak wyczuła nagłą zmianę w nastawieniu swojej asystentki…

– Jakieś kłopoty? – spytała szeptem.

– Czy mógłbym prosić o uwagę? – spytał Drayson odrobinę głośniej, niż było to konieczne.

Księżniczka skupiła na powrót uwagę na admirale, czując, że się czerwieni, podczas gdy Winter odsunęła swoje krzesło od stołu i podeszła do drzwi. Drayson spiorunował ją wzrokiem, jednak po chwili uznał, że nie warto przypominać zgromadzonym, że to zamknięte spotkanie. Winter tymczasem dotknęła panelu przy drzwiach, a gdy te się rozsunęły, w szparze pojawiła się czyjaś dłoń z datakartą. Kobieta przyjęła nośnik danych i drzwi się zamknęły.

– Hm? – rzucił z poirytowaniem Drayson. – Domyślam się, że to coś niecierpiącego zwłoki?

– Och, ależ skąd – odparła spokojnie Winter, obrzucając go beznamiętnym spojrzeniem i wracając na swoje miejsce. – To dla pani, Wasza Wysokość – dodała pod adresem Lei, podając jej datakartę. – Współrzędne planety Wayland.

Księżniczka wyczuła promieniującą od zgromadzonych falę zaskoczenia.

– Szybko – skomentował podejrzliwie Drayson. – Odniosłem wrażenie, że to miejsce było utrzymywane w tak głębokiej tajemnicy, że jego odnalezienie nastręczy poważnych problemów.

Leia wzruszyła ramionami, próbując stłumić w zarodku niepokój, który udzielił się i jej. Ona również miała takie wrażenie…

– Cóż, najwyraźniej okazało się, że jest inaczej.

– Czy byłabyś tak dobra? – Mon Mothma zawiesiła znacząco głos.

Leia wsunęła datakartę w szczelinę terminala i wywołała obraz. Na głównym wyświetlaczu pojawiła się mapa sektora wraz z kilkoma znajomo brzmiącymi nazwami umieszczonymi w pobliżu niektórych gwiazd. Na samym środku rozbłysnął na czerwono jeden z układów, otoczony wianuszkiem nieoznakowanych ciał niebieskich, a na dole mapy pojawiła się krótka lista danych na temat samej planety oraz kilka linijek tekstu.

– A więc to jest ta szczurza nora Imperatora – mruknął pod nosem Bel Iblis, pochylając się w stronę mapy, aby lepiej się jej przyjrzeć. – Zawsze zastanawiałem się, gdzie chomikuje wszystkie te swoje

cenne zdobycze, które w tajemniczych okolicznościach znikały z oficjalnych magazynów i składów.

– Jeśli te dane są prawdziwe – mruknął pod nosem Drayson.

– Jak się domyślam, możemy potwierdzić, że te informacje pochodzą od kapitana Solo? – spytała Mon Mothma, patrząc na Winter.

Białowłosa kobieta wahała się przez chwilę, nim udzieliła odpowiedzi:

– Wiadomość nie pochodzi bezpośrednio od niego – powiedziała.

Leia spojrzała na nią, marszcząc czoło.

– Co masz na myśli, mówiąc, że nie pochodzi bezpośrednio od Hana? Czy nadał ją Luke?

W policzku Winter drgnął nerwowo mięsień.

– Mogę tylko zapewnić, że to wiarygodne źródło.

Wszyscy milczeli, trawiąc przez chwilę tę informację.

– Wiarygodne – powtórzyła wreszcie Mon Mothma.

– Tak – potwierdziła stanowczo Winter.

Mon Mothma spojrzała na Leię.

– W Radzie nie przywykliśmy do tajenia przed sobą informacji – zauważyła. – Chciałabym wiedzieć, skąd pochodzą te współrzędne.

– Przykro mi – powiedziała cicho Winter. – Nie jestem upoważniona do ujawniania tego sekretu.

– A kto jest?

– Tego również nie mogę wyjawić.

Mon Mothma spochmurniała.

– To bez znaczenia – orzekł Bel Iblis, nim zdążyła coś odpowiedzieć. – A przynajmniej na razie. Niezależnie od tego, czy ta planeta to rzeczywiście centrum klonowania, czy też nie, w tej chwili nic z tą informacją nie zrobimy, dopóki nie dobiegnie końca operacja na Bilbringi.

– Czy nie wyślemy im wsparcia? – Leia spojrzała na niego.

– To niemożliwe – wychrypiał Sesfan, kręcąc swoją kalamariańską głową. – Wszystkie dostępne statki i personel zostały już przypisane do ataku na Bilbringi. I tak już pozbawiliśmy ochrony zbyt wiele regionów i układów…

– Tym bardziej że nie wiemy nawet, czy to rzeczywiście właściwe miejsce – podkreślił Drayson. – Równie dobrze to może być jakaś imperialna pułapka.

– To nie jest żadna pułapka – nie dawała za wygraną Leia. – Mara nie pracuje już dla Imperium.

– W pani opinii.

– To nadal bez znaczenia – powtórzył Bel Iblis, skutecznie tłumiąc w zarodku sprzeczkę budzącym posłuch tonem. – Leio? Zerknij, proszę, na informacje pod mapą. Jak się wydaje, wszystko wskazuje na to, że udało im się wylądować niepostrzeżenie. Czy naprawdę chciałabyś narażać ich na utratę przewagi w postaci elementu zaskoczenia, wysyłając w ślad za nimi inny statek?

Księżniczka poczuła w żołądku nerwowy skurcz. Niestety, były senator miał rację.

– W takim razie może powinniśmy przełożyć atak na Bilbringi? – zaproponował niespodziewanie Fey'lya.

Leia odwróciła się w jego stronę, machinalnie rejestrując, że robią to również pozostali. Bothanin odezwał się podczas posiedzenia Rady chyba po raz pierwszy od chwili, gdy jego próba zagarnięcia dla siebie większej władzy w Nowej Republice zakończyła się haniebnym fiaskiem podczas potyczki o Flotę Katańską.

– Obawiam się, że to wykluczone, panie radco – zaprotestowała Mon Mothma. – Nie mówiąc już o tym, że w ten sposób poszłyby na marne czas i środki włożone w przygotowania do ataku. Jest absolutnie konieczne, abyśmy jak najszybciej usunęli z naszego nieba te zamaskowane asteroidy.

– Dlaczego? – spytał Fey'lya. Sierść porastająca jego ramiona i szyję zafalowała. – Jesteśmy chronieni przez osłony. Mamy zapasy, które wystarczą na wiele miesięcy. Mamy również swobodną łączność z resztą Nowej Republiki. Czy kieruje nami po prostu strach przed tym, że wydamy się słabi i bezbronni?

– To, w jaki sposób postrzegają nas inni, jest dla nas ważne – przypomniała mu ostro Mon Mothma. – I nie bez kozery. Imperium rządzi strachem i groźbami, my staramy się inspirować i mądrze przewodzić. Nie możemy pozwolić na to, by odbierano nas jako tchórzy, którzy zaszyli się tu i drżą z obawy o własne życie.

– Tu nie chodzi jedynie o wizerunek – upierał się Fey'lya. Sierść na jego potylicy zauważalnie oklapła. – Bothanie znali Imperatora, jego pragnienia i ambicje, prawdopodobnie najlepiej spośród całego grona istot niebędących jego sojusznikami i sługami. W jego skarbcu są rzeczy, które nigdy nie powinny ujrzeć światła dziennego. Broń i urządzenia, dla których Thrawn znajdzie któregoś dnia zastosowanie i których użyje przeciwko nam, jeśli go przed tym nie powstrzymamy.

– I zrobimy to – zapewniła go Mon Mothma. – Wkrótce. Jednak nie wcześniej, aż spustoszymy stocznie Bilbringi i zdobędziemy detektor pola grawitacyjnego.

– A co z kapitanem Solo i bratem radczyni Organy Solo?

Mon Mothma zacisnęła usta, a jej rysy twarzy stwardniały. Leia wiedziała, że wbrew temu, co sugerowałyby zasady twardej, wojskowej logiki, przewodniczącej Nowej Republiki wcale nie podobała się myśl o pozostawieniu ich tam na pastwę losu.

– W tej chwili jedyną rzeczą, jaką możemy dla nich zrobić, jest trzymanie się naszych planów – powiedziała cicho. – Aby ściągnąć uwagę wielkiego admirała na nasz pozorowany atak na Tangrene. – Spojrzała na Draysona. – Który właśnie mieliśmy przedyskutować. Admirale?

Drayson podszedł znów do wyświetlacza.

– Zacznijmy od obecnego statusu przygotowań do markowanego uderzenia na Tangrene – powiedział, wpisując w swój wskaźnik komendę wyświetlenia odpowiednich schematów.

Gdy Leia zerknęła ukradkiem na Fey'lyę, spostrzegła, że wyraz jego pyska i falujące futro wciąż zdradzają wzburzenie. Zastanawiała się, co też takiego mogło się znajdować we wnętrzu góry na Waylandzie, czego wykorzystania przez Thrawna tak bardzo się obawiał bothański radca.

Po krótkim namyśle uznała jednak, że może to lepiej, że tego nie wie.

Pellaeon wszedł do pogrążonego w półmroku przedsionka prywatnego centrum dowodzenia Thrawna, strzelając na boki

oczami. Wiedział, że gdzieś w pobliżu czai się Rukh, zawsze skory do pogrywania z nim w te swoje noghryjskie gierki. Zrobił krok w stronę drzwi do właściwej kwatery, następnie kolejny…

Jego kark musnął delikatny podmuch powietrza. Zawirował, automatycznie przybierając na wpół zapomnianą postawę bojową, której uczono go w akademii na kursie samoobrony.

Za jego plecami nikogo nie było. Rozejrzał się ponownie w poszukiwaniu miejsca, w którym mógł się skryć Noghri…

– Kapitanie Pellaeon – zamiauczał nad jego ramieniem znajomy, chrapliwy głos.

Kapitan odwrócił się z powrotem jak użądlony… Ponownie nikogo nie dostrzegł, gdy jednak zaczął wodzić wzrokiem po ścianach, aby namierzyć nieistniejącą kryjówkę, Rukh wynurzył się zza jego pleców.

– Wielki admirał oczekuje pana – dodał Noghri, wskazując swoim wąskim sztyletem zabójcy główne drzwi.

Pellaeon spiorunował go wzrokiem. „Pewnego dnia – obiecał sobie ponuro w duchu – pewnego dnia przekonam Thrawna, że wielki admirał Imperium nie potrzebuje ochrony aroganckich obcych ochroniarzy. A gdy do tego dojdzie, osobiście dopilnuję, by Rukh zginął. I zrobię to z najwyższą przyjemnością”.

– Dziękuję – wycedził przez zaciśnięte zęby i wszedł do środka.

Spodziewał się, że pomieszczenie będzie wypełniała jak zwykle eklektyczna kolekcja dzieł sztuki obcych kultur. I nie mylił się. Tym razem jednak zauważył pewną różnicę – nawet jego niewprawne oko dostrzegało, że zgromadzona twórczość reprezentuje dwa odrębne style. Hologramy były rozmieszczone pod dwiema przeciwległymi ścianami, a centrum wypełniał duży hologram taktyczny układu Tangrene.

– Proszę wejść, kapitanie – zawołał do niego Thrawn, usadowiony za podwójnym kręgiem wyświetlaczy, gdy Pellaeon zatrzymał się w drzwiach. – Jakieś wieści z Tangrene?

– Rebelianci wciąż gromadzą siły na pozycjach szturmowych – doniósł Pellaeon, klucząc między rzeźbami i hologramem taktycznym w drodze do fotela dowodzenia Thrawna. – Zmierzając wprost w naszą pułapkę.

– To bardzo miło z ich strony. – Thrawn wskazał na prawo. – To sztuka kalamariańska – wyjaśnił. – Co pan o niej sądzi?

Pellaeon obrzucił hologramy pobieżnym spojrzeniem, podchodząc do podwójnego pierścienia monitorów. „Dzieła” były jego zdaniem równie prymitywne i odrażające jak sami Kalamarianie.

– Bardzo ciekawe – stwierdził dyplomatycznie.

– Prawda? – zgodził się z nim Thrawn. – Szczególnie te dwie rzeźby. Ich autorem jest nie kto inny, a sam admirał Ackbar.

Pellaeon przyjrzał się wskazanym obiektom.

– Nie wiedziałem, że Ackbar interesuje się sztuką…

– W niewielkim stopniu – wyjaśnił Thrawn. – Stworzył je dość dawno, nim jeszcze dołączył do Rebelii. Mimo to dostarczają ciekawych informacji na temat jego charakteru. Podobnie jak i te. – Wskazał na lewo. – Dzieła sztuki wybrane osobiście przez naszego koreliańskiego adwersarza.

Pellaeon spojrzał na brzydactwa z nowym zainteresowaniem. A więc senator Bel Iblis wybrał je sam?

– Gdzie się znajdowały? W jego dawnym biurze w Senacie Imperialnym?

– Te tak – potwierdził Thrawn, wskazując najbliższe skupisko hologramów. – Te zaś pochodzą z jego domu, natomiast te z pokładu jego prywatnego statku. Wywiad natrafił na te dane, mniej lub bardziej przypadkowo, podczas swoich ostatnich działań w układzie Obroa-skai. A więc mówi pan, że rebelianci są coraz bliżej wpadnięcia w naszą pułapkę?

– Tak jest, sir – potwierdził Pellaeon, z ulgą witając zmianę tematu na bezpieczniejszy i bardziej dla niego zrozumiały. – Nadeszły kolejne dwa raporty, z których wynika, że rebelianckie jednostki wsparcia zajęły pozycje na skraju układu Draukyze.

– Nie zrobili jednak tego otwarcie.

Pellaeon zmarszczył czoło.

– Przepraszam?

– Chcę przez to powiedzieć, że przeprowadzają swoje operacje z zachowaniem najwyższej ostrożności, bardzo potajemnie – wyjaśnił z namysłem Thrawn. – Po cichu przerzucają jednostki wywiadu i wsparcia z innych lokalizacji, przemieszczając

i przeformowując floty sektorów, aby zwolniły ze służby okręty… tego typu rzeczy. Unikają jak ognia działań, które mogłyby się wydać zbyt oczywiste. I cały czas zmuszają przy tym imperialny wywiad, by pracował w pocie czoła nad poskładaniem tych elementów układanki w spójną całość. – Gdy spojrzał na Pellaeona, jego czerwone oczy zalśniły w półmroku. – Całkiem jakby Tangrene rzeczywiście było celem ich ataku.

Pellaeon gapił się na niego, zbity z tropu.

– Czy chce pan przez to powiedzieć, że tak nie jest?

– Owszem, kapitanie – odrzekł Thrawn, popatrując na dzieła sztuki.

Pellaeon spojrzał na hologram okolic Tangrene. Wywiad twierdził, że informacje są pewne w dziewięćdziesięciu czterech procentach.

– Jeśli jednak nie zamierzają zaatakować Tangrene… to gdzie chcą uderzyć?

– W ostatnie miejsce, którego moglibyśmy się spodziewać – wyjaśnił Thrawn, sięgając do przycisku na pulpicie dowodzenia. Układ Tangrene zniknął, zastąpiony przez…

Pellaeonowi dosłownie opadła szczęka.

– Bilbringi? – wykrztusił, wbijając zdumione spojrzenie w swojego przełożonego. – Ależ, sir… To…

– Szaleństwo? – Thrawn podniósł granatowoczarną brew. – Oczywiście, że tak. Szaleństwo ludzi i obcych, którzy w bolesny sposób przekonali się na własnej skórze, że nie mogą się ze mną mierzyć twarzą w twarz. I dlatego próbują wykorzystać moje zdolności taktyczne i przenikliwość przeciwko mnie. Udają, że idą wprost w moją pułapkę, zakładając, że dostrzegę ich subtelne poczynania i zinterpretuję je jako ich prawdziwe zamiary. A gdy będę sam sobie gratulował spostrzegawczości… – wskazał na hologram Bilbringi – …przygotują się do prawdziwego uderzenia.

Pellaeon spojrzał na dzieła sztuki wybrane przez Bela Iblisa.

– Może nim odwołamy siły z Tangrene, zaczekamy na potwierdzenie, admirale? – zasugerował ostrożnie. – Moglibyśmy zwiększyć aktywność wywiadu w rejonie Bilbringi… Albo może wysondować ich za pośrednictwem Źródła Delta?

– Niestety, Źródło Delta zostało uciszone – powiedział Thrawn. – Nie potrzebujemy jednak żadnego potwierdzenia. Taki jest właśnie plan rebeliantów, a my nie będziemy się zdradzać niczym równie oczywistym jak wzmocniona czujność wywiadu. Są przekonani, że udało im się mnie zwieść. Naszym głównym celem jest teraz dopilnowanie, by nie przestawali w to wierzyć. – Uśmiechnął się złowróżbnie. – Koniec końców, kapitanie, nie ma znaczenia, czy rozgromimy ich na Tangrene, czy w pobliżu Bilbringi. Absolutnie żadnego.

Rozdział 21

W powietrzu, jakieś półtora metra od Mary, unosił się strączek o kształcie asymetrycznej spirali, aż się prosząc, by chlasnęła go mieczem. Spojrzała na niego chmurnie, trzymając miecz świetlny Skywalkera w pewnym, choć nieco nietypowym chwycie oburącz. Chybiła już dwa razy i nie miała zamiaru powtarzać tego błędu trzeci raz.

– Nie spiesz się – pouczył ją Skywalker. – Skup się i pozwól, by Moc przez ciebie płynęła. Spróbuj przewidzieć jego ruch…

„Łatwo ci mówić – pomyślała – bo w końcu to ty go kontrolujesz”. Strączek przybliżył się o milimetr, prowokująco…

Nagle uznała, że ma już tego dość. Sięgnęła Mocą i chwyciła nią strąk. Unieruchomiony, drgnął jeszcze lekko, nim cięła go mieczem i rozpłatała na niemal idealnie równe połówki.

– No i już – powiedziała, wyłączając broń. – Zrobione.

Spodziewała się, że Skywalker się na nią wścieknie, jednak ku jej lekkiemu zaskoczeniu – i nieco większemu poirytowaniu – wcale się nie rozgniewał.

– Świetnie – pochwalił ją zamiast tego. – Doskonale. Trudno jest rozdzielić w taki sposób uwagę między dwie aktywności: psychiczną i fizyczną. A jednak dałaś radę.

– Dzięki – burknęła, odrzucając miecz świetlny w stronę pobliskiej kępy krzewów. Zawinął płynnym łukiem w powietrzu, gdy Skywalker przyciągnął go do siebie Mocą, po czym wskoczył w nadstawioną dłoń Jedi. – No to… chyba już dosyć? – spytała z nadzieją w głosie.

Luke obejrzał się przez ramię. Solo i Calrissian pochylali się właśnie nad droidem protokolarnym, który przestał narzekać na ukształtowanie terenu, lokalną faunę czy florę, a zamiast tego biadolił na to, co wędrówka po skalnych okruchach wyrządziła jego stopie. Droid astromechaniczny Luke’a kręcił się w pobliżu z wysuniętą antenką, poćwierkując jak zwykle pod nosem. Kilka

kroków dalej Wookiee szperał w jednym z ich plecaków, zapewne w poszukiwaniu tego czy innego narzędzia.

– Chyba mamy dość czasu na kilka dodatkowych ćwiczeń – uznał Luke, zwracając się znów w jej stronę. – Ta technika, którą zastosowałaś, jest bardzo ciekawa. Obi-Wan nie uczył mnie, że można używać samej końcówki miecza.

– Imperator stosował zasadę: używaj wszystkiego, co masz pod ręką – odparła.

– Jakoś nie jestem zaskoczony – stwierdził kwaśno Skywalker i wyciągnął miecz świetlny w jej stronę. – Spróbujmy czegoś innego. Weź miecz.

Sięgnąwszy ku broni Mocą, Mara wyrwała ją z jego luźnego uścisku, zastanawiając się przelotnie, co by zrobił, gdyby zamiast tego spróbowała najpierw zapalić miecz. Nie była pewna, czy poradziłaby sobie z czymś tak drobnym jak przycisk aktywatora, jednak warto byłoby spróbować, uznała. Chociażby po to, żeby zobaczyć, jak uskakuje, zaskoczony i przerażony.

A gdyby przy okazji niechcący go zabiła…

MASZ ZABIĆ LUKE'A SKYWALKERA!

Ścisnęła mocniej rękojeść w dłoni. „Jeszcze nie – odpowiedziała stanowczo uporczywemu głosowi. – Wciąż jest mi potrzebny".

– No dobra – warknęła. – Co teraz?

Luke nie zdążył jej odpowiedzieć, bo astromech za jego plecami zaczął nagle z ożywieniem świergotać.

– Co się dzieje? – spytał Solo, dobywając natychmiast blastera.

– Artoo twierdzi, że zauważył w pobliżu coś, czemu należałoby się przyjrzeć – wyjaśnił droid protokolarny, wskazując na lewo. – Sądzę, że ma na myśli pnącza, aczkolwiek mogę się mylić. Wszystkie te uszkodzenia spowodowane żrącymi substancjami…

– Chodź, Chewie, sprawdźmy to – przerwał jego wynurzenia Solo, wstając i ruszając w stronę łagodnego zbocza brzegu strumienia.

Skywalker podchwycił spojrzenie Mary.

– Chodźmy – powiedział i ruszył za nimi.

Okazało się, że nie musieli odchodzić zbyt daleko. Tuż za pierwszą linią drzew, zasłonięta nieco krzewami, znajdowała się gęstwina pnączy – podobnych do tych, przez jakie sporadycznie

musieli torować sobie drogę za pomocą miecza Luke'a w ciągu ostatnich kilku dni.

Tyle tylko, że te zostały już przecięte… a później usunięte na bok.

Kłębowisko grubych łodyg leżało na ziemi niczym splątane zwoje lin.

– Cóż, to chyba wystarczająca odpowiedź na pytanie, czy rzeczywiście ktoś nam po drodze pomaga – skwitował Calrissian, przyglądając się końcówce jednego z pnączy.

– Chyba masz rację – zgodził się z nim Han. – Żaden drapieżnik by tego nie zrobił.

Wookiee zaryczał coś pod nosem i szarpnął krzak zasłaniający liany. Ku zaskoczeniu Mary krzew ustąpił bez żadnego wysiłku ze strony Chewbakki.

– Nie mówiąc już o tym, że nie zawracałby sobie głowy kamuflowaniem efektów swojej pracy – dodał Lando, gdy Wookiee zabrał się do inspekcji krzewu. – Wygląda na ślady noża. To samo przy pnączach.

– Tak samo jak w wypadku tego pazuroptaka, na którego trafiliśmy wczoraj – dodał ponuro Solo. – Luke? Czy mamy jakieś towarzystwo?

– Wyczułem jakiś czas temu obecność grupy tubylców – poinformował go Skywalker. – Ale nigdy nie podchodzili zbyt blisko, a poza tym zawsze się szybko wycofywali. – Spojrzał w dół zbocza na C-3PO, niespokojnie przestępującego z nogi na nogę na dnie wyschniętej rzeki. – Czy myślisz, że to może mieć coś wspólnego z droidami?

Solo parsknął.

– Masz na myśli tamtą historię z Endora, kiedy te sierściaste Ewoki uznały Threepio za bóstwo?

– Coś w tym stylu. – Luke kiwnął głową. – Mogli podejść na tyle blisko, by usłyszeć Threepio czy Artoo.

– Możliwe. – Solo rozejrzał się dookoła. – W jakich porach zarejestrowałeś ich obecność?

– Głównie tuż przed zmierzchem – stwierdził Luke. – Przynajmniej jak dotąd.

– Cóż, następnym razem, gdy się zjawią, daj mi znać – poprosił Han, chowając blaster do kabury i zaczynając schodzić w dół stoku. – Już czas, żebyśmy ucięli sobie z nimi małą pogawędkę. Chodźmy, lepiej się stąd zabierajmy.

Mrok gęstniał z każdą chwilą, a obozowisko było już niemal gotowe, gdy Luke znów to poczuł.

– Han? – zawołał cicho. – Są tutaj.

Solo kiwnął głową, klepnięciem dając Landowi znak i sięgając jednocześnie po blaster.

– Ilu ich jest?

Skywalker skupił się, starając wyodrębnić poszczególne źródła sygnału, który wyczuł poprzez Moc.

– Jakichś pięciu albo sześciu. Nadchodzą z tamtej strony. – Wskazał w bok.

– Mówisz o tej pierwszej grupie? – spytała Mara.

„Pierwszej grupie?”. Luke zmarszczył czoło, skupiając się ponownie. Dziewczyna miała rację: tuż za pierwszym zespołem skradał się drugi.

– Tak, o pierwszej – potwierdził. – W drugiej… jest także pięć albo sześć osób. Nie jestem pewien, ale to mogą być przedstawiciele innego gatunku.

Han obejrzał się na Landa.

– Co o tym myślisz?

– Nie podoba mi się to – mruknął Calrissian, przebierając z niepokojem palcami po rękojeści blastera. – Maro? Jak dobrze dogadywały się ze sobą te dwie rasy?

– Niespecjalnie – odpowiedziała. – Gdy tu byłam, prowadzili ze sobą interesy i załatwiali jakieś wspólne sprawy, ale słyszałam też opowieści o długich, trójstronnych wojnach, jakie toczyli między sobą i ludzkimi kolonistami.

Chewbacca zaryczał, sugerując, że być może tutejsi obcy sprzymierzyli siły przeciwko nim.

– Super, bardzo pokrzepiająca myśl – skwitował z przekąsem Solo. – Luke? Jak sądzisz?

Skywalker ponownie się skoncentrował, jednak nie na wiele to się zdało.

– Przykro mi – bąknął. – Wyczuwam od nich silne emocje, jednak trudno mi je jednoznacznie zidentyfikować.

– Zatrzymali się – zameldowała Mara. Twarz miała ściągniętą z wysiłku, jaki wkładała w maksymalne wyostrzenie zmysłów. – Obie grupy.

Han się skrzywił.

– No to chyba tyle – mruknął. – Lando? Maro? Zostańcie tu i pilnujcie obozowiska. Luke, Chewie – chodźmy się przywitać.

Wspięli się po skalistym zboczu i zagłębili w las, manewrując pośród krzewów i stert zeschłego listowia.

– Czy już wiedzą, że się zbliżamy? – rzucił przez ramię Solo.

Luke wysnuł wici Mocy.

– Trudno stwierdzić. Ale mam wrażenie, że sami nie skracają dystansu.

Chewbacca zaryczał coś, czego Jedi nie zrozumiał.

– Niewykluczone – zgodził się z nim Han. – Ale trochę głupio byłoby urządzać naradę wojenną tak blisko potencjalnych ofiar.

I nagle nieco przed nimi i na lewo Luke złowił kątem oka jakiś ruch, tuż za grubym pniem drzewa.

– Uwaga! – ostrzegł resztę, zapalając błyskawicznie swój miecz świetlny.

W zielonobiałej poświacie mignęła drobna postać ubrana w obcisły strój z kapturem, nurkując pospiesznie za drzewo tuż przed tym, nim szybki strzał oddany przez Hana wypalił w pniu pokaźnych rozmiarów dziurę. Sekundę później ładunek wystrzelony z kuszy Chewbakki odłupał sporą garść kory i drzazg z drugiej strony drzewa. Pośród kłębów dymu dało się dostrzec postać umykającą z zagrożonej kryjówki ku sąsiedniemu, grubszemu pniowi. Gdy Han błyskawicznie powiódł w ślad za nią lufą blastera, starając się wycelować, powietrze przeszył dziwny terkoczący trel – jakby naraz odezwało się stado egzotycznych ptaków…

Chewbacca zaryczał przeszywająco – z mieszanką ulgi i zrozumienia. W ostatniej chwili uderzył końcem swojej kuszy

w blaster Hana, w wyniku czego drugi strzał zamiast trafić w cel, chybił sromotnie.

– Chewie! – warknął Han.

– Nie, nie, on ma rację! – wtrącił pospiesznie Luke. Nagle on także doznał olśnienia, gdy kawałki układanki zaczęły tworzyć spójny obraz. – Hej! Stój!

Ostrzeżenie okazało się jednak niepotrzebne. Ciemna sylwetka zamarła już, zatrzymując się w otwartej przestrzeni między drzewami. Kaptur ocieniał jej twarz, nie pozwalając dostrzec szczegółów mimo poświaty rzucanej przez ostrze miecza Luke'a.

Skywalker podszedł do niej o krok.

– Jestem Luke Skywalker – przedstawił się oficjalnie. – Brat Lei Organy Solo, syn lorda Dartha Vadera. A ty jesteś…?

– Ekhrikhor z klanu Bakh'tor – odpowiedział chrapliwy noghryjski głos. – Bądź pozdrowiony, synu Vadera.

Polanka, na którą powiódł ich Ekhrikhor, znajdował się niedaleko – wszystkiego może dwadzieścia metrów w kierunku, z którego Luke wyczuł zbliżanie się grupy intruzów. Ich podejrzenia się potwierdziły. Były tam dwa gatunki obcych, a każdy zespół składał się z pięciu osób stojących za pniem powalonego drzewa. Przed nim czekało jeszcze dwóch Noghrich w maskujących strojach z kapturami zsuniętymi na plecy. Między nimi ustawiono tyczkę, na której zawieszono prowizoryczną latarnię, dającą dość światła, by Han zdołał dostrzec z grubsza szczegóły najbliżej stojących postaci.

Widok nie napawał optymizmem. Grupa po prawej składała się z osobników przewyższających mniej więcej o głowę stojących przed nimi Noghrich i o jakąś głowę niższych od Hana. Ciała pokryte gruzłowatymi płytkami nadawały im wygląd mobilnych stert skalnych odłamków. Ci po lewej dorównywali niemal wzrostem Chewbacce. Każdy miał po cztery ręce, a ich połyskliwa, lekko przejrzysta błękitnawa skóra przypominała Solo w dziwny sposób tamtego brązowego zwierzaka, którego byli zmuszeni strącić z metalowego ciała C-3PO pierwszego dnia ich wędrówki.

– Przyjaźnie wyglądająca zgraja, nie ma co – mruknął Han pod adresem Luke'a, gdy zbliżyli się do ostatniej linii drzew dzielących ich od polany.

– To Myneyrshowie i Psadanie – wyjaśnił Ekhrikhor. – Chcieli was zaatakować.

– A wy staraliście się ich powstrzymać? – domyślił się Skywalker.

– Chcieli was zaatakować – powtórzył Noghri. – Nie mogliśmy na to pozwolić.

Zatrzymali się na skraju polanki. W grupie obcych zawrzało, a jeden z nich powiedział coś, co zdecydowanie nie brzmiało przyjaźnie.

– Domyślam się, że nie jesteśmy tu mile widziani? – rzucił Han. – Luke?

Stojący obok niego Jedi pokręcił głową.

– Wciąż nie jestem w stanie jednoznacznie zidentyfikować ich uczuć. O co tu chodzi, Ekhrikhorze?

– Dają do zrozumienia, że chcą z nami porozmawiać – oświadczył Noghri. – Być może po to, by się przekonać, czy mają z nami walczyć.

Han obrzucił obcych krytycznym spojrzeniem. Wszyscy byli uzbrojeni w noże, a kilku miało również łuki, jednak nie widział śladów żadnej zaawansowanej technologii.

– W takim razie lepiej niech sprowadzą tu swoją armię – skomentował.

– Nie chcemy walki, jeśli da się jej uniknąć – zganił go łagodnie Skywalker, po czym spytał ich przewodnika: – Jak się z nimi porozumiewacie?

– Jeden z nich nauczył się trochę używanego przez Imperium basica, gdy budowano tu magazyn. – Ekhrikhor wskazał na Myneyrsha stojącego najbliżej latarni. – Spróbuje tłumaczyć.

– Cóż, może poradzimy sobie w inny sposób. – Luke spojrzał na Hana, podnosząc brwi. – Jak sądzisz?

– Warto spróbować – odparł Solo, sięgając po komunikator. Najwyższa pora, by C-3PO na coś im się przydał. – Lando?

– Jestem – nadeszła natychmiast odpowiedź. – Znaleźliście tych obcych?

– Taaa, znaleźliśmy – potwierdził Solo. – A także małą niespodziankę… czy raczej dwie. Powiedz Marze, żeby przyprowadziła tu Threepio. Jesteśmy niedaleko. Niech kieruje się w stronę, w którą odeszliśmy.

– Jasne – potwierdził przyjęcie instrukcji Calrissian. – Co ze mną?

– Wydaje mi się, że powinniśmy uniknąć kłopotów – powiedział Han, obrzucając obcych powtórnym spojrzeniem. – Równie dobrze możecie zostać z Artoo na miejscu, żeby strzec obozu. Aha, jeśli zobaczycie w pobliżu uzbrojonych po zęby kurdupli w skafandrach maskujących, nie strzelajcie. Są po naszej stronie.

– Miło słyszeć – skwitował kwaśno Lando. – Chyba. Coś jeszcze?

Solo zerknął znów na przyglądających mu się otwarcie obcych i dodał:

– Tak. Trzymaj za nas kciuki. Niewykluczone, że uda nam się pozyskać sojuszników. Jeśli nie… cóż, jednak mogą być kłopoty.

– Zrozumiałem. Mara i Threepio już do was idą. Powodzenia!

– Dzięki. – Han wyłączył komunikator i przywiesił go z powrotem do pasa. – Idą – poinformował Luke'a.

– Nie ma potrzeby, by strzegli waszego obozowiska – wtrącił nieproszony Ekhrikhor. – Noghri będą je chronić.

– Nie ma sprawy – bąknął Solo. – I tak już robi się tu dość tłoczno. – Spojrzał czujnie na Ekhrikhora. – A więc miałem rację: byliśmy śledzeni.

– Tak – potwierdził Noghri, skłaniając głowę. – I proszę cię o wybaczenie nam tego podstępu, oblubieńcu lady Vader. Ja i moi towarzysze byliśmy zdania, że to niezbyt honorowe, jednak Cakhmaim z klanu Eikh'mir chciał, byśmy ukrywali przed wami naszą obecność.

– Dlaczego?

– Cakhmaim z klanu Eikh'mir wyczuł od pana wrogość w apartamentach lady Vader – wyjaśnił Ekhrikhor, kłaniając się ponownie. – Był przekonany, że nie zgodzi się pan dobrowolnie, by towarzyszyła wam eskorta Noghrich.

Han spojrzał na Luke'a i zauważył, że po ustach przyjaciela błąka się uśmieszek.

– Cóż, następnym razem, gdy zobaczysz się z Cakhmaimem, powiedz mu, że przestałem odrzucać propozycje bezinteresownej pomocy jakiś czas temu – powiedział. – Ale skoro już mowa o wrogości, moglibyście sobie darować tego „oblubieńca lady Vader". Mów mi po prostu Han albo Solo. Albo kapitanie. Czy jak tam sobie chcesz.

– Może Hanie z klanu Solo? – podsunął Luke.

Ekhrikhor aż się rozpromienił.

– Tak, to brzmi godnie – ocenił. – Błagamy o wybaczenie, Hanie z klanu Solo.

Han łypnął spode łba na przyjaciela.

– Chyba właśnie zostałeś przyjęty do plemienia – stwierdził Luke, wciąż próbując powstrzymać cisnący mu się na usta uśmiech.

– Taaa – mruknął Solo. – Cudownie. Wielkie dzięki.

– Dobrych stosunków nigdy za wiele – zauważył Skywalker. – Przypomnij sobie Endor.

– Jak mógłbym o tym zapomnieć – burknął Han, krzywiąc się kwaśno. Jasne, może i te futrzaste miśki odwaliły kawał dobrej roboty, pomagając im w walce z drugą Gwiazdą Śmierci, jednak nie zmieniało to faktu, że przyjęcie do plemienia Ewoków było jednym z najbardziej niedorzecznych przeżyć, jakich miał okazję doświadczyć.

Z drugiej jednak strony tubylcze plemię zamieszkujące Endor pokonało żołnierzy Imperium głównie dzięki przewadze liczebnej. A Noghri…

– Ilu was tu jest? – zapytał Ekhrikhora.

– Ośmiu – odpowiedział obcy. – Podczas waszej podróży strzegliśmy was dwójkami, idąc przed wami, obok i za wami.

Han pokiwał głową, czując wbrew sobie przypływ szacunku i podziwu wobec tych istot. Samotna ósemka, skutecznie i po cichu zabijająca lub płosząca drapieżniki i obcych. I to zarówno w ciągu nocy, jak i za dnia. A do tego znajdująca czas na usuwanie z ich drogi takich drobnych niedogodności jak pazuroptaki czy pnączowęże…

Spojrzał z nowym respektem na Ekhrikhora. Nie czuł się już tak idiotycznie z myślą, że został przyjęty do plemienia.

Zza ich pleców dobiegło znajome szuranie. Odwrócił się w jego stronę i chwilę później w jego polu widzenia pojawiła się złocista sylwetka C-3PO. Obok niego, pół kroku z tyłu, trzymała się Mara, z blasterem w dłoni.

– Panie Luke! – zawołał droid protokolarny z typową dla siebie mieszanką ulgi, niepokoju i afektacji w głosie.

– Tutaj, Threepio! – odkrzyknął Jedi. – Czy mógłbyś dla nas tłumaczyć?

– Zrobię, co w mojej mocy – obiecał droid. – Jak pan zapewne wie, biegle władam ponad sześcioma milionami form komunika…

– Widzę, że znaleźliście obcych – weszła mu w słowo Mara, obrzucając szybkim spojrzeniem grupę zgromadzoną za pniem, gdy wraz z C-3PO wkroczyli na polankę. Jej wzrok padł na Ekhrikhora. – I małą niespodziankę – dodała, kierując lufę blastera w stronę Noghriego.

– W porządku, to przyjaciel – uspokoił ją Skywalker, sięgając ku jej broni.

– Wątpię – syknęła, odsuwając blaster poza jego zasięg. – To Noghri! Oni służą Thrawnowi…

– Już mu nie służymy – zaprzeczył Ekhrikhor.

– To prawda, Maro. Oni już dla niego nie pracują – zawtórował mu Skywalker.

– Skoro tak mówisz – burknęła Jade. Nie wyglądała na przekonaną, jednak przynajmniej nie celowała już w Ekhrikhora.

Po drugiej stronie polanki Myneyrsh stojący najbliżej kłody dobył z torby na ramieniu coś, co wyglądało na wypchanego bladego pazuroptaka. Mamrocząc coś pod nosem, położył go przed sobą obok latarni.

– Co to? – zainteresował się Han. – Przekąska?

– W ich języku nazywa się to *satna-chakka* – wyjaśnił Noghri. – To symbol gwarancji pokoju na czas spotkania. Są gotowi zacząć rozmowy. Ty, droidzie C-3PO, chodź ze mną.

– Oczywiście – zgodził się posłusznie C-3PO. Nie sprawiał wrażenia zbyt zachwyconego zaistniałą sytuacją. – Panie Luke?

– Pójdę z wami – uspokoił go Skywalker. – Han, Chewie? Zostańcie tu.

– Nie mam nic przeciwko – zapewnił go Solo.

Luke i Noghri skierowali kroki w stronę pnia, z C-3PO drepczącym z ociąganiem w ślad za nimi.

Osobnik, będący najwyraźniej kimś w rodzaju szefa grupy Myneyrshów, podniósł górną parę ramion nad głowę, z dłońmi zwróconymi wnętrzem do środka.

– *Bidaesi charaa* – oznajmił zaskakująco śpiewnym głosem. – *Lyaaunu baaraemaa dukhnu phaeri.*

– Ogłasza przybycie obcych – przetłumaczył sumiennie C-3PO. – Prawdopodobnie ma na myśli nas. Obawia się jednak, że nasze pojawienie się ponownie przyniesie jego ludowi zagrożenie i kłopoty.

Stojący obok Hana Chewbacca zaryczał coś z wyczuwalnym przekąsem.

– Nie, raczej nie mają ochoty na przyjazne pogawędki – zgodził się z nim Solo. – Ani na dyplomatyczne wstępy.

– Przynosimy waszemu ludowi nadzieję – odparł przywódca grupy Noghrich. – Jeśli pozwolicie nam przejść, uwolnimy was od jarzma Imperium.

C-3PO przetłumaczył, jednak w jego wokabulatorze nawet śpiewne słowa języka Myneyrshów wciąż brzmiały, zdaniem Hana, afektowanie. Jeden z przysadzistych Psadan machnął krótko, stanowczo ręką i powiedział coś, co brzmiało jak słaby skrzek podlany rzadkim sosem spółgłosek.

– Mówi, że lud Psadan ma dobrą pamięć – przełożył C-3PO. – Najwyraźniej wybawcy zjawiali się już u nich z podobnymi obietnicami, jednak nic się nie zmieniło.

– Witamy w rzeczywistości – mruknął pod nosem Han.

Luke obejrzał się na niego przez ramię.

– Threepio? Czy mógłbyś go poprosić, by rozwinął tę myśl?

C-3PO posłuchał, poskrzekując na Psadanina, po czym usłużnie przetłumaczył komunikat również na język Myneyrshów tylko po to, by zademonstrować zgromadzonym swoje imponujące zdolności lingwistyczne.

Psadanin wyjaśniał coś zawile przez kilka minut. Nim skończył, Hana zdążyły rozboleć uszy.

– Cóż – rzucił C-3PO, gdy tubylec zakończył swoją przemowę. Skłonił złocistą głowę i przybrał mentorską pozę, której Solo tak u niego nienawidził. – Nakreślił problem bardzo szczegółowo… jednak pominę mniej istotne detale – zapowiedział szybko, dostrzegając najwyraźniej spojrzenie jednego z Noghrich. – Pierwszymi intruzami, którzy się tu zjawili, byli ludzcy koloniści. Wyrugowali częściowo miejscowy lud z ich ziem i zaniechali swoich nikczemnych poczynań dopiero wtedy, gdy ich miotające błyskawice łuki i metalowe ptaki (to oczywiście jego własne określenia) zaczęły zawodzić. Wiele lat później przybyło Imperium, które, jak wiemy, zawłaszczyło zakazaną górę. Zniewoliło wielu miejscowych, zmuszając ich do pracy przy swoim projekcie, i wypędziło wielu innych z ich terenów. Po budowniczych nadszedł ktoś, kto nazywał siebie Strażnikiem. On również chciał przejąć kontrolę nad miejscowym ludem. Aż w końcu dotarł tu ktoś określający się mianem mistrza Jedi. Pokonał on Strażnika w walce, która rozświetliła niebo nad planetą. Przez jakiś czas lud planety sądził, że jest wolny, jednak mistrz Jedi sprowadził do siebie ludzi i tubylców oraz zmusił ich, by żyli wspólnie w cieniu zakazanej góry. W końcu wróciło Imperium. – C-3PO podniósł głowę. – Jak więc pan widzi, panie Luke, jesteśmy tylko kolejnymi z długiej listy najeźdźców.

– Tyle tylko, że… my nie jesteśmy najeźdźcami – sprostował Skywalker. – Przybyliśmy tu, by uwolnić ich od Imperium.

– Doskonale o tym wiem, panie Luke…

– Wiem, że wiesz – nie dał mu dokończyć Skywalker. – Powiedz im to.

– Ach. Oczywiście. – C-3PO zabrał się do tłumaczenia.

– Jeśli chcesz znać moje zdanie, to wcale nie mieli najgorzej – mruknął Solo do Chewbakki. – Niektórym autochtonom Imperium odbierało całe planety…

– Prymitywne rasy zawsze tak reagują na przybyszów – wtrąciła Mara. – I zazwyczaj długo też zachowują pamięć o tym, co im uczyniono.

– Hm, tak. Może masz rację. Sądzisz, że ten cały mistrz Jedi, o którym Myneyrsh wspomniał, to może być ten wasz koleś,

C’baoth?

– A któżby inny? – parsknęła. – To pewnie właśnie tutaj znalazł go Thrawn.

Han poczuł w żołądku nerwowy skurcz.

– Sądzisz, że teraz tu jest?

– Niczego nie wyczuwam – powiedziała z namysłem. – Co jednak nie oznacza, że tu nie wróci.

Głowa plemienia Myneyrshów znów zaczęła przemawiać. Han omiótł polankę spojrzeniem. Czy w okolicy kryli się inni Myneyrshowie i Psadanie, obserwujący spotkanie? Luke nie wspomniał nic na temat posiłków, ale byliby niespełna rozumu, gdyby nie zapewnili sobie w pobliżu wsparcia, na wypadek gdyby coś poszło nie tak…

Chyba że zajęli się już nimi kumple Ekhrikhora. Jeśli pokojowe negocjacje zawiodą, może się okazać, że pomoc Noghrich bardzo im się przyda.

Myneyrsh skończył mówić.

– Przykro mi, panie Luke – oznajmił z żalem C-3PO. – Twierdzą, że nie mają powodu, by wierzyć nam, że różnimy się od tych, o których wspomnieli…

– Rozumiem ich obawy. – Skywalker kiwnął głową. – Zapytaj ich, jak możemy udowodnić, że mamy dobre zamiary.

C-3PO zaczął znów tłumaczyć, gdy tymczasem Wookiee trącił Hana łokciem w ramię.

– Co znowu? – mruknął Solo.

Chewbacca wskazał głową na lewo, trzymając kuszę w pogotowiu. Gdy Han podążył za jego spojrzeniem…

– Ups!

– Co się dzieje? – zaniepokoiła się Mara.

Han właśnie otwierał usta, żeby udzielić jej odpowiedzi… jednak nagle zmienił zdanie, bo okazało się, że nie ma na to czasu. Wężowaty drapieżnik, którego Chewie dostrzegł sunącego wśród gałęzi drzewa, zaprzestał wędrówki i sprężył się do skoku na pogrążoną w rozmowie grupę.

– Uwaga! – krzyknął Han, podrywając do góry lufę blastera…

Chewbacca był jednak szybszy: z bojowym okrzykiem wystrzelił z kuszy, niemal przecinając energetyczną salwą drapieżnika na pół. Truchło runęło na ziemię, gdzie znieruchomiało pośród suchych liści.

A z gardeł stojących za kłodą Myneyrshów wydarł się gardłowy pomruk.

– Uważaj, Chewie! – ostrzegł przyjaciela Han, biorąc obcych na cel.

– Możliwe, że to był błąd – stwierdziła z napięciem w głosie Mara. – Strzelanie podczas pokojowych rozmów nie jest najlepszym pomysłem…

– Wolałbym również nie skończyć w ich trakcie jako danie główne – odciął się Solo.

Piątka Psadan stojących obok grupy Myneyrshów zaczęła się nerwowo trząść i Han pomyślał odruchowo, że dobrze byłoby, gdyby okazało się, że koledzy Ekhrikhora są gdzieś w okolicy.

– Threepio? Powiedz im…

– Oczywiście, kapitanie Solo – potwierdził pospiesznie C-3PO z takim samym niepokojem w głosie, który Han czuł w tej chwili. – *Mulansaar*…

Główny Myneyrsh przerwał mu znowu krótkim machnięciem obu lewych dłoni.

– Ty! – ćwierknął w łamanym basicu, wskazując na Hana czworgiem rąk. – On ma miotający błyskawice łuk?

Solo spojrzał na niego, marszcząc czoło. Oczywiście, że Chewbacca miał broń, podobnie jak pozostali w ich grupie. Obejrzał się na Wookieego… i nagle do niego dotarło.

– Tak, ma – potwierdził, opuszczając blaster. – To nasz przyjaciel. Nie bierzemy niewolników jak Imperium.

C-3PO zaczął tłumaczyć, jednak Myneyrsh poćwierkiwał już coś z ożywieniem do swoich przyjaciół.

– Dobry ruch – skomentowała cicho Mara. – Nie pomyślałam o tym. Ale masz rację. Ostatni Wookiee, których tu widzieli, byli niewolnikami Imperium.

– Miejmy nadzieję, że ich to przekona. – Solo pokiwał głową.

Dyskusja trwała jeszcze przez kilka minut – toczyła się głównie między Myneyrshami a Psadanami. C-3PO próbował początkowo tłumaczyć na bieżąco, jednak jego relacja szybko przerodziła się w punktowanie najważniejszych szczegółów. Wszystko wskazywało na to, że Myneyrshowie zaczynali widzieć w ich przybyciu szansę na wyzwolenie się spod ucisku Imperium, a także na pozbycie się mistrza Jedi. Psadanie wcale nie darzyli Imperium większym uczuciem niż sąsiedzi, jednak sama myśl o konfrontacji z C'baothem napawała ich lękiem.

– Nie prosimy was, byście walczyli u naszego boku – oświadczył Luke, gdy zdołał wreszcie odzyskać ich uwagę. – To tylko i wyłącznie nasza bitwa i stoczymy ją sami. Prosimy jedynie, abyście pozwolili nam podróżować przez wasze ziemie, tak byśmy mogli dotrzeć do zakazanej góry, a także o obietnicę, że nie wydacie nas Imperium.

C-3PO przetłumaczył przesłanie na oba języki, a Han przygotował się w duchu na nową porcję obiekcji… te jednak nie nadeszły. Główny Myneyrsh wzniósł ponownie górną parę rąk nad głowę, a dolnymi schwycił odbarwionego pazuroptaka i podał go Luke'owi.

– Chyba oferują nam bezpieczne przejście, panie Luke – podsunął usłużnie C-3PO. – Aczkolwiek mogę się mylić. Ten dialekt przetrwał w praktycznie niezmienionej formie, jednak gesty i ruchy często są…

– Powiedz im, że jesteśmy wdzięczni – przerwał mu Skywalker, kiwając głową i przyjmując dar w postaci ptaka. – I że chętnie skorzystamy z ich gościnności. Oraz że nie pożałują, że nam pomogli.

– Generale Covell? – Z interkomu w kokpicie promu dobiegł służbisty, wojskowy głos. – Za kilka minut powinniśmy wylądować.

– Przyjąłem – potwierdził oficer. Wyłączył interkom i zwrócił się w stronę jedynego pasażera na pokładzie. – Już niemal jesteśmy – poinformował go.

– Owszem, słyszałem – potwierdził C'baoth z lekkim rozbawieniem… które generał odczuł również we własnym umyśle,

przekazane mu za pośrednictwem Mocy. – Proszę mi powiedzieć, generale Covell, czy to koniec naszej podróży, czy może raczej początek?

– Oczywiście, że początek – zapewnił go Covell. – Podróż, w którą wyruszyliśmy, nie będzie miała końca.

– A co z wielkim admirałem Thrawnem?

Covell zmarszczył z niepokojem czoło. To pytanie słyszał po raz pierwszy – a przynajmniej w takiej formie. Jednak wystarczyło przelotne wahanie, by kojąca odpowiedź sama napłynęła do jego umysłu. W podobny sposób, w jaki pojawiały się tam wszystkie inne odpowiedzi.

– To początek końca wielkiego admirała Thrawna – stwierdził z przekonaniem.

C'baoth roześmiał się cicho.

Jego rozbawienie przyjemnie łechtało umysł Covella. Generał zastanawiał się przez chwilę nad zapytaniem, co w tym właściwie takiego zabawnego, jednak znacznie łatwiej – i wygodniej – było po prostu rozsiąść się w fotelu i cieszyć tą chwilą. A poza tym wiedział doskonale, co w tym takiego śmiesznego.

– Och, zapewne doskonale o tym wiesz, prawda? – spytał go dobrodusznie C'baoth, kręcąc głową. – Ach, generale, generale… Co za ironia, czyż nie? Od początku… od tamtego pierwszego spotkania w moim mieście wielki admirał miał odpowiedź w zasięgu ręki. A jednak wciąż jest tak samo daleki od zrozumienia, jak był w tamtej chwili.

– Czy chodzi o władzę, mistrzu C'baoth? – spytał Covell. To był znajomy mu temat i nawet bez odpowiedzi gnieżdżących się w jego umyśle wiedziałby, co mówić podczas rozmowy.

– O tak, generale Covell – potwierdził z namaszczeniem C'baoth. – Już na początku powiedziałem mu, że prawdziwa potęga nie polega na podbijaniu odległych światów, na toczeniu bitew czy wojen ani na tłumieniu bezimiennych rebelii. – Uśmiechnął się, a jego lśniące oczy napełniły umysł Covella przyjemnym światłem. – O nie, generale – powtórzył łagodnie. – Prawdziwa potęga to świadomość, że w twoich rękach spoczywa czyjeś życie. I zdolność do kierowania jego losem, jego myślami i uczuciami. Możliwość władania czyimś

życiem… i decydowania o jego śmierci. – Powolnym, teatralnym gestem wyciągnął przed siebie dłoń zwróconą wnętrzem do góry. – Panowanie nad czyjąś duszą.

– To coś, czego nie rozumiał do końca nawet sam Imperator – przypomniał mu Covell i po jego umyśle rozlała się kolejna fala błogości. Tak miło było patrzeć, jak mistrz czerpie przyjemność ze swojej gry!

– Nawet Imperator – zgodził się z nim C'baoth, wpatrzony nieobecnym wzrokiem w przestrzeń i błądzący myślami gdzieś daleko. – On, podobnie jak wielki admirał, postrzegał potęgę jedynie jako zwiększanie zakresu swojej władzy. I właśnie to go zniszczyło. Dokonało się to, przed czym mógłbym go przestrzec. Bo gdyby naprawdę miał władzę nad Vaderem… – Pokręcił głową. – Pod wieloma względami był głupcem. Jednak może nie miał wpływu na swoje przeznaczenie? Być może taka była wola wszechświata, abym to ja, i tylko ja, posiadł tę wiedzę i zrozumienie… Bo tylko ja mam zarówno siłę, jak i chęć, by po tę potęgę sięgnąć… i ją utrzymać. Jako pierwszy… ale nie ostatni.

Covell pokiwał głową, przełykając ślinę, żeby zwilżyć wyschnięte gardło. To nie było zbyt przyjemne uczucie, gdy C'baoth go w ten sposób porzucał – nawet jeśli zostawiał go tylko na krótko. A szczególnie gdy towarzyszyło temu to dziwne poczucie osamotnienia…

Ale oczywiście mistrz doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

– Boli pana moja samotność, generale Covell? – spytał, ogrzewając umysł mężczyzny kolejnym ciepłym uśmiechem. – Ach, oczywiście, że tak. Proszę jednak być cierpliwym. Nadejdzie czas, gdy będzie nas wielu. A kiedy tak się stanie… nigdy nie będziemy już samotni. Proszę patrzeć.

Generał poczuł odległą, przytłumioną obecność innych osób – podobnie jak wyczuwał ją ostatnio – przefiltrowaną, skupioną i wzmocnioną przez idealny umysł mistrza.

– Widzi pan? Miałem rację – dodał C'baoth, wysnuwając wici Mocy, aby zbadać tę obecność. – Są tam oboje, Skywalker i Jade. – Uśmiechnął się do wojskowego. – Oni będą pierwsi, generale Covell, będą pierwszymi z naszych wielu. Przyjdą do mnie, a gdy ukażę im

prawdziwą potęgę, zrozumieją i dołączą do nas. – Wzrok dziwnie mu się zamglił. – Jade, jak sądzę, będzie pierwsza – dodał w zamyśleniu. – Skywalker już raz mi się oparł i zrobi to powtórnie, jednak klucz do jego duszy już czeka na mnie we wnętrzu tej góry. Ale Jade… o, to zupełnie inna sprawa. Widziałem ją podczas moich medytacji, widziałem, jak przychodzi do mnie i klęka u moich stóp. Będzie moja… a Skywalker tuż po niej. W ten lub inny sposób. – Uśmiechnął się ponownie.

Covell odwzajemnił uśmiech, zadowolony z ukontentowania mistrza oraz pokrzepiony myślą o innych, którzy już wkrótce będą ogrzewali jego umysł.

I nagle, bez ostrzeżenia, wszystko spowił mrok. Nie była to samotność – nie taka, jaką znał, tylko coś w rodzaju… pustki?

Chwilę później poczuł, jak ktoś szarpnięciem podrywa jego głowę do góry, trzymając go za podbródek. Przed nim stał C'baoth, zaglądając mu w oczy.

– Generale Covell! – zadudnił mu w uszach głos mistrza. To dudnienie również było dziwne. Covell słyszał słowa, jednak były one dziwnie nierzeczywiste, a w każdym razie brzmiały inaczej, niż powinny. – Czy słyszy mnie pan?

– Słyszę – potwierdził oficer. Jego własny głos również brzmiał w jego uszach osobliwie. Spojrzał nad ramieniem C'baotha na wielce zajmujący wzór linii na grodzi promu.Czuł, że zaczyna dygotać.

– Proszę na mnie spojrzeć! – zażądał C'baoth.

Covell go posłuchał. To również było bardzo dziwne, bo widział mistrza, podczas gdy tak naprawdę wcale go tu przecież nie było.

– Czy wciąż tu jesteś?

W twarzy mistrza coś się zmieniło. Pojawił się na niej… uśmiech? Tak, chyba tak się to nazywało.

– Tak, generale, jestem tu – potwierdził odległy głos. – Nie dotykam już pańskiego umysłu, jednak wciąż jestem pańskim mistrzem. Będzie mi pan nadal posłuszny.

„Posłuszny? Cóż za dziwna koncepcja – pomyślał Covell. – Sprzeczna z naturalnymi odruchami".

– Posłuszny?

– Będzie pan robił to, co panu każę – wyjaśnił C'baoth. – Będę podpowiadał, co ma pan mówić, a pan będzie powtarzał każde moje słowo.

– Dobrze – powiedział Covell. – Czy jeśli to zrobię, wrócisz?

– Wrócę – obiecał mu mistrz. – Mimo zdrady wielkiego admirała Thrawna. Dzięki pańskiemu posłuszeństwu… Jeśli będzie pan robił to, co mu każę, wspólnie zemścimy się za jego zdradę. A wówczas nic nas już nigdy nie rozdzieli.

– I pustka zniknie?

– O tak, ale stanie się tak tylko wtedy, gdy będzie pan robił to, co panu rozkażę.

Nieco później zjawili się inni. C'baoth przez cały czas był u jego boku, a generał mówił na głos słowa, które mistrz mu podpowiadał. Poszli gdzieś razem, później wyszli inni, a po nich zniknął również i mistrz.

Covell patrzył w ślad za nimi, obserwując wzory i nasłuchując otaczającej go pustki. W końcu zasnął.

W oddali rozbrzmiał osobliwy ptasi trel i wszelkie odgłosy lasu – brzęczenie i poćwierkiwanie owadów oraz szeleszczenie buszujących w okolicy zwierząt – ucichły jak nożem uciął. Najwyraźniej jednak zagrożenie nie było bezpośrednie, bo minutę później nocna aktywność powróciła wraz z całym bogactwem towarzyszących jej dźwięków. Zmieniając pozycję pod pniem drzewa, o który opierała się plecami, Mara spróbowała rozluźnić napięte mięśnie grzbietu i westchnęła w duchu: wiele by dała, żeby było już po wszystkim…

– Nie musisz czuwać – rozbrzmiał nad jej ramieniem cichy noghryjski głos. – Będziemy pełnili straż.

– Dzięki – rzuciła krótko. – Jeśli nie zrobi to wam różnicy, będę jednak robiła to, co do mnie należy.

Noghri przez chwilę milczał.

– Wciąż nam nie ufasz, prawda?

Jeśli chodzi o ścisłość, to właściwie specjalnie się nad tym nie zastanawiała.

– Skywalker wam ufa – odpowiedziała wymijająco. – Czy to nie wystarczy?

– Nie szukamy aprobaty – powiedział Noghri. – Chcemy mieć tylko szansę na spłacenie naszego długu.

Wzruszyła ramionami. Chronili ich, uporali się z trudnym zadaniem nawiązania pierwszego kontaktu z tubylcami – i to z obu ras – a teraz strzegli ponownie ich obozu.

– Jeśli to dług wobec Nowej Republiki, to trzeba przyznać, że świetnie wam to wychodzi – przyznała. – W końcu się zorientowaliście, że Thrawn i Imperium od początku wodzili was za nos?

Zanim nadeszła odpowiedź, rozległ się cichy szczęk kłapnięcia zębatą paszczą.

– Wiedziałaś o tym – padło raczej stwierdzenie, a nie pytanie.

– Słyszałam plotki – przyznała. Dopiero teraz dotarło do niej, na jak grząski grunt wkroczyła, jednak niezbyt się tym przejmowała. – Bardziej coś na kształt żartów. Nigdy nie wiedziałam, ile w nich prawdy.

– Najprawdopodobniej była to prawda od początku do końca – powiedział spokojnie Noghri. – O tak. Wiem, jak nasze życie i śmierć mogły bawić tych, którzy nas zniewolili. My jednak udowodnimy im, że to był błąd.

Żadnego palącego gniewu, fanatycznej nienawiści, tylko prosta, zimna determinacja. Nie istniało nic bardziej niebezpiecznego.

– Jak zamierzacie tego dokonać? – spytała.

– Gdy nadejdzie odpowiednia pora, Noghri zwrócą się przeciwko tym, którzy ich zniewolili. Niektórzy na światach podbitych przez Imperium, inni na pokładach jego statków. Tutaj zaś przybędzie pięć grup.

– Wiedzieliście o Waylandzie? – Mara zmarszczyła czoło.

– Nie, dopóki nas tu nie przywiodłaś – wyjaśnił. – Teraz jednak wiemy. Wysłaliśmy współrzędne planety tym, którzy czekają na Coruscant. W tej chwili powinni już rozesłać wici pośród reszty.

– Pokładacie w nas sporo wiary, co? – Mara parsknęła cicho.

– Nasze misje się zazębiają – poinformował ją Noghri. Jakimś cudem jego chrapliwe miauczenie zabrzmiało jeszcze bardziej

złowróżbnie niż wcześniej. – Postawiliście sobie za zadanie zniszczenie fabryki klonów. Nie wątpimy, że uda wam się tego dokonać z pomocą syna Vadera. My, Noghri, obraliśmy sobie za cel usunięcie z Waylanda ostatnich śladów bytności Imperatora.

Być może ostatnich śladów jego istnienia w całej galaktyce. Mara rozważała przez chwilę jego słowa w myśli, zastanawiając się nad tym, dlaczego nie wywołują one w niej uczuć żalu czy gniewu. Może była po prostu zmęczona?

– Brzmi ambitnie – stwierdziła w końcu. – A kim jest ten syn Vadera, który ma się tu niby zjawić i nam pomóc?

Przez chwilę Noghri milczał.

– Syn Vadera jest już z nami – wyznał wreszcie i w jego głosie brzmiało dziwne zaskoczenie. – Służysz mu, podobnie jak i my.

Mara wpatrywała się w niego w mroku… i nagle poczuła, że serce zamiera jej w piersi.

– Masz na myśli… Skywalkera?

– Nie wiedziałaś?

Jade odwróciła się od niego, spoglądając na postać śpiącą zaledwie kilka metrów od niej. Ogarnęło ją dziwne odrętwienie. Nagle, niespodziewanie, po wszystkich tych latach ostatni z nieuchwytnych elementów układanki wskoczył na swoje miejsce. Imperator nie chciał, by zabiła Skywalkera z powodu czegoś, co ten zrobił. To miał być jego ostateczny akt zemsty na jego ojcu…

MASZ ZABIĆ LUKE'A SKYWALKERA!

W ciągu zaledwie kilku uderzeń serca wszystko, w co wierzyła, wszystkie jej przekonania – nienawiść, poczucie misji, całej jej życie – z systemu schludnie uporządkowanych pewników zmieniło się w chaos i niepewność.

MASZ ZABIĆ LUKE'A SKYWALKERA! MASZ ZABIĆ LUKE'A SKYWALKERA! MASZ ZABIĆ LUKE'A SKYWALKERA!

– Nie – wycedziła przez zaciśnięte zęby, odpowiadając głosowi rozbrzmiewającemu w jej głowie. – Nie w ten sposób. To będzie moja decyzja. To muszą być moje powody!

Jednak głos wciąż dźwięczał w jej uszach. Być może teraz podsycały go jej opór i bunt… a może po prostu to zwiększenie

kontroli nad Mocą, uzyskane dzięki Skywalkerowi w ciągu kilku ostatnich dni, uczyniły ją bardziej na niego wyczuloną?

MASZ ZABIĆ LUKE'A SKYWALKERA! MASZ ZABIĆ LUKE'A SKYWALKERA!

„Ale z tobą, Maro Jade, to zupełnie inna sprawa…".

Szarpnęła głową, uderzając potylicą w pień drzewa, o które się opierała. To był inny głos – jednak nie dobiegał z jej wnętrza. Dochodził z…

„Widziałem cię podczas moich medytacji – podjął głos spokojnie. – Widziałem, jak przychodzisz do mnie i klękasz u moich stóp. Będziesz moja… a Skywalker będzie po tobie. W ten lub inny sposób".

Potrząsnęła zdecydowanie głową, próbując odsunąć od siebie te słowa i myśli. Ten drugi głos… czy to był śmiech? Nagle jednak słowa i śmiech zniknęły, zastąpione niejasnym, ale uporczywym naciskiem na jej umysł. Zacisnąwszy zęby, spróbowała mu się oprzeć. Odpowiedział jej ponownie stłumiony śmiech, drwiący z jej żałosnych prób… i nagle, z impetem, który niemal zaparł jej dech w piersiach, ucisk zniknął.

– Wszystko w porządku? – spytał cicho Skywalker.

Spojrzała na niego. Leżał w pobliżu, wsparty na łokciu, przyglądając jej się w ciemności.

– Czy ty także to słyszałeś? – odpowiedziała pytaniem.

– Nie słyszałem słów. Ale poczułem nacisk.

Podniosła wzrok na korony drzew nad ich głowami.

– To C'baoth – powiedziała. – Jest tutaj.

– Tak – potwierdził Luke.

W jego głosie słyszała echo lęku. Nic dziwnego, miał już raz okazję stawić czoła C'baothowi na Jomarku, i niemal mu uległ.

– No to… co teraz? – spytała, ocierając drżącą dłonią pot z okolicy ust. – Przerywamy misję?

– Teraz? – Luke wzruszył ramionami. – Od góry dzieli nas tylko kilka dni marszu. Powrót na pokład „Sokoła" zająłby nam znacznie dłużej.

– Tyle tylko, że teraz Imperium wie już o naszej obecności.

– Możliwe – powiedział z namysłem. – Ale niekoniecznie musi tak być. Czy ty również poczułaś, że kontakt urwał się niespodziewanie?

Zmarszczyła czoło. Nagle to do niej dotarło:

– Sądzisz, że otoczyli go isalamirami?

– Albo założyli mu stelaż podobny do tego, który miałaś ze sobą na Jomarku – odparł Skywalker. – Tak czy inaczej, sugerowałoby to, że jest więźniem.

Zastanawiała się nad tym przez chwilę. Gdyby rzeczywiście tak było, informowanie Imperium, że intruzi zbliżają się do góry, nie leżałoby w interesie starca.

Spojrzała ostro na Jedi, gdy do głowy przyszła jej inna myśl.

– Czy wiedziałeś, że C'baoth tu się zjawi? – spytała ostro. – Czy to dlatego chciałeś, żebym powtórzyła sobie elementy szkolenia Jedi?

– Nie wiedziałem, że tu przybędzie – zapewnił ją. – Wiedziałem tyle, że prędzej czy później będziemy musieli ponownie się z nim zmierzyć. Sam to powiedział na Jomarku.

Mara zadrżała. „Klękniesz u moich stóp…".

– Nie chcę go ponownie spotkać, Skywalker.

– Ja również – odpowiedział cicho. – Ale chyba nie mamy innego wyjścia. – Westchnął, po czym bezszelestnie wstał z posłania. – Chodź, prześpij się – powiedział, podchodząc do niej. – Ja i tak już teraz nie zasnę, a ty przyjęłaś na siebie większość impetu tego mentalnego ataku.

– W porządku – bąknęła, zbyt zmęczona, by się z nim wykłócać. – Gdybyś potrzebował pomocy, zawołaj tylko.

– Jasne.

Mara minęła Calrissiana i Wookieego i wpełzła na swoje posłanie. Ostatnią rzeczą, którą zapamiętała, nim miłosiernie upomniał się o nią sen, był nieznoszący sprzeciwu głos z tyłu głowy, rozkazujący jej: *MASZ ZABIĆ LUKE'A SKYWALKERA!*

Rozdział 22

Raport z góry Tantiss nadszedł w nocy i czekał już na Pellaeona, gdy ten zjawił się rankiem na mostku. „Draklor” dotarł na Wayland mniej więcej planowo, sześć godzin wcześniej. Zostawił na planecie pasażerów i opuścił układ, kierując się zgodnie z rozkazami na Valrar. Generał Covell odmówił przejęcia dowodzenia w bazie, do świtu czasu lokalnego…

Pellaeon zmarszczył brwi. Odmówił przejęcia dowodzenia? To było niepodobne do Covella…

– Kapitanie Pellaeon? – zawołał oficer łączności. – Sir, mamy holotransmisję od pułkownika Selida z Waylanda. Oznaczona jako pilna.

– Proszę przekierować ją do rufowego modułu holograficznego na mostku – poinstruował go Pellaeon, wstając od stanowiska dowodzenia i kierując się na tyły pomieszczenia. – I poinformować wielkiego admirała, że… Ach, mniejsza o to – zmienił zdanie, gdy w oddali dostrzegł Thrawna i Rukha wchodzących po schodach.

Wielki admirał również go zobaczył.

– Co się stało, kapitanie?

– Otrzymaliśmy pilną wiadomość z Waylanda, sir – zameldował Pellaeon, wskazując na moduł holograficzny.

W powietrzu majaczył już lśniący wizerunek imperialnego oficera i nawet na pomniejszonym do jednej czwartej naturalnej wielkości hologramie widać było wyraźnie, że młody mężczyzna jest podenerwowany.

– To pewnie sprawka C’baotha – stwierdził ponuro admirał. Gdy zajęli pozycje przed modułem, Thrawn kiwnął głową. – Pułkowniku Selid, tu wielki admirał Thrawn. Proszę o meldunek.

– Sir – bąknął stojący na baczność Selid i wyprężył się jeszcze mocniej. – Z przykrością muszę poinformować… o nagłej śmierci generała Covella.

Pellaeon poczuł, że ze zdumienia rozdziawia usta.

– Ale… jak? – wykrztusił.

– Nie wiemy jeszcze, co się stało, sir – wyjaśnił Selid. – Wszystko wskazuje na to, że zmarł we śnie. Zespół medyczny wciąż przeprowadza sekcję zwłok, jednak jak do tej pory byli w stanie stwierdzić jedynie tyle, że… znaczne obszary w mózgu generała po prostu… przestały funkcjonować.

– Tkanka mózgowa nie przestaje funkcjonować ot tak, pułkowniku – zauważył Thrawn. – Musi być ku temu jakaś przyczyna.

– Tak jest, sir. – Selidowi zrzedła mina. – Przepraszam, sir. Nie o to mi chodziło…

– Wiem – zapewnił go wielki admirał. – Co z resztą pasażerów?

– Zespół medyczny wciąż ich bada – zameldował Selid. – Jak dotąd nie zarejestrowano nic niepokojącego. Procedurom poddawani są wszyscy obecni w garnizonie. Żołnierze generała Covella… oddziały, które przybyły z nim na pokładzie „Draklora”, zostały już oddelegowane na pozycje na zewnątrz góry, gdy nagle zmarł.

– Słucham? Wszystkie oddziały? – spytał Pellaeon. – Ale… w jakim celu?

– Nie wiem, sir – zgłosił potulnie Selid. – To generał Covell wydał ten rozkaz. To znaczy po naradzie. Nim zmarł…

– Może lepiej proszę opowiedzieć wszystko od początku, pułkowniku – wszedł mu w słowo Thrawn. – Zamieniam się w słuch.

– Tak jest, sir. – Selid wziął się w garść. – Prom z generałem Covellem i jego ludźmi na pokładzie wylądował jakieś sześć godzin temu. Próbowałem przekazać mu dowodzenie w garnizonie, jednak odmówił. Następnie zaczął nalegać na zorganizowanie prywatnego spotkania ze swoimi żołnierzami w jednej z mes oficerskich.

– Z którymi dokładnie? – spytał Thrawn. – Z całym garnizonem?

– Nie, sir, tylko z tymi, którzy towarzyszyli mu na pokładzie „Draklora”. Twierdził, że musi im wydać, cytuję, „rozkazy specjalne”.

Pellaeon zerknął na Thrawna.

– Myślałby kto, że miał na to mnóstwo czasu podczas podróży…

– Owszem – zgodził się z nim wielki admirał. – Można by tak pomyśleć.

– Może to był pomysł C'baotha, sir? – podsunął Selid. – Towarzyszył generałowi od chwili, gdy wysiedli z promu. Cały czas coś do niego… mamrotał.

– Och, czyżby? – mruknął z namysłem Thrawn. Głos miał spokojny, jednak podszyty jakąś ledwie wyczuwalną groźbą, od której Pellaeona aż przeszły ciarki. – Gdzie przebywa obecnie mistrz C'baoth?

– Jest w dawnych apartamentach Imperatora – doniósł Selid. – Generał Covell prosił, by mu je udostępnić.

– Czy jest tam poza wpływem isalamirów? – spytał cicho Pellaeon.

– Wątpię. – Thrawn pokręcił głową. – Z moich kalkulacji wynika, że cała góra, a także część otoczenia powinny być objęte odporną na działanie Mocy bańką. Co wydarzyło się później, pułkowniku?

– Generał spędził na rozmowach z żołnierzami jakiś kwadrans – wyjaśnił Selid. – Gdy zakończył spotkanie, poinformował mnie, że przekazał im tajne rozkazy, które otrzymał bezpośrednio od pana, admirale, i że… mam się nie wtrącać.

– A potem oddziały opuściły górę?

– Po pobraniu sprzętu polowego oraz ładunków wybuchowych z jednego z magazynów – powiedział Selid. – Nim wyruszyli, spędzili na terenie garnizonu jeszcze kilka godzin. Zaznajamiając się z planami bazy, jak poinformował mnie generał. Gdy się rozproszyli, C'baoth odprowadził generała do jego kwater, po czym w eskorcie dwóch moich szturmowców udał się do apartamentów. Dopilnowałem, by reszta garnizonu przeszła standardowo w tryb nocny, i… to wszystko. Aż do rana, gdy znaleziono ciało generała.

– A więc C'baotha nie było przy Covellu w chwili jego śmierci? – spytał Thrawn.

– Nie, sir – potwierdził pułkownik. – Choć medycy są zdania, że generał zmarł wkrótce po tym, jak rozstał się z C'baothem.

– Do tego czasu jednak mistrz Jedi był wciąż w jego pobliżu?

– Tak jest, sir.

Pellaeon zerknął spod oka na Thrawna. Wielki admirał wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w przestrzeń, mrużąc czerwone oczy.

– Proszę mi powiedzieć, pułkowniku, jakie wrażenie zrobił na panu generał Covell?

– Cóż… – Selid przez chwilę się wahał. – Muszę przyznać, że byłem odrobinę… rozczarowany, sir.

– Tak?

– Po prostu… jeśli mam być szczery, spodziewałem się po nim czego innego – bąknął Selid z wyraźnym zakłopotaniem. Pellaeon wcale mu się nie dziwił. Otwarte krytykowanie jednego starszego stopniem oficera w obecności drugiego stanowiło poważne naruszenie wojskowej etykiety. Szczególnie gdy w grę wchodziły dwa różne rodzaje sił zbrojnych. – Wydawał się… powiedziałbym, nieobecny duchem, sir. Zasugerował, że nie radzę sobie z utrzymaniem odpowiedniego poziomu bezpieczeństwa w bazie, i poinformował mnie, że planuje wprowadzić do systemu poważne zmiany, jednak nie chciał mi powiedzieć, o co dokładnie mu chodzi. Jeśli mam być szczery, to nie był zbyt wylewny, gdy się zjawił. I nie mam tu na myśli jedynie mnie. Zbywał wszystkich oficerów, którzy próbowali z nim rozmawiać. Oczywiście nie można go za to winić, nie mówiąc już o tym, że prawdopodobnie był po prostu zmęczony. Jednak… nie pasowało mi to zupełnie do człowieka z jego reputacją.

– Ma pan rację, to było do niego niepodobne – zgodził się z nim Thrawn. – Czy moduł holograficzny w dawnej sali tronowej Imperatora nadal działa, pułkowniku?

– Tak jest, sir. Choć nie jestem pewien, czy C’baoth przebywa obecnie właśnie tam…

– Przebywa – zapewnił go chłodno wielki admirał. – Proszę mnie z nim połączyć.

– Tak jest, sir.

Obraz Selida zniknął, zastąpiony sygnałem oczekiwania na połączenie.

– Czy sądzi pan, że C’baoth… zrobił coś Covellowi? – spytał cicho Pellaeon.

– Nie widzę innego wytłumaczenia – wyznał Thrawn. – Sądzę, że nasz czcigodny mistrz Jedi starał się przejąć kontrolę nad umysłem Covella, a może nawet zastąpić go częściowo własnym. Gdy jednak znaleźli się pod wpływem isalamirów, utracił bezpośredni kontakt, a generał nie miał nad sobą wystarczającej kontroli, by utrzymać się długo przy życiu.

– Rozumiem. – Kapitan odwrócił głowę, ogarnięty palącym gniewem. Ostrzegał Thrawna przed tym, do czego jest zdolny C'baoth. Powtarzał mu to raz za razem. – Jakie kroki podejmie pan w tej sytuacji?

Symbol przerwy w połączeniu zniknął, nim wielki admirał zdążył mu udzielić odpowiedzi. Gdy jednak obraz znów się pojawił, nie była to pomniejszona do jednej czwartej sylwetka rozmówcy, tak jak w wypadku Selida. Zamiast tego w powietrzu pojawiło się powiększone wielokrotnie oblicze C'baotha. Na jego widok Pellaeon cofnął się mimowolnie o krok.

Thrawn nawet nie drgnął.

– Dzień dobry, mistrzu C'baoth – powiedział głosem gładkim jak tafla jeziora w bezwietrzny dzień. – Widzę, że zapoznałeś się z prywatnymi ustawieniami modułu holograficznego Imperatora?

– Wielki admirał Thrawn – rzucił C'baoth zimnym, ociekającym wręcz arogancją tonem. – Czy właśnie tak nagradza mnie pan za trud włożony w realizację pańskich planów? Zdradą?

– Jeśli ktoś tu dopuścił się zdrady, to ty, mistrzu – stwierdził Thrawn. – Co zrobiłeś generałowi Covellowi?

– Mocy nie można zdradzić tak łatwo, jak się panu zdaje – odparł C'baoth, ignorując jego pytanie. – Nigdy o tym nie zapominaj, wielki admirale. Mój upadek będzie oznaczał pański koniec. Przewidziałem to. – Zamilkł, popatrując gniewnie to na admirała, to na kapitana.

Przez kilka uderzeń serca Thrawn milczał.

– Czy już skończyłeś? – spytał wreszcie.

C'baoth zmarszczył czoło, a na jego powiększonej do monstrualnych rozmiarów twarzy zagościły pierwsze oznaki niepewności i nerwowości. Mimo całego onieśmielającego wrażenia, jakie wywierał obraz transmitowany za pośrednictwem prywatnych

urządzeń holograficznych Imperatora, system ten miał też swoje wady.

– Chwilowo… tak – odparł C'baoth. – Czy ma pan jakieś nędzne wymówki na swoją obronę?

– Nie mam się z czego tłumaczyć, mistrzu C'baoth – odpowiedział Thrawn. – To ty upierałeś się, by dostarczyć cię na Wayland. A teraz powtarzam: chciałbym wiedzieć, co zrobiłeś generałowi Covellowi.

– Najpierw przywrócisz mi Moc.

– Isalamiry zostaną tam, gdzie były – stwierdził spokojnie Thrawn. – Powiedz mi, co zrobiłeś Covellowi.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. C'baoth złamał się pierwszy i przez moment wydawało się, że się wycofa. Po chwili jednak starzec podniósł dumnie podbródek, ponownie wcielając się w rolę aroganckiego mistrza Jedi.

– Generał Covell należał do mnie i mogłem z nim zrobić to, co uznałem za stosowne – oświadczył butnie. – Podobnie jak uczynię to ze wszystkim w moim Imperium.

– Dziękuję – powiedział Thrawn. – To wszystko, co chciałem wiedzieć. Pułkowniku Selid?

Potężne oblicze zniknęło, zastąpione przez pomniejszony do jednej czwartej obraz Selida.

– Tak, admirale?

– Oto moje rozkazy, pułkowniku – poinformował go Thrawn. – Przede wszystkim niniejszym nakładam areszt na mistrza C'baotha. Może poruszać się swobodnie po terenie apartamentów Imperatora i jego sali tronowej, jednak nie może ich opuszczać. Oczywiście proszę zadbać o odcięcie dostępu do wszelkich systemów kontrolnych na tych piętrach. Po drugie, proszę wszcząć śledztwo mające na celu ustalenie, gdzie dokładnie wewnątrz góry widziano żołnierzy generała Covella, nim opuścili garnizon.

– Ale… dlaczego nie mielibyśmy zapytać o to samych żołnierzy, sir? – spytał Selid. – Prawdopodobnie mają przy sobie komunikatory.

– Bo nie jestem pewien, czy będzie można dać wiarę ich odpowiedziom – wyjaśnił Thrawn. – Co wiąże się z moim trzecim

poleceniem: żaden z żołnierzy, którzy opuścili górę z rozkazu generała Covella, nie może zostać wpuszczony z powrotem do bazy.

– Sir? – Selid wyglądał na wstrząśniętego.

– Dobrze pan słyszał – zapewnił go Thrawn. – Za kilka dni zjawi się po nich nowy transport. Wówczas zostaną podjęci i zabrani z planety. Pod żadnym względem nie wolno ich jednak wpuszczać do skarbca.

– Tak jest… sir – zająknął się Selid. – Ale… sir? Co mam im powiedzieć?

– Może im pan powiedzieć prawdę – rzucił cicho Thrawn. – Że rozkazy, które przyjęli, nie pochodziły od generała Covella, a już na pewno nie ode mnie, ale od zdrajcy Imperium. Do czasu aż wywiad rozezna się w szczegółach tego, co się wydarzyło, cała grupa zostanie uznana za winną nieświadomego udziału w zdradzie.

Gdy skończył, wydawało się, że ostatnie słowo przez chwilę wisi w powietrzu, nabrzmiałe znaczeniem.

– Rozumiem, sir – powiedział wreszcie Selid.

– Doskonale – skwitował Thrawn. – Oczywiście zostaje pan przywrócony do funkcji dowódcy garnizonu. Jakieś pytania?

– Nie, sir. – Selid wyprężył się służbiście.

– Świetnie. W takim razie proszę wrócić do swoich obowiązków, pułkowniku. Bez odbioru.

Holograficzna postać zniknęła.

– Czy sądzi pan, że bezpiecznie jest zostawiać tam C’baotha, sir? – spytał Pellaeon.

– W Imperium nie ma bezpieczniejszego miejsca – zapewnił go wielki admirał. – A przynajmniej jeszcze nie.

– Nie rozumiem… – Pellaeon zmarszczył czoło.

– Użyteczność naszego mistrza Jedi dla Imperium gwałtownie dobiega końca, kapitanie – dodał Thrawn, odwracając się na pięcie i przechodząc łukowato sklepionym przejściem do głównej części mostka. – Wciąż jednak ma do odegrania jedną, ostatnią rolę w naszym długoterminowym planie umocnienia władzy. – Zatrzymał się na rufowym krańcu kładki dowodzenia. – C’baoth jest szalony, co do tego nie ma wątpliwości. Jednak jego szaleństwo tkwi w umyśle, nie w ciele.

– Sugeruje pan, że powinniśmy go sklonować? – Pellaeon przyglądał mu się z niepewną miną.

– A dlaczegóż by nie? – odpowiedział pytaniem wielki admirał. – Oczywiście nie wewnątrz góry Tantiss, zważywszy na panujące tam warunki. I z dużym prawdopodobieństwem w innym tempie niż to, jakie umożliwia ta placówka. Takie rozwiązanie dobrze się sprawdza w wypadku hodowania techników i pilotów myśliwców TIE, jednak nie jest wskazane przy realizacji projektu tak newralgicznego. O nie, myślę raczej o doprowadzeniu klona do wieku dziecięcego, aby następnie pozwolić mu dojrzewać w normalnym tempie przez co najmniej dziesięć lub piętnaście lat. Oczywiście w odpowiednich warunkach wychowawczych…

– Rozumiem – powiedział Pellaeon, z trudem panując nad głosem. Młody C'baoth… czy może raczej dwóch, dziesięciu albo nawet dwudziestu takich C'baothów pałętających się po galaktyce? Cóż, będzie potrzebował czasu, by oswoić się z tą myślą. – Gdzie chciałby pan stworzyć ten drugi ośrodek klonowania?

– W jakimś bezwarunkowo bezpiecznym miejscu, naturalnie – odparł Thrawn. – Być może na jednym ze światów w Nieznanych Regionach, gdzie niegdyś służyłem pod rozkazami Imperatora? Proszę polecić wywiadowi rozpoczęcie poszukiwań odpowiedniej lokalizacji, gdy już rozgromimy rebeliantów nad Bilbringi.

Pellaeonowi drgnęła warga. No właśnie, ten niebezpiecznie ulotny atak na Bilbringi. Przy całej tej aferze z C'baothem zupełnie zapomniał o ich głównym dzisiejszym problemie. Czy może raczej o swoich obawach związanych z tą akcją.

– Tak jest, sir. Admirale… jestem zmuszony przypomnieć panu, że wszelkie dowody nadal wskazują Tangrene jako najbardziej prawdopodobny cel ataku…

– Jestem tego świadom, kapitanie – zapewnił go Thrawn. – Mimo to będą w układzie Bilbringi, może mi pan wierzyć. – Omiótł leniwym spojrzeniem mostek. Czujnym, czerwonym oczom nie mógł umknąć najmniejszy szczegół, a członkowie załogi doskonale o tym wiedzieli. Przy każdym stanowisku, od wnęki dla obsady aż po boczne konsole, oficerowie i technicy dwoili się i troili, świadomi tego, że ich dowódca obserwuje ich i że zadowolą go tylko najlepsze

wyniki. – Podobnie jak i my – dodał po chwili milczenia. – Proszę obrać kurs na Bilbringi, kapitanie. I poczynić wszelkie przygotowania do spotkania z naszymi gośćmi.

Wedge wychylił do dna swój napitek i odstawił kubek na pokiereszowany, poplamiony blat drewnianego stolika, rozglądając się po kantynie Mumbri Storve. Było tu już tłoczno, gdy on, Janson i Hobbie zjawili się tu godzinę temu, jednak od tego czasu w składzie gości zaszły pewne zmiany. Większość młodych klientów zniknęła – wyszli grupami albo parami – a zastąpili ich starsi i zdecydowanie bardziej szemrani goście. Do środka wciąż napływały fale nowych mętów, co oznaczało, że nadeszła pora, by się stąd zmyć.

Jego koledzy z Eskadry Łotrów również o tym wiedzieli.

– Czas się zwijać – zasugerował Hobbie.

Wedge ledwie słyszał jego głos wśród gwaru rozmów.

– Chyba tak. – Kiwnął głową, wstając i szperając w kieszeni w poszukiwaniu monety, która pokryłaby koszt ostatniej kolejki. Kieszeni cywilnych ciuchów – w których czuł się bardzo, ale to bardzo nieswojo. Zdawał sobie jednak sprawę, że raczej nie wyszłoby im na dobre włóczenie się po mieście w mundurach Nowej Republiki, w dodatku obszytych charakterystycznymi naszywkami Eskadry Łotrów.

Znalazł właściwy nominał i rzucił monetę na środek stołu, podczas gdy jego koledzy również wstali.

– Dokąd teraz? – spytał Janson, garbiąc się lekko, aby rozciągnąć zastałe mięśnie pleców.

– Chyba powinniśmy wracać do bazy – westchnął Antilles.

– I dobrze – mruknął Janson. – I tak do rana zostało już wystarczająco mało czasu.

Wedge pokiwał głową i odwrócił się w stronę wyjścia. Oczywiście nie miało właściwie znaczenia, o której zacznie dnieć – na długo przed świtem będą musieli opuścić planetę i wyruszyć do wyznaczonego punktu zbornego w okolicach stoczni Bilbringi.

Kluczyli między stolikami, gdy w pewnym momencie wysoki, chudy człowiek siedzący przy jednym z nich odsunął swoje krzesło niemal wprost pod kolana Wedge'a i podniósł się z niego chwiejnie.

– Uważaj no! – wybełkotał. Na wpół odwrócił się w stronę pilota i zarzucił mu rękę na barki, uwieszając się na nim całym ciężarem.

– Hola! Spokojnie, przyjacielu! – mruknął Antilles, próbując odzyskać równowagę. Kątem oka zobaczył, jak Janson zachodzi mężczyznę z drugiej strony, żeby go podtrzymać…

– „Spokojnie" to dobre słowo – wymamrotał dryblas. Bełkot zniknął nagle bez śladu, a jego ręka zacisnęła się mocniej wokół ramion Wedge'a. – A teraz cała czwórka, spokojnie i ostrożnie pomóżcie biednemu ochlejusowi stąd wyjść…

Wedge zamarł. Namierzeni, osaczeni i uziemieni… W czasie krótszym niż ten, którego X-wing potrzebowałby do wykonania beczki, zwykły wieczór na mieście zmienił się nagle w poważne kłopoty. W sytuacji, gdy on i Janson mieli zajęte ręce, tylko Hobbie mógłby swobodnie sięgnąć po broń. A gość, który ich trzymał w szachu, z pewnością nie zapomniał o zapewnieniu sobie w pobliżu wsparcia.

Dryblas najwyraźniej wyczuł niepokój pilota, bo zganił go cicho:

– Hej! Mówiłem serio z tym „spokojnie"! Nie pamiętasz mnie?

Antilles przyjrzał się niepewnie twarzy człowieka, z którym stał niemal nos w nos. Nie wyglądała znajomo, jednak z drugiej strony z takiej odległości pilot nie rozpoznałby pewnie własnej matki.

– A powinienem? – odmruknął.

– Wypadałoby – stwierdził urażonym tonem dryblas, zataczając się dla zachowania pozorów. – Jeśli lecisz z kimś rozwalić gwiezdny niszczyciel, to ten ktoś chyba powinien cię zapamiętać, co? Szczególnie jeśli odbyło się to na jakimś galaktycznym zadupiu.

Wedge zmarszczył mocniej czoło, podświadomie rejestrując, że całą grupą podjęli marsz w stronę wyjścia. „Galaktyczne zadupie"?

I nagle go olśniło: Flota Katańska i ludzie Talona Karrde'a zjawiający się znikąd, aby pomóc im w walce z Imperium… A potem pospieszna i pobieżna prezentacja na pokładzie krążownika gwiezdnego…

– Aves? – spytał niepewnie.

– No widzisz? Wcale nie było to takie trudne – stwierdził z aprobatą dryblas. – Wystarczyło trochę wysilić mózgownicę. No to idziemy, spokojnie i ostrożnie, nie ściągając przy tym na siebie więcej uwagi, niż to konieczne…

W zaistniałej sytuacji Wedge nie miał w innej możliwości, jak tylko posłuchać, ale idąc w stronę wyjścia, nie przestawał strzelać oczami na boki w poszukiwaniu czegoś, co pomogłoby im wybrnąć z opresji, na wypadek gdyby rzeczywiście wpakowali się w kłopoty. Karrde i jego ludzie rzekomo zgodzili się dostarczać Nowej Republice informacje, jednak taka deklaracja nie była jednoznaczna z opowiedzeniem się po ich stronie. A jeśli Imperium ich w jakiś sposób zaszantażowało… albo zwyczajnie przekupiło…

Niestety, nim dotarli do drzwi, nie wydarzyło się nic, co mógłby wykorzystać jako pretekst do wybrnięcia z tej dziwnej sytuacji.

– Tędy – powiedział Aves, porzucając wszelkie pozory zachowania drobnego pijaczyny i prowadząc ich w głąb kiepsko oświetlonej i wyludnionej uliczki.

Janson podchwycił spojrzenie Wedge'a i podniósł brwi w niemym pytaniu. Antilles wzruszył lekko ramionami i ruszył w ślad za przewodnikiem. To nadal mogła być pułapka, jednak w tym momencie jego obawy zastąpiła zwykła ciekawość. Coś się kroiło, a on chciał się dowiedzieć, po co ta szopka.

Jego ciekawość została wkrótce zaspokojona. Dwa budynki od Mumbri Storve Aves skręcił i zniknął w zaciemnionym wejściu. Wedge wszedł za nim, niemal spodziewając się, że powita go kolekcja wymierzonych w niego blasterów… jednak Aves był sam.

– Co teraz? – spytał Antilles, gdy dołączyli do nich Janson i Hobbie.

Przemytnik kiwnął głową w stronę wejścia i uliczki.

– Teraz… uważajcie. Jeśli się nie mylę… O, już jest!

Wedge posłuchał – i chwilę później obok przeszedł spiesznym krokiem Aqualish, obrzucając wejście do ich kryjówki pobieżnym spojrzeniem. Zwolnił ledwie zauważalnie kroku, po czym podjął marsz szybkim tempem. Nim jednak na dobre zniknął im z oczu po drugiej stronie przejścia, rozległo się stłumione łupnięcie i nagle Aqualish znalazł się z powrotem w sieni, bez dwóch zdań

nieprzytomny i sflaczały w silnym chwycie dwójki mężczyzn o ponurych obliczach.

– Jakieś kłopoty? – spytał ich Aves.

– Nieee – burknął przeciągle jeden z drabów, gdy niezbyt delikatnie pchnęli z kolegą obcego na ziemię na tyłach przedsionka. – Są zdecydowanie bardziej paskudni niż rozgarnięci.

– Ten tutaj jest wystarczająco rozgarnięty – ostrzegł ich Aves. – Przyjrzyj się mu dobrze, Antilles. Może następnym razem rozpoznasz imperialnego szpiega, gdy wlezie ci w drogę.

– Imperialny szpieg? – Wedge zerknął na morsopodobną istotę.

– W zasadzie to wolny strzelec. – Aves wzruszył ramionami. – Ale tak czy inaczej niebezpieczny.

Wedge spojrzał znów na człowieka Karrde'a, starając się nie dać po sobie poznać zaskoczenia.

– Chyba jesteśmy wam winni podziękowania – stwierdził ostrożnie.

Jeden z dwójki mężczyzn, zajęty przeszukiwaniem obcego, parsknął cicho pod nosem.

– Na to wygląda – mruknął Aves. – Gdyby nie my, skończylibyście pewnie jako bonusowy smaczek w kolejnym raporcie imperialnego wywiadu.

– Pewnie masz rację – przyznał Wedge, wymieniając czujne spojrzenia z Hobbiem i Jansonem. Z drugiej jednak strony przecież właśnie o to chodziło: mieli zrobić, co trzeba, by utwierdzić wielkiego admirała Thrawna w przekonaniu, że Tangrene jest rzeczywiście celem ataku sił Nowej Republiki. – Co z nim zrobicie? – spytał Avesa.

– Zajmiemy się nim – odparł krótko mężczyzna. – W każdym razie wy nie musicie się nim martwić, w najbliższym czasie nie wyśle żadnych raportów.

Antilles pokiwał głową. Cały wieczór starań poszedł na marne. Mimo to dobrze było wiedzieć, że ludzie Karrde'a byli po ich stronie.

– Jeszcze raz dzięki – powiedział, tym razem szczerze. – Mamy wobec was dług.

– A nie chcielibyście go przypadkiem od ręki spłacić? – Aves pochylił głowę na ramię.

– Niby jak? – spytał ostrożnie Wedge.

– Mamy pewną małą… robótkę – wyjaśnił Aves, wskazując bliżej nieokreślonym gestem niebo. – Wiemy, że wy również. Byłoby niegłupio, gdybyśmy zdołali zgrać się w czasie, tak abyście zajęli czymś Thrawna na odpowiednio długo.

– Słucham? – Antilles łypnął na niego podejrzliwie, marszcząc czoło. – Chcesz, żebym wam powiedział, kiedy zaczynamy naszą operację?

– A czemu nie? – odpowiedział niewinnie Aves. – Jak już wspomniałem, wiemy, że coś szykujecie. Powtórka z rozrywki w wykonaniu Bela Iblisa i tak dalej.

Wedge spojrzał niepewnie na swoich ludzi, zastanawiając się, czy podobnie jak on zdają sobie sprawę z ironii tej sytuacji: oto cały ich misterny plan na ten wieczór wziął w łeb, a zamiast tego ktoś żąda od nich szczegółów dotyczących supertajnej operacji. Nawet podstawiona ekipa pułkownika Derlina nie zdołałaby wymyślić lepszego scenariusza – nieważne, jak bardzo by się starali.

– Przykro mi – powiedział powoli, starając się, by w jego głosie pobrzmiewał prawdziwy żal. – Ale wiecie pewnie równie dobrze, jak ja, że nie mogę wam tego powiedzieć…

– Niby dlaczego? – nie dawał za wygraną Aves. – Już ci mówiłem, że w zasadzie znamy większość szczegółów. Jeśli chcesz, mogę to udowodnić…

– Nie tutaj – syknął Wedge. Ich celem było rozsiewanie pogłosek, nie trąbienie o tym tak głośno, by wzbudzić podejrzenia. – Ktoś mógłby usłyszeć…

Janson poklepał go po ramieniu.

– Sir? Powinniśmy już wracać – bąknął. – Przed odlotem mamy jeszcze mnóstwo pracy…

– Wiem, wiem – mruknął Antilles. Stary, dobry Janson. Dokładnie taka wymówka, jakiej potrzebował. – Słuchaj, Aves, wiesz co? Będziecie może w okolicy jeszcze przez jakąś chwilę?

– Niewykluczone. A co?

– Pozwól, że skontaktuję się z dowódcą mojej jednostki – zaproponował pilot. – I zapytam, czy dostaniemy dla was dyspensę.

Mina Avesa dobitnie świadczyła o tym, co sądzi o takim pomyśle, jednak trzeba mu było przyznać, że potrafił robić dobrą do złej gry.

– Czemu nie – stwierdził dyplomatycznie. – Ile to może potrwać?

– Nie mam pojęcia – wyznał Wedge. – Jest potwornie zajęty, jak zresztą my wszyscy. Spróbuję się z tobą skontaktować w ten czy inny sposób, ale jeśli nie odezwę się w ciągu dwudziestu ośmiu godzin, to zapomnij o całej sprawie. Dobra?

Wedge'owi wydawało się, że Aves uśmiechnął się lekko pod nosem, jednak w półmroku nie mógł być tego pewien.

– W porządku – westchnął przemytnik z odrobiną żalu w głosie. – Chyba lepsze to niż nic. Jakby co, zostaw wiadomość u barmana na nocnej zmianie w knajpie Dona Laza.

– W porządku – potwierdził Antilles. – Musimy już lecieć. Jeszcze raz dzięki.

Trójka pilotów wyszła z sieni i przeszła na drugą stronę ulicy. Minęli dwie przecznice, gdy wreszcie Hobbie przerwał milczenie:

– Dwadzieścia osiem godzin, hę? Sprytne.

– Chyba tak – przyznał skromnie Wedge. – Wyruszając stąd po tym czasie, akurat zdążylibyśmy na wielką bitwę nad Tangrene.

– Miejmy tylko nadzieję, że rzeczywiście zamierza sprzedać tę informację Imperium – mruknął pod nosem Janson. – Szkoda byłoby, żeby cały wieczór poszedł w diabły.

– Och, na pewno ją sprzeda, bez dwóch zdań – parsknął Hobbie. – To przemytnik. Po co inaczej by jej potrzebował?

Wedge wrócił myślami do bitwy o Flotę Katańską. Może rzeczywiście właśnie tym była cała grupa Karrde'a – bandą mętów gotowych sprzedać informacje temu, kto więcej zapłaci. Jednak w jakiś dziwny sposób nie był o tym do końca przekonany.

– Cóż, tak czy inaczej, wkrótce się o tym przekonamy – poinformował Hobbiego. – Chodźmy. Tak jak wspomniał Janson, czeka nas mnóstwo pracy.

Rozdział 23

Przez ekran przewinęła się ostatnia strona tekstu, po której wyświetlono komunikat: WYSZUKIWANIE WYNIKÓW ZAKOŃCZONE. PROSZĘ WPISAĆ NASTĘPNE ZAPYTANIE.

– Anuluj – westchnęła Leia, opadając na oparcie fotela. Wyjrzała przez okno. Kolejny fałszywy trop. Podobnie jak poprzedni i ten jeszcze wcześniejszy. Zaczynała podejrzewać, że archiwiści mieli rację: jeśli w Starej Bibliotece Senackiej zachowały się jakieś informacje na temat technik klonowania stosowanych w okresie wojen klonów, to były one zagrzebane tak głęboko, że nikt ich nigdy nie odkopie.

Wychwyciła umysłem słaby przebłysk powracającej świadomości dobiegający z drugiej strony pokoju. Wstała od biurka, podeszła do łóżeczka i spojrzała na dzieci. Jacen rzeczywiście już się obudził, gaworzył sobie cicho pod nosem, bez reszty skupiony na oględzinach swoich paluszków. Leżąca obok brata Jaina wciąż spała z rozchylonymi leciutko usteczkami, posapując cicho z każdym oddechem.

– Witaj, słonko! – zaszczebiotała Leia do syna, wyjmując go z łóżeczka i tuląc w ramionach. Gdy podniósł na nią wzrok, natychmiast zapomniał o paluszkach i obdarzył ją tym swoim rozbrajającym, bezzębnym uśmiechem. – Och, dziękuję, kochanie! – powiedziała, odwzajemniając uśmiech i gładząc go czule po policzku. – No, chodź, sprawdźmy, co tam słychać w wielkim świecie. – Zaniosła go do okna.

W dole Centrum Imperialne tętniło życiem, ogarnięte zwykłą przedpołudniową aktywnością: pojazdy naziemne i śmigacze powietrzne przemykały we wszystkich kierunkach w szalonym pędzie, niczym zaaferowane insekty. Nad miastem w promieniach słońca lśniły oślepiającym blaskiem zwieńczone śnieżnymi czapami szczyty gór Manarai. Wznosiły się dumnie na tle bezchmurnego, błękitnego nieba, które…

Zadrżała mimowolnie. Niebo odgradzała od przestrzeni kosmicznej warstwa osłon energetycznych, a tylko one dzieliły ich od śmiercionośnych, niewidzialnych asteroid Imperium.

Jacen zagruchał. Gdy spojrzała na niego, zauważyła, że przyglądał jej się z wyrazem twarzy, który podejrzanie kojarzył się z niepokojem.

– Już dobrze – zapewniła go, przytulając mocniej do siebie i kołysząc lekko w ramionach. – Wszystko będzie dobrze. Znajdziemy je i pozbędziemy się ich raz na zawsze, nic się nie martw.

Drzwi za jej plecami się otworzyły i do pokoju weszła Winter, sunąc z typową dla niej gracją w ślad za tacą repulsorową.

– Wasza Wysokość – przywitała Leię ciepłym głosem. – Pomyślałam, że może chciałabyś się czegoś napić…

– Tak, chętnie, dziękuję – powiedziała księżniczka, wdychając delikatny aromat przyprawionej parichy unoszący się z dzbanka na tacy. – Jakieś wieści z dołu?

– Nic specjalnego – poinformowała ją Winter, popychając tacę w stronę stolika i zestawiając z niej naczynia. – Od wczorajszego ranka zespoły poszukiwawcze nie namierzyły żadnych nowych asteroid. Z tego, co wiem, generał Bel Iblis zasugerował, że prawdopodobnie usunęli je już wszystkie.

– Wątpię, by admirał Drayson dał się przekonać.

– Nie dał – potwierdziła Winter, podając Lei parujący kubek i czekając, aż księżniczka zmieni pozycję Jacena tak, by mogła trzymać synka jednorącz. – Podobnie jak Mon Mothma.

Organa Solo pokiwała głową, biorąc od niej kubek. Szczerze powiedziawszy, sama zbytnio w to nie wierzyła. Choć wyprodukowanie systemów maskujących mogło być bardzo kosztowne, nie sądziła, by Imperium zadało sobie cały ten trud tylko po to, by zostawić w pobliżu Coruscant mniej niż siedemdziesiąt zamaskowanych asteroid. Równie dobrze mogło ich być dwa razy więcej. Jej zdaniem te dwadzieścia jeden, które namierzyli, mogło stanowić tylko wierzchołek góry lodowej.

– Jak idą poszukiwania? – spytała Winter, nalewając sobie parichy.

– Nie idą – wyznała Leia, ze smutkiem uświadamiając sobie, że kolejny temat ich rozmowy również dotyczył porażki. – Chociaż nie wiem w zasadzie, dlaczego mnie to dziwi. Specjaliści z zespołu przeszukiwania archiwów z ramienia Rady przejrzeli już wszystko bardzo dokładnie… i nic nie znaleźli.

– Ale ty jesteś Jedi – przypomniała jej Winter. – Masz Moc.

– Najwyraźniej w niewystarczającym stopniu. – Księżniczka pokręciła głową. – A przynajmniej nie władam nią na tyle, by poprowadziła mnie do właściwych danych. O ile takie w ogóle istnieją. Przestałam już być tego taka pewna.

Przez chwilę piły w milczeniu. Leia rozkoszowała się łagodnym smakiem gorącej parichy, boleśnie świadoma, że to może być jej ostatnia porcja w najbliższym czasie. Korzeń, z którego sporządzano napój, importowano spoza planety.

– Rozmawiałam wczoraj z Mobvekharem – wyrwał ją z zamyślenia głos Winter. – Twierdzi, że wspominałaś mu o jakiejś… wskazówce? O czymś, co mówiła Mara Jade.

– O czymś, co powiedziała Mara na temat czegoś, co zrobił Luke. – Leia pokiwała głową. – Tak, pamiętam. Nadal sądzę, że ma to jakiś związek z kluczem do rozwiązania tej zagadki. Po prostu nie jestem jeszcze w stanie go znaleźć… – Przerwało jej piszczenie komunikatora u pasa. – Wiedziałam, że to nie potrwa długo – westchnęła, odstawiając kubek i sięgając po urządzenie. Mon Mothma zaklinała się na wszystko, że Leia będzie miała cały ranek tylko dla siebie, jednak najwyraźniej wydarzyło się coś, co zmusiło ją do złamania obietnicy. – Radczyni Organa Solo – rzuciła do mikrofonu.

Okazało się jednak, że to nie była Mon Mothma.

– Pani radczyni? Tu centrum łączności – odezwał się z głośnika rzeczowy, wojskowy głos. – Patrole zatrzymały cywilny frachtowiec, który wylegitymował się jako „Dziki Karrde”. Kapitan nalega, by porozmawiać z panią osobiście. Mam ich połączyć czy pogonić?

A więc Karrde w końcu zjawił się po swoich ludzi… Albo doszły do jego uszu plotki i uznał, że sam powęszy w okolicy. Tak czy inaczej, oznaczało to kłopoty.

– Lepiej będzie, jeśli mnie z nim połączycie – odparła.

– Tak jest, pani radczyni.

– Witaj, Karrde – powiedziała, gdy ciche kliknięcie zasygnalizowało przepięcie połączenia. – Tu Leia Organa Solo.

– Dzień dobry, radczyni Organa Solo – odpowiedział spokojny, skrupulatnie modulowany głos Karrde'a. – Miło cię znów słyszeć. Jak się domyślam, otrzymaliście moją przesyłkę?

Księżniczka musiała się chwilę zastanowić, nim zorientowała się, o czym mówi przemytnik. Fakt: tamto nagranie z makrolornetki ataku na Ukio…

– Tak, dotarła – potwierdziła. – Dziękuję w imieniu Nowej Republiki.

– Już wyraziliście swoją wdzięczność – stwierdził sucho Karrde. – Czy mieliście jakieś nieprzyjemności w związku z naszymi ustaleniami dotyczącymi płatności?

– Wręcz przeciwnie – odpowiedziała Leia, jedynie odrobinę mijając się z prawdą. – Chętnie zapłacimy za kolejne tego typu informacje.

– Miło to słyszeć – skomentował Talon. – A czy może przypadkiem bylibyście też zainteresowani… nowinkami technologicznymi?

Leia zamrugała zdziwiona. Takiego pytania się nie spodziewała.

– Jakiego rodzaju… technologią? – spytała ostrożnie.

– Chodzi o dość… rzadki sprzęt – wyjaśnił oględnie. – Może moglibyśmy porozmawiać o tym osobiście, gdybyście udzielili mi pozwolenia na lądowanie?

– Obawiam się, że to nie będzie możliwe – westchnęła. – Ograniczyliśmy ostatnio… ruch powietrzny jednostek niepriorytetowych.

– Tylko niepriorytetowych, hm?

Leia się skrzywiła. A więc plotki dotarły już do jego uszu…

– Co dokładnie wiesz?

– Słyszałem to i owo – przyznał. – Ale tak naprawdę interesuje mnie tylko jedna rzecz. Co z Marą?

– A co miałoby z nią być? – spytała ostrożnie.

– Czy przebywa w areszcie?

Organa Solo obejrzała się na Winter.

– Karrde, to nie jest sprawa, o której powinniśmy rozmawiać…

– Proszę, darujmy sobie te głodne kawałki – przerwał jej obcesowo. W jego głosie zabrzmiały nagle twarde nuty. – Macie wobec mnie dług. Co więcej, macie dług wobec niej.

– Zdaję sobie z tego sprawę – odparła, pozwalając, by temperatura jej głosu również opadła. – Jeśli pozwolisz, dokończę: to nie jest sprawa, o której powinniśmy rozmawiać na otwartym kanale.

– Ach, rozumiem. – Nawet jeśli czuł się zakłopotany z powodu jej nagłego wybuchu, w żaden sposób tego nie okazał. – W takim razie spróbujmy inaczej. Czy macie tam gdzieś pod ręką Ghenta?

– Nie ma go w pobliżu.

– Znajdź go i dopilnuj, proszę, by miał dostęp do terminala z systemem łączności. Przekaż mu, by wprowadził do niego jeden z moich osobistych kodów, niech sam wybierze który. W ten sposób powinniśmy mieć zapewnioną wystarczającą prywatność.

Leia zastanowiła się chwilę nad jego propozycją. Fakt, dzięki temu wyeliminują ryzyko, że rozmowę podsłucha któryś z cywilnych statków znajdujących się w układzie. Pytanie brzmiało, czy ta sztuczka skutecznie uniemożliwi dostarczenie Imperium nagrania z ich rozmowy przez sondy zwiadowcze, gdyby jakaś czaiła się w pobliżu.

– Cóż, na początek może być – zgodziła się. – Pójdę go poszukać.

– Będę czekał. – Rozłączył się.

– Jakieś kłopoty? – spytała Winter.

– Niewykluczone – westchnęła Leia. Spojrzała na Jacena, ogarnięta znów jakimś dziwnym przeczuciem. Wróciło niejasne wrażenie, że brakujący element układanki czai się gdzieś w mroku, tuż poza jej zasięgiem. Miało to jakiś związek z Lukiem i Marą, tyle zdążyła już ustalić. Czy to możliwe, by w jakiś sposób był w to zamieszany również Karrde? – Przyleciał, żeby spytać o Marę… i chyba nie będzie zachwycony, gdy dowie się, że zniknęła. Zajmij się, proszę, bliźniętami. Muszę znaleźć Ghenta i zejść do centrum dowodzenia.

Test systemu dobiegł końca i program się zatrzymał.

– Wygląda na to, że wszystko w porządku – poinformował Leię Ghent, zerkając na wyświetlacz i wprowadzając ostatnie poprawki do schematu szyfrowania. – Nie powinien opuścić więcej niż sylabę czy dwie, od czasu do czasu. Proszę.

– Uważaj na to, co mówisz – przypomniał jej Bel Iblis. – Nie mamy pewności, że na zewnątrz nie ma imperialnych sond zwiadowczych, ani gwarancji, że specjaliści Imperium nie złamali kodów Karrde'a. Nie mów niczego, o czym by już nie wiedzieli.

– Jasne. – Kiwnęła głową. Usiadła przy terminalu i wcisnęła przycisk wskazany przez oficera łączności. – Karrde? Jesteśmy gotowi.

– Jestem – odpowiedział Talon. Jego głos miał nieco niższą barwę niż normalnie, jednak poza tym jakość połączenia była bez zarzutu. – Dlaczego Mara została aresztowana?

– Kilka tygodni temu do pałacu zakradł się oddział imperialnych komandosów – wyjaśniła Leia, ostrożnie dobierając słowa. – Dowódca grupy wskazał na Marę jako współwinną.

– To jakiś absurd! – parsknął przemytnik.

– Też tak sądzę – zgodziła się z nim księżniczka. – Niestety, tak poważne oskarżenie wymagało dokładnego zbadania okoliczności sprawy.

– I do jakich wniosków doszli wasi śledczy?

– Dowiedzieli się tego, o czym część z nas już wiedziała: że Mara współpracowała niegdyś blisko z samym Imperatorem.

– I właśnie dlatego wciąż przetrzymujecie ją w areszcie? – spytał z wyrzutem Talon. – Z powodu czegoś, co zrobiła, albo i nie, wiele lat temu?

– To nie jej przeszłość jest dla nas powodem do obaw – odparła Leia, zaczynając się pocić. Czuła się paskudnie ze świadomością, że musi zwodzić Karrde'a, szczególnie jeśli zważy się na pomoc, jakiej im udzielił. Jednak na wypadek gdyby ich rozmowa rzeczywiście została przechwycona przez imperialne sondy, musiała zrobić wszystko, by utwierdzić ich w przekonaniu, że na Marze wciąż ciążą zarzuty. – Niektórzy z członków Rady i wysokiego dowództwa nie są przekonani co do jej obecnych sympatii politycznych…

– Ci, którzy tak sądzą, to głupcy – wypluł z pogardą Talon. – Chciałbym z nią porozmawiać.

– Obawiam się, że to niemożliwe – stwierdziła Leia. – Ma zakaz kontaktowania się z osobami z zewnątrz.

Z głośnika dobiegł cichy szelest. Leia nie była w stanie stwierdzić, czy to westchnienie, czy też może błąd kodowania.

– W takim razie powiedz mi, dlaczego nie mogę wylądować – poprosił wreszcie Karrde. – Słyszałem plotki, chciałbym jednak poznać prawdę.

Leia spojrzała na Bela Iblisa. Minę miał nietęgą, jednak w końcu z ociąganiem kiwnął głową.

– Prawda jest taka, że jesteśmy pod oblężeniem – westchnęła. – Wielki admirał rozmieścił na orbicie wokół Coruscant dużą liczbę zamaskowanych asteroid. Nie znamy ich współrzędnych ani nie wiemy, ile ich dokładnie jest. Dopóki ich wszystkich nie znajdziemy i nie zlikwidujemy, nie możemy opuszczać osłon.

– Rozumiem – mruknął Karrde. – To ciekawe, co mówisz. Słyszałem o ataku sił Imperium, ale nic na temat asteroid. Z większości plotek wynika tylko, że Imperium dokonało poważnych zniszczeń i nie chcecie, by wieści o tym się rozeszły.

– Brzmi jak historyjka, którą wymyśliłby Thrawn – warknął Bel Iblis. – Mały prztyczek w nasze morale jako odskocznia między atakami.

– Jest biegły we wszelkich aspektach sztuki wojennej – zgodził się z nim Karrde, jednak Leia wychwytywała w jego tonie jakieś dziwne nuty. – Ile asteroid jak dotąd znaleźliście? – spytał. – Bo zakładam, że wszczęliście poszukiwania…

– Namierzyliśmy i zniszczyliśmy dwadzieścia jeden – wyjaśniła. – To dawałoby liczbę dwudziestu dwóch, wliczając tę, którą imperialni zniszczyli, aby nie wpadła w nasze ręce. Ale z analizy danych zarejestrowanych podczas ataku wynika, że może ich być nawet dwieście osiemdziesiąt siedem.

Karrde przez chwilę milczał.

– To wcale nie tak dużo jak na tak wielki obszar – zauważył w końcu ostrożnie. – Mimo wszystko byłbym skłonny zaryzykować i wylądować.

– Nie martwimy się o ciebie – wtrącił Bel Iblis. – Boimy się o to, do czego mogłoby dojść, gdyby asteroida o średnicy czterdziestu metrów przedostała się przez osłony i uderzyła w powierzchnię planety.

– Wystarczyłoby, gdybyście dali mi pięć sekund – nie ustępował Talon.

– Nie możemy zrobić dla ciebie wyjątku – powiedziała stanowczo księżniczka. – Przykro mi.

Z głośnika znów dobiegł szmer.

– Cóż, w takim razie nie pozostaje mi nic innego, jak tylko złożyć wam pewną propozycję. Wcześniej wspomniałaś, że bylibyście skłonni zapłacić za kolejne informacje. Świetnie się składa, bo jestem w posiadaniu wiedzy, która mogłaby się wam przydać. A moją ceną jest kilka minut rozmowy z Marą.

Leia spojrzała na Bela Iblisa, marszcząc czoło, a on odwzajemnił jej spojrzenie, również zbity z tropu. Cokolwiek kombinował Karrde, generał także nie miał pojęcia, o co w tym chodzi. Oboje wiedzieli jednak jedno – nie mogli mu umożliwić rozmowy z Marą.

– Nie mogę ci niczego obiecać – wyznała. – Powiedz mi, czego dotyczy ta informacja, a ja spróbuję zachować się wobec ciebie fair.

Przemytnik milczał przez chwilę, rozważając jej propozycję.

– Chyba nic lepszego nie ugram – westchnął wreszcie. – No dobrze. Możecie wyłączyć osłony w każdej chwili. Zlikwidowaliście już wszystkie asteroidy.

Leia wpatrywała się w głośnik z mieszanką podejrzliwości i niedowierzania.

– Co takiego?

– Dokładnie to, co powiedziałem – zapewnił ją Talon. – Nie ma już żadnych asteroid. Thrawn zostawił ich dwadzieścia dwie, dwadzieścia dwie zostały zniszczone. To koniec oblężenia.

– Skąd to wiesz? – spytał Bel Iblis.

– Byłem w stoczniach Bilbringi na krótko przed tym, nim Imperium przypuściło na was atak – wyjaśnił przemytnik. – Zaobserwowaliśmy prace prowadzone wokół grupy dwudziestu dwu asteroid. Cała operacja była ściśle nadzorowana i pilnie chroniona.

Oczywiście wówczas nie mieliśmy zielonego pojęcia, co planuje z nimi zrobić Imperium…

– Czy masz jakieś zapisy z tego wydarzenia? – spytał rzeczowo Bel Iblis.

– Mam dane z czujników „Dzikiego Karrde'a" – potwierdził Talon. – Jeśli chcecie, mogę je wam przekazać.

– Przesyłaj.

Na terminalu zapaliła się lampka sygnalizująca odbiór danych, a gdy Leia spojrzała na główny ekran, zobaczyła obraz stoczni Bilbringi – rozpoznawała je na podstawie materiałów zarejestrowanych przez jednostki rozpoznania Nowej Republiki. W samym centrum stoczni, otoczone licznymi pojazdami wsparcia i rojem robotników w skafandrach…

– On ma rację – mruknął Bel Iblis. – Dwadzieścia dwie sztuki, co do jednej.

– To wcale nie dowód na to, że nie może być ich więcej, sir – zauważył oficer obsługujący konsolę czujników. – Mogli uzbroić kolejne grupy na Ord Trasi czy Yadze Minor.

– Nie. – Bel Iblis pokręcił głową. – Pomijając już problemy natury logistycznej, których by to nastręczyło, nie jestem sobie w stanie wyobrazić, by Thrawn rozdysponowywał pulę systemów maskujących w więcej miejsc niż to absolutnie konieczne. Nie pozwoliłby sobie na to chociażby z tego względu, by nie dopuścić do sytuacji, w której jedno z takich urządzeń wpadłoby w nasze ręce.

– Urządzeń lub nawet odczytów z systemów – zgodził się Karrde. – Gdybyście znaleźli ich słaby punkt, utraciłby całą przewagę, jaką zapewniłaby mu ta sztuczka. W porządku. Dotrzymałem słowa, jeśli chodzi o moją część umowy. Kolej na was.

Leia spojrzała bezradnie na Bela Iblisa.

– Dlaczego chcesz z nią rozmawiać? – spytał generał.

– Jeśli już chcecie wiedzieć, to jedną z najtrudniejszych rzeczy, z jakimi człowiek musi się zmierzyć w areszcie, jest poczucie osamotnienia – powiedział chłodnym głosem Talon. – Jestem w stanie sobie wyobrazić, że tak właśnie czuje się w tej chwili Mara, a przynajmniej ja tak właśnie wspominam swój pobyt wbrew

własnej woli na pokładzie „Chimaery”. Chciałbym zapewnić ją osobiście, że nie zapomnieliśmy o niej.

– Leio? – mruknął Bel Iblis. – Co robimy?

Księżniczka wpatrywała się w generała z roztargnieniem. Słyszała jego słowa, ale nie reagowała na nie. Widziała to jednak teraz coraz wyraźniej… Element układanki, którego szukała, był blisko, tuż pod jej nosem. Miało to jakiś związek z uwięzieniem Karrde’a na pokładzie „Chimaery”…

– Leio? – powtórzył Korelianin, marszcząc czoło.

– Słyszę cię – powiedziała. Jej własne słowa brzmiały w jej uszach dziwnie głucho i mechanicznie. – Pozwólcie mu lądować.

– Może powinniśmy… – Bel Iblis obejrzał się na oficera pokładowego.

– Powiedziałam: dajcie mu pozwolenie na lądowanie – powtórzyła z większą stanowczością, niż zamierzała. Wszystkie elementy układanki wskoczyły na swoje miejsca… a obraz, jaki się z nich wyłonił, zwiastował potencjalną klęskę. – Na moją odpowiedzialność.

Bel Iblis przez chwilę przyglądał jej się w milczeniu.

– Karrde? Tu Bel Iblis – rzucił powoli do mikrofonu. – Otworzymy ci okno na pięć sekund. Czekaj na instrukcje.

– Dziękuję – rzucił przemytnik. – Do zobaczenia niebawem.

Generał dał gestem znak oficerowi pokładowemu, który kiwnął głową i zabrał się do przesyłania odpowiednich danych.

– No dobrze, Leio – powiedział Korelianin, zwracając się do księżniczki. – O co tu chodzi?

Leia wzięła głęboki oddech.

– O klony, Garm. Wiem, w jaki sposób Thrawn hoduje je tak szybko.

W centrum dowodzenia zapanowała cisza jak makiem zasiał.

– Tak? – zachęcił ją generał.

– Chodzi o Moc – wyjaśniła. To było takie oczywiste, tak banalnie oczywiste, a jednak do tej pory cały czas jej umykało. – Gdy tworzysz idealną kopię istoty żywej, zachodzi coś w rodzaju naturalnego rozdźwięku w Mocy między nią a oryginałem. Właśnie to jest przyczyną odchyleń na tle mentalnym, które powstają, gdy

klon dorasta zbyt szybko. Nie ma wystarczająco dużo czasu, by umysł przystosował się do wywieranej na niego presji. Nie może się dopasować, więc następuje załamanie.

– No tak – stwierdził Bel Iblis, nie do końca przekonany do jej toku rozumowania. – A w jaki sposób Thrawn obszedł ten problem?

– To bardzo proste – wyjaśniła, czując, jak po plecach przechodzi jej zimny dreszcz. – Korzysta z isalamirów, aby uniemożliwiać Mocy dostęp do komór klonujących.

Rysy twarzy Bela Iblisa stwardniały. W ciszy ktoś z personelu zaklął cicho pod nosem.

– To właśnie akcja odbicia Karrde'a z pokładu „Chimaery" naprowadziła mnie na ten trop – podjęła księżniczka. – Mara powiedziała mi, że Imperium zabrało z lasów na Myrkr pięć czy sześć tysięcy isalamirów. Nie były one jednak najwyraźniej przeznaczone do rozmieszczenia na okrętach, bo gdy ona i Luke wyruszyli z misją uwolnienia Talona, Luke nie miał problemów z korzystaniem z Mocy.

– Bo wszystkie isalamiry były na Waylandzie… – Bel Iblis pokiwał ze zrozumieniem głową. Gdy spojrzał na księżniczkę, wyczuła gwałtowną zmianę w jego nastawieniu. – Co oznacza, że gdy nasz zespół dotrze do góry…

– …Luke będzie bezbronny – wykrztusiła przez ściśnięte gardło. – Co gorsza, nie będzie o niczym wiedział, dopóki nie będzie za późno.

Zadrżała ponownie, gdy przypomniała sobie nagle koszmar, który miała tej nocy, gdy Imperium zaatakowało Coruscant. Luke i Mara, zmuszeni stawić czoła szalonemu Jedi i jakiemuś innemu, nieznanemu im niebezpieczeństwu… Wówczas uspokoiła ją myśl, że jej brat będzie przecież w stanie wyczuć obecność C'baotha na Waylandzie na tyle wcześnie, aby podjąć odpowiednie kroki. Skoro jednak w grę wchodziły isalamiry… to możliwe, że Luke zmierzał wprost w pułapkę.

„Nie – poprawiła się w myśli. – To bardziej niż pewne". Jakimś cudem wiedziała, że tak właśnie było: szedł prosto w sidła C'baotha. Koszmar nie był snem, tylko wizją Jedi.

– Porozmawiam z Mon Mothmą – odezwał się generał z zasępioną miną. – Możliwe, że nawet mimo akcji nad Bilbringi uda nam się wysłać im nieco statków z pomocą. – Odwrócił się i ruszył zdecydowanym krokiem w stronę wyjścia i turbowind.

Leia przez chwilę patrzyła w ślad za nim, przysłuchując się półprzytomnie gwarowi rozmów, gdy personel centrum dowodzenia otrząsnął się z początkowego szoku i wracał do swoich obowiązków. Wiedziała, że generał spróbuje zrobić to, co obiecał, jednak miała również świadomość, że na nic się to nie zda. Mon Mothma, komandor Sesfan i Bel Iblis już raz to powiedzieli: Nowa Republika nie miała po prostu dość środków, by rozdzielić siły i wysłać je zarówno na Wayland, jak i do stoczni Bilbringi. Poza tym Leia wiedziała aż za dobrze, że nie wszyscy członkowie Rady uwierzą, że zagrożenie ze strony zamaskowanych asteroid zostało zlikwidowane. A przynajmniej nie uwierzą na tyle, by odwołać atak na stocznie…

Co oznaczało, że istnieje tylko jedna osoba, która mogłaby udzielić pomocy jej mężowi i bratu.

Wzięła głęboki oddech i ruszyła do wyjścia w ślad za Belem Iblisem. Nim przemytnik się zjawi, miała mnóstwo roboty.

Gdy Karrde wynurzył się ze swojego statku, czekali już na niego we trójkę, skryci pod zadaszeniem osłaniającym tunel dostępu do platformy. Talon zauważył ich ze szczytu trapu „Dzikiego Karrde'a" i chociaż trzymali się cienia, zdołał zidentyfikować dwójkę, nim dotarł do połowy rampy. Jedną z osób była Leia Organa Solo. Towarzyszył jej przestępujący nerwowo z nogi na nogę Ghent. Trzecia postać, trzymająca się nieco z tyłu, była niska i ubrana w zgrzebną brązową szatę Jawy… Karrde nie miał pojęcia, co pustynny zbieracz złomu tu robi… Gdy jednak grupa postąpiła naprzód i wyszła z cienia, by go przywitać, wystarczył jeden rzut oka na minę Organy Solo, by stało się dla niego jasne, że wkrótce się tego dowie.

– Dzień dobry, radczyni Organa Solo – powiedział, skłaniając lekko głowę. – Dobrze cię widzieć, Ghent. Jak sądzę, nie

próżnowałeś podczas swoich przymusowych wakacji? Przydałeś się na coś?

– Tak sądzę – bąknął nieśmiało haker. Wydawał się podenerwowany. Zbyt podenerwowany nawet jak na niego. – W każdym razie tak twierdzą…

– Świetnie. – Karrde skupił wzrok na trzecim członku komitetu powitalnego. – A wasz przyjaciel tutaj to…?

– Jestem Mobvekhar z klanu Hakh'khar – zamiauczał chrapliwy głos.

Przemytnik oparł się odruchowej chęci cofnięcia się o krok. Ktokolwiek krył się pod tą szatą, z całą pewnością nie był to Jawa.

– To mój ochroniarz – wyjaśniła Organa Solo.

– Och. – Talon z trudem oderwał spojrzenie od tajemniczego gościa z obliczem skrytym pod ciemnym kapturem. – Cóż – mruknął, wykonując gest w stronę przejścia. – Czy możemy?

Leia pokręciła głową.

– Mary tu nie ma.

Karrde przeniósł wzrok na Ghenta, który – choć wydawało się to niemożliwe – stał się jeszcze bardziej niespokojny.

– Wcześniej twierdziłaś co innego…

– Potwierdziłam tylko, że została aresztowana – sprostowała Leia. – Wówczas nie mogłam ci zdradzić żadnych szczegółów ze względu na potencjalną obecność imperialnych sond zwiadowczych.

Talon z trudem stłumił gniew. W końcu byli po tej samej stronie…

– Gdzie w takim razie jest?

– Na planecie zwanej Wayland – wyjaśniła księżniczka. – Wraz z Lukiem, Hanem i kilkoma innymi osobami.

Wayland? Karrde nie przypominał sobie, by kiedykolwiek słyszał tę nazwę.

– A co takiego ciekawego jest na tym całym Waylandzie, że musieli tam lecieć? – spytał.

– Fabryka klonów wielkiego admirała Thrawna.

Przyglądał jej się przez chwilę, niezdolny wydobyć słowa.

– Wy… ją znaleźliście?

– Nie my – poprawiła go Organa Solo. – Tylko Mara.

Pokiwał machinalnie głową. A więc sami odkryli lokalizację ośrodka klonowania. Cała praca, jaką włożył w mobilizowanie innych grup przemytniczych, poszła na marne. Praca, ryzyko… nie mówiąc już o pieniądzach, które zobowiązał się im zapłacić.

– Jesteście pewni, że to tam jest fabryka Thrawna?

– Wkrótce się o tym przekonamy – stwierdziła Leia, wskazując na jego statek. – Chciałabym, żebyś mnie tam zabrał. Natychmiast.

– Dlaczego?

– Bo grozi im niebezpieczeństwo – wyznała księżniczka. – Możliwe, że jeszcze o nim nie wiedzą, jednak jest realne, bez dwóch zdań. A jeśli trzymają się planu, który otrzymaliśmy, mamy szansę dotrzeć do nich, nim będzie za późno.

– Opowiedziała mi o wszystkim po drodze – wtrącił z wahaniem Ghent. – Sądzę, że powinniśmy… – Urwał pod wpływem spojrzenia Karrde'a.

– Bardzo współczuję twoim ludziom, radczyni Organa Solo – powiedział Talon. – Są jednak inne niecierpiące zwłoki sprawy, których muszę dopilnować.

– A więc porzucisz Marę w potrzebie – wytknęła mu gorzko.

– Nie jest dla mnie nikim bliskim – odparł. – Należy do mojej organizacji, nic poza tym.

– A czy to nie wystarczy?

Przez chwilę wpatrywał się w nią w milczeniu. Wytrzymała spokojnie jego spojrzenie, jakby go sprawdzała… I w jej oczach widział wyraźnie, że Leia wie, że to on blefuje. Nie mógł ot tak, jakby nigdy nic, odejść, skazując Marę na pewną śmierć. Podobnie jak nie byłby w stanie porzucić Avesa, Dankina czy China. Nie, jeśli istniała choć najmniejsza szansa na to, by zdołał temu zapobiec.

– To nie będzie łatwe – ostrzegł ją cicho. – Mam również zobowiązania wobec reszty moich ludzi. Obecnie przygotowują się właśnie do ataku, dzięki któremu, jak sądzę, uda nam się zdobyć dla was krystaliczny detektor pola grawitacyjnego.

Po twarzy Organy Solo przemknął cień zaskoczenia.

– Krystaliczny detektor pola grawitacyjnego?

– Nie ten, na który się zasadzacie – zapewnił ją. – Jednak zaplanowaliśmy naszą operację tak, by zgrać ją w czasie z waszą

w nadziei na to, że wasz atak odwróci uwagę wroga. Powinienem tam być…

– Rozumiem – mruknęła pod nosem. Widział wyraźnie, że z trudem powstrzymała się od odruchowego spytania, skąd dowiedział się o ataku na Tangrene. – Czy udział „Dzikiego Karrde'a" w tej akcji naprawdę może zrobić taką różnicę?

Karrde spojrzał na Ghenta. Jego obecność – lub jej brak – w żaden sposób nie wpłynie na ich szanse podczas tej operacji. Nie w sytuacji, gdy mieli zapewnione wsparcie Mazzica i Ellora, a także wszystkich innych, którzy dołączyli do i tak już imponującej grupy zebranej przez Avesa. Rzecz w tym, że jeśli teraz odleci – a sposób, w jaki przedstawiła sprawę Organa Solo, oznaczał, że powinni wyruszyć bez chwili zwłoki – utraci szansę na realizację planu, który przygotował dla Ghenta, mianowicie włamania się do systemu informatycznego Nowej Republiki i przekierowania na ich konto funduszy, z których zamierzał wypłacić wynagrodzenia innym grupom.

Chyba że zdoła zdobyć pieniądze innymi kanałami…

– Nie mogę tego zrobić – oświadczył twardo. – Nie mogę po prostu zostawić moich ludzi. A przynajmniej nie bez…

Nagle postać w stroju Jawy strzeliła palcami. Karrde urwał w pół zdania, przyglądając się z fascynacją, jak niska istota wślizguje się bezszelestnie do tunelu, trzymając w dłoni nóż, który jakimś cudem się tam zmaterializował. Zniknęła za drzwiami i przez chwilę na platformie panowała niezmącona żadnym dźwiękiem cisza. Karrde podniósł brwi i spojrzał na księżniczkę, która w odpowiedzi wzruszyła tylko ramionami…

Nagle od strony drzwi wejściowych dobiegł skrzek, po którym w środku coś się zakotłowało. Nim Karrde się spostrzegł, trzymał już w dłoni blaster i celował do przepychających się w środku postaci, jednak poruszenie skończyło się równie gwałtownie, jak się zaczęło. Chwilę później obcy wrócił, pchając przed sobą skuloną postać.

Stanowczo zbyt znajomą postać.

– No, no – mruknął pod nosem Talon, opuszczając blaster, jednak nie chowając go do kabury. – Radca Fey'lya, jak sądzę? Odkąd to

zniża się pan do tak przyziemnego zajęcia jak podsłuchiwanie pod drzwiami?

– Nie jest uzbrojony – poinformował chrapliwie obcy w szacie Jawy.

– W takim razie puść go – poleciła księżniczka.

Gdy ochroniarz posłuchał, Fey'lya wyprostował się na pełną wysokość. Futro na czole i piersi falowało mu gwałtownie, gdy próbował odzyskać nieco godności i samokontroli.

– Protestuję przeciwko tak poniżającemu traktowaniu – oznajmił dziwnie jak na Bothanina niemelodyjnym głosem. – A poza tym wcale nie podsłuchiwałem. Generał Bel Iblis przekazał mi informacje radczyni Organy Solo na temat ośrodka klonowania na Waylandzie. Przyszedłem tu, kapitanie Karrde, aby poprzeć panią radczynię w jej prośbie o dostarczenie jej na Wayland.

– Tak, aby wygodnie usunęła ci się z drogi? – Przemytnik uśmiechnął się pod nosem. – Dzięki, ale sądzę, że chyba raz już to przerabialiśmy…

Bothanin podniósł dumnie głowę.

– Tu nie chodzi o politykę. Jeśli ich nie ostrzeżecie, zespół wysłany na Wayland może być stracony. A jeżeli zginą i nie zniszczą skarbca Imperatora, wielki admirał przeniesie część jego zawartości w jakieś bezpieczne miejsce. – Wbił w Karrde'a spojrzenie fioletowych oczu. – To zaś będzie oznaczało katastrofę. I to zarówno dla Bothan, jak i dla całej galaktyki.

Talon przyglądał mu się przez chwilę w milczeniu, zastanawiając, czego takiego tak mocno obawiał się Fey'lya. Czy chodziło o jakąś broń lub technologię, której Thrawn jeszcze nie odkrył? A może to była jakaś bardziej osobista sprawa? Może nieprzyjemne lub kompromitujące informacje na temat samego Fey'lyi bądź też Bothan jako gatunku?

Nie wiedział, ale przypuszczał, że Fey'lya nie będzie zbyt skory, by podzielić się z nimi tą informacją. Szczegóły jednak nie miały w tej chwili zbyt wielkiego znaczenia.

– Nie martwi mnie zbytnio potencjalna zguba Bothan – oświadczył radcy. – A jak bardzo martwi to pana?

Futro na ramionach Fey'lyi zafalowało, co było wyraźną oznaką niepewności.

– To byłaby również zguba dla całej galaktyki – przypomniał mu cicho.

– Już pan to mówił – przytaknął Karrde. – Powtarzam, jak bardzo to pana martwi?

Tym razem Fey'lya pojął. Zwęził oczy w szparki i nastroszył sierść z wyraźną pogardą.

– A na ile wycenia pan moje zmartwienie? – wypluł.

– Nic spektakularnego – zapewnił go flegmatycznie Talon. – Mówimy, powiedzmy, o kwocie rzędu jakichś… siedemdziesięciu tysięcy.

– Siedemdziesiąt tysięcy?! – powtórzył ze zgrozą Fey'lya. – Co pan sobie wyo… – Taka jest moja cena, radco Fey'lya – wszedł mu w słowo Karrde. – Albo się pan na nią zgadza, albo nie. A o ile radczyni Organa Solo się nie myli, nie mamy czasu na długie negocjacje.

Fey'lya zasyczał jak rozwścieczony drapieżnik.

– Jesteś niewiele lepszy od byle najemnika – warknął tak zjadliwym głosem, jakiego Talon w życiu nie spodziewałby się u Bothanina. – Wysysasz krew bothańskiego ludu…

– Proszę mi oszczędzić kazań, panie radco – ponownie nie dał mu dokończyć przemytnik. – Tak czy nie?

Fey'lya znów zasyczał.

– Tak.

– Świetnie. – Karrde pokiwał głową, popatrując na Leię. – Czy linia kredytowa ustanowiona dla mnie przez twojego brata wciąż jest otwarta?

– Tak – potwierdziła. – Generał Bel Iblis ma dostęp do konta.

– W takim razie proszę przelać siedemdziesiąt tysięcy – poinstruował Karrde Fey'lyę. – I mieć na uwadze, że zatrzymamy się, by sprawdzić, czy transakcja doszła do skutku, nim dotrzemy na Wayland. To na wypadek gdyby przyszło panu do głowy, aby się wycofać.

– Mam swój honor, przemytniku – wycedził Bothanin. – W przeciwieństwie do co poniektórych.

– Miło słyszeć – skomentował Karrde. – W tej galaktyce trudno ostatnio o honorowe istoty. Radczyni Organa Solo?

Leia wzięła głęboki oddech.

– Jestem gotowa – powiedziała.

Nim Leia zadała pytanie, które nie dawało jej spokoju, odkąd weszli na pokład, zdążyli już zostawić Coruscant daleko w tyle i gotowali się właśnie do skoku w nadprzestrzeń.

– Czy naprawdę zatrzymamy się, żeby sprawdzić przelew od Fey'lyi?

– W sytuacji, gdy każda chwila jest na wagę złota? – odpowiedział pytaniem Karrde. – To niedorzeczne. Ale Fey'lya wcale nie musi o tym wiedzieć.

Księżniczka przyglądała się przez chwilę, jak mężczyzna w skupieniu pilotuje statek.

– Pieniądze nie są dla ciebie aż tak ważne, prawda?

– Nie bądź tego taka pewna – poradził jej chłodnym tonem. – Mam pewne zobowiązania finansowe i muszę je wypełnić. Gdyby Fey'lya nie był skłonny do współpracy, obowiązek spadłby na Nową Republikę.

– Rozumiem – mruknęła.

Najwyraźniej coś w jej głosie zwróciło jego uwagę, bo dodał szybko:

– Mówię serio. – Podkreślił wagę swoich słów groźnym (i zupełnie nieprzekonującym) grymasem. – Robię to, bo nasze cele przypadkiem się na siebie nakładają, a nie po to, by pomóc wam w tej waszej wojnie.

– A ja powiedziałam, że rozumiem – powtórzyła, uśmiechając się w duchu. Może słowa były inne, ale wyraz twarzy niemal identyczny. „Słuchaj no. Nie robię tego ani dla tej twojej rewolucji, ani dla ciebie, księżniczko. Spodziewam się sowitej zapłaty. Robię to wyłącznie dla pieniędzy". Tak powiedział do niej Han po ich burzliwej ucieczce z pokładu pierwszej Gwiazdy Śmierci. A ona mu wówczas uwierzyła na słowo.

Po chwili jej uśmiech zniknął jednak bez śladu. On i Luke ocalili jej wtedy życie. Zastanawiała się, czy ona zdąży na czas, by odpłacić im się tym samym.

Rozdział 24

Osłonięte skalnym nawisem wejście do góry Tantiss zdradzał jedynie blask metalu wśród gęstej roślinności. Między wejściem a ich grupą, ledwie widoczna z ich punktu obserwacyjnego na wzgórzu, znajdowała się polana, na której wznosiło się niewielkie miasteczko.

– Co o tym sądzisz? – spytał Luke.

– Myślę, że dostaniemy się do środka w jakiś inny sposób – stwierdził Han, wbijając mocniej łokcie w warstwę suchych liści i próbując utrzymać makrolornetkę nieruchomo przy oczach. Miał rację: tuż pod metalowymi drzwiami znajdowało się stanowisko strażnicze szturmowców. – A poza tym wchodzenie od frontu nigdy nie popłaca.

Luke dwukrotnie klepnął go w ramię, sygnalizując, że ktoś się zbliża. Solo zamarł, nasłuchując. Po chwili dosłyszał cichy szelest kroków na ściółce, a minutę później spośród drzew kilka metrów w dół zbocza wyłoniła się czwórka imperialnych szturmowców. Minęli ich kryjówkę, zerkając bez szczególnego zainteresowania w górę, i zniknęli między drzewami parę kroków dalej.

– Zaczyna się tu robić tłoczno – mruknął Solo.

– Jesteśmy po prostu blisko góry – zauważył Luke. – Nadal nie wyczuwam nic, co sugerowałoby, że wiedzą o naszej obecności.

Han odchrząknął i skupił wzrok na budynkach wznoszących się na polance w dole. Większość zabudowań stanowiły niskie, obco wyglądające chaty, wśród których wyróżniała się jedna o zdecydowanie większych rozmiarach, stojąca w pobliżu czegoś w rodzaju placu. Z tego miejsca nie widział zbyt dobrze, ale wydawało się, że w jej okolicy kręci się grupka Psadan. Może odbywali jakieś zgromadzenie?

– Nie widzę żadnych śladów garnizonu – stwierdził, lustrując wioskę przez makrolornetkę. – Prawdopodobnie znajduje się we wnętrzu góry.

– W takim razie nie powinniśmy mieć z nim problem.

– Taaa – bąknął Solo, skupiając znów obiektyw makrolornetki na placu i marszcząc czoło.

Grupa Psadan, którą zauważył jakąś minutę temu, ustawiła się mniej więcej w półkolu, zwrócona twarzami do swoich przypominających chodzące skalne słupy pobratymców stojących plecami do dużego budynku. Gromadziło ich się tam coraz więcej.

– Jakieś kłopoty? – spytał szeptem Skywalker.

– Nie wiem – wyznał powoli Han, wpierając łokcie w ziemię jeszcze mocniej i odrobinę powiększając obraz. – Odbywają jakieś walne spotkanie. Prowadzą je dwaj Psadanie… ale nie wygląda na to, żeby coś mówili. Trzymają tylko coś w rękach.

– Mogę rzucić okiem? – spytał Luke. – Istnieją pewne techniki Jedi pozwalające wyostrzyć wzrok. Może zadziałają i przez makrolornetkę…

– Proszę. – Han podał mu urządzenie i zmrużył oczy, podnosząc je na niebo. Widniało na nim kilka rozmytych obłoków, jednak nic nie wskazywało na to, by wkrótce pogoda miała się popsuć. Do zachodu słońca pozostały jakieś dwie godziny, a później jeszcze około pół, nim całkiem się ściemni…

– Hm… – mruknął Skywalker.

– Tak?

– Nie jestem do końca pewien – stwierdził Luke, odrywając makrolornetkę od oczu. – Ale moim zdaniem oni trzymają datapad.

– Nie wiedziałem, że ich używają. – Solo zerknął w stronę miasteczka.

– Ja również – zgodził się z nim Luke, ale jego głos zabrzmiał nagle jakoś… dziwnie.

Han zerknął na niego z niepokojem. Młody Jedi wpatrywał się w górę z trudnym do odczytania wyrazem twarzy.

– Co się dzieje?

– To… Chodzi o górę – wyznał Skywalker, nie odrywając od niej wzroku. – Jest… ciemna. Cała.

„Ciemna”? Solo również spojrzał na górę Tantiss, marszcząc czoło. Jego zdaniem wszystko było z nią w porządku. Góra jak góra. Nic specjalnego.

– Co masz na myśli?

– Jest… ciemna – powtórzył tylko Luke. – Taki sam był Myrkr.

Han powiódł znów spojrzeniem od góry do przyjaciela.

– Masz na myśli: jakby stado isalamirów blokowało Moc?

– Właśnie. – Jedi pokiwał głową. – Nie będę jednak w stanie stwierdzić tego na pewno, dopóki nie podejdziemy bliżej.

Jego przyjaciel obrzucił górę kolejnym spojrzeniem, czując w żołądku nieprzyjemny skurcz.

– Cudownie – mruknął. – Po prostu wspaniale. Co teraz?

– Ruszamy w dalszą drogę. – Luke wzruszył ramionami. – Mamy jakieś inne wyjście?

– Możemy wrócić na pokład „Sokoła” i się stąd zabrać. Oto, jakie mamy inne wyjście – odciął się Han. – Chyba że naprawdę ci się spieszy do wejścia prosto w imperialną pułapkę?

– Nie sądzę, by to była pułapka – powiedział Skywalker, kręcąc w zamyśleniu głową. – A przynajmniej nie zastawiona na nas. Pamiętasz, jak mówiłem ci o tym, że nagle straciłem kontakt z C’baothem?

Solo potarł policzek. Wiedział już, do czego zmierza młody Jedi. Isalamiry umieszczono w górze ze względu na C’baotha.

– Wiesz, nie jestem pewien, czy kupuję tę wersję – stwierdził. – Wydawało mi się, że C’baoth i Thrawn są po tej samej stronie. Mara sama to powiedziała.

– Może się posprzeczali? – zasugerował Skywalker. – Albo Thrawn od początku tylko go wykorzystywał i teraz już go nie potrzebuje? Skoro Imperium nie wie, że tu jesteśmy, isalamiry muszą tu być z jego powodu.

– Hm, taaa… Nie ma znaczenia, po co je tu ściągnęli – zauważył trafnie Solo. – Będą cię blokować równie skutecznie, jak jego. I będziesz miał tu zaraz drugi Myrkr.

– Mara i ja poradziliśmy sobie na Myrkr całkiem nieźle – przypomniał mu Jedi. – Damy radę i tutaj. Tak czy inaczej, jesteśmy już zbyt daleko, by się teraz wycofać.

Solo się skrzywił. Chłopak miał rację, musiał to przyznać. Gdy Imperium przestanie w końcu udawać, że Wayland to tylko kolejna zapyziała planetka, nie będzie szans, by siły Nowej Republiki zdołały się choć do niej zbliżyć.

– Powiesz o tym Marze, nim tam wejdziemy?

– Oczywiście. – Luke spojrzał w niebo. – Ale poinformuję ją o tym po drodze. Lepiej chodźmy, dopóki wciąż jest jasno.

– Racja. – Solo obrzucił okolicę ostatnim spojrzeniem i wstał. Moc czy nie, mieli zadanie do wypełnienia. – W drogę.

Reszta czekała na nich po drugiej stronie wzgórza.

– I jak to wygląda? – spytał Lando, gdy Han i Luke dołączyli do nich.

– Wciąż nie wiedzą, że tu jesteśmy – zameldował Solo, rozglądając się w poszukiwaniu Mary.

Siedziała na ziemi w pobliżu C-3PO i R2-D2, skupiona na stercie kamieni lewitujących przed nią w powietrzu. Luke uczył ją tego typu sztuczek od kilku dni i Han zrezygnował już z prób wybicia mu tego pomysłu z głowy. Teraz i tak wszystko wskazywało na to, że te lekcje były tylko stratą czasu.

– Gotowa zaprowadzić nas do tego tylnego wejścia? – zwrócił się do niej Han.

– Jestem gotowa zacząć go szukać – powiedziała z naciskiem, nie odrywając wzroku od lewitujących kamieni. – Tak jak już mówiłam, widziałam tylko sprzęt wentylacyjny w środku góry. Nie kanały wlotowe.

– Znajdziemy je – zapewnił ich Luke, mijając Hana i idąc w stronę droidów. – Jak się miewasz, Threepio?

– Całkiem nieźle, dziękuję, panie Luke – odpowiedział grzecznie droid. – Ta droga jest znacznie lepsza niż wiele poprzednich. – Stojący u jego boku R2-D2 zaświergotał. – Artoo również jest tego zdania – przetłumaczył C-3PO.

– Nie przyzwyczajajcie się – ostrzegła Mara. Przestała się skupiać na kamieniach, które spadły na ziemię, i wstała. – Wątpię, żebyśmy trafili na prowadzący do góry szlak Myneyrshów, którym moglibyśmy tam dotrzeć. Imperium nie pozwalało im się kręcić w okolicy.

– Nie martwcie się – zapewnił Luke droidy. – Noghri pomogą nam znaleźć ścieżkę.

– Frachtowiec „Złoto Garreta”? Macie pozwolenie na podejście – dobiegł z głośnika na mostku „Eterycznego Szlaku” rzeczowy głos bilbringskiego kontrolera lotów. – Platforma lądownicza numer dwadzieścia pięć. Trzymajcie kurs na boję. Prześlę wam koordynaty platformy.

– Przyjąłem – potwierdził Aves, wklepując w komputer dane, które pojawiły się na wyświetlaczu nawigacyjnym. – Co z osłonami?

– Nie zbaczajcie z kursu, a nie wpadniecie na nie – poinformował go kąśliwie rozmówca. – Wystarczy, że zejdziecie z niego jakieś piętnaście metrów w dowolnym kierunku, a oberwiecie porządnie w dziób. A z tego, co widzę, wasz dziób oberwał już wystarczającą liczbę razy…

Aves łypnął gniewnie na głośnik. „Któregoś dnia – uznał – naprawdę zmęczy mnie ten imperialny sarkazm”.

– Dziękuję – rzucił krótko i się rozłączył.

– Współpraca z imperialnymi to czysta przyjemność, co? – skomentował Gillespee, zasiadający przy stanowisku drugiego pilota.

– Ciekaw jestem, jaką będzie miał minę, gdy damy stąd nogę z ich krystalicznym detektorem pola – mruknął Aves.

– Miejmy nadzieję, że nie będzie nas w pobliżu, byśmy przekonali się o tym na własnej skórze – skwitował Gillespee. – Mają tu dość skomplikowany system naprowadzania.

– Przed wyskokiem Mazzica taki nie był – zauważył Aves, wpatrzony w przedni iluminator. Wzdłuż ich sektora podejścia rozmieszczono jakieś sześć generatorów osłon, zawieszonych w przestrzeni kosmicznej i wytyczających szlak, który prawdopodobnie wskaże im boja. – Pewnie nie chcą, żeby ktoś pałętał się tu samopas.

– Pewnie nie – zgodził się z nim Gillespee. – Mam tylko nadzieję, że zdążyli usunąć wszystkie błędy systemu.

– Ja również. Nie chciałbym być zmuszony im zdradzać, jak mocny łomot jest w stanie wytrzymać ten statek. – Zerknął na panel kontrolny, potwierdził wektor i sprawdził czas.

Flota Nowej Republiki powinna uderzyć na Tangrene za nieco ponad trzy godziny. Wystarczy, by „Eteryczny Szlak” zdążył

zadokować, rozładować specjalnie zmodyfikowane kondensatory impulsowe promieni ściągających, które hojnie przeznaczyli na wkład w działania wojenne Imperium, po czym zająć pozycję wsparcia, z której będzie mógł osłaniać Mazzica, gdy ten zajmie się wykradaniem detektora z głównego centrum dowodzenia.

– Jest i Ellor – zauważył Gillespee, wskazując podbródkiem na prawą burtę.

Aves spojrzał w tym kierunku. Rzeczywiście: nadlatywał „Kai Mir", flankowany przez „Kliveringa". Za nimi widać było „Gwiezdny Lód", kierujący się ku platformie lądowniczej w okolicach obrzeży stoczni. O ile był w stanie stwierdzić, póki co wszystko szło zgodnie z planem.

Choć musiał też przyznać, że w sytuacji, gdy mieli do czynienia z kimś takim jak Thrawn, pozory mogły mylić. Z tego, co wiedział, wielki admirał równie dobrze mógł doskonale zdawać sobie sprawę z tego, że przemytnicy planują ten atak, i czekał tylko, by wpadli w jego pułapkę, nim odetnie im drogę odwrotu…

– Miałeś może jakieś wieści od Karrde'a? – spytał Gillespee pozornie od niechcenia.

– Na pewno nas nie wystawia, Gillespee – warknął Aves. – Jeśli mówi, że ma coś ważniejszego na głowie, to tak jest. Koniec kropka.

– Wiem – stwierdził ugodowo Gillespee. – Pomyślałem po prostu, że inni mogą się zastanawiać…

Aves się skrzywił. Już to przerabiali. Można by pomyśleć, że zdemaskowanie zdrady Ferriera na Hijarnie położyło kres tym podejrzeniom raz na zawsze. Wyglądało jednak na to, że nadzieje były płonne.

– Przecież tu jestem – przypomniał koledze. – Tak samo jak „Gwiezdny Lód", „Ścigający Brzask", „Kąsek Lastriego", „Zguba Amandy" czy…

– Tak, tak, wiem, łapię – wszedł mu w słowo Gillespee. – Nie wściekaj się na mnie, moje statki też tu są.

– Wybacz – bąknął Aves. – Mam już po prostu dość tego, że wszyscy wszystkich wszędzie o wszystko podejrzewają.

Gillespee wzruszył ramionami.

– Jesteśmy przemytnikami – przypomniał mu. – I mamy w tym niezłą wprawę. Jeśli chcesz znać moje zdanie, to i tak jestem zaskoczony, że wszyscy tak długo się ze sobą dogadują. Jak myślisz, co on teraz robi?

– Kto, Karrde? Nie mam pojęcia. – Aves pokręcił głową. – Ale to na pewno coś ważnego.

– Jasne. – Gillespee wskazał jakiś punkt przed nimi. – Czy to nasza boja?

– Na to wygląda. Przygotuj się do skopiowania danych. Gotowi czy nie, lecimy.

Na ekranie łączności Wedge'a pojawiły się rozkazy. Przebiegł je szybko wzrokiem, przełączając się jednocześnie na prywatny kanał grupy.

– Eskadra Łotrów, tu wasz dowódca – rzucił do mikrofonu. – Rozkazy brzmią: lecimy z pierwszą falą, osłaniając krążownik dowodzenia admirała Ackbara. Utrzymajcie szyk, dopóki nie otrzymamy dalszych informacji. Do wszystkich jednostek, potwierdzić.

Potwierdzenia zaczęły napływać jedno po drugim i Wedge uśmiechnął się pod nosem. Wiedział, że kilka osób z otoczenia Ackbara nie było przekonanych co do trafności całego pomysłu. Istniały obawy, że długi lot do punktu zbornego może osłabić czujność i rozleniwić załogi jednostek, które wcześniej oddelegowano do markowanego ataku na Tangrene. Antilles nie wiedział co prawda, jak radzą sobie inni, ale jasne było, że Eskadra Łotrów jest zwarta i gotowa do walki.

– Myślisz, że do Thrawna dotarły nasze sygnały, dowódco? – wyrwał go z zamyślenia głos Jansona.

„Sygnały"? Ach, racja – tamta gadka pod kantyną Mumbri Storve z kumplem Karrde'a, Avesem. Hobbie był święcie przekonany, że te kilka aluzji, które poczynili w jej trakcie, z pewnością szybko dotrze do uszu imperialnego wywiadu.

– Nie wiem, Piątko – wyznał Antilles. – Szczerze mówiąc, mam nadzieję, że nie.

– Jeśli rzeczywiście tak się stało, to straciliśmy tylko niepotrzebnie czas…

– Niekoniecznie – zapewnił go Wedge. – Pamiętasz? Mówił, że mają w zanadrzu jakiś plan, który chcą skoordynować z naszym. Cokolwiek w tej chwili zajmie lub rozproszy Imperium, będzie z korzyścią dla nas.

– Pewnie po prostu zaplanowali sobie na ten termin jakiś grubszy przemyt – prychnął Łotr Sześć. – Licząc na to, że im się uda, podczas gdy Imperium będzie zajęte czym innym…

Nie odpowiedział. Jak się wydawało, Luke Skywalker sądził, że Karrde po cichu kibicuje Nowej Republice – i Wedge'owi to wystarczało. Wiedział jednak, że nie zdoła w żaden sposób przekonać do tego reszty swojej eskadry. Może któregoś dnia przemytnik będzie skłonny opowiedzieć się bardziej zdecydowanie po ich stronie i sprzeciwić się Imperium. Nim jednak do tego dojdzie, zdaniem Antillesa, każdy, kto nie popierał wielkiego admirała, pomagał im – niezależnie od tego, czy był skłonny się do tego przyznać otwarcie, czy też nie.

Czasem nawet nieświadomie.

Na jego ekranie łączności pojawiły się nowe informacje: szpica gwiezdnych krążowników ustawiła się w formacji do ataku. Nadeszła pora, by statki eskorty uczyniły to samo.

– W porządku, Eskadro Łotrów – przemówił. – Mamy zielone światło. Zajmijcie pozycje…

Zwiększył ciąg silników swojego X-winga i skierował się ku lśniącym w oddali światłom pozycyjnym. Jeszcze dwie i pół godziny, jeśli reszta floty będzie się trzymać ustalonego grafiku, i wyjdą z nadprzestrzeni w okolicy stoczni Bilbringi.

„Jaka szkoda – pomyślał – że nie będzie im dane zobaczyć min ludzi Imperium, gdy to się stanie".

Przez ekran przewinęła się najświeższa seria raportów z okolic Tangrene. Pellaeon przebiegł je pobieżnie wzrokiem, krzywiąc się ponuro. Nie mogło być mowy o pomyłce – rebelianci wciąż tam byli. Nadal przerzucali ukradkiem swoje siły w pobliże i starali się nie

zwracać na siebie zbytnio uwagi. A za dwie godziny, jeśli prognozy wywiadu były choć w połowie dokładne, przypuszczą atak na praktycznie pozbawiony ochrony układ.

– Stwarzanie pozorów świetnie im idzie, czyż nie, kapitanie? – zauważył stojący obok niego Thrawn. – Bardzo przekonujące przedstawienie.

– Sir… – bąknął Pellaeon, z trudem ukrywając rozdrażnienie i niepokój. – Z całym należnym szacunkiem, ale chciałbym zasugerować, że zachowanie rebeliantów nie nosi raczej znamion przedstawienia. Zbyt dużo dowodów wskazuje na fakt, że Tangrene rzeczywiście będzie celem ich ataku. Kilka kluczowych jednostek myśliwskich oraz okrętów zajęło punkty sugerujące, że lada chwila przystąpią do…

– Myli się pan, kapitanie – wszedł mu w słowo Thrawn z denerwującym spokojem. – Właśnie o to im chodzi. Chcą, żebyśmy w to uwierzyli, to jednak nic innego jak z najwyższą ostrożnością kreowana iluzja. Statki, o których pan mówi, opuściły rzeczone sektory od czterdziestu do siedemdziesięciu godzin temu, pozostawiając w okolicy zaledwie garstkę załóg we właściwych mundurach, aby zmylić naszych szpiegów. Lwia część ich sił jest właśnie w drodze do Bilbringi.

– Tak jest, sir – potwierdził machinalnie Pellaeon z cichym westchnieniem, boleśnie świadom własnej porażki. Znów to samo. Kolejny raz Thrawn postanowił zignorować jego uwagi, nie mówiąc już o twardych dowodach, aby zamiast tego zawierzyć własnym mglistym przeczuciom i podejrzeniom.

A jeśli się mylił… cóż, to będzie ich kosztowało znacznie więcej niż tylko tangreńską bazę inspektoratu. Błąd na taką skalę wstrząśnie w posadach całą imperialną machiną wojenną, osłabiając jej siłę i pęd.

– W każdą wojnę jest wpisane ryzyko, kapitanie – powiedział cicho Thrawn. – To jednak wcale nie jest tak wielkie ryzyko, jak pan najwyraźniej sądzi. Jeśli się mylę, stracimy bazę inspektoratu. Jest ważna, zgoda, ale trudno byłoby jej przypisywać krytyczne znaczenie. – Podniósł granatowoczarną brew. – Jeżeli jednak okaże się, że to ja miałem rację, istnieje duża szansa, że Rebelia straci flotę

dwóch sektorów. Proszę wyobrazić sobie, jaki to będzie miało wpływ na stosunek sił w tej wojnie.

– Tak jest, sir – potwierdził posłusznie Pellaeon.

Czuł na sobie taksujące spojrzenie wielkiego admirała.

– Nie musi mi pan wierzyć – dodał Thrawn. – Proszę być jednak przygotowanym na przyznanie się do błędu.

– Mam taką szczerą nadzieję – odparł Pellaeon.

– Świetnie. Czy mój okręt jest gotowy, kapitanie?

Pellaeon odruchowo wyprężył się – lata służby robiły swoje.

– „Chimaera" oczekuje na pańskie rozkazy, admirale.

– W takim razie proszę przygotować flotę do skoku w nadprzestrzeń. – Pałające czerwienią oczy zalśniły. – I do bitwy.

Do góry Tantiss nie prowadziły właściwie żadne ścieżki, jednak zgodnie z przewidywaniami Luke'a Noghri mieli smykałkę do rozpoznawania terenu i przystosowywania go do wędrówki. Poruszali się zaskakująco dobrym tempem – nawet mimo spowalniających ich droidów – i gdy słońce chowało się za linią drzew, dotarli już do wlotów powietrza.

Nie wyglądały jednak tak, jak wyobrażał sobie Luke…

– To sprawia raczej wrażenie ruchomej wieżyczki turbolaserów niż systemu wentylacyjnego – mruknął do Hana, gdy ostrożnie przekradali się między drzewami w stronę grubej, metalowej siatki i jeszcze solidniejszej konstrukcji, w której ją osadzono.

– Przypomina ten bunkier, do którego musieliśmy się włamać na Endorze – odparł Solo. – No, może z wyjątkiem tej osłony. Uważaj, mogą mieć system wykrywania intruzów…

W normalnych okolicznościach Jedi wybadałby tunel Mocą. Tutaj jednak, w pobliżu blokujących ją isalamirów, czuł się, jakby był ślepy i głuchy.

Całkiem jak na Myrkr.

Spojrzał na Marę, zastanawiając się, czy dziewczyna myśli o tym samym. Niewykluczone. Nawet w szybko zapadającym zmroku widział napięcie malujące się na jej twarzy, a także niepokój i lęk,

których nie dostrzegał u niej wcześniej, nim znaleźli się w bańce tworzonej przez isalamiry.

– Co teraz? – spytała, łypiąc na niego gniewnie i szybko odwracając wzrok. – Będziemy tu siedzieć do rana i czekać na nie wiadomo co?

Han przyglądał się wlotom szybów przez makrolornetkę.

– Wygląda na to, że pod nawisem znajduje się na ścianie gniazdo komputera – rzucił. – Zostańcie tu. Pójdę tam z Artoo i spróbuję go podpiąć.

Stojący obok niego Chewbacca zaryczał ostrzegawczo.

– Gdzie? – spytał Solo, dobywając blastera.

Wookiee wskazał coś jedną ręką, drugą odbezpieczał kuszę.

Wszyscy zamarli z bronią w pogotowiu… Luke pierwszy usłyszał odległe echo blasterowych strzałów. Ocenił, że dobiegały z odległości jakichś kilku kilometrów w dół stoku. Nie mając jednak do dyspozycji swoich zmysłów Jedi, nie był w stanie stwierdzić tego na pewno.

Skądś z bliska dobiegł ptasi trel.

– Zbliża się grupa Myneyrshów – wyjaśnił Ekhrikhor, nadstawiając uszu. – Noghri ich zatrzymali. Tubylcy chcą przejść i z wami rozmawiać.

– Powiedz im, żeby zostali tam, gdzie są – polecił mu Han, z wahaniem chowając blaster do kabury. Wyciągnął z kieszeni kurtki wypłowiałego pazuroptaka *satna-chakka* i gestem dał C-3PO znak. – Chodź, Złota Tyczko, sprawdźmy, czego mogą chcieć.

Ekhrikhor wymamrotał rozkaz i jeden z Noghrich dołączył bezszelestnie do Solo. Chewbacca zajął miejsce po drugiej stronie i we trójkę ruszyli wraz z drepcącym za nimi i narzekającym C-3PO ku linii drzew.

R2-D2 zaburczał coś niespokojnie, kręcąc kopułką i wodząc fotoreceptorem od Luke'a do oddalającego się złotego droida.

– Nic mu nie będzie – zapewnił go Skywalker. – Han nie pozwoli, by coś mu się stało.

Astromech mruknął coś pod kopułką, prawdopodobnie komentując głębokość pokładów troski, jaką w jego mniemaniu Han żywił o los C-3PO.

– Możliwe, że już wkrótce będziemy mieli na głowie poważniejsze zmartwienia niż stan zdrowia Threepio – skomentował ponuro Lando. – Wydawało mi się, że słyszałem dobiegające od podnóża góry strzały…

– Ja również je słyszałam. – Mara pokiwała głową. – Prawdopodobnie z okolic głównego wejścia do magazynu.

Calrissian obejrzał się przez ramię na potężne wloty szybów.

– Sprawdźmy, czy uda nam się je otworzyć. Gdyby okazało się, że musimy wiać, w ten sposób będziemy mieli jeszcze jedną drogę ucieczki.

Luke spojrzał na Marę, ale dziewczyna znów unikała jego wzroku.

– W porządku – przystał na pomysł przyjaciela. – Ja pójdę pierwszy. Ty weź ze sobą Artoo.

Ostrożnie zaczął się przekradać między drzewami w stronę wylotów szybów. Jeśli nawet były tu zainstalowane jakieś systemy wczesnego ostrzegania, to najwyraźniej nie działały. Bez przeszkód dotarł pod metalowy nawis i przyjrzał się z namysłem siatce, czując, jak włosy mierzwi mu powiew powietrza. Z tej odległości wyglądała raczej na grubą kratę o systemie oczek tworzonych nie przez zwykłe pręty, ale raczej przez coś w rodzaju szerokich listew sięgających kilka centymetrów w głąb tunelu. Nie będzie łatwo, jednak nie było to nic, z czym nie poradziłby sobie miecz świetlny.

Usłyszał dobiegający zza pleców szelest kroków, a gdy się odwrócił, zobaczył Landa i R2-D2.

– Gniazdo jest tam, Artoo – powiedział do droida, wskazując port w bocznej ścianie. – Podepnij się i sprawdź, czy zdołasz się czegoś dowiedzieć.

Droid ćwierknął potwierdzająco i z pomocą Calrissiana zaczął się toczyć w stronę swojego pana po nierównym terenie.

– Wiesz, że nie otworzą nam ot tak po prostu? – doleciał go zza pleców głos Mary.

– Artoo zaraz sprawdzi, co da się zrobić – odpowiedział, przyglądając jej się czujnie. – Wszystko w porządku?

Spodziewał się, że poczęstuje go kolejną ciętą ripostą albo spiorunuje wzrokiem, więc był zaskoczony, gdy chwyciła go za rękę.

– Chcę, żebyś mi coś obiecał – powiedziała cicho. – Cokolwiek się wydarzy… nie pozwól mi przejść na stronę C’baotha. Zrób wszystko, by dopilnować, że tak się nie stanie. Wszystko. Rozumiesz? Nie pozwól mi do niego dołączyć. Nawet gdybyś musiał mnie zabić.

Przyglądał jej się, czując na plecach dziwny dreszcz.

– C’baoth nie może cię zmusić, żebyś do niego dołączyła – powiedział. – Nie wbrew twojej woli.

– Czy nie masz co do tego żadnych wątpliwości? Jesteś stuprocentowo pewien?

Skrzywił się. Moc wciąż miała dla niego tyle tajemnic…

– Nie.

– Ja również – potwierdziła. – I właśnie to mnie niepokoi. C’baoth powiedział mi na Jomarku, że do niego przyjdę… z własnej woli. I powtórzył to tutaj tej nocy, gdy tu przybył.

– Możliwe, że się myli – zasugerował z wahaniem. – Albo kłamie.

– Wolałabym nie ryzykować. – Zacisnęła mocniej palce na jego dłoni. – Nie będę mu służyć, Skywalker. Chcę, byś mi obiecał, że prędzej mnie zabijesz, niż na to pozwolisz.

Luke przełknął głośno ślinę. Nawet pozbawiony dostępu do Mocy słyszał w jej głosie, że mówi poważnie. Ale w jaki sposób jako Jedi mógł obiecać komuś, że zamorduje go z zimną krwią?

– Mogę ci obiecać, że cokolwiek się tam wydarzy, nie będziesz musiała stawiać mu czoła samotnie. Będę tam i ci pomogę.

Odwróciła się od niego.

– A co, jeśli tego nie dożyjesz?

A więc o to chodziło – o walkę, którą toczyła z samą sobą od dnia, gdy się spotkali.

– Nie musisz tego robić – powiedział cicho. – Imperator nie żyje. Ten głos, który słyszysz, to tylko wspomnienie, które w tobie zaszczepił.

– Wiem o tym – warknęła i wśród jej paraliżującego, zimnego strachu Luke wyczuł pełgający płomyczek gniewu. – Sądzisz, że dzięki temu łatwiej mi to ignorować?

– Nie – przyznał. – Ale nie możesz też używać tego głosu jako wymówki. Twoje przeznaczenie spoczywa w twoich rękach, Maro.

Nie C'baotha czy Imperatora. Koniec końców to ty podejmujesz decyzje. To twoje prawo… i odpowiedzialność.

Od strony lasu dobiegły odgłosy kroków.

– W porządku – warknęła, puszczając jego rękę i cofając się o krok. – Możesz sobie głosić te swoje górnolotne frazesy. Pamiętaj tylko, co ci powiedziałam. – Odwróciła się na pięcie w stronę nadchodzącej grupy. – Co jest, Solo?

– Zyskaliśmy sojuszników – wyjaśnił Han, patrząc z lekkim niepokojem na Luke'a. – A przynajmniej coś w tym stylu…

– Hej, Threepio! – zawołał Lando, przyzywając droida machnięciem dłoni. – Chodź no tu i wyjaśnij, co tak zaaferowało Artoo.

– Oczywiście, sir – odrzekł C-3PO, sztywno maszerując w stronę terminala.

Luke obejrzał się na Hana.

– Co masz na myśli, mówiąc: „coś w stylu sojuszników"?

– To trochę… skomplikowane – wyjaśnił Solo. – Jednak tak wynika z tłumaczenia Threepio. Nie chcą nam pomóc, ale chcą wejść do środka i walczyć z Imperium. Śledzili nas, bo uznali, że znajdziemy jakieś tylne wejście, którym mogliby się dostać do wnętrza góry.

Skywalker przyglądał się przez chwilę grupie milczących, czterorękich obcych, górujących nad strzegącymi ich Noghrimi. Każdy był uzbrojony w co najmniej cztery długie noże. Mieli też kusze – dość kiepską broń do walki z zakutymi w pancerze imperialnymi żołnierzami…

– Hm, sam nie wiem. A ty? Co o tym myślisz?

– Hej, Han! – zawołał znów Calrissian, nim Solo zdążył odpowiedzieć przyjacielowi. – Chodź no tu! Wydaje mi się, że powinieneś to usłyszeć…

– Co się stało? – zapytał Solo, gdy podeszli do terminala.

– Powiedz im, Threepio – zachęcił droida Lando.

– Wszystko wskazuje na to, że przypuszczono atak na główne wejście do góry – oznajmił C-3PO z typowym dla niego lekkim zdziwieniem. – Artoo natrafił na kilka raportów dotyczących oddelegowania w ten rejon żołnierzy patrolujących okolicę góry.

– Kto przypuścił ten atak? – przerwał mu Han.

– Wygląda na to, że jacyś Psadanie z miasteczka – zameldował posłusznie droid protokolarny. – Z raportów straży wynika, że zanim zaatakowali, zażądali wydania im ich pana, C'baotha.

Solo zerknął na Luke'a.

– Ten datapad…

– To by się zgadzało – zgodził się z nim Skywalker. Najwyraźniej C'baoth wysłał im wiadomość z sygnałem do ataku. – Ciekaw jestem, jak zdołał im go dostarczyć.

– To by w każdym razie potwierdzało, że jest przetrzymywany w charakterze więźnia – wtrąciła Mara. – Mam nadzieję, że dobrze pilnują jego celi…

– Proszę mi wybaczyć, panie Luke – odezwał się C-3PO, przechylając złocistą głowę na ramię – ale co się tyczy datapada, o którym wspomniał kapitan Solo, to przypuszczam, że trafił w ich ręce tak samo jak broń. Z raportów wynika, że…

– Jaka znów broń? – nie dał mu dokończyć Han.

– Właśnie miałem do tego przejść – zauważył C-3PO z lekką pretensją w głosie. – Z raportów straży wynika, że napastnicy są uzbrojeni w blastery, przenośne wyrzutnie pocisków i detonatory termiczne. Dość nowoczesne modele, jeśli wierzyć meldunkom.

– Mniejsza o to, skąd ją wytrzasnęli – zniecierpliwił się Lando. – Rzecz w tym, że mamy do czynienia z bardzo dogodną dla nas dywersją. Wykorzystajmy to, dopóki wciąż tam są.

Chewbacca zaryczał nieufnie pod nosem.

– Masz rację, staruszku – zgodził się z nim Solo, zaglądając przez kratę do środka szybu. – Podejrzanie dobrze zgrane w czasie. Ale Lando ma rację, musimy to wykorzystać.

– W porządku. – Calrissian kiwnął głową. – Artoo? Wyłącz system.

Astromech ćwierknął potwierdzająco i jego ramię złącza komputerowego zawirowało w gnieździe. Powiew powietrza na twarzy Luke'a zaczął słabnąć i minutę później całkowicie zamarł.

R2-D2 znów zaświergotał.

– Artoo mówi, że wszystkie systemy operacyjne tego wlotu zostały wyłączone – obwieścił C-3PO. – Ostrzega jednak, że chociaż cykl

pracy dobiegł końca, bariery przeciwpyłowe i pola napędowe mogą zostać aktywowane z centrum sterowania.

– W takim razie lepiej bierzmy się do roboty – skwitował Luke, zapalając miecz świetlny i podchodząc do wlotu szybu.

Cztery ostrożne cięcia później mieli już dostęp do tunelu.

– Chyba jest czysto – stwierdził Han, wślizgując się ostrożnie do środka i kuląc się pod zapewniającą nieco osłony ścianą. – Światła serwisowe oświetlają spory kawałek tunelu. Artoo, czy zdołasz wyszperać jakieś plany tego miejsca?

Droid zaburczał, wtaczając się za nim do środka.

– Bardzo mi przykro, sir – przetłumaczył C-3PO. – Artoo mówi, że ma kompletne plany systemu wentylacyjnego, ale za pośrednictwem tego terminala nie zdołał uzyskać schematów samej placówki.

– Po drodze na pewno znajdziemy inne gniazda – zadecydował Lando. – Czy zostawiamy straże?

– Zostanie tu jeden z Noghrich – zamiauczał z wysokości łokcia Hana Ekhrikhor. – Dopilnuje, by nikt się tu nie kręcił.

– Świetnie – stwierdził Solo. – Ruszajmy.

Uszli jakieś piętnaście metrów w głąb tunelu i docierali właśnie do pierwszego z przytłumionych świateł serwisowych, które dostrzegł wcześniej Solo, gdy Luke zauważył nagle, że podążają za nimi milczący Myneyrshowie.

– Han? – bąknął, pokazując ręką za siebie.

– Taaa, wiem – mruknął Solo. – Ale co mam z nimi zrobić? Odesłać ich do domu?

Skywalker obejrzał się znów za siebie. Oczywiście Solo miał rację. Jednak noże i kusze przeciwko blasterom…

– Ekhrikhorze?

– Co rozkażesz, synu Vadera?

– Chciałbym, by dwójka twoich ludzi poszła z tymi Myneyrshami – poprosił Noghriego. – By ich prowadzili i pomogli im podczas ataku.

– Ale to ciebie mieliśmy chronić, synu Vadera – zaprotestował Ekhrikhor.

– Będziecie mnie chronić – zapewnił go Skywalker. – Każdy imperialny żołnierz, z którym Myneyrshowie zdołają się rozprawić,

oznacza jedno zmartwienie dla nas mniej. Nie zdołają jednak nikogo zabić, jeśli zginą w pierwszym starciu.

Noghri wydał z siebie bliżej nieokreślony gardłowy dźwięk, sugerujący niezadowolenie.

– Słucham i jestem posłuszny – potwierdził w końcu niechętnie i dał gestem znak dwóm swoim pobratymcom.

Luke patrzył w ślad za nimi, kiedy wycofywali się na tyły grupy, gdy nagle w nikłym świetle jednej z lamp dostrzegł wyraz twarzy Mary. Wciąż malował się na niej strach, jednak towarzyszyła mu ponura determinacja. Cokolwiek czekało ich we wnętrzu góry, była gotowa stawić temu czoła.

Mógł mieć tylko nadzieję, że on również.

– No i jesteśmy – oznajmił Karrde, wskazując na szczyt góry wznoszącej się nad lasem w gęstniejącym mroku.

– Jesteś pewien, że to tutaj? – spytała go Leia, sięgając Mocą tak daleko, jak zdołała. Na Bespinie podczas tamtej szalonej ucieczki z Miasta w Chmurach była w stanie wyczuć z niemal tak samo dużej odległości wezwanie Luke'a. Teraz jednak… nie wyczuwała zupełnie nic.

– Tak by wynikało ze wskazań nawigacji – poinformował ją Talon. – Chyba że przejrzeli mały spisek Ghenta i podali nam fałszywe dane. – Obejrzał się na nią przez ramię. – Czujesz coś?

– Nie. – Leia obrzuciła górę spojrzeniem z żołądkiem ściśniętym nagłym strachem. Chociaż robili, co w ich mocy, najwyraźniej przybyli za późno… – Pewnie są już w środku.

– W takim razie mają kłopoty – oświadczył Ghent od stanowiska łączności, przy którym wciąż dopieszczał swój fałszywy imperialny kod identyfikacyjny. – Kontrola lotów twierdzi, że przy wejściu wybuchły jakieś zamieszki. Kierują nas na zapasowe, awaryjne lądowisko, jakieś dziesięć kilometrów na północ.

– Będziemy musieli zaryzykować i spróbować ich wywołać. – Leia pokręciła głową.

– To zbyt niebezpieczne – zaprotestował Dankin, pełniący obowiązki drugiego pilota. – Jeśli przyłapią nas na korzystaniu

z obcego kanału, mogą spróbować nas zestrzelić.

– Może jest inny sposób – wtrącił Mobvekhar, podchodząc do Lei. – Ekhrikhor z klanu Bakh'tor zostawił z pewnością straże w punkcie, w którym przeniknęli do wnętrza góry. Istnieje pewien noghryjski sygnał rozpoznawczy, który można nadać za pomocą świateł lądowania.

– Czyń honory – zaprosił go Karrde. – Jeśli ci z garnizonu coś zauważą, zawsze możemy wymówić się usterką. Chin, Corvis, pilnujcie ekranów.

Noghri podszedł do pulpitu obsługiwanego przez Dankina, po czym kilkakrotnie włączył i wyłączył światła. Leia wyglądała przez iluminator, próbując obserwować całą górę jednocześnie. Jeśli Han i inni przekroczyli linię zmierzchu…

– Mam! – zameldował Corvis z wieżyczki turbolaserów. – Kierunek zero-zero-trzy przecinek jeden-siedem.

Księżniczka spojrzała nad ramieniem Karrde'a na współrzędne, które pojawiły się na ekranie nawigacyjnym. Rzeczywiście, teraz to dostrzegała: ledwie widoczne, migające światło.

– Są tam – potwierdził Mobvekhar.

– W porządku – mruknął Talon. – Ghent, potwierdź, że zgodnie z rozkazami podchodzimy do lądowania na tej zapasowej platformie. Radczyni Organa Solo? Radziłbym usiąść i porządnie się przypiąć. Za chwilę będziemy mieli nieoczekiwaną awarię repulsorów.

Gdy Leia przyglądała się widniejącym w dole drzewom i sterczącym spośród nich zwietrzałym skałom, wydawało jej się niemożliwe, by statek o rozmiarach „Dzikiego Karrde'a" zdołał gdzieś tu wylądować. Jednak jego właściciel i załoga najwyraźniej robili to już nie pierwszy raz – wystrzelona w ostatniej chwili z głuchym terkotem i precyzyjnie wycelowana turbolaserowa salwa wystarczyła, by zapewnić im dość miejsca na w miarę bezpieczne posadzenie transportowca na ziemi.

– Co teraz? – spytał Dankin, gdy Karrde znów włączył repulsory.

Talon obejrzał się na Leię, podnosząc pytająco brew.

– Zamierzam tam wejść – oświadczyła. Przed oczami wciąż majaczyła jej wizja Luke'a i Mary. – Nie musicie iść ze mną.

– Radczyni Organa Solo i ja pójdziemy poszukać jej przyjaciół – poinformował Dankina Talon, rozpinając uprząż i wstając z fotela. – Ghent, ty spróbuj przekonać garnizon, że nie potrzebujemy pomocy.

– A co ze mną? – spytał Dankin.

Karrde uśmiechnął się pod nosem.

– Ty przygotujesz wszystko, na wypadek gdyby mu nie uwierzyli. Radczyni Organa Solo? Chodźmy.

Gdy zeszli po trapie „Dzikiego Karrde'a", nigdzie nie widać było śladu Noghriego, który odpowiedział na ich sygnał.

– Gdzie on jest? – spytał przemytnik, rozglądając się uważnie dookoła.

– Czeka – wyjaśnił Mobvekhar, osłaniając usta dłonią i wydając z siebie skomplikowany gwizd. Chwilę później odpowiedziało mu podobne gwizdnięcie, przechodzące w modulowany trel. – Nasza tożsamość została potwierdzona – zakomunikował. – Mówi, że powinniśmy się spieszyć. Reszta jest zaledwie jakieś piętnaście minut przed nami.

Kwadrans… Leia wpatrywała się w oświetloną jedynie światłem gwiazd sylwetkę góry. Za późno, by ich ostrzec, ale może uda się im pomóc…

– Chodźmy. Szkoda czasu – rzuciła.

– Chwileczkę – powstrzymał ją Karrde, zerkając za jej ramię. – Musimy zaczekać na… O, właśnie.

Gdy się odwróciła, spostrzegła idącego w ich stronę korytarzem od strony rufy mężczyznę w średnim wieku, prowadzącego na smyczy dwa długonogie czworonogi.

– Proszę, kapitanie – powiedział człowiek, podając Talonowi smycze.

– Dzięki, Chin. – Karrde wziął je od niego i przykucnął, żeby podrapać zwierzaki za uszami. – Chyba nie miała pani okazji poznać moich udomowionych vornskrów, radczyni Organa Solo? To Drang, a ten odrobinę nieufny nazywa się Sturm. Na Myrkr używają Mocy, aby polować na swoje ofiary. Tutaj pomogą nam znaleźć Marę. Prawda?

Vornskry wydały z siebie dziwny odgłos, coś jak jazgotliwy pomruk.

– Świetnie – powiedział przemytnik, wstając. – Sądzę, że teraz jesteśmy już gotowi. Ruszajmy.

Rozdział 25

Gdy Han ostrożnie wyjrzał za róg, alarmy wciąż wyły. Z planów piętra, które R2-D2 wydobył dla nich z jednego z terminali, wynikało, że znaleźli się w pobliżu głównego stanowiska kontroli zewnętrznego systemu obronnego tej części garnizonu. Bardzo prawdopodobne, że będą się tu kręcili strażnicy – i to czujni.

Jego przewidywania się sprawdziły. Pięć metrów w głąb korytarza, po obu stronach ciężkich drzwi pancernych, stała dwójka szturmowców. Owszem, byli czujni – wystarczająco, by dostrzec intruza obserwującego ich z ukrycia i natychmiast wziąć go na cel.

Najmądrzejszą reakcją w tej sytuacji – czymś, co zrobiłby każdy, kto nie miał skłonności samobójczych – byłoby zanurkowanie za róg, nim żołnierze oddadzą choćby strzał. Zamiast tego jednak Han złapał się jedną ręką krawędzi ściany, aby się od niej odepchnąć i skoczyć na drugą stronę korytarza dostępu. Udało mu się tam dotrzeć tuż przed posłanymi w ślad za nim promieniami energii i rozpłaszczyć się na ścianie, gdy salwy odłupywały spore kawałki metalowych paneli tuż za nim.

Szturmowcy wciąż strzelali, kiedy Chewbacca wychylił się zza rogu, zza którego przed momentem wyprysnął jego przyjaciel, i zakończył imprezę dwiema szybkimi, celnymi salwami z kuszy.

– Dobra robota, Chewie – mruknął Solo, oglądając się pospiesznie za siebie, a potem znikając znów za rogiem.

Szturmowcy zostali skutecznie wyeliminowani, co oznaczało, że jedyną przeszkodą na drodze ich trójki była teraz pancerna gródź.

Która, podobnie jak szturmowcy, nie powinna stanowić zbyt wielkiego problemu. A przynajmniej nie dla nich.

– Gotów? – spytał, przykucając po jednej stronie drzwi i podnosząc blaster. Wewnątrz czekała na nich druga para strażników.

– Gotów – potwierdził Luke.

W ciszy rozległ się syk i buczenie aktywowanego ostrza, które chlasnęło poziomo tuż przy głowie Hana, tnąc przez gruby metal grodzi. Gdzieś po drodze natrafiło na mechanizm zwalniający i gdy Jedi kończył cięcie, górna część drzwi wsunęła się na szynach w sufit.

Sposób, w jaki szturmowcy byli zwróceni w stronę drzwi, świadczył dobitnie o tym, że słyszeli strzelaninę na zewnątrz. A także o tym, że nie spodziewali się towarzystwa – a z pewnością nie tak szybko. Solo sprzątnął jednego z nich, nim tamten uniósł blaster do strzału, a Luke zanurkował tuż nad dolną częścią drzwi, zawijając po drodze mieczem i skutecznie unieszkodliwiając drugiego.

Imperialni żołnierze przy konsolach czujników również najwyraźniej nie spodziewali się wizyty. Wciąż jeszcze szukali broni i kryjówek, gdy Han i Chewie zabrali się do eliminowania jednego po drugim. Kilkanaście strzałów później pomieszczenie zmieniło się w stertę tlącego się złomu.

– To powinno załatwić sprawę – ocenił Solo. – Lepiej stąd spadajmy, nim zjawią się posiłki.

Na szczęście siły Imperium, zmuszone radzić sobie z zamieszkami przy głównym wejściu oraz bandą Myneyrshów włóczących się po terenie góry, miały znacznie spowolniony czas reakcji. Trójka intruzów zdołała bez przeszkód wrócić korytarzem do awaryjnej klatki schodowej i zejść trzy piętra niżej do przepompowni, gdzie czekała już na nich reszta.

Gdy Han wszedł do środka, dwóch Noghrich stało w milczeniu na straży tuż za drzwiami.

– Jakieś problemy? – zawołał Lando. Jego głos dobiegał spośród plątaniny rur, która zdawała się wypełniać pomieszczenie w dwóch trzecich.

– Nieszczególnie – odpowiedział Solo, gdy Chewbacca zamknął i zablokował za nimi drzwi. – Nie mam jednak ochoty tego powtarzać.

– Wątpię, byś miał okazję – mruknął po nosem Calrissian.– W tej chwili powinni być już święcie przekonani, że wkrótce nastąpi atak z powietrza.

– Miejmy nadzieję – bąknął Han, podchodząc do Landa manipulującego kontrolkami czegoś, co wyglądało na zdecydowanie przestarzały panel kontrolny. R2-D2 był podpięty do jego gniazda z boku, podczas gdy C-3PO przestępował w pobliżu z nogi na nogę niczym podenerwowana kwoka. – Niezły staroć, co?

– Żebyś wiedział – zgodził się z nim Lando. – Wydaje się, że Imperator zgarnął skądś cały kompleks klonowania i go po prostu tu wrzucił.

R2-D2 zaburczał z oburzeniem.

– Racja, łącznie z oprogramowaniem – dodał cierpko Calrissian. – Znam się odrobinę na tym sprzęcie, Han, ale nie dość, żeby doprowadzić do jakichś trwałych uszkodzeń. Chyba będziemy musieli użyć ładunków…

– Nie mam nic przeciwko – stwierdził Solo. Wolałby, aby się nie okazało, że targali je tu przez cały Wayland na darmo. – Gdzie Mara?

– Tam – odpowiedział Lando, wskazując głową drugie drzwi, na wpół skryte między rurami. – W głównym pomieszczeniu.

– Lepiej rzućmy na nią okiem, młody – mruknął Han. Nie podobała mu się myśl, że Mara włóczy się tu samotnie. – Chewie, zostań tu z Landem. Sprawdź, czy jest tu coś, co warto by wysadzić.

Podszedł do drzwi i otworzył je panelem dostępu. Za nimi znajdowała się szeroka, okrągła kładka biegnąca wokół – jak się zdawało – dużej, naturalnej jaskini. Tuż przed nimi, na tle potężnej kolumny aparatury przechodzącej przez środek pomieszczenia, stała Jade, wsparta o poręcz kładki.

– Czy to… to miejsce? – spytał Han, rozglądając się dookoła i idąc w jej stronę.

Na kładkę wychodziło około dwadzieściorga drzwi, rozmieszczonych po jej obwodzie w mniej lub bardziej regularnych odstępach, cztery rozsuwane pomosty prowadziły od niej do platformy serwisowej otaczającej centralny rdzeń. W zasięgu wzroku nie było widać nikogo oprócz pary Noghrich pełniących straż pod ścianami.

Było za to sporo słychać. Solo przysłuchiwał się chwilę dobiegającym skądś stłumionym szumom maszynerii, punktowanym

przez ciche kliknięcia przekaźników, oraz osobliwemu, rytmicznemu pulsowaniu… czy też może świstowi? Zupełnie jakby cała jaskinia oddychała…

– Tak, to tutaj – potwierdziła dziewczyna dziwnym głosem. Może ona również sądziła, że ten dźwięk przypomina oddychanie? – Chodźcie. Zobaczcie sami.

Han obejrzał się na Luke'a. Wspólnie podeszli do Mary i spojrzeli w dół.

O tak – to zdecydowanie było miejsce, którego szukali – nie mogło być mowy o pomyłce.

Jaskinia była olbrzymia. Ciągnęła się w dół co najmniej dziesięć pięter poniżej ich kładki. Miała układ areny sportowej – każdy z poziomów stanowił coś w rodzaju okrągłego balkonu, biegnącego wokół wnętrza jaskini pod jej ścianami. Każda z galerii była nieco szersza niż ta nad nią i wysunięta coraz dalej ku centrum pomieszczenia, w którym stała kolumna z aparaturą. Wszędzie było pełno rur: wielkie wychodziły z szybów w centralnej kolumnie, mniejsze biegły wokół krawędzi każdego z tarasów, a te całkiem maleńkie, które z nich wychodziły, prowadziły do równych metalowych kręgów umieszczonych na balkonach i głównym poziomie.

Były tu też tysiące małych kółek. Z których każde stanowiło pokrywę cylindra klonującego Spaarti.

Z gardła Luke'a, stojącego tuż obok Hana, wydobył się dziwny odgłos.

– Trudno w to uwierzyć – wykrztusił z mieszanką podziwu i osłupienia.

– Lepiej uwierz – poradził mu ponuro Han, wyciągając makrolornetkę i patrząc przez nią na główny poziom poniżej. Większość pola widzenia przesłaniały rury i przewody, jednak co jakiś czas dostrzegał tu i ówdzie sylwetki przemykających w dole mężczyzn w mundurach techników medycznych i strażników. Widać ich było również na niektórych balkonach. – Podminowani, jakby grunt palił im się pod nogami – skomentował. – Z tymi szturmowcami na głównym poziomie i całą resztą… – Spojrzał z ukosa na Marę, która ze ściągniętą z napięcia twarzą patrzyła na

zbiorniki klonujące. Jej udręczona mina nasuwała skojarzenia z kimś, kto spogląda w środek swojej przeszłości. – Wracają wspomnienia, co? – zagadnął.

– Tak – odparła machinalnie. Stała jeszcze w milczeniu przez chwilę, aż wreszcie się wyprostowała. – Ale nie możemy tego tak tu zostawić.

– Cieszę się, że jesteśmy tego samego zdania – skwitował, przyglądając się jej uważnie. Sprawiała wrażenie kogoś, kto nad sobą panuje, widział jednak wyraźnie, że w środku jest poruszona. „Trzymaj się, młoda – powiedział do niej w myśli. – Wytrzymaj jeszcze odrobinę, dobra?”. – Obstawiam, że najpierw powinnyśmy się zająć tą kolumną pośrodku. Wiesz coś na jej temat?

– Nie bardzo. – Dziewczyna podniosła na nią wzrok, a po krótkim wahaniu dodała: – Możliwe jednak, że jest też inna opcja. Imperator nie lubił zostawiać swoich zabawek niechronionych, tak by inni mogli się nimi bawić. Nie, jeśli mógł temu zapobiec.

Han zerknął na Luke’a.

– Chcesz powiedzieć, że ta cała buda może mieć jakiś mechanizm autodestrukcji?

– Niewykluczone – przyznała i w jej oczach znów pojawiła się udręka. – Jeśli tak, mechanizm spustowy będzie się znajdował w sali tronowej na górze. Mogłabym się tam przejść i rozejrzeć…

– No, nie wiem – mruknął Solo, popatrując na ściany jaskini. Miejsce było dość duże jak na jedną torbę pełną ładunków, musiał to przyznać. Autodestrukcja znacznie ułatwiłabym im zadanie. Jednak gdyby ktoś spytał go o zdanie, Mara z jej wspomnieniami i sala tronowa Imperatora nie stanowiły zbyt dobrego połączenia. – Dzięki, ale sądzę, że nikt z nas nie powinien się włóczyć po tym miejscu samotnie.

– Pójdę z nią – zaoferował się Luke. – Ona ma rację, warto to sprawdzić.

– Powinno być dość bezpiecznie – dodała Jade. – Obok kładki jest turbowinda dla droidów serwisowych, którą pokonamy większość drogi. Poza tym uwagę imperialnych i tak będą w głównej mierze pochłaniać zamieszki przy wejściu.

Han się skrzywił.

– W porządku, idźcie – mruknął. – Tylko nie zapomnijcie nas powiadomić, nim wciśniecie guzik, dobra?

– Spokojna głowa – zapewnił go Luke z szerokim uśmiechem. – Chodź, Maro.

Ruszyli kładką przed siebie.

– A oni dokąd? – dobiegł zza pleców Hana głos Landa.

– Do sali tronowej Imperatora – wyjaśnił Solo. – Mara sądzi, że Imperator mógł tam umieścić włącznik systemu autodestrukcji. Znaleźliście coś?

– Artoo zdołał się wreszcie wpiąć do głównego komputera – poinformował go Calrissian. – Szuka teraz planów tego ustrojstwa. – Wskazał na centralną kolumnę.

– Nie możemy tak tu bezczynnie czekać – stwierdził Han, odwracając się w tej samej chwili, w której Chewbacca wyszedł z przepompowni z torbą ładunków wybuchowych przewieszoną przez ramię. – Chewie, zajmijcie się z Landem jednym z tych wysuwanych pomostów.

– W porządku – potwierdził Calrissian, wyglądając ostrożnie za barierkę. – A ty?

– Ja chciałbym nas tu zamknąć – poinformował go Solo, wskazując na pozostałe drzwi wychodzące na kładkę. – Wy tam… Noghri, chodźcie no tu.

Dwóch Noghrich stojących na straży zbliżyło się bezszelestnie, podczas gdy Lando i Chewbacca skierowali się ku najbliższemu pomostowi.

– Jakie są twoje rozkazy, Hanie z klanu Solo? – spytał jeden z nich.

– Ty… zostaniesz tutaj – polecił temu stojącemu bliżej Han. – Miej oczy i uszy otwarte, na wypadek gdyby coś się działo. – A ty… – Wskazał drugiego. – Pomóż mi zablokować te drzwi. Po jednym strzale z blastera w panel kontrolny powinno wystarczyć. Ja zacznę z tej strony, ty idź w przeciwną.

Pokonał jakieś dwie trzecie swojej części pomostu, gdy wyłowił jakiś nowy dźwięk pośród dziwnego dyszenia jaskini w dole. Gdy się obejrzał za siebie, zobaczył C-3PO przyzywającego go gestem z wejścia do przepompowni.

– Cudownie – mruknął pod nosem. Daj coś Threepio do roboty, a prędzej czy później coś skrewi. Dokończył pracę przy drzwiach, przy których zastał go gest droida, i spiesznym krokiem ruszył w jego stronę.

– Kapitanie Solo! – krzyknął z ulgą C-3PO, gdy Han był już blisko. – Dzięki Stwórcy! Artoo mówi, że…

– Co ty najlepszego wyprawiasz? – warknął Solo. – Chcesz nam ściągnąć na głowy cały garnizon?

– Oczywiście, że nie, sir – zapewnił go prędko droid protokolarny. – Ale Artoo mówi…

– Jeśli chcesz coś ode mnie, to do mnie przyjdź. Czy to jasne?

– Tak, sir. Ale Artoo…

– A jeśli nie wiesz, gdzie mnie szukać, użyj komunikatora – nie dał mu skończyć Han, dźgając palcem w stronę niewielkiego cylindra, który droid trzymał w dłoni. – Właśnie po to go masz. Nie musisz wrzeszczeć! Zrozumiano?

– Tak, sir – zapewnił go C-3PO. Jego mechaniczna cierpliwość była zdecydowanie na wyczerpaniu. – Czy mógłbym dokończyć?

Solo westchnął. Cóż, to tyle, jeśli chodzi o pouczanie droida. Lepsze rezultaty osiągnąłby, gadając do banthy.

– Tak. O co chodzi?

– O pana Luke'a – wyjaśnił C-3PO. – Słyszałem, jak jeden z Noghrich mówił, że on i panienka Mara poszli do sali tronowej Imperatora.

– Poszli. I co z tego?

– Cóż, sir, podczas przeglądania plików Artoo natknął się na informację, z której wynika, że mistrz Jedi Joruus C'baoth przebywa w areszcie właśnie w tym rejonie.

Han gapił się na niego przez chwilę bez słowa.

– Co masz na myśli, mówiąc „w tym rejonie"? – spytał wreszcie. – Nie zamknęli go w bloku więziennym?

– Nie, sir – zapewnił go C-3PO. – Jak już wspomniałem…

– Dlaczego nic nie powiedziałeś? – naskoczył na niego Han, szarpnięciem odpinając od pasa komunikator i aktywując go… aby równie szybko wyłączyć.

– Wygląda na to, że łączność została odcięta – wyjaśnił usłużnie C-3PO. – Odkryłem to, gdy próbowałem się z panem skontaktować.

– Wspaniale – warknął Solo, wciąż słysząc w uszach echo szumu zakłóceń i rozglądając się dookoła.

Luke i Mara idą wprost w łapy C'baotha… A on nie ma ich nawet jak ostrzec.

Chociaż… czy aby na pewno?

– Niech Artoo dalej szuka tych planów – przekazał C-3PO, przypinając komunikator z powrotem do pasa. – A skoro jest już w systemie, powiedz mu, żeby sprawdził, czym spowodowane jest zakłócenie. Jeśli mu się uda namierzyć jego źródło, niech wyśle tam kilku Noghrich, żeby spróbowali zrobić z tym porządek. A potem idź na tę platformę serwisową i powiedz Chewiemu i Landowi, dokąd poszedłem.

– Oczywiście, sir – potwierdził przyjęcie rozkazów C-3PO, nieco zaskoczony ich liczbą oraz wagą powierzonych mu obowiązków. – A czy mógłbym spytać, dokąd pan idzie?

– A jak myślisz? – rzucił przez ramię Solo, ruszając kładką w drugą stronę. Po drodze pomyślał kwaśno, że w całym tym ambarasie zawsze istniała jedna rzecz, której mógł być pewien: gdziekolwiek byli i cokolwiek robili, on jakimś cudem zawsze kończył, uganiając się za Lukiem.

Nie mówiąc już o tym, że wszystko to z każdą chwilą utwierdzało go coraz mocniej w przekonaniu, że dobrze się stało, że się tu z nimi wybrał.

– W porządku, „Złoto Garreta", włazy zabezpieczone – oświadczył kontroler lotów. – Przygotujcie się na odbiór danych kursu powrotnego.

– Przyjąłem, kontrolo – potwierdził Aves, odłączając „Eteryczny Szlak" od ramienia dokującego i zaczynając spokojnie zawracać. Byli gotowi, a z tego, jak się sprawy miały, wnioskował, że pozostali również.

– Jest – mruknął pod nosem Gillespee, wskazując na iluminator. – Punktualnie co do minuty.

– Jesteś pewien, że to Mazzic? – spytał go Aves, popatrując na statek.

– Absolutnie. Chcesz, żebym go wywołał?

Aves wzruszył ramionami, wodząc wzrokiem po terenie stoczni. Przekazali reszcie grupy całkiem niezły kod, jednak nie byłoby zbyt mądrze używać kodu, gdy nie było ku temu konieczności.

– Lepiej wstrzymajmy się jeszcze chwilę – poprosił Gillespeego. – Zaczekajmy, dopóki będzie o czym gadać.

Ledwie Aves zdążył wymówić te słowa, rozpętało się istne piekło.

– Gwiezdne niszczyciele! – warknął Faughn od konsoli łączności. – Wychodzą z nadświetlnej.

– Wektory podejścia? – spytał Gillespee.

– Nie zawracaj sobie tym głowy – rzucił Aves, czując, jak wnętrzności przeszywa mu lodowate ostrze strachu. Widział je doskonale tuż przed sobą. Gwiezdne niszczyciele wychodzące z nadprzestrzeni na skraju stoczni. A także drednoty. Oraz fregaty typu Lancer i krążowniki uderzeniowe, jak również eskadry myśliwców TIE.

Pełna flota szturmowa – i nie tylko.

A na miejscu były niemal wszystkie uzbrojone jednostki z konfederacji przemytniczej Karrde'a.

W samym środku…

– A więc to była pułapka… – powiedział Gillespee lodowatym, spokojnym głosem.

– Na to wygląda – zgodził się z nim Aves, wpatrując się z napięciem w armadę wciąż zajmującą pozycje. Pozycje… hm… z którymi coś było dziwnie nie w porządku.

– Aves, Gillespee? Tu Mazzic – dobiegł z głośnika głos ich kolegi. – Wygląda na to, że ktoś nas wypucował. Tak czy inaczej, nie zamierzam się poddać bez walki. A wy?

– Chyba zasługują na to, żeby popsuć im chociaż kilka gwiezdnych niszczycieli – zgodził się z nim Gillespee.

– Dokładnie tak samo pomyślałem – odparł Mazzic. – Szkoda, że Karrde'a tutaj nie ma, żeby zobaczył, jak odchodzimy w blasku chwały…

Aves poczuł na sobie wzrok Gillespeego i Faughna. Wiedział, że zginą przekonani, że Karrde ich zdradził. Wszyscy oni zginą z tą myślą.

– Jestem z wami – powiedział cicho. – Mazzic? Jeśli chcesz, możesz objąć dowodzenie.

– Dzięki – rzucił Mazzic. – I tak miałem je sobie przyznać sam. Przygotujcie się. Spróbujemy przypuścić wstępny atak całą grupą…

Aves zerknął ostatni raz na armadę… i nagle go olśniło.

– Chwila – wstrzymał ich. – Mazzic i cała reszta! Czekajcie. Ta flota nie zjawiła się tu z naszego powodu.

– Co ty bredzisz? – spytał Gillespee.

– Tamte krążowniki przechwytujące… – wskazał Aves. – Te tam, za grupą gwiezdnych niszczycieli. Widzicie je? Spójrzcie tylko na ich pozycję…

Nastała chwila ciszy. Mazzic załapał jako pierwszy.

– To nie jest szyk okrążający – zauważył ostrożnie.

– Masz rację – przytaknął Gillespee. – Patrzcie, za nimi jest druga grupa.

– To szyk zasadzki – dodał Mazzic zdumionym głosem, jakby nie wierzył we własne słowa. – Przymierzają się do ściągnięcia kogoś z nadprzestrzeni. A później utrzymania go w miejscu na chwilę wystarczająco długą, by spuścić mu porządny łomot.

Aves zerknął na Gillespeego, który odwzajemnił spojrzenie.

– Nie – wykrztusił ten ostatni. – Nie myślisz chyba, że… Wydawało mi się, że mieli uderzyć na Tangrene!

– Mnie też się tak zdawało – stwierdził ponuro Aves, znów czując w trzewiach lodowaty chłód. – Wygląda jednak na to, że obaj się myliliśmy…

– Chyba że to Thrawn się pomylił. – Gillespee wyjrzał przez iluminator na armadę, ale po chwili pokręcił smutno głową. – Nie. Nie ma na to szans.

– No dobra, panowie, nie panikujmy – wtrącił Mazzic. – Jeśli zjawią się siły Nowej Republiki, będzie to oznaczało tylko więcej roboty dla Imperium. Trzymajmy się zatem planu i zaczekajmy na rozwój wydarzeń.

– Jasne – westchnął Aves. W samym środku gniazda Imperium, podczas ataku sił Nowej Republiki. Wprost cudownie.

– Wiesz co, Aves? – zagadnął go Gillespee. – Jeśli wyjdziemy z tego cało, pogadam sobie z twoim szefem.

– Nie mam nic przeciwko. – Aves obrzucił spojrzeniem armadę Thrawna. – Jeśli chcesz znać moje zdanie, to ja również.

Mara ostrożnie wynurzyła głowę zza awaryjnej osłony klatki schodowej i zerknęła na korytarz. Ostrożność okazała się zbędna: na tym poziomie nie widać było żywej duszy, podobnie jak na trzech poprzednich.

– Droga wolna – mruknęła, wychodząc na korytarz.

– Tu też żadnych strażników? – spytał Skywalker, dołączając do niej i rozglądając się czujnie dookoła.

– Nie mieliby tu zbytnio czego szukać – stwierdziła. – Poza salą tronową i apartamentami Imperatora na wyższych poziomach nigdy nie było nic godnego szczególnej uwagi.

– I chyba nadal tak jest. Gdzie ta prywatna turbowinda?

– Po prawej, za rogiem. – Wskazała kierunek, pokazując blasterem.

Bardziej chyba z przyzwyczajenia niż z realnej potrzeby, kierując się w głąb korytarza, starała się stąpać bezszelestnie. Gdy dotarli do przecięcia i skręcili za róg… powitał ich widok dwóch szturmowców. Stali jakieś dziesięć metrów dalej, strzegąc drzwi turbowindy, i właśnie podnosili blastery do strzału.

Pchana siłą rozpędu, niezdolna błyskawicznie zawrócić, mogła tylko paść plackiem na ziemię. Zanurkowała na podłogę, oddając po drodze desperacki strzał. Jeden ze szturmowców upadł na wznak, gdy jego napierśnik przeszyła blasterowa błyskawica. Lufa drugiego karabinu zniżyła się do poziomu jej twarzy…

I drgnęła, gdy w stronę szturmowca poszybował miecz świetlny Skywalkera, pędząc wprost na niego.

Oczywiście prowizoryczny pocisk nie wyrządził żołnierzowi żadnej krzywdy – z tej odległości, w dodatku pozbawiony wsparcia Mocy, Luke nie był w stanie dobrze wycelować. To jednak

wystarczyło. Szturmowiec się zdekoncentrował, a Mara nie czekała, aż się otrząśnie. Gdy zanurkował odruchowo w poszukiwaniu kryjówki przed wirującym szaleńczo ostrzem, zdjęła go dwoma celnymi strzałami. Runął na podłogę i znieruchomiał.

– Chyba nie chcą, żeby ktoś się tu kręcił – zauważył Skywalker, podchodząc do niej.

– Pewnie nie – przytaknęła, ignorując jego wyciągniętą dłoń i wstając o własnych siłach. – Chodźmy.

System wagonika turbowindy był zablokowany, a kabina unieruchomiona na tym poziomie, ale Marze wystarczyła minuta, by obejść blokadę. Na wyświetlaczu widniały tylko cztery pozycje: piętro, na którym się znajdowali, awaryjny hangar promów, apartamenty Imperatora oraz sala tronowa. Zaznaczyła ostatnią i drzwi zamknęły się za nimi z cichym sykiem. Podróż nie trwała długo – kilka sekund później drzwi po przeciwnej stronie kabiny się rozsunęły. Zagryzając zęby, Mara wyszła na zewnątrz… przez próg sali tronowej Imperatora, wprost w objęcia wspomnień.

Wszystko wyglądało dokładnie tak samo, jak zapamiętała. Przytłumione boczne światła i mrok, który tak cenił sobie Imperator podczas swoich medytacji i rozmyślań. Wyniesione nad podłogę podium na odległym krańcu komnaty, z którego zasiadając na swoim tronie, mógł patrzeć, jak goście wspinają się po schodach, aby mu się pokłonić. Ekrany na ścianach po obu stronach tronu – teraz wygaszone – dzięki którym mógł śledzić sytuację na terenie swoich włości…

Całości zaś dopełniał…

Zwróciła się w lewo, spoglądając nad poręczą przejścia na rozległą, otwartą przestrzeń naprzeciw tronu. W nieprzeniknionym mroku majaczyła zapierająca dech w piersi miniatura: dwudziestometrowa wersji galaktyki.

Nie był to jednak standardowy hologram, podobny do tych wykorzystywanych w szkołach czy spółkach transportowych, o nie. Nie można go było nawet porównać z bardziej dokładnymi wersjami, z których korzystało tylko kilka wojskowych centrów dowodzenia wybranych sektorów. Hologram, na który patrzyła, został zaprojektowany z dbałością o najdrobniejsze szczegóły –

każda świetlna plamka na nim idealnie odpowiadała każdej ze stu miliardów gwiazd galaktyki. Regiony poszczególnych wpływów politycznych zaznaczono delikatnymi plamami kolorów: układy Jądra, Zewnętrzne Rubieże, Dzika Przestrzeń, Nieznane Regiony… Z wysokości swojego tronu Imperator mógł modyfikować obraz według uznania, podświetlając dany sektor, namierzając samotny układ bądź też śledząc wybraną kampanię zbrojną.

Było to w równej mierze dzieło sztuki co narzędzie. Wielki admirał Thrawn byłby z pewnością zachwycony.

Ta myśl sprawiła, że wspomnienia zaczęły niechętnie ustępować miejsca twardym faktom. To właśnie Thrawn był obecnie u władzy – człowiek… czy może raczej obcy, który pragnął ukształtować Imperium zgodnie z własną wizją. I zależało mu na tym tak bardzo, że był gotów rozpętać nowe wojny klonów, gdyby tylko zdołał dzięki temu dopiąć swego.

Wzięła głęboki oddech.

– W porządku. – Jej słowa rozbrzmiały echem w sali, spychając wspomnienia jeszcze dalej na krańce pamięci. – Jeśli rzeczywiście tu jest, powinien być wmontowany w tron.

Skywalker z widocznym trudem oderwał wzrok od hologramu galaktyki.

– Sprawdźmy to.

Ramię w ramię ruszyli dziesięciometrowym przejściem prowadzącym od turbowind do głównej części sali tronowej, mijając po drodze umieszczoną wyżej kładkę, biegnącą tuż przed hologramem, oflankowaną z obu stron wyniesionymi platformami strażniczymi obok schodów. Mara zerknęła w ich stronę, gdy wraz ze Skywalkerem zaczęli się wspinać na podwyższenie, i przypomniała sobie odzianych w czerwone szaty imperialnych gwardzistów, którzy niegdyś pełnili tu straż, cisi i czujni. W lukach między stopniami migały szczegóły centrum kontrolnego umieszczonego pod tronem, teraz pogrążonego w mroku i ciszy. Oprócz systemu wyświetlania hologramu galaktyki wszystkie urządzenia były najwyraźniej wyłączone.

Dotarli do szczytu schodów i skierowali się ku zwróconemu do nich tyłem tronowi, skierowanemu siedziskiem ku wypolerowanej

skalnej ścianie za nim. Mara przyglądała mu się właśnie, zastanawiając się półprzytomnie, dlaczego właściwie Imperator zostawił go tyłem do swojej galaktyki… gdy fotel zaczął się obracać.

Widząc to, złapała Skywalkera za ramię i podniosła blaster, aby wziąć tron na cel. Gdy fotel znieruchomiał…

– A więc w końcu do mnie przyszliście – powiedział ze złowieszczą satysfakcją w głosie Joruus C'baoth, patrząc na nich z wysokości swojego siedziska. – Wiedziałem, że tak się stanie. Wspólnie nauczymy galaktykę, co to znaczy służyć Jedi.

Rozdział 26

– Wiedziałem, że dziś do mnie przyjdziecie – powtórzył C'baoth, wstając powoli ze swojego tronu, aby spojrzeć na nich z góry. – Wiedziałem o tym od chwili, gdy opuściliście Coruscant. Właśnie dlatego wysłałem tej nocy moich ludzi z miasteczka, by zaatakowali moich ciemiężców.

– To nie było konieczne – powiedział Luke, mimowolnie cofając się o krok, gdy powróciły wspomnienia tamtego spotkania na Jomarku. Spotkania, które nieomal zakończyło się tragicznie. C'baoth starał się wtedy przeciągnąć go na ciemną stronę… a gdy mu się to nie udało, próbował zabić ich oboje: Marę i Luke'a.

Skywalker wiedział jednak, że ta sztuczka nie uda się ponownie. Nie tutaj. Nie wtedy, gdy starzec nie miał do dyspozycji Mocy.

– Ależ oczywiście, że było – zapewnił go C'baoth. – Potrzebowaliście dywersji, aby móc dotrzeć do mojego więzienia. Oni zaś, jak wszystkie istoty niższego rzędu, potrzebowali wymówki. A jaki lepszy cel mógłbym im dać niż zaszczyt śmierci w służbie Jedi?

Stojąca obok Luke'a Mara mruknęła coś pod nosem.

– Chyba opacznie interpretujesz fakty – zauważył ostrożnie Skywalker. – Jedi stali na straży pokoju. Byli sługami Starej Republiki, nie jej włodarzami.

– I właśnie dlatego Stara Republika upadła, Jedi Skywalkerze – odparł C'baoth, wycelowując w niego palec dla podkreślenia wagi swoich słów. – Upadła… a oni wyginęli.

– Stara Republika trwała przez tysiąc pokoleń – burknęła Mara. – Dla mnie to nie brzmi jak porażka.

– Może i nie – wycedził C'baoth z wyraźną pogardą. – Bo jesteś młoda i brakuje ci jasności osądu.

– W przeciwieństwie do ciebie, jak mniemam?

– Ależ oczywiście, moja młoda uczennico – powiedział cicho C'baoth, uśmiechając się do niej dobrotliwie. – W rzeczy samej.

I możesz być pewna, że przeleję tę łaskę i na ciebie.

– Nie licz na to – warknęła. – Nie przybyliśmy tu, by cię uwolnić.

– Mocy nie obchodzi, co sądzicie ani jakie są wasze cele – zauważył C'baoth. – Podobnie nie powinni przejmować się tym ci, którzy naprawdę nią władają. Niezależnie od tego, czy zdajecie sobie z tego sprawę, czy też nie, przybyliście tu na moje wezwanie.

– Wierz sobie, w co chcesz – wypluła Mara, wskazując blasterem w bok. – Odsuń się. Ruchy.

– Oczywiście, moja młoda uczennico. – C'baoth postąpił trzy kroki we wskazanym kierunku. – Ma silną wolę – dodał pod adresem Luke'a, gdy Mara podeszła ostrożnie do tronu i przykucnęła obok niego, żeby przyjrzeć się uważnie podłokietnikom z wbudowanymi w nie panelami kontrolnymi. – Zaiste, będzie potężna w galaktyce, którą wspólnie zbudujemy…

– Nie. – Luke pokręcił zdecydowanie głową. To była prawdopodobnie jego ostatnia szansa, by zawrócić szalonego Jedi ze ścieżki zła, którą podążał. Aby go ocalić. Tak samo jak zdołał ocalić Vadera na pokładzie drugiej Gwiazdy Śmierci. – Nie jesteś w stanie niczego zbudować, mistrzu. Jesteś… chory. Ale jeśli tylko mi pozwolisz, mogę ci pomóc. Mogę cię uleczyć.

– Jak śmiesz rzucać podobne kalumnie? – wycedził starzec, a jego twarz pociemniała od gniewu. – Jak mogły przyjść ci do głowy podobne oszczerstwa na temat wielkiego mistrza Jedi C'baotha?!

– Niestety, taka jest smutna prawda – powiedział łagodnie Luke. – Nie jesteś mistrzem Jedi C'baothem. A przynajmniej nie tym prawdziwym. W archiwach Floty Katańskiej są na to dowody. Jorus C'baoth zginął wiele lat temu, uczestnicząc w projekcie „Lot Pozagalaktyczny".

– Jakim więc cudem stoję tu przed tobą?

– Owszem, stoisz – zgodził się z nim Luke. – To prawda. Nie zmienia to jednak faktu, że nie jesteś Jorusem C'baothem. Bo, widzisz… w rzeczywistości jesteś jego klonem.

C'baoth zamarł.

– Nie – wykrztusił. – Nie. To niemożliwe…

– Nie ma innego wyjaśnienia. – Skywalker pokręcił głową. – I jestem pewien, że tobie również przeszło to w pewnym momencie

przez myśl.

C’baoth zaczerpnął głęboko tchu, wyraźnie roztrzęsiony… i nagle odrzucił głowę na plecy, wybuchając gromkim śmiechem.

– Uważaj na niego – warknęła Mara, mierząc starca czujnym spojrzeniem znad podłokietnika tronu. – Tej samej sztuczki próbował na Jomarku, pamiętasz?

– Spokojnie – mruknął cicho Skywalker. – Nie zdoła nas skrzywdzić.

– Och, Skywalkerze, Skywalkerze… – C’baoth zaśmiał się, kręcąc głową. – I ty też? Najpierw wielki admirał Thrawn, później Nowa Republika, a teraz ty… Co to za nagła obsesja klonów i klonowania? – Zaśmiał się ponownie, aby za chwilę, bez ostrzeżenia, śmiertelnie spoważnieć. – Oni… nie rozumieją, Jedi Skywalkerze – powiedział z przekonaniem. – Ani wielki admirał Thrawn, ani cała reszta. Prawdziwa potęga Jedi nie leży w tych prostych sztuczkach, w manipulowaniu materią czy energią. Prawdziwą siłą Jedi jest to, że my i tylko my w całej galaktyce dysponujemy potęgą pozwalającą nam przerosnąć nas samych. Rozciągnąć nasze „ja” na najdalsze zakątki wszechświata.

Luke zerknął na Marę, która w odpowiedzi wzruszyła tylko ramionami, wyraźnie zbita z tropu.

– My również tego nie rozumiemy – powiedział, zwracając się do C’baotha. – Wyjaśnij nam, proszę, co dokładnie masz na myśli.

Starzec uszedł krok w jego stronę.

– To ja tego dokonałem, Jedi Skywalkerze – szepnął. Jego oczy lśniły w półmroku. – To ja uczyniłem to generałowi Covellowi. Nawet sam Imperator nie zdołał nigdy dokonać czegoś takiego. Ująłem jego umysł we własne ręce… i zmieniłem go. Przeformowałem i przekonstruowałem na własne podobieństwo.

Luke poczuł, jak po kręgosłupie przebiega mu zimny dreszcz.

– Co masz na myśli, mówiąc: „przekonstruowałem”?

C’baoth kiwnął dobitnie głową. Po jego ustach błąkał się cień porozumiewawczego uśmiechu.

– O tak, właśnie tak: przekonstruowałem go. Ale to dopiero początek! Pod nami, w trzewiach góry, przez cały czas wzrasta armia przyszłych Jedi, którzy będą gotowi nam służyć. A ja

powtórzę to, co uczyniłem generałowi Covellowi, jeszcze raz. Dokonam tego ponownie i znów, raz za razem. Bo prawda, której wielki admirał Thrawn nie jest w stanie dostrzec i której nigdy nie pozna, jest taka, że armia, którą jak sądzi, tworzy dla siebie, w istocie będzie służyła mi.

I nagle to do Luke'a dotarło! Klony hodowane w jaskini na dole były nie tylko identyczne ze swoimi matrycami w ujęciu fizycznym. Miały również jednakowe umysły – bądź też na tyle podobne, by różniły się od wzorca jedynie w minimalnym stopniu. Gdyby C'baoth zdołał się dowiedzieć, w jaki sposób przejąć umysł któregokolwiek z nich, mógłby zrobić to samo ze wszystkimi klonami z tej matrycy…

Spojrzał ze zgrozą na Marę. Ona też się tego domyślała.

– Nadal sądzisz, że zdołasz go ocalić? – spytała go ponuro.

– Nikt mnie nie musi ocalać, Maro Jade – zapewnił ją C'baoth. – Powiedz mi: naprawdę wierzysz, że po prostu pozwoliłbym się uwięzić tutaj wielkiemu admirałowi?

– Wątpię, czy pytał cię o pozwolenie – parsknęła Mara, odchodząc od tronu. – Nie mamy tu czego szukać, Skywalker. Zabierajmy się stąd.

– Nie pozwoliłem wam odejść – oświadczył C'baoth dziwnie dźwięcznym i władczym głosem. Podniósł dłoń i Luke dostrzegł, że trzyma w niej niewielki cylinder. – Więc nie zrobicie tego.

Mara machnęła swoim blasterem w jego stronę.

– Tym nas nie powstrzymasz – wypluła, nie siląc się nawet na ukrycie pogardy. – Zdalny aktywator musi mieć co aktywować.

– I ma – powiedział C'baoth, uśmiechając się pod nosem. – Moi żołnierze wszystko dla mnie przygotowali. Nim wysłałem ich na zewnątrz z bronią i rozkazami dla moich poddanych.

– Jasne. – Mara cofnęła się o krok w stronę schodów, rzucając czujne spojrzenie na sufit nad swoją głową. Lewą dłonią wymacała poręcz oddzielającą wyniesioną część sali tronowej od niższego poziomu. – Wierzymy ci na słowo.

C'baoth pokręcił głową.

– Nie musicie – powiedział cicho, wciskając jakiś guzik.

Luke poczuł w głębi umysłu jakieś odległe echo bardzo obcego okrzyku bólu…

I nagle, niespodziewanie zalała go fala nagłej świadomości i siły. Zupełnie jakby przebudził się z głębokiego snu albo wyszedł z ciemnego pomieszczenia wprost w blask – Moc znów z nim była.

– Maro! – krzyknął.

Było jednak za późno. Blaster został wyrwany z jej dłoni niewidzialną siłą i poszybował przez salę, a gdy Luke skoczył w jej stronę, z wyciągniętych dłoni C'baotha wytrysnęły błyskawice oślepiającego, białoniebieskiego światła. Wyładowania uderzyły w sam środek jej piersi, a siła impetu pchnęła ją na poręcz za jej plecami.

– Przestań! – wykrzyknął Skywalker, zasłaniając ją własnym ciałem i zapalając swój miecz świetlny.

C'baoth zignorował go jednak, posyłając w ich stronę drugą falę lśniących błyskawic. Luke przyjął większość z nich na ostrze miecza, krzywiąc się boleśnie, gdy kilka zbłąkanych wyładowań poraziło jego mięśnie. C'baoth tymczasem posłał ku nim trzecią roziskrzoną salwę, potem czwartą, piątą…

Aż nagle, bez zapowiedzi, opuścił dłonie.

– Nie będziesz mi rozkazywał, Jedi Skywalkerze – powiedział dziwnie rozdrażnionym tonem. – To ja jestem mistrzem. Ty zaledwie sługą.

– Nie jestem twoim sługą – odparł Luke, cofając się i obrzucając Marę pobieżnym spojrzeniem. Utrzymywała się jakoś na nogach, wsparta o poręcz. Oczy miała otwarte, ale dziwnie zamglone, a gdy wypuszczała powietrze przez zaciśnięte zęby, z jej gardła wydarł się cichy, zbolały jęk. Luke położył jej wolną rękę na ramieniu – krzywiąc się, gdy do jego nozdrzy dotarł swąd ozonu – i spróbował wybadać, czy została poważnie ranna.

– Ależ owszem, jesteś – zapewnił go C'baoth. Wcześniejsze rozdrażnienie zastąpiły na powrót niezachwiana pewność siebie i arogancja. – Podobnie jak ona. Zostaw ją, Jedi Skywalkerze. Potrzebowała nauczki i ją otrzymała.

Luke nie odpowiedział. Wyglądało na to, że obrażenia nie są poważne, jednak mięśnie dziewczyny wciąż mimowolnie drgały.

Sięgnąwszy ku niej Mocą, spróbował ukoić nieco jej ból…

– Powiedziałem: zostaw ją – powtórzył C’baoth. Jego głos odbił się dziwnym echem od ścian sali tronowej. – Jej życie nie jest zagrożone. Lepiej oszczędzaj siły na próbę, którą dla ciebie przygotowałem. – Teatralnym gestem uniósł w powietrze dłoń i wskazał jakiś punkt.

Gdy Luke spojrzał w tę stronę, spostrzegł na tle lśniącego hologramu galaktyki postać ubraną w brązową szatę z kapturem, taką jak ta, którą nosił szalony mistrz Jedi. Postać dziwnie znajomą…

– Nie masz wyboru, mój drogi Jedi – powiedział C’baoth z zadumą, niemal łagodnie. – Czy nie rozumiesz? Musisz mi służyć, inaczej nie będziemy w stanie ocalić galaktyki przed nią samą. Właśnie dlatego musisz stawić czoła śmierci i stanąć u mojego boku… lub zginąć, aby u mojego boku mógł stanąć ktoś inny. – Podniósł wzrok na mroczną postać i skinął dłonią. – Chodź! – zawołał. – I zmierz się ze swoim przeznaczeniem.

Postać ruszyła w stronę schodów, po drodze odpinając od pasa miecz świetlny. Na tle plamy światła rzucanej przez hologram za jej plecami twarz tej osoby wciąż pozostawała skryta w głębokim cieniu.

Luke odsunął się od Mary, czując narastające w głębi czaszki dziwne napięcie i rezonowanie. Ta konfrontacja miała w sobie coś niepokojąco znajomego – całkiem jakby za chwilę miał się zmierzyć z kimś, kogo spotkał już wcześniej…

I nagle sobie przypomniał. To było na Dagobah, podczas szkolenia Jedi, gdy Yoda wysłał go do jaskini ciemnej strony… Tamta krótka, przypominająca senny koszmar walka z Darthem Vaderem…

Wstrzymał oddech, ogarnięty straszliwym przeczuciem… Ale nie, milcząca postać zbliżająca się do niego była za niska jak na Vadera. Kto to w takim razie mógł być?

I nagle nieznajomy wstąpił w plamę światła, a Luke przypomniał sobie – zbyt późno – jak zakończyło się tamto starcie w jaskini: maska Vadera pękła, odsłaniając… twarz Luke’a.

Tę samą, która przyglądała mu się teraz beznamiętnie.

Skywalker poczuł, że cofa się mimowolnie od schodów. Umysł miał sparaliżowany przerażeniem i narastającym uciskiem w głębi czaszki.

– Właśnie tak, Jedi Skywalkerze – dobiegł go zza pleców cichy głos C'baotha. – On jest tobą. To Luuke Skywalker, stworzony z dłoni, którą zostawiłeś w Mieście w Chmurach na Bespinie. Uzbrojony w miecz świetlny, który tam straciłeś.

Luke zerknął na broń w rękach klona – zgadza się, to był jego dawny miecz. Ten sam, który, jak twierdził Obi-Wan, zostawił dla niego jego ojciec…

– Dlaczego? – wykrztusił.

– Abyś zrozumiał – powiedział z powagą C'baoth. – A także dlatego, że musisz wypełnić swoje przeznaczenie. W ten czy inny sposób będziesz mi służył.

Luke obrzucił go szybkim spojrzeniem.

Starzec patrzył na niego, a w jego oczach widać było wyczekiwanie… i szaleństwo.

I właśnie w tym momencie klon zaatakował.

Skoczył na szczyt schodów, zapalając swój miecz świetlny i chlaszcząc błękitnobiałym ostrzem prosto w pierś Luke'a. Skywalker odskoczył na bok, podnosząc własną broń, by zablokować cios. Ostrza starły się z impetem, który pozbawił go równowagi i niemal wyrwał miecz z uścisku palców. Klon zanurkował natychmiast ku niemu, zawijając już mieczem do kolejnego ataku. Zaczerpnąwszy Mocy, młody Jedi uskoczył w tył, szybując saltem nad poręczą i lądując na jednej z platform dla gwardzistów, wyniesionych ponad niższy poziom sali tronowej. Potrzebował czasu, by zastanowić się, co robić, oraz w jakiś sposób pozbyć się rozpraszającego buczenia, które rozbrzmiewało w jego umyśle.

Jednak jego klon nie zamierzał mu na to pozwolić. Podszedł do barierki i cisnął swój miecz, celując w podstawę platformy, na której stał Luke. Rzut nie był zbyt dobrze wymierzony – ostrze cięło tylko przez połowę podstawy – co jednak wystarczyło, by podwyższenie przechyliło się gwałtownie na bok.

Sięgając znów po Moc, Luke wykonał kolejne salto w tył, próbując dotrzeć na kładkę, która przecinała salę tronową jakieś pięć metrów za nim. Odległość była jednak zbyt duża – a może po prostu był zbyt rozkojarzony z powodu rzężenia w umyśle? – by zdołał porządnie wspomóc swoje ruchy Mocą. Uderzył mocno tyłem kolana w krawędź kładki i zamiast wylądować na niej pewnie obiema nogami, runął ciężko na wznak.

– Nie chciałem ci tego robić, Jedi Skywalkerze! – zawołał C'baoth. – I nadal nie chcę. Dołącz do mnie! Pozwól, bym cię nauczał! Wspólnie możemy ocalić galaktykę i pokonać prymitywne istoty, które chcą ją zniszczyć.

– Nie – wychrypiał Luke. Chwycił się wspornika i podciągnął, z trudem łapiąc oddech.

Luuke odzyskał już swój miecz świetlny i schodził ku niemu po schodach.

Klon. Jego klon. Czy to właśnie jego obecność wywierała tę dziwną presję na umysł Luke'a? Czy działo się tak, bo w pobliżu przebywała jego własna kopia, która również posiłkowała się Mocą?

Nie wiedział – podobnie jak nie miał pojęcia, dlaczego C'baoth postanowił ich ze sobą skonfrontować. Zarówno Obi-Wan, jak i mistrz Yoda ostrzegali go, że zabijanie w gniewie lub z powodu nienawiści prowadzi na ciemną stronę. Czy zabicie własnego klona również mogło do tego doprowadzić?

A może C'baothowi chodziło o coś zupełnie innego? Czy liczył na to, że uśmiercając swoją kopię, Luke popadnie w szaleństwo?

Tak czy inaczej, Skywalker wolał się o tym nie przekonywać na własnej skórze. I nagle do niego dotarło, że wcale nie musi tego robić. Mógł zeskoczyć z kładki po drugiej stronie, dotrzeć do turbowindy, którą dotarli tu z Marą, i uciec…

Zostawiając ją na pastwę szalonego Jedi…

Spojrzał w górę. Dziewczyna wciąż ciężko opierała się o poręcz. Prawdopodobnie była półprzytomna. A już z pewnością nie była w stanie, który pozwalałby na ucieczkę z tego miejsca o własnych siłach.

Zacisnąwszy zęby, wstał. Mara prosiła go – błagała – aby zabił ją, byle tylko C'baoth nie dostał jej w swoje ręce. Mógł przynajmniej

zostać z nią do samego końca.

Niezależnie od tego, czy to będzie koniec jej… czy jego własny.

Odgłos eksplozji wstrząsnął w posadach jaskinią, odbijając się echem od jej ścian niczym odległy grom – dobrze słyszalny, a jednak osobliwie przytłumiony.

– Słyszałeś to, Chewie? – spytał Lando, wychylając się za barierkę i zerkając ostrożnie za skraj platformy. – Myślisz, że coś tam w dole wybuchło?

Chewbacca, z łapami pełnymi kabli i przewodów wypełniających szkielet kolumny z aparaturą, poprawił go krótkim rykiem. To nie była jedna eksplozja, ale raczej kilka jednoczesnych mniejszych wybuchów. Być może małe dyski eksplozyjne albo coś o równie niskiej mocy.

– Jesteś pewien? – spytał nie do końca przekonany Calrissian, zerkając na zbiorniki klonujące na balkonie poniżej. – To nie brzmiało jak efekt zwykłej usterki.

Widział teraz wyraźnie smużki dymu wzbijające się leniwie w powietrze nad rurami dostarczającymi substancje odżywcze do pokryw zbiorników klonujących. Całe mnóstwo smużek dymu – ich liczba rosła w zastanawiająco regularny sposób. Całkiem jakby w każdej grupie cylindrów Spaarti coś wybuchło…

Nagle jego uszu dobiegł stłumiony szczęk metalu uderzającego o metal. Gdy odwrócił się gwałtownie, zobaczył C-3PO schodzącego ostrożnie z kładki na platformę serwisową. Droid pochylał lekko głowę, próbując zajrzeć w głąb jaskini.

– Czy to dym? – spytał. Brzmiał przy tym tak, jakby nie był do końca pewien, czy naprawdę chce to wiedzieć.

– Na to wygląda – potwierdził Lando. – Co tu robisz?

– Och… – C-3PO poderwał złocistą głowę. – Artoo znalazł plany tej kolumny z aparaturą – wyjaśnił, podając Calrissianowi datakartę. – Sugeruje, że warto się przyjrzeć złączce przepływu ujemnego na głównej linii zasilania.

– Będziemy to mieli na uwadze – zapewnił go Lando, wsuwając kartę do datapada i zerkając szybko za barierkę, nim podał

urządzenie Chewiemu. On i Wookiee nie rzucali się zbytnio w oczy na tle szarawej kolumny i skalnego sufitu nad ich głowami, jednak C-3PO z pewnością wyróżniał się w tym otoczeniu niczym złoty samorodek w kałuży błota. – A teraz zmykaj stąd, nim ktoś cię zauważy.

– Och – bąknął C-3PO, sztywniejąc jeszcze bardziej niż zazwyczaj. – Tak, oczywiście. Artoo zdołał również zlokalizować źródło zakłóceń łączności w okolicy. Kapitan Solo mówił, że jeśli nam się to uda…

– Jasne – wszedł mu w słowo Calrissian. Czy za jednym z szeregów cylindrów Spaarti na niższym piętrze coś się właśnie nie poruszyło? – Pamiętam. Zajmijcie się tym razem z Artoo. I weźcie ze sobą kilku Noghrich.

– Mamy się tym… zająć? – spytał zaskoczony droid. – Artoo i ja? Ale, sir…

Nie zdołał dokończyć, bo nagle, z odgłosem przypominającym parsknięcie tauntauna, z balkonu poniżej wystrzeliła w górę smuga błękitnego światła.

– Strzał ogłuszający! – warknął Lando, padając na platformę. Zawtórował mu głuchy huk, gdy Chewbacca rozpłaszczył się na ziemi tuż obok niego. Z dołu poleciała druga salwa, odbijając się od kolumny tuż nad jego głową, gdy wyszarpywał z kabury blaster. – Threepio? Wynoś się stąd! – rzucił pospiesznie komendę.

Droidowi nie trzeba było dwa razy powtarzać.

– Tak jest, sir! – rzucił przez ramię, drepcząc pospiesznie kładką z powrotem.

Chewbacca zaryczał pytająco.

– Gdzieś stamtąd – odpowiedział Lando, wskazując w dół blasterem. – Uważaj. Za chwilę może być ich więcej…

Trzeci strzał trafił w spód platformy, nie robiąc im najmniejszej krzywdy. Tym razem Lando zauważył żołnierza kulącego się za jednym z cylindrów klonujących. Wystrzelił do niego dwukrotnie, powalając go na ziemię i rozbijając przy tym cylinder. Tuż nad głową Calrissiana przemknął kolejny strzał, oddany skądś z tyłu, a ułamek sekundy później odpowiedziało mu szczęknięcie kuszy Chewbakki.

Lando uśmiechnął się pod nosem. Bywali już w gorszych opałach. A dopóki znajdowali się w pobliżu tak newralgicznego sprzętu, dopóty imperialni żołnierze nie ośmielą się użyć przeciwko nim niczego groźniejszego od promieni ogłuszających. Z kolei ci tam w dole byli właściwie pozbawieni osłony lepszej od zbiorników klonujących. Co oznaczało, że nie mogli właściwie robić nic poza tkwieniem tam i próbami ostrzeliwania ich, a także czekaniem, aż przeciwnik podziurawi ich jak sita, niszcząc przy okazji sporo cennego sprzętu.

Chyba że przyjdzie im do głowy wspiąć się poziom wyżej i spróbować znaleźć czystą linię strzału…

Rozpłaszczony po drugiej stronie kolumny Chewbacca zawarczał: żołnierze się wycofywali.

– Pewnie wybierają się tu do nas – skomentował Calrissian, oglądając się na drzwi wokół kładki. Wydawały się solidne – pewnie tylko trochę mniej wytrzymałe od pancernych grodzi montowanych na pokładach okrętów. Jeśli Han i Noghri sumiennie wykonali swoje zadanie i zablokowali je na dobre, mogły wytrzymać przez chwilę nawet atak bardzo zdeterminowanych szturmowców.

Wszystkie… z wyjątkiem drzwi do przepompowni, w której pracował R2-D2. Han zostawił je otwarte, by mogli przez nie wyjść.

Lando się skrzywił, ale nie miał wyjścia. Wspierając lufę blastera o dolną część poręczy, wycelował ostrożnie w panel kontrolny ostatnich drzwi i wystrzelił. Osłona skrzynki rozbłysła i zapadła się w sobie. Przez kilka sekund Lando widział tryskające z niej pośród kłębów dymu snopy iskier…

To musiało wystarczyć. Imperialni mieli odcięty dostęp do tego poziomu.

A on i Chewbacca utknęli w środku.

Trzymając się nisko, przepełzł na drugą stronę kolumny. Chewbacca zabrał się już z powrotem do pracy – położył datapad obok siebie na podłodze, a jego śliskie od smaru palce szperały między rurami i kablami.

– Jakieś postępy? – spytał go Lando.

Chewie zaryczał, klepiąc niezdarnie stopą w datapad i Calrissian wyciągnął szyję, żeby spojrzeć na ekran. Widniał na nim schemat

głównego kabla zasilania, ukazujący złącze z ośmioma rozgałęzieniami.

Tuż nad nimi, wyraźnie oznaczony, znajdował się regulator przepływu dodatniego.

– Oho – mruknął Lando, ogarnięty złym przeczuciem. – Chyba nie myślisz o poprowadzeniu go do złącza przepływu ujemnego, o którym wspomniał Threepio?

W odpowiedzi Wookiee wynurzył dłonie spośród kabli. W jednej z nich trzymał częściowo odmontowaną złączkę przepływu ujemnego.

– Chwileczkę – bąknął mężczyzna, przyglądając się jej z niepokojem. Słyszał opowieści o tym, co się działo, gdy podłączyło się złącze przepływu ujemnego do detonatora przepływu ujemnego, a używanie zamiast detonatora regulatora przepływu dodatniego nie wydawało się wcale lepszym pomysłem. – Co właściwie chcesz zrobić?

Wookiee odpowiedział. Okazało się, że Lando dobrze się domyślał. Użycie regulatora wcale nie było bezpieczniejsze. Jeśli chodzi o ścisłość, było znacznie bardziej niebezpieczne…

– Tylko bez przesady, Chewie – jęknął Lando. – Przyszliśmy tu, żeby zniszczyć cylindry klonujące, a nie zawalić sobie na głowy cały magazyn…

Chewbacca zaryczał z uporem.

– W porządku, w takim razie niech to będzie plan awaryjny – westchnął Calrissian.

Wookiee zamruczał ugodowo i wrócił do pracy.

Lando tymczasem skrzywił się, schował blaster i wyjął z torby dwa ładunki wybuchowe. Równie dobrze mógł się czymś zająć, podczas gdy będzie starał się wymyślić jakiś sposób na wydostanie się stąd mimo zablokowanych drzwi i korytarza pełnego szturmowców.

A jeśli będą zmuszeni skorzystać z planu wprawienia rdzenia zasilania w rezonans arytmiczny… w takim wypadku wydostanie się stąd w zasadzie przestanie być problemem.

Rozsuwając kable jedną ręką, zabrał się do roboty.

Zegar zabrzęczał, sygnalizując, że do wyjścia z nadprzestrzeni zostało pięć sekund. Wedge wziął głęboki oddech. Już prawie czas… Sięgnął do dźwigni hipernapędu…

Cętkowany tunel nadprzestrzeni rozmył się w jasne smugi, które po chwili zmieniły się w gwiazdy. Dookoła niego pojawiły się maszyny pozostałych członków Eskadry Łotrów, utrzymując formację. Przed nimi dało się dostrzec charakterystyczne kształty i światła stoczniowych konstrukcji.

Przybyli do stoczni Bilbringi. Tyle tylko, że byli zbyt daleko od nich. Co mogło oznaczać tylko jedno…

– Alarm bojowy! – rozległ się głos Łotra Dwa. – Nadlatują TIE interceptory. Z kierunku dwa-dziewięć-trzy przecinek dwa-zero.

– Do wszystkich statków, zarządzam tryb gotowości bojowej – rozbrzmiał chrapliwy głos admirała Ackbara. – Szyk obronny. Dowództwo myśliwców, zająć pozycje osłaniające. Wszystko wskazuje na to, że to pułapka.

– Pewnie, że tak – mruknął do siebie pod nosem Wedge, skręcając ostro na lewo. Zaryzykował szybkie spojrzenie na wyświetlacze. Jak można się było spodziewać, spostrzegł krążowniki przechwytujące, które wyciągnęły ich tu z nadprzestrzeni. Trzymały się spory kawałek za potężną flotą, która zaczynała zajmować pozycje bojowe. A sądząc z formacji, w jakiej się ustawiały tworzące ją jednostki, statki Nowej Republiki raczej nie miały co liczyć na to, że w najbliższej przyszłości uda im się skoczyć w nadświetlną…

I nagle opadł ich rój TIE interceptorów. Nie było już czasu na zastanawianie się, dlaczego ich skrupulatnie zaplanowany atak z zaskoczenia spalił na panewce, nim jeszcze się zaczął. W tej chwili liczyło się tylko jedno – przetrwać. Statek po statku, starcie po starciu.

Ciche kroki skręciły za róg jakieś dziesięć metrów przed nim i rozbrzmiewały coraz głośniej, sygnalizując, że ktoś się zbliża. Przyciśnięty plecami do umieszczonych w płytkiej niszy drzwi, stanowiących jedyną kryjówkę na tym dystansie, Han porzucił

wszelką nadzieję na to, że pościg go przeoczy, i przygotował się do nieuchronnej walki.

Powinni byli skręcić! A tak naprawdę wcale nie powinno ich tu na górze być. Ze strzępków raportów, które do niego dotarły, gdy mijał wyludnione punkty kontrolne, wynikało, że każdy, kto był w stanie utrzymać w ręku blaster, znajdował się dwadzieścia poziomów niżej, zajęty walką z tubylcami, którzy radośnie wałęsali się po garnizonie. Wszystko wskazywało na to, że górne poziomy w ogóle nie są użytkowane i że nie ma tu nic – może z wyjątkiem C'baotha – co warto by chronić.

Kroki były już całkiem blisko. Han pomyślał z przekąsem, że trzeba jego szczęścia, by w tych okolicznościach wpakować się na parę dezerterów szukających kryjówki.

Nieoczekiwanie, jakieś pięć metrów od niego, kroki nagle ucichły. W nagłej ciszy dało się słyszeć, jak ktoś gwałtownie zaczerpuje tchu.

A więc go zauważyli…

Nie wahał się ani sekundy. Odepchnąwszy się mocno od drzwi za plecami, dał susa na korytarz, próbując powtórzyć sztuczkę ze stanowiska systemów obrony na dole – a przynajmniej zrobić to najlepiej, jak zdołał, pozbawiony wsparcia osłaniającego go Chewbakki. Dezerterzy byli mniej liczni, niż się spodziewał, i trzymali się bliżej ściany, niż zakładał, więc stracił cenne pół sekundy na korektę ustawienia lufy…

– Han! – krzyknęła Leia. – Nie strzelaj!

Zaskoczenie sprawiło, że cały jego w zamyśle idealnie zgrany w czasie fortel wziął w łeb, gdy zdecydowanie nieprofesjonalnie rozpłaszczył się na ścianie po przeciwnej stronie korytarza. Zgadza się, to była Leia. W jeszcze większe osłupienie wprawił go fakt, że towarzyszył jej Talon Karrde, holujący ze sobą swoje dwa oswojone vornskry.

– Co wy, do jasnej i nagłej, tu robicie?! – jęknął Han.

– Luke ma kłopoty – wydyszała Leia, podbiegając do niego i przytulając go krótko i mocno. – Jest gdzieś na górze i…

– Hola, hola, kochanie, spokojnie – odpowiedział, przytrzymując ją za ramię, gdy spróbowała się oswobodzić z jego uścisku. –

Wszystko w porządku. Wchodząc tu, wiedzieliśmy, że będą tu isalamiry…

Pokręciła głową.

– Właśnie o to chodzi. Już ich tu nie ma. Moc wróciła. Na chwilę przed tym, jak wyprysnąłeś ze swojej kryjówki.

Zaklął pod nosem.

– C'baoth – mruknął. – To musi być jego sprawka.

– Tak – przyznała jego żona i zadrżała. – Jego.

Solo zerknął na Karrde'a.

– Zostałem wynajęty do zniszczenia skarbca Imperatora – wyjaśnił spokojnie przemytnik. – Wziąłem ze sobą Sturma i Dranga, żeby pomogły nam znaleźć Marę.

Han opuścił wzrok na vornskry.

– Czy jest z wami ktoś jeszcze? – spytał Leię.

Pokręciła głową.

– Trzy poziomy niżej natknęliśmy się na oddział żołnierzy idących w tym kierunku. Zostawiliśmy w tyle dwóch Noghrich, żeby ich powstrzymali.

Solo spojrzał znów na Karrde'a.

– A co z twoimi ludźmi?

– Wszyscy zostali na pokładzie „Dzikiego Karrde'a" – wyjaśnił Talon. – Pilnują odwrotu, na wypadek gdybyśmy mieli szansę z niego skorzystać.

Han mruknął pod nosem.

– W takim razie zostajemy tylko my – powiedział, poprawiając chwyt na ramieniu Lei i ruszając w głąb korytarza. – Chodźmy. Są w sali tronowej na górze. Znam drogę.

Gdy biegli, próbował nie myśleć o swoim ostatnim spotkaniu z Mrocznym Jedi. W Mieście w Chmurach na Bespinie, gdy Vader najpierw go torturował, a potem zamroził w karbonicie.

Jeśli wierzyć temu, co opowiadał Luke, C'baoth sprawiał wrażenie znacznie mniej cywilizowanego typa.

Rozdział 27

Ostrza mieczy świetlnych rozbłyskiwały – białobłękitne przeciwko białozielonemu – skwiercząc, gdy trafiały na siebie, tnąc przez metal i kable, gdy na ich drodze stanęło co innego. Ściskając oburącz barierkę i walcząc z niepokojem paraliżującym jej umysł, Mara przyglądała się z fascynacją, przed którą nie potrafiła się obronić, walce rozgrywającej się w sali tronowej. To było jak jakaś spaczona wersja tamtej przerażającej wizji, którą Imperator zaszczepił w jej umyśle w chwili swojej śmierci, niemal sześć lat temu.

Tyle tylko, że to nie Imperatora czekała teraz śmierć. Tylko Skywalkera.

I nie była to żadna wizja – tylko rzeczywistość.

– Przyjrzyj im się uważnie, Maro Jade – odezwał się C'baoth stojący u szczytu schodów. Głos miał ostry, a jednocześnie dziwnie rzewny. – O ile nie ukorzysz się dobrowolnie przede mną, pewnego dnia będziesz musiała stoczyć taką samą walkę.

Zerknęła na niego z ukosa. C'baoth śledził zainicjowany przez siebie pojedynek z chorobliwą fascynacją. Był w tym przerażający – miała tego przedsmak, gdy pierwszy raz spotkali się na Jomarku. Wypełniając dla Thrawna powierzone mu zadanie, posmakował władzy i – tak samo jak wcześniej Imperator – zapragnął więcej.

Wiedziała jednak, że w przeciwieństwie do tego ostatniego nie zadowoli się czymś tak przyziemnym jak kontrolowanie światów i armii. O nie, on wolał bardziej osobistą formę imperium: przeformowane umysły, przebudowane według własnej koncepcji.

Co potwierdzało tylko, że miała rację i w innej dotyczącej go kwestii – C'baoth był całkiem szalony.

– Oferowanie innym udziału w mojej chwale nie jest szaleństwem – wymamrotał starzec. – Tylko darem, za który wielu byłoby skłonnych zginąć.

– Nie da się zaprzeczyć, że właśnie to starasz się umożliwić Skywalkerowi – odgryzła się, potrząsając głową, aby nieco rozjaśnić

myśli. Próba logicznego myślenia w obliczu własnych wspomnień, połączonych z echem dziwnego mrowienia i napięcia, które odbierała od umysłu Skywalkera, oraz przy przytłaczającej obecności C'baotha, stojącego zaledwie dwa metry od niej, przypominała pilotowanie śmigacza w burzy śnieżnej.

Istniało jednak coś, co mogło jej w tej sytuacji pomóc: pewna mentalna sztuczka, której Imperator nauczył jej wiele lat temu i którą stosowała na jego polecenie, gdy chciał, aby o jego rozkazach nie dowiedział się nawet Vader. Gdyby tylko zdołała oczyścić umysł na tyle, by wprowadzić się w ten stan…

Nagle przez chaos jej myśli przebiła się błyskawica bólu.

– Nie próbuj ukryć przede mną swoich myśli, Maro Jade – zganił ją ostro C'baoth. – Należysz teraz do mnie. A uczeń nie ma prawa ukrywać swoich myśli przed mistrzem.

– A więc zostałam już twoją uczennicą, co? – warknęła, zaciskając zęby, by stłumić ból, i ponownie starając się otrząsnąć, by zamknąć umysł przed szalonym Jedi. I tym razem jej się udało. – Wydawało mi się, że muszę najpierw przed tobą klęknąć.

– Drwisz z mojej wizji – rzucił z ponurym rozdrażnieniem. – A jednak klękniesz przede mną. O tak.

– Tak samo jak Skywalker, co? Jeśli oczywiście wyjdzie z tego cało.

– On także będzie mój – potwierdził starzec cichym, pewnym siebie głosem. – Podobnie jak jego siostra i jej dzieci…

– A wówczas wspólnie uleczycie galaktykę – dokończyła Mara, obserwując jego twarz i wsłuchując się jednocześnie w chaos swoich myśli. O tak, wyglądało na to, że wzniesiona przez nią bariera skutecznie chroniła ją przed C'baothem. A teraz, gdyby tylko zachować tę prywatność odrobinę dłużej…

– Rozczarowujesz mnie, Maro Jade – oświadczył szalony starzec, kręcąc głową. – Czy naprawdę ci się zdaje, że muszę słyszeć twoje myśli, aby cię przejrzeć? Podobnie jak prymitywne istoty niższego rzędu pragniesz mojej zguby. Cóż za niedorzeczny pomysł. Czy Imperator nie nauczył cię niczego na temat przeznaczenia?

– Wiem tyle, że sam nie przewidział zbyt dobrze własnego – odcięła się, wsłuchując się w dudnienie własnego serca i nie

spuszczając C’baotha z oczu. Jeśli ten wariat uzna, że rzeczywiście stanowi dla niego zagrożenie i porazi ją kolejną porcją tych wyładowań…

– Czyżbyś czuła potrzebę zmierzenia się ze mną, Maro Jade? – C’baoth uśmiechnął się do niej, rozkładając ręce na boki. – Jeśli tak, to chodź i zrób to!

Przez kilka sekund przyglądała mu się tylko, niemal czując pokusę, by tego spróbować. Wydawał się taki stary i bezradny… a ona zdołała wznieść barierę mentalną. Poza tym przeszła przecież najlepsze szkolenie w sztukach walki, jakie mogło zapewnić Imperium w okresie swojej największej świetności. To nie zajęłoby długo…

Wzięła głęboki oddech i opuściła wzrok. Nie, nie teraz, zadecydowała. Nie w ten sposób. Nie w obecności tylu rozpraszających bodźców – dziwnych napięć i rozkojarzenia. Nigdy by jej się nie udało.

– Jeśli mnie teraz zabijesz, nie będę mogła przed tobą uklęknąć – wymamrotała, zwieszając ramiona jak ktoś, kto przyznaje się do klęski.

– Doskonale – zamruczał C’baoth. – A więc jednak masz w sobie pewną mądrość. Patrz więc… i ucz się.

Mara zwróciła się w stronę poręczy. Jednak nie po to, by śledzić pojedynek, o nie. Gdzieś tam w dole leżał blaster, który C’baoth wyrwał jej z ręki, gdy zrobił coś z isalamirami w górze i zyskał znów dostęp do Mocy. Gdyby zdołała go odnaleźć, nim szalony Jedi zorientuje się, że wcale się nie poddała…

Po przeciwnej stronie sali tronowej Skywalker znów wskoczył na kładkę. Klon był na to przygotowany i cisnął w ślad za nim swój miecz świetlny. Wirujące błękitnobiałe ostrze minęło Luke’a o włos i chlasnęło podłogę kładki oraz jeden ze wsporników mocujących ją do sufitu. Obciążony metal zazgrzytał z rozdzierającym jękiem i konstrukcja opadła. Młody Jedi stracił równowagę i runął na ziemię – lądując dość pewnie w przyklęku. Wyciągnął dłoń… i miecz świetlny, szybujący z powrotem w nadstawioną dłoń klona, zmienił kierunek lotu, zawijając ku Skywalkerowi. Nagle jednak zatrzymał się w pół drogi do niego. Młody Jedi natężył się,

a mięśnie jego ramienia zadrżały wyraźnie, gdy starał się zapanować nad bronią przy użyciu Mocy.

– Nie tędy droga, Jedi Skywalkerze – zganił go C'baoth.

Gdy Mara obejrzała się przez ramię, zobaczyła, że on również wyciąga rękę w stronę miecza. Klon z kolei stał tylko spokojnie w swojej brązowej szacie, jakby wiedział, że w tym pojedynku jego mistrz będzie stał za nim murem.

Cóż, może tak właśnie było. Może w tym ciele nie zostało nic poza przedłużeniem woli samego C'baotha…

– To musi być pojedynek na śmierć i życie – podjął starzec. – Broń przeciwko broni, umysł przeciwko umysłowi, dusza przeciwko duszy. Inaczej nie osiągniesz zrozumienia, które jest konieczne, jeśli masz właściwie mi służyć.

Skywalker nie stracił jednak rezonu, widziała to wyraźnie. Nękany dziwnym napięciem wibrującym w jego umyśle, musiał zdawać sobie sprawę z tego, że nie podoła sile C'baotha. Nagle wyczuła jednak subtelną zmianę w jego nastawieniu… Chwilę później zamachnął się własnym mieczem znad ramienia, a zielonobiałe ostrze poszybowało w stronę zawieszonej w powietrzu rękojeści, wycelowane w sam jej środek…

Skoro jednak C'baoth nie pozwolił wcześniej Skywalkerowi rozbroić jego przeciwnika, to bez dwóch zdań nie chciał również dopuścić do tego, by ten zniszczył jego broń. Gdy ostrze cięło w dół, z cienia po prawej stronie Luke'a wyprysnął niewielki przedmiot, uderzając go w ramię i potrącając je – wystarczająco, by klinga minęła rękojeść i cięła przez pustkę. Ułamek sekundy później stary Jedi wydarł miecz świetlny klona z mentalnego uścisku Skywalkera, posyłając broń przez całą szerokość sali ku jej właścicielowi. Klon chwycił ją przed sobą oburącz, a tymczasem Skywalker z wyraźnym znużeniem wstał i przygotował się do podjęcia walki.

W tej chwili jednak Mara nie była zainteresowana dalszym śledzeniem starcia. Tym, co przyciągnęło jej uwagę, był leżący na podłodze jakieś dwa metry od stopy Luke'a przedmiot, którym cisnął w niego C'baoth – jej blaster.

Zerknęła w bok, w stronę szalonego Jedi, zastanawiając się, czy ją obserwuje. Nie patrzył na nią. W zasadzie to nie skupiał się na

niczym szczególnym. Wzrok miał dziwnie zamglony, wpatrzony w przestrzeń, a po jego ustach błąkał się dziwny, infantylny uśmiech.

– Przyszła tu – powiedział głosem ledwie słyszalnym pośród skwierczenia napierających na siebie mieczy świetlnych. – Tak jak to przewidziałem. – Niespodziewanie spojrzał na Marę. – Ona tu jest, Maro Jade – dodał, wskazując zamaszyście na drzwi turbowindy, którą przyjechali tu wraz ze Skywalkerem.

Marszcząc czoło, niepewna, czy powinna spuszczać go z oka, podążyła za jego wzrokiem. W tej samej chwili drzwi windy otworzyły się i do środka wszedł Solo z blasterem w pogotowiu. A tuż za nim…

Mara wstrzymała oddech i zamarła. Za Hanem kroczyła Leia Organa Solo, z blasterem w jednej i mieczem świetlnym w drugiej dłoni. A tuż za nią, prowadząc przed sobą vornskry na smyczach… szedł Karrde.

Organa Solo? I Karrde…?!

– Leia, Han! Wynoście się stąd! Natychmiast! – krzyknął do nich Skywalker ponad skwierczeniem ścierających się kling, gdy nowo przybyli ruszyli kładką wzdłuż hologramu galaktyki, kierując się do głównej części sali tronowej. – To zbyt niebe…

– Witaj, moja nowa uczennico! – zawołał radośnie C’baoth, zagłuszając słowa Luke’a. Głos szalonego Jedi pulsował dziwnym, gromkim echem w otwartej przestrzeni. – Chodź do mnie, Leio Organo Solo. Dzięki mnie zgłębisz prawdziwą naturę Mocy.

Han Solo miał najwyraźniej inne plany. Dotarł właśnie do drugiego końca kładki, wycelował i wypalił.

Jednak nawet pławiący się w swoich mrzonkach C’baoth nie dał się tak łatwo zaskoczyć. Niewidzialna siła w mgnieniu oka poderwała z podłogi blaster Mary, stawiając go na drodze przecinającego powietrze strzału. Rękojeść pistolecika wybuchła w chmurze iskier, gdy przyjęła na siebie energetyczną salwę. Drugi strzał został podobnie zablokowany, a trzeci trafił w ogniwo zasilające blastera, zmieniając broń w kulę ognia. Nim Han zdążył wystrzelić po raz czwarty, starzec wyrwał Mocą blaster z jego chwytu… i wpadł w szał.

Z jego gardła wydarł się mrożący krew w żyłach okrzyk wściekłości – okrzyk, od którego powietrze aż zawrzało. Mara wzdrygnęła się mimowolnie, gdy świdrujący wrzask poraził jej uszy… i chwilę później niemal wypadła przez barierkę, gdy dotarło do niej jego echo w Mocy.

Czegoś podobnego nie doświadczyła nigdy wcześniej – ani od Vadera, ani od samego Imperatora. To była czysta, zwierzęca wręcz zapalczywość – widomy efekt utraty kruchych resztek samokontroli. Czuła się, jakby trafiła w sam środek gwałtownej burzy. Zalewał ją fala za falą rozpalony do białości gniew, obracając wniwecz mentalną barierę, którą z takim trudem wzniosła. Bombardowało ją obezwładniające połączenie nienawiści i bólu. Jak przez mgłę zobaczyła, że Skywalker i Organa Solo chwieją się niepewnie na nogach, porażeni siłą ataku. Słyszała, jak vornskry Karrde'a wyją z bólu.

I wówczas z wyrzuconych w powietrze rąk C'baotha wystrzeliła siatka oślepiających wyładowań.

Mara skrzywiła się ze współczuciem, gdy Han został pchnięty na poręcz przed hologramem. Przez przyprawiający o mdłości trzask wyładowań słyszała, jak Leia wykrzykuje imię męża, przypadając do jego boku. Odrzuciła blaster i zapaliła swój miecz świetlny – w samą porę, by przyjąć na zielonobiałe ostrze trzecią falę błyskawic.

Niespodziewanie C'baoth wzniósł ręce jeszcze wyżej, kierując sieć zabójczej energii ku kładce zwisającej niebezpiecznie nad ich głowami. Z jego dłoni wystrzeliły jęzory białoniebieskiego ognia…

Przy akompaniamencie ogłuszającego łoskotu środek metalowej konstrukcji pękł. Obracając się na ostatnim z ocalałych wsporników, pomost runął w dół, wprost na głowę Lei.

Ona jednak najwyraźniej wiedziała, co się wydarzy – a może po prostu dzięki naukom Skywalkera przyswoiła wiedzę pozwalającą jej przewidzieć zagrożenie, nim nadeszło. Tak czy inaczej, gdy ciężki metalowy szkielet walił się wprost na nią, cięła w górę mieczem, przepoławiając kładkę – na tyle celnie, by jej główna część ominęła ją i jej męża i zamiast tego roztrzaskała się o podłogę tuż przed Karrde'em i vornskrami. Nie miała jednak dość czasu, by uchronić się przed drugim końcem przeciętej struktury. Metalowe elementy

opadły na jej głowę i ramiona, wytrącając miecz świetlny z jej dłoni i obalając ją na podłogę tuż obok Hana.

– Leia! – krzyknął Skywalker, rzucając udręczone spojrzenie w stronę siostry. Wydawało się, że nagle zapomniał o otępiającym buczeniu wibrującym w jego czaszce, a nieporadna obrona przed przeciwnikiem zmieniła się niespodziewanie w furiacki atak.

Klon upadł pod gradem jego ciosów. Tylko z najwyższym trudem udawało mu się blokować serię cięć mieczem. Wskoczył na schody, pospiesznie wycofał się dwa stopnie w górę, w stronę swojego mistrza, jednak Luke natychmiast rzucił się w pościg za nim. Szukając drogi ucieczki, klon przeskoczył na drugą z platform strażniczych. Przez sekundę Marze wydawało się, że Skywalker ruszy tam za nim – albo przynajmniej przetnie podstawę konstrukcji, aby go z niej zrzucić.

Jednak tak się nie stało. Stojąc w połowie schodów, z twarzą lśniącą od potu, młody Jedi podniósł wzrok na C'baotha. W tym spojrzeniu było coś, co przyprawiło Marę o dreszcz.

– Czy mnie także chcesz zniszczyć, Jedi Skywalkerze? – spytał C'baoth cichym, jadowitym tonem. – To niezbyt mądry pomysł. Mógłbym cię rozdeptać niczym insekta.

– Może i tak – wydyszał ciężko Luke. – Ale jeśli to zrobisz, utracisz bezpowrotnie szansę na kontrolowanie mojego umysłu.

C'baoth przyglądał mu się przez chwilę w milczeniu.

– Czego chcesz?

Skywalker wskazał głową swoją siostrę i Solo.

– Pozwól im odejść. Wszystkim. Teraz. – Zerknął na Marę. – I jej również.

– A jeśli to zrobię?

W policzku Luke'a drgnął mięsień. Jego palec poruszył się i ostrze jego miecza zniknęło z cichym sykiem.

– Pozwól im odejść – powtórzył cicho. – A wówczas zostanę.

Skądś w pobliżu zaczęło dobiegać głuche dudnienie, dołączając do nieregularnych, pulsujących i przyprawiających o gęsią skórkę odgłosów dyszenia wypełniających jaskinię klonowania. Po chwili

nasłuchiwania Lando uznał, że odgłos brzmi jak strzały z blastera uderzające w grubą warstwę metalu. Zerknął z niepokojem w stronę drzwi otaczających kładkę. Póki co byli bezpieczni, jednak trudno było powiedzieć, jak długo to potrwa. Szturmowcy na zewnątrz bez dwóch zdań nie strzelali do grodzi dla zabawy, a poza tym zapewne zatroszczyli się już o pokaźny zapas ładunków wybuchowych.

Pracujący po drugiej stronie kolumny Chewbacca zawarczał ostrzegawczo.

– Nie wychylam się! – zapewnił go Calrissian, zerkając przez szparę między dwoma grubymi przewodami na plątaninę wielobarwnych kabli i rur w głębi rdzenia. No to… gdzie było to złącze pompy repulsorowej?

Namierzył odpowiedni punkt i właśnie zabrał się do umieszczania w nim ładunku, gdy niespodziewanie zapiszczał jego komunikator. Marszcząc czoło i niemal spodziewając się, że próbuje się z nim skontaktować jakiś imperialny technik, który trafił na jego kanał, odpiął urządzenie od pasa.

– Calrissian – rzucił do mikrofonu.

– Och, generale Calrissian! – odpowiedział mu pedantyczny głos C-3PO. – Jak widzę, Artoo udało się skutecznie wyeliminować zakłócanie. To w istocie zaskakujące, zważywszy na wszystkie te problemy, które napotkaliśmy po dro…

– Powiedz mu, że odwalił dobrą robotę – wszedł mu w słowo Lando. To zdecydowanie nie była dobra pora na towarzyską pogawędkę z C-3PO. – Coś jeszcze?

– Och, tak, sir, oczywiście, że tak – potwierdził droid. – Noghri prosili, bym zapytał pana, czy życzy pan sobie, żebyśmy wrócili, by wam pomóc.

W tle rozległo się kolejne łupnięcie, tym razem głośniejsze.

– Byłbym zachwycony – westchnął Calrissian. – Obawiam się jednak, że nie dalibyście rady dotrzeć tu na czas. – Huk się powtórzył i tym razem Lando dostrzegł, że drzwi naprzeciwko nich zadrżały pod wpływem uderzenia. – Będziemy musieli sami znaleźć jakiś sposób, by się stąd wydostać.

Z drugiej strony platformy dobiegł niezbyt entuzjastyczny ryk, wyrażający opinię Chewiego na temat tej perspektywy.

– Ale skoro pan Chewbacca chciałby, żebyśmy wrócili…

– Nie dotrzecie tu na czas – powtórzył stanowczo Lando. – Powiedz Noghrim, że jeśli chcą się na coś przydać, powinni iść do sali tronowej i pomóc Hanowi.

– Na to już za późno – odpowiedział mu nowy głos, ledwie słyszalny.

Calrissian zmarszczył czoło.

– Han?

– Nie, tu Talon Karrde – przedstawił się przemytnik. – Przyleciałem tu z radczynią Organą Solo. Jesteśmy na górze, w sali tronowej…

– Leia tu jest? – przerwał mu Lando. – Co…

– Zamknij się i posłuchaj – nie dał mu dokończyć Karrde. – Ten cały mistrz Jedi Luke'a, Joruus C'baoth, też tu jest. Unieruchomił Solo i Organę Solo, a Skywalkera zmusił do walki z kimś, kto wygląda mi na jego klona. W tej chwili nie zwraca na mnie uwagi, mamy tu coś w rodzaju małego impasu… Ale jestem pewien, że natychmiast zauważy mnie, gdybym czegoś spróbował.

– Wydawało mi się, że Luke wspominał coś o blokadzie Mocy…

– Bo tak było. Ale C'baoth najwyraźniej jakimś cudem ją obszedł. Czy jesteście na dole, przy zbiornikach klonujących?

– Tak, tuż nad nimi. A co?

– Organa Solo sugerowała wcześniej, że wokół tego miejsca powinna być rozmieszczona spora liczba isalamirów – wyjaśnił Talon. – Gdybyście zdołali ściągnąć parę z ich stelaży podtrzymujących życie i dostarczyć je tu na górę, może udałoby się go jakoś powstrzymać.

Chewbacca zaryczał żałośnie i Lando mimowolnie się skrzywił, kiwając głową. A więc to właśnie oznaczały te eksplozje minidysków…

– Za późno – westchnął. – C'baoth już je wszystkie zabił.

Przez długą chwilę na łączu panowała cisza.

– Rozumiem – powiedział wreszcie Karrde. – Cóż, to by wiele wyjaśniało. Masz jakiś inny pomysł?

Calrissian zastanawiał się przez chwilę, jednak wreszcie wyznał:

– Nie bardzo. Jeśli coś wymyślimy, dam ci znać.

– Dzięki – rzucił zdawkowo Karrde. – Będę czekał.

Rozległo się kliknięcie sygnalizujące przerwanie połączenia.

– Threepio, jesteś tam jeszcze? – spytał Calrissian.

– Tak, sir – potwierdził droid.

– Niech Artoo podłączy się z powrotem do komputera – polecił mu. – Niech spróbuje odciągnąć jakoś żołnierzy z dala od tych szybów, którymi tu weszliśmy. A potem zacznijcie z Noghrimi iść w ich stronę.

– Wychodzimy stąd, sir? – spytał C-3PO.

– Tak. Chewie i ja ruszamy zaraz za wami, więc lepiej się pospieszcie, jeśli nie chcecie, żebyśmy was rozdeptali. Lepiej ostrzeżcie też tych dwóch Noghrich, których Luke wysłał z Myneyrshami. Zrozumiałeś?

– Tak, sir – potwierdził z wahaniem droid. – A co z panem Lukiem i innymi?

– Zostaw to mnie. A teraz… do roboty.

– Tak, sir. – Droid rozłączył się z cichym kliknięciem.

Ciszę przerwał Chewbacca, wyrykując pytanie, które w tej sytuacji samo się nasuwało.

– Chyba nie mamy innego wyboru – westchnął ponuro Calrissian. – Z tego, co mówili o nim Luke i Mara, wynika, że C'baoth jest przynajmniej równie niebezpieczny, co Imperator. Może nawet bardziej. Musimy spróbować zniszczyć cały ten skarbiec i liczyć na to, że zdołamy się go pozbyć razem z nim.

Chewie sprzeciwił mu się krótkim warknięciem.

– Nie możemy tego zrobić. – Lando pokręcił głową. – Przynajmniej dopóki nie skończymy tego, co tu zaczęliśmy. Gdybyśmy ostrzegli ekipę na górze, C'baoth się we wszystkim połapie. I spróbuje nas powstrzymać.

Od strony drzwi dobiegło kolejne stłumione echo wystrzału.

– No dobra, bierzmy się do roboty – mruknął Calrissian, sięgając po ostatni z ładunków. Przy odrobinie szczęścia będą mieli dość czasu, by wcielić w życie plan Chewbakki z rezonansem arytmicznym, nim wedrą się tu szturmowcy. A jeśli poszczęści im się jeszcze bardziej, może uda im się wydostać stąd w jednym kawałku.

Gdyby zaś niespodziewanie los postanowił naprawdę się do nich uśmiechnąć, możliwe, że znajdą sposób, by ostrzec Hana i resztę, zanim cały magazyn runie pod ich stopami.

Przez długi moment w sali tronowej panowała cisza. Mara wpatrywała się w Skywalkera, zastanawiając się, czy on w ogóle wie, co mówi. Dobrowolne oddanie się w ręce C'baotha…

Odwrócił lekko wzrok i ich spojrzenia się spotkały. Nawet mimo natarczywego szumu w jego umyśle wyczuwała od niego paraliżujący strach. A więc zdawał sobie sprawę z wagi własnych słów… I nie żartował. Jeśli C'baoth przystanie na jego propozycję, Luke odda się w jego władanie. Poświęci się, aby ocalić przyjaciół.

Włącznie z nią – kobietą, która poprzysięgła mu śmierć.

Odwróciła się, nagle niezdolna na to wszystko patrzeć. Jej wzrok spoczął na Karrdzie, na wpół skrytym za zawaloną kładką, klęczącym między swoimi vornskrami. Przemytnik głaskał je i przemawiał do nich cicho – prawdopodobnie próbował je uspokoić po wybuchu Mocy starca. Spojrzała na zwierzęta, jednak nie wyglądały na ranne.

Ruch jej głowy najwyraźniej zwrócił uwagę Talona, bo podniósł na nią wzrok. Z nieprzeniknioną miną, wciąż pieszcząc swoje pupile, skinął nieznacznie głową w stronę Solo i jego żony. Marszcząc czoło, podążyła za jego spojrzeniem… i zamarła. Rozciągnięty pod szczątkami kładki, pod którymi pogrzebana była Leia, Solo się ruszał – powoli, centymetr po centymetrze, pełznął mozolnie… w stronę blastera, który odrzuciła wcześniej księżniczka.

– Prosisz o zbyt wiele, Jedi Skywalkerze – powiedział cicho C'baoth. – Mara Jade będzie moja. Musi być. Właśnie tego żąda od niej Moc. To jej przeznaczenie. I nawet ty nie możesz tego zmienić.

– Jasne – warknęła, skupiając wzrok na szalonym Jedi i nasycając swoje słowa taką dawką sarkazmu, na jaką w tych okolicznościach było ją stać. Niezależnie od tego, jak wiele ryzykowała, musiała teraz ściągnąć na siebie maksymalnie wiele uwagi C'baotha, tak aby nie dostrzegł on tego, co się działo po drugiej stronie sali tronowej. – Nadal mam przed tobą uklęknąć, tak?

– Obrażasz mnie, Maro Jade – odparł ze złowieszczym uśmiechem. – Czy naprawdę wierzysz w to, że tak łatwo mnie zwieść? – Nie spuszczając z niej wzroku, zgiął palec…

I w chwili, gdy Solo wyciągał rękę po porzucony blaster żony, broń drgnęła, odsuwając się jakieś pół metra poza zasięg jego ramion.

Dobiegające od strony platformy strażniczej ciche buczenie zmieniło nieco ton…

– Skywalker! Uważaj! – krzyknęła Mara.

Luke zawirował, zapalając ponownie swój miecz świetlny i przybierając postawę obronną. Jego klon – czy to odzyskawszy siły, czy też odwagę, a może jedno i drugie – szybował już susem w jego stronę, opuszczając na głowę Luke'a ostrze miecza. Dwie energetyczne klingi spotkały się z trzaskiem i skwierczeniem, a impet zderzenia posłał Luke'a aż na skraj schodów. Jedi cofnął się jeszcze o krok, odzyskał równowagę i zeskoczył na niższy poziom.

Gdy klon zaatakował ponownie, Mara zaryzykowała spojrzenie w stronę Hana. Jeśli ten wynaturzeniec naprawdę był przedłużeniem woli i umysłu szalonego starca…

Jednak nie. Gdy Solo spróbował znów sięgnąć po blaster, ten ponownie usunął się poza jego zasięg. Niezależnie od tego, jak wiele wysiłku kosztowało C'baotha skupianie się na pojedynku na miecze, wciąż miał dość sił i samokontroli, by igrać ze swoimi więźniami.

– Widzisz, Maro Jade? – zagadnął cicho. Po wcześniejszym wybuchu nie został żaden ślad, rozbawienie spowodowane zabawą z udręczonymi jeńcami również zniknęło. Nadszedł czas na powrót do ważkich spraw związanych z budowaniem własnego Imperium. – To nieuchronne. Będę rządził… a ty wraz ze Skywalkerem i jego siostrą będziecie mi służyli. Będziemy niepokonani. Wielcy.

Niespodziewanie cofnął się o krok od poręczy po drugiej stronie schodów. Rychło w czas, bo ułamek sekundy później znalazł się tam Skywalker, lądując w salcie wyprowadzonym z niższego poziomu, tyłem do Mary. Przez chwilę balansował chwiejnie, starając się odzyskać równowagę…

W jej polu widzenia pojawił się nowy rozbłysk – błękitnobiała rozmazana smuga, gdy klon również przeskoczył nad poręczą w ślad

za swoją ofiarą, wyprowadzając znad głowy gwałtowny cios, aby ochronić się przed atakiem. Skywalker usunął się z jego drogi. Patrząc ponad jego ramieniem, Mara dostrzegła, że C'baoth również odsunął się pospiesznie o krok. Klon wylądował i zaatakował, tnąc mieczem świetlnym pionowo, szerokim łukiem… Luke wciąż się cofał, najwyraźniej nieświadomy, że za plecami ma litą, skalną ścianę… pod którą zostanie osaczony.

Pokonali w tym morderczym tańcu jeszcze kawałek drogi… a gdy Mara zerknęła znów na C'baotha, spostrzegła, że szaleniec mierzy ją wzrokiem.

– Tak jak powiedziałem, Maro Jade – rzekł. – To nieuchronne. Mając u boku ciebie i Skywalkera, sprawię, że niższe byty zaludniające tę galaktykę ściągną do nas niczym liście gnane podmuchem wiatru. Ich serca i dusze… będą nasze. – Podniósł wzrok na drugi kraniec sali tronowej i skinął pozornie od niechcenia dłonią. Kucający za szczątkami kładki Karrde szarpnął z zaskoczeniem głową, gdy blaster wyfrunął z jego kabury i poszybował wprost w wyciągniętą dłoń starca. W pół drogi dołączył do niego porzucony przez Organę Solo miecz świetlny, a także blaster, do którego wciąż starał się z uporem dotrzeć Han. – Podobnie jak ich nic nieznacząca broń – dodał lekceważąco C'baoth. Wyciągając rękę, by przejąć szybujące ku niemu przedmioty, skupił znów wzrok na pojedynku, który zdawał się osiągać właśnie apogeum.

To była szansa, na którą Mara czekała. Być może ostatnia szansa, jaka będzie jej dana. Pokonując chaos wypełniający jej umysł, otworzyła się na Moc, skupiając wzrok i zmysły na broniach lecących ku szalonemu staruchowi. Poczuła, jak jego nieuważna kontrola się załamuje…

I nagle miecz świetlny Organy Solo oderwał się od grupy, lądując w pewnym uścisku jej dłoni.

C'baoth odwrócił się w jej stronę jak użądlony. Ruchowi towarzyszył szczęk blasterów opadających na schody.

– Nie! – wrzasnął. Jego twarz wykrzywiał grymas wściekłości, strachu i zagubienia. Mara poczuła, jak miecz świetlny w jej dłoni szarpie niewidzialna siła, jednak ten desperacki gest również był

przesycony niepewnością i przerażeniem – a tym razem szalony mistrz Jedi nie miał nad nią przewagi w postaci elementu zaskoczenia. Gdyby zwlekała choć chwilę, zapewniłaby mu tym samym czas na otrząśnięcie się z początkowego osłupienia, ale nie zamierzała mu ułatwiać sprawy. Co to to nie. Zapaliła miecz świetlny i zaatakowała.

Klon musiał się spodziewać jej ataku – charakterystyczny odgłos aktywowanej klingi trudno było pomylić z czymkolwiek innym. Mimo to w sytuacji, w której tuż przed sobą miał właściwie zapędzonego w kozi róg Skywalkera, pokusa rozprawienia się z nim raz na zawsze była najwyraźniej zbyt duża. Zawinął swoim mieczem ostatni raz, jednak ostrze natrafiło na ścianę, gdy Skywalker zanurkował pod nim… a sama ściana tuż nad głową Luke'a wybuchła do wewnątrz w oślepiającym rozbłysku, prosto w twarz klona.

Skywalker wycofywał się nie pod ścianę, tylko pod jeden z rozmieszczonych na ścianach ekranów.

Klon krzyknął rozdzierająco – był to chyba pierwszy odgłos, jaki wydał z siebie, odkąd się tu zjawił – i zatoczył się w tył, po czym odwrócił się na dźwięk jej miecza, z twarzą wykrzywioną gniewem i strachem. Jednak po jego oczach widziała, że wciąż jest oszołomiony. Podniósł miecz świetlny do ataku…

MASZ ZABIĆ LUKE'A SKYWALKERA!

Zanurkowała pod opadającym ostrzem, nie spuszczając wzroku z jego twarzy. Z twarzy Skywalkera. Twarzy, która prześladowała ją w koszmarach przez niemal sześć lat. Twarzy człowieka, którego Imperator kazał jej zniszczyć.

MASZ ZABIĆ LUKE'A SKYWALKERA!

I po raz pierwszy, odkąd trafiła na Luke'a Skywalkera w jego uszkodzonym X-wingu dryfującym w przestrzeni kosmicznej, pozwoliła sobie posłuchać tego głosu, który nie dawał jej spokoju. Wkładając w cios całą siłę, na jaką było ją stać, zawinęła mieczem i opuściła ostrze.

Klon runął bezwładnie na ziemię. Miecz świetlny wypadł mu z palców i uderzył ze szczękiem o podłogę.

Mara spojrzała na swojego przeciwnika… a gdy wzięła drżący oddech, dotarło do niej, że głos rozbrzmiewający w jej czaszce umilkł.

Dokonało się. Wypełniła ostatni rozkaz Imperatora.

I wreszcie była wolna.

Rozdział 28

– Wydaje się, że to już wszyscy, kapitanie – powiedział Thrawn, spoglądając przez iluminator mostka na rebelianckie okręty rozproszone wokół krawędzi stożków pól grawitacyjnych krążowników przechwytujących. – Proszę odwołać „Constrainera" i „Sentinela" od zadania strzeżenia pułapki i oddelegować oba statki na wyznaczone pozycje na linii demarkacyjnej. Do wszystkich jednostek, przygotować się do związania przeciwnika ogniem.

– Tak jest, sir – potwierdził przyjęcie rozkazu Pellaeon, z niemym podziwem kręcąc głową i zabierając się do wpisywania poleceń w komputer. Kolejny raz, wbrew wszelkiej logice, przewidywania wielkiego admirała okazały się trafne. Rebelianci przysłali tu flotę szturmową.

I pewnie właśnie zachodzili w głowę, co w ich cwanym planie poszło nie tak.

– Przyszło mi na myśl, admirale, że może nie powinniśmy niszczyć wszystkich jednostek – zasugerował. – Może moglibyśmy komuś pozwolić wrócić na Coruscant, aby opowiedział reszcie, jak sprytnie zostali wymanewrowani?

– Owszem, kapitanie, to dobry pomysł – zgodził się z nim Thrawn. – Aczkolwiek wątpię, czy tak właśnie zinterpretują tę sytuację. Bardziej prawdopodobne, że dojdą do wniosku, że zostali zdradzeni.

– Może i tak – przyznał Pellaeon, obrzucając mostek czujnym spojrzeniem. Zdawało mu się, że usłyszał przed chwilą jakiś słaby dźwięk, coś jak skrzypnięcie przeciążonej konstrukcji, a może cichy charkot? Nadstawił uszu, ale odgłos nie powtórzył się. – Tak czy inaczej, to również zadziałałoby na naszą korzyść.

– W rzeczy samej – potwierdził Thrawn. – Czy wyznaczymy na posłańca ponurych wieści krążownik gwiezdny admirała Ackbara?

Pellaeon uśmiechnął się pod nosem. Ackbar, który dopiero co został oczyszczony z zarzutów niekompetencji i zdrady po operacji

w stoczniach Sluis Van, postawionych mu przez Borska Fey'lyę. Tym razem z pewnością nie będzie miał tyle szczęścia.

– Zgrabne posunięcie, admirale – skomentował.

– Dziękuję, kapitanie.

Pellaeon spojrzał na Rukha, pełniącego w milczeniu straż za fotelem Thrawna, i zastanowił się, czy Noghri doceniał ironię tego zrządzenia losu. Ponieważ jego rasa nie słynęła ze specjalnej przenikliwości, pewnie nie…

Przestrzeń za iluminatorami wypełniały rozbłyski laserowego ognia, gdy wrogie eskadry myśliwskie zaczęły się nawzajem ostrzeliwać. Rozsiadłszy się wygodnie w swoim fotelu, Pellaeon obrzucił wyświetlacze spojrzeniem i przygotował się psychicznie do walki. Do walki… i zwycięstwa.

– Uważaj, dowódco Łotrów! Masz dwóch na ogonie! – rozbrzmiał w uchu Wedge'a głos Łotra Dwa. – Szóstko?

– Jestem, Dwójko! – nadeszła odpowiedź. – Podwójny atak na trzy. Raz, dwa…

Zacisnąwszy zęby, Antilles wprowadził swoją maszynę w karkołomny manewr nożycowy. Piloci lecących za nim myśliwców, starając się powtórzyć ten manewr, a jednocześnie nie stracić panowania nad swoimi maszynami, najprawdopodobniej nie zauważyli nawet dwóch X-wingów zajmujących pozycje tuż za nimi. Dwie paskudne eksplozje później Wedge był wolny.

– Dzięki – sapnął.

– Nie ma sprawy. Co teraz?

– Nie wiem – przyznał się, popatrując na chaos toczącej się wokół bitwy. Póki co admirałowi Ackbarowi wciąż udawało się utrzymać gwiezdne krążowniki w szyku bojowym. Jeśli jednak sądzić po tęgim laniu, jakie imperialni spuszczali jednostkom wsparcia na obrzeżach, lada chwila wszystko mogło się zmienić w chaos totalnego zniszczenia. W której to sytuacji eskadry myśliwców zostaną zdane właściwie na siebie, wybierając cele na chybił trafił i licząc na łut szczęścia.

Chociaż z drugiej strony już teraz tak to mniej więcej wyglądało. Cały myk polegał na tym, by znaleźli jakiś punkt, w który naprawdę warto byłoby uderzyć…

Najwyraźniej myśli Łotra Dwa podążały tym samym tokiem.

– Wiesz, dowódco, przyszło mi do głowy, że Imperium byłoby zmuszone znacznie uszczuplić pulę statków zajętych spuszczaniem nam łomotu, gdyby jednocześnie musieli chronić swoje stocznie.

Wedge wyciągnął szyję, żeby spojrzeć na lśniące w oddali morze świateł. Na ich tle widział ciemne, złowieszcze sylwetki co najmniej czterech stacji bojowych typu Golan II.

– To prawda – przytaknął. – Sądzę jednak, że trzeba by czegoś więcej niż atak legendarnej Eskadry Łotrów, by napędzić im stracha…

– Komandorze Antilles? Tu centrala łączności floty – przerwał mu stanowczy głos. – Mamy zaszyfrowany kodem dyplomatycznym Nowej Republiki przekaz adresowany do pana. Czy mam połączyć?

Wedge zamrugał nieprzytomnie. „Zaszyfrowany… kodem dyplomatycznym? Tutaj?”.

– Chyba powinienem odebrać – bąknął, po czym poprawił się szybko: – Tak, proszę połączyć.

– Tak jest, sir.

Rozległo się kliknięcie.

– Cześć, Antilles! – rozbrzmiał w jego uchu dziwnie znajomy, lekko kpiący głos. – Miło cię znowu widzieć.

– Zapewne z wzajemnością – odmruknął Wedge, marszcząc czoło. – Z kim mam przyjemność?

– Och, daj spokój! – parsknął jego rozmówca. – Czy naprawdę zapomniałeś już te cudowne chwile, które spędziliśmy razem pod kantyną Mumbri Storve?

„Mumbri Storve?”.

– Aves?

– No proszę, trafiłeś! – Aves się roześmiał. – Widzę, że pamięć ci się polepsza.

– Ciężko was zapomnieć – skwitował kwaśno Wedge. – Gdzie jesteś?

– W samym pieprzonym środku tej wielkiej plamy imperialnych świateł na twojej burcie – odparł przemytnik. Do jego wesołkowatego tonu zakradły się ponure nuty. – Trzeba było mi

powiedzieć, że wybieracie się tutaj zamiast na Tangrene, jak byliśmy przekonani.

– A ja żałuję, że nie wspomniałeś, na czym dokładnie polega ta wasza „mała robótka” – odciął się Wedge. – Nieźle się wzajemnie nabiliśmy w butelkę, co?

– Jak jasna cholera. Okpiliśmy wszystkich… z wyjątkiem wielkiego admirała.

– Nawet mi nie mów. Ale, ale, dzwonisz towarzysko czy jak?

– Może towarzysko – stwierdził Aves. – A może nie. Posłuchaj, za jakieś półtorej minuty kilkoro naszych ludzi spróbuje świsnąć to całe krystaliczne ustrojstwo, po które tu przylecieliśmy. Później szybka runda honorowa i spadamy.

Zamierzali ot tak „spadać sobie” z imperialnych stoczni. Cóż, w jego ustach rzeczywiście zabrzmiało to jak najłatwiejsza rzecz pod słońcem.

– Powodzenia.

– Dzięki. Wspominam o tym, bo dla nas nie ma znaczenia, którędy się stąd urwiemy. Pomyślałem, że wam może to robić różnicę…

Kącik ust Wedge’a drgnął w uśmiechu.

– Chyba tak – stwierdził. – Gdybyście, powiedzmy, przelecieli w pobliżu tych dwóch golanów dwójek… i może przy okazji odrobinę je poobijali? Co ty na to?

– Wygląda na całkiem przyzwoitą trasę – zgodził się Aves. – Oczywiście tam na obrzeżach może być dość paskudnie, przy wszystkich tych okrętach i innych zbłąkanych strzałach… Czy sądzisz, że dalibyście radę podskoczyć tam i trochę nas przyjacielsko poeskortować?

Wedge spojrzał w stronę świateł, analizując w myślach cały plan. Po krótkim namyśle uznał, że to rzeczywiście mogłoby się sprawdzić. Gdyby ludzie Avesa zdołali unieszkodliwić chociaż jedną z tych stacji bojowych, siły Nowej Republiki miałyby ułatwiony dostęp do stoczni. O ile imperialni nie uznają, że warto je poświęcić, musieliby oddelegować tam część swojej floty, aby zamknąć lukę i ścigać statki, które wdarłyby się na ich teren.

W dodatku flotylla przemytników nie mogłaby sobie chyba wymarzyć lepszej osłony podczas odwrotu ze stoczni niż jednostki Nowej Republiki szturmujące ten sam kompleks. Koniec końców wyglądało to na całkiem uczciwą transakcję.

– Umowa stoi – rzucił do mikrofonu. – Daj mi kilka minut, a zorganizuję wam eskortę.

– Przyjacielską, nie zapominaj o tym – ostrzegł go przemytnik. – Jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Doskonale wiem, co masz na myśli – zapewnił go Wedge. O typowej dla Kalamarian niechęci do przemytu i parających się nim istot krążyły legendy, powtarzane w oficerskich mesach, a Wedge nie miał ochoty przekonać się na własnej skórze o jej skutkach, tak samo jak Aves. Być może właśnie dlatego przemytnik zwrócił się z propozycją do niego, a nie bezpośrednio do Ackbara i dowództwa floty… – Spokojna głowa. Zadbam o to.

– W porządku. Oho, mamy pierwszych gości. Do zobaczenia. – Rozłączył się z kliknięciem.

– Wchodzimy w to? – spytał Łotr Jedenaście.

– Wchodzimy – potwierdził Wedge, zawijając w ciasnym skręcie na prawo. – Łotr Dwa, zdaj dowództwu krótką relację i poinformuj ich, że potrzebujemy wsparcia. Tylko nie wymieniaj Avesa z nazwiska. Powiedz po prostu, że współpracujemy z niezależną grupą ruchu oporu z terenu stoczni.

– Przyjąłem, dowódco.

– A co, jeśli Ackbar uzna, że nie warto ryzykować? – zaniepokoił się Łotr Siedem.

Antilles spojrzał znów na światła stoczni. A więc ponownie – jak już tyle razy przedtem – wszystko sprowadzało się do kwestii zaufania… Zaufania jakiemuś wieśniakowi z zapyziałego pustynnego światka podczas ataku na pierwszą Gwiazdę Śmierci… Zaufania byłemu hazardziście, o którym nikt nie wiedział, czy właściwie ma jakieś porządne doświadczenie w walce, podczas ataku na drugą Gwiazdę Śmierci… A teraz mieli zaufać przemytnikowi, który równie dobrze mógłby ich zdradzić za odpowiednią cenę.

– To bez znaczenia – odpowiedział. – Ze wsparciem czy bez, wchodzimy w to.

Miecz świetlny Mary rozbłysnął, tnąc paskudnie przez pierś Luuke'a. Klon upadł bez życia na podłogę, a broń wyleciała mu z dłoni.

I nagle nieznośne wibracje zniknęły bez śladu z umysłu Skywalkera.

Młody Jedi podźwignął się z podłogi przed wciąż plującym iskrami ekranem, do którego zwabił klona, i zaczerpnął głęboko tchu. Miał wrażenie, że to był pierwszy jego swobodny oddech od wielu godzin. Ten koszmar wreszcie się skończył.

– Dziękuję – powiedział cicho do Mary.

Dziewczyna cofnęła się od martwego klona o krok.

– Nie ma sprawy. Rozjaśniło ci się nieco w głowie?

A więc ona też to wyczuła… Zastanawiał się wcześniej, czy ją również gnębiło dziwne mrowienie.

– Tak. – Pokiwał głową i zaczerpnął kolejny haust cudownie smakującego powietrza. – A jak u ciebie?

Posłała mu na wpół ironiczne, na wpół rozbawione spojrzenie, ale pierwszy raz, odkąd się spotkali, w jej wzroku nie widział bólu ani nienawiści, które zdawały się jej towarzyszyć na każdym kroku.

– Zrobiłam to, czego ode mnie chciał – powiedziała. – To koniec.

Luke spojrzał na drugą stronę sali tronowej. Karrde przywiązał smycze swoich vornskrów do barierki zawalonej kładki i przedzierał się ostrożnie przez jej szczątki. Han zdołał jakoś wstać i pomagał teraz wydostać się zamroczonej Lei spod części, która na nią opadła.

– Leio! – zawołał Skywalker. – Wszystko w porządku?

– Nic mi nie jest! – odkrzyknęła. – Jestem tylko trochę poobijana, to wszystko. Zabierajmy się stąd…

Skywalker odwrócił się do C'baotha. Stary Jedi patrzył na martwego klona, przebierając nerwowo palcami opuszczonych wzdłuż ciała dłoni. Z oczu ciskał gromy.

– O tak – potwierdził Luke. – Maro? Chodźmy.

– Idźcie – odpowiedziała. – Dołączę do was za moment.

Zmierzył ją czujnym wzrokiem.

– Co chcesz zrobić?

– A jak myślisz? – odpowiedziała pytaniem. – Zamierzam to dokończyć. To, co powinnam była zrobić już na Jomarku.

C'baoth powoli podniósł na nią wzrok.

– Zginiesz za to, Maro Jade – powiedział i jego cichy głos brzmiał bardziej przerażająco niż jakikolwiek wybuch gniewu. – Powoli i w niewyobrażalnych mękach. – Wziął głęboki oddech, zwinął dłonie w pięści przed klatką piersiową i przymknął oczy.

– To się jeszcze okaże – mruknęła. Podniosła miecz świetlny i zaczęła iść w jego stronę.

Nagle gdzieś z oddali dobiegł stłumiony pomruk – właściwie to bardziej go poczuli, niż usłyszeli. Luke rozejrzał się po sali. Jego zmysły Jedi ostrzegały go przed bliżej nieokreślonym zagrożeniem, jednak nie widział w pobliżu nic niepokojącego. Dźwięk przybierał na sile, narastał…

I nagle, przy akompaniamencie ogłuszającego huku, część sufitu sali tronowej tuż nad nim i Marą się zawaliła, opadając im na głowy w gradzie skalnych odłamków.

– Uwaga! – krzyknął, odruchowo osłaniając głowę rękami i próbując uskoczyć na bok… jednak deszcz skał przesunął się razem z nim. Spróbował ponownie, tym razem niemal tracąc równowagę, gdy stopa uwięzła mu po kostkę w stercie kamieni. Odłamki bombardowały go nieprzerwanie – zbyt małe i liczne, by zdołał je odbijać Mocą. Przez tuman pyłu widział, że Mara również stara się uchronić przed kamiennym gradem, osłaniając głowę jedną ręką i wymachując bezładnie mieczem świetlnym trzymanym w drugiej. Na drugim końcu sali Han coś krzyczał, więc Luke domyślał się, że walczy z podobnym zagrożeniem.

Stojący spokojnie w oku skalnego cyklonu, który rozpętał, C'baoth wzniósł ręce wysoko nad głowę.

– Jam jest mistrz Jedi C'baoth! – zakrzyknął. Jego dźwięczny głos poniósł się echem po sali, wyraźnie słyszalny mimo huku spadających kamieni. – Imperium… cały wszechświat… są moje!

Luke przyjął pozycję obronną, z mieczem w pogotowiu, wyczuwając nowe niebezpieczeństwo. Jednak i tym razem wiedza o nim nie przyniosła mu żadnych korzyści. Lśniące wyładowania,

które wystrzeliły z palców C'baotha, trafiły w klingę jego miecza, a impet uderzenia pozbawił go równowagi i posłał na ziemię. Skywalker upadł na kolana, raniąc je boleśnie o sterty ostrych skał. Gdy próbował wstać, jeden ze spadających odłamków trafił go mocno w skroń. Luke zachwiał się i przewrócił na bok, podpierając dłonią. Nowa fala błyskawic przepełzła po kamieniach, przesycając jego ciało niewyobrażalnym bólem. Niewidzialna siła wyrwała miecz świetlny z jego uścisku. Jak przez mgłę widział, że broń przelatuje nad barierką, szybując ku drugiemu końcowi sali.

– Przestań! – krzyknęła Mara. Przez czerwoną mgiełkę bólu mącącego mu wzrok Luke zobaczył, że dziewczyna stoi po kolana w kamieniach, chlaszcząc bezradnie mieczem świetlnym, jakby próbowała odbijać skalne odłamki. – Jeśli chcesz nas zabić, po prostu zrób to!

– Cierpliwości, moja przyszła uczennico – powiedział C'baoth… Oczami zmrużonymi dla ochrony przed deszczem odłamków skalnych i pyłu Luke zobaczył, że po ustach starca błąka się rozmarzony uśmiech. – Nie możesz jeszcze zginąć. Nie, dopóki nie zaprowadzę cię do komory klonowania wielkiego admirała.

Wśród gradu skalnych odłamków Mara szarpnęła głową i przez Moc Luke wyczuł od niej falę paraliżującego strachu.

– Co takiego?

– Przewidziałem przecież, że Mara Jade przede mną uklęknie – przypomniał jej C'baoth. – Ta… lub inna.

– I to byłoby tyle – mruknął Lando, aktywując ostatni ładunek. – Odpalamy fajerwerki i zabieramy się stąd.

Pracujący z drugiej strony centralnej kolumny Chewbacca zaryczał potwierdzająco. Calrissian wyciągnął z kabury blaster i wstał, obrzucając szybkim spojrzeniem każde z drzwi otaczających kładkę. Póki co wszystko szło po ich myśli. Gdyby zdołali utrzymać szturmowców na zewnątrz jeszcze przez jakieś dwie minuty, tak aby wraz z Chewbaccą zdążyli zejść z platformy i dotrzeć na kładkę…

Chewie zaryczał ostrzegawczo, a gdy Lando nadstawił uszu, usłyszał nikłe, narastające z każdą chwilą buczenie – odgłos

wydawany przez zdecydowanie niezadowoloną z tego, co jej zrobili, złączkę ujemnego przepływu.

– Bosko, Chewie – mruknął pod nosem. – Ruchy. – Wyszedł na skraj kładki… i w tej samej chwili drzwi naprzeciwko niego wybuchły w chmurze dymu i ognia.

– Uważaj! – krzyknął Calrissian, padając plackiem na podłogę i posyłając rozpaczliwą serię z blastera w obłok pyłu i szczątków rozprzestrzeniający się od miejsca, w którym jeszcze przed chwilą była gródź. W ich stronę zaczynały już szybować błękitne kręgi salw ogłuszających. Zza jego pleców odpowiadał im odgłos kuszy energetycznej Wookieego.

Cóż, to tyle, jeśli chodzi o te dwie minuty…

I nagle zorientował się, że przez oczka metalowej kratownicy, w którą wciskał twarz, patrzy na pomost. Pomost… i cienkie, jednak sprawiające wrażenie solidnych poręcze po jego bokach.

Pomysł był szalony. Ale to wcale nie oznaczało, że się nie sprawdzi.

– Chewie? Chodź no tu! – zawołał, przetaczając się w bok i obrzucając szybkim spojrzeniem kontrolki pomostu na szczycie poręczy platformy. Przycisk wysuwający… jest! Przycisk wsuwający… awaryjne zatrzymywanie…

Metalowa siatka aż podskoczyła, gdy Chewie wylądował obok niego.

– Zajmij ich czymś – poprosił Calrissian. Ostrożnie oszacował dystans, zerwał się z podłogi i wdusił szybko najpierw przycisk chowający pomost, a następnie przycisk blokujący. Pomost zaczął się wysuwać z platformy roboczej, a potem zatrzymał się szybko, rozsunięty tylko na tyle, by zwolniła się blokada.

Chewbacca zaryczał pytająco, gdy kładka zakołysała się lekko pod ciężarem ich ciał.

– Zaraz zobaczysz – odmruknął Lando. Z lewej i z prawej strony pojawiły się nowe chmury ognia, gdy szturmowcy wysadzili kolejne drzwi. – Trzymaj się tylko wsporników poręczy i strzelaj. Do dzieła. – Chwyciwszy się mocno, ostrożnie wycelował i otworzył ogień.

Nie mierzył jednak wcale do żołnierzy, którzy właśnie wyroili się na biegnącą pod ścianami pomieszczenia kładkę. Zamiast tego wziął

na cel drugi koniec pomostu. W powietrze tryskały snopy iskier, gdy strzały wypalały dziury w metalowej siatce i odłupywały pokaźne kawały wsporników. Pomostem szarpnęło, gdy opadł jeszcze mocniej, podczas gdy Calrissian kontynuował systematycznie dzieło zniszczenia. Obok niego Chewbacca wyryczał w swoim języku coś bardzo, ale to bardzo niecenzuralnego, czego Lando nigdy wcześniej nie słyszał w jego ustach, i chwilę później, z potępieńczym jękiem obciążonego metalu, pomost się poddał. Połączony z kładką jedynym wciąż nietkniętym elementem – barierką, runął ociężale w dół. Lando zacisnął mocniej palce wokół poręczy, gdy z pozycji horyzontalnej szybko zmierzali ku wertykalnej…

Aż wreszcie, z hukiem i wstrząsem, od którego Calrissian niemal odpadł od pomostu, konstrukcja uderzyła w poręcz balkonu klonującego trzy piętra niżej.

– Wysiadka – zarządził Lando. – Szybko! – Wsuwając niezdarnie blaster do kabury, przeskoczył nad ustawioną pod ostrym kątem poręczą i opadł na podłogę galerii.

Chewbacca, naturalnie przysposobiony do wspinaczki, czekał już tam na niego.

Byli w pół drogi do drzwi wyjściowych z balkonu, przemykając między szeregami cylindrów Spaarti, gdy kolumna za ich plecami wybuchła.

Najpierw eksplodowały ładunki, rozrzucając dookoła kawałki kabli i rur, otoczone płomienną poświatą. W powietrze wzbiła się złowieszczo wyglądająca chmura dymu, pyłu i światła – odżywcze płyny trysnęły nad ich głowami snopami pary, a z rur chlusnęły różnobarwne ciecze. Platforma, na której stali zaledwie minutę temu, została wyrwana ze wsporników i zaczęła ześlizgiwać się niezgrabnie w dół kolumny, po drodze uszkadzając coraz to więcej elementów instalacji. Z wnętrza obłoku dobiegły trzaski rozrywanych linii zasilania, a następnie huki wtórnych eksplozji, posyłających w powietrze nowe fale szczątków.

I wówczas, z raniącym boleśnie bębenki zgrzytem obciążonych i powykręcanych wsporników, zewnętrzne warstwy kolumny zaczęły odpadać i niemal niespiesznie szybować na boki.

Chewbacca zaryczał ostrzegawczo wśród hałasu.

– Ja też nie! – odkrzyknął Lando. – Wynośmy się stąd!

Dziesięć sekund później, wyminąwszy w pełnym pędzie samotnego wartownika pełniącego straż pod drzwiami na tym poziomie, byli już na zewnątrz. Dwa korytarze dalej podłoga pod ich stopami zawibrowała, gdy kolumna runęła na dno jaskini klonowania.

– No dobra – wydyszał Lando, wyhamowując i rozglądając się czujnie na boki w przecięciu korytarzy. Najwyraźniej R2-D2 dobrze wypełnił powierzone mu zadanie oddelegowania żołnierzy z tej części góry, bo wokół nie było widać żywej duszy. – Wyjście jest tam – wskazał Chewbacce, sięgając po komunikator. – Skrzykujemy resztę i już nas tu nie ma.

Wywołał Hana… i skrzywił się, gdy z głośnika dobiegła seria ogłuszających trzasków.

– Han? – zawołał.

– Lando? – odpowiedział mu głos Solo, ledwie słyszalny pośród hałasu.

– Tak – potwierdził Calrissian. – Co tam się dzieje?

– Ten szalony Jedi zawala nam na głowy sufit! – odkrzyknął Solo. – Leia i ja znaleźliśmy osłonę, ale Marę i Luke'a złapał na otwartej przestrzeni. Gdzie jesteś?

– Na dole, w pobliżu jaskini klonowania! – wycedził Calrissian przez zaciśnięte zęby. Jeśli cała ta sztuczka Chewbakki z rezonansem arytmicznym zadziałała, jeden z reaktorów góry powinien już migotać z powodu niestabilności. Jeżeli nie wydostaną się stąd, nim wybuchnie… – Chcesz, żebyśmy przyszli tam na górę i wam pomogli?

– Nie kłopoczcie się – wtrącił ponurym głosem Karrde. – Przed turbowindą jest już sterta kamieni. Wygląda na to, że póki co nigdzie się stąd nie ruszymy.

Chewbacca wydał z siebie ryk frustracji.

– Zapomnij, Chewie, i tak nic byś nie wskórał – zapewnił go Solo. – Wciąż mamy tu Luke'a i Marę. Może oni zdołają go powstrzymać.

– A co, jeśli im się nie uda? – spytał Lando, czując, jak jego żołądek fika nieprzyjemnego koziołka. – Słuchaj, nie macie zbyt

wiele czasu. Przypuszczam, że w rdzeniu zasilania doszło już do rezonansu arytmicznego…

– To dobrze – odparł spokojnie Han. – Bo to oznacza, że C'baoth również nie wyjdzie stąd żywy.

– Han…

– Daj spokój, wynoście się stąd – wszedł mu w słowo Solo. – Chewie… było świetnie. Ale jeśli nam się nie uda, ktoś będzie musiał pomóc Winter w opiece nad Jacenem i Jainą. Słyszysz mnie?

– „Dziki Karrde" parkuje w pobliżu miejsca, gdzie dostaliście się do wnętrza góry – dodał Karrde. – Będą na was czekać.

– Jasne. – Lando znów zacisnął zęby. – Powodzenia. – Rozłączył się i przywiesił komunikator z powrotem do pasa. Han miał rację. Tu na dole nie byli w stanie w żaden sposób zaszkodzić C'baothowi. Mając jednak do dyspozycji turbolasery „Dzikiego Karrde'a" oraz plany zdobyte przez R2-D2… – Chodź, Chewie – powiedział, odwracając się do wyjścia i puszczając biegiem w tamtą stronę. – To jeszcze nie koniec.

– W zasadzie to chyba dobrze się stało – wymamrotał C'baoth, popatrując smutno na Luke'a i schodząc ku niemu po schodach.

Skywalker podniósł wzrok na starego Jedi, mrugając wściekle w próbie usunięcia z oczu pyłu i starając się stłumić ból pulsujący w całym ciele.

Ból… a także przytłaczające poczucie porażki. Klęczał na podłodze, skutecznie unieruchomiony sięgającą mu powyżej pasa stertą kamiennych odłamków, która wciąż rosła, oko w oko z szalonym mistrzem Jedi, który chciał go zabić…

„Nie – zganił się w myśli. – Jedi może działać jedynie, gdy jest spokojny… Gdy jest jednością z Mocą".

– Mistrzu C'baocie – powiedział. – Posłuchaj mnie. Nie czujesz się dobrze. Wiem to. Ale mogę ci pomóc.

Po twarzy szalonego Jedi przemknęły rozmaite emocje, jakby starzec przymierzał różne maski.

– Och, czyżby? – rzucił, decydując się na grymas rozbawienia. – A dlaczegóż niby miałbyś to dla mnie zrobić?

– Bo tego potrzebujesz – odparł prosto Luke. – A także dlatego, że my potrzebujemy ciebie. Masz niezrównane doświadczenie i moc, które mógłbyś wykorzystywać w służbie Nowej Republice.

C'baoth parsknął kpiąco.

– Mistrz Jedi Joruus C'baoth nie służy istotom niższego sortu, Jedi Skywalkerze.

– Dlaczego? Czy nie to właśnie robili wszyscy wielcy mistrzowie z okresu Starej Republiki?

– I właśnie to był ich błąd! – stwierdził C'baoth, wycelowując w Luke'a palec. – Bo właśnie dlatego istoty niższego rzędu zbuntowały się i ich zabiły!

– To nie…

– Dość tego! – zagrzmiał szalony Jedi. – Nie ma znaczenia, czego, twoim zdaniem, potrzebują ode mnie niższe istoty. To ja zadecyduję o ich losie. Przyjmą moją władzę… lub zginą. – Jego oczy błysnęły dziko. – Ty również miałeś ten wybór, Jedi Skywalkerze. Co więcej, mogłeś rządzić u mojego boku. Zamiast tego jednak… wybrałeś śmierć.

Po policzku Luke'a spłynęła strużka potu… a może była to krew?

– A co z Marą?

C'baoth pokręcił głową.

– Nie powinieneś się już nią przejmować – wypluł. – Policzę się z nią później.

– Nie – warknęła Mara. – Policzymy się teraz!

Luke obejrzał się na nią. Odłamki skał wciąż opadały na jej głowę, jednak z zaskoczeniem spostrzegł, że sięgający wcześniej do jej kolan stos kamieni, który więził ją w miejscu, zniknął.

Chwilę później Luke domyślił się dlaczego: te niezborne ruchy mieczem świetlnym, które wcześniej zauważył w jej wykonaniu, nie były wcale nieporadną próbą odbijania kamieni, jak błędnie założył. Mara zamiast tego wycinała w podłodze otwory, przez które skalne odłamki spadły do centrum kontrolnego piętro niżej…

Podnosząc miecz wysoko nad głowę, zaatakowała.

C'baoth zawirował w jej stronę, z grymasem wściekłości wykrzywiającym jego starczą twarz.

– Nie! – wrzasnął i z jego palców znów wytrysnęły białobłękitne wyładowania.

Mara przyjęła salwę na ostrze swojego miecza, wytracając pęd, gdy jej ciało otoczyła lśniąca, zabójcza poświata. C'baoth poraził ją drugą salwą i trzecią, wycofując się jednocześnie w stronę tronu i litej ściany tuż za nim. Mara jednak chwiejnym krokiem parła z uporem naprzód.

Nagle deszcz skał opadających na jej głowę ustał, a kamienie ze skraju kopca, pod którym na wpół pogrzebany tkwił Luke, zaczęły podrywać się w powietrze i szybować w stronę szalonego Jedi. Zawijały za jego plecami, pchane niewidzialną siłą wprost w twarz Mary. Dziewczyna zatoczyła się w tył, mrużąc oczy, aby uchronić je przed gradem odłamków, i podnosząc na wysokość twarzy prawe przedramię.

Zacisnąwszy zęby, Luke spróbował podźwignąć się i oswobodzić z rumowiska – nie mógł pozwolić, by Mara walczyła samotnie – jednak jego wysiłki zdały się na nic. Wciąż jeszcze był zbyt osłabiony po ostatnim ataku C'baotha. Mimo to ponowił próbę, starając się zignorować nową falę bólu, który przeszył jego mięśnie. Spojrzał na Marę…

I dostrzegł w wyrazie jej twarzy nagłą zmianę. Gdy zmarszczyła czoło w próbie koncentracji, on również to usłyszał. To był głos Lei rozbrzmiewający w jego umyśle:

„Zamknij oczy, Maro, i słuchaj mnie. Widzę cię i prowadzę".

– Nie! – krzyknął znowu C'baoth. – Nie! Ona jest moja!

Luke zerknął na przeciwny kraniec sali tronowej, zastanawiając się, jak też szaleniec ukarze Leię za tę próbę pomocy, jednak nic się nie wydarzyło. Wręcz przeciwnie: ustał kamienny deszcz, którym stary Jedi raził kraniec kładki, pod którym schronili się przyjaciele Skywalkera. Być może długa walka zaczęła wreszcie nadwątlać siły C'baotha i nie był w stanie dłużej dzielić swojej uwagi między kilka osób? Nagle, tuż za kładką, Luke dostrzegł w stercie kamieni blokujących drzwi turbowindy metaliczny błysk swojego miecza świetlnego, na wpół w niej pogrzebanego. Gdyby tylko zdołał przywołać do siebie broń i odzyskać nieco sił, by dołączyć do Mary w walce…

I wówczas kątem oka złowił jakiś ruch – to uwiązane do kładki z drugiej strony oswojone vornskry Karrde'a szarpały się na swoich smyczach. Kamienny deszcz nie zrobił im najwyraźniej najmniejszej krzywdy.

Szarpały się… wyrywając w stronę Mary. I C'baotha.

Podczas ich wędrówki przez myrkrski las dzikie vornskry niemal zabiły Jade. W jakiś pokrętny sposób wydawało się naturalne, że teraz te zwierzęta zechcą ją ocalić.

Miecz świetlny drgnął pod zdalnym dotykiem Luke'a, zapalając się, gdy umysł młodego Jedi odnalazł przycisk. Cylinder stoczył się ze sterty skał. Żywozielone ostrze krzesało iskry o kamienie, gdy rękojeść podskakiwała na ostrych odłamkach. Skywalker wytężył wszystkie siły… i miecz uniósł się w powietrze, mknąc ku niemu.

Gdy dotarł na wysokość zniszczonej kładki, Luke skierował ostrze tak, by cięło gładko przez smycze zwierząt.

C'baoth nie mógł tego nie zauważyć. Stojąc już niemal pod samą ścianą sali tronowej, zmienił cel ataku, porażając serią wyładowań szarżujące wprost na niego drapieżniki, wspinające się właśnie ku niemu po schodach. Jedno ze zwierząt zawyło i upadło na podłogę, ślizgając się po niej wśród skalnych okruchów. Drugie zachwiało się, jednak parło dalej z determinacją.

To była właśnie ta dywersja, jakiej Mara potrzebowała: skoczyła naprzód między odłamkami skalnymi wciąż bombardującymi jej twarz, pokonując resztę dystansu dzielącego ją od C'baotha. Gdy zwrócił się ponownie w jej stronę, rozcapierzając desperacko palce, osunęła się na kolana i cięła mocno mieczem w górę.

Wydawszy z siebie ostatni, zbolały jęk, C'baoth runął na ziemię… i podobnie jak miało to miejsce w przypadku Imperatora na pokładzie Gwiazdy Śmierci, wypełniająca go energia ciemnej strony eksplodowała w gwałtownym rozbłysku słupa błękitnego ognia.

Luke był na to przygotowany. Przywołał z najwyższym trudem resztki sił i pewnie złapał Marę Mocą, podrywając ją w powietrze i odciągając od wybuchu mrocznej energii – najdalej, jak zdołał. Poczuł, jak uderzyła w niego fala udarowa, a chwilę później doznał przypływu sił, gdy Leia dołączyła do niego w wysiłku holowania Mary… i nagle było już po wszystkim.

Przez długą chwilę trwał w bezruchu, z trudem oddychając i walcząc z upominającym się o niego zamroczeniem. Półprzytomnie zarejestrował, że ktoś zaczyna odkopywać go ze skalnego więzienia…

– Czy wszystko w porządku, Luke? – spytała z troską Leia.

Zmusił się do otwarcia oczu. Jego pokryta warstwą pyłu i posiniaczona siostra nie wyglądała wcale lepiej niż on sam.

– Nic mi nie jest – zapewnił ją, odpychając się od resztek skalnych okruchów i wstając. – Jak pozostali?

– Nie jest tragicznie – odparła, podtrzymując go ramieniem. – Ale Han będzie potrzebował pomocy medycznej. Ktoś powinien zająć się tymi paskudnymi poparzeniami.

– Marą również – stwierdził ponuro Karrde, wchodząc po schodach z nieprzytomną Marą na rękach. – Musimy ją zanieść na pokład „Dzikiego Karrde'a" tak szybko, jak to możliwe.

– Wezwij ich – odezwał się Solo. Klęczał obok martwego klona Luke'a, przyglądając mu się z dziwną miną. – Powiedz, żeby po nas przylecieli.

– Przylecieli…? – Karrde zmarszczył czoło.

Han wskazał na miejsce, w którym zginął C'baoth.

– Tu.

Luke odwrócił się i spojrzał we wskazanym kierunku. Potężna eksplozja energii ciemnej strony niemal całkiem zrujnowała tę część sali tronowej. Poczerniałe ściany i sufit pokrywała seria głębokich wyrw. Metalowa podłoga w miejscu, w którym stał szalony Jedi, była zdeformowana i na wpół stopiona, a tron został wyrwany z podstawy i tlił się teraz przewrócony jakiś metr dalej.

Za nim zaś ziała w tylnej ścianie potężna dziura o poszarpanych krawędziach, w której na tle nocnego nieba migotała samotna gwiazda.

– Fakt – stwierdził Luke, biorąc głęboki oddech. – Leia?

– Jasne. – Pokiwała głową, podając mu jego miecz świetlny i zapalając własną broń. – Bierzmy się do roboty.

Dwie rebelianckie fregaty szturmowe zajęły pozycje po obu stronach oblężonej platformy typu Golan II i zasypały ją gradem strzałów, zawijając ostro na boki. Część stacji bojowej rozbłysła i pociemniała, a na tle ciemnej sylwetki dało się dostrzec kolejną falę rebelianckich myśliwców przenikających tuż obok niej do stoczni.

Pellaeon już się nie uśmiechał.

– Tylko bez paniki, kapitanie – rzucił spokojnie Thrawn, jednak w jego głosie dało się słyszeć ponure nuty. – Nie zostaliśmy jeszcze pokonani. Do tego jeszcze daleko.

Od strony pulpitu kontrolnego kapitana dobiegł sygnał, a gdy ten na niego spojrzał…

– Sir, mamy priorytetową wiadomość z Waylanda – poinformował przełożonego, czując, jak żołądek mu lodowacieje. Ogarnęło go przerażające przeczucie. Wayland… fabryka klonów…

– Proszę przeczytać – polecił mu Thrawn morderczo cichym głosem.

– Deszyfracja w toku – zameldował Pellaeon, klepiąc ze zniecierpliwieniem w klawiaturę, gdy wiadomość powoli przewijała się po ekranie. Jego najgorsze przypuszczenia się potwierdziły. – Góra została zaatakowana, sir – doniósł. – Dwa różne oddziały tubylców, a także jacyś rebelianccy sabotażyści i… – przerwał, marszcząc z niedowierzaniem czoło – …grupa Noghrich.

Nie dane mu było przeczytać nic więcej. Niespodziewanie nie wiadomo skąd przed jego twarzą pojawiła się szara dłoń, natychmiast zaciskając się na jego gardle.

Krztusząc się, opadł bezwładnie na swój fotel, czując, jak jego członki ogarnia paraliż.

– To za zdradę, jakiej Imperium dopuściło się wobec Noghrich – dobiegł skądś z boku cichy głos Rukha, gdy kapitan z trudem starał się zaczerpnąć tchu. – Zostaliśmy zdradzeni. I zemściliśmy się.

Uszu Pellaeona dobiegł jeszcze szelest i szaroskóra istota zniknęła. Łapiąc z wysiłkiem oddech i próbując odzyskać kontrolę nad odrętwiałym ciałem, pomacał w poszukiwaniu krawędzi swojego pulpitu, żeby wstać. Gdy wreszcie mu się to udało, dopiero za trzecim razem trafił w przycisk alarmu.

A kiedy wycie syren zagłuszyło częściowo odgłosy toczącej się na zewnątrz bitwy, w końcu udało mu się odwrócić głowę.

Thrawn siedział prosto w swoim fotelu, a na jego twarzy malował się dziwny spokój. Na samym środku piersi, na tle nieskazitelnej bieli jego admiralskiego munduru, wykwitała ciemnoczerwona plama. W samym zaś jej środku połyskiwała końcówka ostrza noża Rukha.

Wielki admirał podchwycił jego spojrzenie… i ku osłupieniu Pellaeona, uśmiechnął się.

– Ale… – wyszeptał – …to było tak artystyczne… – Uśmiech zniknął bez śladu, podobnie jak blask w jego oczach.

Thrawn, ostatni wielki admirał, odszedł.

– Kapitanie Pellaeon? – zawołał z niepokojem oficer łączności, gdy grupa medyków zjawiła się, zbyt późno, przy fotelu wielkiego admirała. – „Nemesis” i „Stormhawk” proszą o rozkazy. Co mam im powiedzieć?

Pellaeon podniósł wzrok na wyświetlacze. W chaosie, jaki rozpętał się za linią obrony rzekomo bezpiecznych stoczni, w sytuacji niespodziewanej potrzeby rozdzielenia sił, aby chronić stocznie, oraz w obliczu działań rebelianckiej floty, która skwapliwie skorzystała z dywersji… W mgnieniu oka wszechświat nagle zwrócił się przeciwko nim.

Thrawn nawet w takich okolicznościach z pewnością zdołałby zapewnić im zwycięstwo. Niestety, Pellaeon nie był Thrawnem.

– Do wszystkich statków – wychrypiał i słowa te raniły jego gardło w sposób, który nie miał nic wspólnego z pulsującym bólem będącym pamiątką po zdradzieckim ataku Rukha – przygotować się do odwrotu.

Rozdział 29

Słońce skryło się na zachodzie za cienką warstwą chmur i barwy wieczornego nieba zaczynały powoli blaknąć, ustępując miejsca ciemności coruscańskiej nocy. Wsparta o sięgającą jej do piersi kamienną balustradę na skraju pałacowego dachu, wsłuchana w cichy szmer wiatru, Mara spoglądała z góry na światła i pojazdy Centrum Imperialnego. Chociaż miasto tętniło aktywnością, było w nim coś dziwnie kojącego.

A może po prostu spokój płynął z wnętrza jej samej? Tak czy inaczej, była to miła odmiana.

Dwadzieścia metrów za nią drzwi prowadzące na dach otworzyły się. Sięgnęła ku nim Mocą, jednak nie musiała tego robić – wiedziała, kogo się spodziewać.

I nie myliła się.

– Maro? – zawołał cicho Luke.

– Tutaj! – odkrzyknęła, krzywiąc się w stronę rozciągającego się w dole miasta. Wyczuwała, że przyszedł tu po odpowiedź.

Cóż, to tyle, jeśli chodzi o wewnętrzny spokój…

– Wspaniały widok, prawda? – zauważył, zatrzymując się obok niej i obrzucając spojrzeniem panoramę rozciągającą się w dole. – Pewnie przywołuje wspomnienia…

Spojrzała na niego z politowaniem.

– Czytaj: jak tym razem czujesz się po powrocie do domu? Wiesz co, Skywalker? Tak między nami: gdy silisz się na przebiegłość, jesteś dość żałosny. Na twoim miejscu darowałabym to sobie i pozostała przy tej wieśniaczej prostolinijności.

– Wybacz – bąknął. – Chyba po prostu za dużo przebywam z Hanem.

– Oraz Karrde’em i mną, jak przypuszczam?

– Mam odpowiedzieć z wieśniaczą prostolinijnością?

Uśmiechnęła się do niego krzywo.

– Wybacz, że o tym wspomniałam.

Luke odwzajemnił uśmiech, jednak szybko spoważniał.

– No to… jak się czujesz?

Mara spojrzała znów na światła miasta.

– Dziwnie – wyznała. – To trochę jak powrót do domu… ale to nie to. Wiesz, nigdy dotąd nie miałam okazji podziwiać stąd miasta. Bywałam tu jedynie, żeby obserwować jakiś konkretny śmigacz albo mieć oko na któryś z budynków… czy coś w tym stylu. Załatwiając sprawy dla Imperatora. Wątpię, by w ogóle postrzegał Centrum Imperialne jako ludzi i światła. Dla niego były to tylko władza i możliwości.

– Pewnie właśnie tak postrzegał wszystko inne – zgodził się z nią Skywalker. – A skoro już mowa o możliwościach…

Znów się skrzywiła. Miała rację. Luke przyszedł tu po odpowiedź.

– To wszystko… jest niedorzeczne – parsknęła. – I wiesz o tym równie dobrze jak ja.

– Karrde tak nie uważa.

– Karrde jest czasem jeszcze gorszym idealistą niż ty – stwierdziła. – Zacznijmy od tego, że w życiu nie uda mu się utrzymać tej jego przemytniczej koalicji w kupie.

– Może i nie – przyznał. – Ale pomyśl tylko o wszystkich tych szansach, które byśmy zyskali, gdyby jednak zdołał tego dokonać. Półświatek to morze kontaktów i źródeł informacji, do którego Nowa Republika nie ma w tej chwili właściwie żadnego dostępu.

– A po co wam te źródła informacji? – spytała. – Thrawn nie żyje, jego centrum klonowania leży w zgliszczach, a Imperium znów się wycofuje. Wygraliście.

– Na Endorze także wygraliśmy – przypomniał jej. – A jednak przez wiele lat byliśmy zmuszeni sprzątać po Imperium. Przed nami wciąż jeszcze mnóstwo pracy.

– To jednak nie tłumaczy wciągania mnie w to wszystko – zaprotestowała. – Jeśli potrzebujesz łącznika między wami a przemytnikami, dlaczego nie poprosisz o to Karrde'a?

– Bo Karrde to przemytnik. A ty jesteś tylko byłą asystentką przemytnika.

– Wielka mi różnica. – Zaśmiała się.

– Dla niektórych tak – zapewnił ją. – Cały ten proces negocjacji opiera się w takiej samej mierze na pozorach i kreowaniu wizerunku co na stanie rzeczywistym. Tak czy inaczej, Karrde i tak już powiedział, że się nie zgadza. Jego vornskry już wydobrzały i twierdzi, że chce wrócić do swoich ludzi.

– Nie jestem politykiem. – Mara pokręciła głową. – Ani dyplomatką.

– Ale jesteś kimś, komu obie strony są skłonne zaufać – odparł. – I to się liczy.

– Nie znasz tych ludzi, Skywalker. – Wydęła usta. – Wierz mi, Chewbacca i ekipa wysłani z zadaniem przesiedlenia Noghrich na nowy świat będą się bawili znacznie lepiej.

Dotknął jej dłoni.

– Uda ci się, Maro. Wiem to.

Westchnęła.

– Muszę to przemyśleć.

– Jasne – przytaknął. – Zejdź po prostu do nas, gdy już będziesz gotowa.

– Pewnie. – Zerknęła na niego z ukosa. – Coś jeszcze?

Uśmiechnął się do niej.

– Coraz lepiej ci idzie.

– To twoja wina. Byłeś za dobrym nauczycielem. No, słucham. Co znowu?

– Ja… to. – Sięgnął do kieszeni bluzy i wyciągnął miecz świetlny.

– Co „to”? – spytała, marszcząc czoło.

– Mój stary miecz – wyjaśnił cicho. – Ten, który utraciłem w Mieście w Chmurach i który niemal zabił mnie na Waylandzie. – Wyciągnął go do niej. – Chciałbym, żebyś go przyjęła.

Podniosła na niego wzrok zaskoczona.

– Ja? Dlaczego?

Wzruszył z zakłopotaniem ramionami.

– Z wielu powodów. Dlatego, że na niego zasłużyłaś. Dlatego, że wkroczyłaś na ścieżkę nauk Jedi i będzie ci potrzebny. Ale przede wszystkim dlatego, że chcę, byś go miała.

Powoli, niemal niechętnie, wzięła od niego broń.

– Dziękuję.

– Nie ma za co. – Dotknął znowu jej dłoni. – Będę w sali konferencyjnej z pozostałymi. Gdy podejmiesz decyzję, dołącz do nas. – Odwrócił się i ruszył przez pałacowy dach do wyjścia.

Mara skupiła znów wzrok na światłach miasta, czując w dłoni chłodny dotyk metalowej rękojeści. Miecz świetlny Luke'a. Prawdopodobnie jedna z ostatnich pamiątek wiążących go z przeszłością… a on właśnie się jej pozbył.

Czy chciał jej w ten sposób coś przekazać? Pewnie tak. Tak jak mu już powiedziała, subtelność nie była jego mocną stroną. Jednak jeśli właśnie dlatego to zrobił, to zupełnie niepotrzebnie. Ostatnia więź łącząca ją z przeszłością została pogrzebana pod gruzami sali tronowej w górze Tantiss.

Przeszłość odeszła w cień. Nadeszła pora skupić się na przyszłości. A tą przyszłością była Nowa Republika – czy jej się to podobało, czy nie.

Usłyszała, jak za jej plecami Luke otwiera drzwi.

– Zaczekaj – zawołała. – Idę z tobą.

Przekład: Anna Hikiert
Redakcja: Rafał Sarna
Konsultacja merytoryczna: Jacek Drewnowski
Korekta: Marcin Grabski, Katarzyna Sarna

Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48
tel./faks (22) 826 08 82, 828 98 08
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-7372-2

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
i Michał Latusek / Virtualo Sp. z o.o.

